

Victoria Holt

Wyznania królowej

The Queen's Confession
Przełożyła Ewa Partyga

Dla Naomi Burton
— *przewodniczki, doradczyni i przyjaciółki*

Ludwik XVI nosił się z zamiarem spisania swoich wspomnień; wskazywał na to choćby sposób, w jaki uporządkował własne zapiski. Królowa miała podobne intencje; przez długi czas przechowywała obfitą korespondencję i mnóstwo krótkich notatek, odzwierciedlających stan jej ducha i nastroj w różnych momentach życia.

Pamiętniki pani Campan

Rozdział 1

Francuski mariaż

Prawdziwe szczęście można znaleźć na tym świecie tylko w szczęśliwym małżeństwie. Mówię to na podstawie własnego doświadczenia. A szczęście w małżeństwie zależy przede wszystkim od kobiety, od jej łagodności, pogodnego usposobienia, gotowości niesienia radości...

Z listu Marii Teresy do Marii Antoniny

Powiadano, że nad kołyską w dniu moich narodzin pojawiła się „wizja tronu i francuskiego kata”. Plotka ta zaczęła krążyć znacznie później, zgodnie z obyczajem szukania w przeszłości profetycznych znaków i symboli, zapowiadających rzekomo wydarzenia, o których wszyscy już słyszeli. Trudno natomiast zaprzeczyć, że urodziłam się w niewłaściwym momencie, ponieważ moja matka była wówczas znacznie bardziej zaabsorbowana groźbą wybuchu wojny siedmioletniej. Niemal natychmiast zajęła się więc sprawami wagi państwowej i nie sądzę, by poświęciła choćby jedną myśl swej nowo narodzonej córce. Zwłaszcza, że byłam jej piętnastym dzieckiem.

Z pewnością wolałaby chłopca, choć urodziła już czterech synów. Wszyscy władcy chcą mieć synów. A ja byłam jej ósmą żyjącą córką, bo trzy dziewczynki zmarły albo podczas porodu, albo w okresie niemowlęcym. Lubiłam słuchać opowieści o tym, jak się założyła ze starym księciem Tarouką o moją pleć. Stawiała na to, że nosi w łonie dziewczynkę. I Tarouka przegrał.

Jeszcze będąc w ciąży, postanowiła, że moimi rodzicami chrzestnymi zostaną król i królowa Portugalii. Wiele lat później tę decyzję uznano za kolejny zły omen, ponieważ w dniu moich narodzin Lizbonę zniszczyło straszne trzęsienie ziemi, podczas którego zginęło czterdzieści tysięcy ludzi. A jeszcze później, znacznie później, mówiono, że wszystkie dzieci urodzone tego dnia miały w życiu pecha.

A jednak niewielu księżniczkom było dane tak szczęśliwe dzieciństwo. Podczas długich słonecznych dni, które spędzałam w ogrodach pałacu Schönbrunn na zabawach ze swą siostrą Karoliną, żadna z nas nie zaprzętała sobie głowy rozmyślaniami o przyszłości; nigdy nie przyszło mi do głowy, że życie może wyglądać inaczej. Jako arcyksiężniczki, córki cesarzowej Austrii, zgodnie z tradycją musiałyśmy opuścić dom jeszcze jako dziewczęta, by wyjść za mąż za jakichś cudzoziemców. Naszych braci czekał całkiem inny los — zarówno Ferdynanda, który był starszy ode mnie i młodszy od Karoliny, jak i Maksymiliana, najmłodszego w rodzinie. Nic takiego im nie groziło. Mieli zostać w Austrii i tu sprowadzić swoje małżonki. Nie rozmawiałyśmy jednak o tym ani latem w Schönbrunn, ani zimą w Wiedniu. Byłyśmy szczęśliwymi, beztroskimi dziewczynkami i niepokoiłyśmy się tylko tym, która suczka pierwsza się oszczeni i jak będą wyglądały malutkie psiaki. Obie uwielbiałyśmy psy.

Musiałyśmy niestety odbywać lekcje, ale doskonale sobie radziłyśmy z Ają. Tak ją nazywałyśmy. Dla wszystkich innych była księżną von Brandeiss — na pozór surową i nieugiętą. Aja kochała nas jednak do szaleństwa, a my robiłyśmy z nią, co tylko chciałyśmy. Pamiętam, jak siedziałam w pokoju szkolnym i przepisywałam to, co przygotowała Aja, zerkając co chwila na ogród i wzdychając, że nie mogę tam już pójść. W moich zeszytach było pełno kleksów, a litery nigdy nie tworzyły prostych linii. Aja podchodziła do mnie i cmokając z dezaprobatą, narzekała, że nigdy się niczego nie nauczę i że w końcu zwolnią ją z tego powodu. A wtedy ja zarzucałam jej

ręce na szyję i mówiłam, zgodnie z prawdą, że bardzo ją kocham i że nigdy nie pozwolę, by została zwolniona, choć nie mogłabym nic poradzić, ponieważ decyzja mojej matki byłaby nieodwołalna. Aja natychmiast łagodniała i przytulała mnie serdecznie. Potem siadała obok i kreśliła ołówkiem litery o idealnym kształcie. Pozostawało mi więc tylko pociągnąć piórem po gotowych wzorach. I tak było zawsze. Z czasem Aja zaczęła nawet wymyślać za mnie wypracowania, a ja ograniczałam się do kopiowania ich piórem.

Mówiono na mnie Maria Antonina, a rodzina nazywała mnie po prostu Antoniną. Dopiero wtedy, gdy zapadła decyzja na temat mojego wyjazdu do Francji, zostałam Marie Antoinette. Musiałam zapomnieć, że jestem Austriaczką i stać się Francuzką.

Matka wyznaczała zawsze rytm naszego życia, choć rzadko ją widywaliśmy. Jej słowo było rozkazem. Wszyscy baliśmy się jej straszliwie.

Dobrze pamiętam, jaki chłód panował na zamku zimą, gdy wszystkie okna stały otworem, ponieważ matka uważała, że świeże powietrze ma zbawienne działanie. Po zamkowych komnatach i korytarzach hulał lodowaty wiatr. Nigdy w życiu nie marzłam tak strasznie, jak wtedy w wiedeńskim zamku. Pamiętam, jak użalałam się nad świtą matki, zwłaszcza nad jej nieszczęsną fryzjerką, która musiała wstawać o piątej, żeby uczesać cesarzową, stojąc tuż przy otwartym oknie. Zawsze podkreślała, że jest bardzo dumna z tego, iż cesarzowa ją właśnie wybrała na osobistą fryzjerkę. Mimo to zapytałam ją kiedyś — zawsze bowiem traktowałam służbę bardzo przyjaźnie — czy czasem tego nie żałuje.

— Och, księżniczko Antonino — odrzekła — to przecież wspaniała i zaszczytna niewola.

Nie ona jedna miała takie odczucia. Wszyscy musieliśmy podporządkowywać się matce bez szemrania, było to jednak właściwe i naturalne. Nikomu nie przyszło do głowy, że można by się jej sprzeciwić. Wszyscy wiedzieliśmy, że jest władczynią absolutną, ponieważ nasz dziadek Karol VI nie miał syna. Tytuł cesarza nosił wprawdzie nasz ojciec, ale on także we wszystkim się matce podporządkowywał.

Kochany ojciec! Jakże go uwielbiałam! Odziedziczyłam po nim niefrasobliwe i bez troskie usposobienie. Może dlatego zawsze byłam jego ulubienicą. Matka nikogo nie faworyzowała. Nie mogę powiedzieć, bym dobrze znała swoje najstarsze rodzeństwo, bo było nas szesnaścioro. Pięcioro jednak wcale nie poznałam, ponieważ zmarli, zanim pojawiłam się na świecie. Matka była z nas bardzo dumna i zawsze pokazywała nas zagranicznym gościom.

— Moja rodzina nie jest mała — mówiła, a jej ton zdradzał, że bardzo się z tego cieszy.

Raz w tygodniu lekarze kontrolowali nasz stan zdrowia, przesyłając matce sążniste raporty, które ona z kolei szczegółowo studiowała. W jej obecności zachowywaliśmy się grzecznie i nienaturalnie; musieliśmy odpowiadać jak należy na wszystkie pytania. Mnie, jako najmłodszej, było chyba najłatwiej; moje starsze rodzeństwo żyło jednak w ciągłym strachu; nawet najstarszy spośród nas, Józef, który urodził się całe czternaście lat wcześniej niż ja, i miał kiedyś zostać cesarzem. Wszyscy kłaniali mu się w pas i wtedy, gdy mojej matki nie było w pobliżu, traktowali go tak, jakby już był cesarzem. Gdy pewnego jesiennego dnia zapragnął przejechać się saniami, sprowadzono z gór dość śniegu, by mógł to uczynić. Był bardzo uparty i hardy. Ferdynand opowiadał mi nawet, że matka potępiała jego „niepohamowaną potrzebę stawiania na swoim”.

Przypuszczam, że ojciec też się jej bał. Zajmował się sprawami państwa tylko w niewielkim stopniu, za to często go widywaliśmy. Nie zawsze wyglądał na szczęśliwego. Kiedyś powiedział ze smutkiem:

— Na tym dworze liczą się tylko cesarzowa i dzieci. Ja jestem tu zwykłym poddanym.

Wiele lat później, gdy siedziałam całkiem samotna w więzieniu, rozmyślałam o swojej rodzinie i rozumiałam ją znacznie lepiej niż wtedy, gdy żyłam wśród nich. Czułam się tak, jakbym stała przed obrazem i mogła ujrzeć go we właściwej perspektywie. Mogłam skoncentrować się na

szczegółach i sprawy, których w dzieciństwie nie byłam nawet świadoma, ukazywały mi się nagle w jasnym świetle.

Dopiero wtedy zobaczyłam w swej matce dobrą kobietę, pragnącą tego co najlepsze dla swoich dzieci i dla swojej ojczyzny. Kobietę, która szczerze kochała swego męża, choć nie zamierzała dzielić się z nim władzą. Przestałam widzieć w niej pedantkę, której bałam się za bardzo, by mocją kochać, ujrzałam natomiast mądrą, przewidującą matkę, która nieustannie się o mnie troszczyła. Jakże musiała cierpieć, gdy wyjechałam do obcego kraju! Zachowywałam się jak dziecko, chodzące po linie, całkiem nieświadome niebezpieczeństwa, podczas gdy ona, choć była daleko ode mnie, wszystko aż za dobrze rozumiała.

A co do ojca, to jak można oczekiwać, że mężczyzna będzie zadowolony, żyjąc w cieniu takiej kobiety! Dziś wiem, że szept, jakie od czasu do czasu słyszałam, oznaczały, że ojciec zdradza cesarżową, raniąc ją w ten sposób głęboko. Matka gotowa była wiele dla niego uczynić, nie mogła mu jednak dać tego, czego naprawdę pragnął — nie mogła podzielić się z nim władzą.

Mnie natomiast wszyscy uważali za trzpiotkę. Taka już byłam z natury: bardzo żywa, zdrowa jak rydz. Uwielbiałam hasać po ogrodzie, uwielbiałam się bawić. Nie potrafiłam usiedzieć w spokoju nawet pięciu minut. Nie umiałam się skoncentrować i zawsze przeskakiwałam z tematu na temat. Chciałam tylko się bawić, śmiać i plotkować. Gdy dziś wspominam tamte czasy, widzę, ile dramatów rozgrywało się w naszym domu, podczas gdy ja, nieświadoma niczego, bawiłam się z psami i szeptałam po kątach z Karoliną.

Musiałam mieć siedem lat, gdy ożenił się mój brat, Józef, który skończył wówczas dwadzieścia jeden. Wcale nie chciał się żenić i powiedział: „Obawiam się małżeństwa znacznie bardziej niż wojny”.

Pamiętam, jak mnie to zaskoczyło, bo nie widziałam w małżeństwie niczego niebezpiecznego. Słów Józefa słuchałam jednym uchem, tylko po to, by zaraz wypuścić je drugim. Nigdy się o nic szczególnie nie martwiłam, nic nie budziło mego wielkiego zdziwienia. Interesowałam się przede wszystkim tym, jaką kokardę zawiąże mi dziś Aja i czy zdołam nakłonić Karolinę do zamiany, jeśli nie spodoba mi się kolor.

Dopiero dziś rozumiem cały dramat naszego brata. Jego narzeczona była najpiękniejszą istotą pod słońcem. Wszyscy mieliśmy jasne włosy, a ona była brunetką. Matka kochała Izabelę i, zdaniem Karoliny, pragnęła, byśmy i my ją pokochali. Niewykluczone, iż kochała ją dlatego, że Izabela była nie tylko piękna, ale i mądra, czego nie dałoby się powiedzieć o żadnej z nas. Najbardziej różniła się od nas jednak pod innym względem. Otóż Izabela żyła pogrążona w wiecznej melancholii. Ja byłam bez wątpienia zbyt beztroska, na pewno przeczytałam za mało książek, ale za to umiałam cieszyć się życiem. Ona zaś, choć tak wykształcona, tego nie potrafiła. Śmiała się tylko w towarzystwie naszej siostry Marii Krystyny, młodszej o rok od Józefa.

Izabela schodziła do ogrodu tylko wtedy, gdy była tam Maria Krystyna; spacerowały wówczas, trzymając się pod rękę, i Izabela wyglądała tak, jakby była prawie szczęśliwa. Cieszyłam się, że pokochała kogoś z naszej rodziny, żalowałam jednak, że nie wybrała Józefa, bo on zupełnie stracił dla niej głowę.

Wszyscy bardzo się cieszyli, gdy Izabela spodziewała się dziecka. Małeństwo, które powiła, było jednak słabowite i długo nie pożyło. Straciła w ten sposób dwoje dzieci.

Obie z Karoliną byłyśmy zbyt zajęte swoimi sprawami, żeby rozmyślać nad losem Józefa. Zauważyłam jednak, że był wiecznie smutny i musiało to na mnie zrobić spore wrażenie, skoro dziś tak dobrze to sobie przypominam. Przeżywał wszak wielką tragedię! A ja żyłam obok jak gdyby nigdy nic.

Izabela ciągle mówiła o śmierci i o tym, że bardzo jej pragnie. Budziło to moje niepomierne zdziwienie. Umierali przecież tylko ludzie starzy i niemowlęta, których nie zdążyliśmy nawet poznać. Nas śmierć w żadnym stopniu nie dotyczyła.

Kiedyś zza przystrzyżonego żywoplotu usłyszałyśmy rozmowę bratowej z Marią Krystyną.

— Cóż świata po mnie? — mówiła Izabela. — Nie jestem dobra. Popełniłabym samobójstwo, gdyby to nie był grzech. Dawno powinnam już to zrobić.

Maria Krystyna się roześmiała. Dla nas nigdy nie była miła i jeśli w ogóle raczyła nas zauważyć, mówiła coś nieprzyjemnego. Unikałyśmy więc jej dość starannie.

— Zdaje się, że pozujesz na bohaterkę — odparła wtedy. — To skrajny egoizm — dodała i poszła sobie, zostawiając zaskoczoną Izabelę.

Zastanawiałam się nad tą sceną przez całe pięć minut, czyli bardzo długo jak na mnie.

Izabela rzeczywiście umarła, zgodnie ze swoim życzeniem. Spędziła w Wiedniu zaledwie dwa lata. Biednemu Józefowi omal serce nie pękło. Wciąż pisał listy do Parmy, do ojca zmarłej żony, o tym, jaka była cudowna i wyjątkowa.

— Straciłem wszystko — zwierzył się Leopoldowi. — Moja najdroższa żona... moja ukochana... odeszła. Jakże ja to zniosę?

Pewnego dnia zobaczyłam Józefa w towarzystwie Marii Krystyny. Jej oczy ciskały nienawistne błyskawice, gdy mówiła:

— To prawda. Pokażę ci jej listy. I wtedy dowiesz się wszystkiego, co chcesz wiedzieć. Zobaczysz, że to mnie, a nie ciebie kochała.

Dopiero teraz to wszystko rozumiem. Biedny Józef! Biedna Izabela! Teraz rozumiem, dlaczego była taka smutna i dlaczego pragnęła śmierci, wstydząc się miłości, której nie potrafiła się wyrzec. A mściwa Maria Krystyna zdradziła ją przed Józefem.

Pochłonięta własnymi sprawami, patrzyłam wówczas na tę tragedię jak przez zamglone okulary. Dopiero po latach, gdy własne nieszczęścia uczyniły mnie innym człowiekiem, zaczęłam rozumieć i współczuć tym, którzy cierpią. I opowiadam o cudzym cierpieniu, bo nie potrafię znieść myśli o własnym.

Józef oplakiwał Izabelę jeszcze przez jakiś czas, ale ponieważ był najstarszy i najważniejszy z nas wszystkich, musiał się ponownie ożenić. Rozgniewał się, gdy matka wraz z księciem Wenzlem Antonem Kaunitzem wybrała mu nową narzeczoną, i kiedy biedna dziewczyna przyjechała do Wiednia, prawie się do niej nie odzywał. W niczym nie przypominała Izabeli: niewysoka, korpulentna, miała nierówne, żółte zęby i czerwone plamy na twarzy. Józef zwierzył się Leopoldowi, do którego miał największe zaufanie, że nie czuje się z nią szczęśliwy i nie zamierza udawać, że jest inaczej, bo stałoby to w sprzeczności z jego naturą. Józefina, tak bowiem miała na imię, była z pewnością równie nieszczęśliwa, ponieważ mój brat kazał wznieść ściankę na balkonie, który łączył ich apartamenty, żeby nigdy nie natknąć się przypadkiem na żonę.

— Na miejscu żony Józefa powiesiłabym się na drzewie w ogrodzie Schönbrunn — mówiła Maria Krystyna.

* * *

Kiedy skończyłam dziesięć lat, wydarzyła się tragedia, którą nawet ja zauważyłam, jako że dotknęła mnie boleśnie.

Leopold planował małżeństwo. Ani Karolina, ani ja zupełnie się tym nie przejmowałyśmy, ponieważ w naszej licznej rodzinie wciąż odbywały się jakieś śluby, a my interesowałyśmy się tylko tymi, które celebrowano w Wiedniu. Leopold natomiast miał wziąć ślub w Innsbrucku.

Ojciec wybierał się na tę uroczystość, matkę natomiast zatrzymały w Wiedniu sprawy wagi państwowej.

Biedziłam się właśnie nad jakimś rysunkiem, gdy do szkolnej komnaty wszedł jeden z lokajów cesarza, mówiąc, że ojciec chce się ze mną pożegnać. Zdziwiłam się ogromnie, gdyż nie dalej jak pół godziny wcześniej machałam mu chusteczką, gdy odjeżdżał wraz ze swą swiłą.

Aja nie kryła zdenerwowania.

— Coś się musiało wydarzyć — powiedziała. — Proszę iść prędko, księżniczko.

Tak też uczyniłam. Ojciec siedział na koniu, spoglądając na pałac i bardzo się ucieszył na mój widok. Nie zsiadł, ale uniósł mnie do góry i uściśnął tak mocno, że skrzywiłam się z bólu. Widziałam, że chce coś powiedzieć, lecz brakuje mu słów, czułam, że nie chce się ze mną rozstać. Przyszło mi nawet do głowy, że zamierza mnie zabrać ze sobą, od razu uświadomiłam sobie jednak, że to niemożliwe, bo matka zorganizowałaby wszystko całkiem inaczej, gdybym miała mu towarzyszyć.

Ojciec spojrzał na mnie czule. Zarzuciłam mu ręce na szyję i zawołałam:

— Papo! Kochany, kochany papo!

W jego oczach zabłyśły łzy. Objął mnie prawym ramieniem, a lewą dłonią pogłaskał po głowie. Zawsze lubił dotykać moich włosów, które były gęste i lśniące. Kasztanowate. Choć moi bracia, Ferdynand i Maks wołali na mnie „Marchewka”. W pewnej chwili ojciec nagle dał znak któremuś ze służących, by zdjęto mnie z konia.

Obrócił się do swoich towarzyszy i powiedział drżącym z emocji głosem:

— Panowie, tylko Bóg wie, jak bardzo pragnęłam ucałować to dziecko na pożegnanie.

I to wszystko. Uśmiechnął się, a ja wróciłam do szkolnej komnaty i po paru minutach zapomniałam o całym wydarzeniu.

Wkrótce okazało się, że to było nasze ostatnie spotkanie. W Innsbrucku ojciec poczuł się źle. Przyjaciele błagali, by pozwolił lekarzowi puścić sobie krew, ale ojciec umówił się na wieczór z Leopoldem do opery i wiedział, że w wypadku jakichkolwiek medycznych zabiegów musiałby pozostać w łóżku, rozczarowując tym samym syna, który, jak my wszyscy, bardzo go kochał.

Poszedł więc do opery i zmarł na atak serca na rękach Leopolda.

Później wszyscy opowiadali, że przed śmiercią miał przeczucie, jak straszny los mnie czeka i dlatego kazał po mnie posłać.

Po jego śmierci byliśmy pogrążeni w głębokim smutku. Ja chodziłam strapiona przez kilka tygodni, ale potem zaczęło mi się wydawać, że nigdy ojca nie znałam. Ale matka nie mogła się z tym pogodzić. Gdy przywieziono ciało do domu, trzeba ją było siłą od niego odrywać. Potem zamknęła się na cztery spusty w swoich apartamentach i rozpaczała tak bardzo, że lekarze musieli jej otworzyć jedną z żył, by opanować te straszne emocje. Obcięła włosy, choć była z nich taka dumna, i nosiła wdowie szaty, w których wyglądała jeszcze surowiej niż zwykle. Od tej pory już zawsze tak się ubierała.

Po śmierci papy matka zaczęła zwracać na mnie większą uwagę. Przedtem traktowała mnie jak wszystkich wokół, teraz jednak częściej czułam na sobie jej spojrzenie. Trochę mnie to przeraziło, ale szybko się zorientowałam, że matka łagodnieje, gdy się do niej uśmiecham, podobnie jak Aja, choć nie tak szybko. Ma się rozumieć, że często korzystałam z tego daru, by ukryć swoje przewinienia.

Jakiś czas po śmierci ojca na dworze zaczęto mówić o francuskim mariażu. Kurierzy kursowali nieustannie między moją matką, Kaunitzem i naszym ambasadorem we Francji.

Kaunitz był najważniejszym człowiekiem w Austrii. Chuchał na siebie i dmuchał, ale trzeba przyznać, że był najbardziej błyskotliwym politykiem w Europie. Matka bardzo go ceniła i ufała mu bardziej niż komukolwiek. Zanim został jej głównym doradcą, pełnił funkcję ambasadora w

Wersalu, gdzie zaprzyjaźnił się ogromnie z madame Pompadour, a tym samym wkradł się w łaski francuskiego króla. Już wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, by związać Austrię i Francję za pomocą mariażu między domami Habsburgów i Burbonów. Nawet po wyjeździe z Paryża zachował francuskie maniery i francuski szyk, przez co uchodził w Austrii za ekscentryka. W gruncie rzeczy pozostał jednak Niemcem z krwi i kości — opanowanym, zdyscyplinowanym i precyzyjnym. Ferdynand opowiadał, że Kaunitz smarował sobie twarz żółtkiem, by zachować świeżą cerę, i dbał o zęby, szorując je gąbką po każdym posiłku, przy stole. Tak bardzo mu zależało na tym, by jego peruka była przypudrowana symetrycznie z obu stron, że kazał lokajom ustawiać się w dwuszeregu, sam zaś przechadzał się między nimi, podczas gdy pompowali puder specjalnymi miechami. Był oczywiście cały obsypany pudrem, ale za to miał pewność, że peruka jest w nienagannym stanie.

Śmiałyśmy się z niego bardzo często. Nie miałam pojęcia, że wówczas gdy my wyśmiewaliśmy jego dziwne obyczaje, on podejmował decyzje, od których zależała moja przyszłość.

Karolina pierwsza się zorientowała, że najprawdopodobniej któraś z nas zostanie żoną króla Francji. Zaśmiewaliśmy się do łez, bo król Francji miał niemal sześćdziesiąt lat, co oznaczało, że jedna z nas wyjdzie za mąż za człowieka starszego od naszej matki. Kiedy zaś zmarł francuski delfin i następcą tronu został jego syn, emocjonowałyśmy się jeszcze bardziej, bo ten nowy delfin był chłopcem zaledwie rok starszym ode mnie.

Zdarzało się, że zapominaliśmy o francuskiej kwestii na całe tygodnie, ale jednocześnie z miesiąca na miesiąc doroślałyśmy. Ferdynand próbował nawet rozmawiać z nami poważnie na temat korzyści, jakie przyniosłoby Austrii małżeństwo między Habsburgami i Burbonami.

Wdowa po zmarłym przedwcześnie delfinie, która cieszyła się wielkimi względami króla, była bardzo przeciwna tej idei i chciała zaaranżować małżeństwo syna z księżniczką ze swego rodu. Zgasła jednak niespodziewanie na suchoty, których nabawiła się, pielęgnując chorego męża. Nie muszę wspominać, jak bardzo to uradowało moją matkę.

Biedna, nieszczęśliwa żona Józefa zmarła na ospę, a w ślad za nią, z tego samego powodu, do grobu poszła moja starsza o cztery lata siostra, Maria Józefina. Miała właśnie wyruszyć do Neapolu, by poślubić tamtejszego króla. Matka uznała, że alians z Neapolem jest nam bardzo potrzebny i nową narzeczoną włoskiego króla została Karolina.

To była największa tragedia mego dzieciństwa, bo choć kochałam ojca i jego śmierć wprawiła mnie w wielki smutek, to przecież Karolina była moją nieodłączną towarzyszką i nie mogłam sobie wyobrazić życia bez niej. Karolina zaś, która wszystko przeżywała w dwójnasób, nie posiadała się z rozpacz.

Miałam wówczas dwanaście lat, a ona — piętnaście. Gdy została przeznaczona królowi Neapolu, matka doszła do wniosku, że najwyższy czas oswojać mnie z myślą o wyjeździe do Francji. Oświadczyła, że od tej pory nie należy mnie nazywać Antoniną. Miałam zostać Marie Antoinette. Od razu poczułam się, jakbym była kimś innym. Musiałam zjawiać się w salonach matki i odpowiadać na pytania jakichś obcych ludzi. Nie wolno mi było się pomylić i zawsze mnie do tego starannie przygotowywano, ale i tak szybko o wszystkim zapomniałam.

Skończyło się moje przyjemne życie. Znalazłam się w centrum uwagi, wszyscy o mnie mówili. Nie posiadałam się ze zdumienia, gdy odkryłam, że matka i jej ministrowie przedstawiali mnie jak kogoś, kim nie byłam — opisywali mnie taką, jaką powinnam się stać, taką, jaką chcieli mnie widzieć Francuzi. Ze zdumieniem słuchałam historii o mojej dobroci, o moim wdzięku i mądrości.

Kiedyś, gdy byłam jeszcze młodsza, na dworze zjawił się Mozart. Był wówczas genialnym dzieckiem i cieszył się względami cesarzowej. Gdy przyszedł na królewskie salony, by coś zagrać, poślizgnął się i przewrócił. Wszyscy zaczęli się śmiać. Ja zaś podbiegłam do niego, żeby się upewnić, czy nic mu się nie stało i szepnęłam mu do ucha, żeby się nie przejmował. Potem

zostaliśmy przyjaciółmi i grywał specjalnie dla mnie. Kiedyś powiedział, że chciałby się ze mną ożenić, a ja przyjąłem tę propozycję, uznając, że to byłoby bardzo miłe. Francuscy goście usłyszeli między innymi tę anegdotkę.

Pewnego dnia matka powiedziała, że najprawdopodobniej francuski ambasador zada mi kilka pytań podczas przyjęcia. Gdyby zapytał mnie, jakim krajem pragnęłabym rządzić, powinnam odpowiedzieć: „Francją”, gdyby zaś dociekał powodów, miałam oświadczyć: „Dlatego, że królował tam Henryk IV, zwany Dobrym i Ludwik XIV zwany Wielkim”. Nauczyłam się tego na pamięć, ale cały czas się obawiałam, że coś pokręcę, bo przecież nie miałam pojęcia, kim byli ci dwaj. Udało mi się jednak odpowiedzieć bezbłędnie i tę anegdotkę także dodano do zbioru historyjek na mój temat. Miałam uczyć się historii Francji, szlifować francuski, miałam zacząć nowe życie.

Karolina natomiast ciągle szlochała i nie była już taką miłą towarzyszką zabaw jak przedtem. Myśl o małżeństwie przerażała ją ogromnie. Moja siostra była przekonana, że znienawidzi króla Neapolu.

Matka przyszła kiedyś do szkolnego pokoju i upomniała ją bardzo surowo.

— Nie jesteś już dzieckiem — powiedziała — a słyszałam, że nie potrafisz nad sobą zapanować.

Chciałam wytłumaczyć, że Karolina nie panuje nad sobą tylko dlatego, że się boi, ale wiedziałam, że matka i tak tego nie zrozumie.

Wtedy cesarzowa spojrzała na mnie.

— Zamierzam rozdzielić was, moje panny. Spędzacie stanowczo zbyt wiele czasu na głupich plotkach. Pora z tym skończyć. Natychmiast. Uprzedzam, że od tej pory ktoś będzie miał was na oku i ty, Karolino, jako starsza, poniesiesz odpowiedzialność za wszystko.

Matka odesłała mnie, sama zaś pouczała dalej Karolinę, jak należy się zachowywać.

Wysłałam z komnaty z ciężkim sercem. Wiedziałam, że bardzo mi będzie brakować ulubionej siostry. O dziwo, nie zastanawiałam się nad własnym losem. Francja leżała tak daleko i wydawała mi się nierealna — wołałam więc, jak zwykle, zapomnieć o tym, co nie zapowiadało się przyjemnie.

Gdy Karolina wyjeżdżała, była blada, milcząca i wcale nie przypominała mojej wesołej siostrzyczki. Józef, który jej towarzyszył, chyba jej bardzo współczuł; Józef miał zresztą wiele pozytywnych cech, choć na co dzień zachowywał się tak wyniośle i pompatycznie.

Kłopotów przysparzała matce jeszcze jedna z moich sióstr, Maria Amalia, starsza ode mnie o dziewięć lat. Obie z Karoliną wiedziałyśmy od dawna, że Amalia kocha się w księciu Zweibrücken i że nie traci nadziei na małżeństwo z tym młodzieńcem, choć powinna była doskonale wiedzieć, że wszystkim nam przyjdzie poślubić władców innych państw — ze względu na austriacką rację stanu. Maria Amalia była jednak do mnie podobna i wierzyła w to, w co chciała wierzyć. Dlatego nie rozstawała się z myślą o poślubieniu księcia Zweibrücken.

Strach Karoliny okazał się całkiem usprawiedliwiony. Była bardzo nieszczęśliwa w Neapolu. Z jej listów dowiedzieliśmy się, że mąż mojej siostry jest szkaradny, ale Karolina, pomna matczynych przykazań, stara się być dzielna i powoli przyzwyczajają się do niego. W liście do księżnej von Lerchenfeld, która pomagała naszej guwernantce w obowiązkach, napisała:

Gdy człowiek, który się poświęca, musi udawać, że jest szczęśliwy, cierpi jeszcze bardziej. Jakże mi żal Antoinette, która także będzie musiała tego doświadczyć. Wolalabym umrzeć, niż przeżyć to jeszcze raz. Gdyby nie przykazania mojej religii, popełnilabym samobójstwo zamiast żyć tak, jak żyję od ośmiu dni. Czułam się, jakbym trafiła do piekła i chciałam umrzeć. Będę oplakiwać moją małą siostrzyczkę, gdy nadejdzie jej kolej.

Księżna wcale nie zamierzała mi tego pokazywać, ale błagałam ją tak długo, aż wreszcie ustąpiła. A gdy już przeczytałam list Karoliny, gorzko tego pożałowałam. Czy małżeństwo naprawdę jest takie straszne? Moja szwagierka, Izabela, też dużo mówiła o samobójstwie. Ja kochałam życie tak bardzo, że nie potrafiłam sobie wyobrazić takiego stanu; zastanowiło mnie wszakże to, że obie, bardziej niż ja doświadczone, mówiły to samo.

Myślałam o liście Karoliny przez parę godzin, później jednak i o tym zapomniałam. Prawdopodobnie dlatego, że matka okazywała mi coraz więcej zainteresowania.

Zaglądała do szkolnej komnaty, by kontrolować moje postępy w nauce i przeraziła się nie na żarty, gdy się okazało, jak niewiele umiem. Mój charakter pisma pozostawiał bardzo wiele do życzenia. Po francusku mówiłam beznadziejnie, choć potrafiłabym poprowadzić rozmowę po włosku. W gruncie rzeczy nie umiałam nawet napisać poprawnego gramatycznie zdania po niemiecku.

Matka nie rozgniewała się na mnie, widać było jednak, że to odkrycie sprawiło jej wielki ból. Przygarnęła mnie do siebie, objęła ramieniem i zaczęła tłumaczyć, jak wielki zaszczyt ma mnie spotkać. Byłoby cudownie, gdyby plany snute przez księcia von Kaunitz i księcia de Choiseul się ziściły. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o księciu de Choiseul i zapytałam matkę, kim on jest. Dowiedziałam się, że to błyskotliwy mąż stanu, doradca króla Francji, a przede wszystkim, prawdziwy przyjaciel Austrii. Tak wiele od niego zależy, że nie wolno nam w żaden sposób go urazić. Lepiej się nie zastanawiać, co powiedziałby książę de Choiseul, gdyby się dowiedział, jaką jestem ignorantką. Najprawdopodobniej cały misterny plan ległby w gruzach.

Matka spojrzała na mnie tak surowo, że popadłam w ogromne przygnębienie. Przytłoczył mnie ciężar wielkiej odpowiedzialności; po chwili jednak uśmiechnęłam się od ucha do ucha, nie mogłam bowiem uwierzyć, że jestem aż tak ważna. Roześmiałam się i spostrzegłam, że i matka z trudem powstrzymuje się od uśmiechu, objęłam ją więc za szyję i powiedziałam, że pan de Choiseul z pewnością nie będzie miał mi za złe mojej ignorancji.

Matka przytuliła mnie mocno, ale gdy się odsunęła, znów miała bardzo surowy wyraz twarzy. Opowiedziała mi o potężnym Królu Słońce, który kazał wybudować pałac w Wersalu, największy pałac na świecie, mówiła o tym, jak elegancki jest francuski dwór i jak bardzo powinnam się cieszyć, że właśnie ja będę mogła tam pojechać. Przez chwilę słuchałam jej opowieści o wersalskich ogrodach i salonach tak pięknych, jakich nie mieliśmy w Wiedniu, ale po chwili kiwałam już tylko głową i uśmiechałam się, choć przestałam słuchać. Oprzytomniałam dopiero wtedy, gdy usłyszałam, że moje guwernantki nie stanęły na wysokości zadania i wobec tego trzeba będzie zatrudnić nowych nauczycieli. Matka życzyła sobie bowiem, żebym w ciągu paru miesięcy mówiła po francusku i myślała po francusku, jakbym była prawdziwą Francuzką.

— Ale nigdy nie zapominaj, że jesteś dobrą Niemką. Pokiwałam głową z uśmiechem.

— Musisz jednak mówić po francusku bezbłędnie. Pan de Choiseul pisze, że król ma bardzo wrażliwe ucho i że powinnaś mówić w sposób dystyngowany, z jak najlepszym akcentem. Rozumiesz?

— Tak, mamó.

— Będziesz musiała naprawdę ciężko pracować.

— O, tak, mamó.

— Antoinette, czy ty mnie słuchasz?

— O, tak, mamó. — Uśmiechnęłam się promiennie na znak, że słucham każdego jej słowa i nad każdym głęboko się zastanawiam. Matka westchnęła. Wiedziałam, że troszczy się o mnie, dla mnie nie była jednak tak surowa jak dla Karoliny.

— W Wiedniu przebywa właśnie francuska trupa teatralna. Zgodnie z moim rozkazem zjawi się tu dwóch aktorów, którzy będą cię uczyć francuskiej wymowy oraz francuskich obyczajów.

— Aktorzy! — wykrzyknęłam radośnie, przypominając sobie, jak dobrze się bawiłam zimą w Hofburgu, gdy moi starsi bracia i siostry grywali w sztukach, tańczyli w balecie i śpiewali arie operowe. Karolina, Ferdynand, Maks i ja mogliśmy tylko patrzeć, bo byliśmy za mali, by występować. A ja tak bardzo o tym marzyłam! Gdy tylko nadarzała się okazja, wskakiwałam na scenę i tańczyłam, póki ktoś nie krzyknął: „Uciekaj stąd, Antonino! Jesteś za mała, by występować na scenie. Możesz tylko patrzeć”. Podczas sekwencji baletowych trudno mi było usiedzieć na widowni. Kochałam taniec nade wszystko. Bardzo się więc ucieszyłam, gdy matka powiedziała mi o aktorach.

— Oni nie będą się z tobą bawić, Antoinette — oświadczyła jednak surowo. — Mają cię uczyć francuskiego. Musisz się przykładać do nauki. Pan Aufresne będzie pracował nad twoim akcentem, a pan Sainville nauczy cię śpiewać po francusku.

— Tak, mamó. — Myślami byłam jednak daleko, w naszym dworskim amatorskim teatrze, w którym Maria Krystyna złościła się bardzo, gdy nie grała głównej roli, a Maria Amalia nie spuszczała wzroku z księcia Zweibrücken, wygłaszając swoje kwestie. Oboje z Maksem skakaliśmy wówczas po fotelach z radości.

— A pan Noverre będzie uczył cię tańca.

— Och... mamó!

— Nigdy o nim nie słyszałaś, ale to najlepszy nauczyciel tańca w Europie.

— Będę go uwielbiać! — wykrzyknęłam.

— Nie powinnaś zachowywać się tak impulsywnie, moje dziecko. Pomyśl, zanim coś powiesz. Nie należy uwielbiać swoich nauczycieli tańca. Powinnaś jednak być wdzięczna, że zajmie się tobą najlepszy nauczyciel tańca w Europie. A przede wszystkim musisz stosować się do jego poleceń.

Nadeszły szczęśliwe czasy. Przestałam zastanawiać się nad losem biednej Karoliny zesłanej do Neapolu, nie interesowałam się kolejnym rodzinnym kryzysem, który nastąpił, gdy Maria Amalia musiała wyjechać do Parmy, by poślubić brata zmarłej Izabeli. Ona miała wówczas dwadzieścia trzy lata, a jej narzeczony był czternastoletnim chłopcem. Maria Amalia musiała pożegnać się z księciem Zweibrücken. Nie była jednak tak potulna jak Karolina; złościła się i buntowała. Wydawało mi się nawet, że zrobi to, czego nie ośmielił się zrobić nikt przedtem — przeciwstawi się matce. Wyjechała jednak do Parmy, bo tego wymagał interes cesarstwa. Dla dobra Austrii pełna temperamentu Maria Amalia została żoną czternastoletniego chłopca, a piętnastoletnia Karolina cierpiała u boku starca w Neapolu.

Pochłonięta nowym życiem nie miałam jednak czasu, by myśleć o czym innym niż to, czego ode mnie oczekiwano. Matka popadła w czarną rozpacz, gdy okazało się, że nie potrafię się uczyć. Aktorzy nie zdołali mnie do tego zmusić. Gdy mówiłam po francusku, uśmiechali się łagodnie i chwalili: „To doprawdy czarujące, księżniczko. To wprawdzie nie jest francuski, ale mówi pani w sposób czarujący!”. Wówczas śmialiśmy się wszyscy razem, nie mogąc więc powiedzieć, że te lekcje były nieprzyjemne. Najlepiej się jednak bawiłam podczas lekcji tańca. Pan Noverre był mną zachwycony. Z łatwością uczyłam się nowych kroków, a on wychwalał mnie pod niebiosa. Gdy od czasu do czasu się myliłam, zatrzymywał mnie i krzyczał: „Świetnie. Niech tak zostanie. Tak jest znacznie lepiej”. Wszyscy moi nauczyciele byli tacy mili. Obsypywali mnie komplementami, nigdy nie łajali, doszłam więc do wniosku, że Francuzi to najsympatyczniejszy naród na świecie.

Moje szczęście nie trwało jednak długo. Markiz de Durfort, francuski ambasador na wiedeńskim dworze, informował Wersal o wszystkich moich poczynaniach, wkrótce więc pan de Choiseul dowiedział się, że uczą mnie francuskiego dwaj aktorzy. Następczyni francuskiego tronu uczennicą komedianów! To nie do pomyślenia. Pan de Choiseul osobiście zatroszczył się o to, by

natychmiast przysłano mi odpowiedniego nauczyciela, a moi aktorzy zniknęli z dnia na dzień. Przez pewien czas było mi nawet przykro, zaczęłam się już jednak przyzwyczajać do tego, że ludzie, z którymi się zaprzyjaźniam, ciągle znikają.

Matka posłała po mnie i oznajmiła, że pan de Choiseul wyszukał mi nowego nauczyciela. Muszę więc zapomnieć o poprzednich i nigdy o nich nie wspominać. Spotkał mnie zresztą wielki zaszczyt, gdyż sam biskup Orleanu znalazł mi guwernera, ojca Vermonda.

Skrzywiłam się, przeczuwając, że ten ojciec Vermond będzie całkiem inny niż moi weseli aktorzy. Matka udała, że nie widzi mojej miny i wygłosiła kolejne kazanie na temat tego, że muszę poznać język i obyczaje mojej nowej ojczyzny. Nie mogę powiedzieć, bym z niecierpliwością oczekiwała na przyjazd ojca Vermonda.

Niepotrzebnie się jednak martwiłam, bo gdy go tylko ujrzałam, już wiedziałam, że zdołam go bez trudu oblaskawić, podobnie jak niegdyś nasze guwernantki. Za młodu potrafiłam ocenić ludzki charakter na pierwszy rzut oka. Nie chcę przez to powiedzieć, że umiałam wnikać głęboko w motywy ludzi, którzy mnie otaczali. Gdybym posiadała taki talent, uniknęłabym wielu kłopotów. Potrafiłam jednak rozbroić niemal każdego (sądzę, że byłabym niezłą aktorką) i dzięki temu doskonale radziłam sobie z ludźmi. Większość mego rodzeństwa przewyższała mnie zdolnościami i intelektem, ale nikt oprócz mnie nie umiał wpłynąć na zmianę nastroju matki. Najprawdopodobniej zawdzięczałam to swej infantylności i niewinności. Choć zapewne mój wygląd nie był bez znaczenia. Byłam drobna i wiotka, francuski ambasador, który opisywał mnie i charakteryzował w listach do Wersalu, nazywał mnie „filigranową kruszyną”. Sądzę jednak, że nie tylko wygląd liczył się w trudnych sytuacjach. Wydaje mi się, że umiałam, w sposób powierzchowny, oczywiście, ocenić czyjś charakter i dzięki temu wiedziałam, na co mogę sobie pozwolić. Gdy tylko zobaczyłam ojca Vermonda, odetchnęłam z ulgą.

Vermond był człowiekiem wykształconym, wiedziałam więc, że zaskoczy go moja ignorancja. I tak się stało. Moje umiejętności były przecież żałosne. Mówiłam po włosku i po francusku dość kiepsko, posiłkując się często niemieckimi frazami; charakter mego pisma pozostawiał wiele do życzenia; bardzo niewiele wiedziałam o historii Francji, o literaturze francuskiej nie miałam żadnego pojęcia, choć pan de Choiseul twierdził, że bez tego się nie obejdzie. Umiałam za to całkiem niezłe śpiewać; uwielbiałam muzykę. No i tańczyłam *comme un ange*, jak mawiał Noverre. Intuicja arcyksiężniczki podpowiadała mi bezbłędnie, z kim powinnam zamienić parę słów w salonie mojej matki, komu zaś wystarczy skinąć głową. W zaciszu własnego apartamentu spoufalalam się może za bardzo ze służbą i z wielką przyjemnością bawiłam się z ich dziećmi. Uwielbiałam bowiem dzieci. Gdy Karolina pisała, że małżeństwo to coś okropnego, przypominałam jej, że dzięki małżeństwu można mieć dzieci. A to wystarczający powód, by znieść trochę niedogodności. Traktowałam służących znacznie przyjaźniej niż reszta mojej rodziny, nie zdarzyło się jednak, by ktokolwiek to wykorzystał, ponieważ moja królewska postawa budziła w naturalny sposób szacunek. Podejrzewam, że matka doskonale o tym wiedziała i dlatego nigdy nie interweniowała.

Ojciec Vermond nie był przystojnym mężczyzną. Wówczas wydawał mi się bardzo stary, choć dziś wiem, że był człowiekiem w średnim wieku. Przedtem pełnił funkcję bibliotekarza w Kolegium Czterech Narodów i szybko się zorientowałam, że nowe zadanie bardzo go uradowało. Przeczuwał bez wątpienia, że będę bardzo ważną osobą. Miał się zająć edukacją przyszłej delfiny, która wkrótce mogła zostać królową Francji, czyli jedną z najważniejszych kobiet świata. Wiedziałam, że to nie to samo, co być austriacką arcyksiężniczką i na samą myśl o przyszłości ogarniał mnie wielki niepokój. Zgodnie ze swą naturą wolałam więc o tym nie myśleć.

Vermond, choć zaskoczony moją ignorancją, starał się za wszelką cenę sprawić mi przyjemność. Aktorzy i mój tanecznik zabiegali o moje względy, ponieważ widzieli we mnie

atrakcyjną dziewczynę. Ojciec Vermond robił to samo dlatego, że pewnego dnia miałam zostać królową Francji. Intuicja podpowiadała mi, że to wielka różnica.

Szybko się okazało, że mój nauczyciel nie był przyzwyczajony do pałacowego życia i choć ani Schönbrunn, ani Hofburg nie mogły się równać z Wersalem, to w jego oczach były pełne wspaniałości. Wychował się w niewielkiej wiosce, w rodzinie okręgowego lekarza. Został księdzem i nigdy nie zaszedłby tak wysoko, gdyby nie protekcja arcybiskupa Orleanu.

Świadomość, że ojciec Vermond pragnie, bym była zadowolona, sprawiała, że lekcje stały się całkiem przyjemne. Nigdy nie siedzieliśmy nad książkami dłużej niż godzinę, bo mój nauczyciel wiedział doskonale, jak szybko ogarniają mnie nuda i irytacja. Gdy wiele lat później rozmawiałam o Vermondzie z panią Campan, która była nie tylko moją damą dworu, ale i przyjaciółką, dowiedziałam się, że ten człowiek popełnił wówczas niewybaczalny błąd. Trzeba jednak pamiętać, że nigdy go nie lubiła i dlatego obarczała częścią winy za to, co się nam przydarzyło. Utrzymywała, że nie powinien był pozwalać mi odrywać się od książek i śmiać się z odgrywanych przeze mnie scenek, w których naśladowałam różne osobistości wiedeńskiego dworu. Należało zapoznać mnie z francuską literaturą oraz obyczajami i manierami obowiązującymi w Wersalu. A także przygotować do życia na francuskim dworze. Lepiej by było, jeślibym ślęczała nad książkami przez cały dzień (nawet gdyby przez to Vermond miał wiele stracić w moich oczach), bo powinnam poznać historię Francji i charakter Francuzów. Powinnam wiedzieć to i owo na temat napiętej atmosfery na ulicach Paryża. Ale moja droga pani Campan zawsze miała skłonność do melancholii, nienawidziła Vermonda, mnie zaś darzyła gorącą miłością; a poza tym bardzo się niepokoiła o mój los.

Tak więc na miejscu aktorów pojawił się ksiądz. Nie narzekałam jednak na taki obrót spraw, bo godzina spędzana w towarzystwie Vermonda upływała mi dość szybko i przyjemnie.

Nie miałam jednak ani chwili spokoju. Bez przerwy wymieniano uwagi na temat mojego wyglądu. Zastanawiałam się nawet dlaczego — przypominając sobie niezgrabną sylwetkę i czerwoną twarz żony Józefa. Moja cera miała nienaganną barwę; bujne włosy jedni określali jako złote, inni jako rude. We Francji mówiono, że to *blond cendre*, a w paryskich magazynach pojawił się złoty jedwab, którego barwę określono jako *chevaux de la Reine*. Niepokój wzbudzało jednak moje dość wysokie czoło. Matka wpadła w konsternację, gdy książę Starhemburg, nasz ambasador we Francji, napisał: „Ta drobna niedoskonałość może mieć wielkie znaczenie, gdy wysokie czoła wyjdą z mody”.

Zdarzało mi się siedzieć przed lustrem, kontemplując to nieszczęsne czoło, które przedtem wydawało się całkiem normalne. Wkrótce zjawił się niejaki pan Larsenneur. Prosto z Paryża. Cmoknął na widok moich włosów, zmarszczył brwi, spoglądając na kontrowersyjne czoło i zabrał się do roboty. Wypróbowywał różne fryzury, aż wreszcie uznał, że jeśli upnie mi włosy w bardzo wysoki kok, czoło wyda się niższe. Naciągnął moje własne włosy tak mocno, że skrzywiłam się bólu i podpiął je treską w podobnym kolorze. Z wielką niechęcią nosiłam tę fryzurę i gdy tylko pan Larsenneur wyjechał, wyjęłam szpilki. Niektóre z dam dworu mojej matki twierdziły, że fryzura jest nietwarzowa, ale stary baron Neny powiedział, że gdy tylko znajdę się w Wersalu, wszystkie panie zaczną czesać się tak samo. Tego rodzaju uwagi wywoływały nerwowy uśmiech na mojej twarzy, bo uświadamiały mi, że wielka zmiana jest coraz bliżej; a przecież starałam się o tym nie myśleć, koncentrując się na nowej fryzurze i nowych figurach tanecznych.

Zastrzeżenia budziły też moje nierówne zęby. Dentysta, który przyjechał z Francji, zmarszczył brwi podobnie jak pan Larsenneur na widok mego czoła. Dokonywał jakichś skomplikowanych zabiegów, które chyba nie na wiele się zdały, bo w końcu się poddał. Podobno wada zgryzu nadawała mojej twarzy nieco pogardliwy wyraz. Starałam się więc uśmiechać jak najwięcej, odsłaniając nierówne zęby, byle tylko zneutralizować ów wyraz pogardy.

Musiałam nosić gorset, choć tego nie znosiłam, musiałam przyzwyczać się do wysokich obcasów, choć uniemożliwiały mi bieganie za psami po pałacowych ogrodach. Na samą myśl o tym, że przyjdzie mi zostawić psy w Wiedniu, zalewałam się łzami. Wtedy ojciec Vermond mnie pocieszał, że jako małżonka delfina będę mogła mieć tyle francuskich psów, ile tylko zapragnę.

Zbliżały się moje czternaste urodziny i matka postanowiła wyprawić z tej okazji wielką uroczystość dla całego dworu. Coś w rodzaju testu sprawdzającego, czy potrafię się należycie zachować jako główna bohaterka takiego przyjęcia.

Plany matki nie wzbudziły mojego niepokoju. Wolałam przyjęcia od lekcji. Całkiem spokojnie witałam się więc z gośćmi i tańczyłam. Odniosłam wielki sukces. Potwierdził to nawet Kaunitz, który przyszedł tylko po to, by mnie obserwować, i wcale nie zamierzał się bawić. Matka zdradziła mi, że oświadczył: „Arcyksiężniczka da sobie radę, choć jest taka dziecinna. Pod warunkiem, że nikt jej nie zepsuje”.

Matka położyła nacisk na dwa słowa: „dziecinna” i „zepsuje”. Pouczała mnie, że powinnam jak najszybciej dorosnąć. Nie wolno mi wierzyć, że każdego owinę sobie wokół palca pięknym uśmiechem.

Czas płynął nieubłaganie. Do mego wyjazdu pozostały zaledwie dwa miesiące. Matka zaczęła się poważnie niepokoić, uznając, że jestem nieprzygotowana do nowej roli. Wezwała mnie do siebie i kazała przenieść się do jej sypialni, by mogła udzielać mi rad w wolnych chwilach. Muszę przyznać, że przeraziło mnie to znacznie bardziej niż perspektywa przeprowadzki do nowego kraju, co wymownie świadczy o moim charakterze.

Do dziś wspominam — choć teraz towarzyszy tym wspomnieniom uczucie nostalgii — ów czas jako okres ogromnego niepokoju i napięcia. Wielka sypialnia cesarzowej była lodowata; wszystkie okna stały otworem, by nigdy nie zabrakło świeżego powietrza; często do środka wpadał śnieg, ale jeszcze gorsze były podmuchy mroźnego wiatru. Teoretycznie okna we wszystkich sypialniach powinny być otwarte, ale mnie zawsze udawało się namówić służących, by je zamykali. Robili to zresztą chętnie, dbając tylko, by w porę je otworzyć. W sypialni matki nie było jednak o tym mowy. Rozgrzać się można było jedynie w łóżku. Pamiętam, jak udawałam, że śpię, gdy matka stawiała nade mną i ściągała pościel z mojej głowy. Lodowatą dłonią odgarniała włosy z mojej twarzy i całowała mnie tak czule, że zapominałam niemal o udawaniu i miałam ochotę natychmiast rzucić się jej na szyję.

Dopiero teraz rozumiem, jak bardzo się o mnie niepokoiła. Sądzę, że stałam się jej ulubienicą nie tylko dlatego, że przedtem byłam ulubienicą ojca, ale także dlatego, że byłam drobna, naiwna i... wrażliwa. Wiele lat później zrozumiałam, że przez cały czas zastanawiała się, jaki los przypadnie mi w udziale. Bogu dzięki, zmarła zbyt wcześnie, żeby się o tym przekonać.

Nie zawsze mogłam udawać, że śpię, wysłuchiwałam więc długich monologów, w których matka instruowała mnie, jak powinnam postępować. Pamiętam jeden z nich.

— Nie bądź zbyt ciekawska. Bardzo się tego obawiam w twoim wypadku. Nie spoufalaj się ze służbą.

— Tak, mamó.

— Zgodnie z życzeniem króla Francji twoimi opiekunami będą państwo Noailles. Powinnaś zwracać się do nich, ilekroć będziesz miała wątpliwości, jak się zachować. Nalegaj, by cię o wszystkim uprzedzali. I nie wstydź się pytać o radę.

— Oczywiście, mamó.

— I nie rób nic bez konsultacji...

Moje myśli powędrowały gdzie indziej. Państwo Noailles. Ciekawe, jacy będą? Zaczęłam ich sobie wyobrażać i uśmiechnęłam się nieopatrnie. Matka od razu zauważyła ten uśmiech i była po części zrozpaczona, po części zaś rozczulona. Przytuliła mnie mocno.

— Och, moje drogie dziecko, co z tobą będzie?

Tłumaczyła, że moje życie wkrótce całkiem się zmieni. Francuzi nie są tacy sami jak Austriacy. Uważają wszystkie inne narody za barbarzyńców.

— Musisz się zachowywać jak Francuzka, bo będziesz Francuzką. Będziesz następczynią tronu, a potem królową. Nie okazuj jednak zainteresowania tą perspektywą. Król to od razu wyczuje i rozgniewa się.

Nie mówiła nic o delfinie, moim przysłym mężu, więc ja także nie zaprzętałam nim sobie głowy. Opowiadała o królu, o księciu de Choiseul, markizie de Durfort, księciu Starhemburgu i księciu de Mercy-Argenteau — o ważnych osobistościach, które zajmowały się moją skromną osobą zamiast sprawami wagi państwowej. Choć prawdę mówiąc, stałam się sprawą wagi państwowej i to wielkiej wagi. Zabrzmiało to tak absurdalnie, że miałam ochotę się roześmiać.

— Na początku każdego miesiąca będę słała kuriera do Paryża. Powinnaś zatem systematycznie pisać listy i przekazywać je od razu moim emisariuszom. Moją korespondencję musisz palić. To pozwoli mi pisać szczerze.

Ochoczo pokiwałam głową. Brzmiało to bardzo interesująco — plan matki przypominał fascynujące gry, które prowadzili swego czasu moi bracia, Ferdynand i Maksymilian. Od razu wyobraziłam sobie, jak dostaję list od matki i po przeczytaniu chowam w bezpiecznym miejscu, by go spalić, gdy nadarzy się okazja.

— Antoinette, nie uważasz! — westchnęła matka. Napominała mnie w ten sposób na okrągło. — Nie mów nic na temat tego, co się dzieje na naszym dworze.

Znów pokiwałam głową. Nie będę im opowiadać, jak gorzko płakała Karolina, gdy okazało się, że król Neapolu jest stary i brzydki; nie powiem, jak Maria Amalia określiła chłopca, za którego ją z kolei wydano; nie powiem też, jak bardzo Józef kochał swą pierwszą żonę i nienawidził drugiej. Muszę o tym wszystkim zapomnieć.

— O naszej rodzinie mów szczerze, ale zachowaj umiar.

Czyżbym powinna jednak mówić o tym wszystkim, jeśli zostanę zapytana? Matka mówiła dalej:

— Módl się zawsze o świcie na kolanach. Codziennie czytaj nabożne pisma i słuchaj mszy świętej. Gdy tylko nadarzy się okazja, wycofuj się z towarzystwa, by pomedytować.

— Tak, mam. — Miałam szczerzy zamiar stosować się do jej poleceń.

— Nie czytaj żadnych ksiązek bez pozwolenia swego spowiednika. Nie słuchaj plotek i nikogo nie faworyzuj.

Każdy ma przecież swoich przyjaciół. Czy można poradzić coś na to, że jednych ludzi lubi się bardziej niż innych? A ja uwielbiałam obdarowywać swoich przyjaciół.

Monologi matki ciągnęły się bez końca. Musisz postępować tak. Tego nie wolno ci robić. Drżałam, słuchając matczynych wykładów, bo choć pogoda była coraz lepsza, to w sypialni wciąż panował przejmujący chłód.

— Musisz się nauczyć odrzucać propozycje. To bardzo ważne. Gdy coś odrzucasz, odpowiadaj szczególnie grzecznie. Przede wszystkim jednak, nigdy nie wstydź się prosić o radę.

— Oczywiście, mam.

W takich momentach miałam ochotę uciec na lekcję do ojca Vermonda albo poddać się zabiegom fryzjera, najchętniej zaś pobiegłabym na lekcję tańca. Między mną a panem Noverre panowała milcząca umowa, że nie zwracamy uwagi na godzinę; zawsze zaskakiwała nas wiadomość, że ojciec Vermond lub fryzjer już na mnie czekają albo że za dziesięć minut muszę być gotowa do rozmowy z księciem von Kaunitzem.

— Byliśmy pochłonięci nauką — mawiał wówczas mój tanecmistrz.

— Bardzo lubisz tańczyć, moje dziecko — zauważyła matka w lodowatej sypialni.

— Tak, mamo.

— Pan Noverre twierdzi, że robisz znakomite postępy. Och, gdybyś tylko tak samo przykładała się do innych zajęć. — Wówczas pokazywałam jej jakąś nową figurę taneczną, a ona uśmiechała się i chwaliła mnie. — Taniec jest oczywiście niezbędny. Pamiętaj jednak, że nie jesteśmy tu dla przyjemności. Przyjemności Bóg dał tylko po to, by nam ulżyć.

Ulżyć? Ale w czym? Po raz kolejny zasugerowano mi, że życie jest tragiczne. Przypomniałam sobie historię Karoliny, lecz matka wyrwała mnie z zamyślenia.

— Postępuj zgodnie z francuskim obyczajem i nigdy nie powołuj się na nasze zasady.

— Oczywiście, mamo.

— Nawet nie sugeruj, że my w Wiedniu robimy coś lepiej niż Francuzi. To najgorsze, co mogłabyś zrobić. Musisz podziwiać wszystko, co francuskie.

Wiedziałam, że nigdy nie zdołam zapamiętać tego, co mam robić i tego, czego mi robić nie wolno. Postanowiłam więc wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę i w uśmiech, który mnie wyprowadzi ze wszystkich tarapatów.

W czasie tych dwóch miesięcy, które spędziłam w pokojach matki, czułam jej napięcie i niepokój. Cesarzowa bała się, że z mojego małżeństwa nic nie będzie. Często zamykała się z Kaunitzem, czasem zaś dołączał do nich markiz de Durfort.

Dzięki temu miewałam chwile wytchnienia i omijało mnie kilka matczynych kazań, które stały się treścią mojego życia. A oni zastanawiali się, kto powinien być wymieniony jako pierwszy w dokumentach — moja matka i brat czy też król Francji.

Kaunitz starał się zachowywać spokój, nie krył jednak zdenerwowania.

— Całe przedsięwzięcie może spełznąć na niczym przez takie błahostki — tłumaczył matce.

Spierali się także o to, gdzie się odbędzie ceremonia przekazania mojej osoby, czy na austriackiej, czy na francuskiej ziemi. Trzeba było wybrać jedną z propozycji. Francuzi upierali się przy swoim, Austriacy obstawali przy swoim. Matka czasami opowiadała mi o szczegółach tych negocjacji.

— Powinnaś o tym wiedzieć — mówiła.

We wszystkich sporach chodziło o prestiż. Kolejnym przedmiotem sporu była liczba służących, którzy będą mi towarzyszyć podczas ceremonii i tych, których zabiorę ze sobą do Francji. W pewnej chwili byłam już niemal pewna, że do małżeństwa nie dojdzie i nie wiedziałam, czy to mnie cieszy, czy martwi. Czułabym się nieco rozczarowana, gdybym nagle przestała znajdować się w centrum uwagi, z drugiej jednak strony miałam ochotę zostać w domu jak najdłużej, na przykład do dwudziestego trzeciego roku życia, jak Maria Amalia.

Ostatnimi czasy często wracałam myślą do tamtych miesięcy i zastanawiałam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby przedstawiciele Austrii i Francji nie doszli wówczas do porozumienia.

Los chciał jednak inaczej i umowa została podpisana.

Markiz de Durfort pospieszył do Francji, by otrzymać odpowiednie instrukcje w sprawie rozszerzenia francuskiego przedstawicielstwa, ponieważ na ceremonii powinno być półtora tysiąca francuskich gości i ani jednego mniej. To byłoby sprzeczne z zasadami etykiety. Etykieta! To było słowo, które nieustannie dźwięczało mi w uszach.

Dotarli do nas wieści, że król Ludwik postanowił zbudować operę w Wersalu i że właśnie tam ma odbyć się ceremonia zaślubin.

Matka postanowiła, że moja garderoba musi olśnić wszystkich Francuzów. Trudno mi było powstrzymać się od okazywania radości z powodu całego tego zamieszania, choć widziałam pełne rozbawienia spojrzenia matki. Dziś sądzę, że cieszyła ją moja niefrasobliwość, dzięki której nie zastanawiałam się nad swoim losem. Po rozpacy Karoliny była to dla niej miła odmiana.

Gdy markiz de Durfort wrócił z Paryża, poczułam się jak bohaterka cudownego spektaklu. Rozpoczęły się oficjalne uroczystości. Nadszedł kwiecień, aura nam sprzyjała. Siedemnastego dnia tego miesiąca zrzekłam się uroczyście praw do austriackiego tronu. Całe wydarzenie wydało mi się mało ważne, gdy podpisywałam łąciński akt i składałam przysięgę na ręce biskupa Laylach. Po nużącej ceremonii dobrze się jednak bawiłam na bankiecie i balu.

W sali balowej zapalono trzy i pół tysiąca świec, wokół których kręciło się ośmiuset strażaków, by wilgotnymi gąbkami gasić rozprzestrzeniające się iskry. A ja tańczyłam i nie myślałam o niczym innym, rozkoszując się zabawą. Zapomniałam nawet o tym, że to jeden z ostatnich balów w mojej ojczyźnie.

Następnego dnia markiz de Durfort zabawiał austriacki dwór w imieniu króla Francji. Musiało się to odbywać w jeszcze wspanialszych okolicznościach, wynajęto więc pałac Lichtensteinów. Ten wieczór był także bardzo udany. Pamiętam, jak jechaliśmy do pałacu leżącego na przedmieściach. Wszystkie przydrożne drzewa były rzęsiście oświetlone, ponieważ ustawiono między nimi figury delfinów z latarniami. Zrobiło to na nas tak wielkie wrażenie, że co chwila wydawaliśmy okrzyki zachwyty.

Markiz de Durfort kazał przyozdobić salę balową pięknymi obrazami. Pamiętam szczególnie ten, na którym przedstawiono mnie w drodze do Francji — nimfa, symbolizująca miłość, rozścielała pod moimi nogami dywan z kwiatów.

Dzięki fajerwerkom i muzyce francuski wieczór był jeszcze wspanialszy niż poprzedni, zorganizowany przez Austriaków.

Dziewiętnastego kwietnia odbyły się zaślubiny *per procura*. Czulałam się jak w teatrze, bo rolę delfina odgrywał mój brat, Ferdynand. Zupełnie jak podczas przedstawień teatralnych mego starszego rodzeństwa, w których nie mogłam brać udziału. Oboje uklękliśmy przed ołtarzem, a ja nie przestawałam powtarzać sobie w myślach formułki „Volo et ita promitto”, by wypowiedzieć ją jak należy we właściwym momencie.

Po ceremonii oddano honorową salwę na Spitalplatz, a potem rozpoczął się kolejny bankiet.

Dwa dni później miałam opuścić mój rodzinny dom i nagle uświadomiłam sobie, co to oznacza. Uderzyła mnie zwłaszcza myśl, że najprawdopodobniej już nigdy nie zobaczę matki. Cesarzowa wezwała mnie do swego apartamentu i powtórzyła wszystkie zalecenia. Tym razem słuchałam jej w wielkim przerażeniu, zaczynając już co nieco rozumieć.

Kazała mi usiąść przy biurku i wziąć pióro. Miałam napisać list do swego dziadka, którym był teraz król Francji. Nie wolno mi o tym zapomnieć. Powinnam dokładać wszelkich starań, by go zadowolić. Winnam mu bezwzględne posłuszeństwo. A teraz muszę do niego napisać. Ucieszyłam się, że nie muszę układać tego listu. To byłoby stanowczo ponad moje siły. Zwłaszcza że nie najlepiej radziłam sobie z pisaniem tekstu, który dyktowała mi matka. Cesarzowa przyglądała mi się z uwagą. Mogę sobie wyobrazić, co czuła. Siedziałam przy biurku z przechyloną głową, przygryzając wysunięty nieco czubek języka i starałam się, jak umiałam. Napisałam list dziecinnym pismem i nierównymi liniami. Pamiętam, że prosiłam króla Francji, by był dla mnie pobłażliwy i by o to samo poprosił swego wnuka.

W tym momencie przerwałam na chwilę pisanie, by pomyśleć o delfinie — kolejnym ważnym bohaterze tej... farsy, komedii czy tragedii? Skąd mogłam wiedzieć, jaki będzie charakter tej sztuki? Później wydawało mi się, że zawiera elementy wszystkich trzech gatunków. Jaki jest ten delfin? Niewiele o nim wiedziałam. Czasami moi dworzanie mówili o nim tak, jakby był przystojnym bohaterem... takim, jaki powinien być książę. Oczywiście, że musi być przystojny. Mamy przecież razem tańczyć, mamy mieć wspólne dzieci. Tak bardzo pragnęłam mieć dzieci! Złotowłose maleństwa, które będą mnie uwielbiały. Gdybym została matką, przestałabym się zachowywać tak infantylnie. Wtedy przypomiinałam sobie Karolinę i jej pełne rozpacz listy: „On

jest okropnie brzydki... ale nawet do tego można się przyzwyczaić”. Matka mówiła mi o wszystkim, co mnie czeka na francuskim dworze. Nie wspomniała tylko o moim... mężu.

Cesarzowa otoczyła mnie ramieniem i sama zaczęła pisać do króla Francji. Podziwiałam sprawne i błyskawiczne ruchy jej pióra. Prosiła króla Francji, by troszczył się o jej „najdroższe dziecko”: „Błagam Waszą Wysokość o pobłażliwość w stosunku do nawet nieprzemyślanych przedsięwzięć mojej drogiej córki. Ona ma dobre serce, ale jest nieco impulsywna...”. Zrobiło mi się jej żal i łzy napłynęły mi do oczu. Martwiła się tak bardzo, bo dobrze mnie знаła, a zarazem domyślała się, w jakim świecie przyjdzie mi żyć.

* * *

Markiz de Durfort przywiózł dwie karoce, które król Francji zamówił specjalnie dla mnie. Słyszeliśmy już sporo o tych powozach, które wykonał największy paryski mistrz. Król przykazał mu surowo, by na niczym nie oszczędzał. Mistrz Francien bez wątpienia zasłużył sobie na wspaniałą reputację, bo karoce były doprawdy imponujące, wyściełane ałsamem, ozdobione pastelowymi malunkami i złotymi koronami. Wkrótce miałam się przekonać, że były nie tylko piękne, ale i niezwykle wygodne.

Markiz przywiózł także przyboczną straż liczącą stu siedemnastu żołnierzy we wspaniałych uniformach. Po kątach szeptano, że tylko ta kawalkada kosztowała króla Francji trzysta pięćdziesiąt tysięcy dukatów.

Dwudziestego pierwszego kwietnia wyruszyłam do Francji. Ostatnimi czasy często myślałam o pożegnaniu z matką. Cesarzowa wiedziała, że już po raz ostatni trzyma mnie w ramionach i całuje. Na pewno cisnęło jej się na usta wiele słów. „Pamiętaj o tym. Nie rób tego”. Mówiła wprawdzie o tym wszystkim w swej lodowatej sypialni, znała mnie jednak na tyle, by wiedzieć, że połowę jej przykazań już dawno zapomniałam. Nigdy nie słuchałam uważnie tego, co mówiła. Teraz wiem, że modliła się w duchu do Boga i do wszystkich świętych, by mieli mnie w swej opiece. Widziała we mnie niewinne dziecko, które wysłała do dżungli.

— Moje najdroższe dziecko — szepnęła, a ja nagle poczułam, że wcale nie chcę jej opuszczać, że tu jest mój dom. Chciałam zostać, choćby nawet miało to oznaczać wiele godzin spędzonych nad książką, bolesne zabiegi fryzjerskie i kazania w lodowatej sypialni. Miałam niespełna piętnaście lat i nagle poczułam, że jestem bardzo młoda i niedoświadczona. Chciałam błagać o pozwolenie na pozostanie w domu jeszcze przez jakiś czas, ale czekały już na mnie wspaniałe karoce markiza de Durfort; Kaunitz spoglądał na mnie ze zniecierpliwieniem, a zarazem z ulgą, że trudne negocjacje dobiegły końca. Tylko matka była smutna. Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy odejść gdzieś na stronę, czy mogłabym poprosić o odroczenie wyjazdu. Wiedziałam jednak, że to niemożliwe. Bez względu na to, jak bardzo mnie kochała, nie pozwoliłaby nigdy, by kaprysy córki wpływały na sprawy wagi państwowej. A mój los był teraz sprawą wagi państwowej. Ta myśl od razu bardzo mnie rozbawiła. Poczulałam się bardzo ważną osobą.

— Żegnaj, moje najdroższe dziecko. Będę do ciebie pisać systematycznie. Jakbym była przy tobie.

— Tak, mamó.

— Musimy się rozstać, ale nigdy, aż do samej śmierci nie przestanę myśleć o tobie. Kochaj mnie zawsze. Tylko to będzie dla mnie źródłem pocieszenia.

A potem wsiadłam do karety razem z Józefem, który miał mi towarzyszyć pierwszego dnia podróży. Niewiele z nim przestawałam, bo był znacznie starszy i bardzo ważny, zwłaszcza od kiedy został cesarzem i współrządził państwem wraz z naszą matką. Starał się być uprzejmy, ale mnie irytowała jego nadęta mina. Na domiar złego cały czas udzielał mi rad, a wcale nie chciałam

ich słuchać. Wolałam myśleć o pieskach, którymi pod moją nieobecność miała się zająć służba. Gdy mijaliśmy pałac w Schönbrunn, spjrzałam na żółte mury i zielone okiennice, wspominając czasy, gdy razem z Karoliną, Ferdynandem i Maksymilianem oglądałam przedstawienia organizowane przez starsze rodzeństwo. Przypominałam sobie, jak służba przynosiła wiedeńskie ciasteczka z kremem i lemoniadę, którą kazała nam pić matka.

Przed odjazdem matka wręczyła mi jakieś papiery i przykazała czytać je regularnie. Wystarczył rzut oka, bym się zorientowała, że zawierają wszystkie zasady i przykazania, o których tyle mówiła. Obiecałam sobie, że przeczytam je później, wolałam bowiem zanurzyć się w rozmyślaniach o miłych dniach przeszłości, nim Karolina i Maria Amalia zostały tak unieszczęśliwione. Zerknęłam na Józefa, który przecież też przeżył wielką tragedię i pomyślałam, że już się z niej wyleczył.

— Nie zapominaj, że jesteś Austriaczką...

Miałam ochotę ziewnąć. Józef starał się uświadomić mi, jak ważny jest mój mariaż. Czy wiem, że towarzyszy mi świta złożona ze stu trzydziestu dwóch osób? Tak, Józefie, coś o tym słyszałam.

— Damy dworu, pokojówki, fryzjerzy, krawcy, sekretarze, lekarze, paziowie, kuśnierze, kapelusznicy, kucharze i wielu innych. Czy wiesz, że tylko twój pocztmistrz, książe de Paar, ma trzydziestu czterech podwładnych.

— To rzeczywiście wielki orszak, Józefie.

— Nie możemy pozwolić, by Francuzi przewyższyli nas splendorem w tej podróży. Czy wiesz, że w naszej kawalkadzie jest trzysta siedemdziesiąt sześć koni, które będziemy zmieniać cztery, może pięć razy dziennie.

— Dzięki tobie już teraz wiem.

— Powinnaś to wszystko wiedzieć. Na drodze między Wiedniem a Strasburgiem przygotowano dwadzieścia tysięcy koni.

— Rzeczywiście bardzo dużo.

Wolałabym, żeby raczej opowiedział mi o swoim małżeństwie i o tym, co może mnie czekać. Nudziły mnie te wszystkie liczby i z trudem powstrzymywałam się od łez.

Po ośmiu godzinach podróży zatrzymaliśmy się w benedyktyńskim opactwie, w Molck. Klerycy przygotowali dla nas spektakl operowy — strasznie nudny. Ogarniała mnie senność, a na myśl o poprzedniej nocy, którą spędziłam w sypialni matki, łzy napływały mi do oczu. Bo mimo wszystkich kazań, których musiałam wysłuchać, czułam się przy niej dobrze. Intuicyjnie czułam bowiem, że przy wszechwładnej matce, troszczącej się o mnie stale, jestem bezpieczna.

Następnego dnia bez żalu pożegnałam się z Józefem. Był wprawdzie dobrym bratem i kochał mnie na pewno, ale rozmowa z nim bardzo mnie męczyła i z trudem się na niej koncentrowałam.

Jakże długa była ta podróż! Do mojej karety wsiadła księżna de Paar i próbowała mnie pocieszyć, opowiadając o cudach, które zobaczę w Wersalu i o wspaniałej przyszłości, jaka mnie czeka. Zatrzymaliśmy się w Enns, potem w Lambach i w Nyphenburgu. W Giinsburgu przerwaliśmy podróż na dwa dni, by odwiedzić siostrę mego ojca, księżniczkę Charlotte. Pamiętałam ją, bo swego czasu mieszkała z nami w Schönbrunn. Ojciec bardzo ją lubił, spędzali więc długie godziny na rozmowach. Ale matka za nią nie przepadała. Niewykluczone, że wszyscy ludzie drodzy memu ojcu budzili jej niechęć. Ostatecznie Charlotte została ksienią klasztoru w Remiremont. Snuła piękne wspomnienia o moim ojcu. Pomogłam jej zanieść jedzenie ubogim, co było doświadczeniem całkiem innym niż wszystkie bale i przyjęcia.

Potem przejechaliśmy przez las i znaleźliśmy się w opactwie Schuttern, gdzie odwiedził mnie mój opiekun, książe de Noailles.

Okazało się, że to stary mężczyzna, dumny z obowiązku, który powierzył mu przyjaciel, książe de Choiseul. Od razu zorientowałam się, że jest próżny i pyszny i wcale go nie polubiłam. Wkrótce

jednak odjechał, bo pojawiły się nowe, nieprzewidywane trudności. Chodziło o to, które imię zostanie wymienione w dokumencie na pierwszym miejscu. Zarówno książę Starhemburg, który reprezentował stronę austriacką, jak i książę de Noailles, bardzo się tym denerwowali.

Ogarnęło mnie wielkie poczucie samotności, wiedziałam bowiem, że to moja ostatnia noc na niemieckiej ziemi. Nagle rozplakałam się i rzuciłam w ramiona księżnej de Paar, powtarzając z rozpaczą, że nigdy już nie zobaczę swojej matki.

Następnego dnia dostałam od niej list. Musiała go napisać zaraz po moim wyjeździe; domyśliłam się, że płakała, siedząc nad kartką papieru. Do dziś pamiętam jego fragmenty:

Moje drogie dziecko, oto więc jesteś już w kraju, który przeznaczyła Ci opatrzność. Masz więcej szczęścia niż Twoje siostry i Twoi bracia i to nie tylko dlatego, że zajmiesz tak wysoką pozycję. We Francji będziesz miała czulego ojca, na którego przyjaźń zawsze możesz liczyć. Ufaj mu bezgranicznie. Kochaj go i bądź mu posłuszna. Nie chcę się wypowiadać na temat delfina. Znasz moją delikatność w tych sprawach. Zona powinna we wszystkim podporządkować się swemu mężowi. Staraj się więc przede wszystkim go zadowolić i zawsze spełniaj jego życzenia. Prawdziwe szczęście na tym świecie można znaleźć tylko w szczęśliwym małżeństwie. Mówię to na podstawie własnego doświadczenia. A szczęście w małżeństwie zależy od kobiety, od jej pogodnego usposobienia, łagodności, gotowości niesienia radości...

Czytałam ten list ciągle od nowa. Tej nocy był mi jedyną pociechą. Następnego dnia miałam znaleźć się w swojej nowej ojczyźnie, miałam pożegnać się z większością towarzyszących mi osób. Czekало mnie mnóstwo nowych wyzwań i obowiązków, a ja potrafiłam tylko płakać z tęsknoty za matką.

— Nigdy już jej nie zobaczę — łkałam w poduszkę.

Rozdział 2

Oszołomiona panna młoda

Dzięki temu mariażowi znów nastanie złoty wiek. Pod panowaniem Marie Antoinette i Ludwika Augusta nasze potomstwo będzie równie szczęśliwe jak my za czasów Ludwika Umiłowanego.

Księżę do Rohan w Strasburgu

Ceremonia przekazania mnie Francuzom miała się odbyć w prowizorycznym pawilonie, który wzniesiono na piaszczystej ziemi niczyjej na małej wysepce pośrodku Renu. Księżna de Paar tłumaczyła mi cierpliwie, że to najważniejsza uroczystość ze wszystkich dotychczasowych, ponieważ w jej trakcie przestanę być Austriaczką. Miałam wejść do tego pawilonu jako austriacka arcyksiężniczka, by wyjść z drugiej strony jako następczyni francuskiego tronu.

Pawilon, stawiany w pośpiechu, nie był szczególnie okazały. Miał służyć wyłącznie tej ceremonii. Gdy znaleźliśmy się na wyspie, wprowadzono mnie do przedpokoju, w którym moje służące rozebrały mnie do naga. Czułam się tak okropnie, stojąc tam bez ubrania i musiałam sobie przypomnieć najsurowszy wyraz twarzy mojej matki, by powstrzymać się od łez. Zacisnęłam palce na naszyjniku, który nosiłam od wielu lat, jakbym chciała go ukryć. Nawet tego drobiazgu nie wolno mi było jednak zachować. Naszyjnik był austriacki i musiałam go zdjąć.

Drżałam, gdy służące wkładały mi francuski strój, zauważyłam jednak, że mam na sobie coś znacznie piękniejszego niż suknie, które nosiłam w Austrii, i to mnie podniosło na duchu. Zawsze przywiązywałam wagę do ubiorów i nigdy nie przestałam cieszyć się nowymi tkaninami i fasonami, czy biżuterią. Gdy byłam już gotowa, zaprowadzono mnie do księcia Starhemburga, który już na mnie czekał; wziął mnie za rękę i weszliśmy do centralnego holu. Na środku pomieszczenia stał stół przykryty purpurowym aksamitem. Księżę Starhemburg powiedział mi, że to właśnie jest *salon de Remise* i podkreślił, że stół symbolizuje granicę między moim starym i nowym krajem. Na ścianach wisiały bardzo piękne arrasy, na których przedstawiono straszną historię Medei i Jazona. Podczas ceremonii moje spojrzenie wędrowało po gobelinach i wtedy, gdy powinnam słuchać, rozmyślałam o zamordowanych dzieciach Jazona i o płonącym powozie furii. Wiele lat później dowiedziałam się, że Goethe, który był wówczas młodym studentem prawa na uniwersytecie w Strasburgu, przeraził się na widok tych gobelinów i wyraził zdziwienie, że ktoś mógł w taki właśnie sposób uświetnić chwilę, gdy młoda narzeczona wjeżdża do kraju swego męża. Na gobelinach przedstawiono jednak „najstraszliwsze małżeństwo, jakie można sobie wyobrazić”. To także interpretowano jako zły omen.

Ceremonia nie była na szczęście zbyt długa. Stałam po drugiej stronie stołu, by wysłuchać paru kolejnych zdań i już byłam Francuzką.

Wówczas księżę Starhemburg przekazał mnie księciu de Noailles, ten zaś wprowadził mnie do innego pomieszczenia po francuskiej stronie i przedstawił swojej żonie, która wraz z nim miała się mną opiekować. Byłam tak oszołomiona tym wszystkim, że nawet na nią nie spojrzałam. Czułam się samotna i przerażona i wiedząc, że ta kobieta ma być moją damą do towarzystwa, bez namysłu rzuciłam się jej w ramiona, przekonana, że tym impulsywnym, dziecinnym gestem podbiję jej serce.

Gdy poczułam, jak jej ciało sztywnieje, podniosłam wzrok. Wydała mi się stara... bardzo stara; na jej pomarszczonej twarzy malowała się surowość. Moje zachowanie zdumiało ją, po chwili jednak cofnęła się łagodnym, ale i stanowczym gestem.

— Za pozwoleniem Waszej Wysokości, przedstawię jej główną garderobianą, księżnę de Villars.

Byłam zbyt zaskoczona, by okazać, jak bardzo mnie zraniła swoim chłodem. Dzięki wychowaniu i przykazaniom matki miałam jednak wysokie poczucie godności, szybko pogodziłam się więc z tym, iż nie mogę wiele się spodziewać po pani de Noailles i obróciłam się do księżnej de Villars, która była równie stara, chłodna i wyniosła.

— A oto damy dworu Waszej Wysokości.

Diuszesa de Picquigny, markiza de Duras, hrabina de Saulxs–Tavannes, hrabina de Mailly. Wszystkie stare. Banda surowych, starych dam!

Odnalazłam w sobie dość chłodu, by przyjąć ich honory.

Z bezimiennej wyspy wspaniała kawalkada ruszyła do alzackiego Strasburga, który od stu lat, zgodnie z postanowieniami pokoju zawartego w Ryswick, znajdował się w rękach Francuzów. Mieszkańcy pogranicznego miasta byli zachwyceni tym małżeństwem i okazywali to z ochotą. Przywitali mnie tak serdecznie, że szybko zapomniałam o chłodnej atmosferze *salon de Remise* i o spotkaniu z moimi damami dworu. Uwielbiałam takie uroczystości. Jako pierwsze wyszły mi na spotkanie dzieci, przebrane za pastuszków i pasterki. Ofiarowały mi kwiaty, a ja zapragnęłam, by wszyscy poważni dorośli gdzieś zniknęli i zostawili mnie z tymi uroczymi istotami. Władze Strasburga wpadły na znakomity pomysł, by po obu stronach drogi ustawić małych chłopców w strojach Gwardii Szwajcarskiej. Wyglądali wspaniale. Gdy dotarłam do biskupiego pałacu, w którym miałam nocować, zapytałam, czy chłopcy mogliby trzymać straż pod moimi oknami. Gdy malcy to usłyszeli, zaczęli skakać i śmiać się z radości. Następnego ranka wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ich na dole. Oni także mnie spostrzegli i pozdrowili. To moje najmiłsze wspomnienie ze Strasburga.

W katedrze czekał na mnie stary kardynał de Rohan, który poruszał się tak, jakby męczył go straszny atak podagry. Następnie rozpoczął się wielki bankiet, a po nim obejrzelśmy przedstawienie teatralne. Z okien pałacu podziwialiśmy udekorowane z przepychem barki oraz pokaz fajerwerków, który był szczególnie interesujący, ponieważ na niebie rozbłysły moje inicjały, splecione z inicjałami delfina. Potem położyłam się spać, ze świadomością, że pod moim oknem czuwają ci śliczni chłopcy.

Następnego ranka pojechałam do katedry, by wysłuchać mszy. Spodziewałam się, że znów zobaczę starego kardynała. Okazało się jednak, że nie czuł się najlepiej i przysłał swego bratanka, bardzo przystojnego, młodego człowieka, koadiutora — księcia Ludwika de Rohan, który bez wątpienia zostanie kardynałem po śmierci wuja.

Ksiązę miał bardzo piękny głos — a może tak mi się tylko wydawało, bo nie byłam przyzwyczajona do wyszukanego stylu mówienia Francuzów. Parę dni później wydawało mi się, że to król Francji ma najpiękniejszy głos na świecie. W Strasburgu zachwyciłam się jednak głosem księcia Ludwika. Zachowywał się bardzo dostojnie, ale dostrzegłam w jego oczach jakiś niepokojący błysk. Poczułam się przy nim jak niedojrzałe i niedoświadczone dziecko, choć jego słowom nawet moja matka nie mogłaby nic zarzucić.

— W naszych oczach, madame — powiedział — jest pani żywym obrazem drogiej cesarzowej, która od tylu lat jest podziwiana w całej Europie i która będzie podziwiana przez wieki. Duch Marii Teresy zawiera dziś przymierze z duchami Burbonów.

Zabrzmiało to bardzo miło. Ucieszyłam się, że Francuzi taką estymą darzą moją matkę.

— Dzięki temu mariażowi znów nastanie złoty wiek. Pod panowaniem Marie Antoinette i Ludwika Augusta nasze potomstwo będzie równie szczęśliwe jak my za czasów Ludwika Umiłowanego.

Na twarzach ludzi, którzy słyszeli jego słowa, dojrzałam przelotne ironiczne uśmiešky. Przez chwilę mnie to zastanowiło, ale przestałam o nich myśleć, gdy musiałam skłonić głowę na błogosławieństwo.

Wiele razy wspominałam tego człowieka — mojego wroga. Moja droga Campan uważała, że to jego niemądre posunięcia i intrygi wtrąciły mnie tu, gdzie piszę te słowa. Wówczas był jednak dla mnie przystojnym młodym mężczyzną, który zastąpił starca z podagrą i zapomniałam o nim, gdy tylko wyjechaliśmy ze Strasburga.

Droga do Paryża upłynęła nam pod znakiem przyjęć i bankietów. Znużyło mnie przejeżdżanie pod coraz to nowymi łukami triumfalnymi i słuchanie pochwalnych hymnów. Chyba że śpiewały je dzieci. Wtedy zawsze mi się podobały. Wszystko to było bardzo dziwne i nigdy nie opuszczało mnie poczucie samotności, choć otaczały mnie tłumy. W moim orszaku pozostały tylko trzy osoby, które znałam z Wiednia: ojciec Vermond, jako że miał jeszcze przez jakiś czas być moim nauczycielem, księżę Starhemburg i hrabia de Mercy-Argenteau — trzech poważni starsi mężczyźni. A ja tęskniłam za towarzystwem ludzi w moim wieku. Doskonale bym sobie poradziła bez tych dam dworu. Nie miałam nikogo, dosłownie nikogo, z kim mogłabym porozmawiać i się pośmiać.

Tymczasem kawalkada jechała dalej, poprzedzana dwoma wielkimi powozami, w których były moje meble. W każdym miejscu postoju powozy rozładowywano, a łóżko, fotele, krzesła i stoły wstawiano do przygotowanego dla mnie pokoju. Tak było w Savarne, w Nancy, w Commercy i w Reims, gdzie Francuzi koronowali swych królów i królowe.

— Mam nadzieję — powiedziałam — że nieprędko wrócę do tego miasta.

Postój w Reims uświadomił mi bowiem, że w każdej chwili mogę zostać królową Francji, bo mój nowy dziadek jest już sześćdziesięcioletnim starcem. Ogromnie zaniepokoiła mnie ta myśl. Podczas tej podróży niejednokrotnie czułam zimny dreszcz na plecach, zawsze jednak odsuwałam od siebie niemiłe myśli i wszystko znów zdawało mi się wyrafinowaną zabawą.

Z Reims pojechaliśmy do Châlons, a potem... do Lasku Compiègne.

Czternastego maja po raz pierwszy zobaczyłam swego męża. Przebywałam w podróży trzy tygodnie i dwór mojej matki wydawał mi się już bardzo odległy. Żałowałam, że tak niewiele wiem o mojej nowej rodzinie. Próbowałam się czegoś dowiedzieć, ale zarówno pani de Noailles, jak i moje damy dworu były nieprzeniknione. Odpowiadały zawsze konwencjonalnie i chłodno, jakby chciały mi dać do zrozumienia, że moje pytania nie są zgodne z etykietą. Etykieta! Czułam, że to słowo zaczyna mnie bardzo męczyć.

Dzień był prześliczny; na drzewach rozwijały się liście, ptaki wyśpiewywały swoje melodie na całe gardło, natura zachowywała się tak, jakby szła w zawody o palmę pierwszeństwa z ekstrawagancją dworskiej sceny.

Gdy usłyszałam dźwięk trąbek, a muszkieterzy zaczęli bić w bębny, zrozumiałam, że król Francji i mój mąż muszą być gdzieś niedaleko. Ogarnęło mnie wielkie podniecenie. Znaleźliśmy się na skraju lasu, a drzewa tworzyły piękne tło. Najpierw ujrzałam kolorowe uniformy straży przybocznej i jasne liberie służby. Grupa mężczyzn i kobiet, do której się zbliżaliśmy, nosiła tak wspaniałe stroje, jakich nigdy dotąd nie widziałam. A na dodatek najwspanialsza z tych osób czekała właśnie na mnie. Króla Francji rozpoznałam natychmiast nie tylko po stroju, ale i po postawie. Roztaczał dokoła aurę godności i wdzięku. Tę iście królewską postawę musiał odziedziczyć po swym wielkim dziadku, Królu Słońce.

Gdy tylko powóz się zatrzymał, wysiadłam, co zaszokowało panią de Noailles, która niewątpliwie uważała, że zgodnie z wymogami etykiety, powinnam zaczekać, aż ktoś podejdzie, by zaprowadzić mnie do króla. A mnie to nawet nie przyszło do głowy. Od trzech tygodni cierpiałam na brak ciepła, a teraz miałam przed sobą mego drogiego dziadka, który, jak zapewniała mnie matka, będzie się o mnie troszczył i będzie mnie kochał. Wierzyłam w to i pragnęłam czym prędzej rzucić się mu na szyję i powiedzieć o swej samotności.

Podszedł do mnie mężczyzna — bardzo elegancki, o zaróżowionej, uśmiechniętej twarzy, która przypominała trochę pysk jednego z moich psów. Uśmiechnęłam się do niego i pobiegłam dalej. Był chyba zaskoczony, lecz i on się uśmiechnął. Po chwili uświadomiłam sobie, że to osławiony książę de Choiseul, którego król wyprawił na moje spotkanie.

Ale ja nie potrzebowałam żadnej asysty. Podeszłam prosto do króla i uklękłam.

Podniósł mnie od razu i ucałował w oba policzki.

— Ależ... jesteś bardzo piękna, moje dziecko — powiedział melodyjnym głosem, a jego oczy miały ciepły i przyjacielski wyraz.

— Najjaśniejszy Pan jest bardzo łaskawy...

Roześmiał się i przygarnął mnie do swego wspaniałego płaszcza, ozdobionego klejnotami, jakich nigdy w życiu nie widziałam.

— Cieszymy się, że w końcu z nami jesteś.

Gdy spojrzeliśmy sobie w oczy i król się uśmiechnął, poczułam, jak opuszczają mnie strach i udręka samotności. Król był stary, ale to nie miało znaczenia. Potrafił być uprzejmy, nie tracąc monarszej godności, jego manierom nie można było nic zarzucić. Zarumieniłam się na myśl o mojej kulawej francuszczyźnie. Tak bardzo bałam się go rozczarować.

Objął mnie ponownie, jakby naprawdę żywił wobec mnie ciepłe uczucia. Mierzył mnie uważnym spojrzeniem od stóp do głów. Nie miałam wówczas pojęcia o tym, że ma słabość do młodych dziewcząt, uznałam więc jego uprzejmość i zainteresowanie za oznakę szczególnej sympatii wobec mnie. Po chwili król odwrócił nieznacznie głowę i zbliżył się do nas młodzieniec. Był wysoki i niezgrabny; ciągle odwracał wzrok od mojej twarzy, jakbym go zupełnie nie interesowała. Jego obojętność, po ciepłym przyjęciu króla, była dla mnie szczególnie bolesna. Obudził we mnie tak różne uczucia, że nie umiałam ich sobie poukładać i zanalizować. Nosił wspaniały strój, ale już na pierwszy rzut oka widać było różnicę pomiędzy nim a dziadkiem. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, co począć z rękami.

— Obecność delfiny wśród nas to wielki zaszczyt i wielka przyjemność — powiedział król.

Chłopak sprawiał wrażenie ospałego i wciąż stał w milczeniu, wpatrując się bezmyślnie w czubki swoich butów. Wydawało mi się, że zdołam pokonać ten mur obojętności, podeszłam więc do niego i nadstawiłam policzek do ucałowania. Skoro król mnie pocałował, dlaczego nie miałby tego samego uczynić pan młody? Delfin nie zdołał ukryć zaskoczenia i w pierwszej chwili cofnął się odruchowo, po czym przysunął się bliżej z wielką niechęcią, jakby musiał przedsięwziąć coś bardzo nieprzyjemnego. Po chwili poczułam jego policzek na swoim, ale w przeciwieństwie do dziadka nie dotknął mojej skóry ustami.

Obróciłam się do króla, który nie dał po sobie poznać, że zachowanie wnuka wydało mu się dziwne. Ale intuicja zawsze pozwalała mi właściwie ocenić reakcję, od razu więc zrozumiałam, że król jest rozdrażniony. Pomyślałam, że pewnie nie spodobałam się delfinowi. Wtedy przypomniałam sobie Karolinę, która tak bardzo rozpaczała z powodu brzydoty swojego męża. Tymczasem ja nie byłam ani stara, ani brzydka. Sam król dostrzegł mój urok, a wszyscy ludzie uważali, że jestem czarująca. Nawet stary Kaunitz nie obawiał się, że moja aparycja może stanowić jakąś przeszkodę.

Król otoczył mnie ramieniem i przedstawił trzem najdziwniejszym starszym damom, jakie kiedykolwiek widziałam. Wyjaśnił, że to moje ciotki: Adelajda, Wiktoria i Zofia. Wszystkie były brzydkie, ale przede wszystkim — dziwne. Przypominały mi stare wiedźmy ze sztuki, którą kiedyś oglądałam. Najstarsza, która bez wątpienia im przewodziła, wysunęła się nieco do przodu, druga była dość korpulentna i miała najmilszy wyraz twarzy, trzecia zaś była najbrzydsza. Ale skoro to moje nowe ciotki, powinnam starać się je pokochać. Najpierw podeszłam do madame Adelajdy i pocałowałam ją. Wówczas Adelajda dała znak, by madame Wiktoria wyszła do przodu, a ja znów złożyłam na jej policzku ceremonialny pocałunek. Potem przyszła kolej na Zofię. Tamte dwie wyglądały jak para żołnierzy podczas parady, dowodzonej przez Adelajdę. Korciło mnie, by się roześmiać, wiedziałam jednak, że się nie ośmielę. Potem pożałowałam, że nie jestem w domu i nie mogę pobiec do Karoliny i opowiedzieć jej o mojej nowej rodzinie, naśladując przy tym trzy dziwne ciotki. I delfina.

Król oświadczył, że resztę rodziny poznam później i podał mi dłoń, by pomóc mi wsiąść do karety, w której miałam siedzieć między nim a delfinem. Zagrały trąbki i bębny, i wszyscy ruszyliśmy, w stronę Compiegne. Tam mieliśmy przenocować przed podróżą do Wersalu.

Król zabawiał mnie rozmową, a jego słodki głos brzmiał w moich uszach jak piękna muzyka. Mój nowy dziadek poklepywał mnie także i głaskał po dłoni. Mówił, że już mnie pokochał, że stałam się jego najdroższą wnuczką i że uważa dzień, w którym weszłam do rodziny, za jeden z najszcześniejszych w swoim życiu.

Czułam, że przepelnia mnie radość. Bardzo się bałam tego spotkania, ponieważ nie słyszałam, by ktokolwiek mówił o królu Francji inaczej niż z lękiem. Matka twierdziła, że to najpotężniejszy monarcha w Europie. Wyobrażałam sobie, że jest surowy i srogi, a tymczasem on trzymał mnie za rękę i zachowywał się, jakby był moim narzeczonym. Mówił, że uczyniłam mu wielki honor, zostając żoną jego wnuka, choć moja matka uważała przecieź, że to mnie spotkał wielki zaszczyt. Król zachowywał się tak, jakby to on był moim panem młodym, a delfin siedział koło mnie w milczeniu.

Później dowiedziałam się, że króla zawsze fascynowały młodość i niewinność, a ja byłam bez wątpienia i młoda, i niewinna. Niewykluczone, że żałował, iż nie jestem jego narzeczoną, bo gdy widział świeżą, ładną dziewczynę, musiał walczyć ze sobą, by jej nie uwieść. Natomiast delfin na widok młodej dziewczyny miał ochotę natychmiast uciec. W mojej bujnej wyobraźni sytuacja była znacznie bardziej dramatyczna niż w rzeczywistości. Wbrew moim szalonym wyobrażeniom król wcale się we mnie nie zakochał, a delfin wcale nie żywił do mnie nienawiści. Miałam przed sobą wiele miesięcy nauki na temat charakteru i sposobu postępowania Francuzów, zwłaszcza zaś mojej nowej rodziny.

Kiedy dotarliśmy do Compiegne, król oświadczył, że chciałby mnie przedstawić kilku swoim kuzynom, księżętom krwi. Oświadczyłam, że bardzo lubię spotykać się ludźmi, a członkowie mojej nowej rodziny budzą moje szczególne zainteresowanie.

— Oni także bardzo się tobą interesują — odparł król z uśmiechem. — Będą tobą wprost oczarowani i wszyscy razem będziemy zazdrościć biednemu Berry'emu.

Delfin, bo to właśnie on nosił tytuł księcia de Berry, odwrócił się od nas, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko moim spotkaniom. Wówczas król ścisnął mnie lekko za rękę i szepnął:

— Oszłomiły go łaski fortuny. Biedny Berry!

Zaprowadzono mnie do królewskich apartamentów, gdzie poznałam zapowiadanych księząt. Najpierw księcia Orleanu, wnuka królewskiego wuja, potem księcia de Penthièvre, wnuka Ludwika XIV (potem się dowiedziałam, że jego babką była królewska kochanka, madame de Montespan), a na końcu księząt Conde i Conti. Wszyscy wydali mi się starzy i nudni. Tego dnia

poznałam jednak kilku młodych członków rodziny, między innymi księżnę de Lamballe. Miała wprawdzie dwadzieścia jeden lat, więc w moich oczach była dość stara, zapalałam jednak do niej ciepłymi uczuciami, ponieważ rozpaczliwie rozglądałam się za jakąś bratnią duszą, której mogłabym się zwierzyć. Księżna de Lamballe była już wdową i miała za sobą nieudane małżeństwo, które na szczęście trwało tylko dwa lata. Dowiedziałam się, że jej mąż zapadł na jakąś chorobę w wyniku miłosnej afery, ponieważ zawsze prowadził swobodny i rozwiązły tryb życia. Biedna Maria Teresa! Musiała towarzyszyć cały czas ekscentrycznemu teściowi, który wciąż nosił żalobę po synu. Poza tym interesował się tylko swoją kolekcją zegarków i w rzadkich chwilach, w których opuszczała go melancholia, zamęczał wszystkich dokoła prezentowaniem własnych zbiorów. Życie księżnej de Lamballe polegało na podróżowaniu od zamku do zamku w towarzystwie tego dziwaczego człowieka i jego zegarków. Spotkanie z tą kobietą stanowiło jednak dla mnie coś w rodzaju pocieszenia i dlatego pamiętam je doskonale, choć przecież było tylko jednym z wielu podczas tego długiego dnia.

Wszystkie wydarzenia były celebrowane nader uroczyście — nawet przymiarka ślubnego pierścienia. Mistrz ceremonii zjawiał się w moim apartamencie razem z samym królem. Towarzyszyli im trzej książęta i trzy ciotki, chociaż chodziło tylko o to, bym przymierzyła dwanaście pierścieni i wybrała ten, który najlepiej pasuje. Pasujący pierścień wyniesiono na tacy. Potem król uściśnął mnie i wyszedł, a potem cały ceremoniał powtórzyli pozostali goście.

Byłam bardzo zmęczona i gdy służba przygotowywała mnie do snu, zaczęłam rozmyślać na temat delfina, który był tak inny niż wszyscy. Prawie się nie odzywał, odwracał ode mnie oczy, nie mogłam sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał. A przecież pamiętałam doskonale twarz króla i twarz księżnej de Lamballe.

— Madame jest taka zamyślona — zauważyła jedna ze służących.

— Myśli o delfinie — szepnęła druga.

Uśmiechnęłam się do nich. Odpowiedziały uśmiechem, jakby się cieszyły, że udało im się wymknąć spod kontroli pani de Noailles i moich surowych dam dworu.

— To prawda — przyznałam. I w tym momencie przypomniła mi się przestroga matki, bym nie spoufalala się ze służbą. Ale przecież muszę z kimś porozmawiać. Marzyłam o zwyczajnej rozmowie, nie krępowanej zasadami etykiety.

— Nic dziwnego, że narzeczona myśli o narzeczonym. Uśmiechnęłam się raz jeszcze zachęcająco.

— Delfin nie będzie dziś spał pod tym samym dachem. — W głosie dziewczyny dźwięczał śmiech.

— Dlaczego?

Wyraz ich twarzy przypomni mi atmosferę mojego domu.

— Dlatego, że nie powinien tu nocować przed nocą poślubną. Zatrzymał się w domu księcia de Saint-Florentin, ministra i sekretarza stanu Jego Królewskiej Mości.

— To interesujące — powiedziałam, tłumiąc ziewnięcie.

W łóżku nie przestałam myśleć o delfinie. Zastanawiałam się, czy on także o mnie myśli i co myśli. Po latach, gdy go dobrze poznałam, przeczytałam to, co zapisał owej nocy w swym dzienniku. Słowa te były bardzo charakterystyczne dla niego i niczego nie wyjaśniały (tylko że w owym czasie znałam już jego tajemnicę i wiedziałam, dlaczego zachowywał się wobec mnie w tak dziwny sposób). Napisał: „Rozmowa z delfiną”.

* * *

Następnego dnia wyruszyliśmy do zamku La Muette, gdzie mieliśmy przenocować przed ostatnim dniem podróży do Wersalu.

Od razu zorientowałam się, że coś jest nie tak. Przede wszystkim nie było wśród nas króla. Wyjechał wcześniej. Zastanawiałam się, dlaczego to zrobił. Później dowiedziałam się, że uczynił tak dlatego, że droga z La Muette do Wersalu prowadziła przez Paryż, a on unikał pojawiania się w stolicy, gdy tylko mógł. Nie miał ochoty pokazywać się wrogo nastawionemu, milczącemu tłumowi. To dlatego widziałam tyle ironicznych uśmiezków na twarzach ludzi zgromadzonych w strasburskiej katedrze, gdy księżę de Rohan nazwał Ludwika umiłowanym. Za młodu rzeczywiście tak go zwano, ale teraz sprawy miały się całkiem inaczej. Paryżanie nienawidzili króla. Cierpieli biedę, często brakowało im chleba i ogarniała ich furia, gdy słyszeli, ile pieniędzy Ludwik wydaje na utrzymanie swoich pałaców i kochanek.

Nie to jednak wzbudziło niepokój moich towarzyszy. Mercy zachowywał się bardzo dziwnie i nawet posłał kuriera do Wiednia. Ojciec Vermond i Starhemburg mieli zmartwione miny. Bardzo chciałam, by powiedzieli mi, o co chodzi, ale oczywiście nie zrobili tego. Zauważyłam jednak wyraz lekkiego rozbawienia na twarzach niektórych towarzyszących mi kobiet. Zrozumiałam, że coś się wydarzy w La Muette.

Po drodze wstąpiliśmy do klasztoru karmelitanek w St. Denis, gdzie przedstawiono mnie Ludwice, czwartej ciotce, młodszej siostrze Adelajdy, Wiktorii i Zofii. Okazała się całkiem inna niż pozostałe. Powinam się nad nią użalać, bo była kulawa i koślawa, ale od razu zrozumiałam, że jest znacznie szczęśliwsza niż tamte. Nawet habit nosiła po królewsku, a przy tym zachowywała się przyjaźnie, jakby wyczuła, że bardzo pragnę z kimś porozmawiać. Zadała mi więc mnóstwo pytań i opowiedziała o sobie, o tym, że czuje się szczęśliwsza w murach klasztoru niż w królewskim zamku i że skarbów nie należy szukać w pałacach. Przekonała się o tym przed laty, gdy postanowiła spędzić życie w odosobnieniu, by odpokutować za grzechy.

Trudno mi było sobie wyobrazić, by aż tak bardzo nagrzeszyla. Najprawdopodobniej na mojej twarzy odmalowały się te wątpliwości, bo zaraz dodała:

— Za własne i cudze grzechy.

Pytania cisnęły mi się na usta. Za czyje grzechy? Gdy tylko miałam ochotę zadać jakieś niedyskretne pytanie, które na pewno sprowokowałoby interesującą odpowiedź, przypominałam sobie surową twarz matki i jej przestrogi.

Gdy zbliżyliśmy się do La Muette, Mercy denerwował się coraz bardziej. Usłyszałam, jak szepcze do Starhemburga: „Nic... nic nie możemy zrobić. Nie mogę uwierzyć, że wybrał właśnie ten moment”.

Moją uwagę przyciągnęli ludzie, stojący wzdłuż drogi. Jechaliśmy obrzeżami Paryża, ale radosne okrzyki zgromadzonych były ogłuszające. Uśmiechałam się i kłaniałam, tak jak mnie tego nauczono; ludzie wołali do mnie „Okruszynka”, a ja od razu zapominałam o troskach Mercy’ego, bo lubiłam aplauz tłumów.

Król czekał już na nas w La Muette, by zaprezentować mi braci mojego męża. Hrabia Prowansji miał czternaście lat — był młodszy ode mnie zaledwie o szesnaście dni, a przy tym znacznie przystojniejszy niż delfin. Miał jednak skłonność do tycia, podobnie jak jego starszy brat. Był wszakże znacznie bardziej ożywiony i zainteresowany moją osobą. Trzeci brat, hrabia d’Artois, o rok ode mnie młodszy, miał bardzo dojrzałe spojrzenie, które sprawiało, że wydawał się starszy od swoich braci, jakby zyskał już więcej życiowego doświadczenia. Podniósł moją dłoń do ust i złożył na niej długi pocałunek. W jego oczach zauważyłam podziw, a że zawsze byłam na to bardzo czuła, od razu polubiłam go znacznie bardziej niż jego brata. Może nawet bardziej niż obu braci. Odsuwałam od siebie myśli o delfinie, bo za bardzo mnie przygnębiały. Nie wiedziałam zresztą, co

myśleć, wolałam więc zapomnieć o nim na jakiś czas. Udało mi się to bez trudu. Zawsze żyłam terażniejszością, a przy tym nie mogłam narzekać na brak wrażeń.

Po spotkaniu ze szwagrami zaczęłam się przygotowywać do obiadu, który miał być uroczystością rodzinną, całkiem inną niż dotychczasowe przyjęcia. Miałam się znaleźć w gronie mojej nowej rodziny.

W moim apartamencie zjawił się król i oświadczył, że przyniósł mi prezent, szkatułkę pełną biżuterii. Nie posiadałam się z zachwytu, co jemu z kolei sprawiło przyjemność. Powtarzał, że młodość to coś wspaniałego, że tylko wtedy człowiek umie się tak cieszyć. Potem wyjął perłową kolię i podniósł ją ku światłu. Perły, dobrane z wielką pieczołowitością, były wielkości orzecha.

— Przywiozła to do Francji Anna Austriaczka — powiedział. — Wypada więc, by włożyła to teraz następną księżniczka z Austrii. Ten naszyjnik nosiły moja matka i moja żona. Noszą go wszystkie królowe Francji.

Gdy zapinał mi kolię, przez chwilę zatrzymał dłoń na mojej szyi, mówiąc, że te perły nigdy nie wyglądały tak wspaniale. Powiedział, że mam piękne ramiona, i że gdy dorosnę, będę prawdziwą ozdobą francuskiego tronu.

Podziękowałam, starając się zachować powściągliwość, ale gdy tylko na niego spojrzałam, zarzuciłam mu ręce na szyję. Od razu zorientowałam się, że popełniłam błąd, bo pani de Noailles omal nie zemdląła z przerażenia, ale ani ja, ani król nie przejęliśmy się tym.

— Uroczą... czarującą — mruknął. — Zaraz napiszę do twojej matki, że oczarowałaś nas wszystkich.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, gdy opuszczał mój apartament.

Potem wysłuchałam długiego kazania pani de Noailles na temat tego, jak należy się zachowywać w obecności króla Francji. Ale wcale nie uważałam. Myślałam, że gdyby wydano mnie za króla — a przecież były takie plany — czułabym się znacznie mniej zdenerwowana niż teraz na myśl o ślubie, mającym się odbyć nazajutrz.

Podczas prywatnej kolacji ujrzałam całą moją nową rodzinę. Siedziałam koło delfina w naszyjniku z pereł, który własnoręcznie włożył mi król, ale narzeczony nie odzywał się do mnie i nie patrzył w moją stronę. Jego brat, hrabia d'Artois uśmiechał się do mnie i szeptał, że pięknie wyglądam.

Od razu udzieliła mi się pełna napięcia atmosfera. Moją uwagę przyciągnęła młoda kobieta, która mówiła znacznie głośniejszym głosem niż inni. Nie została mi przedstawiona, i nie miałam pojęcia, kim może być. Była bardzo piękna — z pewnością najpiękniejsza ze wszystkich dam przy stole. Miała jasne, gęste loki, prześliczną cerę i ogromne, lśniące niebieskie oczy; sepleniała trochę, co zaskakiwało w zestawieniu z jej wspaniałą urodą. Nosiała olśniewający strój i mnóstwo klejnotów, więcej niż ktokolwiek inny. Wszyscy zwracali na nią uwagę i nawet król ciągle zerkał w jej kierunku; wszystko wskazywało na to, że jest bardzo zadowolony, że ją widzi, od czasu do czasu zaś wymieniali spojrzenia i uśmiechy, co oznaczało bez wątpienia, że są bliskimi przyjaciółmi. Zastanawiałam się, dlaczego nie jest tu mile widziana, skoro król tak ją lubi. Ciotki ciągle szeptały coś niezbyt pochlebnego na jej temat, a Adelajda rzuciła jadłowite spojrzenia. Od czasu do czasu król mówił coś do mnie, a gdy odpowiadałam mu po francusku, uśmiechał się, podobnie jak wszyscy pozostali. Oświadczył, że moja francuszczyzna jest czarująca i wszyscy to po nim powtarzali. Moim zdaniem wieczór był bardzo udany, nie mogłam więc zrozumieć, dlaczego Mercy tak bardzo się denerwuje. W końcu ciekawość wzięła górę, zapytałam więc swoją sąsiadkę:

— Kim jest ta piękna dama, która ma niebieskie oczy i sepleni?

Zapadła cisza, jakbym powiedziała coś niestosownego. Gdyby pani de Noailles była przy stole, jej mina zdradziłaby mi, jak bardzo niewłaściwe pytanie zadałam.

Bardzo długo czekałam na odpowiedź, ale w końcu usłyszałam:

— To pani du Barry.

— Pani du Barry! Nie została mi przedstawiona.

Wszyscy wpatrywali się w swoje talerze, z trudem powstrzymując uśmiech.

— A co pani o niej myśli, madame?

— Jest czarująca. Jaką funkcję pełni na dworze?

Znów zapadła cisza, kilka osób się zarumieniło, inni kryli uśmiech.

— Och, madame, pani du Barry umiła czas królowi.

— Umiła czas królowi? — uśmiechnęłam się. — W takim razie pragnę zostać jej rywalką.

Cóż ja takiego powiedziałam? Wydawało mi się, że wyraziłam tylko swoją sympatię i lojalność wobec króla. Dlaczego wszyscy mieli takie dziwne miny? Pełne przerażenia i wesołości zarazem.

* * *

Następnego ranka opuściliśmy La Muette i cała kawalkada skierowała się w stronę Wersalu. Siedziałam w karecie wyprostowana jak struna, ponieważ towarzyszyła mi hrabina de Noailles, która udzielała mi kolejnej lekcji. Moje zachowanie poważnie ją niepokoiło; powinnam wiedzieć, że dwór francuski jest całkiem inny niż austriacki. Nie wolno mi zapominać, że mój dziadek jest królem Francji i choć etykieta zabrania mu okazywać niezadowolenie, to wcale nie można wykluczyć, że moje zachowanie mu się nie podoba. Słuchałam jej tylko jednym uchem, bo martwiłam się, że rzeczywiście rozczarowałam delfina. Pomyślałam także o mojej siostrze Karolinie, która tego dnia na pewno będzie się za mnie modliła, a może nawet będzie płakała nad moim losem.

W końcu dotarliśmy do Wersalu.

Wersal wywarł na mnie ogromne wrażenie. Przez całe dzieciństwo słyszałam, jak szeptano: „Właśnie tak robią to w Wersalu”, co oznaczało, że właśnie tak to robić należy.

Przed bramami pałacu kłębiło się mnóstwo kramarzy, sprzedających szpady i kapelusze. Słyszałam później, jak mówiono, że Wersal to grana na okrągło sztuka na temat królewskiego życia. Było w tym wiele prawdy, bo każdy, z wyjątkiem psów, żebraków i chorych na ospę, mógł wejść do Salonu Herkulesa, pod warunkiem że miał szpadę i kapelusz. Trudno było doprawdy nie wybuchnąć śmiechem na widok ludzi, którzy nigdy nie nosili szpady, jak z tym wypożyczonym atrybutem szlachectwa maszerowali chwiejnym krokiem do pałacu. Do Wersalu wpuszczano nawet prostytutki — pod warunkiem że nie będą tam reklamować swoich usług ani szukać klientów. Żeby wejść do prywatnej części pałacu, trzeba było zostać przedstawionym na dworze. Ale w gruncie rzeczy w Wersalu nie było żadnego prywatnego życia. Na wiedeńskim dworze, na którym wszystko odbywało się w znacznie prostszy sposób, przyzwyczaiałam się do tego, że często ktoś mi patrzy na ręce. Ale tu, w Wersalu, czułam, że jestem wystawiona na widok publiczny przez cały dzień.

Brama pałacowa otworzyła się i przejechaliśmy między szpalerem Gwardii Szwajcarskiej i Francuskiej. Ogarnęło mnie dziwne uczucie podniecenia pomieszanego z lękiem. Rzadko zdobywałam się na autorefleksję, ale tego dnia miałam nieodparte wrażenie, że oto wypełnia się moje przeznaczenie, którego nie mogę zmienić, nawet gdybym bardzo, tego pragnęła.

Na pałacowym dziedzińcu stało już mnóstwo ekwipaży książąt i arystokratów. Krzyknęłam z zachwytu na widok koni przystrojonych czerwonymi pióropuszcami i niebieskimi kokardami, ponieważ kochałam konie niemal tak gorąco jak psy; końskie grzywy przeplatane kolorowymi wstążkami tańczyły przy każdym ruchu rumaków.

Niezliczone okna pałacu lśniły jak diamenty. I w ten sposób wkroczyłam do Wersalu, który miał być moim domem przez wiele lat — aż do chwili, w której mnie z niego wypędzono.

Na początku umieszczono mnie w apartamencie na parterze, ponieważ pokoje, które zazwyczaj zajmowały królowe Francji nie zostały jeszcze przygotowane. Gdy teraz myślę o Wersalu, pamiętam najdrobniejsze szczegóły apartamentu, do którego przeniosłam się sześć miesięcy później — przepiękne komnaty, które łączyły się z Galerią Zwierciadeł. W tej samej sypialni mieszkała Maria Teresa, żona Ludwika XIV i Maria Leszczyńska, żona Ludwika XV; z okien widać było jezioro i schody wiodące do oranżerii, w której rosło dwieście drzewek pomarańczowych.

Po przyjeździe zaprowadzono mnie jednak do apartamentu na parterze, gdzie już czekały na mnie moje smutne damy dworu z suknią ślubną. Na widok tego stroju aż otworzyłam usta z zachwytu, a wszystkie moje ponure myśli pierzchyły bez śladu. Nigdy w życiu nie widziałam piękniejszej sukni, oczarowała mnie zwłaszcza krynolina wyszywana białym brokatem.

Gdy tylko dotarłam do apartamentu, pojawił się król, by w swym czarującym stylu powitać mnie w Wersalu. Towarzyszyły mu dwie dziewczynki, siostry mojego męża, Klotylda i Elżbieta. Jedenastoletnia Klotylda była dość okrągłutka, ale szalenie miła; jej młodsza siostra wzbudziła mój nieklamany zachwyt, ucałowałam ją więc i powiedziałam, że na pewno się zaprzyjaźnimy. Król nie krył zadowolenia i szepnął, że im częściej mnie widuje, tym trudniej mu uwolnić się od mojego uroku. Potem wyszedł, zabierając ze sobą dziewczynki, a damy dworu zaczęły przygotowywać mnie do ceremonii ślubnej.

O trzynastej zjawił się delfin, by poprowadzić mnie do kaplicy. Było bardzo gorąco, ale choć jego strój mienił się złotem, mój narzeczony był zimny i surowy. Nawet na mnie nie spojrział. Wziął mnie za rękę i poprowadził w stronę komnaty, z której miał wyruszyć pochód. Pamiętam tylko kominek z czerwonego marmuru i zapach pomady; w powietrzu unosiły się tumany pudru, szeleściły jedwabne i brokatowe falbany obszernych spódnic dam.

Wielki Mistrz Ceremonii poprowadził procesję. Delfin trzymał mnie za rękę. Jego dłoń była ciepła, lepka i obojętna. Starłam się uśmiechnąć do niego, ale unikał moich spojrzeń, nie mogłam natomiast nic do niego szepnąć, bo tuż za mną szła pani de Noailles. Za nią maszerowali książęta krwi, potem bracia mego męża oraz król. Za nimi dreptały małe księżniczki, które niedawno poznałam, razem z ciotkami i pozostałymi damami z książęcych rodów.

Przeszliśmy przez Galerię Zwierciadeł i Wielkie Apartamenty do kaplicy, w której stała szpalerem Gwardia Szwajcarska. Na widok króla gwardziści dmuchnęli we flety i uderzyli w bębny. Kaplica była znacznie bogatsza niż pałacowa kaplica w Wiedniu. Moja matka z pewnością uznałaby ten wystrój za niewłaściwy, bo choć biel komponowała się nieźle ze złotem, to aniołki wydawały się bardziej lubieżne niż święte.

Oboje uklękliśmy na czerwonym aksamicie, zdobionym złotymi frędzlami, a wielki jałmużnik Francji kardynał de la Roche-Aymon przystąpił do odprawiania ceremonii.

Pan młody był coraz bardziej znudzony i niezdarnie wsuwał mi pierścień na palec, bałam się nawet, że upuści złoty klejnot, który już został pobłogosławiony.

I tak zostaliśmy małżeństwem. Po błogosławieństwie arcybiskupa kontynuowano mszę i dopiero na końcu przy dźwięku organów zanesiono kontrakt ślubny królowi do podpisu. Gdy podpisał się delfin, przyszła kolej na mnie. Wzięłam pióro i drżącą dłonią napisałam niezdarnie moje pełne imię: Marie Antoinette Josephe Jeanne. Kropla atramentu spadła na dokument, a ja nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że wszyscy patrzą na mojego kleksa.

Później tego kleksa także uznano za zły omen. Jeśli rzeczywiście kleksy stanowiły jakiś omen, to trzeba przyznać, że wiele ich postawiłam przez lata nauki. Choć oczywiście ten był wyjątkowy. Widniał na moim ślubnym kontrakcie.

* * *

Można by uznać, że tyle ceremonii to aż nadto na jeden dzień. Ale nie! Teraz byłam już prawdziwą następczynią tronu i pani de Noailles zaprowadziła mnie do apartamentu, gdzie miałam przyjąć przysięgę wierności od służby. Od dam dworu, ochmistra, osobistego księdza, koniuszych, dwóch aptekarzy i czterech chirurgów. Nie wiedziałam tylko, po co mi tylu medyków, skoro cieszę się doskonałym zdrowiem. Dostałam także osobistego zegarmistrza i tkacza oraz perukarza. Czekало na mnie sto sześćdziesiąt osiem osób, które odtąd miały się troszczyć o wszystkie moje potrzeby.

Gdy już przyjąłam przysięgę wierności od wszystkich piwnicznych, kucharzy, lokajów i kiperów, zaczęłam się śmiać i ziewać, bo wszystko wydało mi się tak absurdalne. Nie miałam pojęcia, że wszyscy mnie za to znienawidzą. Zupełnie nie rozumiałam Francuzów. W ciągu tych pierwszych dni obraziłam wiele osób, nie mając o tym pojęcia. Gdy zaś zrozumiałam swoje błędy, niewiele dało się naprawić. Wszystko, co byłoby oczywiste dla kogoś trochę mądrzejszego ode mnie, mnie wydawało się niepojęte. Etykieta, której tak surowo przestrzegano w sferach wyższych, znaczyła bardzo wiele dla osób niższego stanu. Mój lekceważący stosunek do francuskich obyczajów wzbudził w tych ludziach taki sam niesmak, jak w pani de Noailles.

A ja nie mogłam się doczekać końca tej ceremonii, bo pragnęłam otworzyć ślubne prezenty, które ofiarował mi król. Spodziewałam się ujrzeć wspaniałości, ponieważ już doświadczyłam królewskiej hojności. I nie rozczarowałam się. Król podarował mi komplet toaletowy z niebieskiej emalii, kuferek z przyborami do szycia oraz szkatułkę i wachlarz wysadzane diamentami. Uwielbiałam te kamienie, które mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

Podniosłam kuferek z przyborami do szycia i oświadczyłam:

— Najpierw wyhaftuję coś dla króla. Kamizelkę.

Pani de Noailles przypomniała mi, że powinnam zapytać Jego Wysokość o pozwolenie. Roześmiałam się, mówiąc, że to ma być przecież niespodzianka. Po chwili dodałam jednak, że praca zajmie mi zapewne wiele lat, więc może rzeczywiście powinnam uprzedzić króla o swoich planach, by nie uznał, że jestem niewdzięczna.

Pani de Noailles miała zrozpaczoną minę. Biedaczka! Przemianowałam ją już na Madame Etykietę, a gdy napomknęłam o tym jednej z moich służących, tamta zaśmiała się głośno. Ucieszyło mnie to i postanowiłam sobie w duchu, że będę zawsze żartować z ich etykiety, bo inaczej trudno byłoby ją znieść.

Król podarował mi także mnóstwo przedmiotów z kutego żelaza, które miały ozdobić moje komnaty. Gdy podziwiałam prezenty, rozległy się grzmoty. Kryształowobłękitne niebo zasnuły chmury. Od razu pomyślałam o tłumach biedaków, czekających przy drodze prowadzącej do Wersalu na pokaz fajerwerków, który miał uświetnić dzień ślubu po zmroku. Deszcz popsuł im całą przyjemność.

Podczas burzy miałam okazję poznać nieco bliżej moje nowe ciotki. Gdy weszłam do swego apartamentu, ujrzałam ciotkę Zofię, pogrążoną w ożywionej i przyjacielskiej rozmowie z jedną z moich służących. Zdziwiło mnie to, ponieważ do tej pory rzadko się odzywała. A teraz rozmawiała całkiem poufale z tą biedaczką, która nie wiedziała, gdzie podziać oczy i jak się zachować. Gdy podeszłam do nich, madame Zofia ścisnęła dziewczynę za rękę. Kiedy mnie ujrzała, zarzuciła mnie pytaniami na temat mego samopoczucia. Oświadczyła, że nie znosi burzy. Właśnie wtedy potężny grzmot wstrząsnął pałacem, a ciotka Zofia przytuliła się do oszołomionej służącej. To był doprawdy niecodzienny widok.

Madame Campan powiedziała mi później, że ciotka Zofia panicznie bała się burzy i reagowała na grzmoty i pioruny radykalną zmianą zachowania. Zazwyczaj biegała po korytarzach z zawrotną

prędkością, łypiąc na wszystkich z ukosa — „niczym zając” jak to określiła pani Campan — żeby ich rozpoznać a zarazem nie spojrzeć im w oczy. W czasie burzy natomiast rzucała się na każdego, nawet na prostych służących, ścisła ich za ręce, a nawet brała w objęcia w chwilach największego przerażenia. Z czasem dowiedziałam się całkiem sporo na temat moich ciotek, lecz i ta wiedza przyszła za późno.

Gdy tylko burza minęła, Zofia zaczęła zachowywać się tak samo jak przedtem — nie odzywała się do nikogo i biegała po apartamentach w dziwny sposób. Madame Campan, która przez wiele lat była powierniczką ciotki Wiktorii, powiedziała mi, że obie starsze panie żyły w atmosferze strasznego terroru w opactwie Fontevrault, do którego posłano je na wychowanie. Pod wpływem tych doświadczeń stały się bardzo nerwowe. Zamykano je za karę w podziemiach, w których grzebano zakonnice, by dziewczęta się tam modliły. Kiedyś posłano je do kaplicy, gdzie miały się modlić za ogarniętego szaleństwem ogrodnika. „Domek nieszczęśnika sąsiedował z kaplicą, przez cały czas musiały więc słuchać jego przerażających krzyków. Od tamtej pory często ogarniały je paroksyzmy strachu” — tłumaczyła madame Campan.

Grzmoty w końcu ucichły, ale deszcz nie przestał padać i tak jak się obawiałam, paryżanie, którzy przyszli oglądać fajerwerki, odeszli z niczym. Kolejny zły znak!

Król zorganizował przyjęcie w Galerii Zwierciadeł. Widok tego miejsca zaparł mi dech w piersiach, dopiero z czasem przyzwyczałam się do niego. Pamiętam pozłacane, roziskrzzone kandelabry. W każdym z nich płonęło trzydzieści świec. Król, delfin i ja siedzieliśmy przy stole przykrytym zielonym aksamitem, zakończonym pozłocanymi frędzlami i graliśmy w karty. Na szczęście głupie gry karciane wychodziły mi znacznie lepiej niż pisanie. Oboje z królem posyłaliśmy sobie uśmiechy, podczas gdy delfin siedział w milczeniu, jakby nie lubił kart — bo rzeczywiście tego nie znosił.

Gdy tak siedzieliśmy przy zielonym stole, przechodzili koło nas ludzie, by nam się przyjrzeć. Zastanawiałam się, czy nie powinnam przypadkiem uśmiechać się do nich, gdy jednak zauważyłam, że król zupełnie nie zwraca na widzów uwagi, poszłam w jego ślady. W tłumie było trochę intruzów, bo choć obowiązywały zaproszenia, to część gapiów, którzy nie doczekali się fajerwerków, przedostała się przez szlabany i wtargnęła do pałacu. Strażnicy i gwardziści nie potrafili ich powstrzymać w porę, potem zaś nie chcieli wywoływać niepotrzebnego zamieszania.

Gdy przyjęcie w Galerii Zwierciadeł dobiegło końca, udaliśmy się na kolację do nowej sali operowej, którą król kazał wznieść z okazji mego przyjazdu do Francji. Eskortowała nas strojna Gwardia Szwajcarska w sztywnych krezach i czapkach z pióropuszcami oraz straż przyboczna, odziana równie kolorowo w haftowane srebrem mundury, czerwone bryczesy i pończochy.

Wnętrze pięknej sali zostało na ten wieczór całkowicie inaczej zaaranżowane. Na podeście ustawiono stół, udekorowany kwiatami i lśniącym szkłem. Zajęliśmy nasze miejsca zgodnie z etykietą: król u szczytu stołu, ja po jednej jego stronie, mój mąż po drugiej. Koło mnie posadzono mojego młodszego, psotnego szwagra, hrabiego d'Artois, który oświadczył, że gotów jest nie tylko mnie zabawiać, ale i zastąpić delfina w każdej potrzebie, mając na względzie honor Francji. Zachowywał się bez wątpienia dość zuchwale, ale polubiłam go od pierwszego wejrzenia.

Koło niego siedziała ciotka Adelajda, która niewątpliwie rozkoszowała się tą sytuacją. Nie spuszczała oka ze swych sióstr i penetrując wzrokiem salę, rozmawiała ze mną ponad głową młodzieńca. Wyraziła nadzieję, że uda nam się w końcu porozmawiać na osobności. Zabrzmiało to jak rozkaz. Artois uniósł brew do góry tak, by Adelajda tego nie spostrzegła, a ja poczułam, że mam w nim sprzymierzeńca. Po przeciwnej stronie stołu siedziała najniższa rangą członkini dwudziestojednoosobowej rodziny królewskiej — księżna de Lamballe, którą tak dobrze zapamiętałam już pierwszego dnia. Uśmiechała się do mnie czarująco, a ja poczułam, że mając u swego boku króla, szwagra i księżnę, nie muszę się obawiać o swoją przyszłość.

Byłam za bardzo podniecona, żeby cokolwiek jeść, ale zauważyłam, że mój mąż nie narzekał na brak apetytu. Nie znałam nikogo, kto byłby równie obojętny na to, co się dzieje dokoła niego. Delfin mógłby równie dobrze siedzieć tu samotnie, ponieważ interesował się wyłącznie jedzeniem. Rzucił się na każdą kolejną potrawę, jakby właśnie wrócił śmiertelnie głodny po ciężkim dniu polowania.

Zauważywszy wilczy apetyt swego wnuka, król powiedział do niego głośno:

— Za bardzo się angażujesz w jedzenie, Berry. Na twoim miejscu nie przeciążałbym żołądka tej nocy.

Wówczas odezwał się mój mąż. Wszyscy nadstawili uszu, ponieważ odzywał się bardzo rzadko.

— Sypiam znacznie lepiej po sutej kolacji.

Artois z trudem ukrył rozbawienie, większość obecnych bardzo zainteresowała się nagle swoimi talerzami; niektórzy podjęli ożywioną rozmowę z sąsiadami, odwracając głowy w inną stronę.

Król spojrział na mnie ze smutkiem, a potem zaczął rozmawiać z hrabią Prowansji.

* * *

Dalsza część wieczoru wprawiła mnie w takie zakłopotanie, że nawet dziś z niechęcią o tym myślę. Nadeszła noc. Gdy patrzyłam przez stół w stronę mego męża, odwracał nerwowo głowę. Zrozumiałam, że denerwuje się tak samo jak ja. Wiedziałam, co mnie czeka tej nocy i byłam pewna, że jeśli nawet będzie to nieprzyjemne doświadczenie, to w jego wyniku spełni się moje najskrytsze marzenie. Będę miała dziecko. A to jest warte każdej ceny.

Wróciliśmy do pałacu i rozpoczął się ceremoniał nocy poślubnej. Księżna de Chartres, najwyższa rangą spośród zamężnych kobiet, podała mi koszulę nocną. Potem zaprowadzono mnie do sypialni, gdzie czekał już na mnie mój mąż. Jemu pomógł się przebrać w nocny strój sam król. Usiedliśmy na łóżku obok siebie. Delfin nawet na mnie nie spojrział. Nie byłam pewna, czy uważa to wszystko za coś idiotycznego, czy też jest śpiący po sutej kolacji. Baldachim został rozsunięty, by wszyscy dobrze nas widzieli. Arcybiskup Reims pobłogosławił nasze łożo i skropił je wodą święconą. Wyglądaliśmy chyba bardzo dziwnie — oboje tacy młodzi, nieledwie dzieci. Ja — oblana rumieńcem i wystraszona, mój mąż — znudzony. I rzeczywiście byliśmy przestraszonymi dziećmi.

Król uśmiechnął się do mnie, jakby pragnął być na miejscu delfina, a potem odwrócił się ku wyjściu. Wszyscy uklonili się dwornie i podążyli za nim, a służące opuściły baldachim i zostawiły mnie sam na sam z mężem.

Położyliśmy się obok siebie. Czułam się bardzo samotna, zamknięta w klatce z obcym człowiekiem. Nawet nie próbował mnie dotknąć, nie powiedział ani słowa. A ja leżałam i wsłuchiwałam się w bicie mojego serca... a może to było jego serce... Czekałam... czekałam...

A więc do tego zmierzały wszystkie przygotowania; uroczysta ceremonia w kaplicy, wspaniały bankiet, zawstydzające przedstawienie w sypialni. Miałam zostać matką następcy tronu; w tym łóżku powinna zostać poczęta przyszłość Francji.

Ale nic się nie zdarzyło... nic. Leżałam zupełnie przytomna. Jeszcze tylko chwilka, mówiłam sobie. Ale delfin leżał równie nieruchomo jak ja... w milczeniu, nie próbując mnie dotknąć.

Po chwili już spał.

A ja byłam oszołomiona i, w pewnym sensie, rozczarowana.

Dziś wiem, że cierpiał tak samo jak ja. Następnego dnia napisał w swoim dzienniku jedno słowo: „Nic”.

Rozdział 3

Złe wróżby

Po pożarze, który wybuchł na placu Ludwika XV w czasie weselnych uroczystości, delfin i delfina rzekli się swych rocznych dochodów na rzecz nieszczęsnych rodzin, które straciły swych bliskich w tej katastrofie.

Pamiętniki pani Campan

Nie jestem pewna, kiedy zaczęłam pojmować, że nic nie jest takie, jakie mi się wydaje. Jako lekkomyślna, nie znająca życia dziewczyna, zbyt szybko wyciągałam wnioski z tego, co widziałam, nie rozumiejąc, że moi nowi rodacy, uwielbiający etykietę i dbający o nieskazitelne maniery w każdej sytuacji, są mistrzami pozorów.

Wierzyłam, że mój mąż i ja zostaniemy czułymi kochankami, że będziemy wędrować ręka w rękę po wspaniałych ogrodach Wersalu, i że nim minie rok, będę kołysała i tuliła syna, który da mi więcej szczęścia, niż wszystkie moje pieski razem wzięte. Okazało się jednak, że jestem całkowicie obojętna mojemu delfinowi.

Byłam w tym zupełnie zagubiona. Wszyscy przyglądali się nam ukradkiem: król z rezygnacją, ciotki z ciekawością, bracia mego męża ze źle skrywanym rozbawieniem. Ale Mercy, Starhemburg i ojciec Vermond byli wyraźnie zmartwieni.

Coś nie wyszło. Nie spodobałam się delfinowi. I właśnie ja byłam temu winna.

Nie od razu to do mnie dotarło. Rozumiałam tylko, że małżeństwo wcale nie jest takie, jakie mi się wydawało. Dzień po nocy poślubnej był pełen najróżniejszych uroczystości, nie miałam więc czasu się nad tym zastanawiać. Wieczorem odbyło się przedstawienie operowe „Perseusza”, które byłoby całkiem znośne, gdyby ktoś nie starał się go na siłę unowocześnić, uzupełniając baletem w nowym stylu. Artystom nie sprzyjała chyba szczęśliwa gwiazda. Reżyser złamał nogę podczas próby generalnej i przez cały wieczór wisiał na wyciągu. Dekoracje i rekwizyty odmawiały posłuszeństwa. Na moją cześć nad ołtarzem Hymena zawieszono wielkiego orła — herb mojej rodziny. Ptak jednak, zamiast wisieć posłusznie na swoim miejscu, spadł na ołtarz. Perseusz poślizgnął się i runął u stóp Andromedy właśnie wtedy, kiedy miał ją uratować. Co gorsza, wszystkie te potknięcia i katastrofy były najciekawszymi momentami spektaklu. Podobno reżyser chciał popełnić samobójstwo.

Nudziłam się tak okropnie, że nie mogłam się powstrzymać od ziewania. Na domiar złego wiedziałam doskonale, że jestem pod stałą obserwacją i bardzo się bałam, że matka wkrótce się dowie o moim skandalicznym zachowaniu. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Potem położyłam się do łóżka razem z mężem i wszystko potoczyło się tak samo jak poprzedniej nocy, tyle że tym razem nie wpatrywałam się w sufit, bo byłam bardzo zmęczona nieprzespaną nocą i nudnym przedstawieniem.

Kiedy się obudziłam, delfina koło mnie nie było. Dowiedziałam się, że mój mąż zwykł wstawać o świcie, by wyruszać na polowanie. Wszyscy o tym wiedzieli i wszyscy się dziwili, że woli tę rozrywkę niż poranek u boku nowo poślubionej żony.

Gdy wrócił do domu, odezwał się do mnie, a że czynił to rzadko, dobrze zapamiętałam jego słowa i ton, jakim je wypowiedział.

Zapytał chłodno:

— Dobrze spałaś?

— Tak — odpowiedziałam.

A wtedy on się uśmiechnął nieznacznie i odwrócił.

Ojciec Vermond, towarzyszący mi wówczas, miał bardzo ponurą minę. Wzięłam więc na ręce jednego z piesków, które mi podarowano i zaczęłam się z nim bawić. Gdy jednak usłyszałam, jak ojciec Vermond mruczy pod nosem: „Serce się kraje”, nie miałam już wątpliwości, że coś jest nie w porządku. Wszyscy uważali, że jestem ładna i zgrabna, ale najwyraźniej nie pociągałam delfina. Nie potrafił mnie pokochać.

Odwiedził mnie hrabia Flerimond Claude de Mercy–Argenteau, który od wyjazdu z Wiednia ciągle kręcił się w pobliżu. Przyszedł, by zadać mi kilka krępujących pytań. Matka mówiła, że powinnam mieć do niego pełne zaufanie, że powinnam słuchać jego rad i że dzięki niemu będziemy zawsze w kontakcie. Na pewno miała rację, ale pan de Mercy–Argenteau był taki stary i surowy, choć niewysoki i przygarbiony. Wiedziałam, że jest bardzo mądry, ale fatalnie się czułam w jego towarzystwie, bo podejrzewałam, że mnie szpieguje, a żaden szpieg nie budzi sympatii, niezależnie od tego, z jakiego powodu podjął się takiego zadania.

Pochodził z Flandrii i na pewno miał słabość do Francuzów, lecz nigdy nie przestał być lojalnym sługą mojej matki. Koncentrował się na tym, by jak najlepiej wypełnić powierzoną mu misję, co wprawiało mnie w coraz większy niepokój. De Mercy–Argenteau był podwładnym Kaunitza, a to także nie nastrajało mnie optymistycznie.

Zadawał dość ogólnikowe pytania, jednak doskonale rozumiałam, o co mu chodzi; chciał wiedzieć, co się działo w naszym małżeńskim łóżku.

Powiedziałam więc, że podejrzewam swego męża o obojętność wobec mnie. Wyznałam, że mnie nie dotyka, że zasypia, gdy tylko się położy i wstaje znacznie wcześniej niż ja, aby wyruszyć na polowanie.

— Dziwi panią zapewne takie zachowanie młodego męża, madame. Przytaknęłam, choć w gruncie rzeczy nie wiedziałam, czego należy się spodziewać po małżonku.

— Studiowałam medycynę — ciągnął książkę — i sądzę, że delfin rozwija się wolniej niż jego rówieśnicy, ponieważ jego kondycję zachwiał zbyt szybki wzrost.

A więc to tak! Przyszedł mi na myśl hrabia de la Vauguyon, który był gubernierem mego męża i wciąż miał na niego bardzo wielki wpływ. Ten człowiek od początku nie przypadł mi do gustu.

— Oziębłość mego męża jest na pewno spowodowana wychowaniem, jakie otrzymał. Sądzę, że delfinowi nic nie dolega, podejrzewam jednak, że jego gubernier, pan de la Vauguyon terroryzował go tak bardzo, że... — Urwałam.

Pragnęłam za wszelką cenę znaleźć jakieś wytłumaczenie oziębłości mego męża, byle tylko uwolnić się od poczucia, że to moja wina.

Mercy popatrzył na mnie chłodno. Jego przenikliwe spojrzenie bardzo mnie zmieszało.

— Jestem pewien, że cesarzowa będzie się bardzo niepokoić, gdy dotrą do niej wieści z Wersalu. Wytłumaczę jej, że trzeba jeszcze poczekać, i powiem, co moim zdaniem dolega delfinowi.

Wyobraziłam sobie matkę i zadrzałam, ponieważ onieśmielała mnie nawet wtedy, gdy dzieliła nas tak wielka odległość. Czułam, że będzie mną zawiedziona, ponieważ oczekuje wieści na temat spodziewanych narodzin wnuka. Jak jednak mam jej urodzić wnuka, skoro mój mąż mnie ignoruje!

Mercy zmienił temat i powiedział, że powinnam zachowywać się nieco bardziej powściągliwie w stosunku do króla. Czy nie wydaje mi się, że zachowuję się zbyt swobodnie? Oświadczyłam, że nie mam wątpliwości, iż przynajmniej dziadek darzy mnie sympatią. On nie jest wobec mnie tak chłodny. Powiedział przecież, że pokochał mnie, gdy tylko mnie zobaczył i że cała rodzina jest mną zachwycona.

— Powiem pani, co król Francji napisał do cesarzowej — odparł Mercy. — „Małżonka delfina wydaje mi się dość żywa, lecz bardzo dziecinna. Jest jednak bardzo młoda i na pewno z tego wyrośnie”.

Czułam, że oblewam się rumieńcem. Bardzo łatwo się rumieniłam. A więc napisał coś takiego, mimo że szeptał mi do ucha same komplementy!

Mercy uśmiechnął się, widząc moje zakłopotanie. Uważał na pewno, że powinnam się tak poczuć, bo w żaden inny sposób nie zrozumiałabym tej ważnej lekcji.

Po jego wyjściu byłam bardzo przygnębiona. Nie polubili mnie ani mój mąż, ani król, tyle że ten pierwszy nie ukrywa swych uczuć, a drugi je kamufluje.

Rzeczywiście, wiele się muszę nauczyć.

Ciotki były wobec mnie miłe. Sugerowały, że pragną się ze mną zaprzyjaźnić. Gdy więc otrzymałam zaproszenie od ciotki Adelajdy, z radością kazałam zapowiedzieć swą wizytę.

Kiedy znalazłam się w apartamencie Adelajdy, ciotka objęła mnie czule. Potem odsunęła mnie na odległość ramienia i powiedziała:

— Żona Berry’ego. — Zachichotała. — Zaraz zawiadomię Wiktorię, a ona pośle po Zofię. Zorganizujemy sobie sympatyczne przyjęcie. We czwórkę.

Przy stole siedziała jakaś młoda kobieta z książką. Uśmiechnęłam się uprzejmie. Nieznajoma wydała mi się okropnie zaniedbana, ale jednocześnie od razu ją polubiłam. Poczula moje spojrzenie, bo natychmiast zerwała się z miejsca, dygnęła i zarumieniła się nieco.

— To nasza lektorka, Jeanne Louise Henriette Genet — wyjaśniła ciotka Adelajda. — Bardzo dobrze czyta. Jesteśmy z niej ogromnie zadowolone.

Powiedziałam lektorce, że może usiąść i natychmiast się zorientowałam, iż popełniłam błąd. Nie powinnam próbować upraszczać ich skomplikowanej etykiety. Na szczęście ciotka Adelajda była do mnie tak pozytywnie nastawiona, że nie zwróciła uwagi na moje uchybienie. W drzwiach pojawiła się ciotka Wiktoriana.

— Posłałaś po Zofię? — zapytała Adelajda.

— Tak, tuż przed wyjściem — odrzekła jej siostra.

Adelajda kiwnęła głową. Potem obróciła się w kierunku młodej kobiety, by pozwolić jej odejść. Lektorka wyslizgnęła się cichutko jak myszka — nawiasem mówiąc naprawdę przypominała myszkę, ponieważ była drobna, szara i powściągliwa.

Nie miałam jednak czasu o niej myśleć, bo do apartamentu weszła Zofia.

— Przyszła żona Berry’ego — powiedziała Adelajda.

Zofia zmusiła się, by na mnie spojrzeć. Uśmiechnęłam się i podeszłam do niej, by ją pocałować. Musiałam pokonać wielką odrazę, bo ciotka Zofia była strasznie brzydka; nie odwzajemniła mego pocałunku. Stała nieruchomo ze spuszczonej rękami, odwracając uparcie wzrok.

Adelajda roześmiała się głośno i powiedziała, że możemy chyba usiąść. Pomimo obecności delfiny. Wtedy ja się roześmiałam. Wiktoriana spojrzała na starszą siostrę i przyłączyła się do nas, a gdy Adelajda szturchnęła Zofię, tamta także się zaśmiała. Poczulałam się okropnie nieswojo.

— A więc — zaczęła Adelajda — to ty jesteś żoną Berry’ego. Dziwny z niego chłopak. — Pokiwała głową i popatrzyła na siostry, które zrobiły to samo, choć Zofia, jak zwykle, trochę się spóźniła. — Nie taki jak inni chłopcy — ciągnęła Adelajda, przysuwając twarz bliżej mego ucha.

Wyglądała chyba na zaskoczoną, bo pozostałe ciotki energicznie pokiwały głowami.

— Ma niezły apetyt — wtrąciła Wiktoriana.

— Ona uważa, że to świadczy na jego korzyść — zaśmiała się Adelajda. — Powinnaś zobaczyć jak Wiktoriana je. Ma przysłowiowy apetyt Burbonów.

— Ale nie znoszę kruchego ciasta — przyznała się Wiktoriana konspiracyjnym szeptem.

— Ona myśli tylko o jedzeniu i swoim wygodnym fotelu.

— Lubię komfortowe życie — potwierdziła Wiktoria.

Zofia słuchała błyskotliwej konwersacji siostr ze zdumieniem. Polubiłam je. Uznałam, że są całkiem miłe, choć prostoduszne. Tego dnia szczególnie pragnęłam mieć nowych przyjaciół.

— Biedny Berry! Nigdy się nie śmiał i nie robił psikusów — westchnęła Adelajda.

— Nie to, co Artois! — dodała Wiktoria.

— No wiesz — prychnęła Adelajda. — Ten chłopak ma już kochankę! W jego wieku! — szepnęła.

— Jest rzeczywiście bardzo młody — przytaknęłam.

— A Berry... — Adelajda spojrzała na Wiktorię i obie wybuchnęły śmiechem. Po chwili dołączyła do nich Zofia. — On nigdy nie interesował się dziewczętami.

— Ale lubi dobrze zjeść. — Wiktoria zwykła stawać w obronie mego męża.

Adelajda spojrzała na siostrę ze zniecierpliwieniem i Wiktoria zeszytniała.

— Kiedy odwiedzał mnie w dzieciństwie, mówiłam: „Tutaj możesz robić, co chcesz, Berry. Możesz gadać. Możesz krzyczeć, hałasować. Mój biedny Berry, daję ci wolną rękę”.

— I co on na to? — zapytałam.

Adelajda pokręciła głową i po chwili już wszystkie trzy kręciły głowami.

— On był całkiem inny niż chłopcy w jego wieku — ciągnęła; po chwili jej oczy rozświetlił błysk ciekawości. — Ale teraz jest żonaty. Czy jest prawdziwym małżonkiem? — Zaśmiała się piskliwie, a wraz z nią siostry.

— Owszem, teraz jest moim mężem — odrzekłam z godnością.

— Mam nadzieję, że jest dobrym mężem — powiedziała Adelajda z naciskiem.

— Myślę, że tak.

Wiktoria zaczęła się śmiać, ale ucichła, czując na sobie spojrzenie starszej siostry, która postanowiła zmienić temat.

— Co sądzisz o tej obcej damie, która była na kolacji w La Murette?

— Och... chodzi o tę piękną Dame o niebieskich oczach...

— O tę, która sepleniała.

— Uważam, że jest czarująca.

Wiktoria i Zofia spojrzały na Adelajdę, nie wiedząc, jak zareagować. Adelajda spojrzała na mnie bojowo.

— Ta kobieta wie, gdzie króla na zatracenie.

Oniemiałam ze zdumienia.

— Jakże to...? Słyszałam, że ma mu umilać czas.

Adelajda wybuchnęła gdaczącym śmiechem, dając przykład pozostałym siostram.

— To jest *putain*. Rozumiesz?

— Nigdy nie słyszałam tego słowa.

— To kochanka króla. Czy teraz już wszystko jasne? Pokiwałam głową, a Adelajdzie niebezpiecznie zabłyśły oczy.

— Pracowała w burdelach, zanim się tu pojawiła. Podobno król jest z niej zadowolony, bo ona zna mnóstwo nowych sztuczek... Sporo się nauczyła w tych burdelach.

Moje policzki płonęły prawdziwym ogniem i byłam bardzo zakłopotana.

— To niemożliwe...

— Och, jesteś jeszcze młoda, moja droga. I niewinna. Nie znasz tego dworu. Potrzebujesz przyjaciół... kogoś, kto doskonale zna jego ciemne strony i pomoże ci znaleźć właściwą drogę. — Adelajda chwyciła mnie za ramię i zbliżyła swoją twarz do mojej. Jej siostry też się przysunęły, kiwając głowami, a ja miałam ochotę natychmiast uciec i zapytać króla, czy to prawda. Ale

przecież okazało się, że wcale nie znam króla. Że on nie jest taki, jaki mi się wydawał. Wiedziałam, że na pewno mogę ufać tylko Mercy'emu.

Adelajda ciągnęła monotonnym głosem:

— Król nie powinien zapraszać jej na tę kolację... w takiej chwili. To była zniewaga... on cię obraził. Twoja pierwsza rodzinna kolacja... Wybrał właśnie ten moment, by ją zaprosić, choć nigdy przedtem tego nie robił.

Wtedy zrozumiałam zaniepokojenie pozostałych gości. Oni wiedzieli, że ta kobieta, ta ładaczniczka będzie na kolacji i że to jest zniewaga. Mnie także to bardzo dotknęło, bo zrozumiałam, że król rzeczywiście nie żywi wobec mnie szacunku. Wydawało mi się, że król mnie kocha, a on śmiał się z mojej naiwności i zapraszał swą metresę na kolację, by mnie obrazić. To była bardzo wyrafinowana gra, pod którą kryło się coś przerażającego.

— Nie powinnaś się martwić — odezwała się Adelajda. — My jesteśmy twoimi przyjaciółkami.

Spojrzała na siostry, a one zaczęły kiwać głowami.

— Możesz nas odwiedzać, kiedy tylko zechcesz. Dostaniesz klucz do tych apartamentów. Proszę! Czy to nie jest dowód naszej miłości? Jesteśmy twoimi przyjaciółkami. Możesz nam zaufać. Nauczymy cię, jak zrobić z Berry'ego dobrego męża. Przychodź do nas śmiało, my ci pomożemy.

Adelajda sama przygotowywała kawę w swoim apartamencie. Była z tego bardzo dumna i nie pozwalała, by zrobił to za nią ktoś ze służby.

— Król mnie nauczył — wyjaśniła. — Gdy byłyśmy młodsze, przygotowywał kawę w swoim apartamencie i przynosił ją tutaj. Wówczas posyłałam po Wiktorię, a ona po Zofię, Zofia zaś po Ludwikę... Póki Ludwika nie poszła do klasztoru. Została zakonnica nie tylko po to, by zbawić własną duszę, ale przede wszystkim ze względu na duszę króla. Ciągle się za niego modli, bo się boi, że król umrze w grzechu. Co by było, gdyby umarł w łóżku, koło tej kurtyzany? Ludwika przychodziła najpóźniej, gdy król już zbierał się do odejścia. To były szczęśliwe dni... tamtej kobiety tu jeszcze nie było. Oczywiście przed nią była madame Pompadour. Król zawsze był uwodzicielem. A kiedyś... — W oczach Adelajdy pojawił się wyraz rozmarzenia. — Wszyscy się starzejemy. Ja byłam jego ulubienicą. Mówił na mnie „Loque”. Tak pieszczotliwie. Do tej pory czasem tak do mnie mówi. A Wiktorię nazywa „Coche”.

— To dlatego, że tak lubię jeść — wtrąciła się Wiktoria. — I przez to trochę utylam... ale nie jak świnia.

— Na Zofię wołał „Graille”, a na Ludwikę „Chiffe”. Nasz ojciec lubi nadawać ludziom przezwiska. Na żonę naszego brata mówił zawsze „biedna Pepa”. Miała na imię Marie Josephe. A o twoim mężu nie mówi nigdy inaczej niż „biedny Berry”.

— A dlaczego oni oboje są zdaniem króla biedni?

— Gdy Pepa się tu zjawiała, mąż ją odrzucił. Był wdowcem, kochał swoją pierwszą żonę i podczas nocy poślubnej płakał za nią w ramionach Pepy. Ale ona czekała cierpliwie, więc z czasem ją pokochał, lecz wkrótce potem umarł. I dlatego była „biedną Pepą”. A Berry... Berry bardzo się różni od większości młodych mężczyzn i dlatego jest „biednym Berrym”.

— Ciekawa jestem, czy to mu jakoś ciąży.

— Biedny Berry! Nie obchodzi go nic poza polowaniem, czytaniem, ślusarką i budowaniem...

— I jedzeniem — dodała Wiktoria.

— Biedny Berry! — westchnęła Adelajda, a za nią młodsze siostry. Po tej wizycie wiedziałam znacznie więcej o królewskiej rodzinie.

I miałam klucz do apartamentów ciotek. Miałam zamiar go często używać, bo przynajmniej w ich towarzystwie mogłam na chwilę zapomnieć o sztywnej etykietce.

Podczas balu, który zorganizowano parę dni później, było mnóstwo kłopotów z etykietą. Wszystko przez to, że książęta lotaryńscy zaczęli się domagać, by podczas tego balu, wydanego na moją cześć, ich rodzina zajęła miejsce przed wszystkimi innymi rodami książęcymi, ponieważ pochodził z niej mój ojciec. Dlatego panna de Lorraine, moja daleka kuzynka, uważała, że podczas menueta ma prawo zająć jedno z honorowych miejsc na parkiecie. Księżne z rodziny królewskiej ciskały gromy, a w królewskim pałacu zapanowało nie lada zamieszanie. Król krążył nerwowo po swoich apartamentach, nie wiedząc, jak rozwiązać dylemat. Odrzucenie prośby księcia de Lorraine oznaczałoby zniewagę austriackiej rodziny królewskiej, a przychylenie się do tej prośby byłoby obrazą rodów książąt Orleanu, Conde i Conti.

Nigdy jeszcze etykieta nie wydawała mi się takim głupim wymysłem. Król pozwolił, żeby pani du Barry siedziała ze mną przy jednym stole, a zarazem bał się, że wyrządzi mi zniewagę, dopuszczając, by mój daleki kuzyn tańczył menueta na miejscu mniej honorowym niż jego najbliższa rodzina. Postanowiłam, że nie będę niewolnicą tych idiotycznych reguł.

Król ostatecznie postanowił zadośćuczynić prośbie księcia de Lorraine. Dlatego księżne z Domu Francji nie pojawiły się na balu, wymawiając się migreną.

Prawie nie zauważyłam ich nieobecności. Tańczyłam i byłam szczęśliwa, bo uwielbiałam zabawę. Tańczyłam z moim mężem, który był bardzo niezgrabny i ciągle odwracał się w lewo, gdy powinien był odwrócić się w prawo; wtedy śmiałam się głośno, a on uśmiechał się z ociąganiem i mówił: „Nie jestem w tym za dobry!”, co wydawało mi się krokiem naprzód w naszych wzajemnych stosunkach. Zupełnie inaczej się czułam w towarzystwie mego najmłodszego szwagra, który był urodzonym tancerzem, a przy tym ciągle powtarzał, że ślicznie wyglądam i że Berry jest najszczęśliwszym mężczyzną na dworze, choć nie wiadomo, czy sobie to uświadamia. Zlekceważyłam pytanie zawarte w tej wypowiedzi. Gdy tańczyłam z Artois, było mi lżej na duszy. Cieszyłam się, że jest tu ktoś w moim wieku, ktoś, z kim mogę znaleźć wspólny język. Artois śmiał się ze wszystkiego, co mnie także śmieszyło. Miałam coraz większą pewność, że zostaniemy przyjaciółmi. Potem tańczyłam z synem starego księcia Orleanu, który w ogóle nie przypadł mi do gustu. Poruszał się z gracją, ale patrzył na mnie lodowatym wzrokiem węża. Widziałam go wówczas po raz pierwszy i potem często się zastanawiałam, czy przypadkiem nie tknęło mnie przecucie, że ów człowiek zostanie kiedyś naszym wrogiem.

Wszyscy ci ludzie byli tak inni niż moi rodacy! Czułam, iż nawet we francuskich strojach i z francuskimi manierami zawsze pozostanę Austriaczką. Zapewne jesteśmy mniej subtelni i wyrafinowani, bardziej naturalni; brak nam francuskiego dowcipu, bywamy okrutni, ale znacznie łatwiej nas zrozumieć. Mówimy to, co myślimy, i nie ukrywamy prawdziwych uczuć za murem etykiety. A we Francji liczyła się tylko etykieta. Czułam, że zaczynam się dusić z tego powodu. Chciałam krzyknąć głośno, że mnie to bardzo męczy; chciałam ją zlekceważyć, śmiać się z niej; chciałam im powiedzieć, że mogą przestrzegać swojej etykiety, ale niechże mnie do tego nie zmuszają.

Skąd mogłam wiedzieć, że bal, na którym z taką radością tańczyłam z Artois, a nawet z moim niezgrabnym mężem, był w gruncie rzeczy towarzyską katastrofą i że to mnie przypisano winę? Przeze mnie książęta lotaryńscy utarli nosa Domowi Orleańskiemu i Kondeuszom. Dla rodziny królewskiej była to śmiertelna zniewaga i nigdy nie mieli mi tego wybaczyć. Tej nocy sprzysięgli się przeciwko mnie, choć oczywiście mi tego nie okazali w bezpośrednich kontaktach. Nigdy jednak nie doświadczyłam ich ciepłych uczuć; ograniczali się do złożenia hołdu delfinowi Francji. A ja byłam taka niemądra! Nie miałam nikogo, kto mógłby mi pomóc, jeśli nie liczyć Mercy'ego, którego świadomie unikałam, i matki, będącej tak daleko. Nie dostrzegałam żadnego niebezpieczeństwa, choć przyznać trzeba, że jak przystało na Francję, na początku niebezpieczeństwo wcale nie wydawało się groźne. Nie miałam pojęcia, że to, co wydaje się

miękką, zieloną trawą, jest w istocie zdradzieckim trzęsawiskiem. Przejrzałam na oczy dopiero wtedy, gdy wpadłam już w te mokradła tak głęboko, że nie mogłam się w żaden sposób wydostać. Mądra kobieta potrafiłaby zapewne zachowywać się rozważnie — nawet na takim dworze. Ale czy lekkomyślna, głupiutka dziewczyna mogła się tu jakoś uchronić?

* * *

Mijały tygodnie, podczas których mój mąż rzadko się do mnie odzywał. Król natomiast był niezmiennie czarujący, więc szybko zapomniałam o tym, czego się dowiedziałam od Mercy'ego i ciotek. Wierzyłam, że król mnie kocha i mówiłam do niego „papo”, uznawszy, że jest za młody, bym nazywała go dziadkiem. W ferworze balów i przyjęć zapomniałam całkiem o swoich troskach. Towarzyszył mi zawsze mój szwagier, Artois. Często też odwiedzałam ciotki i zupełnie zapomniałam o niepokoju, który mnie trapił na początku. Wolałam o tym nie myśleć. Pragnęłam wierzyć, że wszyscy mnie kochają i że odniosłam wielki sukces.

Ciotka Adelajda postanowiła zabrać mnie na pokaz fajerwerków. Miałam więc pojawić się w Paryżu *incognito*, ponieważ mój oficjalny wjazd do stolicy powinien być zorganizowany bardzo uroczystie. Marzyłam o tym, by zobaczyć sztuczne ognie, więc Adelajda, która uwielbiała konspirację, oświadczyła, że mi pomoże. Wolałabym wprawdzie, żeby zabrał mnie tam mój mąż. Byłoby wspaniale, gdyby delfin był taki wesoły jak Artois. Moglibyśmy się przebrać i wymknąć niepostrzeżenie do Paryża. Ale on zajmował się wyłącznie polowaniem i ślusarką; król zaś bawił w Bellevue w towarzystwie madame du Barry. Adelajda uznała, że w tej sytuacji nic nie stoi na przeszkodzie i wyruszyliśmy do Paryża jej powozem.

Pod nieobecność swych sióstr zachowywała się znacznie mniej dziwnie. Podejrzewam, że starała się wyrzucić na nich takie wrażenie, by móc nimi rządzić; podczas podróży do Paryża zachowywała się naprawdę przyjacielsko.

Opowiedziała mi o wszystkich zabiegach, które miały uświetnić mój przyjazd do Francji. Wszystkie drzewa rosnące wzdłuż Champs-Élysées udekorowano lampami, które cudownie wyglądały po zmroku. Centrum uroczystości znajdowało się na placu Ludwika XV, gdzie koło pomnika króla wzniesiono świątynię w korynckim stylu oraz umieszczono portret mój i mojego męża, w otoczeniu figur delfinów. Brzegi Sekwany skropiono bergamotką, żeby zabić odór, który czasem unosił się nad rzeką. Fontanny natomiast tryskały winem.

— Wszystko na twoją cześć, moja droga, i na cześć twojego męża.

— W takim razie powinnam chyba to zobaczyć.

— Ale w przebraniu — zaśmiała się swoim dziwnym, metalicznym śmiechem.

— Etykieta nie pozwala, by ludzie mnie zobaczyli przed oficjalnym wjazdem do miasta?

— Otóż to. Dlatego dziś wieczorem będziemy dwiema damami, które przyszyły popatrzeć na zabawę ludu.

Gdy dojeżdżałyśmy do miasta, niebo rozświetliła nagle iluminacja, choć nie było jeszcze całkiem ciemno. Wykrzyknęłam z zachwytem, bo nigdy nie widziałam tak pięknych fajerwerków.

Tuż przed placem Ludwika XV nasza eskorta gwałtownie zatrzymała powóz. Usłyszałam krzyki i piski, zobaczyłam kłębiący się tłum, ale nie miałam pojęcia, co to może oznaczać. Stangret zawrócił, eskorta otoczyła powóz zwartym kręgiem i ruszyliśmy pędem z powrotem.

— Co się dzieje? — zapytałam.

Ciotka Adelajda nic nie odpowiedziała. Była bardzo przerażona i nie odezwała się nawet słowem w drodze powrotnej.

Następnego dnia dowiedziałam się, co się wydarzyło. Część fajerwerków eksplodowała w sposób niekontrolowany, wznecając pożar. Wozy strażackie utknęły w tłumie ludzi i powozów

uciekających z placu. Ponieważ mnóstwo ludzi biegło także w tamtą stronę, by zobaczyć, co się stało, wkrótce ruch został całkowicie sparaliżowany. Czterdzieści tysięcy osób utknęło w okolicy miejsca wypadku. Wybuchła panika. Wielu ludzi stratowano, zmiżdżono kilka powozów, gdy konie usiłowały uwolnić się z uprzęży. Ludzie, chcąc jak najszybciej wydostać się z pułapki, deptali po ciałach tych, którzy upadli. To była straszna noc.

Wszyscy mówili o katastrofie. Gdy delfin pojawił się w sypialni, był wyraźnie zszokowany i wydał mi się starszy, bardziej dojrzały. Powiedział, że poprzedniej nocy zginęły sto trzydzieści dwie osoby.

Łzy napłynęły mi do oczu. Mój mąż popatrzył na mnie i nie odwrócił się tak szybko jak zazwyczaj.

— To moja wina — oznajmiłam. — Gdybym tu nie przyjechała, nic złego by się nie zdarzyło.

Delfin nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Muszę coś zrobić, żeby pomóc ludziom — powiedział.

— O, tak — przytaknęłam skwapliwie. — Proszę, zrób to.

Usiadł przy stole i zaczął coś pisać. Podeszłam do niego, by zajrzeć mu przez ramię.

Dowiedziałem się właśnie o katastrofie, która dotknęła Paryż w związku z uroczystościami weselnymi. Jestem tym bardzo zmartwiony i dlatego oddaję paryżanom sumę, którą król przeznaczył na moje prywatne roczne wydatki. To wszystko, co posiadam. Bardzo pragnę pomóc tym, którzy najbardziej ucierpieli.

Delfin podniósł oczy i dotknął ręką mojej dłoni.

— Tyle przynajmniej mogę zrobić — oświadczył.

— Ja też chcę oddać to, co mam! — zawołałam.

Pokiwał głową i spuścił wzrok. Wtedy zrozumiałam, że mój mąż nie czuje do mnie niechęci. Jego zachowanie było spowodowane czym innym.

* * *

Długo mówiono o tej katastrofie. To był kolejny zły omen. Najpierw burza, która zepsuła uroczystości weselne; kleks, który postawiłam na własnym kontrakcie ślubnym; i wreszcie wielkie nieszczęście ludzi, którzy przybyli do Paryża, by bawić się i radować z okazji mego ślubu, a spotkali śmierć.

Rozdział 4

Wojna kobiet

Nie mieszaj się do polityki i do spraw innych ludzi. Nie powinnaś tak bardzo się tym przejmować. A w każdym razie nie powinnaś okazywać swego rozczarowania. Nie bądź drażliwa. Okazuj czułość i niczego nie wymagaj. Zachowuj umiar we wszystkim. Jeśli okażesz zniecierpliwienie, możesz tylko pogorszyć sprawę.

Nie słuchaj plotek, nie bądź ciekawska. Przykro mi to pisać, ale nie zwierzaj się nikomu, nawet swoim ciotkom.

Maria Teresa do Marii Antoniny

Nie okazując grzeczności pewnym osobom z królewskiego otoczenia, uwłaczamy ich godności; a do otoczenia króla należą wszyscy, którym król ufa i nikt nie ma prawa pytać, czy czyni słusznie czy też nie. Każdą decyzję suwerena należy respektować bez żadnych zastrzeżeń.

Kaunitz do Marii Antoniny

Lęk i niepokój, jaki okazujesz, gdy masz zamienić parę słów z osobami, z którymi powinnaś rozmawiać, jest śmieszny i infantylny... Po co tyle zamieszania, skoro chodzi o zdawkowy komplement. Niepodobna, byś tak zaniedbywała to, co do Ciebie należy.

Maria Teresa do Marii Antoniny

Ufam, że to zadowala Waszą Wysokość. Proszę nie mieć wątpliwości, że jestem gotowa zawsze poświęcić moje osobiste racje, o ile nie uwłacza to memu honorowi.

Maria Antonina do Marii Teresy

Najjaśniejsza Pani, moja najdroższa Matko

Trudno mi doprawdy wyrazić wdzięczność za wszystko, co Wasza Wysokość dla mnie robi. Zapewniam, że wszystkie listy, które Wasza Wysokość do mnie wysłała, oblałam gorącymi łzami tęsknoty za swą najlepszą Matką. Jestem tu wprawdzie szczęśliwa, ale zarazem bardzo bym pragnęła wrócić choć na chwilę do domu, by ujrzeć moją kochaną rodzinę.

Przyjechaliśmy do Choisy wczoraj o pierwszej po południu, potem jedliśmy obiad, ale przed północą nie mogliśmy odpocząć w swoich apartamentach, co bardzo mnie zmęczyło. Po obiedzie do szóstej graliśmy w kraty, potem obejrzelśmy spektakl, który trwał do wpół do dziewiątej; po kolacji aż do pierwszej w nocy znów wszyscy grali w karty. Król zauważył moje zmęczenie i o jedenastej pozwolił mi udać się na spoczynek. Spałam do dziesiątej trzydzieści.

Wasza Wysokość jest dla mnie bardzo łaskawa, interesując się rozkładem mojego dnia. Wstaję przeważnie o dziesiątej lub o dziewiątej, ubieram się i odmawiam modlitwy, potem jem śniadanie, a po śniadaniu przeważnie odwiedzam ciotki, u których często zastaję króla. O jedenastej wracam

do buduaru, gdzie zajmuje się mną fryzjer. W południe rozpoczyna się ceremonia przygotowań do mszy, w których mogą uczestniczyć wszyscy członkowie dworu, o odpowiednio wysokiej randze. Jako pierwsza nakładam róż na policzki i myję dłonie. Potem wszyscy panowie muszą wyjść, a ja ubieram się w obecności dam. O dwunastej jest msza; jeśli król bawi w Wersalu, idę na mszę razem z nim, z mężem i z ciotkami; jeśli zaś króla nie ma — idę tylko z małżonkiem, zawsze jednak o tej samej porze. Po mszy jemy razem obiad. Następnie spotykam się z delfinem. Jeśli jest zajęty, wracam do swoich apartamentów, żeby poczytać, napisać coś lub popracować. Haftuję kamizelkę dla króla. Praca posuwa się naprzód bardzo powoli, ale jeśli szczęście mi dopisze, powinnam ją skończyć w ciągu paru lat. O trzeciej odwiedzam ciotki. Król przeważnie przychodzi tam o tej samej porze. O czwartej rozpoczynam lekcję z ojcem Vermondem, o piątej przychodzi nauczyciel gry na klawikordzie albo nauczyciel śpiewu. Mój mąż często mi towarzyszy podczas wizyty u ciotek. Od siódmej do dziewiątej gramy w karty. Jeśli jest ładna pogoda, wychodzę na spacer, a wtedy gra w karty odbywa się w apartamentach ciotek, a nie u mnie. O dziewiątej jemy kolację; pod nieobecność króla ciotki zawsze jedzą z nami; jeśli zaś król bawi w Wersalu, po kolacji raz jeszcze zjawia się u ciotek, przychodzi przeważnie za kwadrans jedenasta. Zanim przyjdzie, kładę się na sofie, by trochę się zdrzemnąć. Jeśli zaś króla nie ma, o jedenastej wszyscy udajemy się na spoczynek. Tak wygląda mój dzień. Proszę Waszą Wysokość o wybaczenie, że ten list jest taki długi, ale korespondencja z moją drogą Matką należy do moich największych przyjemności. Przepraszam także za wszystkie kleksy, ale pisałam to przez dwa dni podczas toalety, bo poza tym nie mam czasu dla siebie. Jeśli nie odpowiedziałam na wszystkie pytania, to tylko dlatego, że posłuszna woli Waszej Wysokości palę natychmiast wszystkie Jej listy. Muszę już kończyć, bo za chwilę rozpoczyna się msza święta.

Najpokorniejsza córka Waszej Wysokości — Marie Antoinette.

List ten powstał w Choisy, jednym z pałaców, które od czasu do czasu odwiedzaliśmy i dobrze oddaje monotonię moich dni na królewskim dworze. Myślałam, że życie we Francji będzie pełne wrażeń i niespodzianek, a tymczasem okazało się znacznie nudniejsze niż to, które wiodłam w Schönbrunn.

W czasie pierwszych miesięcy na francuskim dworze bardzo tęskniłam za domem i matką. Gdy nadchodziły listy, drżałam z podniecenia, zastanawiając się, co w nich wyczytam. Nie miałam pojęcia, jak uważnie Mercy śledzi moje życie osobiste. Zawsze uważałam go za surowego starego urzędnika cesarskiego i nie przypuszczałam, że może się interesować strojem młodej dziewczyny, albo tym, ile razy śmiała się razem z którąś ze służących. Nie zmieniłam się od czasów dzieciństwa. Nie potrafiłam być konsekwentna. Nie wiedziałam, niestety, że delfina Francji, która pewnego dnia zostanie królową, nie jest dziewczyną czy kobietą, ale symbolem. Nie wiedziałam, że od mojego postępowania zależą losy państwa, że z powodu moich wybryków może zachwiać się tron. Kiedy zapytałam matkę listownie, skąd wie o wszystkich moich drobnych przewinieniach, odpisała, że szeptał jej o tym do ucha pewien ptaszek. Nigdy nie wspomniała, że tym ptaszkiem jest Mercy. Powinnam się była domyślić. Tak czy inaczej Mercy na pewno dobrze mi życzył i winna mu byłam wdzięczność.

W owym czasie istniało oczywiście coś, co rzucało cień na moje życie: dziwne stosunki między mną a moim mężem. Wiedziałam, że cały dwór plotkuje na ten temat i tylko nieliczni rozmawiają o tym z powagą, większość zaś nie szczędzi drwin. Hrabia Prowansji, którego nigdy nie polubiłam, choć oczywiście zachowywał się nienagannie, bardzo się cieszył z kłopotów Ludwika, ponieważ nie chciał, bym poczęła syna. Zawsze zazdrościł mojemu mężowi starszeństwa i święcie wierzył, podobnie zresztą jak część dworu, że byłby znacznie lepszym delfinem niż brat. Artois natomiast nigdy nie tracił humoru, chętnie flirtował i patrzył na mnie tęsknym, a zarazem figlarnym

wzrokiem. Mercy często sugerował, że powinnam się strzec najmłodszego szwagra. Ciotki natomiast rzucały tysiąc aluzji dziennie i przez cały czas starały się dociec, co naprawdę dzieje się między mną a „biednym Berrym”.

Dopiero gdy matka napisała, że może dobrze się stało, jak się stało, skoro oboje jesteśmy jeszcze tacy młodzi, poczułam, że mogę przestać się tym przejmować i zacząć cieszyć się życiem.

Jedynym moim przyjacielem na francuskim dworze był książę de Choiseul. Zależało mu na powodzeniu mojego małżeństwa, ponieważ to on je zaaranżował. Pech chciał, że przybyłam do Francji w chwili, gdy de Choiseul stracił część swoich wpływów. W przeciwnym razie mógłby zrobić dla mnie znacznie więcej niż Mercy, ponieważ pełnił funkcję pierwszego ministra króla. Był brzydalem, ale bardzo uroczym brzydalem. Zafascynował mnie w chwili, w której go ujrzałam. Matka mówiła, że mogę mu zaufać, bo jest sprzymierzeńcem Austrii. Ale popadł niestety w niełaskę. Panna Genet tłumaczyła mi, że był przyjacielem madame Pompadour, na czym oboje korzystali, nie docenił jednak wpływów pani du Barry i dlatego jego czasy się skończyły.

O ile w pierwszej chwili uznałam panią du Barry za osobę fascynującą, o tyle teraz zniechęciłam ją za to, że król zaprosił ją na moją pierwszą rodzinną kolację, co według Mercy’ego stanowiło zniewagę. Napisałam do matki, że pani du Barry jest głupią impertynentką. Sądziłam, że cesarzowa, znając jej pozycję na dworze, uzna moją ocenę za najwłaściwszą.

„Nie mieszaj się do polityki i do spraw innych ludzi”, odpisała mi matka. Nie przypuszczałam jednak, że te słowa odnoszą się do madame du Barry i podobnie jak wiele innych ważnych ostrzeżeń, tak i to przeszło mimo moich uszu. Nie miałam zamiaru mieszać się do polityki. Tę lekcję doskonale zrozumiałam. Chciałam tylko cieszyć się życiem. Pragnęłam zobaczyć Paryż, ale było to niemożliwe przed oficjalnym wjazdem do stolicy, a ten wciąż jeszcze przygotowywano w atmosferze licznych kontrowersji. Jak zwykle chodziło o etykietę!

— Czy można by sprowadzić przynajmniej dwa moje pieski z Wiednia? — zagadnęłam Mercy’ego.

— Przecież ma pani dwa psy — odrzekł.

— Tak, ale kocham te, które zostawiłam w Wiedniu. I one także za mną tęsknią. To Mały i Mops. Proszę po nie posłać.

Mercy miał ochotę odmówić, ale nie mógł sobie pozwolić na bezpardonowe lekceważenie moich życzeń. Wkrótce miałam więc cztery psy. A gdy na świat przyszły szczenięta, było ich jeszcze więcej. Nie chciałam się rozstawać z moimi ulubieńcami, choć Mercy sugerował, że nie należy ich trzymać w pałacu, póki nie nauczą się czystości.

Podczas tych pierwszych tygodni często odwiedzał mnie książę de Choiseul. Radził, jak powinnam zachowywać się wobec króla.

— Niech pani będzie szczerą i naturalną, madame — mówił — ale nie za dziecinna, mimo że Jego Wysokość nie oczekuje, by znała się pani na polityce.

Odrzekłam, że bardzo mnie to cieszy i zwierzyłam mu się z niechęci wobec pani du Barry.

— Nie mogę ścierpieć tego jej seplenienia. Ona sobie wyobraża, że jest najważniejszą damą na dworze. Zawsze traktuję ją jak powietrze, ale ona i tak ciągle patrzy w moją stronę, jakby oczekiwała, że coś do niej powiem.

Pan de Choiseul roześmiał się i oświadczył, że wcale się nie dziwi, iż madame du Barry pragnie mojej przyjaźni.

— Tego się nie doczeka! — zawołałam, a że pan de Choiseul właśnie to chciał usłyszeć, utwierdziłam się w przekonaniu, iż postępuję słusznie.

Drogi pan de Choiseul! Był taki czarujący i taki szczery... Jestem przekonana, że gdyby mógł mi doradzać, nie popełniłabym tylu głupstw.

Gdy pojawiłam się we Francji, wokół madame du Barry skupiło się już wiele wpływowych osób, między innymi potężni ministrowie, książęta: d'Aiguillon, de Vauguyon i de Richelieu. Wszyscy byli zaprzysięgłymi wrogami pana de Choiseul i starali się mu zaszkodzić. Udało im się obarczyć go winą za niepowodzenia w wojnie siedmioletniej, która wybuchła w roku moich narodzin i w której Francja straciła swoje kolonie na rzecz Anglii. Sądzę, że austriackie małżeństwo wiązało się z planami odzyskania utraconych wpływów. Gdy się spotykaliśmy, miał bez wątpienia wiele trosk i zmartwień, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać. Nie przypominam sobie, bym poznała kiedykolwiek weselszego człowieka.

Bardzo mnie zabolalo, gdy otrzymał *lettre de cachet* i król kazał mu wrócić do rodowego zamku w Chanteloup. Zdarzyło się to Wigilię Bożego Narodzenia. De Choiseul zniknął, a ja nie mogłam w to uwierzyć. Bolałam nad utratą przyjaciela i zrozumiałam, że taki los może spotkać każdego. Szczególnie dotknęła mnie rozmowa z Mercy'm.

— Przyspieszył swój własny upadek brakiem dyskrecji — oświadczył. — Zdziwiłbym się, gdyby pełnił swe stanowisko choćby dzień dłużej. Miejmy nadzieję, że nie zastąpi go ktoś, kto będzie siał równie wielki zamęt.

— Ależ on jest naszym przyjacielem! — wykrzyknęłam.

— Nie jest nam już do niczego potrzebny — odparł Mercy cynicznie.

Zrobiło mi się bardzo przykro. De Choiseul nie dał o sobie zapomnieć. Prowadził nader wystawne życie w Chanteloup i rozsyłał nieprzystojne wierszyki na temat madame du Barry, którą uważał za swego głównego wroga. Królewska metresa ciągle znajdowała karteluszek z obscenicznymi wierszykami w swoim apartamencie, ale ponieważ zawsze się z nich śmiała, od razu traciły swoją moc.

Z Wiednia wciąż nadchodziły listy. Gdy dostawałam kopertę zaadresowaną pismem matki, drżałam ze strachu. Za co tym razem dostanę burę? Nie cierpiałam francuskiego gorsetu, od którego wszystko mnie bolało. Upominała mnie więc, że powinnam nosić ów gorset. Mój wygląd jest przecież bardzo ważny. Francuzi są na tym punkcie bardzo wrażliwi, a ja powinnam zawsze starać się zadowolić mojego męża. W listach ciągle znajdowały się jakieś aluzje do moich stosunków z mężem.

Nie należy na nic nalegać, bo wzbudzisz tylko jego niepokój, a to pogorszy sytuację.

Nie powinnaś tak bardzo się tym przejmować. A w każdym razie nie powinnaś okazywać rozczarowania. Nie bądź drażliwa. Okazuj czułość i niczego nie wymagaj. Zachowuj umiar we wszystkim. Jeśli okażesz zniecierpliwienie, możesz jedynie pogorszyć sprawę.

Wszystko wskazywało na to, że nie tylko we Francji, ale na wszystkich europejskich dworach rozważano przyczyny, dla których delfin nie skonsumował naszego małżeństwa. Mówiono, że zapewne cierpi na impotencję i że musi to być przypadek beznadziejny, skoro nawet tak atrakcyjna dziewczyna jak ja nie budzi w nim podniecenia..

Oboje byliśmy tym wszystkim ogromnie zażenowani. Ja starałam się jak najdłużej pozostać dzieckiem, udawałam, że nic nie pojmuję nawet wtedy, gdy pojmowałam, bawiłam się z psami i tańczyłam, gdy tylko nadarzyła się okazja, próbując dać wszystkim do zrozumienia, że nie uważam swego małżeństwa za dziwne. Mój mąż natomiast pozorował obojętność, choć wiem, że czuł co innego. Bronił się, udając, że się nudzi, albo zamykając w odosobnieniu z przyjaciółmi o podobnych zainteresowaniach. Polował, gdy tylko nadarzała się okazja i dbał o swój żołądek. Szybko jednak odkryłam, że jest równie zaniepokojony jak ja, a może nawet bardziej, bo przecież traktował życie znacznie poważniej i ponosił winę za nasze problemy małżeńskie. Coraz częściej

okazywał, że jest mu bardzo przykro, iż nie potrafi być dla mnie dobrym mężem. Starał się sprawić mi przyjemność i choć miał zupełnie inne upodobania niż ja, nigdy nie zabraniał mi robić tego, na co miałam ochotę.

Lubiłam go coraz bardziej i podejrzewam, że on także darzył mnie sympatią. A jednak nic się między nami nie działo. Gdyby sprawy alkowy jakoś się ułożyły, wszystko byłoby w porządku, tymczasem nasze kłopoty małżeńskie były przedmiotem dyskusji w całej Europie. Dyplomaci krążyli po wszystkich dworach. Na ulicach śpiewano o nas piosenki. „Czy on może, czy nie może?”. Jeśli problemy mego męża miały podłoże mentalne, to w takiej sytuacji był coraz dalszy od ich rozwiązania.

Matka nalegała, bym informowała ją o wszystkich szczegółach. Miałam cytować słowa delfina i opisywać jego zachowanie. Listy cesarzowej należało natychmiast palić zaraz po przeczytaniu. Wiedziałam, że krąży dokoła nas mnóstwo szpiegów, którymi zawiaduje guwerner mego męża, książe de Vauguyon, poplecznik madame du Barry. Pewnego dnia, gdy siedziałam sam na sam z Ludwikiem, jeden ze służących otworzył nagle drzwi i ujrzeliśmy pochylonego księcia de Vauguyon. Niewątpliwie podglądał nas przez dziurkę od klucza. Podejrzewam, że ów lokaj chciał nas ostrzec. Powiedziałam wówczas do Ludwika, że źle się czuję, gdy ktoś podsłuchuje pod moimi drzwiami. Książę był bardzo zakłopotany i mruczał pod nosem jakieś usprawiedliwienie. Sądzę, że sporo wówczas stracił w oczach mego męża.

Nie zwykłam uważać się nad sobą. Wolałam szukać rozrywek. Zawsze bardzo lubiłam jeździć konno, ale matka uznała, że to może zaszkodzić mojej płodności. Choć przecież nie miałam żadnej możliwości, by się nią wykazać. Cesarzowa i Mercy postanowili zatem, że poproszą króla, by zakazał mi jazdy konnej.

To był poważny cios. Miałam ochotę krzyknąć, że umieram z nudów na francuskim dworze i tylko wtedy, gdy poczuję wiatr we włosach, uwolnionych od tych koszmarnych szpilek, którymi torturuje mnie fryzjer, będę naprawdę szczęśliwa.

Poszłam więc do króla. Użyłam wszystkich swoich chwytów. Nazwałam go drogim papą i powiedziałam, że jestem bardzo nieszczęśliwa z powodu zakazu jazdy konnej.

I wprawiłam go w zakłopotanie. Powinnam była wiedzieć, że bardzo irytują go tego rodzaju sytuacje, bo nie lubi podejmować decyzji, które są dla kogoś nieprzyjemne, zwłaszcza gdy tym kimś jest młoda i ładna dziewczyna. Ale nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechał się i współczuł mi. Skąd mogłam wiedzieć, że w duchu ziewał, słuchając o moich infantylnych problemach i czekał z niecierpliwością, aż sobie pójdę. Położył dłoń na moim ramieniu i zaczął łagodnie tłumaczyć, że moja matka nie życzy sobie, bym jeździła konno. Czyżby nie zależało mi na jej spokoju?

— Och, oczywiście, że mi zależy, drogi papo... ale nie mogę znieść nawet myśli, że muszę się wyrzec tej rozrywki.

— Cesarzowa uważa, że to zbyt niebezpieczne, a ja się z nią zgodziłem, a zatem nie będziesz jeździć konno. — Król podniósł dłonie, a jego twarz rozświetlił uśmiech tak czarujący, że znów stała się całkiem przystojna, pomimo worów pod oczami i tysiąca zmarszczek. — Ale nikt nie wspominał o osłach. — Znalazł rozwiązanie. — Na razie nie ma więc mowy o koniach, ale możesz wsiąść na osła.

Zacząłam więc jeździć na osle, choć czułam się tym upokorzona.

Na domiar złego kiedyś spadłam z owego nieszczęsnego zwierzęcia. To był doprawdy idiotyczny wypadek. Osioł był bardzo spokojny, siedziałam więc niedbale. Gdy zwierzę gwałtownie skręciło, w okamgnieniu znalazłam się na ziemi. Nic mi się nie stało, ale służba natychmiast rzuciła się na pomoc. Ja tymczasem leżałam i śmiałam się.

— Proszę mnie nie dotykać! — zawołałam. — Nic mi się nie stało. To był bardzo głupi upadek.

— Czy można pani pomóc się podnieść, madame?

— Oczywiście, że nie. Trzeba by zawołać Madame Etykietę. Nie Jestem pewna, jakie ceremonie należy odprawić, gdy delfina spada z osła.

Wszyscy się roześmiali i pojechaliśmy dalej w wesołych nastrojach. Niemniej całe wydarzenie zostało dokładnie opisane w raportach. Matka o wszystkim się dowiedziała. Bardzo ją dotknęła wiadomość, że jednak jeżdżę, wprawdzie nie konno, ale na osle.

Podejrzewam, że się obawiała, iż traci nade mną kontrolę. I nie chodziło jej wcale o utratę władzy; znała po prostu dobrze mój charakter i obawiała się, że bez jej opieki wpadnę w tarapaty. Widziała we mnie niewinną owieczkę, zabłąkaną pośród francuskich wilków i oczywiście, jak zwykle, miała rację. Napisała do mnie:

Słyszałam, że jeździsz na osle. Pisałam ci już, że to niewłaściwe zajęcie. Zaszkozi ci znacznie bardziej niż utrata alabastrowej cery lub zgrabnej figury.

Kiedy czytałam te słowa, było mi przykro, że ją znów rozczarowałam i przysięgłam sobie, iż nie wsiądę nawet na osła, póki nie dostanę pozwolenia, co z pewnością nastąpi, gdy dorosnę, gdy zostanę prawdziwą żoną i matką. (Bo przecież zawsze chodziło przede wszystkim o to!). Szybko jednak zapomniałam o tym postanowieniu i parę dni później znów siedziałam na osle.

Często widywałam się z ciotkami, które bardzo się mną interesowały. Adelajda uwielbiała się złościć. Zawsze musiała mieć po temu jakiś powód. Zazwyczaj madame du Barry była jedną z najczęstszych przyczyn, gdy jednak ciotka dowiedziała się, że nie wolno mi jeździć konno, znalazła sobie nowy pretekst.

— To śmieszne! — oświadczyła. — Zakaz jazdy konnej! Wszyscy jeżdżą konno. Następny tron na osle! Co za zniewaga!

Wiktoria pokiwała głową, a Zofia dołączyła do sióstr parę sekund później.

— To sprawka naszych wrogów — oznajmiła Adelajda posępnym głosem.

Miałam zamiar przypomnieć im, że to moja matka wydała ten zakaz, a Mercy i król ją poparli. Nigdy nie nazwałabym ich swoimi wrogami. Ale Adelajda nie zwykła nikogo słuchać, gdy toczyła swoją batalię. Postanowiła, że nie pozwoli, by mnie źle traktowano, by mnie upokarzano. Ona i jej siostry staną po mojej stronie.

Adelajda wymyśliła pewien plan. Miałam wyjechać jak zwykle na osle, tylko po to, by w umówionym miejscu i o umówionej porze przesiąść się na konia. Po konnej przejażdżce miałam znów wsiąść na osła i na jego grzbiecie wrócić do pałacu. Plan był bardzo prosty.

— Wszystkich ich wyprowadzimy w pole — triumfowała Adelajda.

— Ale moja matka będzie niezadowolona — zawahałam się.

— Skąd miałyby się o tym dowiedzieć?

— Wszystko jedno, nie chcę postępować niezgodnie z jej oczekiwaniami.

— Ona jest daleko stąd, w Wiedniu. Nie ma pojęcia o tym, że wszyscy się z ciebie śmieją po kątach. Delfina na osle!

W końcu zdołały mnie przekonać. Zgodnie z planem wyjechałam na przejażdżkę ze swoją służbą, a w umówionym miejscu czekał na mnie koń. Wszyscy bardzo się przerazili, ponieważ decyzja mojej matki i króla była dobrze znana. Mnie natomiast ogarnął wstyd. Zgodziłam się, że nie będę kłusować ani galopować i pozwolę, by stajenny trzymał konia za uzdę. Ale i tak poczułam się wspaniale, siedząc znów na końskim grzbiecie! Zapomniałam natychmiast o swoich wątpliwościach i roześmiałam się na myśl o tym, jaką minę zrobiłby Mercy, gdyby mnie zobaczył.

Wspomniałam o tym jednej z moich towarzyszek i wkrótce wszyscy śmiali się razem ze mną. Potem wróciliśmy do miejsca, gdzie czekał na mnie osioł i na jego grzbiecie pojechałam z powrotem do Wersalu, podczas gdy stajenny pogalopował na koniu.

Oczywiście jedna ze służących, które mi towarzyszyły i śmiały się razem ze mną, opowiedziała o wszystkim Mercy'emu. Gdy mój nadzorca stanął w drzwiach, od razu się zorientowałam, że wie o całej sprawie. Był dotknięty i oburzony.

— A więc wie pan, że siedziałam na koniu?

— Owszem.

— Miałam zamiar powiedzieć panu o tym — oświadczyłam i dodałam na wszelki wypadek: — Wszyscy, którzy mnie widzieli, cieszyli się, że jestem taka szczęśliwa.

— Czułbym się upokorzony, madame, gdyby sądziła pani, że przyłączę się do radości tych ludzi. Dobro pani leży mi tak bardzo na sercu, że mogę się jedynie martwić tym, iż wydarzyło się coś, co naraziło panią na niebezpieczeństwo i mogłoby wzbudzić niepokój cesarzowej.

Przeraziłam się, gdy tylko wspomniał o mojej matce.

— Byłabym nieszczęśliwa, gdybym zmartwiła cesarzową. Ale, jak pan zapewne wie, jazda konna to jedna z ulubionych rozrywek delfina. Czy nie powinnam dzielić z mężem jego przyjemności?

Mercy nic nie odpowiedział, oświadczył jedynie, że zostawi mnie samą, bym przemyślała to, co uczyniłam.

Najpierw gorzko tego żałowałam, ale po pewnym czasie ogarnęła mnie złość. Cóż to za głupota! Dlaczego nie miałabym jeździć konno?

Nieprędko doszłam do równowagi. Zapamiętałam jednak przynajmniej to, że moja matka troszczy się o mnie bardziej niż ktokolwiek na świecie. I że potrafi wzbudzić mój lęk nawet na odległość. Szybko się dowiedziała, co się wydarzyło i napisała do mnie pełen wyrzutów list. Uznała, że król i delfin wyrazili zgodę na to, bym jeździła konno i że do nich należą wszelkie decyzje na mój temat, ale nie ukrywała swego niezadowolenia.

„Postaram się już o tym nie pisać i nie myśleć” — tak zakończyła swój list.

Najprawdopodobniej dowiedziała się także, jaką rolę odegrały w tym wszystkim ciotki, bo jakiś czas potem ostrzegła mnie przed nimi.

Staraj się zachować neutralność we wszystkim. Wolalabym, żebyś odnosiła się do tego, co się dzieje na dworze, z większym dystansem. Nie słuchaj plotek, nie bądź ciekawska. Przykro mi to pisać, ale nie zwierzaj się nikomu, nawet swoim ciotkom, które tak bardzo poważam. Mam swoje powody, by tak Ci radzić.

Rzeczywiście miała powody. Było ich może nawet więcej, niż przypuszczała.

* * *

Rok po moim ślubie ożenił się hrabia Prowansji. Jego narzeczona zjawiała się w Wersalu w maju, tak jak ja. Marie Josephe z Sabaudii. Nie przypadła mi do gustu; była bardzo brzydka, brakowało jej uroku osobistego i to nie tylko w mojej opinii. Mój szwagier przeżył wielkie rozczarowanie. Wszyscy porównywali ją ze mną, o czym szybko się dowiedziała i co ją bardzo rozżłościło. Wiedziałam, że mnie nienawidzi, bo wiele wysiłku wkładała w udawanie, że jest inaczej. Była przecież dość mądra.

Nie zależało mi na jej sympatii, bo zaprzyjaźniłam się z księżną de Lamballe, uprzejmą i łagodną młodą kobietą. Ojciec Vermond twierdził wprawdzie, że jest głupia, ale mówił tak tylko dlatego, że nie chciał się z nikim dzielić moją przyjaźnią. Broniałam księżnej wytrwale.

— Ciesz się dobrą reputacją — mówiłam — a nie można tego powiedzieć o wszystkich na tym dworze.

— Reputację może stracić już jutro — odparował — a mądrzejsza nigdy nie będzie!

Śmiałam się razem z nim, bo byliśmy przyjaciółmi.

Miałam jeszcze jedną przyjaciółkę, której Vermond także nie lubił, choć nie mógł jej oskarżyć o głupotę. Była to Jeanne Louise Henriette Genet, lektorka moich ciotek. Często ją widywałam w ich apartamentach i zafascynowały mnie jej spokój i opanowanie. Przeciwności się przyciągają. Wyczułam, że panna Genet nie tylko szanuje mnie tak jak ciotki, ale też lubi.

Zapytałam więc króla, czy mogłaby zostać również moją lektorką, a on zgodził się bez wahania. Wzywałam więc pannę Genet do swego apartamentu, by mi poczytała; wołałam jednak z nią rozmawiać, bo знаła mnóstwo anegdotek o francuskim dworze. Sądzę, że dowiedziałam się od niej więcej niż od kogokolwiek innego.

Była tylko o trzy lata starsza ode mnie, ale wydawało się, że dzieli nas co najmniej dziesięć lat. Sądziłam, że jej powaga i powściągliwość spodobałyby się mojej matce. Czasem myślałam też, że ta miła i wrażliwa dziewczyna byłaby znacznie lepszą córką mojej matki niż ja. Jej ojciec pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i tam zwrócił na niego uwagę książę de Choiseul; w ten sposób Jeanne Louise znalazła się na dworze. Zawsze przykładła się do nauki i zadziwiała wszystkich swoją wiedzą; jednym zaś z jej największych atutów był czysty głos, a także to, że potrafiła czytać głośno całymi godzinami. Dlatego została lektorka moich ciotek.

Miała piętnaście lat, gdy po raz pierwszy pojawiła się w Wersalu. Uwielbiałam słuchać opowieści o jej pierwszych wrażeniach. Odwracałam jej uwagę od książki i mówiłam, że wolę porozmawiać.

Na jej twarzy malowało się poczucie winy, gdy zamykała książkę z powagą. Wiedziłam jednak, że także lubi nasze pogawędki.

— Nigdy przedtem nie miałam na sobie ciasnego gorsetu i sukni z krynoliną. Moją bladą twarz pokryto różem i pudrem, bo na dworze nikt, nawet tak nisko postawiony jak ja, nie mógł się pokazywać bez makijażu.

— Etykieta — mruknęłam. Często śmiałam się z panny Genet, bo moja swoboda najwyraźniej ją szokowała.

— Mój ojciec jest bardzo mądrym człowiekiem. Widzę to coraz wyraźniej. Powiedział mi: „Księżniczki na pewno docenią twoje zdolności. Arystokraci potrafią prawie komplementy, nie pozwól jednak, by pod ich wpływem woda sodowa uderzyła ci do głowy. Pilnuj się. Bo kiedy słyszysz miłe słowa i pochwały, przybywa ci wrogów. Przysięgam, że gdybym mógł znaleźć ci inne zajęcie, nigdy nie naraziłbym cię na niebezpieczeństwa związane z dworskim życiem”.

Fascynował mnie jej sposób wysławiania się. Opowiadała mi o dniu, w którym debiutowała na dworze, w czasie żałoby po królowej Marii Leszczyńskiej. Na dziedzińcu stały karoce, zaprzężone w przystrojone w czerń konie, lokaje i paziowie byli odziani stosownie do okoliczności. We wszystkich oficjalnych apartamentach wisiały czarne zasłony, nad fotelami umieszczono baldachimy ozdobione sobolimi kitami.

Dzięki niej ujrzałam kolejne oblicze króla.

— To najbardziej imponujący człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałam; zawsze patrzy w oczy tym, do których mówi.

Pokiwałam głową na znak, że się z nią zgadzam.

— Pomimo uroku osobistego król wzbudza wokół przerażenie.

— We mnie nie budzi przerażenia — wtrąciłam impulsywnie. Panna Genet uśmiechnęła się spokojnie.

— Pani jest małżonką delfina, madame. A ja zwykłą lektorką.

— Czy król się do ciebie kiedykolwiek odezwał?

— Owszem, dwa razy. Pewnego ranka zajrzał do apartamentu księżniczek, przed wyjazdem na polowanie. Chciał się zobaczyć z madame Wiktoria i zapytał mnie, czy nie wiem gdzie jest Coche. Byłam zaskoczona, ponieważ nie znałam wówczas przezwisk księżniczek. Wtedy król zapytał, jak się nazywam, a gdy mu powiedziałam, odrzekł: „Ach, to ty jesteś tą lektorką. Pewnie znasz z pięć języków”. „Tylko dwa, Wasza Wysokość” — odrzekłam. „Jakie?” — dopytywał się. „Angielski i włoski, Wasza Wysokość.” „Płynnie?” „Tak, Wasza Wysokość”. Wtedy król wybuchnął śmiechem i powiedział: „To wystarczy, by doprowadzić męża do szaleństwa”. Śmiał się ze mnie do rozpuku, a ja czułam się bardzo zakłopotana.

— To nie było szczególnie miłe — zauważyłam. Przyjrzałam się jej uważniej. Nikt nie nazwałby pięknnością tej kobiety w prostej sukni. Najprawdopodobniej król uznał, że nie jest wcale atrakcyjna.

Innym razem król przyszedł do apartamentów ciotek, gdy panna Genet im czytała. Przerwała natychmiast lekturę i wyszła do przedpokoju, by tam zaczekać. Nie miała nic do roboty, zaczęła więc obracać się dla zabawy wokół własnej osi, pochylając się od czasu do czasu, by zerknąć na wirującą spódnicę. Podczas tej zabawy zaskoczył ją król i zaśmiewał się do rozpuku, widząc wykształconą kobietę, lektorkę, która zachowuje się jak dziecko. „Powinnyście chyba wysłać tę panienkę z powrotem do szkoły, żeby miała się z kim bawić”, powiedział. A biedna Jeanne Louise znów nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Nie miała szczęścia zobaczyć króla w dobrej formie; wydawało mi się, że jest przesadnie krytyczna wobec niego. Tymczasem ona starała się nie zdradzać swych prawdziwych uczuć i miała rację! Na pewno domyślała się, że nie zdołam zachować tajemnicy, była więc ostrożna. Dopiero znacznie później, gdy król leżał już w grobie, opowiedziała mi o tym, jak zastawił pułapkę na ptaki niedaleko swoich apartamentów w Wersalu i jak zażywał rozkoszy w swym małym seraju w Parc aux Cerfs, do którego madame de Pompadour sprowadzała mu dziewczęta w moim wieku. Później jej obowiązki przejęła madame du Barry. Gdybym wcześniej się o tym dowiedziała, potrafiłabym go lepiej zrozumieć.

Później powiedziała mi coś jeszcze, coś, o czym powinnam była już wtedy wiedzieć. Tylko czy to by cokolwiek zmieniło? Wątpię. To, co mi powiedziała, zapisała także w swoim dzienniku, zawsze bowiem czuła potrzebę, by notować wydarzenia minionego dnia.

Usłyszałam, jak ojciec porównuje francuską monarchię do pięknego antycznego posągu; postument, na którym stał ów posąg, nadszarpnął już ząb czasu, a kształty figury zniknęły pod gąszczem pasożytujących na nich roślin. Czy jest artysta, który potrafiłby naprawić piedestał, nie naruszając posągu?

Gdyby mi o tym wówczas powiedziała, najprawdopodobniej nie zrozumiałabym, o co chodzi. Dopiero po latach, w czasach terroru, wszystko pojęłam.

Bardzo interesowała mnie księżniczka Ludwika, ciotka, którą spotkałam w klasztorze w St. Denis.

— Czytałam jej pięć godzin dziennie, a mój głos często zdradzał zmęczenie płuc. Wówczas księżniczka szykowała dla mnie wodę z cukrem, stawiała przede mną szklankę i przepraszała, że kazała mi czytać tak długo. Wyjaśniła, że robi to tylko dlatego, że przygotowała bardzo długą listę lektur. Znalazły się na niej przede wszystkim książki historyczne, sądziła bowiem, że gdy wstąpi

do zakonu, pozostaną jej tylko lektury religijne. Pewnego ranka zniknęła, a ja dowiedziałam się, że wyjechała do klasztoru.

— Bardzo cię to zmartwiło?

— Ogromnie. Kochałam madame Ludwikę. Ona była... Rzuciłam jej porozumiewawcze spojrzenie. Domyśliłam się, że chciała powiedzieć, iż Ludwika była najrozsądniejsza, najmądrzejsza ze wszystkich ciotek; ale oczywiście urwała w samą porę.

— Proszę mówić dalej — zachęciłam ją.

— Madame Adelajda wpadła w wielki gniew, kiedy jej powiedziałam, że madame Ludwika zniknęła. Od razu zapytała, z kim. Myślała, że jej siostra uciekła z kochankiem.

— To do niej podobne. Ona pragnie, by wszystko było bardzo dramatyczne. A na pewno ucieczka z kochankiem jest bardziej efektowna niż ucieczka do klasztoru.

— Obawiałam się, że madame Wiktoria robi to samo. Pokiwałam głową. Moja lektorka wielokrotnie dawała do zrozumienia, że najbardziej lubi ciotkę Wiktorię.

— Powiedziałam jej o swoich obawach, ale tylko się roześmiała, mówiąc, że nigdy nie opuści Wersalu. Za bardzo lubi dobre jedzenie i swoją kanapę.

Martwiło mnie, że panna Genet i ojciec Vermond nie przepadali za sobą. Mimo to postanowiłam zatrzymać ją przy sobie, a nawet miałam nadzieję, że pewnego dnia uda mi się odebrać ją ciotkom i mieć na wyłączność.

* * *

I tak toczyło się życie w Wersalu. Moja przyjaźń z księżną de Lamballe była coraz głębsza; listy od matki nadchodziły regularnie. Codziennie zjawiał się ojciec Vermond, by kształcić mój umysł, a także Mercy — by mnie strofować; codziennie widywałam się z ciotkami, byłam coraz bardziej zaprzyjaźniona z królem, kokietowałam Artois. A poza tym byłam coraz bardziej przywiązana do mego męża. Ponieważ jednak wszyscy nas nieustannie śledzili, ponieważ obserwowano każdy nasz krok, sytuacja między nami się nie zmieniała.

Nawet posiłki jedliśmy publicznie, choć bardzo tego nie lubiłam. Nikt inny nie miał jednak nic przeciwko temu, a lud tego oczekiwał. Wiele osób przyjeżdżało z Paryża, żeby nas zobaczyć. Żyliśmy jak zwierzęta w połączanej klatce.

Podczas obiadu gapie oglądali najpierw mnie i mojego męża przy zupie, potem biegli, by zobaczyć, jak książęta jedzą *bouilli*; a na końcu pędzili na złamanie karku, by zdążyć pooglądać ciotki przy deserze.

Król miał swój popisowy numer podczas posiłków: potrafił rozbić skorupkę jajka jednym zręcznym uderzeniem widelca. Opowiadano o tym nie tylko w Wersalu, ale i w Paryżu. Musiał więc ciągle jeść jajka, by nie zawieść tych, którzy przybyli specjalnie po to, by ujrzeć jego sztuczkę. Król nie pojawiał się w Paryżu, paryżanie jednak przyjeżdżali tłumnie, by zobaczyć króla, albo może tylko jego sztuczkę z jajkiem. Najbardziej zaskoczył mnie fakt, że król zachowywał się tak, jakby nikt na niego nie patrzył, jak aktor, który zupełnie nie zwraca uwagi na widzów.

* * *

Po Wersalu krążyły plotki, że Adelajda kiedyś miała dziecko, które do złudzenia przypominało nie tylko królewskie siostry, ale też Ludwika XV z czasów, gdy był dzieckiem. Romans pozbawił ją względów króla i wpłynął bez wątpienia na jej usposobienie. Najprawdopodobniej właśnie

wtedy stała się dziwaczką. Po pałacu krążyły jeszcze gorsze plotki — o tym, że dziecko zostało poczęte w kazirodczym związku. Może dlatego Adelajda udawała znawczynię spraw męsko — damskich i radziła mi często, jak powinnam się zachowywać względem swego męża.

Nie potrzebowałam jej rad. Wiedziałam już, że mój mąż nie czuje do mnie niechęci, wiedziałam, że jestem mu miła. Wszyscy podziwiali moją urodę, mój wdzięk i urok. Ludwik lubił patrzeć, jak Artois zaleca się do mnie; nie potrafił jednak pieścić mnie ani prawić mi komplementów bez ogromnego zakłopotania. W swym myśliwskim stroju albo w warsztacie ślusarskim wyglądał i zachowywał się jak mężczyzna; wysoki i wyprostowany, nie zastanawiał się nad tym, co należy zrobić. Gdy jednak wkładał strój dworskiego galanta, stawał się niezręczny. Starłam się zrozumieć i poznać jego zainteresowania. Uwielbiałam jazdę konną, ale nie mogłam patrzeć na cierpienia zwierząt, nie przepadałam więc za polowaniem. Zresztą w dalszym ciągu nie wolno mi było dosiadać konia. Poszłam więc do warsztatu męża, a Ludwik starał się mi wyjaśnić, czym się zajmuje. Mimo najszczerzych chęci nic nie rozumiałam, a co gorsza nie mogłam się powstrzymać od ziewania.

Niekiedy cierpiał na jakieś dolegliwości żołądkowe — z powodu przejedzenia, co zdarzało mu się dość często, ponieważ z polowania i warsztatu wracał zazwyczaj bardzo głodny. Kładł się wówczas w sąsiedniej sypialni, żeby mi nie przeszkadzać, co budziło śmiech albo konsternację w pałacu, ponieważ oczywiście wszyscy o tym wiedzieli. Nasze zachowanie było ciągle komentowane, a co gorsza wyciągano z niego niewłaściwe wnioski. Dla wrażliwego chłopca, świadomego swoich słabości, było to bez wątpienia bardzo bolesne.

A jednak byliśmy do siebie coraz bardziej przywiązani. Ludwik już nie odwracał ode mnie wzroku. Czasem podnosił do ust moją dłoń i całował ją, czasem cmokał mnie nawet w policzek. Zapytałam, czy nie przyniosłam mu rozczarowania, a on oznajmił, że jest ze mnie bardzo zadowolony. Pewnego dnia powiedział:

— Nie sądzę, proszę, że nie wiem, na czym polegają małżeńskie obowiązki. Wkrótce się przekonasz, że jest inaczej...

Nie posiadałam się z radości. Wszystko będzie dobrze. Wystarczy trochę poczekać. Rzeczywiście oboje jesteśmy tacy młodzi.

Moja cierpliwość została wkrótce nagrodzona. Gdy byliśmy sami w naszym apartamencie — a ja właśnie wybierałam się do ciotek — mój mąż szepnął:

— Dziś wieczorem przyjdę do naszego łóżka.

Spojrzałam na niego niepewnie, a on ujął moją dłoń i złożył na niej serdeczny pocałunek.

— Ludwiku... — zapytałam — czy ty mnie lubisz?

— Jak możesz w to wątpić? — zdziwił się. — Bardzo cię kocham, a jeszcze bardziej szanuję.

Nie była to wprawdzie deklaracja namiętnego kochanka, ale coś w tym guście. W czasie wizyty u ciotek byłam bardzo podniecona, domyśliły się więc od razu, że coś się wydarzyło.

— Rozstałaś się właśnie z biednym Berrym — zauważyła Adelajda. — Czy coś się stało?

— Będziemy dziś spać razem.

Adelajda objęła mnie ramieniem, a Wiktoria i Zofia popatrzyły na mnie ze zdziwieniem.

— Tak! — wykrzyknęłam triumfalnie. — Sam mi to przed chwilą powiedział!

— A zatem wkrótce przyniesiesz nam kolejną miłą nowinę — orzekła Adelajda. — Jestem tego pewna.

— Mam nadzieję. Mam nadzieję.

Ależ byłam głupia! Nim nastał wieczór, cały dwór huczał od plotek. „Delfin będzie spał ze swoją żoną. Właśnie dziś!”. Cyniczni dworacy, jak Richelieu, robili zakłady w związku z tą nocą. Wszyscy wokół szeptali. Co gorsza, Adelajda wezwała Ludwika do siebie, żeby udzielić mu dobrych rad.

Długo czekałam na mego męża, ale nie przyszedł. Nie powinnam być tym zaskoczona. Wszystko przez mój zbyt długi język.

Cała sprawa budziła coraz większe zaniepokojenie, nie sądzę jednak, by król cokolwiek przedsięwziął, gdyby nie naciski ze

strony mojej matki, która ciągle pisała do niego i przekonywała, że pora odsłonić tajemnicę delfina i znaleźć jakieś remedium.

W związku z naleganiami cesarzowej król wezwał mego męża na długą rozmowę. Ludwik zgodził się, by przebadał go osobisty lekarz dziadka, pan Lassone, który orzekł, że niemożność skonsumowania małżeństwa wynika z drobnego defektu fizycznego, któremu można zaradzić za pomocą operacji. Jeśli delfin się podda zabiegowi, wszystko wróci do normy.

Wszyscy dyskutowali na temat tej operacji, choć Ludwik nie powiedział, czy się na nią zgadza. Sypialiśmy w jednym łóżku i kochaliśmy się co noc, nie osiągając jednak tego, do czego oboje dążyliśmy; po pewnym czasie oboje uznaliśmy, że ta sytuacja jest nie do wytrzymania.

Król wzruszył ramionami i pozostawił Ludwikowi decyzję, czy chce się poddać zabiegowi, a mój mąż najwyraźniej zrezygnował z tej możliwości. Starał się za wszelką cenę udowodnić, że niepotrzebna mu operacja, choć było inaczej.

Nie mam pojęcia, dlaczego wówczas nie podjął właściwej decyzji. Na pewno nie z tchórzostwa, a podobnie jak ja miał dość całego tego zamieszania. Gdybyśmy byli zwyczajną parą, z pewnością sami rozwiązalibyśmy całą sprawę, tak czy inaczej bez wielkiego problemu. Ludwik był jednak następcą francuskiego tronu i problem jego impotencji dyskutowano zarówno na dworze, jak i w armii. Naszą służbę poddawano nieustannym indagacjom. A gdy odkryliśmy, że ambasador Hiszpanii przekupił jedną ze służących, by zdawała mu sprawę ze stanu naszej pościeli, oboje uznaliśmy, że miarka się przebrała. Wciąż spaliśmy w jednym łóżku, ale Ludwik kładł się wcześniej i wstawał, nim ja się obudziłam.

Matka tymczasem wciąż słała mi pełne gniewu listy, z których wynikało, że przejmuję się tym wszystkim bardziej niż ja.

Na początku drugiego roku mojego małżeństwa pojawił się inny problem, który przesłonił sprawę naszej alkowy.

Wojna z panią du Barry wisiała na włosku, od kiedy dowiedziałam się, jaką rolę pełni ta dama na francuskim dworze. Nie rozumiałam niestety, że powinnam była zawrzeć przymierze z nią, a nie z ciotkami. Nie miałam pojęcia, że od początku były mi przeciwnie. Wrogie przymierze z Austrią, nie mogły stać się moimi prawdziwymi przyjaciółkami. Tymczasem pani du Barry, kobieta z ludu, wprawdzie wulgarna, ale miała dobre serce i choć moje małżeństwo zaplanował jej śmiertelny wróg, de Choiseul, wcale nie była mi niechętna. Gdybym okazała jej odrobinę przyjaźni, odplaciłaby mi tym samym w dwójnasób. Ale ja byłam niemądra. Podżegana przez ciotki, wciąż ją ignorowałam. Korzystałam z mojego daru mimikry i parodiowałam jej zachowanie, budząc ogólną wesołość. Madame du Barry o wszystkim się oczywiście dowiadywała. Potrafiłam naśladować jej pretensjonalne maniery, wulgarny śmiech, idiotyczną wadę wymowy — i robiłam to bardzo chętnie, przesadzając, by budzić większą wesołość.

Nie przyszło mi nawet do głowy, że musi być znacznie mądrzejsza niż ja, skoro wspięła się na wyżyny z paryskiego bruku. Król uwielbiał ją bezgranicznie; pozwalał jej przysiąść na poręczu fotela podczas posiedzeń rady, odkładał na bok ważne dokumenty, gdy madame du Barry wymagała jego uwagi, pozwalał, by nazywała go „Francją”. Uważał, że to wszystko jest bardzo zabawne i gdy ktoś ją krytykował, mówił: „Jest taka śliczna i potrafi mnie rozbawić — to powinno wam wystarczyć”. Wszyscy więc szybko zrozumieli, że jeśli nie chcą popaść w niełaskę, powinni zabiegać o względy pani du Barry. Ale ja cieszyłam się szczególnymi względami samego króla. Mnie to wszystko nie mogło dotyczyć. Tak mi się przynajmniej wydawało. Postanowiłam zatem,

że nie będę utrzymywać stosunków z ulicznicą, nawet jeśli jest kochanką samego króla, i traktowałam ją jak powietrze. Ona często szukała okazji, by się ze mną spotkać, ale nie mogła się pierwsza odezwać — na to nie pozwalała etykieta. A nawet ona musiała przestrzegać zasad. Mogłam ją więc bez trudu ignorować.

Madame du Barry nie była zawistna i złośliwa, ale też nie była onieśmielona moją pozycją. Wymyśliła dla mnie przezwisko — „Austriacka Marcheweczka”. Gdy się okazało, że dwór to podchwycił, bardzo się rozzłościłam i zaczęłam jeszcze częściej ją parodiować oraz traktować jak powietrze. Wkrótce cały dwór mówił o moim zachowaniu, a madame du Barry poczuła się tak dotknięta, że powiedziała o wszystkim królowi, żądając, by rozkazał mi odezwać się do niej.

Król, który nie znosił problemów, bardzo się zirytował, a mnie brakowało rozsądku, by zrozumieć, że to na mnie się rozgniewał. Wezwał do siebie madame de Noailles, ale nie od razu przeszedł do rzeczy. Madame de Noailles wróciła bardzo zdenerwowana. Twierdziła, że po dwóch zdawkowych komplementach na mój temat zaczął mnie krytykować.

— Krytykować! — wykrzyknęła przerażona madame de Noailles. — Musiała go pani bardzo rozgniewać. Za dużo pani mówi, a to zazwyczaj źle wpływa na stosunki rodzinne. Ośmieszając członków królewskiej rodziny, wzbudziła pani gniew króla.

— Jakich członków królewskiej rodziny? — zdziwiłam się.

— Jego Wysokość nie wymienił żadnego nazwiska, ale sądzę, że gdyby powiedziała pani parę miłych słów do madame du Barry, król szybko by się o tym dowiedział.

Zacisnęłam usta. Nigdy!, pomyślałam. Nie pozwolę, by ulicznica dyktowała mi, co mam robić.

Na swoje nieszczęście poszłam od razu do ciotek i opowiedziałam im, co się wydarzyło. Jakże się obruszyły! Adelajda cmokała i cedziła przez zęby:

— Cóż za bezczelność! Żeby kurtyzana rozkazywała następczyni francuskiego tronu!

Adelajda wierzyła, że pani du Barry jest czarownicą i rzuciła na króla urok. Nie mogła znaleźć żadnego innego wytłumaczenia. Oświadczyła, że miałam szczęście, przychodząc prosto do nich, bo one mnie ochronią... nawet przed samym królem, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wymyślą jakiś podstęp, a na razie powinnam się zachowywać tak, jakbym wcale nie rozmawiała z madame de Noailles. Nie wolno mi ustępować kurtyzanie.

Ojciec Vermond zauważył moje oburzenie i zapytał o przyczynę. Gdy mu się zwierzyłam, opowiedział o wszystkim Mercy'emu, tamten zaś natychmiast wysłał kuriera do Wiednia.

Moja biedna matka! Jakże musiała cierpieć z powodu mojej lekkomyślności. Wystarczyłoby jedno słowo, a ja upierałam się przy swoim. Wówczas byłam przekonana, że racja jest po mojej stronie. Moja matka była osobą bardzo religijną i nie tolerowała lekkich obyczajów. Powołała specjalny Komitet do spraw Moralności Publicznej, który dbał o to, by wszystkie wiedeńskie ulicznice umieścić w domach poprawczych. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że matka nie tylko zaaprobuje, ale też pochwali moje zachowanie. Nie rozumiałam, że mój konflikt z królewską faworytą to sprawa polityczna — właśnie dlatego, że obie pełniłyśmy takie, a nie inne role na francuskim dworze. Nie wiałam pojęcia, że stawiam moją matkę w bardzo trudnym położeniu. Pozostawało jej bowiem albo wystąpić przeciw własnemu kodeksowi moralnemu, albo wejść w konflikt z królem Francji — ona zaś, choć troszczyła się o moralność, była przede wszystkim cesarzową. Powinnam była pojąć, co jest stawką w tej grze, gdy zamiast matki napisał do mnie Kaunitz.

Specjalny kurier przywiózł list adresowany do mnie.

Nie okazując grzeczności pewnym osobom z królewskiego otoczenia, uwłaczamy ich godności; a do otoczenia króla należą wszyscy, którym król ufa, i nikt nie ma prawa pytać, czy czyni słusznie, czy też nie. Każdą decyzję suwerena należy respektować bez żadnych zastrzeżeń.

Przeczytałam ten list i wzruszyłam ramionami. Nie było w nim polecenia, bym odezwała się do madame du Barry. Mercy był przy tym, gdy doręczono mi list, więc on także go przeczytał.

— Mam nadzieję — zapytał — że pojmuję pani wagę listu księcia von Kaunitz?

Wszyscy oczekiwali, że wreszcie się odezwę do pani du Barry, bo cały dwór huczał już od plotek o spotkaniu króla z hrabiną de Noailles. Wszyscy sądzili, że to będzie moja klęska, ale ja postanowiłam, że do tego nie dopuszczę. Potrafiłam trwać przy swoim, gdy uważałam, że mam rację, a wówczas święcie w to wierzyłam. Madame du Barry także oczekiwała, że coś do niej powiem. Podczas każdego podwieczorku czy też gry w karty patrzyła w moją stronę wyczekująco, a ja zawsze unikałam jej spojrzeń i omijałam ją z daleka. Dwór miał więc nie lada rozrywkę.

Adelajda i jej siostry były mną zachwycone. Rzuciły mi porozumiewawcze spojrzenia, gdy tylko madame du Barry znajdowała się w pobliżu. Gratulowały mi zdecydowania. Nie rozumiałam tylko jednego: że szydząc z kochanki króla, obrażam jego samego. A to nie mogło trwać dłużej.

Król wezwał do siebie Mercy'ego, ten zaś przyszedł, by porozmawiać ze mną tonem znacznie poważniejszym niż kiedykolwiek przedtem.

— Król powiedział, o tyle jasno, o ile mógł to powiedzieć, że musi pani odezwać się do madame du Barry — wyjaśnił i westchnął. — Kiedy przyjechała pani do Francji, cesarzowa napisała do mnie, że nie życzy sobie, by jej córka mieszała się do polityki, biorąc pod uwagę pani wiek, brak odpowiednich umiejętności i doświadczenia, a także chaos, jaki panuje w wersalskich gabinetach. Nie życzyła sobie, by wtrącała się pani w sprawy państwowe, a tymczasem pani to właśnie robi.

— Wtrącam się w sprawy państwowe? Ponieważ nie chcę rozmawiać z tą kobietą?

— To będzie niedługo sprawa wagi państwowej. Proszę mnie słuchać uważnie. Fryderyk Wielki i Katarzyna zamierzają dokonać rozbioru Polski. Pani matka jest temu przeciwna, ale pani brat, cesarz, zamierza podpisać porozumienie z Rosją i Prusami. Cesarzowa ma oczywiście rację, jeśli sprawę rozpatrywać z moralnego punktu widzenia, ale będzie musiała się poddać, ponieważ nie tylko pani brat, ale także Kaunitz optują za udziałem w rozbiorach. Cesarzowa obawia się francuskiej reakcji. Jeśli Francja zgłosi sprzeciw, w Europie może wybuchnąć wojna.

— Ale co ma do tego moje zachowanie wobec tej kobiety?

— Niedługo się pani przekona, że nawet najbłahsze i najgłupsze czyny mogą prowadzić do katastrofy. Sprawy domowe łatwo się zamieniają w sprawy wagi państwowej. Pani matce szczególnie teraz zależy, by nie urazić króla Francji. A on wierzy, że cesarzowa potrafi doprowadzić do zakończenia tej głupiej wojny dwóch kobiet, o której mówi się nie tylko we Francji, ale i w innych krajach. Czy nie dostrzega pani poważnego niebezpieczeństwa?

Nie dostrzegałam. Cała sprawa wydawała mi się zupełnie absurdalna.

Mercy podał mi list od matki i przyglądał mi się, gdy go czytałam.

Mówią, że poddajesz się wpływow córki króla. Uważaj. Król może się lada moment zenerwować. Księżniczki nie są w królewskich łaskach. Nie potrafiły zaskarbić sobie miłości i szacunku ojca ani też kogokolwiek innego. Wszyscy wiedzą dokładnie, o czym się rozmawia i co się robi w ich apartamentach. A w ostatecznym rozrachunku Ty poniesiesz za to całą odpowiedzialność. Sama musisz ułożyć sobie stosunki z królem, nie oglądając się na ciotki.

Pomyślałam, że matka nic nie rozumie, bo jest daleko stąd.

— Muszę natychmiast opisać cesarzowej moją rozmowę z królem — oświadczył Mercy. — Tymczasem zachęcam panią, by zrobiła pani ten drobny gest. Proszę powiedzieć parę słów. Ona niczego więcej nie żąda. Czy to tak wiele?

— Kobieta tego pokroju nie poprzestanie na kilku słowach. Zawsze będzie mi się narzucać.

— Jestem przekonany, że da pani sobie z nią radę.

— W sprawach właściwego zachowania nie muszę nikogo pytać o radę — oświadczyłam lodowatym tonem.

— To prawda. Podejrzewam jednak, że będzie pani czuła wyrzuty sumienia, jeśli z pani powodu załamie się przymierze francusko–austriackie?

— Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Na jego starczej twarzy pojawił się uśmiech, który nadał jej niemal ludzki wyraz.

— Teraz nie mam już wątpliwości, że weźmie pani sobie do serca rady matki i tych, którzy pani dobrze życzą.

Nie na wiele jednak zdały się te nauki. Opowiedziałam ciotkom o rozmowie z Mercym. W oczach Adelajdy zabłyśły iskry, gdy zawołała, że to niemoralne.

— Nie mam wyboru. Moja matka sobie tego życzy. Obawia się, że niezadowolenie króla może popsuć stosunki między Francją a Austrią.

— Króla trzeba często chronić przed nim samym.

— Muszę to zrobić — powiedziałam.

Adelajda umilkła, a jej siostry spoglądały na nią wyczekująco. Pomyślałam: Teraz nawet ona rozumie powagę sytuacji.

Jakże się myliłam!

* * *

Cały dwór huczał od plotek. „Dziś następczyni tronu odezwie się do pani du Barry. To hrabina wygrała *la guerre des femmes*”. No cóż, nikt rozsądny nie stawiał na inny wynik, ale wszyscy liczyli na dobrą zabawę.

Wszystkie damy zgromadziły się w salonie. Miałam zwyczaj zagadywać każdą z nich zdawkowo, przechodząc między nimi. Wśród dam stała pani du Barry. Widziałam jej szeroko otwarte niebieskie oczy, w których był tylko niewielki błysk triumfu. Nie chciała mnie wcale poniżyć, zależało jej tylko na zniwelowaniu nieprzyjemnego napięcia.

Czułam się nieswojo, ale wiedziałam, że muszę się poddać. Nie mogłam przecież drwić sobie z króla Francji i cesarzowej Austrii. Od królewskiej metresy dzieliły mnie tylko dwie osoby. Skupiłam się i przygotowałam, jak należy.

Wtedy ktoś dotknął lekko mojego ramienia. Gdy się obróciłam, zobaczyłam Adelajdę, z oczami rozplamionymi poczuciem triumfu.

— Król czeka na nas w apartamentach madame Wiktorii — powiedziała. — Musimy już iść.

Zahałam się, a potem odwróciłam i wyszłam z salonu razem z ciotkami, świadoma ciszy, która nagle zapadła. Nigdy przedtem nie obraziłam tak bardzo madame du Barry.

Ciotki natomiast nie posiadały się ze szczęścia. A jednak wywiodły wszystkich w pole! To nie do pomyślenia, żebym ja, małżonka delfina, rozmawiała z tą kobietą!

Spodziewałam się burzy i nie musiałam długo czekać.

Mercy zjawił się czym prędzej, żeby mi powiedzieć, że tym razem król jest naprawdę wściekły. Znów wezwał go do siebie, oświadczył lodowatym tonem, że plan Mercy’ego był najwyraźniej beznadziejny i że teraz on sam będzie musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

— Muszę natychmiast wysłać kuriera do Wiednia i opisać dokładnie to, co się wydarzyło.

Tym razem matka napisała do mnie osobiście.

Lęk i niepokój, jaki okazujesz, gdy masz zamienić parę słów z osobami, z którymi powinnaś rozmawiać, jest śmieszny i infantylny. Po co tyle uporu, skoro chodzi o zwykłe przywitanie. Po co

tyle zamieszania, skoro chodzi o zdawkowy komplement na temat sukni czy wachlarza. Niepodobna, byś tak zaniedbywała to, co do Ciebie należy. Niepodobna, bym sama musiała pisać do Ciebie na temat takich głupstw. Mercy doniósł mi, czego oczekuje od Ciebie król. A Ty ośmieliłaś się zlekceważyć jego życzenie! W jaki sposób zamierzasz wytłumaczyć swoje zachowanie? Nie ma żadnego wytłumaczenia. Nie ma żadnego powodu, by traktować madame du Barry odmiennie niż inne damy, które król dopuszcza do swego towarzystwa. Jako pierwsza poddana króla Francji jesteś mu winna bezwzględne posłuszeństwo. Powinnaś świecić przykładem, powinnaś pokazać całemu dworowi, że jesteś gotowa we wszystkim słuchać swego monarchy. Gdyby żądano od Ciebie czegoś, co Ci nie przystoi — ani ja, ani nikt inny nie doradzałby Ci, byś to uczyniła. Ale masz powiedzieć tylko parę słów, masz tylko spojrzeć na nią przyjaźnie i uśmiechnąć się — i to nie ze względu na nią, ale ze względu na Twego dziadka, który jest Twoim królem i dobroczyńcą.

Czytając ten list, nie posiadałam się ze zdumienia. Wszystko wskazywało na to, że matka przekreśliła swoje zasady z oportunistycznych powodów. Postępowałam w myśl zasad, jakie mi wpoila i spotkała mnie za to nagana. List był równie jasny, jak wszystkie jej rady i polecenia.

Spodziewała się mojej odpowiedzi, usiadłam więc, by ją napisać.

Nie twierdzę, że nie zamierzam się do niej odezwać, nie chcę jednak robić tego w określonym przez nią dniu i o określonej godzinie, bo nie mogę pozwolić, by nade mną bez reszty triumfowała.

Wiedziałam jednak doskonale, że zostałam pokonana.

* * *

Przemówiłam do niej w pierwszy dzień nowego roku. Wszyscy wiedzieli, że to nastąpi i wszyscy czekali. Damy ustawiły się w określonej rangą kolejności, a wśród nich była madame du Barry.

Wiedziałam, że teraz już muszę to zrobić. Ciotki starały się odwieść mnie od podjętej decyzji, ale oparłam się ich namowom. Mercy powiedział mi, że choć spiskowały przeciwko niej w swoich apartamentach, to zawsze okazywały jej przyjaźń, gdy dochodziło do spotkania. Czyżbym tego nie zauważyła? Czy nie powinnam zachowywać się ostrożniej, wiedząc, że są zdolne do takiej dwulicowości?

W końcu stanęłam z nią twarzą w twarz. Uśmiechała się trochę niepewnie, jakby chciała powiedzieć: wcale mi nie zależy, żeby ci sprawić przykrość, ale sama rozumiesz, że musisz to zrobić.

Gdybym była wrażliwsza, wiedziałabym, że to właśnie kryje się za jej uśmiechem, ale ja byłam całkiem zaślepiona. Widziałam w niej grzeszną kobietę, która nie mogła mieć dobrych intencji.

Powiedziałam to, co sobie dobrze przećwiczyłam: „Dużo dziś ludzi w Wersalu”.

To wystarczyło. Jej piękne oczy pojaśniały, na twarzy zakwitł uroczy uśmiech, a ja poszłam dalej.

A więc stało się. Cały dwór tylko o tym mówił. Król uściskał mnie przy pierwszej okazji; Mercy był wniebowzięty, madame du Barry szczęśliwa. Tylko ciotki spuściły nosy na kwintę. Ale ja szybko się zorientowałam, że Mercy miał rację. One zawsze zachowywały się nienagannie wobec madame du Barry, choć mówiły najstraszniejsze rzeczy za jej plecami.

Ja jednak czułam się dotknięta i byłam wściekła.

— Odezwałam się do niej — powiedziałam Mercy'emu — ale nigdy więcej tego nie zrobię. Ta kobieta już nigdy nie usłyszy mojego głosu.

Napisałam list do matki.

Nie wątpię, że Mercy opisał już dokładnie, co się wydarzyło w pierwszym dniu nowego roku. Ufam, że to zadowala Waszą Wysokość. Proszę nie mieć wątpliwości, że jestem gotowa zawsze poświęcić moje osobiste racje, o ile nie uwłacza to memu honorowi.

Nigdy przedtem nie pisałam do matki tym tonem. Zaczęłam dorastać.

Oczywiście cały dwór śmiał się z tej historii. Ludzie szeptaali sobie na ucho: „Dużo dziś ludzi w Wersalu”. Służba chichotała po kątach. Przez pewien czas było to ulubione powiedzonko w Wersalu.

I przestano się zajmować sprawami mojej alkowy.

* * *

Miałam rację, sądząc, że madame du Barry wcale nie będzie usatysfakcjonowana. Liczyła na to, że się zaprzyjaźnimy. Zupełnie nie rozumiałam, że ona nie chce nade mną triumfować, że nie będzie wykorzystywać swego zwycięstwa, mając nadzieję, iż ja nie będę się mścić z powodu przegranej. Była prostą kobietą, która dzięki uśmiechowi losu stała się bogata. Mieszkała w pałacu, wdzięczna opatrności, że ją tam umieściła. Pragnęła żyć w zgodzie ze wszystkimi i bez wątpienia uważała mnie za niemądrą małą dziewczynkę.

W jaki sposób mogła mnie sobie zjednać? Wszyscy wiedzieli, że uwielbiam diamenty. Może więc jakaś błyskotka? Królewski jubiler zaprezentował na dworze parę diamentowych kolczyków, mając nadzieję, że przypadną do gustu madame du Barry. Kosztowały siedemset tysięcy liwrow. Majątek. Ale były rzeczywiście wyjątkowe. Gdy je ujrzałam, wydałam okrzyk zachwytu.

Madame de Barry przysłała swoich przyjaciół, by mnie o tę błyskotkę zagadnęli. Powiedziałam, że nigdy w życiu nie widziałam równie pięknej biżuterii. Wówczas usłyszałam, że hrabina zamierza namówić króla, by mi je kupił.

Nie odezwałam się ani słowem. Wysłanniczka królewskiej faworyty nie wiedziała, co ze sobą począć. Odczekawszy czas jakiś, oświadczyłam lodowato, że może odejść.

Dałam jasno do zrozumienia, że nie oczekuję niczego od królewskiej metresy. Przy następnym spotkaniu znów traktowałam ją jak powietrze.

Madame du Barry wzruszyła ramionami. Dostała już to, na czym jej zależało. Skoro „Marcheweczka” chce być głupia, to niech sobie będzie.

Rozdział 5

Pozdrowienia z Paryża

Madame, mam nadzieję, że nasz delfin nie poczuje się urażony, ale tam na dole jest dwieście tysięcy ludzi, którzy się w pani zakochali”.

Marszałek de Brissac, gubernator Paryża, do Marii Antoniny

Lała ta niefortunna historia przyniosła pewną korzyść. Od tej pory zachowywałam znacznie większą rezerwę w kontaktach z ciotkami. Zaczęłam rozumieć, że sytuacja nie skomplikowałaby się tak bardzo, gdyby nie one. Mercy mruknął, że najprawdopodobniej wyciągnęłam z całej afery właściwe wnioski i że w takim razie można to jakoś przeboleć.

Przestałam być dzieckiem. Urosłam tak bardzo, że nikt już nie mógł mnie nazwać *petite*; włosy mi ściemniały i przezwisko „Marcheweczka” przestało być stosowne. Król szybko wybaczył mi nieprzejednaną postawę względem madame du Barry, a moja przemiana z dziecka w kobietę najwyraźniej go ucieszyła. Byłabym przesadnie skromna, gdybym nie przyznała, że przestając być atrakcyjnym dziewczęciem, stałam się jeszcze bardziej pociągającą kobietą. Nie sądzę jednak, bym była pięknoscią. W dalszym ciągu miałam przecież wysokie czoło, które spowodowało tyle zamieszania, jak również trochę nierówne i wystające zęby — robiłam jednak na wszystkich ogromne wrażenie i gdy wchodziłam do sali, ludzie patrzyli tylko na mnie. Miałam nieskazitelną cerę, długą szyję i wąskie ramiona.

Uwielbiałam stroić się w piękne suknie i brylanty, ale nie byłam próżna. Potrafiłam oczarować każdego w Schönbrunn czy w Hofburgu i wydawało mi się to całkiem naturalne. Nie miałam Pojęcia, że zalety, które budziły sympatię króla i prowokowały pełne uwielbienia spojrzenia Artois, wzniewały też zazdrość w niejednym sercu. Zachowywałam się beztrzesko i lekkomyślnie jak zawsze. Nie umiałam wyciągać wniosków z tego, co się działo. Dostrzegłam perfidie ciotek, nie przyszło mi jednak do głowy, by podejrzewać innych o to samo.

Cieszyłam się wszakże, że delfin spogląda na mnie coraz przyjaźniej. Był ze mnie dumny. Na jego twarzy pojawiał się uśmiech, gdy słyszał komplementy na temat mojego wyglądu, czasem patrzył na mnie z wyraźnym zachwytem. Wtedy byłam taka szczęśliwa, że natychmiast biegłam, by chwycić go za rękę, co go trochę zawstydzało, a trochę cieszyło.

Ja natomiast coraz bardziej się do niego przywiązywałam. Nasz związek był niezwykle, ponieważ Ludwik zachowywał się tak, jakby w duchu ciągle mnie przeproszał, że nie jest tak zwanym dobrym mężem, a ja starałam się go przekonać, że nie widzę w tym żadnej jego winy. Zapewniał mnie, że jestem czarująca i że go całkowicie satysfakcjonuję; tylko choroba powstrzymywała go przed skonsumowaniem małżeństwa. Oboje byliśmy coraz starsi i coraz lepiej to rozumieliśmy. Mój mąż nie był już wobec mnie obojętny; lubił mnie pieścić, budził się w nim naturalny instynkt. Jego próby wcale nie wydawały mi się beznadziejne, bo tak bardzo pragnął, by nam się udało, że pewnego dnia powinien się wydarzyć cud.

Mercy napisał do mojej matki, że wprawdzie na razie nie ma żadnych oznak błogosławionego stanu, lecz „każdy dzień może przynieść szczęśliwą odmianę”. Ale doktor Ganiere, jeden z królewskich lekarzy, którzy badali mego męża, napisał:

Z czasem wzmacniająca dieta i obecność młodej żony obudzą uśpione zmysły delfina, lecz ze względu na ból spowodowany deformacją księżę będzie musiał skapitulować. Lekarze są zgodni co

do tego, że tylko operacja może położyć kres tym torturom. Następca tronu nie ma jednak dość odwagi, by się jej poddać. Natura pozwoliła mu poczynić pewne postępy, bo już nie zasypia, gdy tylko znajdzie się w łóżku. Księżę ma więc nadzieję, że będzie coraz lepiej i że uda mu się uniknąć skalpela. Liczy na siłę natury.

Okazywaliśmy sobie coraz więcej czułości. Łajałam go za to, że je za dużo słodczy, od których tyje. Często podkradałam mu je w ostatniej chwili i udawałam, że się gniewa, choć w rzeczywistości cieszyła go moja troskliwość.

Kiedy zjawiał się w naszym apartamencie ubrudzony po łokcie zaprawą wapienną, besztalam go i mówiłam, że musi się poprawić, a on wybuchał śmiechem.

Mercy rzecz jasna opisywał to wszystko mojej matce.

Małżonka delfina nie może w żaden sposób odmienić jego zainteresowań — pociąga go wszystko, co się wiąże z ciesielką czy kamieniarstwem. Delfin bez przerwy coś ulepsza w swoich apartamentach, pracuje z rzemieślnikami, dźwiga belki i kamienie, haruje ciężko całymi godzinami, nic więc dziwnego, że wraca bardziej zmęczony niż robotnik...

Czasami mojego męża opanowywało pragnienie, by żyć jak inni, ale to wyczerpywało go fizycznie i psychicznie; po pewnym czasie wracał więc do swych stałych obyczajów, zasypiał przede mną i wstawał o świcie, nim ja się obudziłam.

Mnie natomiast zaczęła ogarniać nuda. Jak mogłam się rozerwać, skoro Mercy nie spuszczał mnie z oka? Ciągle się zastanawiałam, co powiedziałyby na to czy na owo moja matka? Dowiedziałam się, że jem za dużo słodczy. Czyżbym nie wiedziała, czym to grozi? Zgrabna figura to mój największy atut. Wszyscy krytykują moją lekkomyślność i upodobanie do rozrywek, ale chwałą przynajmniej moją figurę. Jeśli zaś stracę ten atut... Kazaniom nie było końca. A to na temat zębów, których nie czyszczę regularnie, a to na temat zaniedbanych i brudnych paznokci. W każdym liście matki znajdowałam jakieś reprimendy.

— Ona mnie nie kocha — skarżyłam się Mercy'emu. — Traktuje mnie jak dziecko i będzie mnie tak traktować do trzydziestki!

Mercy pokręcił głową i mruknął, że moja lekkomyślność staje się zatrawiająca. Czułam się tak, jakby zawieszono mi na szyi kartkę z napisem „lekkomyślna”. Wszyscy nieustannie powtarzali to słowo. Czasami śniło mi się, że leżę w łóżku z moim mężem a dokoła stoi służba, gapiąc się i wykrzykując „lekkomyślność... etykieta”.

Powinnaś zadbać o swój umysł — pisała matka — Powinnaś czytać pobożne książki. W twoim wypadku to szczególnie istotne, ponieważ nie dbasz o nic poza muzyką, tańcem i rysowaniem...

Kiedy przeczytałam ten list, rozgniewałam się. Nie sądzę, bym była do tego zdolna, gdyby matka znajdowała się tuż koło mnie.

Mercy spostrzegł, jak krew napływa mi do policzków, a ja podniosłam głowę i pochwyciłam jego spojrzenie.

— Ona myśli, że jestem jarmarcznym zwierzęciem. — Miał taką minę, że natychmiast wyobraziłam sobie matkę i poczułam się winna. — Ja oczywiście kocham cesarżową — ciągnęłam — ale nie czuję się swobodnie, pisząc do niej listy.

— Zmieniła się pani, madame — zauważył Mercy. — Gdy napominał panią cesarz, pani brat, a przecież robił to bardzo często...

— Aż za często — westchnęłam.

— ...wówczas wcale się tym pani nie przejmowała. Uśmiechała się pani i zapominała o wszystkim, gdy tylko przestawał mówić.

— To co innego, on jest tylko moim bratem. Mogłam mu odpowiedzieć... czasem żartowaliśmy razem. A matce nigdy nie mogę odpowiedzieć tak, jakbym chciała... Z nią nie ma żartów.

Cesarzowa o wszystkim natychmiast się dowiedziała i w następnym liście napisała:

Nie mów, że Cię karzę i że prawię Ci kazania, powiedz raczej: mama mnie kocha i pragnie mojego dobra; powinnam jej ufać i okazywać wdzięczność, stosując się do jej dobrych rad. Ty na tym skorzystasz, a i nasze stosunki się poprawią. Jestem wobec Ciebie szczerą i od Ciebie także oczekuję otwartości.

Musiałam ją jednak bardzo rozczarować, ponieważ jednocześnie napisała do Mercy'ego, a on pokazał mi ten list, sądząc, że dobrze mi to zrobi.

Pomimo Pańskiej troski o moją córkę i znakomitego wyczucia, widzę, że Marie Antoinette nie potrafi korzystać z niczyich rad. Dziś tylko pochlebstwo jest w cenie; i gdy my, w najlepszej wierze, kierujemy do nich poważne napomnienia, młodzi ludzie denerwują się i uważają, że niesłusznie ich karcimy. Tak właśnie zachowuje się moja córka. A jednak w dalszym ciągu będę ją napominała, gdy uzna to Pan za konieczne, przyprowadzając swoje uwagi pochlebstwami, choć tego nie znoszę. Obawiam się jednak, że nigdy nie uda mi się obudzić w mojej córce poważniejszej refleksji nad życiem.

A zatem od tej pory niestrawne pigułki porad mają być osładzane cieniutką warstewką pochlebstw!

Gdy przeczytałam ten list, ogarnęła mnie wściekłość, ale w gruncie rzeczy kochałam moją matkę. Mogłam stracić głowę i skarżyć się, że traktuje mnie jak dziecko, lecz przecież za nią tęskniłam. Czasami ogarniało mnie tak wielkie przerażenie, że czułam się jak dziecko, które płacze za swoją matką. Kiedyś spostrzegłam, że mój sekretarzyk jest otwarty, choć na pewno go zamykałam. Ktoś musiał wyciągnąć kluczyk z mojej kieszeni, gdy spałam!

Wówczas przypomniałam sobie, że matka kazała mi palić wszystkie listy. Stosowałam się do jej zalecenia, ale zachowywałam każdy list, póki na niego nie odpowiadałam, ponieważ trudno mi było zapamiętać ich treść. Trzymałam je pod poduszką i czasem w środku nocy dotykałam palcami szeleszczącego papieru.

— Ktoś zaglądał do mojego sekretarzyka — zwierzyłam się Vermondowi.

— Z pewnością zapomniała pani go zamknąć — uśmiechnął się wyrozumiale.

— Nie. Na pewno nie. Przysięgam.

Ale on się tylko uśmiechał pobłaźliwie. Taka mała trzpiotka, która nie dba o nic poza rozrywkami! Cóż w tym dziwnego, że zapomniała zamknąć sekretarzyk?

Nie mogłam się nikomu zwierzyć. Wiedziałam, że Mercy i Vermond są moimi przyjaciółmi, ale Vermond natychmiast mówił o wszystkim Mercy'emu, zabiegając o jego przychyłność, ten zaś donosił o moich czynnościach cesarzowej.

Szukałam pocieszenia we wszelkich rozrywkach. Artois był zawsze gotów towarzyszyć mi w zabawie. Zorganizowaliśmy kiedyś małe przyjęcie i wybraliśmy się do Marły, żeby zobaczyć wschód słońca. Towarzyszyło nam kilka osób, delfin wolał jednak zostać w łóżku. Widok był przepiękny... słońce wychyliło się zza horyzontu i oświetliło Marły. Okazało się jednak, że to nie był dobry pomysł. Następczyni tronu, która organizuje wycieczki o świcie! Po co? Nikt nie wierzył, że chodziło tylko o wschód słońca.

Całkiem nieświadomie stałam się bohaterką skandalu, choć opinia publiczna wciąż jeszcze mi pobożażała. Byłam dzieckiem, ślicznym i żywym dzieckiem, żadnym przygód. Ale następczyni tronu, której małżonka wszyscy podejrzewali o impotencję, powinna zachowywać szczególną ostrożność. Niewinna wycieczka do Marły została pilnie odnotowana. Madame de Noailles nie omieszkała mi powiedzieć, że tego rodzaju przedsięwzięcia są niedopuszczalne.

Jakże miałam pokonać nudę? Gdybym mogła jeździć do Paryża, życie byłoby o wiele ciekawsze. W Paryżu działo się tyle rzeczy. W operze organizowano bez przerwy bale. A ja tak pragnęłam tańczyć, spacerować w masce, wtopić się w tłum, by nikt nie wiedział, kim jestem, i nie męczył mnie tą nieszczęsną etykietą!

— Pani wjazd do Paryża musi być oficjalny — tłumaczyła madame de Noailles.

— Ale kiedy to będzie? — niecierpliwiłam się ciągle.

— Jego Wysokość podejmie decyzję we właściwym czasie. Ogarnęła mnie frustracja. Wielkie miasto było tak blisko, a ja nie mogłam go odwiedzić, choć wystarczyłaby niespełna godzinna podróż kareta. Cóż za absurdalny, idiotyczny zakaz!

Zwierzałam się ciotkom z mojego pragnienia. Nie były już wobec mnie tak serdeczne. Adelajda wciąż udawała, ale Wiktoria i Zofia nie umiały ukryć prawdziwych uczuć. Spoglądały na mnie wilkiem, gdy je odwiedzałam. Nie posłuchałam Adelajdy w sprawie madame du Barry. A to oznaczało, że jestem niemądra i nieprzewidywalna.

— Nie możesz pojechać do Paryża tak... po prostu — powiedziała Adelajda. — Trzeba to jakoś zaaranżować.

Mój mąż uważał, że powinnam poczekać na odpowiedni moment. A ja dopytywałam się, czy nie może jakoś wpłynąć na króla. Delfin bardzo pragnął mnie zadowolić, ale w tej sprawie nie mógł nic zdziałać.

Nawet Artois unikał tematu. Doszłam do wniosku, że nikt nie życzy sobie, abym jeździła do Paryża.

— To nie wypada — tłumaczył mi Artois. — Wiesz przecież, że dziadek nigdy tam nie bywa. Dziadek nie znosi Paryża za to, że Paryż już go nie lubi. Gdybyś tam się pojawiła, wznosiliby okrzyki na twoją cześć, bo jesteś młoda i ładna. A nikt nie ucieszyły się na widok dziadka. Sama rozumiesz, że to niemożliwe.

Postanowiłam, że sama zapytam króla. Przeczynałam, że jeśli tylko trafię na właściwy moment, nie odmówi mi, bo od kiedy odezwałam się do madame du Barry i zaczęłam się zachowywać znacznie powściągliwiej wobec ciotek, znów pałał do mnie gorącymi uczuciami. Zawsze czule mnie obejmował i prawił komplementy. Mówił, że jestem coraz bardziej czarująca. Czasami jadł ze mną śniadanie, a wtedy sam przygotowywał kawę. A to wyróżnienie oznaczało pełną aprobatę mojej osoby jako członka rodziny, który jest szczególnie miły jego sercu.

Czasami pokazywałam mu kamizelkę, którą dla niego haftowałam.

— Coś wspaniałego! — wołał wówczas. — Kiedy będę miał przyjemność włożyć to чудо?

— Może za pięć, może za dziesięć lat, papo. To był nasz ulubiony żart.

Właśnie w takiej chwili poprosiłam:

— Papo, jestem wnuczką papy już od trzech lat, a jeszcze nie oglądałam stolicy Francji. Bardzo bym chciała pojechać do Paryża.

Król zawahał się przez chwilę, a potem odrzekł:

— Oczywiście, że pojedziesz. W swoim czasie.

— To znaczy kiedy?

Podeszłam do niego, objęłam go serdecznie i roześmiałam się.

— Coś cię rozbawiło?

— Pomyślałam, jakie to szczęście, że Madame Etykieta mnie teraz nie widzi.

Król też się roześmiał. Podobało mu się przezwisko, które nadałam madame de Noailles, ponieważ sam uwielbiał bawić się pseudonimami.

— Moje szczęście — powiedział, przytrzymując moje dłonie.

— Papo, ja tak bardzo chcę pojechać do Paryża. Czy papa wyda zezwolenie, którego żąda Madame Etykieta?

— Trudno się oprzeć prośbom zarówno Madame Etykiety i delfiny. Ale delfina ładniej prosi.

Okazało się więc, że sprawa jest dziecinnie prosta. Wystarczyło, bym ładnie poprosiła. Całe zamieszanie było niepotrzebne. Teraz im wszystkim pokażę. Mam zezwolenie króla!

— Będę teraz miała mnóstwo roboty — oznajmiłam. — Obawiam się, że praca nad kamizelką się nieco opóźni.

— A zatem nie włożę jej nawet za dziesięć lat? Przekrzywiłam głowę i uśmiechnęłam się do niego.

— Obiecuję, że będę pracować jeszcze pilniej i że każdy kwiatek będzie wyhaftowany z wielką miłością.

— Haft będzie z pewnością piękniejszy niż jedwab.

Znów objęłam go serdecznie, żalując, że nie mam takiego samego wpływu na moją matkę.

* * *

A zatem... do Paryża. Poszłam do mego męża z triumfalnym uśmiechem na twarzy i oświadczyłam, że udało mi się przekonać króla. Był nieco zaskoczony, ale też zadowolony, jak zawsze, gdy udawało się zrealizować moje kaprysy.

Opowiedziałam o wszystkim Artois.

— Do Paryża! Nareszcie zatańczę na balu w operze. Czy wiesz, że gdyby król mi odmówił, poprosiłabym cię, byśmy się przebrali i pojechali na ten bal potajemnie.

Oczy mu się zaświeciły. Miał awanturniczą żyłkę, a przy tym lubił intrygi tak samo jak jego ciotki. Artois był mi życzliwy, ale też uwielbiał patrzeć, jak inni wpadają w tarapaty.

— Czy mam rozumieć, że właśnie mnie o to prosisz?

— No nie, przecież wjadę do Paryża uroczyście, jak sobie tego życzy Etykieta.

Artois pstryknął palcami.

— A może wyprowadzimy w pole tę starą jędzę?

— Jak?

— Ubiegniemy ją. Weźmiemy domina, włożymy maski i pojedziemy na bal. Nikt nas nie rozpozna.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem, ale objął mnie i zatańczył ze mną po całym apartamencie. Spodobał mi się jego pomysł. To dopiero będzie zabawa! Wystrychniemy na dudka Etykietę! Pojedziemy potajemnie do Paryża, przed ceremonią, którą ona wymyśliła. Dlaczego Artois wcześniej nie wpadł na ten pomysł!

Ucałował moje dłonie jakoś zbyt namiętnie, a oczy mu zapłonęły dziwnym ogniem. Postanowiłam, że przekonam delfina, by wybrał się z nami.

Ludwik aż zaniemówił. Po co jechać do Paryża *incognito*, skoro lada moment będzie można zrobić to oficjalnie?

— Dlatego, że tak będzie znacznie zabawniej.

Zmarszczył brwi, starając się zrozumieć, co w tym zabawnego. Mój drogi Ludwik! Nie potrafił zrozumieć, dlaczego mnie to bawi, podobnie jak ja nie mogłam zrozumieć, że bawi go tynkowanie albo ciesielka.

Spojrzałam na niego błagalnie.

— Bardzo bym chciała pojechać, a przecież ty pragniesz, abym się dobrze bawiła.

Rzeczywiście tego pragnął. Zrodziła się między nami nić porozumienia. Nie wiedział, jak mnie przeproszać za te żenujące noce w małżeńskim łożu. W ramach przeprosin pobłażał mi więc, jak mógł. Plan wydawał mu się szalony, ale skoro ja mogłam zdecydować się na takie szaleństwo, to on mógł mi przynajmniej towarzyszyć.

I tak drogi Ludwik zgodził się nam towarzyszyć. Późnym wieczorem, ubrani w domina i zamaskowani, wyruszyliśmy do Paryża.

Był to jeden z najbardziej ekscytujących wieczorów w moim życiu. Atmosfera Paryża od razu mnie urzekła. Straciłam całe trzy lata, mieszkając zaledwie godzinę drogi od tego fascynującego miasta i nie znając jego uroków. Artois pokazał mi plac Inwalidów, Bastylię, Hôtel de Ville, Tuileries i wieżę Notre Dame. Na ulicach było pełno ludzi, jakby Paryż nigdy nie spał. Podziwiałam mosty i lśniącą rzekę, ale największe wrażenie wywarł na mnie budynek opery.

* * *

Nigdy nie zapomnę tego wrażenia — tłumy ludzi, muzyka, tańce. Jakże byłam szczęśliwa! Zapomniałam o Bożym świecie, rozkoszując się tańcem. Wszyscy zachowywali się tu znacznie mniej powściągliwie. Wielu panów prosiło mnie do tańca, ale mój mąż na to nie pozwalał. Zdziwiłam się, widząc, ile godności ma w sobie Ludwik nawet w tym przebraniu.

Tańczyłam więc z nim i z hrabią Artois, a także z kilkoma naszymi towarzyszami, którzy zgodnie z życzeniem delfina nie spuszczały mnie z oka.

Do dziś pamiętam rozświetlone kandelabrami sale, zapach pomady i pudru. Pamiętam to dobrze, bo właśnie tam za jakiś czas miałam spotkać kogoś, kto odegrał ważną rolę w moim życiu. Opera to miejsce, z którym wiążą się moje najmiłsze wspomnienia.

Tej nocy dopisało nam szczęście, na które nie zasługiwaliśmy i nic złego się nie wydarzyło. Przatańczyliśmy całą noc i o świcie wróciliśmy do Wersalu.

Następnego ranka wszyscy spotkaliśmy się na mszy, rozglądając się dokoła niewinnym wzrokiem, jakbyśmy nie byli zdolni do tego rodzaju eskapad.

Oboje z Artois gratulowaliśmy sobie nawzajem zwycięstwa nad Madame Etykietą.

* * *

Nadszedł wreszcie dzień mojego oficjalnego wjazdu do stolicy. Nie mogłam się tego doczekać, mając w pamięci widok nocnego Paryża i jego radosną atmosferę.

Paryż! Miasto, które zrazu mnie pokochało, a potem odrzuciło i znienawidziło. Przypominało ogromny okręt, którego sterem była katedra Notre Dame, a dziobem stary Pont Neuf.

Dzień był przepiękny. Niebo bezchmurne, rozświetlone słońcem. Wzdłuż drogi z Wersalu do Paryża stało mnóstwo ludzi. Na mój widok wszyscy wiwatowali i pozdrawiali mnie. Delfin, który siedział obok, cofnął się nieco, by lepiej było mnie widać.

— Wznoszą okrzyki na naszą cześć — powiedziałam. — Lubią nas.

— Nie — odparł. — Wznoszą okrzyki na twoją cześć.

Byłam zachwycona, ponieważ uwielbiałam być podziwiana. Siedziałam uśmiechnięta i skłaniałam do nich głowę, a oni krzyczeli, że jestem śliczna jak obrazek.

— Niech żyje delfina! — wołali.

Hrabia Prowansji i Marie Josephe mieli kwaśne miny, nie potrafili ukryć zazdrości; a ja uśmiechałam się coraz piękniej, co wywoływało jeszcze radośniejsze okrzyki.

Gdy dojechaliśmy do miasta, nie mogłam usiedzieć w miejscu z podniecenia. Widziałam mnóstwo twarzy, kareta była zarzucona kwiatami; ludzie powiewali flagami i manifestowali swoją lojalność.

U bram miasta czekał na mnie gubernator, marszałek de Brissac. Podał mi klucze do Paryża na srebrnej tacy, przy wtórze radosnych wiwatów. Wtedy wystrzeliły armaty umieszczone na placu Inwalidów i pod Bastylią.

Nigdy nie zapomnę widoku wszystkich tych ludzi, którzy przybyli, by mnie powitać w swym mieście. Słyszałam ich komentarze:

— Czyż nie jest śliczna?

— Cóż za piękność!

— Delikatna jak nimfa!

Mój drogi lud Paryża! Jakże ich wtedy kochałam! Posyłałam im całusy, a oni się cieszyli.

Wszystkie przekupki włożyły swoje najlepsze ubrania z czarnego jedwabiu i wołały, że cieszą się, widząc mnie w swoim mieście. Uderzyło mnie poczucie godności tych ludzi, którzy witali mnie na swoim gospodarstwie. To było ich miasto, a nie własność króla. Jeśli król nie kocha Paryża, Paryż potrafi się bez niego obejść. Paryż należy do kupców, do przekupek, do rzemieślników i czeladników. Dobrze to zrozumiałam tego dnia. Witali mnie w swoim mieście, ponieważ byłam ładna, młoda i okazywałam im życzliwość. Pokochałam Paryż, więc Paryż pokochał mnie.

Jechaliśmy we wspaniałym orszaku! Eskortowała nas królewska straż przyboczna, za naszym powozem podążały trzy inne, w których siedziała nasza świta.

Po ceremonii wręczenia kluczy wjechaliśmy do miasta. Po mszy świętej w katedrze Notre Dame udaliśmy się do kolegium Ludwika Wielkiego, gdzie czekał na nas opat ze swoją świtą.

Potem przejechaliśmy pod łukami triumfalnymi i ruszyliśmy dalej ulicami Paryża, by wszyscy zgromadzeni mogli na mnie popatrzeć.

To było jedno z najbardziej fascynujących doświadczeń w moim życiu. Czułam się wówczas naprawdę szczęśliwa. Miałam przeświadczenie, że wszystko jest w najlepszym porządku. W końcu dotarliśmy do Tuileries, gdzie zjedliśmy obiad. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego tłumu, jaki zgromadził się w ogrodach, a wszyscy wznosili okrzyki na naszą cześć.

Pan de Brissac powiedział:

— Nie będą usatysfakcjonowali, jeśli im się pani nie pokaże.

— W takim razie zaraz im się pokażę, bo nie chciałabym rozczarować mieszkańców Paryża.

I wyszłam na balkon. Falujący tłum w ogrodzie życzył mi długich lat życia, a ja posyłałam im uśmiechy i ukłony, rozplómienna szczęściem.

— Jaka ona urocza! — wołali. — Jaka śliczna. Niech Bóg błogosławi naszą czarującą delfinę!

Matka i Mercy tak długo poddawali mnie druzgocącej krytyce, że byłam szczególnie łasa na komplementy. A nigdy nie czułam się tak uwielbiana, jak wtedy.

— Och, mój drogi, drogi lud! — zawołałam. — Kocham ich wszystkich. *Mon Dieu*, jakie tu tłumy! Ilu ich przyszło, żeby mnie przywitać!

Pan de Brissac, który stał koło mnie, uśmiechnął się, uklonił i powiedział:

— Madame, mam nadzieję, że nasz delfin nie poczuje się urażony, ale tu na dole jest ze dwieście tysięcy ludzi, którzy się w pani zakochali.

Zapewniłam go, że nic równie wspaniałego nigdy mi się nie przytrafiło.
Paryż przygarnął mnie do swego serca, a ja całym sercem pokochałam Paryż.

* * *

Wraciałam do Wersalu jak we śnie. W moich uszach wciąż dźwięczały okrzyki aplauzu i komplementy.

Król chciał wiedzieć, jak minęła podróż, a ja bałam się, że zasmucę go, opowiadając o wybuchu radości, jakim nas przywitano, ponieważ zaczynałam powoli rozumieć jego kontekst. Ludzie, którzy cieszyli się, widząc mnie i mojego męża, gwizdali na widok swego monarchy. Nie mogli się doczekać jego śmierci, ponieważ bardzo go nienawidzili. Ludwik, zwany niegdyś Umiłowanym, stał się Ludwikiem Znienawidzonym. Żał mi go było, ale król się tym wcale nie przejmował.

Ujął moje dłonie i pocałował mnie w policzek.

— Słyszałam, że odniosłaś wielki sukces.

— Czy to cieszy Waszą Wysokość?

— Wyparłbym się ich, gdyby nie mieli na tyle dobrego gustu, by cię uwielbiać.

Och, ci Francuzi. Potrafili doskonale ukryć swój cynizm pośród kwiecistych słów.

Napisałam do matki w triumfalnym tonie.

Najdroższa mam, nie sposób opisać, ile ciepłych uczuć okazał nam lud Paryża... Mamy mnóstwo szczęścia, skoro tak łatwo zdobyć nam przyjaźń ludzi. Zdaję sobie sprawę z tego, jak cenna jest ta przyjaźń. Nigdy o tym nie zapomnę.

Pisałam te słowa z wielką satysfakcją. Teraz się przekona, że nie we wszystkim ją zawiodłam. Mercy odnosił się z dezaprobatą do tego, co robiłam, ale lud Paryża zaakceptował mnie taką, jaka byłam.

Przepelniona poczuciem szczęścia kładłam się do łóżka obok śpiącego męża. Uroczystości wyczerpały Ludwika, choć mnie raczej przydały energii.

Nudne dni minęły już na dobre. Paryż pokazał mi nowy sposób na życie, a ja nie mogłam się doczekać, kiedy je wreszcie rozpocznę.

Rozdział 6

Czarujący nieznajomy

Nadaje się doskonale na bohatera romantycznej powieści, tyle że nie francuskiej.

Diuk de Levis o Axelu de Fersen

Nie rozpoznałem delfiny podczas naszej długiej konwersacji. Gdy zdjęła maskę, wokół nas zebrał się tłum, a ona wycofała się do swej łoży. O trzeciej wyszedłem z opery.

Z dziennika Axela de Fersen

Parę miesięcy po moim uroczystym wjeździe do Paryża odbyły się zaślubiny hrabiego Artois. Jego narzeczoną została siostra Marie Josephe. Ich ojciec, Wiktor Amadeusz, król Sardynii, chciał wydać którąś z córek za delfina, nic więc dziwnego, że obie mnie nie lubiły.

Marie Thérèse była jeszcze brzydsza niż siostra. Uwagę przyciągał przede wszystkim jej bardzo długi nos. Usta miała ogromne, a oczy malutkie. Była niewysoka i brakowało jej wdzięku. Król nie ukrywał, że czuje do niej obrzydzenie; Artois nie okazał wprawdzie rozczarowania, ale zachowywał się tak, jakby cała sprawa nie miała żadnego znaczenia. Marie Thérèse miała najwyraźniej ochotę ukryć się gdzieś, a on chętnie na to przystał. Utrzymywał już wówczas kochankę Rosalie Duthe, piękną kobietę, starszą od niego, która przedtem była faworytą księcia de Chartres.

Wszyscy dobrze się bawili zachowaniem Artois i nikt nie przejmował się losem biednej narzeczonej. Nie było nikogo, kto nie okazywałby mu współczucia z powodu takiej żony.

Należałam do grona niewielu osób, które okazywały jej sympatię i starałam się z nią zaprzyjaźnić, ale Marie Thérèse była wobec mnie szorstka i nieprzyjemna.

A że bawiłam się doskonale, szybko przestało mi zależeć na przyjaźni szwagierki. Zbliżyłam się do księżnej de Lamballe i mogłam z nią rozmawiać równie swobodnie jak niegdyś z Karoliną. Wydawało mi się nawet, że znalazłam nową siostrę.

Kiedy spadł śnieg, mogłam sobie wyobrażać, że znów jestem w Wiedniu. Pewnego dnia zobaczyłam w stajni stare sanie i opowiedziałam mojej przyjaciółce, jak Józef kazał przywieźć śnieg z gór, żeby móc urządzać sanne.

— A właściwie dlaczego my nie mogłybyśmy sobie pojeździć? — zawołałam. — Mamy przecież sanie i jest mnóstwo śniegu.

Kazałam zaprząć konie i po chwili obie siedziałyśmy już w saniach.

Pojechałyśmy do Paryża. Ileż uciechy miałyśmy, sunąc ulicami w stronę Lasku Bulońskiego. Zrobił się straszny mróz, ale my, otulone futrami, nie czułyśmy zimna.

— Zupełnie jak Wiedniu! — zawołałam. — A ty przypominasz mi moją najdroższą siostrę Karolinę.

Ale wcale nie było tak jak Wiedniu, gdzie wszyscy podróżowali w ten sposób. Tymczasem nasze sanie okazały się jedyne w Lasku Bulońskim, a przejażdżka była raczej zabawą niż podróżą. Ludzie, którzy wychodzili, by na nas popatrzeć, zachowywali się całkiem inaczej niż ci, którzy witali mnie w mieście latem. Teraz mieli posiniałe z zimna twarze i drżeli z chłodu w swych obszarpanych ubraniach, tak bardzo kontrastujących z naszymi futrami. Spostrzegłam to od razu, ale wołałam jak najszybciej o tym zapomnieć, by nie psuć sobie zabawy.

Mercy zjawił się w moim apartamencie z marsową miną.

— Pani nowa rozrywka nie spodobała się mieszkańcom Paryża.

— Dlaczego?

— To nie jest rozrywka, na którą mogą sobie pozwolić paryżanie.

— Och — mruknęłam. — Znów ta etykieta.

Tym razem chodziło jednak o coś więcej i dlatego musiałam porzucić jazdę saniami.

Napięcie w królewskiej rodzinie wydatnie wzrosło od czasu pojawienia się małżonki hrabiego Artois. Siostry wspierały się nawzajem w okazywaniu mi niechęci, moich szwagrów zjednoczyła natomiast ambicja. Hrabia Prowansji był jednak znacznie ambitniejszy niż Artois. Marie Josephe jakoś nie mogła zająć w ciążę, wszyscy zaczęli więc podejrzewać go o tę samą przypadłość, na którą cierpiał delfin.

Mercy przestrzegał mnie przed sztuczkami mojego starszego szwagra, ale nie zwracałam na to uwagi, zmęczona jego dobrymi radami. Nadeszły jednak czasy, że nawet ja (choć tak dobrze umiałam unikać wszystkiego, co nieprzyjemne i szukać rozrywek) odczułam na własnej skórze rosnące napięcie między braćmi.

— Hrabia Prowansji jest bardzo ambitny i pragnie uzyskać dominującą pozycję — tłumaczył mi Mercy. — Muszę napisać o tym cesarzowej. Nigdy nie widziałem tak ambitnego młodzieńca.

Ambicja szybko zamieniła się w nienawiść do mojego męża. Często przebywaliśmy w szóstce, bo tego wymagała etykieta. Kiedyś, gdy byliśmy w apartamentach hrabiego Prowansji, mój mąż oparł się o kominek, na którym stała piękna chińska waza, ponieważ mój szwagier kolekcjonował chińską porcelanę. Delfin zawsze podziwiał to cacko, a ja śmiałam się i pytałam, czy przypadkiem nie zamierza porzucić swej ciesielki i ślusarki dla porcelany.

On zaś oświadczył całkiem poważnie, że to może być bardzo interesujący przedmiot studiów.

Wiedząc, że dłonie Ludwika nie nawykły do trzymania tak delikatnych przedmiotów, hrabia Prowansji niepokoił się o bezpieczeństwo swego skarbu.

Dostrzegłam jego niepokój i roześmiałam się. Mój szwagier jednak nie wyglądał na rozbawionego. Podniósł się z miejsca i schował dłonie za plecami, by ukryć, że zaciska pięści z wściekłości.

I wtedy... stało się. Waza upadła na podłogę i rozbiła się na kawałeczki. Dopiero wówczas zrozumiałam, jak bardzo hrabia Prowansji nienawidzi delfina. Skoczył na biednego Ludwika, który, kompletnie zaskoczony, przewrócił się nagle. Krzyknęłam, widząc jak pada, a mój szwagier już siedział mu na plecach i chwycił go za gardło. Ludwik zdołał się jakoś wyswobodzić i po chwili obaj tarzali się po podłodze, jakby chcieli się wzajemnie pozabijać. Siostry stały obok i patrzyły na tę scenkę, ale ja nie mogłam się powstrzymać i podbiegłam, by ich jakoś rozdzielić.

Mój mąż zauważył, że jestem w niebezpieczeństwie i krzyknął:

— Uważaj! Możesz zranić Marie Antoinette!

Na mojej dłoni pojawiła się strużka krwi i to ich obu otrzeźwiło.

— Krwawisz — powiedział mój mąż, podnosząc się z podłogi.

— To nic poważnego, ale błagam, byście nie zachowywali się już tak niemądrze.

Obaj byli dość zakłopotani, jakby się wstydzieli, że stracili panowanie nad sobą z tak błahego powodu. Mój mąż przeprosił za swą niezręczność, a jego brat za porywczosć. Ale obie szwagierki szeptały coś do siebie, sugerując, że zależało mi tylko na tym, by zwrócić na siebie uwagę i dlatego udawałam, że się o nich boję.

Jak trudno było zachowywać się po przyjacielsku wobec tych dziewcząt! Ale byłam z natury życzliwa ludziom i nie mogłam uwierzyć, że one mnie naprawdę nie lubią, więc starałam się być dla nich miłą. Wraz z księżną de Lamballe doszłyśmy zresztą do wniosku, że nie należy się dziwić,

iż są tak nieprzyjemne. Jak my byśmy się czuły, gdybyśmy wyglądały tak jak one? Biedne brzydule.

Sprawy komplikował dodatkowo fakt, że król wyraźnie mnie faworyzował. Kiedy moje szwagierki dowiedziały się, że czasem jadał ze mną śniadanie i że robił mi kawę, wpadły w furję! Marie Josephie nie dała tego po sobie poznać, bo była bardzo sprytna, ale jej młodsza siostra nie umiała ukryć swoich uczuć. Córki króla próbowały nas skłócić, ale nie zwracałam na to uwagi, choć wiedziałam, że tamte dwie z pewnością słuchają ciotek.

Król wiedział, że kocham teatr, i zarządził, by w każdy wtorek i piątek wystawiano komedie. Byłam wniebowzięta i zawsze gorąco oklaskiwałam aktorów. Marzyłam też, by zagrać na scenie i wymyśliłam, że zorganizujemy nasz własny teatrzyk.

— Zabronią nam tego, gdy tylko sprawa wyjdzie na jaw — powiedział szwagier Provence.

— W takim razie nic nie może wyjść na jaw — odparłam.

Okazało się, że był to świetny pomysł, ponieważ podczas przygotowań do spektaklu moje szwagierki zapomniały, jak bardzo mnie nienawidzą. Ja zaś byłam tak szczęśliwa, mogąc wystąpić na scenie, że zapomniałam o Bożym świecie.

Udało mi się znaleźć jakieś jednoaktówki, ale czasami byliśmy tak ambitni, że porywaliśmy się na Moliера. Nigdy nie zapomnę, jak grałam Kato w „Pociesznych wykwintnisiach”. Pamiętam, jak chodziłam po scenie, wczuwając się w swoją rolę. Kochałam wtedy cały świat. Teatralne przedsięwzięcie wydobyło z mojego starszego szwagra wszystko, co najlepsze, okazało się bowiem, że bardzo szybko uczy się tekstu na pamięć i ma wyjątkowy talent komediowy. Zarzucałam mu ręce na szyję i wołałam:

— Jesteś wspaniały! Grasz tę rolę znakomicie.

A on wtedy był zadowolony i wyglądał zupełnie inaczej niż zgorzkniały młody człowiek, obrażony na los, który nie pozwolił mu zostać delfinem. Artois również uwielbiał teatr i nawet moje szwagierki dobrze się wtedy bawiły. A przy tym miały tak oryginalny akcent, że często wszyscy, łącznie z nimi, wybuchaliśmy niepohamowanym śmiechem...

Czasami pozwalaliśmy małym księżniczkom, Klotyldzie i Elżbiecie, by grały razem z nami. To ja się za nimi wstawiałam, ponieważ pamiętałam, jak sama musiałam siedzieć na widowni, bo byłam za młoda, żeby występować. Dziewczynki uwielbiały teatr. Bardzo przywiązałam się do małej Elżbiety oraz do Klotyldy, ale niestety, guwernantka nastawiała ją wrogo wobec mnie. To była bardzo sympatyczna dziewczynka — trochę leniwa z powodu tuszy. Król zdążył już wymyślić dla niej przezwisko — Tłusta Dama. A ona nie miała nic przeciwko temu. Wyjątkowo pogodne usposobienie sprawiało, że nawet docinki przyjmowała z uśmiechem.

Zabawa w teatr była tym przyjemniejsza, że urządziliśmy sobie własną scenę, wykorzystując parawany; gdy zbliżał się ktoś niewtajemniczony, wciskaliśmy do szafy całą scenografię, udając, że kostiumy są naszymi zwykłymi ubraniami, a my po prostu rozmawiamy o czymś z ożywieniem.

Mój mąż był oczywiście we wszystko wtajemniczony, ale nie chciał grać, siedział więc na widowni.

— To bardzo ważna rola — podkreślałam — ponieważ w teatrze musi być publiczność.

Ludwik siedział więc i uśmiechał się, choć znacznie częściej zasypiał. Zauważyłam jednak, że gdy tylko wychodziłam na scenę, mój mąż się ożywia.

Ogarnął nas tak wielki zapal teatralny, że poprosiłam pana Campana, mego sekretarza i bibliotekarza, którego dyskrecję i usługi wysoko ceniłam, by pomógł nam znaleźć odpowiednie kostiumy. Spisał się doskonale, podobnie zresztą jak jego syn, który się do nas przyłączył. Bawiliśmy się w najlepsze i wszyscy zauważyli, że cała nasza szóstka bardzo się do siebie zbliżyła. Nawet posiłki jedliśmy razem.

* * *

Amatorski teatr był tylko jednym ze sposobów spędzania czasu. Poza tym organizowałam ciągle wypadki do miasta, przeważnie na bale w operze. Zawsze nalegałam, żebyśmy jeździli tam wszyscy, choć moje szwagierki nie tańczyły najlepiej i nie miały na to szczególnej ochoty. Paryżanie nigdy nie witali ich tak radośnie jak mnie. Wszystko wskazywało na to, że zapomniano mi niefortunną przejażdżkę saniami po Lasku Bulońskim. Znowu mnie uwielbiali i nie przypuszczałam, że następnego dnia ponownie mogą się od nas odwrócić. Niewiele wiedziałam o ludziach i choć często jeździłam do Paryża, to w gruncie rzeczy nie znałam prawdziwego oblicza tego miasta.

Poznałam je lepiej trochę później i żałowałam, że przedtem nie byłam dość spostrzegawcza, bo Paryż zmieniał się w oczach.

Wtedy nie widziałam, że jest to miasto ogromnych kontrastów. Na eleganckim placu Delfina i w przestronnych ulicach de la Juiverie, aux Feves i des Marmousets złodzieje i prostytutki żyli tuż obok cenionych mistrzów farbiarskich, którzy wylewali zawartość swoich beczek prosto na miejski bruk. Czasami widziałam czerwone, niebieskie i zielone potoki spływające wąskimi zaułkami.

Miasto tętniło życiem i wesołością. Najbardziej rzucała się w oczy radosna atmosfera. Czasem, gdy o świcie wracaliśmy z balu do Wersalu, mijaliśmy wieśniaków, którzy przybywali do miasta ze swoimi produktami, by sprzedać je w Les Halles. Widywaliśmy piekarzy z Gonesse, którzy przywozili pieczywo do Paryża. W latach najgorszego głodu władze miasta nie pozwalały im zabierać niesprzedanych bochenków chleba z powrotem. Chleb! To słowo miało mi później dźwięczeć w uszach jak głos dzwonów pogrzebowych. Wtedy kojarzyło mi się tylko z piekarzami, którzy stali z rozdziawionymi ustami, przyglądając się naszym karetom.

Nie wiedziałam nic o prawdziwym życiu tego miasta, do którego dzień w dzień przybywało sześć tysięcy wieśniaków, by zarobić na życie. Dla mnie Paryż był przede wszystkim operą, domem prostych ludzi, którzy mnie tak pokochali, i stolicą kraju, któremu kiedyś miałam królować.

Gdyby tylko ktoś nauczył mnie patrzeć na Paryż! Pani Campan często nad tym ubolewała. Twierdziła, że ojciec Vermond ukrywał przede mną prawdziwy obraz świata. Zrozumiałabym znacznie więcej, gdybym zobaczyła paryżan przy pracy. Powinnam zobaczyć urzędników wędrujących do swych kantorków, kramarzy z Les Halles, fryzjerów w perukach obsypanych mąką, okutanych togami prawników, zmierzających do Châtelet. Powinnam była ujrzeć te ogromne kontrasty. Porównać własne stroje z łachmanami żebraków i odzieniem wszystkich tych smutnych rozpustnic o twarzach pokiereszowanych do tego stopnia, że przestały przypominać ludzkie oblicza — kobiet jeszcze młodych, ale zbyt zniszczonych, by uprawiać najstarszy zawód świata, i nadających się tylko na posyłki najuboższych ładacznic. Powinnam widzieć paryską nędzę, nie tylko paryski splendor. Paryż, przez który jechałam co wieczór na bal, był podatną glebą, na której kiełkowało powoli ziarno rewolucji.

A w samym sercu miasta stał Palais Royale — niczym samotna wyspa, gdzie co wieczór zbierali się najróżniejsi ludzie. Na początku w ogrodach pałacu dyskutowano o sztuce, o dworskich skandalach — z pewnością moje małżeństwo było jednym z ulubionych tematów — z czasem zaś pojawiły się inne wątki — wolność, równość i braterstwo.

Gdy tylko opuszczaliśmy Wersal i ruszaliśmy w stronę Paryża, ogarniało mnie wielkie podniecenie. Przed naszymi karekami podążały zazwyczaj inne powozy albo jechali wystrojeni lokaje, by dodać nam splendoru. Ubożsi mogli natomiast podróżować ogromnymi, niezgrabnymi

dylizansami, zaprzężonymi w cztery pary koni lub lżejszymi *pot de chambre*, które były wygodniejsze, ale nie chroniły pasażerów przed niepogodą.

Nie zdarzyło się, by Paryż mnie rozczarował. Miasto wydawało mi się szczególnie ekscytujące po zmroku, gdy paliły się uliczne latarnie. Spod kół naszych powozów na wszystkie strony przyskało błoto, którego nigdy nie brakowało w Paryżu. Paryskie błoto było całkiem różne od tego w innych rejonach Francji. Czuło się w nim zapach siarki, i gdy tylko leżało dłużej na bruku, wypalało w nim dziurę — wszystko z powodu nieczystości, które wylewano prosto na ulice.

* * *

Przyszedł nowy rok i zaczął się karnawał. Czas balów maskowych, komedii, oper i baletów. Każdej nocy można było wybrać inną rozrywkę. Od kiedy moje upodobanie do tańca stało się powszechnie znane, organizowano znacznie więcej balów. Zawsze zjawialiśmy się na nich *incognito*. To gwarantowało lepszą zabawę. Czasem zakładałam domino, czasem zwykłą suknię z tafty i muślinową narzutkę. Uwielbiałam się przebierać, ale nigdy nie bywałam na balach bez asysty męża czy kogoś ze szwagrów. Nawet ja rozumiałam, że byłoby to bardzo niebezpieczne.

Nigdy nie zapomnę tego, co się wydarzyło trzydziestego stycznia. Pojechałam wtedy na bal ze szwagrami i szwagierkami, ponieważ mój mąż nie miał ochoty. Nawet nie próbowałam go namawiać, wiedziałam bowiem że nie gustuje w tego rodzaju rozrywkach.

Miałam na sobie czarne, jedwabne domino, podobnie jak wielu innych uczestników balu, oraz czarną aksamitną maskę. Gdy tylko znalazłam się w sali, ruszyłam do tańca z hrabią Artois. Bardzo lubiłam być jego partnerką, ponieważ tańczył znakomicie i bez wątpienia sprawiało mu to równie wielką przyjemność jak mnie. Tańczyłam z nim już tysiące razy. Miałam świadomość, że wiele osób nam się przygląda, ale nie widziałam w tym nic niezwykłego. Wszyscy, którzy nam towarzyszyli, twierdzili zawsze, że potrafią mnie rozpoznać w każdym przebraniu ze względu na sposób, w jaki się poruszam.

Sala balowa była pięknie oświetlona, oczarowały mnie muzyka, szelest jedwabiu, zapach pomady i pudru, nade wszystko zaś poczucie anonimowości.

Zwróciłam uwagę na jakiegoś młodego człowieka, który dyskretnie mi się przyglądał, i choć odwróciłam głowę, nie mogłam przestać o nim myśleć. Nie nosił maski i miał cudzoziemską urodę. Może dlatego właśnie jego postać utkwiała mi w pamięci. Był wysoki i szczupły, a jego ciemne oczy dziwnie kontrastowały z płową czupryną i bardzo jasną cerą. Jego twarz raz wydawała się piękna, niemal kobieca, ale wystarczyło jedno spojrzenie spod ciemnych brwi, by nabrała całkiem innego wyrazu.

Zapragnęłam nagle usłyszeć jego głos. A właściwie dlaczego nie? To przecież bal maskowy. Skąd miałby się dowiedzieć, kim jestem? Podczas karnawału obowiązują całkiem inne zasady. Dlaczego dama w dominie nie mogłaby zamienić paru słów z innym tancerzem?

Stanęliśmy nieopodal nieznajomego i nagle poczułam, że jest mną zainteresowany tak samo jak ja nim.

— Chciałabym zabawić się przez chwilę — powiedziałam i podeszłam do jasnowłosego mężczyzny.

— To bardzo udany bal — odezwałam się z uśmiechem. Podniosłam dłoń do twarzy, by sprawdzić, czy maska dobrze się trzyma, ale w tej samej chwili poczułam, że wolałabym, żeby nie przesłaniała mojej twarzy. Miałam na sobie drogocenną, brylantową biżuterię. Czy on się zorientuje, jak kosztowne są te klejnoty? Pomyślałam też z dumą, że mam piękne dłonie.

— Ja też tak uważam — odrzekł, a ja zorientowałam się od razu, że ma obcy akcent. Ciekawe, czy on zauważył mój?

— Nie jest pan Francuzem.

— Jestem Szwedem, madame. A może powinienem powiedzieć „mademoiselle”?

Roześmiałam się. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby wiedział, z kim ma do czynienia.

— Może pan mówić „madame”.

Zbliżył się do nas hrabia Prowansji. Nieznajomy od razu go zauważył. Próbowałam popatrzeć na swego szwagra oczami tamtego. Provence rozaczał wokół aurę dostojności. Nawet na balu maskowym nie zapomniał, że jest prawie delfinem.

Chciałam wiedzieć coś więcej na temat tajemniczego młodzieńca, ale mój szwagier stał tuż obok.

— Czy wolno mi powiedzieć, że jest pani czarująca.

— Wolno, jeśli tak pan uważa.

— W takim razie powtórzę: jest pani czarująca.

— Co pan tu robi?

— Nabieram ogłady, madame.

— Tu? Na balu w operze?

— Człowiek nigdy nie wie, gdzie jej szukać.

Roześmiałam się. Sama nie wiedziałam dlaczego, ale czułam się szczęśliwa.

— A więc jest pan w edukacyjnej podróży?

— Owszem.

— A gdzie pan był przed przyjazdem do Francji?

— W Szwajcarii, we Włoszech...

— A potem wróci pan do Szwecji. Ciekawa jestem, który kraj podobał się panu najbardziej? Wybiera się pan do Austrii? Może spodoba się partu Wiedeń. Kiedyś mieszkałam w Wiedniu. — Czułam, że zachowuję się coraz lekkomyślniej. — Jak się pan nazywa? — zapytałam bez namysłu.

— Axel de Fersen.

— Hrabia? Książę?

— Hrabia.

— Hrabia Axel de Fersen — powtórzyłam.

— Rodzina mojej matki pochodzi z Francji.

— To dlatego ma pan trochę francuskie rysy — powiedziałam. — Wszystko co jasne — po ojcu, wszystko co ciemne — po matce. Od razu to zauważyłam.

— Jest pani bardzo spostrzegawcza. — Zbliżył się nieco i pomyślałam, że poprosi mnie do tańca.

Zastanawiałam się, co należy zrobić w takiej sytuacji, nie ośmieliłabym się bowiem zatańczyć z nieznajomym. Provence był gotów do interwencji. Artois przyglądał mi się uważnie. Gdyby nieznajomy uczynił jakikolwiek gest, który uznaliby za obrazę majestatu, a który mógłby uczynić po wszystkich moich zachętach, hrabia Prowansji natychmiast by zareagował. Pomyślałam o kłopotach, które mogłabym sprowadzić na siebie, i poczułam niepokój.

— Pani zadała mi tyle pytań — ciągnął hrabia de Fersen — a ja na nie odpowiedziałem. Czy i ja mógłbym o coś zapytać?

Provence zmarszczył brwi. A ja znów zrobiłam coś bez zastanowienia. Podniosłam dłoń do twarzy i zdjęłam maskę. Dokoła nas rozległy się okrzyki zdziwienia.

— Delfina!

Roześmiałam się głośno, by ukryć podniecenie i nie spuszczałam oczu z hrabiego Fersena. Zastanawiałam się, jak się czuje mężczyzna, który rozpoczął niewinny flirt z nieznajomą i nagle przekonał się, że to przyszła królowa Francji?

Szwed nie wahał się ani chwili. Zachował podziwu godny spokój i poczucie godności. Ukłonił się nisko, a ja zwróciłam uwagę na jego jasne włosy, które opadły na haftowany kołnierz. Piękne włosy, koloru słońca. Sądzę, że moje także mu się podobały.

Dokoła nas zebrał się tłum. Wszyscy się na mnie patrzyli. Wiele osób odgadło, że jestem na balu, ale maski uniemożliwiały rozpoznanie kogokolwiek. Tymczasem pod wpływem nieoczekiwanego impulsu sama się zdradziłam i znalazłam się nagle w centrum uwagi.

Hrabia Prowansji, stojący tuż obok, isticie królewskim gestem podał mi ramię. Artois i reszta towarzystwa zaczęła już torować nam drogę.

Poszliśmy prosto do powozów.

Ani Provence, ani Artois, ani żadna ze szwagierek nie zająknęli się nawet słowem na temat mojego zachowania, ale wiedziałam, że wszyscy je w duchu analizują.

Sama powinnam je przeanalizować. Ale wówczas nie przyszło mi do głowy, że ci znający świat młodzi ludzie od razu pomyśleli, że muszę być bardzo zmęczona moim dziwnym małżeństwem. Byłam przecież młodą, zdrową i zupełnie nieusatysfakcjonowaną seksualnie kobietą. Niebezpieczna sytuacja dla delfina, którego potomek miał przecież w przyszłości objąć francuski tron. Hrabia Prowansji postanowił bacznie mnie obserwować. Co by było, gdybym wzięła sobie kochanka? Co by było, gdybym poczęła nieślubne dziecko i udawała, że to potomek mego męża? Potencjalny bękart mógłby pozbawić mego szwagra nadziei na koronę. Artois miał całkiem inne przemyślenia. Bo jeśli rzeczywiście zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy nie wziąć sobie kochanka, to pora mi uświadomić, że on byłby tym ogromnie zainteresowany.

Moje szwagierki, które już całkiem nieźle znały swoich mężów z pewnością ich przejrzały.

A ja... a ja przypominałam sobie każdą sekundę rozmowy z nieznanym. W moich uszach dźwięczał jego głos. Wciąż widziałam jego jasne włosy i ciemne oczy.

Nie sądziłam, że go kiedykolwiek jeszcze zobaczę, ale pomyślałam, że będę go długo pamiętać. I że on nie zapomni o mnie do końca życia.

I to mi wystarczyło.

Rozdział 7

Królowa Francji

W holu rozległ się nagle straszliwy rumor; to tłum dworzan, opuściwszy przedpokoje umierającego króla, pędził złożyć pokłon nowemu władcy, Ludwikowi XVI. W ten sposób Marie Antoinette i jej małżonek dowiedzieli się, że zasiądą na tronie i wówczas całkiem spontanicznie oboje rzucili się na kolana i wykrzyknęli przez łzy. „O, Boże chroń nas i prowadź, bo jesteśmy za młodzi, żeby rządzić!”, co ogromnie poruszyło wszystkich obecnych.

Pamiętniki pani Campan

Ludwik i ja byliśmy sobie coraz bliżsi. Napisałam do matki, że gdybym mogła wybrać sobie męża spośród trzech królewskich braci, wybrałabym właśnie Ludwika. Z każdym dniem coraz bardziej ceniłam zalety męża, coraz krytyczniej oceniając jego braci. Ludwik był równie inteligentny jak hrabia Prowansji, ale tamten wypowiadał się znacznie swobodniej i dlatego sprawiał wrażenie błyskotliwszego. Hrabiemu Artois brakło natomiast powagi, a co gorsza charakteryzował się nie tylko lekkomyślnością, którą mogłam mu wybaczyć, ale i złośliwością, z którą nie umiałam się pogodzić.

Mercy ciągle przestrzegał mnie przed szwagrami i z czasem doszłam do wniosku, że miał rację.

Ale życie było zbyt pasjonujące, by się czymkolwiek przejmować. Mercy utrzymywał moją matkę w przekonaniu, że moją jedyną wadą jest upodobanie do rozrywek. Bo rzeczywiście wszędzie i zawsze ich szukałam.

Potrafiłam jednak zdobyć się na refleksję. I gdy tylko widziałam cierpienia biednych ludzi, współczułam im znacznie bardziej, niż ktokolwiek z mego otoczenia.

Często wprawiałam tym w zakłopotanie madame de Noailles. Pewnego dnia podczas polowania w Fontainebleau wykroczyłam przeciw zasadom etykiety w taki sposób, że moja opiekunka nie wiedziała, jak mnie upomnieć.

Panowie polowali na jelenia, a że ja w dalszym ciągu nie mogłam dosiadać konia, jechałam za wszystkimi swoim powozem. Jakiś wieśniak wyszedł z domu w chwili, gdy przebiegał tamtędy przerażony jeleni. Zwierzę poturbowało nieszczęśnika. Wszyscy ominęli leżącego przy drodze mężczyznę, ja kazałam jednak zatrzymać powóz, bo chciałam sprawdzić, co mu się stało.

Jego żona załamywała już ręce nad rannym, obok niej stały rozszlochane dzieci.

— Wniesiemy go do domu i zobaczymy, jak głęboka jest rana — powiedziałam. — Przyślę doktora, żeby go opatrzył.

Rozkazałam jednemu z moich służących, by wniósł wieśniaka do domu. Zaszokowała mnie nędza wiejskiej izby. Przypominając sobie luksusowe wnętrza moich apartamentów, poczułam wyrzuty sumienia i zapragnęłam pokazać tym ludziom, że naprawdę się o nich troszczę. Zorientowawszy się, że rana nie jest głęboka, sama ją zabandażowałam i zostawiłam im trochę pieniędzy. Zapewniłam też żonę wieśniaka, że przyślę lekarza, który zadba o zdrowie jej męża.

Kobieta zorientowała się, kim jestem, i patrzyła na mnie z uwielbieniem. Kiedy zaczęłam zbierać się do wyjścia, uklękła koło mnie i ucałowała rąbek mojej sukni. Bardzo mnie to wzruszyło.

Wszystko to wprawiło mnie w znacznie bardziej refleksyjny nastrój niż zazwyczaj.

— Mój drogi lud — powtarzałam.

Opowiedziałam mężowi o całym wydarzeniu i o nędzy, którą ujrzałam w wiejskiej chacie. Słuchał bardzo uważnie.

— Cieszę się — powiedział dziwnie wzruszony — że myślisz podobnie jak ja. Kiedy już zostanę królem, zrobię wszystko, co w mojej mocy dla dobra ludzi. Zamierzam pójść w ślady mego przodka, Henryka IV.

— Będę ci pomagać! — zawołałam z głębi serca.

— Bale, widowiska... wszystko to tylko niepotrzebna ekstrawagancja...

Zamilkłam. Dlaczego nie może być jednocześnie dobrze i zabawnie?

Moje współczucie dla ubogich było takie jak wszystko we mnie — powierzchowne: Gdy jednak stykałam się z nędzą i nieszczęściem, budziło się we mnie głębokie wzruszenie.

To samo się przydarzyło, gdy poleciłam jednemu ze służących przesunąć ciężką szafę, a on przewrócił się i zranił. Gdy się okazało, że zemdłał, wezwałam obecnych na pomoc.

— Zaraz wezwiemy innych służących — usłyszałam.

Ale ja się uparłam, że sama dopilnuję, by dobrze go opatrzone, ponieważ wykonywał moje polecenie, gdy przydarzyło mu się nieszczęście. Nalegałam, by położono go na sofie, kazałam przynieść wody i sama obmyłam ranę.

Kiedy otworzył oczy i zobaczył, że klęczę obok niego, łzy popłynęły mu po policzkach.

— Moja pani... — szepnęła z niedowierzaniem i zachwytem, patrząc na mnie, jakbym była boginią.

Madame de Noailles mogła mi tłumaczyć, że nie wypada, by następczyni tronu opatrywała zwykłego służącego, ale miałam ją w nosie. Wiedziałam, że w przyszłości w podobnej sytuacji postąpię tak samo. Zachowywałam się spontanicznie i przynajmniej w niektórych wypadkach okazywało się to błogosławieństwem.

Wieść o tych wydarzeniach rozniosła się błyskawicznie i ludzie zaczęli jeszcze głośniejsze wiwatować na moją cześć, gdy pojawiałam się w miejscach publicznych. Stworzyli sobie mój wizerunek, któremu nie byłam w stanie dorównać. Byłam młoda, piękna i pomimo plotek na temat mojej lekkomyślności i kokieterii, okazałam się dobra i miła. Troszczyłam się o ludzi, jak nikt się o nich nie troszczył od czasów Henryka IV który powiedział: „Każdy wieśniak powinien mieć kurę w garnku w każdą niedzielę”. Mój mąż także był dobrym człowiekiem. Gdy zasiądziemy na tronie, powrócą dobre czasy. Wystarczy poczekać, aż ten stary łajdak umrze i zacznie się nowa era.

Mój małżonek zyskał w owym czasie nowy przydomek. Nazywano go Ludwikiem Upragnionym.

Oczekiwania ludzi nie pozostały bez wpływu na nas. Bardzo pragnęliśmy dobrze sprawować rządy, gdy nadejdzie nasza kolej. Nie zapominaliśmy jednak o tym, że nie spełniliśmy podstawowego obowiązku — nie daliśmy Francji kolejnego następcy tronu. Wiem, że Ludwik zaczął poważnie zastanawiać się nad operacją, która miała go uwolnić od niefortunnej przyпадłości. Tylko czy wszystko się uda? Czy to pewne? A jeśli coś się nie powiedzie...

Rozpoczął się kolejny okres żenujących eksperymentów, o których wolałabym zapomnieć. Biedny Ludwik był zupełnie przytłoczony poczuciem odpowiedzialności, pogrążony w depresji z powodu swojej niemocy i tak bardzo świadom swoich obowiązków. Czasami widywałam go w warsztacie, harującego w pocie czoła, by zmęczyć się i zasnąć twardym snem, gdy tylko znajdzie się w łóżku.

Bardzo pragnęliśmy być dobrzy, ale wszystko sprzysięgło się przeciwko nam... nie tylko okoliczności. Zewsząd otaczali nas wrogowie.

Zawsze reagowałam równie wielkim zdziwieniem, gdy się przekonywałam, że ktoś mnie nienawidzi.

Każda moja niewinna rozmowa była natychmiast komentowana i zniekształcana. Ciotki śledziły mnie z nieukrywaną zawiścią, choć Wiktoria była z tego powodu trochę smutna. Wierzyła, że mogą mi pomóc, ale uważała, że popełniłam wielki błąd, lekceważąc rady Adelajdy w sprawie madame du Barry. Madame du Barry z kolei, widząc, jak się do niej odnoszę, wzruszyła ramionami i machnęła na mnie ręką.

Miała zresztą swoje własne problemy, które nasiliły się bez wątpienia w pierwszej połowie 1774 roku.

W „Almanach de Lige”, periodyku, który zajmował się przepowiadaniem przyszłości, napisano: „W kwietniu wielka dama, której do tej pory sprzyjał los, odegra swą ostatnią rolę”.

Wszyscy sądzili, że te słowa odnoszą się do madame du Barry. A jedyną przyczyną, dla której mogła stracić swą pozycję, była śmierć króla.

Pierwsze miesiące tego roku okazały się trudne, ponieważ atmosferę radości i zabawy psuły coraz to nowe niepokojące nuty. Bywałam na wszystkich balach w operze i od czasu do czasu myślałam o przystojnym Szwedzie, który zrobił na mnie tak wielkie wrażenie. Zastanawiałam się, czy go jeszcze zobaczę i jak będzie wyglądało nasze następne spotkanie. Ale go nie ujrzałam.

Odkryłam natomiast kolejnego wroga — hrabinę de Marsan, guwernantkę Klotyldy i Elżbiety, bardzo zaprzyjaźnioną z panem de Vauguyon, nauczycielem mego męża, który nienawidził mnie jeszcze bardziej od czasu, gdy złapałam go na podsłuchiwanie. Gdy zaś ojciec Vermond krytykował sposób, w jaki madame de Marsan wychowywała księżniczki, mnie przypisywano za to winę.

Damy dworu uważając, że warto mnie przestrzec, przynosiły czasem plotki, które pani de Marsan rozsiewała na mój temat.

— Ktoś powiedział wczoraj, że porusza się pani znacznie zgrabniej niż ktokolwiek inny na dworze, a madame de Marsan oświadczyła, że chodzi pani jak kurtyzana.

— Biedna pani de Marsan! — wykrzyknęłam. — Ona chodzi jak kaczką!

Wszyscy zaczęli się śmiać, ale ktoś natychmiast doniósł mojej oponentce o tym komentarzu.

Kiedy wybrałam sobie nowe uczesanie, z lokami spływającymi na ramiona, które wyglądały bardzo zalotnie, pani de Marsan uznała, że wyglądam jak bachantka. Mój spontaniczny śmiech był jej zdaniem afektowany, a spojrzenia zbyt kokieteryjne.

Wkrótce się zorientowałam, że wszystko, co robię, spotyka się z krytyką ludzi takich jak hrabina i uznałam, że nie warto starać się o ich aprobatę. Pozostawało mi tylko jedno wyjście — być sobą. Tymczasem w powietrzu wisały wielkie zmiany. Wystawialiśmy sceny z Moliera. Moi szwagrowie i szwagierki grali postaci, w których skórze czuli się często lepiej niż we własnej. Mój mąż uwielbiał teatralne eksperymenty; zadowalał się wszakże rolą widza i gdy czasem łapaliśmy go na tym, że śpi, tłumaczył, że to się zdarza publiczności i aktorzy powinni wówczas szukać winy w sobie. Najczęściej jednak śmiał się i klaskał; z całą pewnością czuliśmy się wszyscy znacznie lepiej, grając swoje role, niż w rzeczywistości.

Czuliśmy, że powinniśmy zachowywać większą ostrożność. Znając krytyczne sądy pani de Marsan i wiedząc, że ciotki tylko czyhają na mój fałszywy krok oraz że Madame Etykieta nie spuszcza ze mnie oka, domyślałam się, że gdyby nasze zabawy wyszły na jaw, wybuchłby skandal, a co gorsza, zakazano by nam tej przyjemności. Świadomość zagrożenia sprawiała, że bawiliśmy się jeszcze lepiej.

Nasze eksperymenty teatralne stały się znacznie bardziej interesujące, gdy przyłączyli się do nas pan Campan z synem. Pere Campan mógł grać dowolną rolę, przygotowywać kostiumy albo podpowiadać tekst, umiał bowiem wszystkie partie na pamięć.

Pewnego dnia ustawiliśmy dekoracje i zaczęliśmy przygotowywać się do przedstawienia. Starszy pan Campan przebrał się za Kryspina i wyglądał doskonale w swoim kostiumie. Jako

człowiek skrupulatny zadbał o wszystkie detale, wyróżował sobie nawet policzki i założył zawadiacką perukę.

Pokój, w którym bawiliśmy się w teatr, był bardzo rzadko używany, ale prowadziły z niego schody na dół, do mojego apartamentu. Gdy przypomniałam sobie, że nie wzięłam peleryny, która miała mi być potrzebna, poprosiłam, by pan Campan zszedł po nią na dół tymi właśnie schodami.

Nie przypuszczałam, że ktokolwiek będzie na dole. Tymczasem zjawił się tam przypadkiem jeden ze służących i usłyszawszy podejrzany hałas, postanowił sprawdzić, co się dzieje.

Gdy na schodach zamajaczyła dziwna figura w starodawnym stroju, pomyślał oczywiście, że ma do czynienia z duchem. Wydał okrzyk przerażenia i spadł ze schodów.

Pan Campan rzucił się do niego, a my wszyscy, słysząc podejrzane hałasy, pobiegliśmy za nim. Służący leżał na podłodze i choć nic mu się nie stało, trząśnięty ze strachu. Nie spuszczał z nas wzroku — a z pewnością przedstawialiśmy dziwny widok. Pan Campan powiedział, że musimy wyjaśnić temu człowiekowi sytuację.

— Przygotowujemy przedstawienie teatralne — powiedział. — Nie jesteśmy duchami. Proszę na nas popatrzeć. Na pewno nas rozpoznacie.

— Tak, to tylko teatr — uspokajałam lokaja.

— Tak, madame — wyjąkał.

— Madame — odezwał się mądry Campan — musimy zobowiązać go do dyskrecji.

Pokiwałam głową, a Campan wyjaśnił służącemu, że nie wolno mu nikomu mówić o tym, co zobaczył.

Lokaj zapewnił, że nic nikomu nie powie i odszedł wciąż oszołomiony, a my wróciliśmy na scenę, ale zapach i energia jakoś z nas wyparowały. Rozmawialiśmy o tym wydarzeniu, zamiast kontynuować przygotowania. Pan Campan bardzo spoważniał. Uznał, że nie można wykluczyć, iż ów człowiek opowie komuś, co widział. I że od tej pory będziemy bacznie obserwowani. Nasza niewinna zabawa stanie się powodem najwymyślniejszych spekulacji, zostaniemy oskarżeni o urządzenie orgii i o wszystko, co najgorsze. Mądry Campan — mając na względzie moją opinię, a wiedząc, że mówiono o mnie znacznie gorsze rzeczy niż te, o których wiedziałam — radził, byśmy zaprzestali zabawy w teatr. Mój mąż zgodził się z nim i tak skończyły się nasze teatralne eksperymenty.

Gdy zabrakło mi tej rozrywki, zaczęłam szukać innych przyjemności. W Paryżu zjawił się mój dawny nauczyciel gry na klawikordzie, Gluck. Matka prosiła, bym pomogła mu odnieść sukces w Paryżu. Bardzo mnie ucieszyło to zadanie, ponieważ w skrytości ducha uważałam, że niemieccy kompozytorzy są znacznie lepsi niż francuscy, ale w Paryżu wystawiano tylko francuskie opery. Ja zaś bardzo lubiłam Mozarta i postanowiłam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by doceniono tu Glucka. Paryska Akademia odrzuciła jego „Ifigenię”, ale Mercy zdołał nakłonić znawców, by jeszcze raz rozważyli tę decyzję.

Postanowiłam uświetnić premierę, poprosiłam więc męża, by wybrał się ze mną do opery. Towarzyszył nam także hrabia Prowansji z żoną i parę innych osób, a wśród nich moja ukochana księżna de Lamballe. Wieczór był bardzo udany. Ludzie wznosili okrzyki na moją cześć, a ja okazywałam radość, że jestem wśród nich. Na końcu urządzono kompozytorowi dziesięciminutową owację.

Mercy był z tego bardzo zadowolony. Pokazał mi list, który napisał do mojej matki.

Czuję, że nadchodzą czasy, gdy wypełni się przeznaczenie arcyksiężniczki.

Niewiele brakowało, a wbiłabym się w dumę, ale Mercy sprowadził mnie na ziemię.

— Król się starzeje — powiedział. — Zauważyła chyba pani, jak bardzo pogorszył się stan jego zdrowia?

Odrzekłam, że wydaje mi się tylko trochę bardziej zmęczony.

Wówczas Mercy przybrał swój najbardziej tajemniczy ton, który wskazywał, że to, co teraz powie, powinno pozostać na zawsze między nami.

— Jeśli wkrótce się zdarzy, że delfin zostanie królem, to nie sądzę, by znalazł dość siły, by samodzielnie sprawować rządy. Jeżeli pani nim nie pokieruje, ktoś inny zacznie nim manipulować. Powinna to pani zrozumieć. Powinna pani zrozumieć, że może pani mieć wielki wpływ na bieg wydarzeń.

— Ja? Ależ ja się nie znam na polityce!

— Niestety, to prawda. Boi się pani polityki, madame. Wybiera pani bierność i uzależnienie.

— Jestem pewna, że nigdy nie zrozumiem, czego się ode mnie oczekuje.

— Znajdą się ludzie, którzy będą udzielać pani wskazówek. Powinna pani jednak poznać i docenić swą własną pozycję i siłę.

* * *

Podczas Wielkiego Postu ojciec de Beauvais wygłosił kazanie, które było tematem sesji nie tylko w Wersalu, ale także we wszystkich paryskich gospodach. Wszyscy przeczuwali, że dni monarchy dobiegają już końca i wszyscy chcieli, by wreszcie umarł. De Beauvais nie ośmieliłby się wygłosić takiego kazania, gdyby król cieszył się dobrym zdrowiem. Okazało się, że cyniczny i oddany zmysłowemu uciechom dziadek mego męża był człowiekiem bardzo religijnym, to znaczy wierzył, że niepoprawnych grzeszników czeka piekło. Wiódł życie rozwiązłe jak mało kto — nawet inni francuscy monarchowie nie mogli się z nim równać — i święcie wierzył, że jeśli nie uzyska odpuszczenia grzechów, to pójdzie prosto do piekła. Dlatego się niepokoił. Miał zamiar okazać skruchę, ale nie za wcześnie, bo madame du Barry była jego jedyną radością w ostatnich latach życia.

Dlatego ojciec de Beauvais ośmielił się potępić postępowanie dworu i króla w szczególności. Porównał go do starego króla Salomona, znudzonego własnymi ekscesami i szukającego nowych wrażeń w ramionach nałożnic.

Ludwik udawał, że kazanie było wymierzone przeciwko niektórym członkom jego dworu — jak choćby przeciw księciu de Richelieu, jednemu z największych hulaków.

— Ha — powiedział — kaznodzieja wrzucił parę kamyczków do twojego ogródka, mój przyjacielu.

— Niestety, panie — odparł sprytnie Richelieu — rzucił tak mocno, że wiele z nich przetoczyło się do parku Waszej Wysokości.

Ludwikowi nie pozostawało nic innego, jak uśmiechnąć się kwaśno, ale widać było, że naprawdę się niepokoi. Starał się zamknąć usta kaznodziei w jedyny sposób, jaki był mu dostępny — kusząc go wizją biskupstwa. Duchowny przyjął propozycję z zadowoleniem, nie przestał jednak rzucać grzmiących ostrzeżeń. Posunął się nawet do porównania luksusowego życia w Wersalu z życiem wieśniaków i paryskich biedaków.

— Wystarczy czterdzieści dni, by Niniwa legła w gruzach.

Śmierć zbliżała się wielkimi krokami. Mój czarujący dziadek zmienił się nie do poznania. Utył poważnie, przybyło mu zmarszczek, wciąż jednak miał wiele uroku. Jeden z jego najstarszych przyjaciół, markiz de Chauvelin, skończywszy grę, podniósł się od karcianego stolika i podszedł do jednej z dam. Nagle jego twarz się wykrzywiła, markiz chwycił się za klatkę piersiową i... po chwili leżał już na podłodze.

Dziadek wstał; widziałam, że chce coś powiedzieć, ale nie może wydusić z siebie ani słowa.

— On nie żyje, Najjaśniejszy Panie — oznajmił ktoś.

— Mój stary przyjaciel — mruknął król i poszedł prosto do sypialni.

Madame du Barry poszła za nim, tylko ona potrafiła go pocieszyć. Wszyscy jednak wiedzieli, że król boi się mieć ją przy sobie, lękając się, że umrze tak nagle jak markiz de Chauvelin, dźwigając brzemień wszystkich swoich grzechów.

Biedny dziadek! Bardzo pragnęłam go pocieszyć. Ale cóż mogłam zrobić? Byłam młoda i moja obecność tylko uwypuklała jego wiek.

Los zaczął z nim niebezpiecznie igrzać. Ojciec de la Ville, którego król niedawno awansował, przyszedł, by mu podziękować. Wpuszczono go do królewskich apartamentów, ale gdy zaczął wygłaszać dziękczynną mowę, padł rażony atakiem serca i zmarł u stóp monarchy.

Tego było już za wiele. Król zamknął się w swoich apartamentach i wezwał spowiednika. Madame du Barry zaczęła się niepokoić.

Adelajda natomiast była zachwycona. Gdy odwiedziłam ją razem z mężem, mówiła tylko o tym, jak złe życie prowadził jej ojciec i o tym, że powinien natychmiast odesłać tę ladacnicę, jeśli chce trafić do nieba. Zachowywała się jak generał, a jej siostry były jak posłuszni kapitanowie.

— Ciągle mu to powtarzałam — oświadczyła. — Czas płynie naprzód. Posłałam kuriera do Ludwika z prośbą, by modliła się jeszcze więcej. Pękłoby mi serce, gdybym w niebie nie zastała mego ukochanego ojca, króla Francji.

Parę dni po śmierci ojca de la Wie, król podczas przejażdżki spotkał kondukt pogrzebowy. Zatrzymał żałobników pytaniem, kogo odprowadzają na cmentarz. Tym razem w trumnie nie leżała starsza osoba, ale młoda, szesnastoletnia dziewczyna. To stanowiło równie zły omen.

Śmierć mogła go dopaść w każdej chwili, bo był już przecież dobrze po sześćdziesiątce.

Po Wielkanocy madame du Barry zaproponowała, by oboje spędzili parę tygodni w Trianon. Ogrody są coraz piękniejsze, gdy nadchodzi wiosna. Pora skończyć z posępnym nastrojem i myśleć o życiu a nie o śmierci.

Madame du Barry zawsze potrafiła go rozbawić, pojechał więc razem z nią. Wybrał się nawet na polowanie, ale czuł się fatalnie. Madame du Barry szykowała mu lekarstwa i powtarzała nieustannie, że potrzeba mu tylko odpoczynku i jej towarzystwa.

Dzień po wyjeździe dziadka, gdy miałam lekcję gry na harfie, wszedł do mojego apartamentu delfin z bardzo poważną miną.

Usiadł ciężko, a ja dałam znak nauczycielowi i służbie, by zostawili nas samych.

— Król jest chory — oznajmił.

— Bardzo chory?

— Tego nie chcą nam powiedzieć.

— Wyjechał do Trianon. Pojadę do niego natychmiast. Zajmę się nim. Na pewno wkrótce wyzdrowieje.

Mój mąż popatrzył na mnie ze smutnym uśmiechem.

— Nie — odrzekł — nie możemy tam jechać, póki po nas nie przyśle. Musimy czekać na rozkazy.

— Etykieta! — mruknęłam. — Nasz najdroższy dziadek jest chory, a my musimy trzymać się zasad etykiety.

— La Martinière już tam pojechał.

Pokiwałam głową. La Martinière był głównym lekarzem króla.

— Możemy tylko czekać — powiedział mój mąż.

— Jesteś bardzo zmartwiony, Ludwiku.

— Czuję się tak, jakby cały świat miał mi się zawalić na głowę.

* * *

Gdy La Martinière zobaczył króla, spoważniał i wbrew protestom madame du Barry zarządził powrót do Wersalu. Wszyscy wiedzieli, że to bardzo znacząca decyzja. Gdyby bowiem choroba króla nie była poważna, z pewnością zostałby w Trianon. Musiał jednak wrócić do domu, bo etykieta wymagała, by królowie Francji umierali w swej sypialni w Wersalu.

Widziałam, jak wysiadał z powozu. Opatulony ciężkim płaszczem, wyglądał jakby nie był już sobą. Trząśł się, a na twarzy miał niepokojące rumieńce.

Wszyscy zebraliśmy się w jego sypialni, a ja z trudem powstrzymywałam się, by nie wybuchnąć płaczem. Miał taki dziwny wyraz oczu i nawet się nie uśmiechnął, gdy ucałowałam jego dłoń. Zupełnie jakby był kimś obcym. Wiedziałam, że nie jest szczery, ale na swój sposób go kochałam i nie mogłam patrzeć na niego w tym stanie.

Nie chciał widzieć nikogo z nas. Dopiero gdy do łóżka podeszła madame du Barry, ożywił się nieco.

— Na pewno chcesz, żebym tu została, mój drogi. — To było całkiem sprzeczne z etykietą, ale król się uśmiechnął i pokiwał głową, więc zostawiliśmy ich samych. Ten dzień minął jak zły sen. Nie potrafiłam się niczym zająć. Ludwik cały czas mi towarzyszył. Powiedział, że powinniśmy być razem.

Nie potrafiłam wyzbyć się lęku, a mój mąż cały czas wyglądał tak, jakby świat miał mu się zawalić na głowę.

Pięciu chirurgów, sześciu lekarzy i trzech aptekarzy troszczyło się o króla. Kłócili się bez przerwy o to, jak go leczyć, zastanawiali się czy otworzyć dwie, czy trzy żyły. Cały Paryż huczał od plotek. Król jest chory. Zabrano go z Trianon do Wersalu. Zważywszy na to, jaki tryb życia prowadził, jego organizm musi być w fatalnym stanie.

Ludwik i ja wciąż czekaliśmy na nowiny. Mój mąż najwyraźniej nie chciał mnie zostawić samej. Modliłam się o zdrowie dziadka i wiedziałam, że Ludwik robi to samo.

W *oeil de boeuf*, wielkim pokoju oddzielającym sypialnię króla od holu, gromadziły się całe tłumy. Mam nadzieję, że król o tym nie wiedział, bo wówczas domyśliłby się na pewno, że wszyscy czekają na jego śmierć.

Oboje z Ludwikiem odczuliśmy, że ludzie zaczynają się zachowywać względem nas trochę inaczej. Zbliżali się do nas jakby ostrożniej, z większym respektem. Chciałam zawołać:

— Nie traktujcie nas inaczej, niż przedtem. Król jeszcze nie umarł!

Z pokoju chorego dochodziły wciąż nowe wieści. Królowi postawiono bańki, ale nie przyniosło mu to ulgi.

Straszliwe napięcie wzrosło jeszcze następnego dnia. Madame du Barry przez cały czas towarzyszyła choremu, ale po mnie i po mojego męża wciąż nie posyłano. Ciotki postanowiły zatroszczyć się o zbawienie ojca, nie zamierzając pozwolić, by opiekowała się nim ta rozpustnica. Adelajda wprowadziła Zofię i Wiktorię do pokoju chorego, choć lekarze je powstrzymywali.

O tym, co się wówczas wydarzyło, opowiadał potem cały dwór.

Adelajda podeszła do łóżka, gdy jeden z doktorów trzymał szklanek wody przy ustach króla.

Nagle lekarz szeroko otworzył oczy i zawołał:

— Przysuńcie świece! Król nie widzi szklanki.

Wówczas ci, którzy stali wokół łóżka, zobaczyli to samo, co lekarz. Twarz króla pokryta była czerwonymi plamami.

* * *

Król zachorował na ospę. W pierwszej chwili wszyscy poczuli ulgę, ponieważ w końcu wyjaśniło się, co mu dolega i jak należy go leczyć. Gdy jednak w królewskiej sypialni znalazł się Bordeu, lekarz, którego sprowadziła ufająca mu madame du Barry, zaśmiał się cynicznie z tej powszechnej radości i oświadczył, że cieszyć się mogą ci, co liczą na jakiś spadek.

— Ospa w wieku lat sześćdziesięciu czterech i wobec kiepskiej formy króla to straszna choroba.

Ciotki dowiedziały się, że natychmiast powinny opuścić sypialnię chorego, ale Adelajda wyprostowała się z godnością i obrzuciła konsylium istic królewskim spojrzeniem.

— Wydaje się panom, że ktokolwiek może rozkazać mi wyjść z komnaty mego ojca? Proszę uważać, bym ja panów stąd nie wyprosiła. My tu zostaniemy. Nasz ojciec potrzebuje opieki. Któż inny powinien się o niego troszczyć, jeśli nie jego własne córki?

9 Wyznania...

Nie było sposobu, by je stamtąd usunąć. Zostały więc i razem z madame du Barry opiekowały się chorym, starając się jedynie nie przebywać przy łóżku króla jednocześnie ze znenawidzoną faworytą. Podziwiałam je wszystkie. Walczyły o jego życie, nie zważając na straszliwe niebezpieczeństwo, oddane i pełne poświęcenia, jak na pielęgniarki przystało. Nigdy nie zapomnę, jakim męstwem wykazała się wówczas Adelajda, Wiktoria i Zofia też były odważne, ale one tylko jak zwykle naśladowały siostrę. Ani mnie, ani mego męża nie wpuszczano do sypialni chorego. Nasze zdrowie stało się zbyt cenne.

Godziny ciągnęły się w nieskończoność, jak złe sny. Każdego ranka budziliśmy się, zastanawiając, jaką zmianę w naszym życiu przyniesie ten dzień. Król wiedział oczywiście, na jaką chorobę cierpi. Zażądał lustra, a gdy w nie spojrział, jęknął z przerażenia. A potem natychmiast się uspokoił.

— W moim wieku — powiedział — nie można wyjść z takiej choroby. Muszę uporządkować swoje sprawy.

Ze smutkiem skinął głową w stronę madame du Barry, która stała przy jego łóżku. Rozstanie z tą kobietą było najboleśniej, musiał jednak podjąć tę decyzję zarówno ze względu na faworytę, jak i na siebie.

Ociągała się, wychodząc. Biedna madame du Barry! Człowiek, który chronił ją przed wrogami, z godziny na godzinę tracił siły. Król wciąż o nią pytał, bo czuł się bardzo samotny, pozbawiony jej towarzystwa. Od tamtej pory zmienił się mój stosunek do tej kobiety. Żałowałam, że nie byłam dla niej bardziej życzliwa i czasami do niej zagadywałam. Wyobrażałam sobie, że jest bardzo przygnębiona, a przy tym lęka się, co z nią będzie, gdy zabraknie jej protektora.

Król musiał ją bardzo kochać, bo choć duchowni nalegali, by się wypowiedział, odkładał wciąż ten moment, wiedząc, że wówczas będzie musiał definitywnie rozstać się z hrabiną, ponieważ tylko w takim wypadku uzyska odpuszczenie grzechów. Niewykluczone, że cały czas miał nadzieję na cudowne ozdrowienie i liczył, iż będzie mógł ją znowu do siebie przywołać.

Ale siódmego maja rano stan chorego tak bardzo się pogorszył, że zapadła decyzja, by posłać po księdza.

W wersalskich ogrodach zgromadziło się mnóstwo ludzi. Nikt nie chciał przegapić momentu śmierci monarchy. Odwróciłam się od okna, z trudem powstrzymując drżenie rąk, gdyż tam na dole rozłożyli się handlarze i śpiewacy, jakby spotkali się z jakiejś radosnej okazji. Paryżanie nie zamierzali udawać żałoby; cieszyli się, że kończy się stara era, bo wiele się spodziewali po nowej.

Ojciec Maudoux czekał już na króla. Po Wersalu krążyła plotka, że został wezwany po raz pierwszy od trzydziestu lat, podczas których pełnił rolę królewskiego spowiednika. Przez te

wszystkie lata monarcha nie miał czasu się wypowiadać. Wszyscy się zastanawiali, jak zdoła wyliczyć swoje liczne grzechy.

Żałowałam, że nie mogę towarzyszyć dziadkowi. Chętnie bym mu powiedziała, jak wiele znaczyła dla mnie jego dobroć. Powiedziałabym mu, że nigdy nie zapomnę naszego pierwszego spotkania w Fontainebleau, kiedy tak serdecznie przyjął przerażoną dziewczynkę. To na pewno mógłby zapisać po stronie dobrych uczynków. Wiódł wprawdzie życie pełne skandali, ale nikogo nie zmuszał do rozwiązłości. I wielu ludzi go kochało. Madame du Barry dowiodła swym zachowaniem, że traktowała go nie tylko jak protektora, ale też darzyła go uczuciem. Odeszła zaś nie dlatego, że bała się choroby, ale by zbawić jego duszę.

Wciąż przynoszono nam najnowsze wiadomości z pokoju chorego. Gdy kardynał de la Roche Aymon przyszedł z Eucharystią, dziadek ściągnął z głowy szlafmycę i próbował przyklęknąć na łóżku, mówiąc:

— Jeżeli Bóg przychodzi do takiego grzesznika, to muszę przyjąć Go z całym należnym szacunkiem.

Biedny dziadek, który przez całe swoje życie był suwerenem — zaczął panować w wieku pięciu lat — teraz miał zostać odarty z całej swej ziemskiej chwały i stanąć przed największym Królem.

Wysocy kościelni dygnitarze nie zamierzali jednak dać mu odpuszczenia grzechów za to, że wyszeptał kilka słów. Nie chodziło przecież o zwyczajnego grzesznika, lecz — o króla, który bezwstydnie łamał przykazania. Powinien publicznie odpokutować swoje grzechy, tylko wówczas zostałyby mu przebaczone.

Urządzono uroczystość, w której wszyscy musieliśmy uczestniczyć w trosce o zbawienie monarchy. Ja razem z delfinem prowadziłam procesję, za nami szli królewscy bracia z małżonkami. Wszyscy nieśliśmy świece i szliśmy za arcybiskupem z kaplicy do pokoju konającego. Miny mieliśmy bardzo poważne, nastroje także. A delfin był nie tylko smutny, ale i przerażony.

Do środka weszły tylko ciotki, my zatrzymaliśmy się przed uchylonymi drzwiami; słyszeliśmy jednak słowa duchownych i odpowiedzi króla, widzieliśmy, jak przyjmował komunię.

Kardynał de la Roche Aymon podszedł wówczas do drzwi i oznajmił:

— Król polecił mi powiedzieć, że prosi Boga o wybaczenie swoich grzechów i tego, że dawał swemu ludowi zły przykład. Obiecuje także, że jeśli Bóg zechce przywrócić mu zdrowie, okaże skruchę, poświęci się służbie Bożej i będzie się troszczył o dobro poddanych.

Słuchając tych słów, pomyślałam, że dziadek musiał stracić już całkiem nadzieję, gdyby ją bowiem miał, nie skazałby się na rozłąkę z madame de Barry.

Usłyszałam jeszcze, jak mówi niewyraźnym głosem, całkiem innym niż ten, który oczarował mnie przed laty:

— Żałuję, że nie mam dość siły, bym sam to powiedział.

* * *

Niestety, to nie był koniec. Nadeszło kilka strasznych dni. Mój elegancki dziadek! Mam nadzieję, że nie wiedział, co się stało z jego tak pięknym niegdyś ciałem. Proces gnilny rozpoczął się jeszcze przed śmiercią. Podobno z królewskiej sypialni rozchodził się straszliwy smród. Służba mdlała w tym pomieszczeniu. Ciało króla posiniało i spuchło, a śmierć nie nadchodziła.

Adelajda i jej siostry pozostały przy łóżku ojca. Oddawały mu wszelkie posługi, czuwały przy nim dniami i nocami. Znalazły się na skraju fizycznego wyczerpania, ale nie pozwoliły, by je ktoś zastąpił.

Mnie i mojego męża trzymano z dala od dziadka, musieliśmy jednak pozostać w Wersalu do czasu jego śmierci, by potem natychmiast opuścić miejsce, gdzie każdy mógł się nabawić śmiertelnej choroby. Pośród tych, którzy tłoczyli się w królewskich pokojach, gdy Ludwik XV przyjechał z Trianon, byli tacy, co zapadli na ospę i zmarli. W stajniach czekały już konie gotowe do drogi. Mieliśmy wyruszyć do Choisy, gdy tylko król umrze. Etykieta nie pozwalała nam jednak oddalić się wcześniej.

W jednym z okien stała płonąca świeca. Jej zgaśnięcie miało oznaczać, że życie króla dobiegło końca.

Siedzieliśmy w milczeniu w niewielkim pokoju. Ludwik zaraził mnie swoimi przeczuciami. Zawsze był poważny, nigdy jednak aż tak bardzo.

Nagle usłyszeliśmy wielki tumult. Podnieśliśmy się z miejsc, spoglądając na siebie. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Słysząc było podniesione głosy i coraz większy hałas.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadło mnóstwo ludzi.

Madame de Noailles pierwsza mnie dopadła. Przyklęła i ucałowała moją dłoń.

— Wasza Wysokość — powiedziała.

Dopiero wtedy zrozumiałam. Łzy napłynęły mi do oczu. Król umarł. Mój biedny Ludwik został właśnie królem Francji, a ja królową.

Wszyscy się tłoczyli wokół nas, jakby to była radosna chwila. Ludwik i ja spojrzeliśmy na siebie. Mój mąż wziął mnie za rękę i odruchowo uklęknął.

— Jesteśmy za młodzi — szepnął i chyba oboje modliliśmy się w duchu tymi samymi słowami: — O, Boże, chroń nas i prowadź. Jesteśmy za młodzi, by rządzić.

Rozdział 8

Pochlebstwa i reprimendy

Nie mogę się dość nadziwić dobroci opatrności, która wybrała właśnie mnie, Twoją najmłodszą córkę, na monarchinie najwspanialszego królestwa w Europie.

Maria Antonina do Marii Teresy

Oboje jesteście jeszcze tacy młodzi, a ciężar, który przyszło Wam dźwigać — taki wielki. Trudno mi pogodzić się z tym zrządzeniem losu.

Maria Teresa do Marii Antoniny

*Petit Reine, de vingt ans,
Vous, qui traitez si mai les gens,
Vous repasserez la barriere...*

Mała królowo,
Dwadzieścia masz lat,
Obcy ci jest nasz świat.
Lud traktujesz bardzo źle...

*Piosenka, którą śpiewano w Paryżu
miesiąc po wstąpieniu Marii Antoniny na tron.*

Po śmierci króla nie było powodu, by ktokolwiek pozostał w Wersalu. Nasz powóz czekał już od wielu dni, nie musieliśmy zatem odkładać podróży. Wyjechaliśmy do Choisy.

Ciotki, które towarzyszyły królowi do końca, najprawdopodobniej mogły przenosić chorobę, miały więc zamieszkać osobno. Wszyscy przywiązywali bowiem wielką wagę do zdrowia mojego męża.

Podczas podróży zachowywaliśmy powagę. W naszej karecie siedzieli także królewscy bracia z małżonkami, ale nikt wiele nie mówił. Ciągle powtarzałam sobie, że już nigdy nie zobaczę dziadka i że jestem królową. Jechaliśmy naprawdę pogrążeni w żałobie i doprawdy niewiele trzeba było, żebyśmy zaczęli szlochać. Mój mąż miał najbardziej nieszczęśliwą minę, a ja przypominałam sobie jego słowa o tym, że cały świat wali mu się na głowę. Biedny Ludwik! Wyglądał tak, jakby rzeczywiście to się stało.

W gruncie rzeczy jednak nasza żałoba była bardzo powierzchowna! Byliśmy przecież tacy młodzi. Dziewiętnaście lat to niewiele jak na królową. Może szukam sztucznych usprawiedliwień, ale moje usposobienie nie pozwalało mi zbyt długo trwać w jednym nastroju, a zwłaszcza w żalu. Gdy Marie Thérèse zrobiła jakąś uwagę swoją łamaną francuszczyzną, poczułam, że na moich ustach pojawił się uśmiech. Spojrzałam na Artois i zobaczyłam, że jego także rozbawiła. Nic nie mogliśmy na to poradzić. To wydawało się takie zabawne. Po chwili śmiałyśmy się na głos. Może to był historyczny śmiech, ale jednak śmiech; i w ten sposób powaga śmierci została oddalona.

W Choisy mieliśmy mnóstwo zajęć. Zwłaszcza Ludwik, który przybrał nową, pełną godności, a zarazem skromną postawę. Jak król. Gorąco pragnął uczynić wszystko, co należy, i był głęboko świadom wielkiej odpowiedzialności.

Szkoda, że nie okazałam się mądrzejsza i nie umiałam mu pomóc. Pomyślałam natychmiast, że trzeba wezwać księcia de Choiseul. Widziałam w nim swego przyjaciela i sojusznika Austrii. Uważałam, że matka życzyłaby sobie, żebym użyła swoich wpływów, by przywrócić mu dawną pozycję.

Wtedy przekonałam się, że mój mąż jest rzeczywiście innym człowiekiem, bo gdy tylko wspomniałam o księciu de Choiseul, na jego twarzy pojawił się niepokojący wyraz.

— Nigdy go nie lubiłam.

— To on zaaranżował nasze małżeństwo.

Ludwik uśmiechnął się do mnie czule.

— I tak by do niego doszło.

— Słyszałam, że to mądry człowiek.

— Mój ojciec go nie lubił. Słyszałam, że de Choiseul był zamieszany w jego śmierć.

— Zamieszany w śmierć twojego ojca, Ludwika? Jak to możliwe?

— Otruł go.

— Chyba w to nie wierzysz! Pan de Choiseul nie mógł tego zrobić.

— W każdym razie nie dochował lojalności memu ojcu. — Uśmiechnął się do mnie. — Nie powinnaś się zajmować tymi sprawami.

— Chciałabym ci pomóc, Ludwiku.

Uśmiechnął się raz jeszcze. Przypomniałam sobie, że kiedyś powiedział: „Kobiety nie nauczyły mnie niczego w dzieciństwie. Wszystkiego dowiedziałem się od mężczyzn. Nie znam się na historii, zapamiętałem jednak, że kochanki, a nawet wierne żony bardzo często stawały się przyczyną upadku państw”.

Był zbyt grzeczny, aby mi to powtórzyć, ale nie sądziłam, że zmienił zdanie.

Ciotki miały jednak na niego pewien wpływ. Mieszkały wprawdzie osobno, lecz mogły nas odwiedzać. Zapewniały, że mogą powiedzieć królowi mnóstwo ciekawych rzeczy o przeszłości. I chyba im uwierzył, bo chętnie słuchał tych opowieści.

Między Paryżem a Choisy krążyło mnóstwo plotek. Wszyscy się zastanawiali, jaki wpływ będą miały ciotki na nowego króla, w jakiej mierze ja będę mogła kształtować jego zdanie i kogo wybierze na swoją kochankę. To mnie bardzo rozśmieszyło. Czyżby wszyscy zapomnieli, że już żona jest dla niego wielkim obciążeniem, a cóż dopiero kochanka? To mi przypomniało, że nasz problem stanie się teraz jeszcze bardziej dotkliwy niż kiedykolwiek.

Ludwik był bardzo zaabsorbowany wyborem najbliższego doradcy. Sądził, że powinien to być ktoś bardzo doświadczony. Jego pierwszy wybór padł na Jeana Baptiste’a D’Arouville’a Machaulta, ministra finansów do czasu, gdy konflikt z madame de Pompadour spowodował jego upadek. Ten człowiek na pewno miał doświadczenie, a przerwał służbę tylko z powodu intryg królewskiej faworyty, co czyniło jego kandydaturę jeszcze bardziej interesującą dla Ludwika. Król zabrał się więc do pisania listu do Machaulta, wzywając go do Choisy, bo pragnął jak najszybciej rozpocząć pracę dla kraju.

Gdy siedział nad kartką papieru, zjawiły się ciotki z wizytą. Adelajda oświadczyła, że musiała przyjechać, by pomóc swemu drogiemu bratankowi. Była bowiem przekonana, że jej rady są na wagę złota.

— Otóż, mój drogi Berry... Och, nie powinnam już tak mówić, Wasza Wysokość... Mam za sobą tak długie życie, tak blisko króla Francji... wiem naprawdę dużo i mogę się przydać. — Adelajda uśmiechnęła się również do mnie, a ponieważ wciąż podziwiałam jej poświęcenie w czasie choroby starego króla, natychmiast ogarnęły mnie ciepłe uczucia.

— Wzywasz Machaulta. O nie... nie... nie... — Nachyliła się do ucha króla i szepnęła: — Maurepas. Maurepas to właściwy człowiek.

— Czyż on nie jest już stary?

— A Wasza Wysokość jest jeszcze młody. — Zaśmiała się piskliwie. — Będzie z was dobrana para. Ty masz wigor i młodzieńczą witalność. A on doświadczenie, które przychodzi z wiekiem. Maurepas — szepnęła. — Najzdolniejszy człowiek. Doskonale sobie radził z admiralicją i ze sprawami królewskiego dworu, gdy miał zaledwie dwadzieścia cztery lata.

— Ale stracił wszystkie stanowiska.

— Dlaczego? Dlaczego? Bo zadarł z Pompadour. Ojciec często popełniał ten sam błąd. Niezależnie od tego, jak zdolny był człowiek, tracił stanowisko, gdy nie polubiła go któraś z królewskich faworyt.

Adelajda poszerzała listę zalet Maurepasa tak długo, aż wreszcie mój mąż podarł list do Machaulta i napisał podobny do jej kandydata. W tym liście znalazł odbicie jego ówczesny nastrój.

Pomimo wielkiego żalu, który ogarnął mnie i całe królestwo, staram się nie zapominać o wielkich obowiązkach, jakie muszę wypełnić. Jestem królem. A to słowo oznacza wielką odpowiedzialność. Niestety mam zaledwie dwadzieścia jeden lat [nie miał nawet dwudziestu] i brak mi doświadczenia. Nie mogłem podjąć współpracy z ministrami podczas choroby starego króla. Wiara w Pańską uczciwość i wiedzę skłoniła mnie do tego, by poprosić Pana o pomoc. Dlatego uraduje mnie Pański rychły przyjazd do Choisy.

Żaden król Francji nie obejmował tronu z takim brakiem ufności we własne siły jak mój mąż.

Zagwarantowawszy audiencję Maurepasowi, ciotki triumfowały, wierząc, że zdobędą wielki wpływ na młodego króla. Obserwowały mnie podejrzliwie i wiem, że pod moją nieobecność przestrzegały Ludwika przed radami lekkomyślnej żony.

Ludwik był taki dobry. Natychmiast kazał rozdać dwieście tysięcy franków najuboższym. Bardzo martwiła go rozwiązłość otoczenia i pragnął ją ukrócić. Zapytał pana de Maurepas, co powinien uczynić, aby przywrócić moralność na dworze, który tak lekce ją sobie ważył.

— Jest tylko jeden sposób — odparł Maurepas. — Wasza Wysokość musi dać dobry przykład. W większości krajów, a już zwłaszcza we Francji, ludzie robią to samo, co ich władcy.

Mój mąż popatrzył na mnie i uśmiechnął się porozumiewawczo. Wiedziałam, że nigdy nie weźmie sobie metresy. Kochał mnie i gdyby mógł żyć jak prawdziwy mężczyzna, mielibyśmy gromadkę dzieci i bylibyśmy idealnym małżeństwem.

W owym czasie pojawiło się jednak tyle spraw do załatwienia, że nie zaprzętała nas ta kłopotliwa sprawa.

Ludwik miał dobre serce. Nie potrafił być surowy nawet względem madame du Barry.

— Oddalimy ją z dworu — powiedział. — To wystarczy. Na pewien czas zamieszka w klasztorze, a potem zobaczymy, co z nią będzie.

Ludwik był wyrozumiały i nie miał ochoty nikogo karać. Podobnie zresztą jak i ja. Wspominałam czasy, kiedy zmuszono mnie, bym powiedziała do niej to głupie zdanie. Jakże się wtedy złościłam! Teraz jednak o wszystkim już zapomniałam. Pamiętałam tylko, jak poświęciła się dla króla, nie lękając się niebezpiecznej choroby. Niech odejdzie z dworu. To wystarczy.

Ludwik szybko się zorientował, że w finansach państwowych panuje straszny bałagan i że wydatki dworu są za duże. Oświadczyłam, że chętnie też coś zaoszczędzę. Zrezygnowałam z *droit de ceinture*, sumy, którą mi wypłacano z kiesy państwowej.

Paryż i cały kraj szalał z radości. Mnie nazywano czarującą królową, a mego męża Ludwikiem Upragnionym. Pewnego ranka, gdy kramarze zmiierzali w stronę Les Halles, ktoś zauważył, że nocą ktoś napisał na pomniku Henryka IV: *Resurrexit*.

Kiedy mój mąż o tym usłyszał, zaświeciły mu się oczy z radości i dumy. Każdy Francuz uważał, że Henryk IV był najwspanialszym królem wszech czasów — królem, który bardziej niż inni troszczył się o swój lud.

Teraz mówiono, że w Ludwiku Upagnionym odrodził się tamten wielki monarcha.

* * *

W Choisy szybko zapomniałam o koszmarnych dniach w Wersalu. Byłam królową Francji; mój mąż kochał mnie na swój sposób; ludzie prześcigali się w oddawaniu mi hołdów. Było jednak coś, co mnie niepokoiło.

Wiedziałam, że matka uważnie śledzi wydarzenia. Bez wątplenia doniesiono jej już o moim zachowaniu podczas choroby i śmierci króla, postanowiłam jednak sama do niej napisać.

W poczuciu triumfu napisałam dość arogancki list (jedynym wytłumaczeniem może być to, że karmiono mnie wyłącznie pochlebstwami, od kiedy zostałam królową):

Choć Bóg od razu zdecydował, że urodzę się w królewskiej rodzinie, to dziś szczególnie nie mogę się dość nadziwić dobroci opatrności, która właśnie mnie, Twoją najmłodszą córkę, wybrała na monarchinię najwspanialszego królestwa w Europie.

Mój mąż wszedł do pokoju, gdy pisałam ten list, a ja zawołałam go, by przeczytał te słowa. Zajrzał mi przez ramię i uśmiechnął się. Wiedział, z jakim trudem przychodzi mi pisanie, więc mnie pochwalił.

— Ty także powinieneś coś napisać — powiedziałam. — To by ucieszyło moją matkę.

— Nie mam pojęcia, co mógłbym dodać.

— To ja ci powiem. — Wcisnęłam mu pióro do ręki i popchnęłam go na krzesło. Zachichotał pod wąsem, po części zakłopotany, po części zachwycony moim spontanicznym gestem.

— Napisz tak: „Jestem bardzo rad, moja droga Matko, że mogę przesłać wyrazy mego szacunku. Byłbym bardzo zobowiązany za dobre rady w czasach, które obfitują w tyle trudności...”

Napisał to błyskawicznie i popatrzył na mnie wyczekująco.

— Jesteś dużo mądrzejszy ode mnie i na pewno sam to dokończysz.

Znów się roześmiał. A potem zaczął pisać bardzo szybko, jakby chciał mnie utwierdzić w przekonaniu o swojej mądrości.

Ja ze swej strony uczynię, co w mojej mocy, by drogą Matkę usatysfakcjonować i w ten sposób okazać wdzięczność, za to, że moją małżonką, która spełniła wszystkie moje oczekiwania, została córka Cesarzowej Austrii.

— A więc jesteś ze mnie zadowolony. Dziękuję, Najjaśniejszy Panie. — Dygnęłam nisko. A potem zabrałam mu pióro.

Król miał ochotę dopisać parę słów przed wysłaniem listu. Droga Mamo, widzisz chyba, że jego słowa świadczą o tym, iż jestem drogą jego sercu, choć stara się nie psuć mnie wyszukаныmi komplementami.

Ludwik był nieco zaskoczony i zawstydzony.

— A co miałbym powiedzieć?

Roześmiałam się, zabierając list i lakując go swoją pieczęcią.

— Wszystko już powiedziałeś — odparłam. — Naprawdę, *Sire*, los podarował mi króla Francji, który jest najlepszym mężem.

Ta wymiana zdań oddaje stosunki panujące wówczas między nami — Ludwik był na pewno mną usatysfakcjonowany, choć nie życzył sobie, bym mieszała się do polityki. Na całym dworze nie znalazłoby się wierniejszego męża; ale wówczas wcale nie byłam pewna, czy źródłem tej wierności jest prawdziwe oddanie czy też fizyczna przypadłość.

Moja matka natomiast była jedną z najbardziej zaniepokojonych kobiet w Europie. A wszystko z powodu przenikliwości. Oplakiwała śmierć króla. Gdyby żył pięć lat dłużej, zdążylibyśmy się przygotować do swoich zadań. A tymczasem byliśmy wciąż parą dzieciaków. Mój mąż nie zdążył nauczyć się rządzić, ja zaś nie mogłam się tego nauczyć. Moja matka doskonale to rozumiała. I miała rację! Do dziś nie mogę się nadziwić, jakim cudem matka, będąc tak daleko, widziała wszystko we właściwych barwach, podczas gdy wszyscy ludzie, którzy byli blisko, wierzyli, że para niedoświadczonych dzieciaków stworzy im idealne państwo.

Wkrótce odpowiedziała na mój spontanicznie napisany list.

Nie zamierzam Ci prawić komplementów, z powodu Twojej nowej godności. Zapłaciłaś za to — wysoką cenę, a przyjdzie Ci zapłacić jeszcze wyższą, jeśli nie powrócisz do spokojnego i cichego trybu życia, który wiodłaś po przyjeździe do Francji. Otoczył Cię ojcowską opieką mądry człowiek i dzięki niemu zdołałaś zdobyć aprobatę ludzi. To dobrze, ale musisz się jeszcze nauczyć, jak zachować ich sympatię i jak korzystać z niej dla dobra Króla, Twego małżonka, i dla dobra kraju, którego jesteś królową. Oboje jesteście jeszcze tacy młodzi, a ciężar, który przyszło Wam dźwigać — taki wielki. Trudno mi pogodzić się z tym zrzędzeniem losu.

Matka ucieszyła się z dopisku mojego męża i wyraziła nadzieję, że oboje będziemy się starali o utrzymanie przyjaznych stosunków między Francją i Austrią.

Martwiła się ogromnie z powodu mojej lekkomyślności, rozrywek (Mercy obejmował tym słowem moją skłonność do rzeczy, które nie były ważne), mojego umiłowania tańca i plotek, lekceważenia zasad etykiety oraz impulsywności. Podkreślała, że wszystkie te cechy bardzo niepokoiły u następczyni tronu, nie będą natomiast tolerowane u królowej. Pisała:

Musisz zainteresować się poważnymi sprawami. Król będzie z pewnością zadowolony, mogąc podyskutować z Tobą o sprawach państwa. Powinnaś wystrzegać się ekstrawagancji i nie nakłaniać do niej męża. Na razie ludzie Cię kochają. Oby tak pozostało. Oboje macie więcej szczęścia, niż można się było spodziewać. Musisz zabiegać o miłość swego ludu. Wówczas wszyscy będą szczęśliwi.

Napisałam, że zdaję sobie sprawę ze swojej pozycji. Przyznałam się do lekkomyślności. Przyrzekłam, że postaram się zadowolić matkę. Opisałam także wszystkie uroczystości, hołdy i przyjemności, które starano mi się sprawić. W listach matki znajdowałam czasem trochę czułości, częściej jednak krytyczne uwagi i przeczucie, że moje szczęśliwe dni niedługo się skończą.

* * *

Cztery dni po przyjeździe do Choisy zjawił się posłaniec z wiadomością, że ciotka Adelajda ma wysoką gorączkę i bóle w plecach. Nikt nie powinien się spodziewać, że wszystkie trzy zdołają uniknąć choroby i rzeczywiście wkrótce się okazało, że Adelajda zapadła na ospę. A że Wiktoria i

Zofia zawsze podążały jej śladem, po pewnym czasie i one cierpiały z powodu tej strasznej choroby.

W Choisy wszystkich ogarnęła konsternacja. Ja przeszłam już łagodny atak ospy, wiadomo więc było, że nic mi nie grozi, ale co będzie z młodym królem? Przekonałam go, by pozwolił się zaszczepić, bo wiedziałam, że dzięki temu po bardzo łagodnym ataku choroby zostanie na nią uodporniony. Ostatecznie poddał się temu zabiegowi razem z braćmi i żoną Artois. Ludwik, który zawsze troszczył się o innych, wydał rozkaz, by nikt, kto nie miał ospy, nie zbliżał się do niego.

Szczepienie uważano za bardzo niebezpieczne, ale byłam absolutnie przekonana, że to dobry pomysł. Mercy przestrzegł mnie, że jeśli wszystko się powiedzie, wszyscy będą chwalić mój rozum, ale jeśli przydarzy się nieszczęście, tylko ja zostanę uznana winną. Przyglądał mi się surowo z nadzieją, że wyciągnę z tej lekcji jakieś wnioski. Ale ja się śmiałam i utrzymywałam, że wszyscy będą mi wdzięczni za ten pomysł.

Na szczęście okazało się, że miałam rację, choć równie dobrze Mogło się stać inaczej.

Napisałam matce, ile wyprysków miał mój mąż, napisałam także o ciotkach.

Nie wolno mi ich odwiedzać. To straszne, że tak szybko przyszło im zapłacić za swoje poświęcenie.

Miałam ochotę je odwiedzić i powiedzieć, jak bardzo je podziwiam, ale musiałam przestrzegać zakazu.

W owym czasie nasza popularność wciąż rosła. Ludzie, którzy nienawidzili Ludwika XV kochali mego męża choćby za to, że był inny niż dziadek. Kochali jego młodość, prostotę i przyjacielskość. Cały Paryż mówił o tym, że zamówił osiem ubrań ze zwykłego sukna. Nie z jedwabiu, nie z brokatu, nie z aksamitu, tylko ze zwykłego sukna! Być królem znaczyło dla niego służyć ludziom, a nie służyć jako obiekt podziwu. Mówiono, że lepiej się czuje w towarzystwie prostych ludzi, niż w towarzystwie arystokratów. Kiedyś wyszedł na samotny spacer. Gdy wrócił, usiedliśmy razem ze szwagierkami na ławce w ogrodzie i jedliśmy truskawki. Przychodzili ludzie, by na nas popatrzeć, a my się do nich uśmiechaliśmy. Wszyscy byli zachwyceni, słyszałam później, że uznano to za czarujący obrazek.

Czasami spacerowaliśmy, trzymając się pod rękę, po alejkach Choisy, co także zachwycało ludzi. Jakże różnił się ten król, który gustował w zwykłych ludzkich przyjemnościach, od poprzedniego, zaniedbującego żonę i myślącego tylko o rozpuszcie.

Postanowiono, że z powodu choroby ciotek powinniśmy opuścić Choisy i przenieść się do La Muette. Cieszyłam się, że będziemy bliżej Paryża. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, zjawilo się mnóstwo ludzi, musieliśmy więc wychodzić na balkon, by ich pozdrowić. Za panowania dziadka alejki Lasku Bulońskiego były zamknięte, ale Ludwik kazał je otworzyć, by ludzie mogli tam swobodnie spacerować. Byli tym zachwyceni i zjawiali się już o szóstej rano, by na nas spojrzeć. A ponieważ Ludwik pragnął przede wszystkim zadowolenia swego ludu, a ja pragnęłam być uwielbiana, wszyscy czuli się szczęśliwi.

Ludwik zwykł przechadzać się między ludźmi bez straży przybocznej, pieszo i bez ceregieli. Pewnego dnia on poszedł na spacer, a ja postanowiłam się wybrać na przejażdżkę. Właśnie wracał do domu, gdy wyjeżdżałam. Zsiadłam z konia i podbiegłam, by przywitać się z mężem.

Ludzie stali w milczeniu, patrząc, jak król mnie obejmuje i całuje w oba policzki.

Po chwili ogłuszyły nas okrzyki radości. Niektóre kobiety ocierały łzy. Nietrudno było obudzić emocje Francuzów. Ludwik wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy do zamku. Ludzie nie przestawali wiwatować, musieliśmy więc pokazać się na balkonie, a oni nie chcieli nam pozwolić odejść.

— Niech żyją król i królowa! Niech żyje Ludwik Upragniony i nasza piękna królowa!

To było cudowne. Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy się i posyłaliśmy całusy ludziom. Dzień okazał się tym szczęśliwszy, że o wszystkim doniesiono mojej matce. I to ją w końcu zadowoliło. Napisała:

Nie potrafię opisać radości, jaką odczuwam, słysząc takie rzeczy... Dwudziestoletni król i dziewiętnastoletnia królowa, którzy potrafią zachowywać się po ludzku, okazując ciepło i zachowując umiar. Pamiętaj, że życie w poszanowaniu religii i moralności to warunek Bożego błogosławieństwa oraz zachowania miłości poddanych. Modlę się, by Bóg miał Cię w swojej opiece dla dobra Twego ludu, dla dobra Twojej rodziny i dla dobra Twojej matki, która zaczęła żyć nową nadzieją. Jakże ja kocham Francuzów! Jakież to musi być witalny naród, skoro potrafi przeżywać tak gorące uczucia.

Dodała jednak oczywiście:

Można sobie tylko życzyć, żeby byli bardziej stali w uczuciach i mniej frywolni. Tak się z pewnością stanie, jeśli zdołacie podnieść ich morale.

Jak zwykle miała rację. Francuzi byli bez wątpienia najbardziej niestałym narodem na świecie.

Gdy zostałam królową, pozbyłam się oczywiście Madame Etykiety i wolność uderzyła mi do głowy. Miałam zamiar lekceważyć ich głupią etykietę, pewna, że jako królowa mogę wprowadzić całkiem inną atmosferę na dworze. Ludzie mnie uwielbiali. Cała dworska młodzież żyła nadzieją, że nastaną nowe, wspaniałe czasy. Śmiech, który bez trudu prowokowałam, pieścił moje uszy. Miałam dość wszystkich starych dam. Chciałam, by wszyscy moi przyjaciele byli młodzi i weseli.

Mówiłam mnóstwo głupich rzeczy.

Uważałam, że wszyscy ludzie po trzydziestce są staruszkami.

— Nie mogę pojąć, jak ludzi w tym wieku można w ogóle wpuszczać na dwór.

Wszystkie damy z mojego otoczenia śmiały się z tych żartów i powiedzonek. Jakże się męczyłam w trakcie kondolencyjnej wizyty starszych dam! Wyglądały wprost odrażająco. Przesłoniłam usta wachlarzem i szepnęłam do księżnej de Lamballe, że odwiedziły mnie chodzące mumie. Ona zachichotała i obie musiałyśmy kryć twarze za wachlarzami, przyjmując księżne i hrabiny, które wyglądały jak wrony w swoich prostych sukniach, czarnych rękawiczkach i z czarnymi wachlarzami.

Przyjmowałam je w towarzystwie moich dam dworu. Za plecami słyszałam chichot młodziutkiej markizy de Clermont–Tonnerre. Bardzo ją lubiłam, bo śmiała się z byle czego.

Usłyszałam, że ma dość patrzenia na te mumie i że posiedzi sobie na podłodze. Nikt tego nie zauważy, bo Jej Wysokość ma bardzo szeroką suknię.

Markiza na tym nie poprzestała. Kiedy najczarniejsza ze wszystkich wron dygała przede mną, spostrzegłam jak markiza wygląda zza mojej krynoliny i wówczas nie mogłam już zachować poważnego wyrazu twarzy. Natychmiast podniosłam wachlarz do twarzy, ale wszystkie stare księżne od razu to dostrzegły.

Gdy się odezwałam, w moim głosie słychać było z trudem hamowany chichot.

Po zakończeniu ceremonii oddaliłam się pospiesznie do swoich apartamentów i tam wybuchnęłam histerycznym niemal śmiechem, a zawtórowały mi wszystkie moje towarzyszki.

— Czy Wasza Wysokość nie sądzi, że one to widziały? — zapytała markiza Clermont–Tonnerre.

— I co z tego? Czy królowa Francji ma się przejmować opinią takich... wron?

Wszyscy uważali, że to bardzo śmieszne, ale wkrótce cały dwór mówił o moim niestosownym zachowaniu podczas ceremonii składania kondolencji. Stare księżne i hrabiny oświadczyły, że nigdy więcej nie będą oddawać honorów tej niemądrej trzpiotce.

Kiedy to usłyszałam, roześmiałam się głośno. Byłam przecież królową Francji i miałam w nosie opinię tych staruszek. Cała przyjemność po mojej stronie, jeśli nie zamierzają więcej się pojawić na moim dworze.

Tymczasem o moim zachowaniu mówili wszyscy. I powtarzali głupią uwagę na temat zakazu wstępu na dwór dla ludzi po trzydziestce.

Moi wrogowie wymyślili przyśpiewkę, która miała być ostrzeżeniem pod moim adresem:

*Petite Reine, de vingt ans,
Vous, qui traitez si mai les gens,
Vous repasserez la barriere
Laire, laire, laire, lanlaire, laire, lanla.*

*Mała królowo,
dwadzieścia masz lat
obcy ci jest nasz świat.
Lud traktujesz bardzo źle,
Strzeż go się, strzeż go się!*

Jeśli zaś nie będę się umiała zachować, każą mi się spakować. Powinnam potraktować to jako znak niestałości Francuzów.

* * *

Wszyscy przypuszczali, że będę wywierała wielki wpływ na króla, pomimo swej lekkomyślności. Ludwik miał bowiem do mnie słabość i zawsze starał się mnie zadowolić. Wiedziałam, że matka oraz Mercy życzą sobie, bym kierowała nim w odpowiedni sposób, a ja cieszyłam się na myśl, że będę doradzać królowi.

Domyśliłam się, że tę niemiłą piosenkę mogli ułożyć ludzie hrabiego d'Aiguillona — a może nawet on sam. Hrabia był wielkim sojusznikiem madame du Barry, która osiadła już w klasztorze Pont aux Dames. On jednak pozostał na dworze i ciągle mi dokuczał. Powiedziałam o tym Ludwikowi, podkreślając, że książe jest moim wrogiem. Mój mąż obiecał, że wyśle go na prowincję. Tego nie chciałam, wiedziałam bowiem, jak straszna to kara dla ludzi tego pokroju, poprosiłam więc tylko, by odwołał go ze stanowiska i na tym poprzestał.

Jakże byłam wówczas zaślepiona! D'Aiguillon wiedział doskonale, że to mnie zawdzięcza dymisję i wcale nie zamierzał dziękować za złagodzenie kary; razem ze swymi paryskimi przyjaciółmi zaczął przysparzać mi złej sławy, a wiedział doskonale, jak to zrobić. W ten sposób rozpoczęła się seria niezliczonych pamfletów i piosenek na mój temat, które krążyły po Paryżu przez następne lata.

Aleja wówczas tylko cieszyłam się ze swego triumfu. Skoro udało mi się doprowadzić do dymisji wroga, postanowiłam przywrócić do łask mego drogiego przyjaciela, księcia de Choiseul.

— Biedny pan de Choiseul — zaczęłam — siedzi smutny i samotny w Chanteloup. Na pewno tęskni za dworem.

— Nigdy go nie lubiłem — odparł Ludwik.

— Twój dziadek go lubił...

— A jednak go zdymisjonował.

— Tylko z powodu pani du Barry. Ona do tego doprowadziła. Wasza Wysokość nie zamierza się chyba poddawać wpływowi tego rodzaju kobiet!

— Nigdy nie zapomnę tego, co mi kiedyś powiedział. „Monseigneur, może się zdarzyć, że kiedyś będę miał nieszczęście być pańskim poddanym, ale nigdy nie będę panu służył”.

— Każdemu zdarza się powiedzieć coś głupiego, choć wcale tak nie myśli. Ja na pewno często tak robię.

Ludwik uśmiechnął się do mnie czule.

— Ty na pewno.

Objęłam go za szyję, a on się lekko zarumienił. Lubił takie gesty, choć zawsze wprawiały go w zakłopotanie. Podejrzewam, że przypominały mu owe nieszczęsne uściski w sypialni.

— Ludwiku — powiedziałam. — Bardzo bym chciała, żebyś mi pozwolił zaprosić pana de Choiseul na dwór. Czy mógłbyś mi odmówić, skoro chodzi o taki drobiazg?

— Wiesz, jak trudno mi odmówić ci czegokolwiek, ale...

— Wiedziałam, że mnie nie rozczarujesz. — Wypuściłam go z objęć, myśląc, że znowu wygrałam.

Natychmiast napisałam do pana de Choiseul z wieścią, że król zgadza się na jego powrót, on zaś nie zwlekał z przyjazdem.

Od razu spostrzegłam, że jest pełen nadziei, choć bardzo się postarzał od naszego ostatniego spotkania. Wciąż jednak uważałam go za fascynującego mężczyznę, bo uroda i tak nigdy nie była jego największym atutem.

Wówczas dowiedziałam się czegoś na temat swego męża. Nie miał zamiaru nikomu pozwolić sobą kierować. Bardzo mnie kochał i był ze mnie dumny, ale święcie wierzył, że kobiety powinny się trzymać z dala od polityki i nie zamierzał pozwolić mi się wtrącać w poważne sprawy.

Spojrzał chłodno na Choiseula i oznajmił:

— Przybrał pan na wadze od naszego ostatniego spotkania, panie de Choiseul. I wyłysiał pan.

A potem obrócił się na pięcie i zostawił go skonfundowanego. Nie mogłam już nic zrobić, skoro król go zlekceważył.

To było znaczące wydarzenie. Okazało się, że nie mam wpływu na męża, że będzie zasięgał rady swoich ministrów.

Było mi przykro ze względu na pana de Choiseul, a nie na siebie. Bez żalu rozstałam się z marzeniami o władzy. Polityka nie mogła mnie długo zajmować. Mercy musiał napisać do mojej matki, że król zamierza rządzić sam i że nie można liczyć na wpływy za moim pośrednictwem.

Dowiedziałam się zresztą od Mercy'ego, że matka wcale nie pragnęła powrotu Choiseula. Poprosiłam króla, by zechciał przyjąć na dworze starego ministra, a mąż okazał mi respekt i uczynił zadość mojej prośbie. To jej wystarczyło. Uważała bowiem, że pan de Choiseul nie ma właściwych zalet i nie odegra pozytywnej roli we francuskiej polityce na tym etapie. Pochwalała mnie także za przyczynienie się do dymisji d'Aiguillona.

Cieszyłam się bardzo, ilekroć matka mnie za coś chwaliła, lecz tego rodzaju chwile zdarzały się nader rzadko.

Rozdział 9

Próba generalna

Jeśli cena chleba nie spadnie i minister pozostanie na stanowisku — podpalimy Wersal!

Jeśli cena chleba nie spadnie, skończymy z królem i całym rodem Burbonów!

Hasła z plakatów rozwieszanych w Wersalu podczas „wojny mącznej” w 1775 roku

Gdy zasiedliśmy na tronie, Ludwik podarował mi coś, co ogromnie mnie uradowało.

Pewnego dnia przyszedł do naszej sypialni i powiedział, że każdy król Francji wstępując na tron, ofiarowuje królowej rezydencję, która jest jej prywatną własnością. Postanowił, że podaruje mi Le Petit Trianon.

Le Petit Trianon! Ten uroczy domek. Byłam zachwycona, bo uwielbiałam to miejsce. Oświadczyłam, że nic nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić.

Ludwik uśmiechał się, gdy zarzuciłam mu ręce na szyję i serdecznie go uściskałam.

— To bardzo mała rezydencja.

— Jak domek dla lalek! — wykrzyknęłam.

— Chyba za mała dla królowej Francji.

— Cudowna! Nie zmieniałabym go na żaden zamek na całym świecie. Zachichotał, jak zwykle, gdy okazywałam taki entuzjazm.

— I jest tylko mój! Mogę go urządzić, jak zechcę? Będę tam żyć jak zwyczajna wieśniaczka. Zapowiadam ci Ludwiku, że żaden gość nigdy nie przestąpi progu Le Petit Trianon. Etykieta zostanie sobie w Wersalu!

Razem z księżną de Lamballe i kilkoma młodymi damami dworu pojechałam obejrzeć nową posiadłość. Wydała mi się nieco inna niż przedtem, pewnie dlatego, że należała tylko do mnie. Pokochałam Le Petit Trianon od razu, dlatego że był to idealny azyl, położony na tyle daleko od pałacu, by można tam oddychać pełną piersią, dość jednak blisko, by podróż nie okazała się zbyt męcząca.

Moja nowa rezydencja była uroczą willą, taką, w jakiej mieszkali skromniejsi ludzie. A przecież w męczącym życiu królowej często zdarzały się chwile, w których tęskniłam do skromniejszego życia. Markiza Clermont-Tonnerre przypomniła, że Le Petit Trianon był domem rozkoszy Ludwika XV, gniazdkiem miłości, które uwił sobie razem z madame du Barry.

— To już należy do przeszłości — oświadczyłam zdecydowanym tonem. — Teraz będzie znane jako ustronie królowej. Wszystko tu zmienimy. W moim domu nic nie będzie przypominało o tej kobiecie.

— Biedactwo. Na pewno chętnie by zamieniła Pont aux Dames na Trianon.

Zmarszczyłam brwi. Wcale nie chciałam cieszyć się z nieszczęścia moich wrogów. I nigdy tego nie robiłam. Wolałam o nich jak najszybciej zapomnieć.

W willi było tylko osiem pokoi. Wszystkich nas zadziwiło niezwykle urządzenie, które służyło jako stół i mogło być podnoszone z piwnicy do jadalni. Skonstruowano je specjalnie dla Ludwika XV, by można serwować posiłki bez pomocy służby wówczas, gdy król nie życzył sobie, by ktoś widział go z kochanką. Umierałyśmy ze śmiechu, bawiąc się tym urządzeniem.

Willa była gustownie umeblowana. Z pewnością zadbał o to dziadek. Nie sędzę, by tak delikatne hafty na obiciach mogła wybrać madame du Barry.

— Och, jak wspaniale... wspaniale! — wołałam, biegając po pokojach. — Będę się tu znakomicie bawić!

Podbiegłam do okna, by popatrzeć na piękne trawniki i ogrody. Czułam, że będę miała tu pole do popisu. Mogłam przecież urządzić willę tak, jak chciałam, choć w gruncie rzeczy podobały mi się wszystkie meble. Postanowiłam, że nic nie będzie mi przypominało Wersalu. Tutaj zamierzałam przyjmować moich najbliższych przyjaciół, tutaj przestaniemy odgrywać role królowej i poddanych.

Na szczęście z okien nie było widać Wersalu. Mogłam schronić się tu, gdy chciałam zapomnieć o pałacu i o dworskim życiu.

Byłam zachwycona podarunkiem mego męża. Willa okazała się znacznie bardziej czarująca niż Le Grand Trianon, który Ludwik XV zbudował dla madame de Maintenon. Tamta rezydencja wcale by mi się nie podobała.

Nie mogłam się doczekać powrotu do Wersalu, bo bardzo chciałam powiedzieć mężowi, jaką radość mi sprawił tą niespodzianką.

* * *

W lutym odwiedził mnie mój brat, Maksymilian. Matka wysłała go w podróż edukacyjną po Europie, nic więc dziwnego, że się u mnie zatrzymał. Miał osiemnaście lat i gdy tylko go zobaczyłam, uświadomiłam sobie, jak zmieniły mnie lata spędzone we Francji. To był przecież mały Maks, który siedział ze mną i Karoliną na widowni podczas przedstawień naszego starszego rodzeństwa. Zawsze pucułowały, teraz stał się otyły, a przy tym niezgrabny i zdecydowanie nieelegancki.

Wstydziłam się za niego, bo znając już dobrze Francuzów, mogłam sobie wyobrazić, co o nim myślą, podejmując go bardzo kurtuazyjnie. Kurtuazja nie była zresztą potrzebna, ponieważ Maks jej wcale nie zauważał. Nie dostrzegał własnych błędów, bo zawsze twierdził, że ci, którzy się z nim nie zgadzają, nie mają racji. Przypominał trochę Józefa, ale nie miał tyle rozumu, co mój najstarszy brat.

Ludwik zaprosił go na herbatę do naszych prywatnych apartamentów i traktował jak brata. Zadawał pytania na temat domu i mojej matki. Im dłużej słuchałam Maksymiliana, tym lepiej rozumiałam, jak bardzo oddaliłam się od swego dawnego życia. Minęło pięć lat od chwili, w której trzęsłam się z zimna, stojąc nago w *salon de Remise* na reńskiej wysepce. Patrząc na Maksa, poczułam, że rzeczywiście stałam się Francuzką i obserwując jego niezdarność, ociężałość i brak poczucia humoru, wcale tego nie żałowałam.

Można się było spodziewać, że wizyta mego brata nie przejdzie bez echa. Wszystkie jego gafy zostały zarejestrowane i wyolbrzymione. Na dworze nazywano go arcygłupkiem, a nie arcyksięciem, a moi wrogowie roznosili złośliwe plotki po całym Paryżu.

Maks nie tylko nie miał pojęcia o francuskiej etykecie, ale też nie miał najmniejszego zamiaru podporządkować się żadnym zasadom. Z tego powodu wizyta okazała się jeszcze większym niewypałem. Powinien był odwiedzić wszystkich księżąt z rodziny królewskiej, ale Maksymilian oświadczył, że to przecież on jest gościem, więc tamci powinni się do niego pofatygować. Powstała bardzo niezręczna sytuacja, jako że nikt nie chciał ustąpić. W rezultacie do spotkania nie doszło, a księżęta Orleanu, Conde i Conti uznali to za rozmyślną zniewagę francuskiej rodziny królewskiej.

Kiedy mój szwagier, hrabia Prowansji, wydał bankiet i bal na cześć mojego brata, tamci trzej pod byle pretekstem wyjechali z Paryża, znieważając w ten sposób austriackiego arcyksięcia.

Na domiar złego, gdy wszyscy wrócili do Paryża, ludzie tłumnie ich witali, mrucząc przy tym pod nosem zniewagi pod adresem Austrii.

Gdy diuk Orleanu pojawił się na dworze, powiedziałam:

— Król zaprosił mego brata na kolację, podczas gdy księżę nigdy tego nie zrobił.

— Madame, nie mogę zaprosić arcyksięcia, póki on pierwszy nie złoży mi wizyty.

— Ciągłe ta etykieta! Mam już tego dość.

Znów odezwałam się zbyt impulsywnie. Moje słowa zinterpretowano całkiem inaczej. „Ona drwi sobie z francuskich obyczajów i chce wprowadzić obyczaje austriackie”. Powinnaś trzymać język za zębami. Powinnaś pomyśleć, zanim coś powiem.

— Mój brat przyjechał do Paryża na krótko — tłumaczyłam. — Ma tyle różnych zajęć.

Księżę Orleanu wyniośle skinął głową, na co mój mąż zareagował zdenerwowaniem i zakazał zarówno jego rodzinom, jak i rodzinom Conde i Conti wstępu na dwór przez cały tydzień.

Nie było to wielkie pocieszenie, bo księżęta wciąż pokazywali się publicznie, przy wtórze wiwatów, jakby dokonali jakiegoś bohaterstwa, odmawiając przyjęcia mego brata.

Nie zmartwiłam się, gdy Maksymilian wyjeżdżał. Moja siostra Maria Amalia wywołała spory skandal swoim zachowaniem w Parmie. Dyskutowano o tym w Paryżu, dochodząc do wniosku, że krewni królowej nie zasługują na szacunek.

— Ale czego można się spodziewać po Austriakach? — pytano.

Po wizycie Maksa paryżanie nie lubili mnie już tak jak przedtem.

* * *

Podczas gdy ja zajmowałam się Trianon — i nie zwracałam uwagi na nic innego — we Francji nastąpiły trudne czasy.

Nie rozumiałam wprawdzie o co chodzi, widziałam jednak, że król jest bardzo zmartwiony. Nie chciał rozmawiać ze mną o swoich niepokojach, bo moje wysiłki, by przywrócić stanowisko de Choiseulowi, utwierdziły go w przekonaniu, że nie powinnam się mieszać do polityki. Cieszył się, że jestem szczęśliwa w Trianon i że mam mnóstwo zajęć.

Zrozumiałam tylko tyle:

W sierpniu Ludwik mianował Roberta Jacquesa Turgota ministrem finansów. Ten bardzo przystojny, czterdziestosiedmioletni mężczyzna, o bujnej, sięgającej ramion czuprynie, miał regularne rysy twarzy i brązowe oczy. Mój mąż bardzo go lubił, bo byli do siebie podobni — żaden nie czuł się dobrze w towarzystwie. Słyszałam, że w dzieciństwie Turgot chował się za parawanem, gdy przychodzili goście i nie wyglądał, póki nie wyszli. Poruszał się dość niezgrabnie i łatwo się rumienił. Wszystko to zbliżało go do mojego męża.

Ludwik bardzo się cieszył z tej nominacji i opowiadał mi trochę o Turgocie, ale ja, pochłonięta własnymi sprawami, nie słuchałam uważnie. Dotarło do mnie wszakże, że finanse państwa są zdaniem mojego męża w opłakanym stanie i Turgot ma trzypunktowy program:

Żadnego bankructwa.

Żadnego podnoszenia podatków.

Żadnych pożyczek.

— Rozumiesz chyba, że jest tylko jeden sposób, by zrealizować program Turgota. Ograniczyć wydatki. Musimy zaoszczędzić dwadzieścia milionów i spłacić stare długi.

— Tak, oczywiście — przytaknęłam, myśląc o kolorach tkanin, którymi ozdobię sypialnię w Petit Trianon. Moją prywatną sypialnię. Z pojedynczym łóżkiem, w którym nie będzie miejsca dla mojego męża...

Ludwik popatrzył na mnie przepaszając.

— Turgot powiedział, że muszę kontrolować własne wydatki, pamiętając o powinnościach względem kraju. „Wasza Królewska Wysokość nie powinien obdarowywać tych, których kocha, kosztem swego ludu” — powiedział. A ja zgodziłem się z nim całkowicie. Cieszę się, że mam takiego dobrego ministra.

— Rzeczywiście — przytaknęłam. Żadnej sztywnej satyny, pomyślałam. Żadnego ciężkiego brokatu. To dobre w Wersalu. A do mojego ukochanego Trianon bardziej będą pasować jedwabie i stonowane kolory.

— Czy ty mnie słuchasz? — zapytał.

— O, tak, Ludwiku. Zgadzam się, że pan Turgot jest doskonałym ministrem i że powinniśmy oszczędzać. Musimy myśleć o biedakach.

Uśmiechnął się i powiedział, że nie wątpił w moje poparcie dla reform, ponieważ los ludu jest równie bliski memu sercu, jak i jego.

Pokiwałam głową. To była prawda. Życzyłam ludziom szczęścia i pragnęłam, by byli z nas zadowoleni.

Tego dnia napisałam do matki: „Pan Turgot to bardzo uczciwy człowiek i doskonale zajmuje się finansami”.

Dopiero dziś rozumiem, że dobre intencje nie prowadzą automatycznie do dobrych uczynków. Pan Turgot był rzeczywiście uczciwym człowiekiem, lecz idealisci nie zawsze są praktyczni. Szczęście mu nie dopisało, ponieważ w tym roku nie było urodzaju. Turgot wprowadził wolny handel, ale nie udało mu się zahamować wzrostu cen zboża, bo zebrano go za mało. Co więcej, ze względu na zły stan dróg niewiele zboża docierało do Paryża. Turgot rzucił więc na rynek część królewskich zapasów, dzięki czemu ceny na jakiś czas spadły, lecz po wyczerpaniu rezerw wzrosły ponownie ku jeszcze większemu niezadowoleniu ludzi.

Do Wersalu docierały pogłoski, że w niektórych częściach kraju panuje już prawdziwy głód i że ludzie się burzą przeciwko Turgotowi.

W rzeczywistości było jeszcze gorzej. W Beauvais, Meaux, Saint Denis, Poissy i Saint-Germain wybuchły rozruchy. W Villers Cotterets było jeszcze gorzej. Barki wiozące zboże do Paryża zostały zatrzymane, a zboże z rozprutych worków wylądowało w rzece. Gdy Ludwik się o tym dowiedział, był bardzo zmartwiony.

— Wygląda na to, że to wcale nie są głodni ludzie, tylko zwykli wichrzyciele — powiedział poważnie.

Turgot cierpiał na podagrę i nie mógł chodzić, wnoszono go jednak codziennie do apartamentów mojego męża.

Ja tymczasem byłam w Trianon i podziwiałam obrazy Watteau, którymi ozdobiłam ściany. Postanowiłam, że nie będę usuwać rzeźbionej i pozłacanej boazerii. Gdy wróciłam do domu, okazało się, że mój mąż wybiera się na polowanie. Spędził tyle godzin na trudnych rozmowach z Turgotem, że chciał chwilę odetchnąć i nie myśleć o trudnej sytuacji. Turgot i Maurepas wyruszyli do Paryża, rozniosły się bowiem pogłoski, że i tam agitatorzy usiłują wzniecić bunt. Mój mąż postanowił wyrwać się na chwilę, zwłaszcza że i tak lepiej mu się myślało, gdy dosiadał konia.

Siedziałam właśnie w swoim apartamencie, gdy do komnaty wpadł zaaferowany król.

— Gdy wyjechałem z pałacu, zobaczyłem wielki tłum — powiedział. — Idą od Saint-Germain w stronę wersalskiego targowiska.

Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. Tłum... maszerujący na Wersal. Stary Maurepas i Turgot pojechali do Paryża i nie ma nikogo, kto mógłby stawić czoło temu tłumowi. Nikogo... oprócz króla.

Ludwik był blady, ale zdecydowany.

— Najtrudniej pogodzić mi się z tym, że ludzie są przeciwko nam. Wówczas przypomniałam sobie moment, gdy dowiedzieliśmy się, że musimy objąć tron i oboje zawołaliśmy, że jesteśmy za młodzi. Przestałam myśleć o Trianon. Pragnęłam tylko stać u boku mego męża i dodawać mu sił. Wzięłam go za rękę, a on ucisnął mi palce.

— Nie ma czasu do stracenia — powiedział. — Trzeba działać i to natychmiast. — Wtedy na jego twarzy pojawił się znany mi dobrze wyraz zwątpienia we własne siły. — We właściwy sposób — dodał.

W pałacu byli książęta de Beauvau i de Poix. Ludwik posłał więc po nich, choć nie nadawali się na godnych zastępców Maurepasa i Turgota. Szybko wyjaśnił im sytuację.

— Wyślę zaraz wiadomość do Turgota i trzeba będzie coś przedsięwziąć.

Wiedziałam, że modli się w duchu, by decyzja, którą podejmie, okazała się właściwa. A ja modliłam się razem z nim. Usiadł i napisał list do Turgota.

Wersal zaatakowany... możecie liczyć na moją niezłomność. Wysłałem już straż na targowisko. Jestem zadowolony ze środków ostrożności, które zarządziliście w Paryżu, ale bardzo się niepokoję o to, co się tam może wydarzyć. Dobrze, że kazaliście aresztować tych ludzi, ale pamiętajcie, że nie życzę sobie pochopnych kar. Wydałem już rozkazy na temat tego, co powinno się przedsięwziąć tutaj oraz na targowiskach i we młynach w sąsiedztwie.

Nie odstępowałam go na krok i był chyba z tego zadowolony.

— Najbardziej obawiam się, że to zorganizowana rebelia. I nie lud ją wzniecił. Wcale nie jest jeszcze tak źle. Za jakiś czas wszystko będzie w porządku. To są zorganizowane rozruchy... Ktoś podżega ludzi przeciwko nam. Tylko dlaczego?

Pomyślałam o tłumach, wiwatujących na moją cześć, gdy wjeżdżałam do Paryża i o słowach pana de Brissac, który powiedział, że dwustutysięczny tłum się we mnie zakochał. Przypomniałam też sobie tych, co nas pozdrawiali w Lasku Bulońskim.

— Ludzie nas kochają, Ludwiku — powiedziałam. — Na pewno mamy wrogów, ale nie wśród ludu.

Znów pokiwał głową, a ja poczułam, że cieszy go moja obecność.

To był straszny dzień. Nie mogłam nic przełknąć. Czułam, że mogę zemdleć, dręczyły mnie mdłości. Najgorzej znosiłam oczekiwanie, gdy więc usłyszałam okrzyki niedaleko pałacu, poczułam ulgę.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam rozjuszony tłum — rozczochranych ludzi w łachmanach, wymachujących kijami i wykrzykujących zniewagi. Stałam w pewnej odległości od okna i patrzyłam na nich. Ktoś rzucił coś na balkon. Chyba kawałek zabloconego chleba.

Ludwik postanowił, że powie coś do zgromadzonych i odważnie wyszedł na balkon. Na chwilę zapadła cisza.

— Mój drogi ludu... — zawołał.

Ale jego głos utonął we wrzaskach. Kiedy się do mnie odwrócił, zobaczyłam, że ma łzy w oczach.

Próbowałeś. Staraleś się jak mogłeś — zapewniałam, lecz nic go nie mogło pocieszyć.

Był smutny i przygnębiony — całkiem inny niż Ludwik, którego znałam. Wydawał się bardzo zdecydowany. Wiedziałałam, że niczego się nie ulęknie i ma tylko jeden cel: zapewnić swoim poddanym tani chleb.

Zobaczyłam, że książę de Beauvau prowadzi gwardię królewską na dziedziniec. Tłum natychmiast zwrócił się ku niemu; obsypali go od stóp do głów mąką... cenną mąką, której tak brakowało...

— Chodźmy do pałacu! — zawołał ktoś.

— Jakiej ceny chleba oczekujecie? — zapytał książę.

— Dwa sous.

— Niech więc tak będzie.

Rozległy się dzikie okrzyki triumfu i ludzie zawrócili, by żądać od piekarzy chleba po dwa sous. Tak zakończyły się rozruchy w Wersalu; pośród aresztowanych nie było głodujących wieśniaków, tylko ludzie o całkiem wysokich pozycjach — między innymi podczaszy hrabiego Artois. A kwaśny chleb, na który ludzie tak narzekali, został specjalnie spreparowany poprzez dodanie popiołu.

Było rzeczywiście wiele powodów do niepokoju.

Ludwik od razu napisał do Turgota:

Teraz panuje spokój. Rebelia zaczęła się dość gwałtownie, ale gwardia jakoś uspokoiła tłum. Książę de Beauvau zapytał, dlaczego przyszli do Wersalu, a oni powiedzieli, że nie mają chleba... postanowiłem, że dziś nie będę wychodził, nie dlatego, że się boję, ale dlatego, że chciałbym uspokoić jakoś nastroje. Pan de Beauvau mówi, że złożona obietnica obniżenia ceny chleba do dwóch sous jest idiotyczna. Podobno nie było jednak innego wyjścia. Najważniejsze jednak, żeby ludzie w ogóle mieli chleb. Kompromis został zawarty, trzeba jednak zadbać o to, by się nie łudzili, iż mogą sami ustanawiać prawa. Proszę mi poradzić, co teraz robić.

Turgot od razu wrócił do Wersalu.

— Mamy czyste sumienie — oznajmił — ale jeśli nie przywrócimy odpowiedniej ceny chleba, nastąpi katastrofa.

Pomimo środków ostrożności wprowadzonych przez Turgota w Paryżu wybuchły zamieszki. Szef policji Lenoir był zbyt opieszwały, a może raczej nie chciał zadzierać z wicherzycielami.

Wszystko to było bardzo niepokojące. Lenoir, który uchylał się od swoich obowiązków i chleb, który został spreparowany za pomocą specjalnej techniki. Turgot nie stracił przytomności umysłu i odwołał Lenoira, mianując na jego miejsce niejakiego pana Alberta, a ten natychmiast przystąpił do działania. Wiele osób aresztowano, spokój został przywrócony; do Wersalu wezwano cały parlament.

— Trzeba skończyć z tym rozbojem — powiedział Ludwik do deputowanych. — Wszystko to może szybko przerodzić się w prawdziwą rebelię. Nie pozwolę, by ucierpiał mój Paryż, nie pozwolę by ucierpiało moje królestwo. Liczę na waszą lojalność zwłaszcza wtedy, gdy trzeba będzie podjąć odpowiednie kroki, by podczas mojego panowania nie powtórzyły się tego rodzaju wydarzenia.

Przed sesją parlamentu wyjaśnił mi, że pragnie za wszelką cenę przywrócić spokój i że prowodyrzy tych zamieszek na pewno zostaną zdemaskowani i ukarani.

Ale bunt w Paryżu wcale nie wygasł. I znów pośród aresztowanych nie było biedaków, tylko ludzie o nieźle wypchanych kieszeniach.

Ludwik bardzo się denerwował.

— To jest spisek — tłumaczył mi — spisek przeciwko nam. I dlatego tak się martwię.

— Ale przecież zachowujesz się jak prawdziwy król, Ludwiku. Wszyscy to powtarzają. Słyszałam, że wszyscy podziwiają twoje wystąpienie w parlamencie.

— Zawsze wolałem mówić do pięćdziesięciu ludzi niż do jednego człowieka — uśmiechnął się nieśmiało.

— Na pewno odkryjesz, kto stoi za tym spiskiem, a wtedy wszystko się uspokoi — zapewniałam go. — Francuzi będą szczęśliwi, gdy się okaże, że mają silnego króla i mogą na nim polegać.

— Za szybko wyciągasz wnioski — mruknął, ale widziałam, że jest bardzo zadowolony. — To jeszcze nie koniec.

To rzeczywiście wcale nie był koniec. Gdy wyszliśmy z apartamentu, ujrzeliśmy kartkę przypiętą do drzwi. Gdy ją przeczytałam, zaniemówiłam.

Jeśli cena chleba nie spadnie i ministrowie nie zostaną odwołani, podpalimy pałac w Wersalu.

Wpatrywałam się w kartkę z przerażeniem. Mój mąż pobladł.

— Ludwiku — szepnęłam. — Oni nas chyba nienawidzą.

— Nie prości ludzie! — zawołał. — Nigdy nie uwierzę, że to prości ludzie. Był jednak wstrząśnięty. Podobnie jak ja. Zupełnie jakby zimny wicher owiał kąty pałacu.

Albert zameldował, że aresztował wielu ludzi. Zapadła decyzja, by ukarać dla przykładu jakiegoś perukarza i druciarza, których przyłapano na kradzieży. Powieszono ich na szubienicach tak wysokich, by wystraszyć wszystkich wicherzycieli.

Ludwik był strapiony.

— Żałuję, że nie znaleźli przywódców — powtarzał. — Nie chcę, by tylko prości ludzie byli karani. — Najchętniej ułaskawiłbym tych dwóch, ale Turgot nalegał, że trzeba ich powiesić dla przykładu. I rzeczywiście egzekucja otrzeźwiła ludzi. Zamieszki przycisły. „Wojna mączna” się zakończyła.

Nie było wątpliwości co do tego, że jakaś organizacja, jakaś tajemnicza grupa wykorzystała sytuację, by wywołać rewolucję. Na szczęście dzięki zdecydowaniu króla, błyskawicznej akcji Turgota, zastąpieniu Lenoira Albertem i solidarności parlamentu, udało się zażegnać niebezpieczeństwo.

Wszyscy się zastanawiali, kto za tym stał. Niektórzy twierdzili, że to książę de Conti, urażony przez Maksa. Szeptano, że książę tak gorąco nienawidził mnie i mojej rodziny, że pragnął upadku monarchii.

Brzmiało to absurdalnie, ale rzeczywiście zamieszki rozpoczęły się w Pontoise, gdzie mieszkał Conti.

Opowiadano zresztą mnóstwo nieprawdopodobnych historii. Przez pewien czas słuchałam tych plotek. Słyszałam nawet, że Conti jest członkiem jakiejś wywrotowej organizacji.

Powinniśmy być wdzięczni za to ostrzeżenie; należało bezwzględnie dotrzeć do prawdy. To na pewno nie okazałoby się takie trudne, gdyby podjęto właściwe kroki.

My jednak cieszyliśmy się z zakończenia „wojny mącznej” i chcieliśmy o niej jak najszybciej zapomnieć.

Rozdział 10

Koronacja

Byliśmy bardzo zaskoczeni i wzruszeni tak ciepłym przyjęciem tuż po zakończeniu rewolty i pomimo tego, że chleb znów był drogi. Ale tacy już są Francuzi: łatwo dają się porwać podszeptom zła, ale też szybko wraca im rozsądek. Gdy słyszymy te wiwaty ludzi, gdy dają nam dowody swego przywiązania, mamy coraz więcej ochoty, by pracować dla ich dobra.

Maria Antonina do Marii Teresy

Przykro mi, że nie mógł Pan dzielić ze mną tej satysfakcji. Czuję się w obowiązku pracować dla ludzi, którzy dają mi tyle szczęścia. Zamierzam się temu całkowicie poświęcić...

Ludwik XVI do Maurepasa

Nie minął miesiąc od stłumienia rozruchów, a wszyscy mówili już tylko o koronacji. Koronacje zdarzały się bardzo rzadko, bo zarówno Ludwik XIV, jak i Ludwik XV żyli i panowali bardzo długo. Ludwik XVI myślał o tej uroczystości z wielkim lękiem i najchętniej by jej uniknął. W takich chwilach na jaw wychodziła jego niezręczność, nie znośił przebierać się w wystawne szaty. A poza tym ceremonia była prawdziwie archaiczna i odbywała się w ten sam sposób od najwcześniejszych dni francuskiej monarchii. Ludwik wiele by oddał, aby jej uniknąć.

Mercy oraz moja matka mieli nadzieję, że ja także zostanę koronowana. Mnie w przeciwieństwie do mego męża ta ceremonia wcale nie przerażała. Byłabym w swoim żywiole jako lśniąca od klejnotów figura, przyjmująca hołdy poddanych i przyznam, że rozczarowałam się nieco, gdy zapadła decyzja, że nie będę koronowana.

To by oznaczało jeszcze większe wydatki — tłumaczył mi Ludwik — a my przecież musimy oszczędzać, gdzie się tylko da. Czeka nas jeszcze ślub Klotyldy i narodziny dziecka Artois...

Mój mąż był zakłopotany; znów pojawił się ów delikatny temat, ja także poczułam się nieszczęśliwa. Artois był pierwszym spośród braci, który miał zostać ojcem. Jakże zazdrościłam swojej szwagierce! Rzuciłam się w wir urzędzania Trianon, by zapomnieć o zazdrości. Szczęśliwa, szczęśliwa kobieta! Cóż z tego, że mała i brzydka, cóż z tego, że mruży oczy i ma za długi nos? Będzie matką!

— A zatem nie będziesz koronowana razem ze mną. Wiem zresztą, że wcale ci na tym nie zależy. Sam najchętniej uniknąłbym tego zamieszania.

Koronacja miała się jednak odbyć i piątego czerwca wyruszyłam w towarzystwie królewskich braci i ich żon do Reims. Wybiła północ, gdy ujrzelśmy miasto w świetle księżyca. Ludzie wychylali się z okien — to znaczy wychylali się ci, którzy nie stali na ulicach — i wiwatowali na naszą cześć niemal równie entuzjastycznie, jak paryżanie podczas mojego pierwszego wjazdu do stolicy.

Przybyliśmy dzień przed królem. Bardzo chciałam zobaczyć jego wjazd. Przyjechał ogromną kareta i wziął klucze do miasta z rąk diuka de Bourbon, który był wówczas gubernatorem Szampanii.

Na jakiś czas przed ceremonią zajęłam swoje miejsce na galerii koło ołtarza, by nie uронić nawet fragmentu widowiska. Nigdy w życiu nie byłam tak wzruszona.

O siódmej miała się rozpocząć uroczysta procesja do królewskiego apartamentu, którą prowadzili biskupi Beauvais i Laon. Wielki Chórzysta pukał uroczysto do drzwi, a Wielki Szambelan mu odpowiadał:

— Po co przychodzicie?

— Po króla — brzmiała odpowiedź.

— Król śpi.

Tę wymianę zdań powtórzono dwukrotnie a wtedy biskup powiedział:

— Pytamy o Ludwika XVI, którego Bóg przeznaczył nam na króla. Wówczas otworzą się drzwi i wszyscy ujrzą leżącego na łóżku Ludwika we wspaniałej szacie koronacyjnej.

Po błogosławieństwie i pokropieniu święconą wodą miała się zacząć procesja w stronę katedry.

Nigdy nie zapomnę widoku mego męża podchodzącego do ołtarza. Był odziany w złoto i purpurę, w srebrzystej opończy i naszywanej diamentami, i ozdobionej piórami aksamitnej czapie. To jedna z chwil, w których świadom swojej pozycji naprawdę wyglądał jak król, w pełni oddany swoim obowiązkom, szlachetny. Widziałam go takiego, podczas „wojny mącznej”, kiedy próbował stawić czoło oszalałemu tłumowi, nie okazując strachu. Onieśmiały go wielkie zgromadzenia, zachowywał się niezręcznie w salonie, krępowała go nasza sytuacja w sypialni, ale był odważny.

Został namaszczonej olejem ze Świętej Ampuły, która pochodziła z czasów Klodwiga, pierwszego króla Franków, a potem przyszła pora na przysięgę. Wyciągnięto miecz koronacyjny, a król ukląkł przed ołtarzem. Potem okryto go purpurową szatą, ozdobioną lilią Burbonów. Zasiadł na tronie, a na głowę włożono mu koronę Karolingów. Nigdy nie widziałam takiego splendoru. Nie przestawałam myśleć, że tę koronę nosili wszyscy królowie Francji, a wśród nich dziadek, który był bardzo młody, gdy mu ją włożono — młody i taki przystojny, znacznie przystojniejszy niż ten Ludwik. I przypomniałam sobie, jak wyglądał na łożu śmierci... z wykrzywionymi ustami, błędnym wzrokiem, pośród straszliwej woni rozkładu.

Ludwik popatrzył w moją stronę. Przez parę sekund nie spuszczał wzroku z mojej twarzy, jakby zapomniał o podniosłej uroczystości, jakbyśmy zostali tu całkiem sami. Ja również tak się poczułam. To była cudowna chwila. Zwrotny punkt w naszym małżeństwie. Staliśmy się jednością. I choć mój mąż nigdy nie obudził we mnie wielkiej namiętności, wiem, że go kochałam, a on kochał mnie. A więź między nami była bardzo silna.

Uświadomiłam sobie nagle, że po policzkach płyną mi łzy.

Drzwi się otworzyły i do świątyni wpadł tłum ludzi. Poczułam woń kadzidła, słyszałam okrzyki zachwyty, gdy wypuszczono ptaki symbolizujące pokój. Zagrzmiały działa armatnie oraz trąbki i bębny.

Przyłączyłam się do królewskiej procesji wychodzącej z katedry; okrzyki na cześć króla ogłuszyły nas, gdy tylko przekroczyliśmy próg tego miejsca.

Tego dnia wszystkich przepełniało szczęście.

* * *

Napisałam do matki:

Koronacja była wielkim sukcesem. Wszyscy zachwycali się królem, on był szczęśliwy... Nie mogłam powstrzymać się od łez... Byliśmy bardzo zaskoczeni i wzruszeni tak ciepłym przyjęciem tuż po zakończeniu rewolty i pomimo tego, że chleb znów był drogi. Ale tacy już są Francuzi: łatwo

dają się porwać podszeptom zła, ale też szybko wraca im rozsądek. Gdy słyszymy te wiwaty ludzi, gdy poddani dają nam dowody swego przywiązania, mamy coraz więcej ochoty, by pracować dla ich dobra.

Mój mąż zjawił się w gabinecie, kiedy pisałam ten list, pokazałam mu więc, co wymyśliłam.

Wciąż był nieco onieśmielony, gdyż żadne z nas nie zapomniało o poruszającej scenie w katedrze.

— To było wspaniałe doświadczenie — wyznał. — Czuję się, jakby sam Bóg do mnie przemówił.

Pokiwałam głową.

— Napisałam do Maurepasa.

Przeczytałam list, w którym Ludwik poruszył ten sam temat.

Przykro mi, że nie mógł Pan dzielić ze mną tej satysfakcji. Czuję się w obowiązku pracować dla ludzi, którzy dają mi tyle szczęścia. Zamierzam się temu całkowicie poświęcić...

— Myślmy to samo — zauważyłam.

Ludwik ucałował moje dłonie i powiedział:

— To była jednak wspaniała uroczystość, prawda? Niezwykłe wzruszająca. A jednak nic nie wzruszyło mnie tak, jak widok twoich łez.

Rzuciłam mu się w ramiona.

— Och, Ludwiku... Nigdy nie byłam tak wzruszona.

* * *

W Reims Ludwik odprawił jeszcze jeden pradawny rytuał, datujący się od czasów Klodwiga. Do miasta przyjechali ludzie naznaczeni skrofulami z całej Francji. Dwa tysiące czterystu chorych uklękło wzdłuż alei, którą miał przejść król. To był straszliwy widok — tylu ludzi, jednocześnie dotkniętych okropną chorobą. Dzień był słoneczny, wszystkich więc mdliło od woni wydzielanej przez rany. Ale Ludwik nawet nie zmarszczył nosa. Jego oczy lśniły, gdy czynił każdemu znak krzyża na twarzy, mówiąc:

— Niechaj Bóg cię uzdrowi. Król cię dotyka.

Wypowiedział te słowa dwa tysiące czterysta razy z tą samą powagą i namaszczeniem. Żaden król Francji nie włożył tyle serca w ten święty obowiązek. Biedni chorzy patrzyli na niego z uwielbieniem.

Byłam bardzo dumna, nie tylko jako królowa Francji, ale przede wszystkim jako żona takiego człowieka.

Ludwik nie okazywał zmęczenia, gdy już dopełnił swego obowiązku. Provence i Artois przystąpili do swego zadania — podali mu ocet, którym miał zdezynfekować dłonie, a potem wodę różaną, w której miał je obmyć.

Gdy zostaliśmy sami, powiedziałam, że był wspaniały, czym sprawiłam mu wielką przyjemność.

Sugerował, że będziemy razem pracować. Zastanawiałam się nawet, czy nie zgodziłby się, gdybym w tym momencie poprosiła go o przywrócenie Choiseulowi stanowiska. Ale sprawa Choiseula należała już do przeszłości. Poza tym moja matka wcale nie życzyła sobie jego powrotu.

A ja chciałam tylko jednego: dzieci. On zaś tego jednego dać mi nie mógł, choć pragnął tego równie gorąco jak ja.

Rozdział 11

Kaprysy i fanaberie

W sprawie, która tak bardzo trapi moją drogą Matkę, nie mam, niestety żadnych miłych wieści. Zapewniam jednak, że to nie moja wina. Nie pozostaje mi nic innego, jak zachować cierpliwość.

Marioa Antonina do Marii Teresy

Panuje tu moda na paszkwile o wszystkich członkach dworu — nie wyłączając mnie. Ja jestem jednym z ulubionych obiektów. Trudno zliczyć ilu kochanków, a nawet kochanek już mi w nich przypisano.

Maria Antonina do Marii Teresy

Słyszę, że kupiłaś bransolety za dwieście tysięcy pięćdziesiąt liwrow, wprowadzając straszny nieład w swoje finanse... Wiem, do jakich ekstrawagancji jesteś zdolna, i nie mogę milczeć, bo kocham Cię za bardzo, żeby uciekać się do pochlebstw.

Maria Teresa do Marii Antoniny

Nazywała go [Jacquesa Armanda] swoim dzieckiem i darzyła najczulszymi pieszczotami, nie zważając na wielki ból, który przecież ciągle trawił jej serce.

Pamiętniki pani Campan

Pragnienie posiadania dzieci było coraz silniejsze. Powiększyłam moją małą rodzinę piesków, lecz choć kochałam je ogromnie, nie mogły w żaden sposób zagłuszyć mego pragnienia, by zostać matką.

Gdy moja szwagierka urodziła syna, żałowałam, że nie jestem na jej miejscu. Gdy krzyczała z bólu, żałowałam, że to nie mój ból. Leżała w swym łóżu bardzo wyczerpana, ale też jakby w uniesieniu — całkiem niepodobna do tej zupełnie nieatrakcyjnej istoty, którą była przedtem. To jej się przydarzył cud.

Słyszałam jej krzyk przepelniony nadzieją i strachem, i mogłam sobie wyobrazić co czuła, gdy wreszcie usłyszała odpowiedź.

— To mały księżę, madame... — Słowa, które pragnie usłyszeć każda księżna i każda królowa. Marie Thérèse odpowiedziała:

— O Boże! Jaka jestem szczęśliwa! A ja doskonale ją rozumiałam!

Dziecko było zdrowe, jego krzyk wypełnił cały apartament — najwspanialszy dźwięk na świecie.

Wysłałam stamtąd, a za mną moja świta pod przewodnictwem księżnej de Lamballe, mojej najdroższej przyjaciółki, która zajęła miejsce madame de Noailles. Kochałam ją z każdym dniem coraz bardziej i nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Do mojej świty należała też Jeanne Louise Henriette Genet, niegdyś lektorka ciotek. Teraz była panią Campan, poślubiła bowiem syna mego

bibliotekarza. Bez tej oddanej i dobrej kobiety też bym sobie nie poradziła, choć oczywiście nie mogła się równać rangą z księżną i była raczej moją najbardziej zaufaną służącą niż przyjaciółką i towarzyszką zabawy na przyjęciach i balach.

Gdy opuściliśmy apartament położnicy, natknęliśmy się na tłum kobiet, które tu przysły z paryskich hal. Ludność z miasta obserwowała wszystkie porody w królewskiej rodzinie, choć tylko królowa musiała rodzić publicznie. Przy narodzinach mniej ważnych księżąt asystowała tylko rodzina. Narodziny jakiegokolwiek członka królewskiej rodziny były jednak także sprawą całego narodu i dlatego wpuszczano ludzi do pałacu.

Gdy szłam w stronę swojego apartamentu z księżną de Lamballe u boku i madame Campan kroczącą nieco z tyłu, otoczyły mnie paryskie przekupki. Przyglądały mi się z nieskrywaną ciekawością, do której zdążyłam już przywyknąć. Staralam się nie marszczyć nosa, czując zapach ryb, ponieważ były to handlarki z targu rybnego, słynące z ciętego języka. Tłoczyły się dokoła mnie, dotykały mego ubrania, moich rąk. Fascynowały się przede wszystkim moimi dłońmi, długimi, szczupłymi palcami, delikatną i miękką skórą, no i oczywiście diamentowymi pierścieniami.

Jedna z nich przysunęła się do mnie i czyniąc gest w stronę apartamentu położnicy powiedziała:

— To Wasza Wysokość powinna tam leżeć. Madame powinna teraz karmić potomków króla Francji, a nie zabawiać się z przyjaciółkami.

Zauważyłam, że księżna de Lamballe się zachnęła; podejrzewam, że ja z kolei trochę się zarumieniłam, ale uniosłam brodę wysoko i szłam dalej.

— Madame powinna spać z królem zamiast tańczyć na balach do białego rana.

Przekupki widywały zapewne moją karetę zmierzającą o świcie do Wersalu, gdy szły na targ. Któraś się roześmiała:

— Powiadają, że król nie może... Czy to prawda? — Śmiech stał się bardziej gardłowy.

Sytuacja była nie do zniesienia. Zapach ich ciał i te obraźliwe słowa, które z każdą chwilą stawały się coraz bardziej okrutne! Jakby nie wystarczyło, że musiałam właśnie oglądać moją szwagierkę z nowo narodzonym synem w ramionach! Czy teraz muszę słuchać tych zniewag, na które wcale nie zasłużyłam?

Madame Campan w jednej chwili znalazła się koło mnie. Patrzyłam, jak ze spokojem i godnością toruje mi drogę pośród tłumu. Moja kochana Lamballe w takich okolicznościach się nie sprawdzała.

— Królowa jest zmęczona... — wyjaśniła pani Campan.

Okrutne drwiny, które słyszałam za swoimi plecami, przyprawiły mnie o dreszcze. Nigdy już więcej na to nie pozwolę. W końcu jestem królową Francji. Dostojnym krokiem szłam przez tłum rozkrzyczanych kobiet, jakbym ich wcale nie widziała. Gdy zamknęłam za sobą drzwi apartamentu, wciąż słyszałam krzyki. Ujrzałam zapłakaną twarz księżnej de Lamballe i spokojne oblicze mojej Campan.

— Chcę zostać sama z... madame Campan.

I gdy drzwi do sypialni się zamknęły, przestałam nad sobą panować. Rzuciłam się na łóżko i zalałam łzami.

* * *

Kiedy opowiedziałam mężowi o tym incydencie, bardzo posmutniał.

— To niesprawiedliwe... niesprawiedliwe... — urwałam. — Czy to moja wina? — Na widok jego oniemiałej twarzy dodałam: — Czy to nasza wina?

Starł się mnie pocieszyć, szepnęłam więc:

— Jest tylko jeden sposób. Mała operacja.

— Tak — powtórzył. — Tak.

Chwyciłam go za rękę z twarzą rozjaśnioną nadzieją.

— A więc...?

— Rozważę to.

Westchnęłam. Od dawna już to rozważał. Prawie sześć lat. Czego się bał? Skalpela? Na pewno nie. Nie był tchórzem. Obawiał się poniżenia. Wszyscy się o tym dowiedzą, zaczną się zastanawiać, zaczną nas obserwować. I tak wszyscy wiedzieli, kiedy zjawiał się w mojej sypialni; na pewno pilnie liczyli, ile godzin tam spędza. Byliśmy bez przerwy śledzeni i to rujnowało nasze życie intymne. Gdyby tylko zostawili nas samych!

— Czy zechcesz porozmawiać z lekarzami?

Pokiwał głową. Pragnął dać mi wszystko, o czym marzyłam — a ja nie ukrywałam, że chcę przede wszystkim dzieci.

Kiedy Ludwik wyszedł, napisałam do matki: „Mam nadzieję, że przekonam króla, by poddał się niewielkiej operacji, która zapewne rozwiąże problem”.

Matka odpisała, prosząc, bym o wszystkim ją informowała i słuchała jej rad. Zwierzałam się jej ze wszystkiego. Nie sądzę jednak, by rozumiała, co ta sytuacja naprawdę dla mnie znaczy. Miałam dwadzieścia lat. Byłam młoda i zdrowa. A na dodatek nie wiedziałam spokojnego życia dziewczycy. Znosiłam przecież te frustrujące próby. Odwracałam się od mojego męża, a potem znów wyciągałam do niego rękę. Ludwik spotkał się z lekarzami, zapytał o wszystkie szczegóły tej niezbędnej operacji, obejrzał dokładnie wszystkie instrumenty i wrócił do mnie.

— Sądzę, że z czasem sprawy się same unormują.

Serce we mnie zamarło. A więc nie zamierzał poddać się operacji. Mieliśmy kontynuować nieudane próby.

Droga do mojego apartamentu prowadziła przez *oeil de boeuf*, wszyscy więc go widzieli. Krążyło coraz więcej żartobliwych piosenek na nasz temat. Nie byliśmy już młodą królewską parą, która miała dokonać cudu i uczynić Francję krainą mlekiem i miodem płynącą. Mieliśmy za sobą „wojnę mączną”. W Ludwiku widziano impotentą, a we mnie lekkomyślną młodą kobietę. Bardzo nam przeszkadzała świadomość, że ludzie wiedzą, kiedy jesteśmy razem, i snują domysły. Oboje zaczęliśmy bać się tych spotkań. A jednocześnie wiedzieliśmy, że mamy obowiązek do spełnienia. W końcu wymyśliłam, że trzeba zbudować sekretne schody między naszymi sypialniami, żeby nikt nie wiedział, kiedy Ludwik u mnie bywa.

Tak też się stało, ale nic się w naszych stosunkach nie zmieniło — Wiedziałam, że nic się nie zmieni, dopóki mój mąż nie podda się koniecznej operacji.

Napisałam do matki:

W sprawie, która tak bardzo trapi moją drogą Matkę, nie mam niestety żadnych miłych wieści. Zapewniam jednak, że to nie moja mina. Nie pozostaje mi nic innego, jak zachować cierpliwość.

Pragnęłam jednak bardzo, by wiedziała, że to jedyna sprawa, w której Ludwik mnie rozczarowuje.

Byłam bardzo do niego przywiązana, ale pod tym względem mnie zawiódł.

* * *

Nie ma niestety żadnego usprawiedliwienia dla mojego zachowania w kolejnym okresie mego życia. Jestem pewna, że przysporzyłam wówczas wielu zmartwień matce, która patrzyła na to z

daleka. Mogę tłumaczyć się jedynie młodością i tym, że moje pobudzone zmysły nie mogły znaleźć ukojenia i że otaczała mnie niezdrowa atmosfera.

Pragnęłam mieć dzieci. Zostałam stworzona, by być matką. Gdy jeździłam po wiejskiej okolicy konno, zazdrościłam wszystkim prostym kobietom, których spódnice czepiały się zawstydzone maluchy. Gdy tylko któraś kobieta z mojego otoczenia rodziła dziecko, kazałam je sobie natychmiast przynosić. Bawiłam się dziećmiakami i moimi psami w sposób, który Mercy ogromnie krytykował.

Czy można się dziwić, że w tej sytuacji szukałam rozrywek za wszelką cenę? Nie miałam zamiaru siedzieć beczynnym i medytować nad swoim nieszczęściem.

Zaczęłam cierpieć na migreny, zrobiłam się wybuchowa i kapryśna. Mercy twierdził, że to nerwowa afektacja i nie wierzył w moją chorobę. Rzeczywiście wyglądałam na okaz zdrowia, miałam mnóstwo sił witalnych. Ale czasami zalewałam się łzami z byle powodu. I bardzo źle się z tym czułam.

Pragnęłam, by ktoś demonstracyjnie okazywał mi uczucia, a tego od Ludwika oczekiwać nie mogłam. Zaczynałam powoli dostrzegać niebezpieczeństwa związane z moim stanem. Nie brakowało bowiem przystojnych, młodych mężczyzn, którzy uwielbiali prawić mi komplementy i na tysiąc sposobów okazywali, że mnie pożądamy. Ich darujące maniery oraz tęskne spojrzenia mnie podniecały. Przez ca — ty czas w uszach dźwięczał mi ostrzegawczy głos, który bardzo przypominał głos mojej matki. To niebezpieczne. Dzieci, które urodzisz, Mą dziećmi Domu Francji. Nikt ci nie wybaczy, jeśli ich ojcem zoranie ktoś inny, a nie król.

Nie mogłam jednak odmówić sobie niewinnych flirtów. Może madame de Marsan miała rację, może rzeczywiście byłam kokietką z natury. Nigdy jednak nie zostawałam sam na sam z żadnym mężczyzną. Wiedziałam, że jestem ciągle obserwowana przez ludzi, którzy życzą mi jak najgorzej. Wiedziałam też, że wypisują o mnie niestworzone rzeczy i wiele osób wierzy w to, że rzeczywiście prowadzę skandaliczne życie.

Mercy cały czas mnie strofował. Nie zdarzało mi się położyć spać przed świtem. Otaczałam się wyłącznie młodymi i wesołymi ludźmi z dworu i nie miałam czasu dla tych, którzy chcieli mi pomóc i doradzić.

Próbowałam tłumaczyć Mercy'emu to i owo. Wydawało mi się, że mogę być z nim szczerą, bo przynajmniej on nie dostarczał materiału autorom tych okropnych piosenek.

— Jestem zażenowana swoją dziwną sytuacją — krzyczałam rozpaczliwie. — Widzi pan przecież, że król zostawił mnie samą. Boję się nudy. Boję się samej siebie. Jeśli mam się chronić przed rozpaczą, to muszę coś zrobić. Wciąż coś nowego.

Mercy obrzucił mnie surowym spojrzeniem i oczywiście natychmiast napisał mojej matce wszystko, co powiedziałam.

Potrzebowałam kogoś, na kogo mogłam przelać wszystkie swoje uczucia. Kochałam małą Elżbietę i starałam się widywać ją jak najczęściej. Klotylda wyszła już za męża i opuściła nas. Moją najdroższą przyjaciółką była Maria Teresa Ludwika, księżna de Lamballe. Uważałam, że jest czarująca, choć wielu ludzi mówiło, że jest głupia. Często mdlała, a Vermond twierdził, że to udawanie. Mdląca z rozkoszy na widok pięknych kwiatów, mdląca z przerażenia na widok skorupiaka. Zwierzyła mi się, że obawia się nawet własnego cienia, bo tak wiele wycierpiała w małżeństwie. Biedna, droga Lamballe! W owym czasie była mi najbliższa. Bardzo mi oddana, zwykła powtarzać, że z przyjemnością zostałaby jednym z moich psów, byle móc siedzieć codziennie u mych stóp. Przechadzałyśmy się po ogrodach, trzymając się za ręce jak dwie małe dziewczynki, co oczywiście szokowało wszystkich, bo królowa Francji nie powinna w ten sposób pokazywać się publicznie. Ja byłam jednak coraz bardziej sfrustrowana i coraz bardziej zdecydowana lekceważyć zasady etykiety.

Właśnie wtedy poznałam Gabrielle, najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widziałam. Miała cudowne niebieskie oczy i gęste, brązowe kręcone włosy, które spływały jej na ramiona. Nie nosiła biżuterii. Potem się okazało, że jej po prostu nie miała. Gdy ją po raz pierwszy ujrzałam, miała czerwoną różę zatknietą za dekolt.

Jej szwagierką była hrabina Diana de Polignac, dama dworu hrabiny Artois i to właśnie Diana wprowadziła ją do Wersalu.

Gdy tylko zobaczyłam tę młodą kobietę, zapragnęłam ją poznać, kazałam więc ją sobie przedstawić. Miała dwadzieścia sześć lat, ale wyglądała równie młodo jak ja. Dawniej nazywała się Gabrielle Yolande de Polastron, ale w wieku siedemnastu lat została wydana za hrabiego Jules'a de Polignac.

Zapytałam, dlaczego nigdy przedtem nie widziałam jej w moim otoczeniu, byłam bowiem przekonana, że w przeciwnym razie zwróciłabym na nią uwagę. Odparła szczerze, że jest zbyt uboga, by przebywać na dworze, ale najwyraźniej wcale się tym nie przejmowała. Moja najdroższa Gabrielle (którą inni znali jako hrabinę Jules) była całkowicie pozbawiona ambicji. Może dlatego tak mnie ujęła? Nie zależało jej na klejnotach ani na honorach, była trochę leniwa i oczarowała mnie tym wszystkim. Gdy ze mną rozmawiała, czułam się jak człowiek, a nie jak królowa i to mnie do niej przyciągało.

Powiedziała, że wkrótce opuści dwór, ale poprosiłam, żeby tego nie robiła. Postanowiłam zorganizować wszystko tak, by mogła zostać. Czułam bowiem, że się zaprzyjaźnimy.

Gabrielle wcale się nie ucieszyła. Nie bez trudu przekonałam ją, by przyjęła propozycję. Uważała, że nie nadaje się do dworskiego życia.

Ale ja postanowiłam dopiąć swego, a że Polignacowie byli chyba najambitniejszą rodziną na dworze, szybko zmusili Gabrielle, by się na wszystko zgodziła.

To była bardzo ważna znajomość i wiele zmieniła w moim życiu. Przestałam się nudzić. Pragnęłam zawsze mieć przy sobie Gabrielle, która mnie bez reszty oczarowała. Jej kochankiem był hrabia de Vaudreuil. Opowiadała mi o nim i tłumaczyła, że wszystkie damy mają kochanków, a ich mężowie — kochanki. Takie są obyczaje. Ale te obyczaje nie obejmowały królowej. Vaudreuil wydał mi się raczej okropnym typem. Był Kreolem. Gabrielle uważała, że jest fascynujący, choć jednocześnie trochę się go bała. Tłumaczyła, że ma nienaganne maniery, ale staje się bardzo gwałtowny, gdy wpada w zazdrość. Wkrótce odkryłam, że jest także niezwykle ambitny.

Księżna de Lamballe była oczywiście zazdrosna o moją nową ulubienicę i ciągle ją krytykowała, co sprawiło, że straciłam cierpliwość do starej przyjaciółki. Wciąż ją jednak kochałam i zawsze była blisko tonie, choć zajmowałam się tylko moją cudowną Gabrielle.

Polignacowie stworzyli oczywiście koterię i chcieli mieć we mnie punkt oparcia. Bez wątpienia używali mnie do własnych celów, ale byłam za głupia, żeby to widzieć.

Postępowałam nad wyraz niemądrze. Moje nadzwyczaj przyjacielskie stosunki z kobietami zostały oczywiście natychmiast zauważone i były szeroko komentowane. Domyśliłam się, że matka o wszystkim się niedługo dowie, postanowiła więc uprzedzić listy innych.

Panuje tu moda na paszkwile — pisałam — o wszystkich członkach dworu, nie wyłączając mnie. Ja jestem jednym z ulubionych obiektów plotek. Trudno zliczyć, ilu kochanków, a nawet kochanek już mi w nich przypisano.

Moja przebiegła matka zastanawiała się z pewnością, jak wpłynąć na króla i położyć wreszcie kres tej trudnej sytuacji.

Hrabia Jules de Polignac został wielkim koniuszym i w ten sposób Gabrielle mogła przebywać ze mną w Wersalu. A ja wiodłam coraz weselsze życie. Już się nie nudziłam, Polignacowie

zatoszczyli się o to. Otaczali mnie weseli młodzi ludzie, a ja byłam najweselsza spośród nich. Apartament Gabrielle sąsiadował z moim, mogłam ją więc widywać bez niepotrzebnych ceremonii. Bez ceremonii! A przecież tego zawsze pragnęłam.

Nowi znajomi wydawali mi się szalenie interesujący i niezwykli. Była wśród nich księżna de Guéménée, która została guwernantką młodych księżniczek po madame de Marsan. Przez pewien czas bardzo ją lubiłam. Podobnie jak ja uwielbiała psy, często ją więc odwiedzałam. Miała ze dwadzieścia malutkich piesków i twierdziła, że dzięki ich szczególnej mocy potrafi utrzymywać kontakty z tamtym światem. Opuściła swego męża, księcia de Guéménée, a jej kochankiem został diuk de Coigny.

Coigny okazał się czarujący, choć jako trzydziestoosmioletni mężczyzna wydawał mi się stary. Na szczęście nie byłam już tak głupia, by zabraniać wstępu na dwór ludziom po trzydziestce. W moim najbliższym kręgu znalazł się także książę de Ligne — poeta, oraz hrabia d’Esterhazy — Węgier, którego poleciła mi matka. Oprócz nich kręcił się koło mnie baron de Besenval, hrabia d’Adhemar, diuk de Lauzan i markiz de La Fayette — bardzo młody, wysoki rudzielec.

Wszyscy zbierali się w apartamentach Gabrielle. Chodziłam taro z wielką przyjemnością, uciekając przed wszechwładną etykietą.

Rose Bertin poznałam dzięki księżnej de Lamballe. Rekomendowała mi ją także księżna de Chartres. Rose Bertin była *grand couturiere*, miała sklep przy rue Saint-Honore. Uważano ją za ogromnie sprytną i bystrą kobietę.

Natychmiast zachwyciła się moją figurą, gracją, kolorem moich włosów i skóry oraz naturalną elegancją. Powiedziała, że będzie szczęśliwa, mogąc mnie ubierać. Przywiozła próbki najwspanialszych tkanin, jakie kiedykolwiek widziałam i drapowała je na mnie, nawet nie pytając pozwolenie. Wcale nie okazywała mi szacunku, do jakiego zostałam przyzwyczajona i zachowywała się tak, jakby krawiectwo było znacznie ważniejsze od monarchii. Traktowała mnie nie jak królową, lecz raczej jak idealną modelkę. Uszyła dla mnie suknię tak elegancką, jakiej nigdy jeszcze nie miałam. Gdy ją pochwaliłam, natychmiast zjawiła się z jeszcze piękniejszym materiałem, utkanym specjalnie dla mnie. Oświadczyła, że może z niego uszyć suknię tylko dla mnie, a jeśli nie zechcę, to go po prostu wyrzuci. Bo to tkanina, którą może nosić tylko królowa Francji.

Bardzo mnie rozbawiła. Nigdy nie czekała w przedpokojach, tylko wchodziła prosto do mojego apartamentu. Kiedy jedna z moich służących powiedziała o niej „krawcowa”, oburzyła się ogromnie.

— Jestem artystką! — wykrzyknęła.

I rzeczywiście była artystką. Potrafiła cudownie opowiadać o jedwabiach, brokatach i kolorach. Zjawiała się regularnie, przynosząc nowe projekty i czasem robiłam do nich jakieś uwagi.

— Gdyby madame nie była królową Francji, to na pewno zostałaby artystką! Ale w tej sytuacji trzeba się zadowolić pokazywaniem tych dzieł sztuki całemu światu.

Moje ubiory stawały się coraz bardziej eleganckie, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Gdy szwagierki próbowały mnie naśladować, Rose Bertin śmiała się z nich ukradkiem w moich apartamentach.

— Czy któraś z nich ma figurę Afrodyty? Czy stąpa, jakby szła po obłokach? Czy ma wdzięk anioła?

Obie miały jednak dość pieniędzy, by korzystać z talentów Rose Bertin.

W ten sposób ustalili się styl obowiązujący na dworze. Gdy wchodziłam do sali, wszyscy wstrzymywali oddech, patrząc na moją nową kreację, a potem damy biegnęły do Rose Bertin i prosiły, by uszyła im coś podobnego.

Pani Bertin zapewniała, że starannie dobiera sobie klientki. Ta była dla niej za chuda, tamta za gruba, jeszcze inna dla odmiany — niezgrabna.

— Proszę sobie wyobrazić, madame, że wczoraj odwiedziła mnie jakaś mieszcza z pytaniem, czy nie mogłabym dla niej szyć. Cóż za arogancja! Mimo, że jest bardzo bogata, powiedziałam, że nie mam dla niej czasu, bo spieszę się na spotkanie z królową.

Moje życie stało się jeszcze bardziej interesujące. Gdy przyszły rachunki, nawet nie popatrzyłam na astronomiczne kwoty, tylko na — bazgrałam: „zapłacić”.

Rose Bertin była ze mnie bardzo zadowolona, ja zaś byłam zadowolona z niej.

Jakże niemądrze wówczas postępowałam! Nie interesowało mnie to, co się dzieje dookoła. Nie słuchałam rozmów o napiętych stosunkach z Anglią i groźbie wybuchu wojny. Zupełnie zapomniałam o „wojnie mącznej”. Tańczyłam do trzeciej, czwartej nad ranem, grałam w karty i zaczęłam uprawiać hazard.

Zrobiłam bardzo wiele, by obalić etykietę, ale oczywiście nie powiodło mi się to do końca. Kiedy się budziłam, jedna ze służących przynosiła mi album, w którym znajdowały się rysunki wszystkich moich sukien. Miałam wybrać te, które będę nosić tego dnia i dlatego potrzebny mi był także dokładny plan. Obok łóżka stała druga służąca z tacą pinezek, które wpinałam w wybrane rysunki. Potem przynoszono wszystkie wybrane suknie.

Ta ceremonia zaczęła mnie męczyć. Zatęskniłam za Trianon i postanowiłam spędzać tam więcej czasu. Budzić się w mojej małej sypialni. Jakaż to będzie radość! Wskakiwać z łóżka, by popatrzeć przez okno na ogrody, które urządzano według moich wskazówek. Może nawet wybiegać do ogrodu w peniuarze narzuconym na nocną koszulę. Jakże pragnęłam poczuć miękką trawę na bosych stopach. Tego rodzaju przyjemności mogłam mieć tylko w Trianon.

Wersalska etykieta ciążyła mi bezgranicznie i tłamsiła moją naturalną witalność.

Pewnego zimowego ranka rytuał wstawania przeciągnął się ponad moją cierpliwość. Podczas ubierania się towarzyszyła mi dama dworu oraz garderobiana i jakby tego było mało, w sypialni musiała być także najwyższa rangą pokojówka, a także parę pomniejszych.

Wszystko to zawsze trwało bardzo długo, a owego chłodnego ranka jeszcze trudniej było mi znaleźć w tym jakkolwiek przyjemność. Garderobiana pomagała mi wkładać halkę i trzymała suknię, podczas gdy dama dworu zajmowała się sprawami bardziej intymnymi — podawała bieliznę, nalewała wodę. Gdy jednak w moim apartamencie była któraś z księżnych z królewskiej rodziny, dama dworu musiała jej ustąpić miejsca. Jeśli towarzyszyły mi dwie albo trzy księżne i któraś wykonała czynność przypisaną drugiej, wyższej rangą, traktowano to jako ogromne uchybienie przeciwko zasadom etykiety.

Tego dnia gdy czekałam, aż dama dworu poda mi bieliznę, otworzyły się drzwi i do sypialni weszła księżna Orleanu. Natychmiast zdjęła rękawiczki, wzięła bieliznę z rąk damy dworu i podała mi ją. Na nieszczęście w tym właśnie momencie pojawiła się hrabina Prowansji.

Westchnęłam głęboko, mocno już zniecierpliwiona. Siedziałam wciąż nieubrana i nie dość, że wszystko przeciągnęło się przez księżną Orleanu, to teraz pojawiła się moja szwagierka, która byłaby śmiertelnie obrażona, gdyby ktokolwiek inny pomógł mi włożyć bieliznę. Podałam jej więc wszystko i skrzyżowałam ręce na piersiach, z wyrazem rezygnacji na twarzy. Pocieszałam się tylko z tego, że na pewno nie zjawi się już żadna dama, wyższa rangą od mojej szwa — gierki, nie trzeba więc będzie kolejny raz przerywać tej idiotycznej ceremonii.

Marie Josephe, widząc, że się już niecierpliwę, bo jestem zmarznięta, nie zdjęła rękawiczek, tylko przełożyła mi koszulę przez głowę, strącając przy tym nocny czepek. Nie potrafiłam niestety się opanować. — Cóż za niezgrabność — mruknęłam. — Mam już tego dość! Potem zaśmiałam się, żeby ukryć irytację, ale postanowiłam, że skończę wreszcie z tym ich idiotycznym

ceremoniałem. Rozumiałam, że pewne zasady muszą być zachowane podczas dworskich uroczystości, ale nie pojmowałam, dlaczego etykieta ma mi komplikować prywatne życie.

Wpuściłam więc Rose Bertin do prywatnych apartamentów, do których do tej pory nie miał wstępu żaden dostawca. I spędzałam coraz więcej czasu w Trianon.

Bardzo ważne były też wszelkie zabiegi fryzjerskie. Zajmował się mną najlepszy fryzjer w Paryżu, co najprawdopodobniej oznaczało: najlepszy na świecie. Monsieur Leonard był równie cenioną osobistością jak Rose Bertin. Każdego ranka przyjeżdżał do Wersalu, by mnie uczesać, a ludzie wychodzili na ulice, by popatrzeć na jego wspaniałą powóz zaprzężony w szóstkę koni. Nic dziwnego, że narastało niezadowolenie z powodu mojej ekstrawagancji. Rose Bertin projektowała dla mnie nowe modele sukien, a Leonard wymyślał nowe fryzury. Przed laty moje wysokie czoło stało się powodem narzekania, ale teraz najmodniejsze były uczesania, do których trzeba było mieć wysokie czoło, układano coraz bardziej fantastyczne i skomplikowane fryzury. Włosy usztywniano pomadą, aby sterczały w górę, potem uzupełniano dopinkami w tym samym kolorze. I dopiero na wysokości osiemnastu cali nad czołem monsieur Leonard tworzył swą oryginalną konstrukcję. Owoce, ptaki, nawet statki i fragmenty krajobrazu, ozdobione sztucznymi kwiatami i wstążkami.

Mój wygląd był przedmiotem nieustannych rozmów zarówno w Wersalu, jak i w Paryżu. Powtarzano na mój temat różne żarty, ośmieszając ekstrawagancję strojów i fryzur.

Mercy oczywiście o wszystkim donosił, ale matka nie potrzebowała jego informacji.

Napominała mnie:

Nie mogę się powstrzymać od komentarza na temat tego, o czym piszą gazety. Chodzi o Twoje fryzury. Z tego co rozumiem, są one czasem wysokie na dobre trzy stopy i jeszcze ozdobione piórami oraz wstążkami.

Odpisałam, że tego rodzaju fryzury są modne i nikt nie uważa ich za dziwaczne.

Matka strofowała mnie dalej:

Zawsze uważałam, że trzeba nadążać za modą, ale bez przesady. Piękna monarchini, obdarzona wdziękiem, nie potrzebuje uciekać się do takich głupot. Prostota uwydatnia urodę i wdzięk i znacznie bardziej przystoi osobom wysoko postawionym. Jako królowa wyznaczasz styl i cały świat będzie naśladował Twoje niemądre pomysły. Ale ja, która kocham moją małą królową i śledzę każdy jej krok z troską, muszę ją przestrzec przed skutkami tej lekkomyślności.

W listach matki pojawił się nieco inny ton. Ostrzegła, zamiast wydawać polecenia, i ciągle podkreślała, że źródłem tych rad jest wielka miłość.

Powinłam była czytać owe listy uważniej, ale tak dawno jej już nie widziałam. Nawet jej wpływ na mnie był już znacznie mniejszy.

Nie drżałam już na widok jej pisma. Była wprawdzie cesarzową, ale ja stałam się królową. I to królową Francji. Dorosłą kobietą, która mogła postępować tak, jak chciała. Nie przestałam więc korzystać z usług Rose Bertin. Rachunki za stroje były niebotyczne, a moje fryzury coraz bardziej okazałe.

Co gorsza Artois i jego kuzyn Chartres zachęcili mnie do hazardu. Graliśmy w faraona, przy którym można było stracić mnóstwo pieniędzy. Pieniądze, dawane mi przez króla co tydzień na spłatę moich długów, traciłam przy karcianym stole.

Nie znałam wartości pieniądza. Pisałam tylko „zapłacić” na wszystkich rachunkach i zostawiałam resztę służbie.

Mój mąż za bardzo mi pobłażał. Rozumiał chyba, skąd się brały ta potrzeba rozrywek, lęk przed nudą i przed myśleniem, i czuł się winny. Zapewne ciągle myślał o skalpeli i ciągle odsuwał te myśli. Spłacał więc moje długi i nigdy nie prawil mi kazań. Starał się jednak ukrócić hazard — nie tylko ze względu na mnie, ale z myślą o całym dworze.

Moje najgorętsze uczucia budziły jednak nie stroje, nie hazard, nie taniec i nie fryzury, lecz diamenty. Uwielbiałam te roziskrzone kamienie i nikomu nie było w nich tak do twarzy jak mnie. Zimne, a zarazem pełne ognia. Jak ja. Nigdy nie pozwalałam, by jakikolwiek mężczyzna przebywał ze mną sam na sam. Mówiono, że jestem zimna, ale pod pozorami chłodu krył się ogień, taki sam jak w brylantach, które go roztaczały tylko w pewnych okolicznościach.

Miałam mnóstwo klejnotów. Trochę przywiozłam z Austrii, trochę dostałam od dziadka. Najbardziej jednak kochałam nowe. Ludzie narzekali na moją ekstrawagancję, ale kupcy byli bez wątpienia zachwyceni. Nadworni jubilerzy, Boehmer i Bassange, którzy przyjechali do Francji z Niemiec, byli moimi wielbicielami na równi z Rose Bertin i mistrzem Leonardem. Gdy prezentowali mi swoje przepiękne wyroby, ułożone na satynie i aksamicie, nigdy nie mogłam się oprzeć urodzie klejnotów. Kiedy pokazywali mi diamentowe bransolety, nie mogłam oderwać od nich oczu i nawet nie pytałam o cenę.

Nic dziwnego, że matka znów protestowała:

Słyszę, że kupiłaś bransolety za dwieście tysięcy pięćdziesiąt liwrow, wprowadzając straszny nieład w swoje finanse i teraz jesteś w długach... Bardzo mnie to niepokoi, zwłaszcza gdy myślę o przyszłości. Królowa degraduje się w oczach poddanych, strojąc się tak ostentacyjnie, ale jeszcze gorzej, że nie umiesz oszczędzać. Wiem, do jakich ekstrawagancji jesteś zdolna, i nie mogę milczeć, bo kocham Cię za bardzo, żeby uciekać się do pochlebstw. Nie chciałabym, byś za sprawą swej lekkomyślności straciła dobre imię, na które zapracowałaś po przyjeździe do Francji. Wszyscy dobrze wiedzą, że król nie jest rozrzutny, cała wina spadnie więc na Ciebie. Mam nadzieję, że nie będę żyła tak długo, by oglądać katastrofę, która musi nastąpić, jeśli nie zmienisz swego postępowania.

Kolejne ostrzeżenia nadeszły, gdy matka dowiedziała się o moich karcianych długach.

Hazard to bez wątpienia jedna z najgorszych rozrywek. Przyciąga niewłaściwych ludzi, prowokuje plotki... Błagam Cię, moja droga córko, nie pozwól, by opanowała Cię ta namiętność. Błagam, zerwij z hazardem. Jeśli dowiem się, że nie skorzystałaś z tej rady, będę zmuszona poprosić o pomoc króla, pragnę Cię bowiem uchronić przed jeszcze gorszym nieszczęściem. Wiem, co się może zdarzyć, jeśli stracisz dobre imię we Francji i za granicą. I bardzo mnie to martwi, bo ogromnie Cię kocham.

Chciałam zrobić przyjemność matce i nawet próbowałam na pewien czas powstrzymać się od hazardu, ale szybko powróciłam do starych obyczajów. Gdy Mercy robił mi wymówki, odparłam:

— Nie sądzę, by moja matka rozumiała, jak trudne jest moje życie.

Sądzę, że on, podobnie jak ojciec Vermond, dobrze to rozumiał. Może dlatego byli mniej surowi w potępianiu moich głupot.

Trianon stało się moją oazą. Odnawiałam ogrody, korzystając z pomocy księcia de Ligne, który urządził sobie jeden z najpiękniejszych ogrodów Francji w Bel Oeil. W owym czasie panowała moda na styl angielski. Francuzi zaczęli nosić długie surduty, grube pończochy i cylindry — oczywiście nie na dworze, tylko na ulicach Paryża. Na sklepach pojawiały się wywieszki: „English spoken here”; zamiast lemoniady sprzedawano poncz i wszyscy pili herbatę. Artois wprowadził

modę na wyścigi konne i często chodziłam z nim na zawody, które były kolejnym pretekstem dla hazardu. No i oczywiście musiałam mieć angielski ogród w Trianon. Chciałam postawić małą świątynię, w której znalazłaby się rzeźba Erosa dłuta Bouchardona. Wybrałam korynckie kolumny i nazwę: „Świątynia Kupidyna”. Coraz wyraźniej rozumiałam, że książę de Ligne kocha się we mnie. [to mnie bardzo zmartwiło, ogromnie go bowiem lubiłam, a w tej sytuacji nie mogłam pozwolić, by nasza przyjaźń dalej się rozwijała.

Jego uczucia zostały najprawdopodobniej zauważone, ponieważ matka napisała, iż jej zdaniem książę nie powinien spędzać tyle czasu w Wersalu. Poprosiłam go więc, by wyjechał na pewien czas ze swym regimentem. Ze zdziwieniem przekonałam się, że rozstanie sprawiło mi wielką przykrość.

Rozumiałam jednak, że muszę zachować ostrożność.

Mercy przyszedł do mnie na poważną rozmowę. Miałam wielu nowych przyjaciół i bez przerwy przebywałam w ich towarzystwie, choć jemu wydawało się, że to ludzie o podejranej moralności. Czy to mądre?

Spojrzałam na niego dwuznacznie, bo wiedziałam, że sam ma kochankę, śpiewaczkę operową, pannę Rosalie Levasseur; żył z nią od wielu lat i choć był to szacowny związek, o tyle, o ile pozwalały okoliczności, nie mieli jednak kościelnego błogosławieństwa.

Nie wspominałam mu o tym, ograniczyłam się do uwagi, że trzeba korzystać z życia za młodu.

— Kiedy się zestarzeję, na pewno spoważnieję; wtedy moja lekkomyślność zniknie bez śladu.

Zdziwiłam się, gdy wyszło na jaw, że stary Kaunitz rozumie moją sytuację znacznie lepiej niż matka czy mój brat. Napisał do Mercy'ego tak: „Jest jeszcze młoda i sądzę, że dość długo młoda pozostanie”.

* * *

Tamten okres był trudny także dla mojego męża.

Królewska postawa, którą się wykazał podczas „wojny mącznej”, znikła bez śladu. Szukał satysfakcji w bardzo dziwny sposób. Gdy przychodziłam do jego apartamentów, często widziałam, jak się mocował z którymś ze służących na podłodze. Zawsze zwyciężał, bo był bardzo silny i to mu chyba dawało niezbędne poczucie wyższości.

Ludwik był moją antytezą pod każdym względem. Nie narzekał na moją rozrzutność, ale sam był tak oszczędny, że aż skąpy. Brakowało mu subtelności. Czasami wpatrywał się w któregoś ze swoich przyjaciół i podchodził do niego tak zdecydowanym krokiem, że biedak musiał się wycofywać pod ścianę. A potem się okazywało, że Ludwik nie ma nic do powiedzenia. Śmiał się tylko głośno i odchodził.

Dopisywał mu apetyt. Widziałam, jak jadł na śniadanie kurczaka i cztery kotlety, kilka plasterków szynki, sześć jajek, popijając to wszystko połową butelki szampana. Dużo czasu spędzał w kuźni, którą urządził na najwyższym piętrze pałacu. Robił żelazne pudełka, klucze, a przede wszystkim zamki. Pracował tam razem z niejakim Gemainem, który traktował go jak zwykłego towarzysza i nawet śmiał się czasem z wysiłków króla. Ludwik nigdy nie tracił humoru i twierdził nawet, że majster Gemain jest lepszym kowalem niż on.

Wymogi etykiety związane z rytuałem szykowania się do snu niecierpliwiły go jeszcze bardziej niż mnie i rzucał różnymi częściami garderoby w dworzan, którzy mu towarzyszyli. Rozneglizowany do pasa, zaczynał drapać się przy wszystkich, a gdy najdostojniejszy z obecnych próbował podać mu koszulę nocną, skakał po całej sypialni, zmuszając, by ludzie go ganiłi, aż całkiem brakowało im tchu. Wtedy rozczulał się nad nimi i pozwalał, by włożono mu koszulę

nocną. Potem rozpiął pasek i rozpoczął konwersację, którą prowadził przez jakiś czas, maszerując po pokoju ze spodniami spuszczoneymi do kolan.

Pewnego dnia diuk de Lauzan uświadomił mi, że Ludwik i ja oddaliśmy się od siebie niebezpiecznie. Podczas przyjęcia w domu księżnej de Guéménée pojawił się we wspaniałym uniformie, na czapce miał przepiękne pióro czapli. Bardzo mi się spodobało i nieopatrznie to powiedziałam. Następnego dnia odwiedził mnie posłaniec księżnej, przynosząc pióro i bilecik, na którym napisała, że diuk de Luzan błagał ją, by mnie nakłoniła do przyjęcia tego drobiazgu.

Byłam nieco zakłopotana, ale wiedziałam, że odsyłając pióro, zraniłabym go boleśnie, postanowiłam więc przyjąć podarunek i odłożyłam pióro na bok.

Monsieur Leonard użył go do ozdobienia mojej fryzury i gdy Lauzan to zobaczył, rozpromienił się cały.

Następnego dnia zjawił się w moim apartamencie i poprosił o rozmowę. Zgodziłam się, niczego nie podejrzewając. On jednak powiedział, że chce rozmawiać ze mną w cztery oczy.

Spojrzałam znacząco na madame Campan; znała ten sygnał. Wiedziała, że ma wyjść tylko do przedpokoju i nie zamykać za sobą drzwi, nigdy bowiem nie zostawałam całkiem sama z żadnym mężczyzną.

Kiedy wyszła, Lauzan rzucił się na kolana i zaczął całować mnie po rękach.

— Nie posiadałem się z radości, madame — zawołał — gdy zobaczyłem, że nosi pani to pióro! To była odpowiedź, na którą czekałem. Uczyniła mnie pani najszcześniejszym z ludzi...

— Stop — przerwałam mu. — Czy pan oszalał, panie de Lauzan? Krew odpłynęła mu z twarzy.

— Wasza Wysokość dała mi przecież do zrozumienia...

— Proszę wyjść stąd natychmiast.

— Ależ...

— Proszę wyjść. Madame Campan!

Pani Campan weszła do gabinetu.

Lauzanowi nie pozostawało nic innego, jak uklonić się i wyjść.

— Ten człowiek nigdy więcej nie może przekroczyć mojego progu — powiedziałam.

Drżałam z wściekłości i niepokoju. — Wiedziałam, że w pewnym sensie sama jestem sobie winna. Zachowałam się kokieteryjnie, a na domiar złego przyjąłam to nieszczęsne pióro. Dlaczego ludzie nie mogą zrozumieć, że ja chcę się tylko bawić?

Lauzan nigdy mi nie wybaczył. Darzył mnie rzeczywiście wielkim uczuciem i skoro nie mógł być moim kochankiem, postanowił zostać moim wrogiem. I był nim zwłaszcza wtedy, gdy szczególnie potrzebowałam przyjaciół.

Czasami bardzo pragnęłam uciec z Wersalu. Zawsze czekał na mnie mój azyl — Petit Trianon. Zdarzało się jednak, że pragnęłam wyjechać gdzieś dalej i to sama. To było dziwne uczucie. Naprawdę nigdy sama nie zostawałam. Nawet gdy starałam się ominąć główne zasady etykiety, musiałam zabrać ze sobą stangreta i forysiów.

Jeździliśmy przez wioski, a ja przyglądałam się bawiącym się dzieciom, cudownym istotom, których towarzystwa tak bardzo łaknęłam. Pewnego dnia jeden z takich maluchów wybiegł nagle z domku i niewiele brakowało, a wpadłby pod końskie kopyta. Krzyknęłam głośno. Stangret ostro pociągnął za lejce, a maluch rozciągnął się jak długi na drodze.

— Czy coś mu się stało? — zawołałam, wychylając się przez okno. Dzieciak zaczął wrzeszczeć jak opętany, gdy jeden z forysiów go podniósł. Kopał na prawo i lewo.

— Nie sądzę, by coś mu się stało, Wasza Wysokość — uśmiechnął się foryś. — Ale jest przerażony.

— Proszę go tu przynieść.

Dzieciak był w łachmanach, lecz czystych. Przestał krzyczeć, gdy go wzięłam na ręce. Zaczął przyglądać mi się ciekawie. Miał wielkie, niebieskie oczy i jasne, falujące włosy. Wyglądał jak cherubinek.

— Nic ci się nie stało, kochanie? Nie ma się czego bać.

Z domku wybiegła kobieta z dwójką innych dzieci, starszych niż ten chłopiec.

— Mały... — zaczęła kobieta i popatrzyła na mnie z wielkim zdziwieniem. Nie byłam pewna, czy wie, kim jestem.

— Jacques, co ty robisz?

Maluch, siedzący mi na kolanach, odwrócił od niej głowę i przytulił się do mnie. To zadecydowało. Był już mój. Opatrzność mi go podarowała.

Skinęłam na kobietę, aby zbliżyła się do powozu.

— Jest pani jego matką? — zapytałam.

— Nie. Jestem jego babką. Jego matka, moja córka, zmarła zeszłej zimy. Zostawiła mi piątkę dzieciaków na głowie.

Ucieszyłam się. „Na głowie!” — to były znaczące słowa.

— Zabiorę małego Jacques’a. Adoptuję go i wychowam jak własne dziecko.

— On jest najniegrzeczniejszy ze wszystkich.

— Jest mój — powiedziałam, bo już go pokochałam. — Proszę mi go dać, a nie pożałuje pani.

— Madame...

— Jestem królową — wyjaśniłam. Dygnęła niezgrabnie, a ja dodałam; — Nie ominie pani nagroda. — Oczy napęłniły mi się łzami, gdy ujrzałam jej wdzięczność, bo podobnie jak mój mąż uwielbiałam pomagać biednym ludziom. — A ten mały będzie moim dzieckiem.

Malec wyprostował się nagle i zaczął płakać.

— Nie chcę do królowej! Chcę do Marianny...

— To jego siostra, Wasza Wysokość — wyjaśniła babka. — Jest bardzo krnąbrny. Ucieknie.

Ucałowałam go.

— Nie ode mnie — oświadczyłam, choć próbował się wyrwać. Dałam znak pani Campan, by zapisała nazwisko kobiety i przypomniała mi, że powinnam coś dla niej zrobić, po czym kazałam wracać do pałacu.

Mały Jacques kopał i wrzeszczał przez całą drogę. Krzyczał, że chce do Marianny i Ludwika.

— Jeszcze nie rozumiesz, mój drogi, jaki to szczęśliwy dzień dla ciebie i dla mnie.

Opowiadałam mu o zabawkach, które dostanie, o kucyku, na którym będzie jeździł. Zapytałam, co on na to. Wysłuchał mnie i powiedział:

— Chcę do Marianny.

— To lojalny młody człowiek — stwierdziłam. — Nie da się przekupić.

I przytuliłam go, co sprawiło, że zaczął wyrwać się jeszcze gwałtowniej. Spadła mu wełniana czapka, a ja się zachwyciłam, bo bez niej wyglądał jeszcze ładniej. Pomyślałam, że w pięknym ubranku będzie prawdziwym aniołkiem. Za chwilę zrzucimy ten czerwony kubrak i saboty.

Gdy dotarliśmy do pałacu, wszyscy patrzyli za zdziwieniem, widząc mnie z małym wiejskim dzieckiem. Chłopczyk był zbyt oszołomiony, by dalej wrzeszczeć.

Najnowszy kaprys królowej, mówiono. Ale mnie to nie obchodziło. W końcu miałam swoje dziecko, choć go nie urodziłam. Od razu znalazłam mu niańkę — żonę jednego z moich służących, którą znałam jako dobrą matkę. Zarządziłam, by go przyzwoicie ubrano. A potem z pomocą madame Campan zatroszczyłam się o to, by bracia i siostry mego słodkiego aniołka trafili do szkoły.

Dawno nie byłam tak szczęśliwa. A gdy zobaczyłam go w białym obszytym koronką surduciku, przepasanego różową szarfą ze srebrnymi frędzlami i w kapelusiku ozdobionym piórem, pomyślałam, że to najpiękniejszy dzieciak pod słońcem.

Przytuliłam go i tym razem nie protestował. Podniósł swoje zdziwione, niebieskie oczy i powiedział do mnie: „Mamo”.

Dałam mu imię Armand. Miał tak właśnie na nazwisko i wydawało mi się, że to będzie bardziej stosowne tu, na dworze, niż Jacques. Codziennie rano przyprowadzono go do mojej sypialni i był ze mną podczas ceremonii ubierania się. Potem jedliśmy razem śniadanie, a czasem nawet obiad. Niekiedy przyłączał się do nas król, który bardzo szybko się przywiązał do małego Armanda.

Tylko ja potrafiłam go poskromić. Lubił siedzieć na moim łóżku i bawić się ozdobami czy piórami z moich fryzur. Kiedy miałam na sobie bardzo wyszukany strój na bal czy bankiet, szłam do jego kom — natki, by mu się pokazać.

Pokochał mnie, bo ja jego pokochałam. Ale nie rozumiałam, że dziecko jest zdolne do głębokich uczuć — do uczuć głębszych może niż moje własne.

* * *

Nikt nie miał wątpliwości, że moje stosunki z mężem nie są satysfakcjonujące. Ludwik zawsze był dla mnie miły i dobry, wolał jednak towarzystwo innych ludzi. Więcej czasu spędzał z Gamainem niż ze mną. Trzymał mnie z dala od polityki. Pokazał wyraźnie, że jego porażanie — akceptacja moich ekstrawagancji, spłacanie długów i tak dalej — nie oznacza, że kiedykolwiek pozwoli mi się mieszać do rządów.

Niepokój mojej matki, Mercy’ego, Vermonda i Kaunitza był trudny do ukrycia.

A moja matka miała wrogów w Europie. Największym z nich był Fryderyk, król Prus, zwany przez niektórych Wielkim, a przez moją matkę — Potworem.

Miał wszędzie swoich szpiegów i doskonale wiedział o tym, że król nie jest w stanie skonsumować swego małżeństwa. Przyszło mu do głowy, że doświadczona kobieta mogłaby osiągnąć to, czego nie zdołała dokonać młoda i naiwna dziewczyna. Taką kobietą była słynna aktorka Comedie Française, Luise Contat, istota wielkiej urody, wrażliwości, obdarzona niezwykłym wdziękiem, której towarzystwa poszukiwało wielu arystokratów.

Fryderyk Wielki nie miał wątpliwości, że taka kochanka bardzo pomogłaby królowi. W każdym razie warto spróbować. Zanim jednak do tego dojdzie, trzeba się upewnić, że urocza panna Contat będzie przyjaciółką Prus.

Nie wiem doprawdy, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie czujność Vermonda i Mercy’ego. Jestem jednak pewna, że mój mąż nigdy by mnie nie zdradził.

Mercy od razu napisał do mojej matki. W Hofburgu musiało zapanować wówczas wielkie poruszenie. Wyobraziłam sobie nieustanne rozmowy matki z Józefem. Józef stał się jeszcze bardziej napuszony niż przedtem i, czując się głową rodziny, uważał za swój obowiązek przywoływanie wszystkich do porządku.

Odwiedził Karolinę w Neapolu i nie spodobało mu się jej zachowanie. Biedna Karolina! Los nie był dla niej życzliwy. Wywoływała skandal ze skandalem. Józef miał sporo powodów, by prawić jej kazania. Ona zaś usprawiedliwiała się, że wzięła sobie kochanka dopiero, gdy już urodziła mężowi potomka. Jakby liczyło się tylko zagwarantowanie sukcesji i nic więcej. Maria Amalia natomiast wywoływała skandale od początku swego pobytu w Parmie. Na mnie zaś i na moje ekstrawaganckie pomysły patrzył cały świat, ale przynajmniej byłam wierna mężowi, choć krążyły o mnie różne obrzydliwe plotki.

A teraz rysowała się możliwość, że moje miejsce przy Ludwiku zajmie błyskotliwa i atrakcyjna kobieta, która będzie wdzięczna za swe wyniesienie największemu wrogowi mojej matki.

Trzeba było działać i to działać skutecznie.

Do Wersalu miał więc przyjechać mój brat, Józef, aby znaleźć rozwiązanie naszych kłopotów.

Rozdział 12

Cesarski gość

Czy na pewno wykorzystujesz każdą okazję? Czy odwzajemniasz uczucia króla? A może jesteś pełna chłodu i obojętności, gdy on Cię pieści? Może jesteś znudzona i zde gustowana? Czy w takiej sytuacji w mężczyźnie obdarzonym niezbyt gorącym temperamentem może obudzić się namiętność?

Szczerze mówiąc, bardzo się o Ciebie niepokoję, bo wiem, że tak dalej być nie może... A rewolucja będzie okrutna i być może właśnie przez Ciebie.

Z instrukcji cesarza Józefa dla Marii Antoniny

Osiągnęłam wreszcie szczęście i uważam, że to najważniejszy moment w moim życiu... Moje małżeństwo zostało wreszcie skonsumowane. Wczoraj ponowiliśmy próbę z jeszcze większym sukcesem. W pierwszej chwili chciałam nawet posłać specjalnego kuriera do mojej ukochanej Matki, ale zrezygnowałam, obawiając się plotek... Nie myślę, bym już była w błogosławionym stanie, ale sądzę, że to tylko kwestia czasu.

Maria Antonina do Marii Teresy

Mam nadzieję, że nie minie rok, a będziesz miał siostrzeńca albo siostrzenicę... Tobie zawdzięczamy to szczęście.

Ludwik XVI do cesarza Józefa

Dowiedziałam się, że mój brat przyjechał do Paryża i zatrzymał się w austriackiej ambasadzie, gdzie opiekował się nim Mercy. Zastanawiałam się, co też Mercy opowiada Józefowi na mój temat. Nie sądziłam, by mogły to być pochlebne wieści. Przypomniałam sobie listy z wymówkami, bez przerwy przychodzące z Wiednia. Z pewnością Józef) który razem z moją matką rządził Austrią, wiedział o wszystkim. Po raz ostatni widziałam go, gdy wyjeżdżałam z ojczystego kraju. Józef odbył ze mną wtedy pierwszą część podróży. Przypomniałam sobie, jak ziewałam, gdy tłumaczył mi, jakie szczęście mnie spotkało i ile koni zamówiono na moją podróż. Zegnałam się z nim bez żalu, ale teraz bardzo się cieszyłam na myśl o spotkaniu z członkiem mojej rodziny. Choć trochę się też obawiałam.

Józef oświadczył, że nie życzy sobie żadnego zamieszania i żadnych ceremonii. Podróżował zresztą *incognito*, nie jako cesarz Austrii, ale jako księżę Falkenstein. Przyjechał do ambasadę otwartym powozem w strugach deszczu. To oczywiście nie było konieczne. Mógł przybyć oficjalnie.

Domyślałam się, że będę musiała wysłuchać jego kazań na temat moich fanaberii. Musiało go to szczególnie denerwować, ponieważ sam uwielbiał spartański tryb życia. Zawsze pragnął, by uważano go za władcę, który w pierwszym rządzie troszczy się o dobro swojego ludu. Bardzo lubił

podróżować jak zwyczajny obywatel i czynić dobro ukradkiem. Złośliwi powiadali wszakże, iż zawsze aranżował swoje wycieczki tak, by w odpowiednim momencie jego tożsamość została odsłonięta. Wówczas mówił patetycznym tonem: „Tak, jestem cesarzem”.

Nie wierzyłam w te złośliwe historie. Ale pod koniec wizyty Józefa nie byłam już taka pewna, czy to tylko plotki. Fakt, że przybył *incognito*, oznaczał same kłopoty. Dlaczego zdecydował się zamieszkać w ambasadzie? Oświadczył, że nie ma zamiaru mieszkać w pałacu ani w Trianon. Wystarczą mu dwa pokoje w mieście, bo wcale nie chce być traktowany jak cesarz Austrii, tylko jak zwykły podróżny.

Pomyślałam, że czeka mnie ciężki dzień.

Nie byłam jeszcze gotowa, gdy na dziedzińcu rozległ się stukot końskich kopyt. Minęło dopiero wpół do dziesiątej i chyba nie zwróciłam uwagi na te hałasy, bo pamiętam swoje zaskoczenie, gdy powiedziano mi, że ojciec Vermond przyprowadził mi gościa. Gość nie czekał, aż zostanie zaanonsowany, ale wpadł do mnie bezceremonialnie.

— Ależ to jest... — wykrzyknęłam. — To naprawdę mój brat, Józef! I zapomniałam o wszystkim oprócz tego, że widzę swego brata.

Poczułam się znów jak dziecko, które będzie za coś upomniane, podbiegłam do Józefa i zarzuciłam mu ręce na szyję. On także był wzruszony, bo gdy mnie obejmował, miał łzy w oczach.

— Moja siostrzyczka... moja piękna siostrzyczka!

— Józefie, jakże się cieszę, że cię widzę... Tyle czasu minęło... tyle o tobie myślałam, tyle myślałam o naszej drogiej matce i domu.

— Paplałam bez ładu i składu po niemiecku, bo przeszłam na ojczysty język całkiem nieświadomie. — Och, Józefie, jakże się cieszę. Znów się czuję jak mała dziewczynka.

Józef także mówił, że się cieszy i wcale nie zachowywał się jak srogi brat, który tak krytykował moją lekkomyślność w Wiedniu. Ale my, Niemcy, jesteśmy sentymentalni. Żyjąc we Francji, całkiem o tym zapomniałam.

Nie przestawaliśmy rozmawiać. Jak się czuje droga mama? I jak wyglądają ogrody w Schönbrunn? Czy fontanny są wciąż takie same? Co z naszym małym teatrykiem w Hofburgu? Co ze służbą? Co z psami, które zostawiłam? Czy mama jest szczęśliwa? Przypuszczałam, że raczej się niepokoi. Jakże pragnęłam ją zobaczyć!

Śmiałyśmy się i płakaliśmy. Józef powiedział, że wyrosłam na piękną kobietę. Gdyby spotkał taką piękność jak ja, ożeniłby się jeszcze raz.

W tak radosnej atmosferze przebiegała pierwsza godzina naszego spotkania, potem zaś mój brat przystąpił do realizacji planu, z którym przyjechał do Francji, a najważniejszą częścią było prawienie mi kazań, krytykowanie mnie i ukrócenie moich kaprysów.

Gdy minęła historyczna niemal radość ze spotkania po latach, spojrzałam na niego chłodnym okiem i, muszę przyznać, dość krytycznie. Z całą pewnością nie był przystojnym mężczyzną. Nosił prosty strój w kolorze brązofioletowym, mający przede wszystkim spełniać niezbędne funkcje, a nie zachwycać. Rose Bertin uszyła mi kiedyś suknię w takim odcieniu i król na widok tej toalety wykrzyknął, że to kolor pchły. Od tamtej pory ta barwa stała się bardzo modna. Mojemu bratu nie było w niej jednak do twarzy. Nie podobały mi się krótkie buty, w których wyglądał jak człowiek z ludu. Jego fryzura także nie miała wyszukanego charakteru. Przygarbił się nieco i znacznie postarzał od czasu, kiedyśmy się ostatnio widzieli.

— Myślisz pewnie, że nie wyglądam jak cesarz Austrii. Przyznaj się.

— Wyglądasz jak mój brat Józef, i niczego więcej mi do szczęścia nie potrzeba.

— Nauczyli cię tu we Francji prawić piękne słówka, ale ja jestem prostym człowiekiem i wolę prostą mowę. A teraz chciałbym, żebyśmy zostali całkiem sami, bo muszę z tobą porozmawiać.

— Chyba pora zobaczyć się z królem, na pewno już na ciebie czeka.

— W swoim czasie — powiedział Józef. — Najpierw chcę usłyszeć od ciebie, czy te wszystkie plotki są prawdziwe. Masz być ze mną szczerą, ponieważ właśnie z tego powodu przyjechałem do Wersalu. Z tego i paru innych. Muszę znać prawdę.

Przeszliśmy do małego gabinetu i zamknęliśmy za sobą drzwi.

— Cała Europa plotkuje o twoim małżeństwie. Czy to prawda, że król nie jest zdolny, by je skosztować?

— To prawda.

— Choć czynił wiele wysiłków.

— Owszem.

— A lekarze twierdzą, że wystarczy operacja, by stał się normalnym mężczyzną?

Pokiwałam głową.

— Uchyła się od tej operacji? Znów przytaknęłam.

— Rozumiem. W takim razie trzeba się postarać, by zrozumiał, co należy do jego obowiązków.

Józef krążył po gabinecie, jakby rozmawiał sam ze sobą. Pomimo prostego stroju, miał w sobie jakiś cesarski majestat. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy rzeczywiście jest tak skromny, jak chciał się wydawać.

Zadawał mi wiele intymnych pytań, a ja odpowiadałam mu szczerze.

— Widzę, że przyjechałem w samą porę — oświadczył. Wysłałam królowi wiadomość, że mój brat jest już w pałacu i że zaraz go przyprowadzę.

Ludwik wybiegł mu na spotkanie i objął go od razu.

Zauważyłam, że mój mąż jest wyższy od Józefa i że wygląda znacznie bardziej elegancko, choć przecież wcale nie był najlepiej ubranym mężczyzną na dworze. Ale to Józef traktował go jak młodszego brata. Podróżował *incognito*, lecz swoim zachowaniem nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że uważa króla Francji za władcę niższego rangą od cesarza Austrii. Ludwik miał wówczas na sobie purpurowe, aksamitne ubranie, nosił bowiem żałobę po niedawno zmarłym królu Portugalii.

Wymienili uprzejmości. Ludwik zapewnił mego brata, że cały pałac jest do jego dyspozycji, na co Józef tylko pokręcił głową.

— Nie, bracie. Wolę proste życie. Moja kwatery zupełnie mi odpowiada.

— Na pewno nie ma tam wygod, do jakich przywykłeś.

— Nie przywiązuję wagi do wygod, bracie, nie jestem do nich tak przyzwyczajony. Polowe łóżko i niedźwiedzia skóra zupełnie mi wystarczą.

Mówiąc to, rozglądał się pogardliwym wzrokiem po błyszczącym od złota apartamencie, jakby przepych naszego otoczenia był czymś grzesznym.

Król powiedział, że Józef musi spotkać się z członkami rodziny królewskiej i z niektórymi ministrami, przede wszystkim z Maurepasem. Józef odparł, że będzie zachwycony. Cały ranek upłynął więc na wizytach i prezentacjach. Czułam się trochę nieswojo, bo nie zdążyłam się uczesać, nie miałam jednak czasu na tak skomplikowaną ceremonię. Podejrzewam, że biedny mistrz Leonard był zrozpaczony, ale nie mogłam przecież zostawić brata. Gdyby uprzedził nas o terminie przyjazdu, ułatwiłby nam życie. Lecz proste obyczaje Józefa raczej komplikowały nam je bez przerwy.

Obiad zjedliśmy w moim apartamencie. Józef zażądał, żeby odbyło się to bez żadnych ceremonii, przeniesiono więc stół i taborety do sypialni i tam zasiadliśmy do posiłku. Było nam dość niewygodnie. Nikt z nas nie zachowywał się swobodnie i sądzę, że oboje z Ludwikiem czuliśmy się znacznie lepiej, gdybyśmy jedli w normalnych warunkach.

W ciągu następnego dnia sporo ze sobą rozmawialiśmy. Wizyta Józefa miała trzy cele: przestrzec mnie przed konsekwencjami dotychczasowej lekkomyślności, scementować przymierze

francusko–austriackie, a przede wszystkim dowiedzieć się, co się kryje za moimi problemami małżeńskimi. Józef wierzył, że zdoła w pełni zrealizować swój plan.

W ciągu tych pierwszych paru dni dominowały sentymentalne uczucia obudzone spotkaniem po latach. Już wtedy spostrzegłam jednak, że Józef uważa francuski dwór za miejsce bardzo ekstrawaganckie i ma do tutejszych obyczajów bardzo krytyczny stosunek.

Drugiego dnia swojej wizyty jedliśmy rodzinną kolację w apartamentach Elżbiety. Pragnęłam, by Józef ją polubił, bo kochałam ją coraz bardziej. Elżbieta stawiała się z każdym dniem coraz bardziej czarująca. Przyszło mi do głowy, że przecież Józef powinien się ożenić. Miał za sobą dwa nieszczęśliwe małżeństwa, najpierw z piękną i dziwną Izabelą, którą kochał, potem z kobietą, której nienawidził. Jego jedyne dziecko zmarło, a jako cesarz Austrii powinien mieć dziedzica, choć oczywiście byli bracia, którzy mogli przejąć sukcesję. Uznałam jednak szybko, że to nie najlepszy pomysł, bo gdyby Elżbieta wyszła za Józefa, wyjechałaby z Francji i nie mogłabym jej widywać.

Artois śmiał się z mojego brata za jego plecami. Wraz z hrabią Prowansji uważali go za nieeleganckiego i pozbawionego ogłady.

Nie był to więc przyjemny obiad. O Boże, jakże chciałam, żeby Józef postępował jak normalny królewski gość.

Wszyscy trzej bracia zachowywali się dziwnie tego wieczoru. Podejrzewam, że sprowokowała ich sztuczna konwersacja z Józefem. Gdy wstawaliśmy, księżę Prowansji wysunął nogę, a Ludwik potknął się i przewrócił na niego. Zaczęli się siłować na podłodze, a po chwili dołączył do nich Artois. To była tylko zabawa, ale Józefowi musiała wydać się bardzo dziwna. Ja widywałam podobne zapasy i wiedziałam, że czasem są to tylko żarty, czasem zaś był w nich prawdziwy gniew, ponieważ Provence, wciąż zazdrosny o Ludwika, w ten właśnie sposób wyładowywał swoje uczucia. Ludwik jednak zawsze lubił takie igraszki, najprawdopodobniej dlatego, że zawsze wychodził z nich zwycięsko. Artois natomiast uwielbiał psoty i dlatego z przyjemnością przyłączał się do tego, co mogło zaszokować gościa.

Obie z Elżbietą wymieniłyśmy przerażone spojrzenia, ale Józef zignorował całkowicie bijących się mężczyzn i kontynuował rozmowę jak gdyby nigdy nic.

Gdy zaś później powiedziałam, że Elżbieta wyrosła na prawdziwą kobietę, odparł, że wolałby, aby król wyrósł wreszcie na prawdziwego mężczyznę.

Bardzo chciałam pokazać Józefowi Trianon i zabrałam go tam następnego dnia. Towarzyszyły nam tylko dwie służące.

— Trianon to moja oaza. Tam mogę wieść proste życie.

Z dumą oprowadzałam go po angielskim ogrodzie, który był już prawie gotowy.

Józef nie okazywał jednak zainteresowania i zaczął mnie strofować.

Czy naprawdę nie rozumiem, że sama ściągam sobie na głowę katastrofę? Otaczają mnie ludzie o wątpliwej reputacji. Nic dziwnego, że moja reputacja też nie jest najlepsza.

— Jesteś trzpiotką! — krzyczał. — Myślisz tylko o przyjemnościach!

— Muszę się czymś zajmować.

— Zajmuj się czymś pożytecznym.

— Gdybym miała dzieci...

— Aha. To jest sedno sprawy. Ale twoje zachowanie wobec króla wcale mi się nie podoba.

— Tobie się nie podoba?

— Żona powinna być posłuszna mężowi. Nie starasz się jak należy, żeby go zadowolić. Powinnaś go adorować. Powinnaś zmienić zainteresowania, żeby być bliżej niego.

— Przecież jego zainteresowania są całkiem inne niż moje.

— W takim razie powinnaś się dostosować.

— Wyobrażasz sobie mnie w kuźni? — Wyciągnęłam do niego rękę. — Wyobrażasz sobie, że robię zamki... albo siłuję się na podłodze z moimi szwagierkami? Jak mogę podzielać zainteresowania króla?

— Nie o to chodzi. Powinnaś być bardziej uległa. I okazywać, że dobrze się czujesz w jego towarzystwie. Mogłaś wpłynąć na to, by stał się normalnym mężczyzną.

Zamilkłam. A Józef robił mi wymówki z powodu tańców do białego rana, hazardu, złego wyboru przyjaciół i kaprysów.

— Postaram się poprawić, Józefie — powiedziałam łagodnie.

I rzeczywiście, od kiedy zaadoptowałam małego Armanda, zachowywałam się trochę lepiej. Bardzo go kochałam, ale niestety jego obecność sprawiła, że jeszcze bardziej zapragnęłam mieć własne dzieci.

Józef nie przeprowadził się do pałacu i oświadczył, że chce zwiedzać Paryż jak zwykły przybysz, a nie jak cesarz. Zamierzał jeździć do stolicy otwartym powozem w towarzystwie dwóch służących w prostych liberjach. Przechadzał się po Paryżu pieszo, mając nadzieję, że ludzie będą go brać za anonimowego podróżnika, ale robił to tak ostentacyjnie, że paryżanie domyślili się natychmiast, że jest jakąś ważną osobistością. A ponieważ szybko rozniosła się wieść, że mój brat przyjechał do Francji z wizytą i że chodzi wszędzie incognito, tożsamość Józefa szybko wyszła na jaw.

Wstępował do sklepów zostawiając lokajów za drzwiami i sam robił zakupy. Gdy słyszał szepty: „cesarz, to jest cesarz”, udawał, że nic nie słyszy i starał się zachowywać jak zwykły mieszczanin.

Wracał z tych wypraw cokolwiek ubłocony, ale ogromnie zadowolony. Spostrzegłam, że Paryż go oczarował. Często rozprawiał o zachodach słońca nad rzeką i o imponującej sylwetce Notre Dame. Mówił, że uwielbia patrzeć z pewnej odległości na paryski krajobraz. Pytał, czy ja kiedykolwiek obejrzałam się, żeby podziwiać iglicę Saint–Chapelle czy wieżyczkę Conciergerie? I sam odpowiadał w moim imieniu, że nigdy tego nie robiłam. Jedynym miejscem, które mnie interesowało, była opera.

Udzielał też nauk mojemu mężowi. Bo co też Ludwik wiedział o swoich poddanych? Władca powinien przebywać wśród ludzi... oczywiście incognito. Powinien wstać kiedyś o świcie, żeby się wmieszać w tłum wieśniaków, którzy przywożą swoje produkty do Hal. Powinien pobyć trochę wśród piekarzy z Gonesse i popatrzeć na ogrodników, wtaczających do miasta wozy z owocami i warzywami. Powinien zobaczyć urzędników, którzy spieszą się do pracy i kelnerów, którzy podają pierwszym klientom kawę i rogaliki. Dobrze by było, gdyby kupił kawę oferowaną przez uliczne sprzedawczynie i wypił ją na stojąco na ulicy, a potem wsiadł do publicznego powozu lub dyliżansu. Król powinien wiedzieć, co ludzie myślą o jego rządach i dlatego trzeba zachować *incognito*.

Wszystko wskazywało na to, że Józef interesował się życiem Francuzów znacznie bardziej niż jakikolwiek członek królewskiej rodziny. Odwiedzał muzea, drukarnie i fabryki, zgłębiał tajniki produkcji barwników, wędrując rue de la Juiverie albo rue de Marmousets i w takich nieprzyjemnych miejscach wdawał się w rozmowy ze zwykłymi robotnikami. Jego akcent, jego strój i determinacja, by nie zostać rozpoznany, przyczyniały się do tego, że wszyscy wiedzieli, kim jest. Po pewnym czasie paryżanie wypatrywali go na ulicach. Rozpoznawali od razu jego brązowośliwkowe ubranie, nieupudrowane włosy i jego szczerą chęć, by pokazać, że jest taki sam jak oni, na przekór etykiecie. Uwielbiali go i szybko stał się bardzo popularny. Gdy czasem pojawiał się w naszym towarzystwie, wznosili okrzyki głównie na jego cześć.

Zauważyłam od razu jego ukrywaną skrzętnie satysfakcję i rozumiałam, że ulubioną rolą mego brata jest rola cesarza, rozpoznawanego przez ludzi w odpowiednich okolicznościach.

Wędrował od warsztatów, w których produkowano mydło, do pracowni gobelinów, a potem do ogrodów botanicznych i szpitali. Wszystko to zajmowało go znacznie bardziej niż bale w operze, choć nie odmówił sobie wizyty w Comedie Francaise. Pojechał także w odwiedziny do madame du Barry, która po dwóch latach spędzonych w Pont des Dames, mieszkała teraz w Louveciennes, dzięki wpływom swego danego przyjaciela Maurepasa.

Nie mogłam zrozumieć tego gestu. Może chciał zobaczyć bardzo piękną kobietę albo pokazać, że jest tolerancyjnym wolnomyślicielem i nie szokuje go jej tryb życia. Zaskoczyło mnie to tym bardziej, że nie miał czasu, by odwiedzić diuka de Choiseul, który kiedyś był sojusznikiem Austrii i zaaranżował moje małżeństwo.

Czyż nie było ironii w tym, że ludzie, którzy krytykowali mnie za lekceważenie etykiety, podziwiali Józefa za to, że robił dokładnie to samo?

Mój brat nie ograniczał się do zwiedzania Paryża. Starał się także uporządkować nasze wersalskie gospodarstwo. Nie tylko ja musiałam wysłuchiwać jego słusznych zapewne kazań, lecz nawet moi szwagrowie.

Hrabiemu Artois powiedział, że jest fircykiem. I że nie powinien prowadzić tak beztróskiego życia, kryjąc się w cieniu dwóch starszych braci. Powinien spoważnieć. Józef obiecał, że poświęci mu trochę swego cennego czasu; rady cesarza z pewnością będą korzystne. Mogłam sobie wyobrazić, jak reagował na to Artois. Słuchał wszystkiego z poważną miną, ale w jego apartamentach później rozlegały się dzikie wybuchy śmiechu i domyślałam się, że zabawia tymi anegdotkami przyjaciół.

Do hrabiego Prowansji Józef odnosił się nieco ostrożniej. Nie udzielał mu rad, lecz ostrzegał mnie przed nim.

— On ma w sobie jakiś niepokojący chłód. A jego żona to intrygantka. Nie na darmo pochodzi z Piemontu. Choć jest brzydka i niemiła, nie powinnaś jej lekceważyć.

Ciotki oczywiście bardzo zabiegały o jego względy. Adelajda zapewniała, że mają mu wiele do powiedzenia, a Józef nigdy nie lekcewał żadnych informacji. Nie krył jednak zaskoczenia, gdy Adelajda, zaprosiwszy go do niewielkiego pokoju pod pretekstem pokazania jakichś obrazków, rzuciła się na niego namiętnie.

Zdziwiony był tym bardziej, że pieszcząc go przez chwilę jak kochanka, zapewniała, że wszystko jest w najlepszym porządku i że stara ciotka może sobie pozwolić na takie drobne poufałości.

Józef opowiedział mi o tym, przykazując, bym zadbała, żeby nigdy więcej nie znalazł się z nią sam na sam.

— Ciotki zawsze się dziwnie zachowywały — uspokajałam go.

— Rzeczywiście, ale one i tak się nie liczą. Musisz uważać na innych. Na przykład na tego lodowatego jak wąż hrabiego Prowansji i jego żonę intrygantkę. A tamten drugi z kolei jest zbyt frywolny i jego towarzystwo ci nie służy. Na dodatek tylko on spośród braci ma dzieci. Gdy więc przekonam twego męża do operacji i wreszcie będziesz w ciąży, nie utrzymuj tak bliskich stosunków z Artois, bo to może stać się powodem plotek.

Zapewniłam brata, że w zasadzie wcale nie lubię Artois, ale jest najweselszy w całej tej rodzinie i lubi podobne rozrywki. Zawsze potrafi mnie rozbawić, a ja tego tak bardzo potrzebuję.

— Mam nadzieję, że wkrótce przekonasz się, że w życiu są ważniejsze sprawy niż rozrywki — odparł.

Przemowy Józefa zaczęły nas wszystkich męczyć. Żałowałam, że mój brat nie ma w sobie ani odrobiny fantazji, że nie da się namówić go do hazardu i nie okazuje żadnego zainteresowania rozrywkami francuskiego dworu. Wszystko to było całkowicie obce jego naturze.

Co gorsza, z czasem zaczął mnie krytykować w obecności dworu, a tego nie znośliam. Wchodził do pokoju w trakcie toalety i patrzył z dezaprobatą na moje wyszukane suknie. Nie szczędził złośliwych uwag, gdy widział, jak nakładają mi róż na twarz. Mogłam wprawdzie odpowiedzieć, że róż jest częścią dworskiego uniformu. Nawet Campan, gdy się tu pojawiła i została skromną lektorką, musiała go sobie nakładać.

Józef spojrział na jedną z najmocniej wymalowanych służących i oświadczył:

— To za mało. Za mało. Proszę popatrzeć na królową.

Irytował mnie tak bardzo, że postanowiłam poprosić, by oszczędził mi słów krytyki przy ludziach. Gdy byliśmy sami, nie miałam nic przeciwko temu, ale uważałam, że królowa Francji nie powinna być napominana jak dziecko. Czy cokolwiek mogło bardziej podważyć jej prestiż?

Kipiąc gniewem, siedziałam przed lustrem, a mistrz Leonard mnie czesał.

— Och, madame! — zawołał. — Dzisiejsza fryzura zrobi wrażenie nawet na samym cesarzu.

Uśmiechnęłam się do fryzjera, a do pokoju wszedł, jak zwykle bezceremonialnie, Józef.

— Bracie, czy podoba ci się ta fryzura? — zagadnęłam.

— Tak — odrzekł znudzonym tonem.

— Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie. Czy wydaje ci się niestosowna?

— Chcesz, żebym był szczery?

— A nie byłeś, Józefie?

— Dobrze. Sądzę, że ta fryzura nie nadaje się do tego, by nosić na niej koronę.

Mistrz Leonard zrobił minę, jakby mój brat dopuścił się niesłychanej obrazy majestatu. Moje damy dworu i służące były zaszokowane, że cesarz pozwala sobie na takie uwagi w ich obecności, ponieważ tym razem nie upominał mnie jako swej siostry, ale krytykował fryzurę królowej Francji.

Kiedy robiłam mu wymówki, oświadczył:

— Mówię wszystko prosto z mostu. Nie potrafię kręcić. Mówię to, co myślę.

Do tej pory złościła mnie formalna sztuczność francuskiej konwersacji, wystarczyła jednak parotygodniowa wizyta Józefa, bym za nią zatęskniła.

Nawet Mercy trochę się niepokoił zachowaniem Józefa. Przypuszczałam, że Kaunitz próbował radzić memu bratu, jak ze mną postępować, ale Józef nie słuchał niczyich rad. Zapomniał, że wyjechałam z Austrii siedem lat temu i traktował mnie wciąż jak młodziutką siostrę.

Okazało się, że Kaunitz przygotował pisemną instrukcję, którą Józef miał mi przekazać.

— To niepotrzebne — oświadczył mój brat. — Jestem tu przecież i możemy rozmawiać. Zwłaszcza, że znam teraz sytuację z pierwszej ręki.

Nie przestawał więc nam doradzać i nawet udało mu się wyrzucić na mnie pewne wrażenie. Dzięki niemu zrozumiałam, jak bardzo martwię matkę swoim zachowaniem i jak niemądrze postępuję. Józef widział trudne życie i nędzę paryżan. Co pomyśleliby ci ludzie, gdyby się dowiedzieli o moich niezliczonych kaprysach? Udało mu się poruszyć mnie do łez.

— Zmienię się, Józefie — obiecałam. — Powiedz mamie, że nie musi się już martwić. Będę poważniejsza. Przrzekam.

I naprawdę tego pragnęłam.

Pech chciał, że gdy zabrałam go na przyjęcie do księżnej de Guéménée, moi przyjaciele zachowywali się dość skandalicznie. Józef nie miał ochoty tam iść, ale go przekonałam. Tego wieczoru graliśmy w faraona i mojego brata zaszokowała swoboda w stosunkach między kobietami i mężczyznami; rozmowa była błyskotliwa, ale rzeczywiście trochę ryzykowna, a na domiar złego, zarzucano madame de Guéménée oszukiwanie.

Józef oświadczył, że chce wyjść.

— To istne piekło — podsumował, a potem rozpoczął długie kazanie na temat niebezpieczeństw hazardu. Muszę przestać go uprawiać, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. I powinnam staranniej dobierać sobie przyjaciół.

Każdy pretekst był dobry, by wygłosić kazanie. I rzeczywiście, słuchaliśmy tego, co mówił, a mówił przeważnie całkiem słuszne rzeczy.

Często konferowałam z moim mężem, ponieważ jednym z celów tej Wizyty było zacieśnienie przyjaźni między Francją i Austrią. No i miał jeszcze do załatwienia tamtą drugą sprawę.

Nie wiem, co powiedział mojemu mężowi, ale na pewno oświadczył, że jeśli nie spłodzi potomka, zachwieje się jego pozycja. Artois miał przecież syna, no i był jeszcze hrabia Prowansji. A sytuacja, w której sukcesorem nie jest syn, ale brat, zawsze rodzi mnóstwo antagonizmów i zazdrości.

Józef wprawdzie też nie miał syna, ale nie zamierzał pozwalać, by ten fakt rzutował na jego kazania na temat królewskich obowiązków. Ludwik nie krył zresztą, że bezgranicznie pragnie mieć dzieci.

Wizyta Józefa miała przełomowe znaczenie, bo udało mu się wymóc na Ludwiku obietnicę, że ten spróbuje zmienić coś w naszych niesatysfakcjonujących stosunkach. Król obiecał, że postara się coś zrobić.

Józef wyjechał pod koniec maja, spędziwszy u nas półtora miesiąca.

Na pożegnanie powiedział mi, że jestem tak lekkomyślna i trzpiotowata, iż nie sądzi, by nasze rozmowy pozostawiły jakiś ślad. Nie potrafię się skoncentrować. Dobrze wiedziałam, że ma rację. Dlatego spisał swoje „instrukcje” i kazał mi studiować je uważnie po jego wyjeździe.

Chociaż tak bardzo mnie irytował w czasie tej wizyty, żałowałam, że już wyjeżdża. Był przecież częścią mego dzieciństwa i przywołał tyle wspomnień. Dzięki rozmowom o naszej matce stała mi się bliższa. Gorzko płakałam więc przy rozstaniu.

Józef objął nas serdecznie, zarówno mnie, jak i króla. A gdy już odjechał, Ludwik obrócił się ku mnie i czule powiedział:

— Podczas tej wizyty znacznie częściej i dłużej przebywaliśmy ze sobą. Mam więc wobec twego brata dług wdzięczności.

To był doprawdy przemiły komplement, a w oczach mojego męża pojawił się całkiem nowy wyraz.

* * *

Gdy zostałam sama, sięgnęłam po wielostronicową „instrukcję” Józefa.

Jesteś już dorosła i nie możesz się usprawiedliwiać niedojrzałością. Co z tobą będzie, jeśli dłużej będziesz się wahać? Czy kiedykolwiek zadałaś sobie to pytanie? Nieszczęśliwa kobieta może być tylko nieszczęśliwą królową. Czy na pewno wykorzystujesz każdą okazję? Czy odwzajemniasz uczucia króla? A może jesteś pełna chłodu i obojętności, gdy on Cię pieści? Może jesteś znudzona i zde gustowana? Czy w takiej sytuacji w mężczyźnie obdarzonym niezbyt gorącym temperamentem może obudzić się namiętność?

Zaczęłam się nad tym poważnie zastanawiać. Może to prawda? Józef mimo wszystko był bystrym obserwatorem. Czyżbym zdradziła się ze swymi uczuciami? Bo rzeczywiście król często wyzwał we mnie tego rodzaju emocje.

Józef krytykował mnie na podstawie swoich obserwacji.

Czy kiedykolwiek dajesz pierwszeństwo jego życzeniom, zapominając o własnych? Czy starałaś się przekonać męża, że go kochasz? Czy poniosłaś dla niego jakąkolwiek ofiarę?

Zapisał całe strony swoimi krytycznymi spostrzeżeniami na temat mego zachowania wobec Ludwika. Uważał, że to ja ponoszę winę za obecny stan rzeczy, bo niewykluczone, iż problemy mego męża można by przezwyciężyć dzięki współczuciu i zrozumieniu.

Moje relacje z pewnymi ludźmi były skandaliczne. Miałam przedziwny dar przyciągania niewłaściwych osób.

Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, jaki wpływ mają Twoje przyjaźnie na ludzi? ... Dobrze wiesz, że król nigdy nie uprawia hazardu, a więc to ty patronujesz rozplenianiu się tych fatalnych obyczajów... Zastanów się, ile niefortunnych doświadczeń przydarzyło się podczas balów w operze. Uważam, że ta rozrywka jest najbardziej niebezpieczna i nieprzyzwoita, zwłaszcza, jeśli troszczy się tam o ciebie tylko twój szwagier, który nie jest nic wart. Po co więc chodzić tam w masce i udawać, że jesteś kimś innym...

Uśmiechnęłam się. A czemu służą, mój bracie, twoje przebrania? Wydało mi się, że nawet słyszę jego urażony takim pytaniem głos. „Moje przebrania sprawiają, że ludzie nie wiedzą, kto jest ich dobroczyńcą, a twoje mają służyć niebezpiecznym przyjemnościom”.

Czy naprawdę wierzysz, że nikt Cię nie rozpoznaje?

Nie zawsze drogi bracie, ale to także twój problem!

Wszyscy wiedzą, kim jesteś, ale gdy nosisz maskę, ludzie pozwalają sobie na komentarze, których nie powinni czynić w twojej obecności... Dlaczego zależy Ci na tym, by ocierać się o libertynów? Nie łodzisz lam przecież tylko po to, aby potaćzyć. Dlaczego postępujesz tak niestosownie... Zostawiasz króla w Wersalu, a sama przestajesz z paryskimi szumowinami.

Czy zapomniałam o wszystkich radach matki? Czy nie zaleca mi ona od lat, bym popracowała nad swoim umysłem? Powinnam zająć się czytaniem... czytaniem poważnych książek, oczywiście. I robić to co najmniej dwie godziny dziennie.

Potem napisał coś bardzo dziwnego, użył zaskakujących słów, które miałam sobie później przypomnieć:

Szczerze mówiąc, bardzo się o Ciebie niepokoję, bo wiem, że tak dalej być nie może... A rewolucja będzie okrutna i może właśnie przez ciebie.

Józef nie podkreślił tego strasznego słowa. Ja to teraz zrobiłam.

Wówczas nie przyszło mi nawet do głowy, że to dość dziwne sformułowanie, lecz teraz widzę je wyraźnie, jakby chciało wyskoczyć z martwej strony i rzucić się na mnie... jakby zostało napisane na czerwono.

Bardzo starałam się poprawić po wyjeździe Józefa. Wiedziałam, że miał we wszystkim rację, że nie powinnam grać w karty na pieniądze, że pora spoważnieć. Próbowalam nawet czytać.

Napisałam do matki, że staram się stosować do zaleceń Józefa, że noszę je wyryte w sercu. Rzadziej bywałam w teatrze i na balach, próbowałam się zainteresować polowaniami, a w każdym

razie kilkakrotnie towarzyszyłam memu mężowi. Usiłowałam nawet okazać uprzejmość dostojnym starszkom.

Naprawdę, bardzo się starałam.

Podobnie jak Ludwik.

Mój mąż dotrzymał obietnicy danej Józefowi i poddał się zabiegowi. Z powodzeniem.

Oboje nie posiadaliśmy się z zachwytu. Napisałam do matki:

Osiągnęłam wreszcie szczęście i uważam, że to najważniejszy moment w moim życiu... Moje małżeństwo zostało wreszcie skonsumowane. Wczoraj ponowiliśmy próbę z jeszcze większym sukcesem. W pierwszej chwili chciałam nawet posłać specjalnego kuriera do mojej ukochanej Matki, ale zrezygnowałam, obawiając się plotek. — Nie sądzę, bym była już w błogosławionym stanie, ale myślę, że to tylko kwestia czasu.

Mój mąż zmienił się ogromnie. Był zachwycony nowym doświadczeniem. Zachowywał się jak kochanek i pragnął być ze mną przez cały czas. Ja także go nie unikałam. Powtarzałam sobie, że wkrótce ziszczą się moje marzenia. Teraz mam takie same szanse, żeby zostać matką jak każda inna kobieta.

Ludwik mówił, że musi napisać do mego brata, bo jemu to wszystko zawdzięcza.

Mam nadzieję, że nie minie rok, a będziesz miał siostrzeńca albo siostrzenicę... Tobie zawdzięczamy to szczęście.

Nowiny natychmiast rozniosły się po całym dworze. Ciotki chciały się dowiedzieć wszystkich szczegółów. Adelajda była bardzo podniecona i wszystko dokładnie tłumaczyła siostrom.

Ludwik powiedział jej w przyпіływie szczerości:

— Przekonałem się, że to wielka przyjemność i żałuję, że tak długo nie mogłem jej doświadczać.

Król nigdy nie tracił humoru. Dwór przyglądał się nam z zaciekawieniem, robiono nawet zakłady, kiedy objawi się dowód królewskiej płodności. Hrabia Prowansji i jego żona starali się bezskutecznie ukryć zdenerwowanie. Artois złośliwie prowokował brata, a za naszymi plecami puszczał żarty na temat królewskiego bohaterstwa.

Byliśmy wciąż na cenzurowanym. Nie mieliśmy prawa do prywatności. Komentowano moje poranne zmęczenie. Wszyscy czuwali.

Ale przestało mi to przeszkadzać.

Nie mogłam się doczekać dnia, w którym będę mogła ogłosić, że zostanę matką.

Rozdział 13

Narodziny Madame Royale

Moja droga Mamo, już parę tygodni temu chciałam napisać o moich nadziejach. Powstrzymałam się jednak od tego w lęku, że mogą okazać się złudne...

Maria Antonina do Marii Teresy

...tłum wścibskich gapiów wdarł się do pokoju z hałasem, który bardzo przeszkadzał królowej. Na szczęście król zabezpieczył ogromne gobeliny osłaniające łożę królowej sznurem. Gdyby nie to, parawany z pewnością runęłyby na królową.

Okna zostały tak szczelnie zamknięte, że trzeba było siły Najjaśniejszego Pana, zwielokrotnionej miłością do królowej, by je otworzyć.

Pamiętniki pani Campan

Ale musimy mieć delfina. Potrzebujemy delfina, następcy tronu.

Maria Teresa do Marii Antoniny

Codziennie rozmyślałam o przyszłości, która w końcu zaczęła mi się jawić w jasnych barwach. Czekałam na znak, że jestem brzemienna. Staralam się wypełniać zalecenia Józefa i dbać o przyjemności męża. On zresztą okazywał mi równie wielką troskę. Teraz pragnęliśmy tego samego. Śniłam o małym delfinie. Na niczym więcej mi nie zależało. Moja potrzeba posiadania dzieci sięgnęła zenitu.

W sierpniu urządziłam w Trianon przyjęcie, a w ogrodach jarmark z różnymi kramikami. Pozwoliłam, by paryscy kupcy postawili tam swoje stragany, sama zaś przebrałam się za kelnerkę. Niezastąpiona Rose Bertin uszyła mi zachwycający muślinowo-koronkowy strój. Wszyscy zapewniali, że nigdy nie widzieli takiej uroczej kelnerki i tłoczyli się wokół mnie. A ja, podobnie jak moje damy dworu, doszłam do wniosku, że serwowanie lemoniady to bardzo zabawne zajęcie. Król mnie nie odstępował nawet na krok i wszyscy zauważyli, z jaką czułością odnosimy się do siebie.

Przez cały ten rok pielęgnowałam w sobie marzenia i nadzieje, ale nic się nie wydarzyło. Każdego ranka przyprowadzano mi małego Armanda, który stał się bardzo wrażliwy i jego wielkie, błękitne oczy przepelniały się bólem w chwili rozstania; ale w jego obecności jeszcze bardziej pragnęłam mieć własne dzieci.

Pod koniec roku zaczęły nękać mnie ponure myśli, że jednak nie zostanę matką.

Byłam w rozpacz i rzuciłam się w wir dawnych przyjemności, znowu szukając pocieszenia. Artois zawsze mi towarzyszył, starając się poprawić mi nastrój i pomóc cieszyć się życiem. Przebierzmy się, namawiał, i chodźmy do opery.

Zaczął się właśnie karnawał i bardzo chciałam pójść na bal, ale kiedy mój mąż zapytał, czy się wybieram, odrzekłam, że nie, starając się go zadowolić. Ludwik zapewnił pospiesznie, że nie ma najmniejszego zamiaru pozbawiać mnie moich ulubionych przyjemności i mogę iść na bal, pod

warunkiem, że zaopiekuje się mną hrabia Prowansji. I tak znów zaczęłam tańczyć. Zaczęłam także bywać w apartamentach księżnej de Guéménée i rzuciłam się w wir hazardu. Zapomniałam o przestrożach Józefa i powróciłam do starych obyczajów.

Graliśmy w karty i robiliśmy sobie kawały. Artois zawsze wymyślał jakieś dowcipy, postanowiliśmy zatem z księciem de Ligne zażartować z niego. Często słuchaliśmy muzyki w oranżerii. W jednej z wysoko umieszczonych wnęk było popiersie Ludwika XIV. Kiedy koncerty dobiegały końca i wychodziliśmy, Artois zawsze kłaniał się rzeźbie i wołał: „Miłego wieczoru, pradziadku”. Przyszło mi do głowy, że bardzo by się zdziwił, gdyby posąg mu kiedyś odpowiedział. Postanowiliśmy zatem ściągnąć wysoką drabinę i księżę de Ligne miał się wspiąć i ukryć we wnęce. Zamierzaliśmy usunąć potem drabinę i czekać, aż księżę odpowie hrabiemu całkiem poważnym tonem.

Skręcaliśmy się ze śmiechu na myśl, jak się przerazi Artois myśląc, że swoimi żartami wywołał z grobu ducha wielkiego pradziadka.

W ostatniej chwili księżę de Ligne się wycofał, bo jeden z przyjaciół mu doniósł, że ktoś postanowił zażartować także z niego i nie przynosić z powrotem drabiny, zmuszając go, by posiedział jakiś czas we wnęce.

Księżę nie miał zamiaru spędzić całej nocy, trzymając popiersie Ludwika XIV w objęciach i w ten sposób dowcip umarł śmiercią naturalną. Ale charakteryzuje on dość dobrze nasze ówczesne zabawy.

Gdy byłam pogrążona w najgłębszej rozpacz, przekonana, że już nigdy nie będę miała dziecka, powzięłam podejrzenie, że jednak jestem brzemienna. Ogarnęło mnie takie podniecenie, że nie byłam w stanie prowadzić normalnego życia. A przy tym bałam się ogromnie, że to pomyłka i nie chciałam nic nikomu mówić, nie mając całkowitej pewności. Na początku wszyscy przyglądali mi się bacznie, ale ostatnio przestali. A ja bardzo się z tego cieszyłam.

Nie miałam ochoty na nic, myślałam tylko o dziecku. Udałam, że jestem chora, że mam jeden z moich nerwowych napadów i dzięki temu mogłam być sama.

Mój delfinek, powtarzałam sobie w myślach sto razy dziennie.

Przyglądałam się uważnie swojemu ciału, choć oczywiście nic nie było jeszcze widać. Bardzo ostrożnie wchodziłam do wanny, bojąc się, że się poślizgnę. Miałam wannę w kształcie buta i dla przyzwoitości siedziałam w niej w długiej, zapiętej pod szyję flanelowej koszuli. Gdy wychodziłam z wody, dwie kąpielowe trzymały ręczniki tak, by nikt nie mógł nic zobaczyć. Teraz cała ta ceremonia wydawała mi się jeszcze bardziej niezbędna, choć moje ciało zupełnie się nie zmieniło.

Tygodnie mijały, a ja zazdrośnie strzegłam sekretu, póki nie zyskałam całkowitej pewności. Wydało mi się, że czuję ruchy dziecka.

Postanowiłam, że pierwszy dowie się o tym mój mąż. Nie miałam pojęcia, jak mu zakomunikować nowinę. Wiedziałam, że on także nie zdoła zapanować nad emocjami. Bo czyż nie pragnął dziecka równie gorąco jak ja?

Poszłam do jego apartamentów, na poły śmiejąc się, na poły płacząc.

Wstał na mój widok i podszedł do mnie natychmiast.

— Najjaśniejszy Panie, przyszłam, by złożyć skargę na jednego z twoich poddanych! — zawołałam ze śmiechem.

— Co się stało? — zdziwił się Ludwik.

— Kopnął mnie.

— Kopnął cię?! — Nie krył oburzenia i przerażenia.

A ja wybuchnęłam śmiechem.

— W brzuch — odrzekłam. — Jest jeszcze bardzo malutki, więc Jego Wysokość nie powinien być dla niego zbyt surowy...

Ludwik popatrzył na mnie ze zdumieniem. Dziecko oczywiście jeszcze nie kopało, było za małe, ale wyobrażałam sobie jego ruchy.

— Czy to możliwe? — szepnął mój mąż.

Pokiwałam głową. Wtedy Ludwik mnie przytulił i staliśmy tak przez dobrych parę minut.

Byliśmy tacy szczęśliwi. Oboje płakaliśmy z radości. Napisałam do matki:

Moja droga Mamo, już parę tygodni temu chciałam napisać o moich nadziejach. Powstrzymałam się jednak od tego w lęku, że mogą okazać się złudne...

Już nie chciałam tańczyć. To mogłoby zaszkodzić dziecku. Pragnęłam tylko siedzieć i marzyć. Napisałam jeszcze jeden list:

Czasami wciąż myślę, że to tylko sen, ale jakoś się nie budzę, więc przestałam wątpić...

Czy kiedykolwiek byłam tak szczęśliwa? Chyba nie. Dziecko... moje własne dziecko!

Byłam trochę roztargniona, gdy Armand siadał na moim łóżku. Jakbym go nie widziała. Jakbym patrzyła na inne dziecko. Na moje własne... mojego delfinka.

Często pisywałam do matki o swoich nadziejach, o tym, jak będę troszczyć się o delfinka, co dla niego przygotowuję. Dbałam o siebie. Chodziłam na spacer po ogrodach Wersalu i Trianon, ubiłam siedzieć nad haftem, słuchając łagodnej muzyki. Obmywałam stroje dla mojego maleństwa i chciałam jak najwięcej rzeczy przygotować własnoręcznie. Nie mogłam się doczekać jego narodzin.

Pisałam do matki:

Dziś wychowuje się dzieci w znacznie swobodniejszej atmosferze. Nie trzyma się ich w powijkach, tylko w kołysce albo na rękach. Słyszałam, że należy wyprowadzać je na spacer bardzo wcześnie i stopniowo przyzwyczajając do świeżego powietrza, tak by w końcu prawie cały czas mogły przebywać w ogrodach. Sądzę, że to zdrowy obyczaj. Pokoje mojego maleństwa będą na parterze, każę jednak zbudować poręcz wydzielającą fragment tarasu dla jego bezpieczeństwa. W ten sposób szybko nauczy się chodzić...

Niedogodności błogosławionego stanu wcale mnie nie męczyły. Wręcz przeciwnie, witałam je z radością. Nigdy nie miałam dość rozmów o dzieciach i starałam się obracać wśród ludzi, którzy byli rodzicami, i słuchać opowieści o ich doświadczeniach.

Czas oczekiwania dłużył mi się ogromnie! Byłam niemal chora z tęsknoty za moim dzieckiem.

Rozwiązanie przewidywano na grudzień, a tymczasem lato nie chciało się skończyć. Wówczas wydarzyło się coś, co odwróciło moją uwagę od dziecka.

W sierpniowe popołudnie przebywałam w zatłoczonym salonie z mężem oraz rodziną i zaczynałam już odczuwać zmęczenie. Wiedziałam, że wystarczy, bym dała dyskretny znak Ludwikowi, a spotkanie dobiegłoby końca. Zawsze troszczył się o moje zdrowie i podobnie jak ja, nie chciał narażać dziecka na żadne niebezpieczeństwo.

I właśnie wtedy go zobaczyłam. Stał w pewnej odległości od nas i ani mój mąż, ani jego bracia nie mogli go poznać. Ale ja od razu go rozpoznałam. Wystarczył rzut oka na tę niezwykłą, piękną twarz, jasne włosy i ciemne oczy, bym znalazła się znów na balu w operze, na którym zdjęłam maskę z twarzy.

— Ach! — zawołałam impulsywnie. — Widzę kogoś znajomego!

— Madame. — Stał już koło mnie i pochylał się nad moją dłoń. Gdy poczułam jego usta na palcach, byłam w siódmym niebie.

— Hrabia de Fersen.

Był zachwycony tym, że go pamiętam. Wszyscy popatrzyli na mnie — zawsze przecież tylko na mnie patrzyli — ze zdziwieniem, wiedziałam więc, że to wydarzenie nie przejdzie bez echa.

Zmienił się trochę od ostatniego spotkania, ale przecież ja także się zmieniłam. Oboje dojrzeliliśmy. Poprosiłam, by opowiedział, co się z nim działo po tamtym balu w operze.

Powiedział, że nim osiadł w swoim rodzinnym domu w Lofstad, mieszkał w Anglii, a potem w północnej Francji i w Holandii.

— Zapewne z radością wrócił pan do domu. Uśmiechnął się najbardziej zachwycającym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Dwór szwedzki wydawał mi się dość nudny po francuskim. Ucieszyłam się, bo uwielbiałam komplementy.

— Przecież to pański dom — przypomniałam mu.

— Ale tak długo byłem poza domem... w Brukseli, w Rzymie, w Londynie, w Paryżu... przede wszystkim w Paryżu.

— Cieszę się, że podoba się panu nasza stolica.

— Jest tu coś, co bez reszty mnie oczarowało — powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

Wiedziałam, co ma na myśli.

— Ma pan rodzinę? Dużą rodzinę?

— Młodszego brata i trzy siostry, ale nigdy ich nie ma w domu. Wszyscy piastują jakieś stanowiska na dworze.

— Naturalnie. Wiem, co to znaczy mieć dużą rodzinę i ją opuścić...

Nie miałam śmiałości przeciągać tej rozmowy, bo już zaczęto zwracać na nas uwagę. Od razu to zrozumiał.

— Porozmawiamy później — powiedziałam konspiracyjnym szeptem.

Hrabia uklonił się i odszedł, a ja obróciłam się do mojej szwa — gierki. Marie Josephe zawsze była tuż obok w tego rodzaju sytuacjach. Nie miałam wątpliwości, że słyszała każde słowo.

Nastaly przedziwne dni. Chyba nigdy w życiu nie czułam się taka szczęśliwa. Budziłam się w środku nocy i kładłam ręce na brzuchu, żeby poczuć ruchy dziecka. Wyobrażałam sobie, że noszę je na rękach i uczę mówić: „mamo”.

A potem myślałam o Axelu de Fersenie, o jego pięknej twarzy i ognistych oczach. Nic dziwnego, że czułam się taka szczęśliwa, skoro nigdy przedtem nie nosiłam dziecka w łonie i nigdy przedtem nie znałam mężczyzny, w którego towarzystwie byłoby mi tak dobrze. Nachodziły mnie zaskakujące myśli — może to z powodu ciąży. Żałowałam, że nie mieszkam w maleńkim domku z mężem takim jak Axel de Fersen i z gromadką dzieci... Wydawało mi się, że niczego więcej nie potrzebowałabym do szczęścia. Cóż znaczą bale, hazard, dowcipy, wspaniałe jedwabie, brokaty, Wyszukane fryzury, diamenty... nawet korona... cóż to wszystko znaczy w porównaniu ze zwyczajnym spokojnym życiem w poczuciu spełnienia.

Teraz mogę już być ze sobą szczerą i przyznać, że właśnie tego potrzebowałam do szczęścia. Dziś wiem, że powinnam żyć jak zwyczajna kobieta, niezbyt mądra, ale uczuciowa, stworzona do tego, by być matką.

Ale los chciał, bym odgrywała rolę królowej.

Z przyjemnością poznawałam coraz bliżej Axela de Fersen. Zachwycała mnie jego miłość do muzyki. Posyłałam mu zaproszenia na koncerty, czasami zapraszałam go na spotkania w wąskim gronie, podczas których grałam na klawikordzie, a niekiedy śpiewałam. Nie miałam bardzo dobrego głosu, ale był na tyle przyjemny, by wszyscy z ochotą oklaskiwali moje występy. Lecz ja

śpiewałam tylko dla niego, choć nigdy nie mogliśmy być sami, ściągani spojrzeniami ciekawskich. Przypomniałam sobie ostrzeżenia Józefa przed intrygami Marie Josephe. Powiedział, że nie na darmo pochodziła z Piemontu. I rzeczywiście, ciągle nasyłała na mnie swoich szpiegów. Była bardzo zazdrosna. Hrabia Prowansji nie mógł mieć dzieci i żył nadzieją, że Ludwik umrze bezpotomnie i w ten sposób otworzy mu drogę do tronu. A tymczasem ja spodziewałam się dziecka, a co gorsza mogłam urodzić następnę. Nic dziwnego, że mój szwagier i jego żona mieli kwaśne miny.

Chociaż nigdy nie udało nam się zostać sam na sam, bardzo lubiłam rozmowy z Axelem. Opowiadał mi o swojej pełnej miłości matce; o ojcu, którego darzył wielkim szacunkiem, choć przyznawał, że ojciec jest bardzo oszczędny i wołałby, żeby syn skończył już podróżowanie po Europie i wybrał jakąś karierę. Opowiadał mi nawet o pannie Leyel, młodej Szwedce, mieszkającej w Londynie, do której kazano mu się zalecać.

— Jej ogromny majątek podzielał na wyobraźnię mojej rodziny.

— Czy na pańską także?

— Nie mam szczególnej awersji do pieniędzy.

— Czy ta dama jest piękna?

— Tak mówią.

— Bardzo mnie interesują pańskie londyńskie przygody. Proszę mi o nich opowiedzieć.

— Gościłem w luksusowej posiadłości jej rodziców.

— To było zapewne bardzo przyjemne.

— Nie. Wcale nie.

— Ależ dlaczego?

— Bo nie byłem rozentuzjasmowanym konkurentem.

— Zaskakuje mnie pan.

— Chyba nie. Marzenia nie dawały mi spokoju. Przed laty, w Paryżu, coś mi się przydarzyło.

Na balu w operze.

Bałam się ciągnąć ten wątek, bo wiedziałam, że moje szwa — gierki pilnie nadstawiają uszu.

— Ach! Czy poprosił pan ją o rękę?

— Poprosiłem. Na życzenie ojca, którego nie chciałem zawieść.

— A zatem wkrótce się pan ożeni z tą bogatą i piękną kobietą?

— W żadnym wypadku. Odmówiła mi.

— Odmówiła panu?

— W głosie Najjaśniejszej Pani słyszę niedowierzanie. Wykazała się mądrością. Wyczuła, że do siebie nie pasujemy.

Roześmiałam się z ulgą.

— Zadbamy o to, by hrabia nie musiał w najbliższym czasie jechać do Londynu... ledwo co przyjechał do Paryża.

I tak mijały dni. Dni wielkich wydarzeń, którymi wcale się nie interesowałam. Wszyscy rozmawiali o konflikcie między Anglią a jej zamorskimi koloniami, ponieważ Francuzi zawsze się cieszą, widząc, że Anglicy mają kłopoty. Pomimo obyczajowej anglomanii Francuzi nie wyzbyli się nienawiści wobec sąsiadów zza Kanału.

Nie mogli bowiem zapomnieć przegranej i upokorzenia po wojnie siedmioletniej, w której tyle stracili na rzecz Anglii. Od 1775 roku, od początku naszego panowania, wspieraliśmy Amerykanów, a wielu Francuzów żyło nawet w przekonaniu, że Francja powinna wypowiedzieć wojnę Anglii. Pamiętam jednak, jak Ludwik tłumaczył mi kiedyś, iż taka wojna mogłaby pociągnąć za sobą pojednanie Anglii ze zbuntowanymi koloniami w obliczu zagrożenia zewnętrznego. Ludwik zresztą nigdy nie chciał wojny.

— Gdybym rozpoczął wojnę — tłumaczył — nigdy nie zdołałbym dać ludziom tego, co im pragnę dać.

Gdy Ameryka ogłosiła niepodległość czwartego lipca 1776 roku, byliśmy zachwyceni i dobrze jej życzyliśmy. Pamiętam, że wówczas do Francji przyjechali trzej amerykańscy deputowani: Benjamin Franklin, Silas Deane i Arthur Lee. Jakże byli poważni w swych surowych ubiorach, z niepudrowanymi włosami. Wyglądali przedziwnie wśród naszych eleganckich dandysów, ale wszyscy ich chętnie przyjmowali, bo to było w modzie. Gdy markiz de La Fayette popłynął za ocean, żeby wesprzeć Amerykanów, wielu Francuzów podążyło za nim. Pomimo nacisków Ludwik nie zdecydował się na wypowiedzenie wojny; posyłałami jednak w tajemnicy pomoc do Ameryki w formie amunicji, broni, a nawet pieniędzy. Niestety, właśnie wtedy rozgorzała bitwa między naszą „Belle Puole” i brytyjską „Aretuza” i Ludwik musiał się pogodzić z tym, że wojuje z Anglią przynajmniej na morzu.

Słuchałam tego, co Axel mi opowiadał na temat amerykańskiej wojny o niepodległość i powtarzałam jego argumenty mężowi. To była jedna z niewielu sytuacji, gdy zainteresowałam się sprawami państwa.

Ludwikowi bardzo zależało wówczas na tym, by sprawić mi przyjemność, sądzę więc, że mój głos, w połączeniu z wszystkimi innymi argumentami, odegrał pewną rolę w ostatecznej decyzji o wypowiedzeniu wojny na morzu.

Entuzjastycznie popierałam Amerykanów, gdy jednak zapytałam o zdanie Józefa, napisał, że jest rojalistą z przekonania. Mercy mi to powtórzył. To było ostrzeżenie, które miało mi uświadomić, iż całym sercem wspieram tych, którzy się buntują przeciwko monarchii. Władcy, którzy uznają za słuszny i właściwy bunt poddanych przeciwko swym monarchom, narażają się na ogromne ryzyko. Tak myślał mój brat Józef, a miał znacznie więcej doświadczenia niż ja.

Lato było bardzo upalne i zaczęłam odczuwać niedogodności związane z moim stanem. Nie mogąc ruszać się za wiele, lubiłam siadywać na tarasie w chłodne wieczory, przy świetle księżyca. Taras był rzęsiście oświetlony, a w oranżerii grała codziennie orkiestra. Ludzie mogli swobodnie spacerować po ogrodach i chętnie z tego korzystali, zwłaszcza podczas tych parnych letnich nocy.

Odpoczywałam na tarasie przeważnie w towarzystwie moich szwagierek. Zazwyczaj miałyśmy na sobie proste, batystowe białe suknie i słomkowe kapelusze z lekkimi woalkami. Często nikt nas nie rozpoznawał, od czasu do czasu przysiadali się do nas ludzie i rozpoczynali pogawędkę.

Zdarzały się oczywiście nieprzyjemne epizody. Kiedyś jakiś młody człowiek zaczął robić mi dziwne awanse. Na początku rozmawiałam z nim, nieświadoma jego intencji, gdy zaś okazało się, iż doskonale wiedział, że ma do czynienia z królową, musiałam gwałtownie wstać i odejść.

Takie incydenty były tym bardziej denerwujące, że moje szwagierki, zawsze siedzące gdzieś w pobliżu, natychmiast opowiadały o wszystkim ciotkom, te zaś krytkowały wszystkie moje posunięcia i wszystko wyolbrzymiały. Mógł się też o tym dowiedzieć ambasador Sardynii, który z przyjemnością rozpowszechniał ubarwione anegdotki za granicą. Na pewno zaraz by się rozniosło, że pozwalałam na poufałości przypadkowym zalotnikom. Moje szwagierki znajdowały wówczas szczególne upodobanie w wymyślaniu skandalicznych opowieści na mój temat.

Gdy nadeszła jesień, postanowiłam wycofać się z życia towarzyskiego. Miałam po temu wiele powodów. Staralam się trzymać swego własnego apartamentu i otaczałam się tylko najbliższymi przyjaciółmi, wśród których były madame de Polignac, księżna de Lamballe i księżniczka Elżbieta, z czasem coraz mi bliższa.

Na tych spotkaniach bywał też często Axel de Fersen. Śpiewaliśmy, graliśmy i rozmawialiśmy. To były bardzo przyjemne dni. Mój mąż ciągle się niepokoił, aż się z niego śmiałam, gdy dziesięć razy dziennie przychodził, by zapytać o moje samopoczucie. A kiedy nie rozmawiał na ten temat ze mną, wypytywał lekarzy i akuszerki, czy wszystko rozwija się jak należy.

Do dziś pamiętam, jaką ciężką próbą był dla mnie ten poród! Każda kobieta boi się chyba wydania na świat pierwszego dziecka. Ale królowa jest wówczas główną bohaterką publicznego spektaklu. Mogłam przecież urodzić następcę tronu, dlatego cała Francja miała prawo to oglądać.

W mieście zjawilo się mnóstwo przybyszów. Od początku grudnia brakowało już miejsc w zajazdach i gospodach. Ceny poszły w górę. No cóż, wszyscy chcieli zobaczyć, jak rodzę dziecko.

Bóle zaczęły się osiemnastego grudnia. Natychmiast rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście. Księżna de Lamballe i moje damy dworu przybiegły do sypialni, zjawil się także cokolwiek zagubiony Ludwik. Nasze małżeństwo było przedmiotem tylu plotek przez te wszystkie lata, że obawiał się większego niż zwykle zainteresowania narodzinami królewskiego potomka. Własnoręcznie przymocował wielkie gobeliny, by osłonić moje łóżko.

— Nie powinni ich tak łatwo strącić — powiedział.

Całe szczęście, że to zrobił! Potem wysłał gwardzistów do Paryża i do Saint-Cloud, by powiadomili wszystkich członków rodzin z Domu Królewskiego, jako że zgodnie z tradycją powinni asystować przy porodzie.

Gdy nadjechały karety ksiąząt, tłum gapiów zaczął szturmować pałac, a niektórym udało się nawet przedostać do sypialni. Podejrzewam, iż podejmowano starania, by wpuścić jak najmniej osób, ale i tak było chyba z pięćdziesięciu widzów, którzy chcieli obejrzeć ten spektakl.

Skurcze nadchodziły z coraz większą częstotliwością. Pocięszalam się tym, że zbliża się upragniony moment, w którym zostanę matką.

Umówiłam się z księżną de Lamballe, że da mi znak, jakiej płci jest moje dziecko — nie odstępowała mnie więc nawet na krok w tych trudnych chwilach. W sypialni było bardzo gorąco, ponieważ zamknięto szczelnie wszystkie okna w obawie przed mrozem. Nikt nie przypuszczał, że komnata będzie tak zatłoczona. Ludzie stali jeden obok drugiego, nie było żadnego przejścia, a niektórzy wspięli się na ławy, żeby lepiej widzieć, i opierali się o gobeliny. Gdyby mój mąż tak dobrze ich nie zamocował, runęłyby bez wątpienia na łóżko. Brakowało mi tchu. Walczyłam nie tylko z bólami porodowymi, ale także z brakiem powietrza. Zapach octu i olejków mieszał się z potem z ludzkich ciał. Trudno było wytrzymać z gorąca.

Przez całą noc starałam się urodzić następcę tronu i walczyłam o życie. Dopiero o jedenastej trzydzięści następnego ranka dziecko przyszło na świat.

Opadłam na poduszki w krańcowym wyczerpaniu, chciałam jednak wiedzieć, czy urodziłam chłopca. Spojrzałam na księżną de Lamballe, a ona zgodnie z umową pokręciła głową.

Dziewczynka! Ogarnęło mnie rozczarowanie i... nie miałam już siły walczyć o oddech.

Widziałam morze twarzy dokoła... twarz księżnej de Lamballe, akuszerki, króla.

Ktoś krzyknął:

— Mój Boże, brakuje jej powietrza. Na miłość boską, odsuńcie się, żeby mogła oddychać.

I wtedy straciłam przytomność.

Madame Campan opowiadała mi, co się później działo. Nikt nie mógł się przecisnąć przez tłum z wiadrami gorącej wody. Lekarze mówili, że lada moment mogę się udusić z braku powietrza.

— Opróżnić pokój! — krzyczała akuszerka, ludzie jednak nie chcieli się ruszyć. Przyszli obejrzeć widowisko, które się jeszcze nie skończyło.

— Okna! Otwórzcie okna!

Ale okna zostały gruntownie oklejone papierową taśmą i trzeba było czasu, by ją zerwać.

Mój mąż miał w swoim życiu kilka chwil, w których potrafił zadziałać po królewsku i to była właśnie jedna z nich. Przecisnął się przez tłum i z siłą, której nikt się nie spodziewał po żadnym człowieku, otworzył okna.

Akuszerka krzyknęła, że trzeba natychmiast puścić mi krew, nie zważając na brak gorącej wody, natychmiast więc wykonano nacięcie na mojej stopie. Madame Campan mówiła mi później, że gdy krew trysnęła, otworzyłam oczy i wszyscy wiedzieli, że moje życie zostało uratowane.

Biedna Lamballe oczywiście zemdląła i trzeba ją było wynieść. Król zażądał, by wyprowadzono z pokoju gapiów i choć niektórzy nie chcieli wyjść, lokaje i paziowie wywlekli wszystkich za kołnierze.

Przeżyłam i urodziłam dziecko — choć tylko córkę.

Kiedy odzyskałam świadomość i spostrzegłam bandażę na swojej nodze, zapytałam, skąd się tam wzięły.

Król usiadł na brzegu łóżka i opowiedział mi co się stało. Wszyscy pochlipywali i obejmowali się nawzajem.

— Ciesz się, że odzyskałaś przytomność — wyjaśnił Ludwik. — Obawialiśmy się... — Nie był w stanie dokończyć tego zdania.

— To się już nigdy nie powtórzy. Przysięgam.

— Dziecko — szepnęłam.

Król pokiwał głową. Po chwili mała była już w moich ramionach. I gdy ją zobaczyłam, wiedziałam, że kocham ją bezgranicznie i że nie chciałabym, by była chłopcem.

Niczego mi już nie brakowało do szczęścia.

— Biedactwo — powiedziałam. — Spodziewaliśmy się wprawdzie kogoś innego, ale to nie znaczy, że mniej cię kocham. Syn byłby raczej własnością państwa, a ty będziesz moja. Przysięgam troszczyć się o ciebie i dzielić z tobą chwile szczęścia. A ty będziesz mi pociechą w trudnych chwilach.

Postanowiłam dać jej imiona po matce: Marie Thérèse Charlotte. Ale od samego początku na dworze mówiono na nią Madame Royale.

Kurierzy rozjechali się na wszystkie strony świata. Mój mąż sam od razu napisał do Wiednia. W Paryżu panowała wielka radość, organizowano procesje i palono ogniska. Tej nocy niebo było tak jasne jak za dnia. W pałacu słyszeliśmy wybuchy sztucznych ogni i salwy honorowe.

Po porodowym zamieszaniu wszystko odbywało się według ustalonego porządku. Ludzie tłoczyli się dokoła pałacu i żądali informacji na temat mojego zdrowia. Codziennie wydawano więc biuletyny. Czułam się ogromnie szczęśliwa. Miałam wreszcie swoje własne dziecko, a przy tym ludzie bardzo się interesowali moim stanem. Król także chodził rozpromieniony. Cieszył się, że został ojcem. Wciąż zaglądał do pokoju dziecięcego, by podziwiać córkę.

— Jaka ona śliczna — mrucał. — Popatrz tylko na te paluszki... ma nawet paznokcie. Dziesięć paznokci i są doskonałe... doskonałe.

Śmiałam się z niego, ale w gruncie rzeczy czułam to samo. Ja także nie mogłam oderwać od niej wzroku i podziwiałam moją własną córkę.

Wiedziałam, że jesteśmy młodzi i możemy mieć jeszcze mnóstwo dzieci. Nie wątpiłam, że następny będzie delfin.

Tymczasem należało godnie uczcić narodziny Madame Royale.

Do pałacu przyszedł proboszcz z kościoła Świętej Magdaleny, prosząc o spotkanie z panem Campanem i wręczył mu pudełeczko, twierdząc, że otrzymał jej w konfesjonale, nie może zatem powiedzieć, kto mu je dał. W pudełeczku leżał pierścień, który, jak się dowiedział podczas spowiedzi, został mi skradziony, by wzmocnić czary, dzięki którym miałam pozostać bezpłodna.

Gdy pan Campan przyniósł pierścień, rozpoznałam klejnot, który rzeczywiście zginął mi siedem lat temu.

— Powinniśmy dowiedzieć się, kto to zrobił.

— Och, zostawmy to — powiedziałam. — Czary nie były skuteczne. Wcale się ich nie boję.

— Madame, nie chce pani wiedzieć, kto jest pani wrogiem? j Pokręciłam głową.

— Wolę nie wiedzieć, kto mnie aż tak nienawidzi.

Widziałam, że pan Campan wcale się z tym nie zgadza i że jego zdaniem należy przedsięwziąć jakieś kroki, by zdemaskować naszych przeciwników, ale zwyciężyła moja niechęć do kłopotów i wydałam rozkaz, by zapomniano o całej sprawie.

Może znów popełniłam błąd. Może gdybym zezwoliła na poszukiwania, które chciał rozpocząć pan Campan, dowiedziałabym się, że mam wrogów tuż obok siebie.

Ja jednak szybko zapomniałam o pierścieniu, bo pojawiło się mnóstwo innych zajęć. Oboje z królem mieliśmy pojechać do Paryża na moją pierwszą mszę po porodzie. Tego dnia odbywały się zaślubiny stu ubogich paryżanek, którym ufundowałam posagi. Gdy się zjawiłam w kościele, wszystkie młode pary już tam były. Przyjechaliśmy karetą króla, a przed nami jechali heroldzi, dwudziestu czterech lokajów w liberjach i sześciu paziów. Burmistrz podszedł do drzwi karety i wygłosił przemówienie, na które król odpowiedział. Cały orszak przejechał przez Paryż. Na balkonie przy rue St. Honore stała Rose Bertin ze swoimi pomocnicami i wszystkie złożyły nam głęboki ukłon. Z Notre Dame pojechaliśmy do Sainte Genevieve, a potem na plac Ludwika XV i choć przy trasie pochodu znajdowało się mnóstwo widzów, to mało kto wznosił radosne okrzyki i wiwaty.

Byłam zaskoczona. Czego ci ludzie jeszcze chcą? Mieli już swoje fajerwerki, bufety z mięsiwem i winem, ułaskawiono pewną grupę więźniów, narzeczone dostały posag. Urodziłam im pierwsze Dziecię Francji. O co im jeszcze chodzi? Dlaczego przyjmują nas tak chłodno? Dlaczego patrzą spode łba?

Kiedy wróciliśmy do pałacu, wezwałam Mercy'ego i opowiedziałam, co nas spotkało.

Pokiwał głową z powagą. Już o tym słyszał.

— To nie do wiary! — zawołałam. — Czego oni chcą?

— Słyszeli wiele o kaprysach Najjaśniejszej Pani. Krąży mnóstwo pikantnych historyjek. Codziennie pojawia się jakaś nowa piosenka, albo nowy paszkwil. Pani lekkomyślność i upodobanie do rozrywek leży u źródeł tego wszystkiego, madame. Teraz jest wojna, a Wasza Wysokość myśli tylko o własnych przyjemnościach. Dlatego ludzie odwrócili się od Najjaśniejszej Pani.

Czułam się dotknięta i trochę przerażona tym, że przyszło mi jechać w tłumie milczących gapiów.

— Zmienię się — powiedziałam stanowczym tonem. — Porzucę wszystkie te rozrywki. Teraz jestem matką...

I naprawdę tak myślałam. Naprawdę tego pragnęłam.

Matka napisała, że bardzo się cieszy, że wszystko się dobrze skończyło i że obie z moją córeczką jesteście zdrowe. „Ale musimy mieć delfina. Potrzebujemy delfina, następcy tronu”.

Rozdział 14

Tragiczne wieści z Wiednia

Muszę wyznać Jego Królewskiej Mości, że hrabia de Fersen cieszy się tak wielkimi względami królowej, iż wzbudziło to pewne podejrzenia. Przyznam szczerze, że i ja sędzę, iż królowa ma do niego słabość. Widziałem oznaki, które utwierdziły mnie w tym przekonaniu. Hrabia de Fersen zachowuje się jednak zawsze z godnym podziwu umiarem i dystansem, czego dowodem może być choćby jego decyzja o wyjeździe do Ameryki.

*Z listu szwedzkiego ambasadora w Wersalu
do króla Gustawa III*

Moja droga Mama może się nie niepokoić o moje zachowanie. Odczuwam tak wielką potrzebę posiadania dzieci, że niczego w tym względzie nie zaniedbuję. Jeśli w przeszłości postępowałam niewłaściwie, należy złożyć to na karb mojej młodości i nieodpowiedzialności, ale teraz wiem już, co należy do moich obowiązków. Poza tym wiem, co jestem winna królowi za czułość, jaką mi okazuje i za zaufanie, którego sobie gratuluję...

Maria Antonina do Marii Teresy

Do tej pory starałam się być dyskretna, ale teraz zacznę się naprzykrzać. Byłoby fatalnie, gdyby na świat nie przyszły kolejne królewskie dzieci. Zaczynam się niecierpliwić, bo nie pozostało mi dużo czasu.

Maria Teresa do Marii Antoniny

Józef miał rację, uważając, że jestem trzpiotką. Incydent z pierścieniem powinien był mi uprzytomnić, że mam wrogów w najbliższym otoczeniu i że komuś bardzo zależy na mojej bezpłodności. Powinnam wziąć sobie do serca posępne spojrzenia paryżan. Wciąż trwała wojna, a wojna oznacza wzrost podatków i trudne warunki życia. Nic więc dziwnego, że wśród ludzi, którzy słyszeli o ekstrawagancjach królowej, a nawet na nie patrzyli, narastało oburzenie. Nie, to zbyt łagodne słowo. Potęgowała się w nich krwiożerczość, podsycana nienawiścią. I to mnie o wszystko obwiniali. Mnie, swoją małą, głupiutką królową, która myślała tylko o tańcach, strojach i klejnotach. Król dał setki dowodów troski o ubogich; ubierał się nawet znacznie skromniej niż dworscy galanci. Ale ja go trzymałam w szachu, ustępował mi zawsze jak każdy zaślepiiony mąż pięknej żonie. Chleb kosztował za dużo z powodu mojego szaleństwa na punkcie rozrywek i obojętności na potrzeby ludu. I jeszcze dlatego, że byłam cudzoziemką.

Zaczęto nazywać mnie Austriaczką. Jakim prawem ja, cudzoziemka, a na domiar złego Austriaczka, przyjechałam tu, do Francji, by nimi rządzić!

Paryż został zarzucony deszczem paszkwilów. Każdy mój nieprzemyślany czyn traktowano jako dowód ekstrawagancji, obojętności na ludzki los oraz wyuzdania. Wystarczyło, bym

odezwała się jednym słówkiem do jakiegoś mężczyzny, a uważano go za mojego kochanka. Gdy zaś uśmiechnęłam się do jakiejś kobiety, uznawali nasze stosunki za wynaturzone.

Wiedziałam o tym wszystkim. Nie mogłam nie wiedzieć. Ale odsuwałam od siebie myśli na ten temat, tak jak i wszelkie przestrogi.

Wszystko wskazywało na to, że miałam wyjątkowy dar przysparzania sobie wrogów i wybierania przyjaciół, który wpędzali mnie w tarapaty. Tłumaczyłam się sama przed sobą, że jestem całkiem zwyczajną kobietą, której przyszło grać niezwykłą rolę, choć nie była do niej stworzona. A może tylko nie potrafiłam się skoncentrować, by dobrze ją odegrać, bo gdybym słuchała przestrog moich prawdziwych przyjaciół: króla, matki, Mercy'ego, Vermonda, a nawet mojej drogiej Campan — to jeszcze wtedy mogłabym zmienić obrany kurs. Zaczęłam już wprawdzie spadać w przepaść z zamkniętymi oczami, lecz wciąż jeszcze mogłam się zatrzymać.

Kto wie, gdyby mój mąż był inny... Chociaż jego nie powinnam obwiniać. Zaniedbano przecież jego edukację, nigdy nie wprowadzono go w zawilości rządzenia państwem. Pamiętam, że na początku swego panowania często wołał, że niczego go nie nauczono. A jego dziadek, Ludwik XV, przeczuwając swój koniec, powiedział: „Ja rozumiem, jak działa cała ta państwowa machina, ale nie mam pojęcia, co się z nią stanie po mojej śmierci i jak Berry sobie z tym wszystkim poradzi”. Mój biedny mąż, tak dobry, a przy tym tak nieskuteczny, jeśli nie liczyć tych paru momentów, w których potrafił zapomnieć o swym braku wiary we własne siły.

Tym razem nie wspiął się na wyżyny swoich możliwości. Obrażliwe wierszyki, kłamstwa, skandale. Zawsze było ich pełno. Nie przyszło mi jednak do głowy zastanawiać się, kto je rozpowszechnia. Nie pomyślałam, że może to moja rodzina — królewscy bracia i ich żony. Domy Conde, Conti i Orleanu — książęta krwi królewskiej, których kiedyś obraziłam.

Rozpoczął się szaleńczy taniec, wiodący ku katastrofie, ale wcale nie byłam tego świadoma.

Dostrzegałam tyle powodów, by czuć się szczęśliwa. Miałam moją ukochaną córeczkę, Axela de Fersen który mnie prawie nie odstępował i wodził za mną zachwyconym wzrokiem, a także króla, dozgonnie wdzięcznego za to, że dałam dowód jego płodności, tym bardziej więc czulego i miłego. Miałam też Trianon, które stopniowo zmieniało swój charakter, przestając przypominać dom, w którym Ludwika XV zabawiała metresa. To był teraz mój dom. Urządziłam ogrody. Bibliotekę kazałam pomalować na biało i świetnie się bawiłam, wybierając zielone zasłony z tafty. Półki zapełniłam sztukami teatralnymi, zamierzałam bowiem zorganizować w Trianon teatrzyk. Porobiłam tyle planów. Rozpoczęłam budowę teatru, mając gotową już listę przyjaciół, których zaproszę do udziału w przedstawieniach. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, ile to kosztuje. Nigdy nie myślałam o pieniądzach. Żądałam zawsze, by roboty zostały ukończone jak najszybciej.

— Nie oszczędzać na niczym, Najjaśniejsza Pani?

— Nie. Proszę to skończyć jak najszybciej.

Przez rok wydałam ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy liwrow na Trianon. A kraj był w stanie wojny, lud Paryża narzekał na cenę chleba! Może naprawdę właśnie wtedy zaczęłam pędzić na oślep w objęcia katastrofy?

Ale byłam szczęśliwa. Gdy moja córeczka miała dwa miesiąca zapragnęłam pójść na bal do opery. To była ostatnia niedziela karnawału, powiedziałam więc Ludwikowi, że bardzo bym chciała potańczyć. Oświadczył, że w takim razie pójdzie ze mną.

— Włożysz maskę?

Powiedział, że tak, więc poszliśmy razem. Nikt nas nie rozpoznał i przez cały wieczór tańczyliśmy swobodnie. Widziała jednak, że Ludwik się nudzi.

— Ludwiku, proszę cię, chodźmy na ostatni bal we wtorek. Tak dobrze się dziś bawiłam.

Król ustąpił mi jak zawsze, ale w poniedziałek zaczął się wymawiać jakimisź ważnymi sprawami państwowymi. Gdy jednak zobaczył moją minę, natychmiast zaproponował, żebym poszła z którąś

z moich dam dworu, byleśmy zadbały o to, żeby nikt nas nie rozpoznał. Wybrałam księżnę d'Henin i zaaranżowałam wszystko tak, że pojechałyśmy do domu diuka de Coigny, gdzie miałyśmy się przesiąść do zwykłego powozu. Ze względu na pośpiech, powóz, który nie mógł mieć żadnego herbu czy innego znaku rozpoznawczego był bardzo stary i niezdatny do drogi. Diuk oświadczył, że innego nie mógł znaleźć w tak krótkim czasie. Nic więc dziwnego, iż wehikuł się zepsuł, nim zdążyliśmy dojechać do opery. Stangret powiedział, że wezwie fiakra, a my obie musiałyśmy wejść do sklepu, by na niego poczekać. Cała przygoda bardzo mnie bawiła, bo jeszcze nigdy nie jechałam dorożką, nie omieszkałam więc pochwalić się swoim przyjaciółom. Jakże byłam niemądra! Oto idealna pożywka dla autorów skandalicznych opowiadań na temat mojego zachowania. Królowa, która jeździ po Paryżu fiakrem! Na domiar złego odwiedza diuka de Coigny w jego własnym domu! Po co? Czy ktoś mógłby mieć jakieś wątpliwości? Po Paryżu krążyło wiele różnych wersji tej historii, znanej jako *L'aventure du fiacre*.

Tymczasem moje poczucie szczęścia zależało w coraz większym stopniu od obecności Axela de Fersen. Ludzie zaczęli dostrzegać, jaka jestem radosna w jego towarzystwie. Uwielbiałam jego opowieści o siostrach: Fabian, Sophie i Heddie. Uwielbiałam, gdy mówił o Szwecji i o podróżach. Fersen był znacznie bardziej powściągliwy niż ja, świadom, że wszyscy nas obserwują. Troszczył się o moją reputację, wiedząc, że otaczają nas szpiedzy i bogowie. Nic na ten temat nie mówił, udawaliśmy bowiem, że w naszych stosunkach nie ma nic niezwykłego. On był zwykłym Zagranicznym gościem dworu, a ja okazywałam tylko nieco większą gościnność niż w stosunku do Francuza.

To był całkowicie idealistyczny związek. Oboje wiedzieliśmy, że nie dojdzie do niczego więcej. Fersen nie mógł zostać moim kochankiem. Moim obowiązkiem było bowiem rodzić Dzieci Francji, a ich ojcem mógł być tylko król. Pozwalaliśmy sobie jednak na marzenia, na szalone, piękne marzenia. Przypominało to miłość trubadura do damy, którą wolno uwielbiać tylko z daleka.

Bardzo mi to wtedy odpowiadało i żyłam tylko teraźniejszością. Zapraszałam go na wieczory karciane, a gdy się dowiedziałam, że przyszedł także na ten, który opuściłam, napisałam doń list, wyznając, jak bardzo mi żal straconego spotkania. Dowiedziałam się, że Fersen jest kapitanem gwardii swojego króla i wyraziłam nadzieję, że kiedyś ujrzę Axela w stosownym mundurze.

Następnym razem miał go już na sobie. Nigdy nie zapomnę, jak pięknie wyglądał w tym romantycznym uniformie, zwłaszcza w cylindrycznej czapce ozdobionej dwoma piórami — niebieskim i żółtym.

Niektórzy zauważyli, jakie wzruszenie mnie ogarnęło, gdy go zobaczyłam. Oczu nie mogłam od niego oderwać. Wyglądał jak bóstwo ze swą jasną cerą, jasnymi włosami i ciemnymi, roziskrzonymi oczami.

Pomyślałam, że nikt nigdy nie budził we mnie takich uczuć.

Po tym incydencie wszyscy dyskutowali o naszej przyjaźni i hrabiego dopisano także do listy moich kochanków.

Czar przysł, bo jakiś czas potem Axel powiedział:

— Jeśli tu pozostanę, mogę ci bardzo zaszkodzić.

Oblał mnie zimny pot, czym prędzej więc odpowiedziałam, że przyzwyczaiałam się już do tych kalumnii. Jedna mniej, jedna więcej — to nie ma znaczenia.

— Wyzwałbym na pojedynek każdego, kto ośmieliłby się powiedzieć coś obraźliwego o tobie w mojej obecności.

Prawdziwy bohater romansu! Bez skazy. On naprawdę tak myślał. Gotów był umrzeć dla mnie i dobrze o tym wiedziałam. Gotów był nawet odejść ze względu na mnie.

Gabrielle de Polignac starała się mnie pocieszyć.

— Jak oni mogą tak mnie traktować — powiedziałam. I roześmiałam się nagle. — Ale skoro złośliwi ludzie łączą moje imię z całym szwadronem kochanków, to właściwie dlaczego się bez nich obchodzę?

Gabrielle na pewno też tego nie rozumiała. W zasadzie każda kobieta z mojego kręgu miała kochanka. Postępowałam bardzo nierozważnie, przestając z tymi ludźmi. Nic dziwnego, że podejrzewano mnie o podobne obyczaje. Nawet Gabrielle była przecież kochanką Vaudreila. Ludzie opowiadali, że wszyscy młodzi mężczyźni z dworu są także moimi kochankami, bo bywałam w ich apartamentach. Szkoda, że nie zadowoliliam się towarzystwem księżnej de Lamballe i mojej drogiej Elżbiety.

Wtedy Axel, który zawsze był gorącym zwolennikiem amerykańskiej niepodległości, postanowił popłynąć za ocean i pomóc Amerykanom.

Serce mi pękało, ale musiałam udawać, że żegnám kogoś, z kim po prostu lubiałam rozmawiać. Ale tak nie udało mi się nikogo oszukać.

— Co takiego? — zawołała pewna diuszesa, dowiedziawszy się o jego decyzji. — Zamierza pan zrezygnować ze swej konkiety?

Udałam, że tego nie słyszę i nie przestałam uśmiechać się do Artois, który przyglądał mi się złośliwie.

— Gdybym podbił czyjeś serce — odparł Axel — na pewno bym nie wyjechał. Nie zostawiam nikogo, kto by opłakiwał mój wyjazd.

Skłamał jednak, bo dobrze znał moje uczucia. Nie miał innego wyjścia. Musiał wyjechać.

I wyjechał. No cóż, postanowiłam poświęcić się dziecku.

Plotki na temat mego postępowania dotarły oczywiście do mojej matki, choć nie słyszała o Axelu.

Napisałam więc do niej:

Droga Mama może się nie niepokoić o moje zachowanie. Odczuwam tak wielką potrzebę posiadania dzieci, że niczego w tym względzie nie zaniedbuję. Jeśli w przeszłości postępowałam niewłaściwie, należy złożyć to na karb mej młodości i nieodpowiedzialności, ale teraz wiem już, co należy do moich obowiązków. Poza tym wiem, co jestem winna królowi za czułość, którą mi okazuje i za zaufanie, którego sobie gratuluję...

Nie kłamałam. Naprawdę byłam głęboko wdzięczna mężowi za jego dobroć. I nie tylko lęk przed tym, by nie urodzić dziecka innego mężczyzny sprawił, że nie protestowałam przeciwko decyzji Axela, ale także postanowienie, że będę wierną żoną i nie zawiodę mego męża. Wiedziałam, że on nigdy mnie nie zdradził, nigdy nie miał kochanki. Czy można to powiedzieć o innym królu Francji? I ile kobiet na tym dworze mogło się poszczycić wiernym małżonkiem? Za jego dobroć, za pragnienie, by we wszystkim mi dogadzać, za coraz większą czułość należała mu się chyba jakaś nagroda.

Poza tym mieliśmy przecież nasze dziecko. Moja maleńka Madame Royale! Jakże ją uwielbiałam! Znacznie rzadziej teraz widywałam Armanda, który nie bardzo to rozumiał i wyraźnie posmutniał. Wkrótce to sobie uświadomiłam i nieco częściej posyłałam po niego, pozwalałam mu kłaść się na moim łóżku i karmiłam go słodyczami. Ale jego pozycja się zmieniła. Nie był już moim najdroższym chłopcem. Był po prostu Armandem, o którego troszczyła się służba. Ja cały czas poświęcałam mojej własnej, maleńkiej córeczce. Armand miał wszystkie dobra materialne, którymi cieszył się przedtem. I nawet nie przyszło mi do głowy, że zabierając go z domu i rozpieszczając, by go później odrzucić, postąpiłam równie bezmyślnie jak zawsze. Sama

natychmiast o tym zapomniałam, ale on nigdy nie zapomniał. Później stał się jednym z moich najzagorzalszych wrogów i przyczynił się do mej katastrofy.

Nawet gdy starałam się zrobić coś dobrego, mimo woli wzmacniałam ową przemożną siłę, która się skierowała przeciwko mnie i doprowadziła do mojej destrukcji.

Matka pisała równie często jak przedtem i zawsze na ten sam temat: muszę urodzić delfina.

Słyszała od Mercy'ego, że późno się kładę. Czy w ten sposób zmierzam począć następcę tronu? Przecież król wcześniej się kładzie i wcześniej wstaje. A ja wręcz przeciwnie. Słyszała także, że często bywam w Trianon, gdzie sypiam sama. To nie do przyjęcia. Każdego miesiąca oczekiwała wieści o mojej kolejnej ciąży a tymczasem radosne nowiny nie nadchodziły.

Do tej pory starałam się być dyskretna, ale teraz zacznę się naprzykrzać. Byłoby fatalnie, gdyby na świat nie przyszły kolejne królewskie dzieci. Zaczynam się niecierpliwić, bo nie pozostało mi dużo czasu.

Ja także bardzo pragnęłam mieć syna.

Starałam się prowadzić spokojniejsze życie. Zgodnie z życzeniem matki więcej czytałam, choć nie zaaprobowałaby chyba moich lektur. Uwielbiałam romanse. Rzadko siadywałam nad robótką, czasem grałam w karty na pieniądze, choć nie tak nałogowo jak przedtem. Źródłem radości była jednak dla mnie przede wszystkim Madame Royale.

Ucieszyłam się nie mniej niż król, gdy wypowiedziała swe pierwsze słowo: „papa”. Napisałam do matki:

Moje maleństwo zaczyna chodzić. Powiedziała już: papa; ząbków jeszcze nie widać, ale można je już wyczuć. Cieszę się, że zaczęła mówić właśnie w ten sposób.

Codziennie czyniła jakieś postępy. Byłam zachwycona, gdy postawiła pierwsze chwiejne kroczki. Od razu napisałam o tym matce:

Muszę zwierzyć się drogiej Mamie ze szczęścia, które mnie spotkało parę dni temu. W pokoju mojej córeczki było parę osób, a ja poprosiłam kogoś, aby ją zapytał, gdzie mama. Moje maleństwo uśmiechnęło się i przydreptało do mnie z wyciągniętymi rączkami. Poznała mnie, moja kochana. Szalałam z radości i teraz kocham ją jeszcze bardziej niż przedtem.

Mercy skarżył się matce, że obecnie nie warto ze mną rozmawiać, bo potrafię przerwać mu w pół słowa, żeby powiedzieć, iż mojej córeczce wyżał się właśnie ząbek, że zrobiła jeszcze więcej kroczków, że spędziłam z nią prawie cały dzień. Twierdził, że słucham go jeszcze mniej niż przedtem.

Matka tymczasem pisała wciąż o tym samym: „Musisz urodzić następcę tronu”.

Bardzo się ucieszyłam, gdy znów zaczęłam podejrzewać, że jestem w ciąży. Nie miałam zamiaru mówić o tym nikomu oprócz króla i paru najbliższych przyjaciół. Nie mogłam się powstrzymać, by nie szepnąć słówka Gabrielle, powiedziałam także księżnej de Lamballe, mojej drogiej Elżbiecie i madame Campan — kazałam jednak każdej z nich przysiąc, że dochowa tajemnicy.

Wtedy zdarzyło się coś strasznego. Jadąc kareta, poczułam powiew chłodnego wiatru, skoczyłam więc, by zamknąć okno, okazało się jednak, że trzeba w to było włożyć więcej siły, niż mi się wydawało. W rezultacie parę dni później poroniłam.

Serce mi pękało. Gorzko płakałam, a król mi wtórował.

Pocieszał mnie jednak, że nie powinniśmy popadać w rozpacz, bo niedługo będziemy mieć naszego delfina. A na razie mamy uroczą Madame Royale.

Udało mu się mnie pocieszyć. Zwierzyłam mu się, jak bardzo się cieszę, że o tej ciąży wspomniałam tylko osobom, do których mam pełne zaufanie. Wyobrażałam sobie bowiem, jaki użytek moje ciotki i szwagierki zrobiłyby z tej historii. Od razu by mnie oskarżyły, jak zawsze i zrobiłyby wszystko, by mnie potępiono.

Ludwik zgodził się, że powinniśmy zachować całą sprawę w tajemnicy i przykazać to samo wszystkim, którzy cokolwiek wiedzieli. Przez parę dni bardzo źle się czułam, ale szybko wyzdrowiałam.

Wtedy zaraziłam się różyczką, a ponieważ król nie był uodporniony na tę chorobę, przeniosłam się do Trianon. Pojechali ze mną ci, którzy już przeszli różyczkę, albo nie bali się infekcji. Artois z żoną, hrabina Prowansji, księżna de Lamballe i Elżbieta. Przyjechali także diuk de Guines, diuk de Coigny, hrabia d’Esterhazy i baron de Besenval. Wszyscy czterej przez cały czas przesiadywali w mojej sypialni, starając się mnie zabawić. To wywołało kolejny skandal. Nazwano ich moimi pielęgniarkami, szeptano nawet, że różyczka była tylko pretekstem. Zastanawiano się także, które damy król poprosi o opiekę, gdy sam zachoruje.

Mercy jednak powiedział, że nie widzi nic złego w tym, że przyjaciele pojechali ze mną do Trianon i starają się mnie zabawić w chorobie. Król także nie miał żadnych zastrzeżeń. Zarówno królowie, jak i królowe od zawsze przyjmowali gości w sypialni. To nie było sprzeczne z tradycją.

Gdy już poczułam się lepiej, postanowiłam zostać w Trianon. Najchętniej wcale bym się stamtąd nie ruszała. Z Wiednia natychmiast nadeszły protesty. Mercy powiedział, że za pozwoleniem mojej matki musi mi przypomnieć, że dwór królowej powinien być dostępny dla wszystkich, a nie tylko dla wybranych. W przeciwnym razie obudzi się zazdrość, a może nawet nienawiść. I będą kłopoty.

Słuchałam, poziewując i myśląc o sztuce, którą zamierzałam wystawić. Główną rolę zarezerwowałam dla siebie. Na pewno wszyscy uznają, że to właściwa decyzja.

Ale po rozmowie z Mercym obiecałam matce, że będę spędzać w Wersalu więcej czasu.

Cesarzowa odpisała:

Bardzo się cieszę, że zamierzasz organizować przyjęcia w Wersalu. Zdaję sobie sprawę, że to może być męczące, ale jeśli z tego zrezygnujesz, narazisz się na kłopoty. Zwłaszcza we Francji.

Posłuchałam matki i zaczęłam wydawać przyjęcia w Wersalu, ale okazało się, że wiele osób, które w jakiś sposób obraziłam, postanowiło się tam nie pojawiać. Diuka de Chartres na przykład w ogóle rzadko widywałam. Wycofał się do Palais Royale i tam przyjmował przyjaciół. Nie wiem, o czym rozmawiali i nigdy mi nie przyszło do głowy, by o to wypytywać.

W tej sytuacji nie widziałam sensu w utrzymywaniu dworu w Wersalu. Dlaczego nie miałabym spędzać znacznie więcej czasu w Petit Trianon, gdzie życie było znacznie zabawniejsze i otaczali mnie wybrani przyjaciele.

Wtedy los zgotował mi okrutną niespodziankę. Nie wiedziałam nawet, że moja matka chorowała.

Pewnego dnia ojciec Vermond zjawił się w moim apartamencie i poprosił o rozmowę w cztery oczy. Usta mu drżały, patrzył jakimś dziwnie błędnym wzrokiem.

— Co się stało? — zapytałam.

— Najjaśniejsza Pani musi się przygotować na wielki cios.

Wstałam z miejsca, nie odrywając od niego spojrzenia. Gdy zobaczyłam, że trzyma w ręce list, wszystko zrozumiałam.

— Cesarzowa...

Pokiwał głową.

— Nie żyje — dopowiedziałam prawie bezdźwięcznym głosem, bo domyśliłam się, że chciał mi to przekazać. Ogarnęło mnie uczucie dotkliwej samotności.

Vermond znów pokiwał głową. Byłam jak dziecko, które się zgubiło i nigdy nie odzyska poczucia bezpieczeństwa.

— To niemożliwe — szepnęłam.

Ale Vermond zapewnił mnie, że jednak możliwe.

— Chciałabym zostać sama... — powiedziałam drżącym głosem.

Pokiwał głową i wyszedł, a ja usiadłam na łóżku i myślałam o matce takiej, jaką pamiętałam. Wyobraziłam ją sobie przed lustrem, podczas porannej toalety; poczułam chłodny wiedeński przeciąg, jakiego nie doświadczyłam od czasu wyjazdu z Austrii; przypominałam sobie, jak mama pochylała się nad moim łóżkiem, gdy udawałam, że śpię. Wydawało mi się, że słyszę jej głos. „Musisz zrobić to. Musisz zrobić tamto. Taka jesteś lekkomyślna... te twoje rozrywki... Pędzisz w otchłań. Drzę o ciebie”.

Och, drzyj o mnie, mamó, bo bez ciebie czuję się taka samotna!

Zjawił się król i płakał razem ze mną. Odczekał godzinę, nim Wszedł do sypialni. Słyszałam, że jest w przedpokoju, w którym siedział Vermond. On też uszanował moją potrzebę samotności.

— Jestem wdzięczny, że ojciec zechciał oddać mi tę przysługę — odezwał się Ludwik, a ja się domyśliłam, że to on przysłał do mnie Vermonda.

Potem wszedł do sypialni i objął mnie mocno.

— Moja droga — powiedział — wszystkich nas to zasmuciło, ale najbardziej ciebie.

— Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze niedawno do mnie pisała.

— Będzie ci brakowało tych listów... Pokiwałam głową.

— Nic już nie będzie jak przedtem.

Ludwik usiadł na łóżku i wziął mnie za ręce. Wydało mi się, że słyszę reprimendy matki, tak samo jak przez całe życie. Ze nie wolno mi się pogrążyć w żałobie; że przecież mam męża i córkę. A Francja potrzebuje delfina.

Kazałam przygotować cały dwór do żałoby, sama zaś zamknęłam się w swoim apartamencie i widywałam tylko rodzinę, diuszese de Polignac i księżnę de Lamballe. Przez parę dni myślałam o matce dniem i nocą.

Kiedy w końcu przyjełam Mercy'ego, opowiedział mi o jej ostatnich dniach. Chorowała od połowy listopada i lekarze stwierdzili, że płuca odmawiają jej posłuszeństwa.

Dwudziestego dziewiątego listopada powiedziała do dam, stojących koło łóżka:

— To mój ostatni dzień na ziemi i przez cały czas myślę wyłącznie o dzieciach, które tu zostawiam.

Wymieniła nas wszystkich z imienia, wznosząc ręce do nieba. A gdy przyszła kolej na mnie, wyszeptała kilkakrotnie:

— Marie Antoinette, królowa Francji — i zalała się gorzkimi łzami.

O ósmej wieczorem, zaczęła walczyć o oddech.

Józef, który był przy niej, szepnął:

— Jesteś bardzo chora.

— Ja umieram, Józefie — odrzekła i dała znak lekarzom. — Odchodzę — powiedziała — proszę, byście zapalili świecę i zamknęli mi oczy.

Spojrzała na Józefa, a gdy wziął ją za ręce, umarła.

Rozdział 15

Austriaczka

Jego książęca wysokość, delfin, prosi o łaskawe przyjęcie.

Ludwik XVI do Marii Antoniny

Dziś rano widziałam naszego delfina. Jest zdrowy i śliczny jak aniołek. Ludzie wciąż okazują entuzjastyczną radość. Wszyscy tańczą, grają i śpiewają. Uważam, że to bardzo wzruszające i nie sądzę, by istniał bardziej sympatyczny naród niż Francuzi.

Madame de Bombelles do księżniczki Elżbiety

Katarzyna Medycejska, Kleopatro, Agryppino, Messalino, moje zbrodnie przewyższają wszystko, czego wy się dopuściłyście i skoro pamięć waszych bezceństw do dziś budzi w ludziach dreszcz, to trudno przewidzieć, jakie emocje wzbudzi rejestr wybryków okrutnej i lubieżnej Marie Antoinette, Austriaczki... barbarzyńskiej królowej, niewiernej małżonki, rozpustnej kobiety...

Cytat z pamfletu rozpowszechnianego zarówno przed, jak i po rewolucji, zatytułowanego „Eseje historyczne o życiu Marie Antoinette”

Francja z twarzą Austrii, okryta ledwie łachmanami.

Napis pod portretem Marie Antoinette, na którym przedstawiono ją w prostym kreolskim stroju

Po raz kolejny leżałam w łóżku porodowym. Prawie rok minął od śmierci mojej matki, znów był listopad. Jakże mi brakowało listów, które przychodziły od niej z taką regularnością. Pamiętałam wprawdzie, że często drżałam ze strachu, gdy je otwierałam, że czasem drażniły mnie ciągłe narzekania, ale przecież bardzo często czekałam na nie z utęsknieniem. Żałowałam, że nie mogę jej powiedzieć o mojej kolejnej ciąży. Odeszła na zawsze, choć Wiedziałam, że zawsze będzie żyła w moich wspomnieniach.

Pragnęłam mieć syna, ale wolałam nie przywiązywać się do tej nadziei. Zwłaszcza, że córkę kochałam wprost bezgranicznie. Modliłam się: Proszę Cię, o syna, Boże, ale jeśli zechcesz zesłać mi córkę, nie będę miała żalu.

Tym razem poród wyglądał zupełnie inaczej. Król oświadczył, że publiczność nie zostanie wpuszczona, bo nie pozwoli, by moje życie znów zostało narażone na niebezpieczeństwo. Przy porodzie miała asystować tylko królewska rodzina oraz sześć moich dam dworu, między innymi księżna de Lamballe, choć ona w zasadzie należała do rodziny.

Bóle zaczęły się o poranku dwudziestego drugiego listopada, ale nie przeszkodziły mi wziąć kąpiel. Dopiero w południe się nasiliły.

Poród był znacznie lżejszy niż poprzedni, ale gdy dziecko przyszło na świat, czułam się tak wycieńczona, że niezupełnie wiedziałam, co się dzieje.

Wiedziałam, że dokoła łóżka stoją ludzie. Zapadła taka cisza, że nie miałam odwagi zapytać o noworodka. Król dał znak, by nikt nic do mnie nie mówił. Martwił się o mnie ogromnie w ciągu

ostatnich tygodni ciąży, zarządził więc, by nikt nie mówił ani słowa na temat płci dziecka, lękając się, że jeśli urodzę córkę, ogarnie mnie rozczarowanie, jeśli zaś syna — zbyt wielka radość, równie niewskazana w moim stanie.

Gdy uświadomiłam sobie, że wszyscy milczą, pomyślałam, że w na świat przyszła dziewczynka. Albo jeszcze gorzej, dziecko urodziło się martwe! Ale nie! Usłyszałam płacz maleństwa. Chciałam zawołać: Dajcie mi ją, to przecież nie ma znaczenia...

Wtedy zobaczyłam twarz króla i jego oczy wypełnione łzami wzruszenia.

— Widzisz przecież, że jestem całkiem spokojna — powiedziałam. — Nie zadaję żadnych pytań.

— Jego Książęca Wysokość, delfin, prosi o łaskawe przyjęcie — powiedział załamującym się głosem.

Syn! Moje marzenia się ziściły. Wyciągnęłam ręce, aby podano mi dziecko. Chłopiec... zdrowy chłopiec!

W sypialni zapanowało podniecenie, które natychmiast przeniosło się do sąsiednich komnat, gdzie tłoczyli się ministrowie i dworzanie.

Słyszałam, że wszyscy się ściskają i obejmują. Słyszałam głosy:

— To delfin. Naprawdę. Mamy delfina!

Nawet moim wrogom udzieliło się podniecenie. Pani de Guéménée, która miała zostać jego guwernantką, siedziała na wózku inwalidzkim. Gdy podano jej dziecko i wieziono do apartamentu, wszyscy się tłoczyli, by zobaczyć następcę tronu. Każdy chciał go dotknąć albo przynajmniej musnąć kocyk czy wózek księżnej.

— Musimy go natychmiast ochrzcić — postanowił król.

Nasz mały delfin został ochrzczony o piętnastej.

Gdy wystrzelono ze stu jeden strzelb, paryżanie wiedzieli, że urodził się chłopiec. Miasto oszalało z radości. Rozkołysały się dzwony, uformowano pochody. Wieczorem rozpalono ogniska i urządzono pokazy fajerwerków. Nie mogłam uwierzyć, że to ci sami ludzie, którzy tyle radości czerpią z rozpowszechniania paszkwilów na mój temat. Teraz prosili Boga, by chronił matkę ich delfina. Teraz tańczyli, wznosili toasty za moje zdrowie i wołali: „Niech żyje król, niech żyje królowa, niech żyje delfin!”

Matka miała rację, uważając, że to bardzo impulsywny naród.

A ja nie kryłam zachwyty. Posłałam po Madame Royale, żeby mogła zobaczyć swego małego braciszka i obie stałyśmy, trzymając się za ręce nad jego kołyską. Moja córka miała już trzy lata i z każdym dniem piękniała. A przy tym była bardzo inteligentna.

Gdy spostrzegłam Armanda, stojącego w drzwiach z ponurą miną, uśmiechnęłam się do niego, ale spuścił oczy. Przechodząc koło chłopca, zmierzwiłam mu czuprynę. Nie wydawał mi się już taki śliczny jak dawniej; może dlatego, że porównywałam go z własnymi dziećmi.

Dzwony biły przez trzy dni i trzy noce. Kiedy się budziłam i słyszałam ich dźwięk, przepelniała mnie wielka radość. W Paryżu ogłoszono dwudniowe święto. Na ulicach ustawiono bufety z darmowym winem i mięsivem. Ludzie nosili girlandy ze sztucznych kwiatów i pozdrawiali się nawzajem okrzykiem na cześć delfina.

Gdy jedno święto się kończyło, drugie się zaczynało. Wszystkie gildie wysłały swoich reprezentantów do Wersalu, a uroczystości dworskie trwały dziewięć dni. Cały dwór się zbierał, by przyjąć przedstawicieli rzemieślników. Wszystkich ogarnęła wielka wesołość, gdy lektykarze przynieśli lektykę ozdobioną figurką mamki z maleńkim delfinem. Figurka do złudzenia przypominała prawdziwą mamkę delfina, nazywaną madame Poitrine. Kominiarze przynieśli model komina, na którym siedziały figurki kominiarczyków wyśpiewujące pieśni pochwalne na cześć następcy tronu. Krawcy ofiarowali miniaturowy mundur, kowale zaś kowadło, na którym

zagrali melodię. Przekupki włożyły swoje czarne, jedwabne suknie, chowane na specjalne okazje i śpiewały pochwalne piosenki o mnie i moim synu. Najbardziej niezwykły okazał się jednak dar ślusarzy, którzy darzyli króla szczególnymi względami, ze względu na jego zainteresowanie ich fachem. Przynieśli ogromny zamek i pokazali go królowi prosząc, by Najjaśniejszy Pan zechciał spróbować go otworzyć. Twierdzili, że dokonać tego potrafi tylko prawdziwy ślusarz i że król może oczywiście wydać rozkaz, by uczynił to jeden z nich; oni jednak znają doskonale umiejętności i talenty Jego Dostojności... i tak dalej, i tak dalej. Ludwik postanowił więc spróbować i przy wtórze gorącego aplauzu, odniósł oczywiście sukces. Obrócił klucz, a z zamka wyskoczyła stalowa figurka delfina.

Uroczystościom nie było końca. Gdy pojawiłam się na ulicach Paryża, ludzie znów wiwatowali na moją cześć.

Wydaje mi się, że moje kaprysy i gafy minionych lat zostały mi zapomniane, ponieważ dałam wreszcie Francji to, czego wszyscy pragnęli. Dziedzica tronu. Delfina.

Spoglądając w przeszłość, mogę powiedzieć, że osiągnęłam wówczas pełnię zadowolenia. Król cieszył się tak samo jak ja. W każdym wypowiedzianym przez niego zdaniu zawierały się słowa „mój syn” albo „delfin”. Cała służba uwielbiała małego. Ludzie potrafili czekać godzinami, by na niego popatrzeć. A był rzeczywiście pięknym, pogodnym dzieckiem i szybko stał się centrum naszego świata. Ludwik podawał każdemu rękę i słuchał uważnie rozmów, bo wszystkie dotyczyły następcy tronu. A że łzy mu napływały do oczu na samo wspomnienie synka, nietrudno się domyślić, że ciągle miał je w oczach.

Pani Poitrine stała się bardzo ważną osobą w naszym życiu. Przydomek doskonale do niej pasował. Ta kobieta o pokaźnej tuszy była żoną ogrodnika. Wszyscy lekarze zgadzali się co do tego, że ma mleko doskonałej jakości. Traktowała delfina jak swoje własne dziecko, a że mały stał się bez wątpienia najważniejszą osobą w pałacu, ona szybko zajęła drugie miejsce. Krzyczała jak grenadier, często przeklinała, ale przy tym charakteryzowała ją niezwykła pogoda ducha. Nie przejmowała się nigdy moją obecnością czy obecnością mojego męża. Mawiała: „Nie można go teraz dotykać. Właśnie go nakarmiłam. Nie wolno mu teraz przeszkadzać.” Bardzo nas to bawiło, a przy tym cieszyliśmy się, że tak bardzo dba o nasze dziecko. Przyjęła stroje, które jej ofiarowaliśmy, wzruszając ramionami na widok koronek i delikatnych materiałów, ale kategorycznie odmówiła używania różu oraz pudrowania włosów. Oświadczyła, że zupełnie się do tego nie nadaje i nie bardzo rozumie, co dobrego miałyoby z tego wyniknąć dla dziecka.

Znacznie później Elżbieta pokazała mi list, który dostała wtedy od swojej przyjaciółki, madame de Bombelles. Przypomniła nam stare dzieje i obie płakałyśmy nad kartką papieru.

Dziś rano widziałam naszego delfina. Jest zdrowy i śliczny jak aniołek. Ludzie wciąż okazują entuzjastyczną radość. Wszyscy tańczą, grają i śpiewają. Uważam, że to bardzo wzruszające i nie sądzę, by istniał bardziej sympatyczny naród niż Francuzi.

O tak, wszyscy byli wtedy szczęśliwi i zadowoleni z nas. Dlaczego nie mogło tak pozostać?

Gdy wspominam minione lata, zastanawiam się, czy można było zapobiec tej wielkiej tragedii. Sądzę bowiem, że musiał istnieć jakiś sposób.

Od chwili kiedy zasiadłam na tronie, odwiedzali mnie regularnie dwaj bardzo zdolni nadworni jubilerzy, Boehmer i Bassenge. Madame du Barry zawsze podziwiała ich wyroby. Może dlatego zrobili wspaniałą kolię, którą zamierzali jej sprzedać. Skupowali najpiękniejsze kamienie we wszystkich miejscach Europy, topiąc w tym niemalą fortunę. Niestety, Ludwik XV zmarł, zanim zdążyli ukończyć naszyjnik, stracili więc nadzieję, że zdołają go sprzedać królewskie metresie.

Pograżeni w rozpaczy, pomyśleli o mnie. Kiedy mi pokazali swoje dzieło, zadziwił mnie blask wspaniałych kamieni, kolia jednak wydała mi się zbyt wulgarna. Nie zachwycała mnie tak, jak to zakładali jubilerzy, a i świadomość, że przygotowywano ją z myślą o madame du Barry, zrobiła swoje.

Obaj jubilerzy byli zdumieni i zszokowani. Znając moją słabość do diamentów, przypuszczali, że kolia mnie zachwyci i że znajdę jakoś środki, by ją kupić.

Pokazali więc naszyjnik królowi, który wezwał mnie, bym i ja na to cacko spojrzęła.

— Podoba ci się? — zapytał mnie mąż.

Byłam wówczas dość skruszona, bo przeczytałam kolejny list matki z surowymi wymówkami na temat mojej ekstrawagancji, powiedziałam więc, że bardziej potrzebujemy nowego statku niż diamentowej kolii.

Król przyznał mi rację, ale, podobnie jak jubilerzy, nie krył zaskoczenia. Jubilerzy błagali. Mówili, że muszą sprzedać ten klejnot i że żyli w przekonaniu, iż mi się spodoba. Ja jednak byłam stanowcza. Nie miałam zamiaru ściągać sobie na głowę gniewu matki — która z pewnością szybko by się o tym dowiedziała — z powodu czegoś, co wcale mnie nie zachwycało.

Król oświadczył, że jeśli chciałabym mieć tę kolię, gotów jest opróżnić swoją prywatną kiesę, byle sprawić mi przyjemność.

Roześmiałam się i podziękowałam. Powiedziałam, że jest dla mnie bardzo dobry, ale mam dość diamentów i nie warto płacić miliona sześciuset franków za ozdobę, która będzie używana kilka razy do roku.

Zapomniałam o tej nieszczęsnej kolii, parę lat później jednak Boehmer znów mi ją przyniósł, gdy bawiłam się z córką.

Sądząc, że chce mi pokazać jakąś nową błyskotkę, która może się spodobać małej, kazałam go wpuścić. Gdy tylko wszedł, okazało się, że jest zrozpaczony, rzucił się natychmiast na kolana i zalał łzami.

— Madame — zawołał — będę zrujnowany, jeśli Najjaśniejsza Pani nie kupi mojej kolii!

— Tamtej kolii? — wykrzyknęłam. — Sądziłam, że zamknęliśmy już ów temat.

— Jestem na krawędzi bankructwa. Jeśli Najjaśniejsza Pani nie kupi mojej kolii, rzucę się do rzeki.

Moja córka, przylgnęła do mnie, chwytając się mocno spódnicy, i patrzyła z przerażeniem na szlochającego mężczyznę.

— Proszę wstać, panie Boehmer — powiedziałam. — Nie lubię takiego zachowania. Uczciwi ludzie nie muszą o nic błagać na kolanach. Będzie mi bardzo przykro, jeśli odbierze pan sobie życie, nie poczuwam się jednak do żadnej odpowiedzialności w tym względzie. Nie zamawiałam tej kolii i od samego początku mówiłam wyraźnie, że jej nie chcę. Proszę więcej do tego nie wracać. Proszę ją raczej zdemontować i sprzedać każdy kamień osobno, zamiast planować swoją śmierć. Nie życzę sobie takich scen w mojej obecności i w obecności mojej córki. A tymczasem proszę już iść.

Wyszedł, a ja od tej pory go unikałam. Słyszałam jednak, że przez cały czas próbuje za wszelką cenę sprzedać kolię. Wypytywałam madame Campan o jego sukcesy, bo żal mi było biedaka.

Pewnego dnia madame Campan powiedziała, iż naszyjnik kupił sułtan Konstantynopola dla swej ulubionej żony.

Odetchnęłam z ulgą.

— Jakże się cieszę, że już więcej nie usłyszę o tej ordynarnej kolii.

* * *

Coraz więcej czasu spędzałam w Petit Trianon. Mój teatr został wreszcie ukończony, i nie mogłam się doczekać, kiedy wystawię tam jakąś sztukę. Stworzyłam już trupę teatralną, do której należała Elżbieta, Artois i niektórzy z jego kręgu, no i oczywiście Polignacowie ze swoimi przyjaciółmi.

Moja szwagierka, Marie Josephe, odmówiła, twierdząc, że to poniżej jej godności.

— Skoro królowa Francji może stanąć na scenie, to ty z pewnością też.

— Może nie jestem królową — odparła — ale jestem ulepiona z takiej samej gliny jak królowie.

Roześmiałam się, ale trwała w swym uporze i zawsze zasiadała na widowni. Pan Campan bardzo nam pomagał jako sufler i dekorator, zajmował się tym także za dawnych czasów, gdy przygotowaliśmy przedstawienie potajemnie w Wersalu. Teraz było jednak inaczej. Graliśmy w prawdziwym teatrze. Rzuciłam się w teatralny wir z wielkim entuzjazmem. Przygotowaliśmy kilka sztuk i kilka oper komicznych. Pamiętam niektóre tytuły: „L’Anglais a Bordeaux”, „Le Sorcier, Rose et Golas”. W „Le Sabot Perdu” grałam rolę Babet, która całuje na scenie swojego kochanka. Kochanka grał Artois. To przedstawienie stało się pod piórem pamflecistów wyuzdaną orgią.

Ludzie już zapomnieli o przywiązaniu, jakie mi okazywali, gdy urodził się delfin. W niezliczonych paszkwilach, które ukazywały się niemal codziennie, zawsze grałam pierwszoplanową rolę. Nie rozumiałam, dlaczego wybierali właśnie mnie. Sądzę, że przede wszystkim dlatego, że byłam cudzoziemką. Francuzi nie znosili przecież Katarzyny Medycejskiej nie z powodu jej fatalnej reputacji, ale dlatego, że nie była ich rodaczką. Nazywali ją Włoszką, mnie zaś przewalili Austriaczką.

„Les Amours de Charlot et ‘Toinette’”. Tak brzmiał tytuł ogromnie popularnej broszury, która miała być opisem moich stosunków z hrabią d’Artois. Nasze imiona łączono, od kiedy pojawiłam się w Paryżu.

Pewnego dnia mój mąż znalazł w swym apartamencie inne dziełko, „Vie Privee d’Antoinette”. To dowodziło, że mamy wrogów również w pałacu, nikt inny nie mógłby bowiem podrzucić czegoś takiego królowi.

Nie czytałam tych bzdur. Uważałam, że zarzuty są przecież zupełnie absurdalne. Że każdy kto mnie zna, śmieje się z nich. Nie przypuszczałam, że to moi wrogowie kreują mój wizerunek i że większość poddanych utożsamia mnie z tym wyobrażeniem.

Jeden z pamfletów był napisany w pierwszej osobie. Wydał mi się znacznie głupszy niż pozostałe, trudno sobie bowiem wyobrazić, bym napisała i puściła w obieg tego rodzaju wyznanie, gdybym rzeczywiście popełniła wszystkie te szkaradzieństwa.

Katarzyno Medycejska, Kleopatro, Agryppino, Messalino, moje zbrodnie przewyższają wszystko, czego wy się dopuściliście i skoro pamięć waszych bezeceństw do dziś budzi w ludziach dreszcz, to trudno przewidzieć, jakie emocje wzbudzi rejestr wybryków okrutnej i lubieżnej Marie Antoinette, Austriaczki... barbarzyńskiej królowej, niewiernej małżonki, rozpustnej kobiety....

Kiedy to zobaczyłam, roześmiałam się tylko i podałam kartkę na kawałeczki, sądząc, że nikt nie weźmie tego poważnie. Ale ten haniebny pamflet, zatytułowany „Essai Historique sur la Vie de Marie Antoinette”, sprzedawał się znakomicie i teraz, gdy piszę te słowa, także jest w obiegu.

Dlaczego nie rozumiałam, że niektórzy ludzie chcą wierzyć w owe wszystkie kłamstwa? Absurdalności tych historii mogłam im dowieść w tylko jeden sposób — prowadząc ciche i spokojne życie.

A ja? Pełna niesmaku wyjechałam do Trianon. To był mój mały świat. Nawet król mógł tam przyjeżdżać tylko na moje zaproszenie. Respektował ten zwyczaj i z powagą czekał, aż go

zaproszę. Lubił zresztą te wizyty, bo zajmując się na co dzień sprawami państwa, cieszył się, mogąc uciec od dworskiego ceremoniału i od męczących rozmów z politykami.

Jeśli nie występowaliśmy w teatrze, to graliśmy w dziecinne gry towarzyskie. Do ulubionych należała zabawa *descampativos*, wariant ślepej babki. Jedna osoba wychodziła z pokoju, a reszta tymczasem okrywała się całkowicie prześcieradłami. Wówczas powracający musiał rozpoznać za pomocą dotyku wszystkich obecnych. Jednym z istotnych elementów było dawanie fantów, coraz bardziej wymyślnych i szalonych. W opowieściach na temat mojego życia wszystkie takie szczegóły wyolbrzymiano, a najzwyczajniejsze przyjemności opisywano jak rzymskie bachanalia.

Bardzo wiele czasu poświęcałam ciągłemu upiększaniu ogrodu. Bez przerwy coś zmieniałam. Upierałam się, że park w Trianon nie może przypominać ogrodów wersalskich. Pragnęłam, żeby był naturalny. Okazało się niestety, że owa nieregularność kosztuje znacznie więcej niż symetrycznie przyszyżone trawniki i fontanny, które spopularyzował Ludwik XIV. Chciałam, żeby przez moją łąkę płynął strumyk, ale okazało się, że nie ma żadnego źródła, z którego można by poprowadzić wodę.

— Jak to nie ma skąd wziąć wody? — krzyczałam. — To przecież śmieszne.

Doprowadzono więc rurami wodę z rzeki Marley. Potem komentowano to zgrzyźliwie, mówiąc, że złoto, a nie woda płynie w strumyczkach Trianon. Nad strumieniem kazałam zbudować rustykalne mostki. Był także staw, a na nim wysepka, a wszystko tak, jak by to zrobiła natura.

Wydawałam niebotyczne sumy, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ziewałam na widok liczb. Nigdy nie liczyłam zer. Gdy zastanawiałam się, jak jeszcze mogę udoskonalić swoje dzieło, przyszło mi do głowy, by stworzyć wioskę, no a przecież nie ma rustykalnych i farmerskich scen bez ludzi. Chciałam postawić osiem domków, by móc wprowadzić w ten pejzaż ludzi i zwierzęta. Wezwałam pana Mique, słynnego architekta i przedstawiłam mu swoje pomysły, które go zachwyciły. Zaprosiłam do współpracy także pana Huberta Roberta, malarza. Kazałam zbudować osiem wiejskich domków krytych strzechą i usypać górkę kompostu koło każdego. Wszystko bowiem miało być naturalne.

Obaj z ochotą zabrali się do pracy, nie próbując nawet oszczędzać. Wciąż proponowali jakieś ulepszenia, a ja ogromnie polubiłam konsultacje. Domki miały być jak najprawdziwsze. Tynk powinien trochę się z nich obsypywać, kominy miały być nieźle przyczerzone dymem.

Nie zamierzałam szczeniować pieniędzy na naturalność.

Kiedy domki były już gotowe, wybrałam rodziny, które się tam wprowadzą. Chętnych oczywiście nie brakowało. Miałam też prawdziwe krowy, świnie i owce, robiono u mnie prawdziwe masło. Moi wieśniacy wieszali pranie na płotach.

W ten sposób stworzyłam Hameau. Mój teatr kosztował sto czterdzieści jeden tysięcy liwrow. Nie policzyłam, ile kosztowało Hameau, później zaś nie ośmieliłam się tego uczynić.

Ale czułam się tam szczęśliwa. W Trianon nosiłam proste stroje, choć Rose Bertin zapewniała mnie, że prostotę znacznie trudniej osiągnąć i że trzeba za nią słono zapłacić.

W prostych muślinowych sukniach brodziłam więc w strumieniu albo siadywałam na porośniętej darni ławeczce, której istnienia nikt niewtajemniczony by nie podejrzewał. Czasami łowiłam ryby, które potem przyrządzano w kuchni. Bo w moim strumieniu pływało oczywiście mnóstwo ryb. Czasami też doiłam krowy, ale podłoga obory była zawsze zamieciona i czysta, a mleko kapalo do porcelanowego naczynia z moim monogramem. To było wspaniałe doświadczenie. Krowy miały maleńkie dzwonki przywiązane do szyi, a ja, razem ze swymi damami dworu, prowadziłam je na niebiesko — srebrnych wstążkach.

Czasami zbierałam kwiatki i sama je układałam w wazonie. A potem przechadzałam się między domami, żeby sprawdzić, jak miewają się moi drodzy wieśniacy i upewnić, że zachowują się naturalnie.

— Przynajmniej w moim Hameau ludzie są szczęśliwi — mówiłam z satysfakcją.

Wydawało mi się, to szczęście warte jest ogromnych pieniędzy, jakie wciąż pochłaniało Trianon i Hameau, bo nie ustawałam oczywiście w wysiłkach, by je ciągle ulepszać i upiększać.

Z Wiednia nadchodziły listy od Józefa, nie robiły one jednak na mnie takiego wrażenia, jak korespondencja matki. Zwłaszcza, że nie było w nich tego żarliwego, matczynego oddania. Józef uważał mnie za idiotkę — i z pewnością miał rację. Ciągle mnie pouczał, ale on wszystkich pouczał.

Józef korespondował także z Mercym, który pozostał moim nadzorcą, jak za życia matki.

Mercy nigdy nie przebierał w słowach i pokazał mi kiedyś, co napisał do cesarza. Najprawdopodobniej chciał dać mi w ten sposób do myślenia.

Madame Royale nigdy nie odstępowała matki, tak więc poważnej rozmowy często nie da się dokończyć ze względu na dziecko. Nakłada się to na naturalną skłonność królowej do ignorowania poważnych rozmówców. Królowa nawet nie stara się zrozumieć tego, co się do niej mówi. Odnoszę wrażenie, że tracę z nią kontakt.

Mercy ciężko wzdychał, gdy czytałam list, ponieważ widział, że nie przejmuję się nim ani trochę. Rzeczywiście zastanawiałam się wówczas nad tym, czy moja kochana córeczka nie będzie lepiej wyglądała w kolorze różowym niż w niebieskim.

Biedny Mercy! Po śmierci cesarzowej stracił zapał do tego, co robił. A może w końcu uzmysłowił sobie, że nie ma nadziei, by mnie uratować przede mną samą.

Pieniądze! Przedmiot nieustających dyskusji — jakże nudny przedmiot! W państwowej kasie powstał poważny deficyt i trzeba go było uzupełnić — zdaniem pana Neckera, który został dyrektorem generalnym finansów. Po klęsce polityki Turgota zastąpił go na stanowisku pan Clugny de Nuis, ale on także nie spisał się najlepiej, mimo że miał wsparcie parlamentu. A miał je dlatego, że prowadził politykę całkiem inną niż Turgot. Założył loterię państwową, która nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań, a wszystkie jego posunięcia doprowadziły do katastrofy finansowej. Kiedy zmarł, wszyscy odetchnęli z ulgą, a mój mąż zaangażował Jacques'a Neckera. Necker był Szwajcarem, człowiekiem, który sam dorobił się fortuny i był właścicielem londyńsko-paryskiego banku „Thellusson i Necker”. Udowodnił, że z powodzeniem potrafi obracać pieniędzmi, a przy tym uwielbiał filozofów, a nawet zdobył literacką nagrodę Akademii Francuskiej. Napisał kilka artykułów, w których krytykował właścicieli ziemskich i obnażał różnice między życiem bogatych i biednych. W jego charakterze i sposobie postępowania nie brakowało sprzeczności. Był idealistą, a zarazem dążył do władzy. Nie przyjmował wynagrodzenia za swą pracę, ale też był człowiekiem ogromnie bogatym i pieniędzy nie potrzebował. Chciał poprawić warunki życia, pragnął wprowadzić w kraju dobrobyt, ale dbał o to, by wszyscy wiedzieli, że jemu i tylko jemu Francuzi zawdzięczają wszystko, co dobre.

Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że był protestantem, a od czasów Henryka IV żadnemu innowiercy nie powierzono państwowego urzędu, musiał wywrzeć na królu ogromne wrażenie. Ludwik, który od samego początku swego panowania starał się zrozumieć mechanizm spraw państwowych, święcie wierzył, że kraj potrzebuje właśnie Neckera.

Jacques Necker był potężnym mężczyzną o krzaczastych brwiach i wysokim czole. Miał lekko pożółkłą cerę i zaciśnięte usta, jakby przez cały czas kalkulował. Wyglądał dziwnie w czerwonym aksamicie. Powiedziała mi nawet Rose Bertin, że powinna uszyć dla niego zwykłe szwajcarskie ubranie.

— Madame — odparła wyraźnie urażona. — Bardzo starannie dobieram sobie klientów. Muszę to robić, ponieważ służę królowej Francji.

Necker, zastanawiając się, które wydatki można uciąć, przyjrzał się uważnie królewskiemu gospodarstwu. Doszedł do wniosku, że mamy stanowczo za dużo służby. Świta Madame Royale liczyła osiemdziesiąt osób, a nikt z nas nie ruszał się bez orszaku. Necker zwolnił natychmiast czterysta sześćdziesiąt osób, za nimi mieli pójść następni.

Nie było to jednak idealne rozwiązanie, bo wprawdzie wydatki dworu się zmniejszyły, ale zwolniona służba straciła środki do życia.

Necker i jego żona niepokoiли się fatalnym stanem naszych szpitali, a król, któremu tego rodzaju sprawy zawsze leżały na sercu, podzielał ich zdanie. Warunki panujące w Hôtel-Dieu w Paryżu mogły rzeczywiście szokować. Mój mąż wybrał się tam kiedyś *incognito* i wrócił do Wersalu cały we łzach, pogrążony w melancholii. Ale Francja nie potrzebowała królewskich łez tylko działania. Król wiedział o tym, postanowił więc zburzyć stary szpital i zbudować w jego miejsce cztery nowe. Nie miał wszakże pomysłu, gdzie szukać pieniędzy. Musiał porzucić ten ambitny plan i zadowolić się powiększeniem starego budynku i wstawieniem trzystu nowych łóżek.

A tymczasem moje rachunki za Hameau wciąż rosły.

Czemu nikt mi nie powiedział, że to istne szaleństwo? Dlaczego wszyscy mi pobłażali? I czy rzeczywiście można to nazwać pobłażaniem? Może raczej pomagali mi spaść na samo dno. Nim urodziła się nasza córka, mąż mi pobłażał, by wynagrodzić w ten sposób żenującą sytuację, w jakiej się znalazłam. Potem chciał wyrazić bezgraniczną wdzięczność za to, że pomogłam mu udowodnić światu, iż może być ojcem.

Ale dlaczego oskarżam innych? Napominano mnie wszakże wiele razy, lecz ja nie chciałam słuchać. Szlochałam, słuchając opowieści o warunkach w szpitalu. Po narodzinach Madame Royale pytałam nawet, czy nie mogłabym ufundować szpitala położniczego. I zrobiłam to, uspokajając w ten sposób sumienie, przestałam myśleć o takich nieprzyjemnych sprawach, jak konający chorzy na podłodze w Hôtel-Dieu, ludzie, po których biegają szczury, ludzie, którymi nikt się nie zajmuje.

Necker usiłował wprowadzić jakieś reformy — w szpitalach, w więzieniach, w położeniu najuboższych. Wprowadził prawa do pożyczek, zamiast zwiększać podatki, za co ludzie wiwatowali na jego cześć, choć nie zmieniło to w zasadzie ich sytuacji.

Necker marzył o popularności. Nigdy mnie nie krytykował. Wiedział, że król ma do mnie słabość i nie żałuje mi rozrywek, a Necker, bardziej niż dobrobytu dla francuskiego ludu, pragnął własnej potęgi. Bez wsparcia króla nie miałby władzy, musiał więc dbać o zadowolenie królowej.

Pieniądzy brakowało niemal wszystkim. Wybuchł wielki skandal, gdy zbankrutował książę de Guéménée. To z kolei przywiodło do ruiny wielu kupców, którzy przez lata dostarczali mu towary. Armia jego służących wpadła w czarną rozpacz. Nie tylko Wersal, ale i Paryż był ogromnie wzburzony. Ma się rozumieć, że żona księcia nie mogła dłużej pełnić roli guwernantki Dzieci Francji.

Postanowiłam, że zastąpi ją moja droga Gabrielle. Ona jednak wcale się do tego nie kwapiła. Może właśnie owa obojętność wobec zaszczytów najbardziej mnie w niej fascynowała. Sądzę, że Gabrielle byłaby szczęśliwsza, gdyby mogła wieść spokojne życie na wsi, z dala od dworu. Nie pożądała biżuterii ani pięknych strojów. Może wiedziała, że bez tego jest wystarczająco piękna. Była trochę leniwa i najbardziej na świecie lubiła leżeć na trawie w Trianon, gwarząc beztrudnie ze mną, i paroma innymi przyjaciółmi. Tłumaczyła, że nie nadaje się na to stanowisko. Delfin potrzebuje przecież kogoś, kto będzie się nim bez przerwy opiekował.

— Ależ ja się nim będę opiekować — oświadczyłam — a także jego ojciec i wiele innych osób. Musisz się zgodzić, Gabrielle.

Ona jednak wciąż się wahała. Kiedy jednak jej kochanek Vaudreuil dowiedział się o propozycji, zmusił ją, by się zgodziła. Często się zastanawiałam nad tym, co ich łączyło. Gabrielle twierdziła,

że się go boi, ale przy tym była nim bardzo zafascynowana. I w ten sposób została guwernantką królewskich dzieci. Teraz wiem, że moja przyjaźń z Gabrielle stanowiła jeden z najważniejszych powodów do narzekań. Czyż to nie dziwne? To była naprawdę piękna przyjaźń. Przyjaźń dwóch kobiet, które miały ze sobą wiele wspólnego. Komu to mogło szkodzić? A jednak ludzie wszystko przeinaczyli. I nie tylko z powodu złośliwej interpretacji naszych stosunków. Przyzwyczaiałam się do tych wszystkich etykietek, którymi oklejano moje relacje z innymi. Zawsze je ignorowałam, uważając, że są idiotyczne. Ale Gabrielle miała niezwykle ambitnych krewnych. Namówiłam Ludwika, by nadał jej mężowi tytuł diuka. Od tej pory jej rodzina miała wstęp na dwór i jak się okazało, bez przerwy znajdowała w swoich szeregach kogoś, kto potrzebował stanowiska. Polignacowie czerpali pełnymi garściami z królewskiej kasy, która była coraz bardziej pusta. Och, te pieniądze!

* * *

Pewnego pięknego lipcowego dnia siedziałam w swym połączonym apartamencie, grając na klawikordzie, ale wcale nie myślałam o muzyce. Rozmyślałam o tym, że się starzeję. Skończyłam już przecież dwadzieścia osiem lat! W grudniu moja mała córeczka miała obchodzić piąte urodziny, a w listopadzie delfin będzie obchodzić drugie.

Och, westchnęłam w duchu, nie jestem już taka młoda; i ogarnął mnie wielki smutek. Nie mogłam sobie wyobrazić własnej starości. Co będę robić, gdy przestanę już tańczyć, grać w karty i występować w teatrze? Mam kojarzyć małżeństwa dzieci? Wydać moją najśladszą córeczkę za jakiegoś króla z dalekiego kraju? Zadrżałam. Panie, nie pozwól mi się zestarzeć, modliłam się w duchu.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Podniosłam wzrok znad klawiatury i dałam znak, by księżna de Lamballe sprawdziła, kto chce mnie odwiedzić.

Nikt jednak nie musiał anonsować tego gościa.

Zamarłam, gdy ujrzałam go w drzwiach. Trochę się zestarzał, ale nie przestał być atrakcyjny.

Przeciwnie, podobał mi się jeszcze bardziej niż przedtem.

Gdy hrabia Axel de Fersen zaczął się zbliżać, wstałam z miejsca i wyciągnęłam rękę, a on ją ucałował.

Wrócił.

* * *

Nastaly cudowne dni. Przychodził codziennie do mego saloniku i choć nigdy nie byliśmy sami, mogliśmy rozmawiać, choć przecież nie potrzebowaliśmy słów, by przekazać sobie nawzajem uczucia.

Kędy opowiadał mi o Ameryce, płonał entuzjazmem. Przyznano mu order za odwagę, ale nie mógł go nosić ze względu na zakaz króla Gustawa. Nawet Gustaw był jednak pod wrażeniem tego zaszczytu, bo mianował Fersena pułkownikiem.

— Teraz zostanie więc pan we Francji przez jakiś czas, hrabio.

— Potrzebny mi jakiś pretekst.

— A nie ma pan żadnego?

— Moje serce ma wiele powodów, lecz nie mogę ich wyjawiać światu. Potrzebne więc są inne powody...

Zrozumiałam. Rodzina naciskała, by wracał do Szwecji i się ustatkował. Powinien ożenić się z jakąś... fortuną. Powinien pomyśleć o przyszłości.

Gdy mówił mi o tym wszystkim, uśmiechaliśmy się do siebie w poczuciu bezradności. Żadne z nas nigdy nie wierzyło, że zostaniemy kiedyś kochankami. Byłam przecież zupełnie inna niż kobieta portretowana w paszkwilach i pamfletach. Byłam bardzo skromna i na wskroś romantyczna. Nie pociągały mnie zakazane rozkosze alkowy. Wierzyłam w miłość idealną, w całkowite oddanie, bez cienia egoizmu. Wydawało mi się, że Axel darzy mnie taką właśnie miłością. W szwedzkim mundurze wyglądał wspaniale — wspanialej niż inni mężczyźni. Takim go widziałam i takim miał dla mnie na zawsze pozostać. Nie szukałam wrażeń, nie chciałam zaspokajać namiętności. Marzyłam, że jestem zwyczajną szlachcianką, że jestem jego żoną i mieszkamy w jakimś niewielkim domu, w miejscu takim jak Hameau, gdzie krowy są czyste, a masło robi się w szlachetnej porcelanie, owieczki zaś przechadzają się po łące ze srebrnymi dzwoneczkami i wstążeczkami. Nie chciałam, by cokolwiek skaziło mój raj.

A poza tym miałam przecież dzieci. Idealne. Dzieci Ludwika. Nie chciałam, by były inne, a Madame Royale już zaczynała przypominać swojego ojca.

W moich marzeniach nie było nawet cienia logiki. Nie myślałam praktycznie. Marzyło mi się życie jak z romansu.

Chciałam jednak zatrzymać Axela de Fersen we Francji.

Ucieszyłam się ogromnie, gdy Ludwik pokazał mi list od króla Gustawa.

Mój kuzyn, hrabia de Fersen, odznaczywszy się w służbie Waszej Królewskiej Mości podczas wojny amerykańskiej, zaskarbił sobie bez wątpienia wdzięczność. Nie sądzę więc, bym popełniał jakieś nadużycie, prosząc o stosowny regiment dla niego. Jego urodzenie, majątek, a wreszcie więzy pokrewieństwa, jakie mnie z nim łączą, pozwalają mi wierzyć, że potrafi być lojalny wobec nas obu i służyć zarówno Francji, jak i Szwecji...

Nie potrzebowałam wiele czasu, by przekonać Ludwika, że to doskonały pomysł.

W ten sposób Axel zyskał możliwość, by częściej bywać w Wersalu, nie budząc niczyich podejrzeń. Przychodził przecież we francuskim mundurze.

— Mój ojciec jest niezadowolony — powiedział mi kiedyś. — Uważa, że tracę czas.

— Ja także się tego obawiam.

— Nigdy nie traciłem go w przyjemniejszy sposób.

— Dziś wieczorem będzie koncert. Mam nadzieję, że się zobaczymy.

Ojciec Axela był człowiekiem ogromnie energicznym. Skoro jego syn postanowił, że będzie tracił czas we Francji, to przynajmniej musi się ożenić. Znalazła się bowiem młoda kobieta, która pod każdym względem do niego pasuje. Panna majątna, córka potężnego człowieka, potrzebowała jedynie dobrze urodzonego męża z tytułem. Na narzeczoną wybrano Germaine Necker, córkę naszego dyrektora generalnego od finansów.

Gdy Fersen mi o tym powiedział, przeraziłam się. To zniszczyłoby przecież nasz romans. Ja wprawdzie byłam zamężna i nigdy nie mogłabym poślubić Axela, ale czy ktoś słyszał, by dama wychodziła za trubadura?! Jakże jednak on mógłby mnie wciąż adorować, gdyby miał taką żonę jak Germaine Necker, demokratkę i zwolenniczkę reform, kobietę, która odziedziczyła ideały po swoich rodzicach.

— To niemożliwe — powiedziałam.

Fersen zgodził się ze mną, ale spochmurniał. Neckerowie dowiedzieli się już o tej propozycji i uważali ją za doskonałą. Obraziłby śmiertelnie pannę Necker, gdyby w tej sytuacji jej się nie oświadczył.

— Musimy jej znaleźć innego zalotnika — wymyśliłam. — Kogoś, kto jej bardziej przypadnie do gustu.

I zamarłam z przerażenia. Czy ktokolwiek mógłby wybrać innego mężczyznę, mając przed sobą Axela?

Germaine Necker miała jednak własne zdanie. Oświadczyła, że sama sobie wybierze męża. I choć ja tego zrozumieć nie mogłam, nie wyszła za Fersena. Od pewnego czasu kochała barona de Stael, postanowiła, że za niego wyjdzie i jako osoba o bardzo silnym charakterze wkrótce dopięła swego i została madame de Stael.

Axel pokazał mi list, który napisał do swojej siostry Sophie, której często się zwierzał. Uważał, że ona potrafi zrozumieć jego prawdziwe uczucia.

Nigdy nie związę się małżeństwem. To wbrew mojej naturze... Skoro nie mogę ożenić się z osobą, do której pragnę należeć i która kocha mnie prawdziwie, pozostanę wolny.

Naszemu romansowi nic już nie zagrażało.

* * *

Ale Axel nie mógł pozostać we Francji na zawsze. Sprawy rodzinne wymagały jego wyjazdu do Szwecji. Wiedziałam jednak, że jest mój na wieki. Powiedział przecież, że nigdy się nie ożeni.

Parę miesięcy później wrócił do Paryża, towarzysząc królowi Gustawowi. Pamiętam dzień, w którym się o tym dowiedziałam. Ludwik wyjechał na polowanie i zatrzymał się w Rambouillet. Gdy się okazało, że przyjechał król Szwecji, mój mąż ubierał się tak pospiesznie, że przywitał gościa w jednym pantoflu ze złotą sprzączką i czerwonym obcasem, a drugim ze srebrną sprzączką i z czarnym obcasem. Gustaw, który nie przywiązywał wagi do własnego wyglądu, oczywiście tego nie zauważył. A dla mnie liczył się tylko fakt, że Axel znów jest we Francji.

Zdradziłam swoje emocje na tysiąc różnych sposobów. Natychmiast oświadczyłam, że musimy wydać przyjęcie w Trianon na cześć króla Szwecji. Wyjątkowe przyjęcie.

Wszyscy dokoła unosili brwi ze zdziwienia, zadając pytanie, na czyją cześć zostanie wydane to przyjęcie.

Nigdy przedtem nie lubiłam Gustawa, bo w trakcie swej ostatniej bytności we Francji — za czasów, gdy byłam jeszcze delfina — podarował diamentową obrozę ulubionemu psu madame du Barry. Uznałam to za głupi i wulgarny gest, ponieważ uhonorował w ten sposób psa królewskiej faworyty bardziej niż przyszłego króla Francji.

Teraz jednak był dla mnie przede wszystkim królem mojego Axela, pragnęłam więc przyjąć go jak najwystawniej.

Wieczór zaczął się spektaklem teatralnym w moim teatrze w Trianon, a potem przeszliśmy do angielskich ogrodów. Latarnie zostały ukryte między konarami drzew i w krzakach. Kazałam wykopać rów za Świątynią Kupidyna i gdy rozpalono w nim ogniska, moja świątynia wyglądała tak, jakby stała na płomieniach.

Gustaw uznał, że czuje się, jak na Polach Elizejskich. O to mi właśnie chodziło. Dlatego też kazałam wszystkim ubrać się na biało, tak by wyglądali na mieszkańców raj.

W tej scenerii Axel i ja mogliśmy być bliżej siebie niż kiedykolwiek, dotykaliśmy swoich dłoni, całowaliśmy się. Ubrani na biało, w księżycowej poświacie mogliśmy zapomnieć o realnym świecie i swoich w nim obowiązkach.

Kiedy podano kolację musieliśmy się rozdzielić, a ja chodziłam między stołami, sprawdzając, czy wszystko jest jak należy. Goście jedli sarninę ze sztuki, którą upolował mój mąż, a także jesiotra i bażanta. Pragnęłam bowiem zachować złudzenia, że życie w Trianon jest pełne prostoty.

Podczas wizyty Szwedów nie miałam wielu okazji, by rozmawiać z Axelem, a przy tym wiedziałam, że mój trubadur będzie musiał wyjechać ze swoim królem. Parę dni po moim elizejskim przyjęciu dwór wraz ze szwedzkimi gośćmi oglądał lot balonem, którym kierowali dwaj mężczyźni Palatre de Rozier i Proust. Na balonie, który nosił moje imię, namalowano herby Francji i Szwecji. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, patrząc na ten cud techniki. Wszyscy spodziewali się wielkiej katastrofy, ale balon przeleciał z Wersalu do Chantilly.

Mimo licznych atrakcji nie mogłam przestać myśleć o Axelu i nadchodzącym rozstaniu. Każde następne było trudniejsze do zniesienia.

Chciałam dać mu coś na pamiątkę, coś, co by mu mnie przypominało. Ofiarowałam mu maleńki almanach, na którym wyszyłam słowa:

*Foi, Amour, Esperance —
Trois, unis a jamais.*

*Wiara, Nadzieja i Miłość
We trzy na zawsze złączone.*

I Axel wrócił ze swym królem do Szwecji.

Madame Vigée–Le Brun malowała mój portret. Bardzo lubiłam tę uroczą istotę. Uwielbiałam z nią rozmawiać. Patrzyłam, jak powstaje obraz i pewnego dnia powiedziałam:

— Gdybym nie była królową, można by powiedzieć, że jestem pogrążona w smutku.

Malarka nic nie odpowiedziała, choć mogła mi zdradzić, że wielu ludziom wydaje się nie tylko smutna, ale i wyniosła. Wysunięta dolna warga, która wzbudziła tyle emocji podczas dyskusji na temat mojego wyglądu na dworze mojej matki, stała się jeszcze bardziej wydatna. Odziedziczyłam ją po Habsburgach. Gdy powiedziałam o tym madame Le Brun, uśmiechnęła się i wyznała, że najbardziej lęka się tego, czy zdoła wiernie przedstawić moją cerę.

— Jest taka jasna i nieskazitelna, że nie zdołam chyba znaleźć odpowiednich barw.

Pochlebstwo dla królowej. Choć rzeczywiście miałam wspaniałą cerę i byłoby fałszywą skromnością, gdybym temu zaprzeczyła.

Nie tylko w Wersalu, ale i w Paryżu komentowano moje stroje. Wyszło na jaw, że za jedną suknię płacę sześć tysięcy liwrów. Wiedziałam oczywiście, że usługi madame Bertin są bardzo drogie, ale nie było w Paryżu lepszej krawcowej i artystki niż ona. Nie ona jedna zajmowała się moją garderobą. Projektowała mi suknie i kapelusze, miała jednak swoje szwaczki, część z nich zajmowała się wyłącznie strojami do jazdy konnej, inni zaś wyłącznie krynolinami, krezami, falbanami czy halkami.

Moja ekstrawagancja była ulubionym tematem plotek, postanowiłam więc, że będę pozować w prostej bluzce, jaką nosiły Kreolki, uszytej z niedrogiego batystu.

Obraz był uroczy, został więc wystawiony na pokaz. Ludzie tłoczyli się, by go obejrzeć. Wkrótce się okazało, że każda moja decyzja budzi kontrowersje.

Jedni twierdzili, że królowa bawi się, odgrywając pokojówkę.

Inni snuli teorie, że pragnę zrujnować kupców bławatnych i francuskich producentów jedwabiu, żeby korzystać z usług Flamandów. Bo przecież Flamandowie są poddanymi brata królowej.

Najbardziej dotkliwa uwaga została jednak nabazgrana pod obrazem:

„Francja z twarzą Austrii, okryta ledwie łachmanami”.

Rozdział 16

Diamentowa kolia

Pod warunkiem że nie wypowiadam się na temat władzy, religii, polityki, moralności, wpływowych osób i instytucji, a także ludzi, którzy mogliby się poczuć dotknięci moją pisaniną, mogę publikować wszystko — pod opieką dwóch albo trzech cenzorów.

Oszczerstwo? Nie wiesz chyba, co lekceważysz; widziałem najzacniejszych ludzi, których potwarz przywiodła do zguby. Wierz mi pan, nie ma tak płaskiej złośliwości, takiej ohydy, tak nedorzecznej baśni, której by, dobrze wzięwszy się do rzeczy, nie udało się wmówić mieszkańcom stolicy; a mamy tu do tego ludzi wprost genialnych.

Beaumarchais

Kardynał posłużył się moim imieniem jak niezręczny oszust. Najprawdopodobniej zrobił to pod wpływem jakiejś nagłej potrzeby finansowej, sądząc, że zdoła spłacić dług, nim sprawa wyjdzie na jaw.

Maria Antonina do cesarza Józefa

W maju 1785 roku ku swej wielkiej radości urodziłam drugiego syna. Podczas porodu zachowano te same środki ostrożności, co przy narodzinach delfina. Mój mąż trzymał się bowiem postanowienia, że nigdy już nie narazi mnie na takie ryzyko, jak wówczas, gdy przyszła na świat nasza córka.

Ludwik osobiście podszedł do mojego łóżka i z przejęciem oświadczył:

— Mamy drugiego synka!

A dziecko trzymała w objęciach moja droga Gabrielle.

Chciałam koniecznie wziąć go na ręce. Chłopiec... idealny chłopczyk! Oboje z królem szlochaliśmy, w zasadzie wszyscy obecni szlochali z radości.

Mój mąż wysłał heroldów do Paryża. Mój syn został ochrzczony w katedrze Notre Dame przez kardynała de Rohan — podobnie jak jego brat — i otrzymał imiona Ludwik Karol. Zabrzmiało „Te Deum”, rozzwoniły się dzwony, wystrzelono honorową salwę.

Przez cztery dni i cztery noce wszyscy w Wersalu świętowali.

Czułam się taka szczęśliwa. Moje marzenia się spełniły. Miałam dwóch synów i córkę. Często pochylałam się nad kołyską małego.

— Będiesz szczęśliwy, mój kochany — szeptałam.

Och, gdybym mogła przewidzieć, jaki los czeka to nieszczęsne dziecko! Byłoby znacznie lepiej, gdyby mój syn nie przyszedł na ten świat!

* * *

Wszyscy powtarzali sobie nazwisko pewnego autora dramatycznego. Pierre’a Beaumarchais’go, który napisał „Wesele Figara”, sztukę budzącą ogromne zainteresowanie nie

tylko na dworze, ale i w całym kraju. Autor miał spore kłopoty z wystawieniem swego dzieła, bo nie tylko policja i władze miejskie, ale nawet król uważał, że ludzie nie powinni tego oglądać.

Pomyślałam, że w tej sytuacji byłoby zabawnie, gdybym wystawiła sztukę w Trianon. Artois zgodził się ze mną natychmiast i chciał zagrać cyrulika.

Kręcił się po moich apartamentach, ucząc się roli. Wcale się nie dziwię, że ludzie uważali, iż łączy nas zażyłość o niedozwolonym charakterze. W tego rodzaju sytuacjach zgodziliśmy się ze sobą całkowicie. Żadne z nas nie widziało powodu, by zrezygnować z wystawienia tej sztuki.

Dopiero dziś to rozumiem, dopiero teraz widzę, że dialogi Beaumarchais'go są pełne podtekstów. Figaro reprezentuje lud, a hrabia Almoviva, stary system i wszystkie wady arystokracji. Niemal każda linijka dialogu nasycona jest podwójnym znaczeniem. To nie jest dramat o hrabim, dla którego cudzołóstwo jest rzeczą tak naturalną jak jedzenie i picie, to nie jest sztuka o bystrym cyruliku. To obraz Francji — portret bezużytecznej arystokracji i rosnącej świadomości inteligentnych ludzi, którzy doskonale widzą, co się dzieje w kraju. Autorowi chodziło o to, by pobudzić widzów do myślenia, jak można zmienić ten stan rzeczy.

Wystarczy przypomnieć sobie takie fragmenty dialogów:

— „Urodziłem się, żeby być dworakiem.”

— „Zdaje się, że to trudne rzemiosło”.

— „Dostawać, brać i znowuż żądać — to cały sekret, czegoż szukać jeszcze”.

— „Z takim charakterem i inteligencją możesz kiedyś awansować.

— „Talent drogą do awansu? Wasza dostojność żartuje. Mierność i płaszczenie się to środki do wszystkiego”.

— „Czy ty jesteś księciem, że domagasz się pochlebstw? Słuchaj prawdy, ty nędzniku, skoro nie masz czym zapłacić pochlebcy!”

— „Szlachectwo, majątek, stanowisko, urzędy, wszystko to czyni tak pysznym! Cóżes uczynił dla zyskania tylu przywilejów? Zadałeś sobie ten trud, żeby się urodzić, nic więcej”.

Byłam zbyt pochłonięta własnymi sprawami, by dostrzec, jak murszeje stara struktura społeczna. Nie widziałam żadnego wybuchowego potencjału w tych uwagach — bawiły mnie po prostu. Ale mój mąż od razu wyczuł niebezpieczeństwo.

— Ten człowiek obraca wszystko w żart, ośmiesza nawet to, co powinno być szanowane.

— Czy to znaczy, że nie pozwolisz tego grać? — zapytałam, nie kryjąc rozczarowania.

— Nie — oświadczył zadziwiająco ostrym tonem jak na niego. — Możesz być tego pewna.

Dziś często myślę o moim biednym Ludwiku, który rozumiał to, czego ja nie potrafiłam zrozumieć. Był taki mądry, mógł być świetnym królem. Miał najlepsze intencje i był taki dobry, najsympatyczniejszy ze wszystkich znanych mi ludzi, a przy tym nie pragnął niczego dla siebie. Wybierał sobie wszystkich ministrów — Maurepasa, Turgota, którego później zastąpił Necker, a jeszcze później Callone'a — lecz żaden z tych polityków nie potrafił przeprowadzić nas bezpiecznie na drugą stronę przepaści, która powiększała się gwałtownie tuż pod naszymi stopami. Mój drogi Ludwik tak chciał wszystkich zadowolić. Ale to było niewykonalne. A co ja wtedy robiłam? Byłam narzędziem w ręku ambitnych koterii i nawet nie starałam się pomóc mężowi, który balansował na linie, starając się zadowolić mnie i swoich ministrów. Na tym polegała jego zbrodnia. Nie był okrutny ani obojętny na cierpienia innych ludzi, ani tym bardziej rozpustny. Ludwik nie był winien zbrodni, które podkopały fundamenty monarchii. Zgubiło go niezdecydowanie, do którego przyczyniła się trzpiotowata, bezmyślna żona.

Afera związana z „Weselem Figara” znakomicie obrazuje słabość Ludwika i moją lekkomyślność.

Gdy sztuka została objęta cenzurą, wzbudziła ogromne zainteresowanie. Jakże mądrze zareagował Beaumarchais, mówiąc, że tylko mali ludzie boją się druku! I jak dobrze znał ludzką

naturę! Nikt nie chciał okazać się małym człowiekiem, więc liczba zwolenników dramatu ciągle rosła. Gabrielle powiedziała, że jej rodzina uważa, iż sztuka powinna trafić na afisz. Cóż to za społeczeństwo, w którym artyści nie mogą mówić tego, co myślą! Cóż z tego, że sztuki nie można grać, skoro nie sposób zabronić ludziom czytania?

— Czytałeś „Wesele Figara”?

Wszyscy zadawali sobie nawzajem to pytanie. Tych zaś, którzy nie czytali bądź też nie wychwalali dzieła pod niebiosa, okrzyknięto natychmiast ludźmi małego formatu. Tak przecież powiedział mądry Beaumarchais.

Beaumarchais miał coraz więcej zwolenników. Caryca Katarzyna i jej syn, wielki książę Paweł, zachwycali się sztuką, deklarując, że każą ją wystawić w Rosji. Największym entuzjastą „Wesela” był jednak Artois. Sądzę, że bardzo chciał w tym spektaklu zagrać i dlatego pragnął czym prędzej ujrzeć dzieło na scenie. Posunął się nawet do tego, by zarządzić próby w królewskim teatrze — Menees Plaisirs. Ale Ludwik tym razem okazał stanowczość. Gdy publiczność zaczęła się już schodzić, wysłał diuka de Villequier, by nie dopuścił do przedstawienia.

Niedługo później hrabia de Vaudreuil, kochanek Gabrielle, oświadczył, że nie widzi przeszkód, by wystawić sztukę prywatnie. Zaprosił więc aktorów z Comedie Francaise i zorganizował przedstawienie w swoim zamku w Gennevilliers. Artois pojechał je obejrzeć. Wszyscy się zachwycali i zastanawiali się nad przyszłością francuskiej literatury, skoro najwybitniejszym artystom zakłada się kaganiec cenzury.

Beaumarchais żartował zresztą z tej instytucji w swojej sztuce:

Pod warunkiem, że nie wypowiadam się na temat władzy, religii, polityki, moralności, wpływowych osób i instytucji, a także ludzi, którzy mogliby się poczuć dotknięci moją pisaniną, mogę publikować wszystko — pod opieką dwóch albo trzech cenzorów.

Wielu ludzi uważało, że nie należy tego tolerować. Francja zawsze była ośrodkiem kultury. Kraj, który nie docenia swoich artystów, popełnia kulturowe samobójstwo.

Ludwik zaczynał mięknąć, a ja powtarzałam mu wszystkie argumenty, które słyszałam. Gdyby usnąć parę fragmentów...

— Kto wie — odrzekł król.

To była już połowa sukcesu. Wiedziałam, że wkrótce go przekonam.

I miałam rację. W kwietniu 1794 roku „Wesele Figara” zostało wystawione na deskach Comedie Française. Trudno było zdobyć bilety na to przedstawienie. Nawet ludzie dobrze urodzeni spędzili cały dzień w teatrze, by zagwarantować sobie dobre miejsca. Tłum gromadził się pod drzwiami od rana, a gdy wpuszczono widzów, wypełnili wszystkie zakamarki. Wszyscy słuchali jak zaczarowani.

Paryż oszalał na punkcie „Wesela Figara”, Beaumarchais’go cytowano w całej Francji.

Zwycięstwo kultury! Arystokracja nie pojęła, że to przedstawienie przybliżyło wizję gilotyny.

Sądzę, że dobrze uczyniłam, przyłączając się do zwolenników sztuki. Chciałam też w inny sposób okazać swój podziw i szacunek dla autora, postanowiłam więc wystawić w Trianon „Cyrulika sewilskiego” i zagrać w tym przedstawieniu rolę Rozyny.

* * *

Na początku sierpnia 1785 roku, gdy mój uroczy Ludwik Karol miał pięć miesięcy, wyjechałam do Trianon. Zamierzałam tam pozostać aż do dnia świętego Ludwika i w tym czasie wystawić „Wesele Figara”.

I jak zwykle czułam się tam szczęśliwsza niż gdzie indziej. Pamiętam, jak przechadzałam się po ogrodach, by popatrzeć na kwiaty i sprawdzić, jakie postępy robią moi majstrzy. Zatrzymałam się koło letniego domku, żeby spojrzeć na mój teatr. Na jońskich kolumnach opierał się fronton z reliefem, przedstawiającym Kupidyna z lirą i wieńcem laurowym. Pamiętam dreszcz, który czułam, ilekroć wchodziłam do wnętrza w kolorach białym i złotym. Spodnad kurtyny patrzyły na widzów dwie piękne nimfy trzymające mój herb. Sufit zaś został wspaniale ozdobiony przez samego Lagreneeego. Gdy kurtyna zasłaniała scenę, wnętrze wydawało się niewielkie. Ale to właśnie scena stała się obiektem mojej największej dumy — scena dość przestronna, by grać na niej dowolną sztukę. Widownia była zaś niewielkich rozmiarów, bo teatr miał być przedsięwzięciem rodzinnym, przeznaczonym dla wąskiego kręgu.

Oprócz przedstawień teatralnych najbardziej lubiłam niedzielne bale. Mógł na nie przyjść każdy, byle w stosownym stroju. Zawsze kazałam sobie przedstawiać matki z dziećmi i niańki z podopiecznymi. Uwielbiałam rozmowy o najmłodszych. Rozmawiałam też z dziećmi i opowiadałam im o swoich pociechach. Wtedy niczego mi do szczęścia nie brakowało. Czasami brałam udział w tańcach, w których zmieniano partnerów, chciałam bowiem przekonać wszystkich, że Trianon to miejsce, gdzie nie obowiązuje wersalska etykieta.

To był wyjątkowo radosny okres w moim życiu i nawet nie przeczuwałam, jaka burza rozpęta się za moment. Wszystko zaczęło się całkiem zwyczajnie.

Król chciał podarować swemu bratankowi, diukowi d'Angouleme, synowi hrabiego Artois, diamentowe epolety i sprzączki. Zamówił je oczywiście u nadwornych jubilerów, Boehmera i Bassange'a, prosząc, by dostarczyli je mnie.

Ze względu na pamiętne zachowanie Boehmera w obecności mojej małej córeczki nie chciałam go widzieć i kazałam całą sprawę załatwić lokajom.

Ćwiczyłam właśnie rolę razem z madame Campan, gdy przyniesiono mi epolety i sprzączki. Okazało się, że Boehmer wraz z biżuterią zostawił list.

Wzięłam kopertę z ciężkim westchnieniem. Myślałam bowiem wyłącznie o swej roli.

— Cóż to za męczący człowiek — powiedziałam. — Podejrzewam, że jest trochę szalony.

Nie przerywałam rozmowy na temat roli:

— Czy sądzisz, że mówię to zdanie z wystarczającą emfazą? Czy właśnie tak należy to powiedzieć? Proszę pokaż mi, jak ty byś to zrobiła.

Campan zagrała to doskonale. Miała niezwykły dar pięknego mówienia. Tylko że zupełnie nie wyglądała na Rozynę, moja biedna, poważna Campan.

— Wspaniale! — wykrzyknęłam i otworzyłam list. Spojrzałam na treść, poziewując nieco. Boehmer zawsze mnie śmiertelnie nudził.

Najjaśniejsza Pani!

Jesteśmy najszczęśliwsi pod słońcem, sądząc, że transakcja zaproponowana nam ostatnio, przeprowadzona przez nas z największą pieczołowitością i szacunkiem, jest kolejnym dowodem naszego oddania Waszej Wysokości. Z ogromną satysfakcją myślimy, że najpiękniejsze diamenty na świecie będą należały do największej i najlepszej królowej...

Podaliśmy list madame Campan.

— Proszę przeczytać i wyjaśnić mi, co to znaczy.

Pani Campan przeczytała to samo, co ja i była równie zdziwiona.

— O Boże — westchnęłam. — Ten człowiek mnie kiedyś zamęczy. Diamenty! Tylko to mu w głowie. Gdyby nie sprzedał tej przekłetej kolia sułtanowi tureckiemu, wciąż by mi nią zatrąwał życie. A teraz ma pewnie jakieś nowe klejnoty, które chciałby mi wcisnąć. Kiedy go zobaczysz,

proszę powiedzieć mu, że już nie lubię diamentów i że nigdy w życiu ich nie kupię. Gdybym miała pieniądze, zainwestowałabym je raczej w ziemię wokół St. Cloud. Trzeba mu to koniecznie powiedzieć i upewnić się, że zrozumiał.

— Czy Wasza Wysokość pragnie, bym się z nim jak najszybciej zobaczyła?

— O, nie, nie ma takiej potrzeby. Możesz z nim porozmawiać przy okazji. W przeciwnym razie w jego zwariowanej głowie mogłyby się znowu zrodzić jakieś nieuzasadnione mrzonki. Gdy się dowie, że już nie lubię diamentów, oszaleje na punkcie szmaragdów. I przekaż mu to wszystko w taki sposób, by się nie domyślił, że robisz to na moją prośbę.

— On często bywa u mojego teścia, madame. Wcale niewykluczone, że go tam spotkam.

— To doskonały pomysł. — Uśmiechnęłam się. — Jesteś taka dyskretna i godna zaufania. Możesz być pewna mojej wdzięczności. — Spojrzałam na list Boehmera z odrazą. A potem przystawiłam go do płomienia świecy i patrzyłam, jak płonie. — To koniec z panem Boehmerem i jego diamentami.

* * *

Jakże się myliłam!

Madame Campan wyjechała na parę dni do posiadłości swego teścia w Crespy. Brakowało mi jej, bo nikt inny — ani Gabrielle, ani Elżbieta — nie potrafił w taki sposób pracować ze mną nad rolą. Postanowiłam wezwać ją jak najszybciej. Nie mogłam przestać myśleć o przedstawieniu. To będzie wielki sukces. Rola Rozyny była dla mnie stworzona. Lubiłam czytać opis tej postaci, stworzony przez autora:

Wyobraź sobie najpiękniejszą kobietę na świecie: łagodną, tkliwą, gibką, świeżą i apetyczną, o chryznych nóżkach i prościutkiej a smukłej kibici, o ramionach okrągłych a ustach świeżych jak rosa poranna! Jakie ręce, jakie zęby! Jakie oczy!

Ciotki miały wątpliwości, czy to stosowna charakterystyka królowej Francji. Wydawało im się, że to bardziej pasuje do kokietki. Królowa Francji nie powinna grać zwyczajnej bohaterki.

Śmiałam się z tych zastrzeżeń. Ludwik też trochę się niepokoił, ale ja zawsze potrafiłam go przekonać. Wiedział, jak bardzo pragnę, by przedstawienie się odbyło. I że serce by mi pękło, gdybym nie mogła wziąć w nim udziału. Nie słuchał więc gderania ciotek i cieszył się, że jestem taka szczęśliwa, ucząc się roli. A poza tym przecież tak niedawno urodziłam mu kolejnego syna.

Parę dni po wyjeździe madame Campan w Trianon zjawił się Boehmer, prosząc o audiencję i tłumacząc, że właśnie moja lektorka doradziła mu, by zobaczyć się ze mną bez zwłoki.

Służąca, która mi o tym powiedziała, dodała, że jest bardzo wzburzony.

Nie bardzo rozumiałam, co on tu robi, jeśli madame Campan przekazała to, o co prosiłam. Doszłam do wniosku, że pewnie tym razem zjawił się ze szmaragdami, szafirami albo innymi kosztownościami. Dość miałam zmartwień z jego diamentami i nie zamierzałam pozwolić, by powtórzył swoje przedstawienie, trzymając w ręku inne klejnoty.

— Nie zamierzam przyjąć pana Boehmera — oświadczyłam. — Nie mam mu nic do powiedzenia. To szalenie. Proszę mu powiedzieć, że nie mam czasu.

Parę dni później posłałam po Campan, czując, że potrzebuję jej pomocy podczas prób. Gdybym nie była tak pochłonięta swoim teatralnym przedsięwzięciem — a zajmowałam się nie tylko rolą, ale także kostiumami i scenografią — zauważyłabym, że madame Campan bardzo się niepokoi.

W końcu jednak zapytałam:

— Był tu ten głupiec Boehmer, a na dodatek twierdził, że to ty mu poradziłaś, by przyszedł jak najszybciej. Odesłałam go oczywiście, ale co to właściwie znaczy? Czy wiesz, czego on mógł chcieć?

Wtedy moja wierna Campan wybuchnęła:

— Madame, w domu mego teścia wydarzyło się coś nad wyraz dziwnego. Chciałabym o tym natychmiast opowiedzieć. Czy Wasza Wysokość zezwala?

— Proszę bardzo.

— Gdy pan Boehmer zjawił się na obiedzie, pomyślałam, że oto nadarza się doskonała sposobność, by przekazać mu słowa Waszej Wysokości. Madame, trudno mi opisać zdziwienie, jakim zareagował. W końcu wyjąkał, że napisał list do Najjaśniejszej Pani i nie otrzymał odpowiedzi. Sądzę, że chodziło o ten list, który przekazał wraz z królewskim podarunkiem dla diuka d'Angouleme. Powiedziała mu, że ja także czytałam ten list i że wydał mi się niezrozumiały. Na co on odparł, że ja mogłam go nie zrozumieć, ale królowa zrozumiała na pewno. Nadchodzili kolejni goście, a ja powinnam się nimi zajmować, próbowałam więc przeprosić pana Boehmera, on jednak zapytał, czy możemy porozmawiać później. Zachowywał się tak dziwnie, że obiecałam mu spacer po ogrodzie w stosownym momencie, tak by mógł wyjaśnić, o co mu właściwie chodzi.

— Ten człowiek jest szalony, nie mam co do tego wątpliwości.

— Madame, to rzeczywiście niezwykła historia, ale on przysięga, że prawdziwa.

— Proszę mówić dalej.

— Boehmer powiedział, że królowa ma u niego okazały dług.

— To nieprawda. Jego rachunki zawsze były płacone.

— Madame, to nie wszystko. On twierdzi, że Najjaśniejsza Pani kupiła jego diamentową kolbę.

— O, nie! Tylko nie to! Kupił ją przecież sułtan turecki.

— On powiada, że to nieprawda. Że proszono go, by puścił w obieg taką plotkę. Odrzekłam, że to wszystko chyba mu się przyśniło. Powiedziała mi: „Królowa już dawno temu oświadczyła, że nie kupi tej kolby, a co więcej, wiem dobrze, że Najjaśniejszy Pan proponował, że ją podaruje małżonce, ale Jej Wysokość nie zmieniła zdania”. Na to Boehmer, że jednak zmieniła.

— Och, Campan, co to wszystko może znaczyć?

— Nie wiem, madame, ale Boehmer opowiada przedziwną historię. Zapewnił mnie, że to Wasza Wysokość kupiła kolbę. Powtórzyłam, że to niemożliwe i że nigdy nie widziałam jej pośród królewskich klejnotów. Boehmer twierdził, że powiedziano mu, iż Najjaśniejsza Pani miała zamiar włożyć kolbę na Zielone Świątki i bardzo się zdziwił, gdy usłyszał, że tak nie było.

— Moja droga Campan, to przecież wierutne bzdury. Mówiłam, że to szaleniec.

— Tak, madame, ale on opowiedział to wszystko tak szczerze i z wielkim przekonaniem. Wydawał mi się całkiem rozsądny i całkiem pewny tego, co mówi. Zapytałam go, kiedy Najjaśniejsza Pani powiedziała mu o swoich zamiarach, wiedząc, że Wasza Wysokość go nie przyjmuje już od dawna. I wtedy wyjawiał rzecz najdziwniejszą. Oświadczył, że w imieniu Najjaśniejszej Pani działał kardynał de Rohan.

— Kardynał de Rohan! To najlepszy dowód jego szaleństwa. Nienawidzę Rohana. Nie zamieniłam z nim słowa od ośmiu lat.

— Tak też powiedziałam Boehmerowi. Na co on wyjaśnił, że Wasza Wysokość tylko udaje, że nienawidzi Rohana, a w rzeczywistości utrzymuje z nim przyjacielskie stosunki.

— Ależ to kompletnie absurdalna historia.

— Ja także to w ten sposób określiłam. Boehmer zaklinał się jednak, że mówi prawdę. Jeśli rzeczywiście jest wariatem, to bardzo dobrze udaje człowieka rozsądnego. Miał odpowiedź na wszystko. Twierdził, że rozkazy Waszej Królewskiej Mości zostały mu przekazane w liście,

podpisanym przez samą królową i że on z kolei pokazał ten list swoim wierzycielom. Kolia miała zostać spleciona w ratach. Boehmer dostał już trzydzieści tysięcy franków, które Najjaśniejsza Pani przekazała mu przez kardynała w chwili, w której ten odebrał kolie.

— Nic z tego nie rozumiem! — zawołałam. Pomyślałam, że to jednak nie są żarty i że zdarzyło się coś bardzo tajemniczego. — Podejrzewam, że Boehmer padł ofiarą jakiegoś szalbierstwa. Musimy to zbadać. Zaraz po niego poślę.

Posłałam do Paryża gońca, z poleceniem, by jubiler natychmiast stawił się w Trianon.

* * *

— Panie Boehmer — powiedziałam. — Proszę mi wyjaśnić, dlaczego muszę wysłuchiwać szalonych twierdzeń, jakobym kupiła od pana kolie, której kupić nigdy nie chciałam.

— Madame — odrzekł. — Muszę zaspokoić swoich wierzycieli.

— Nie rozumiem tylko, co ja mam z tym wspólnego.

— Madame — tłumaczył się, wielce zdenerwowany — za późno na udawanie. Jeśli Najjaśniejsza Pani nie potwierdzi wreszcie, że ma kolie i nie wypłaci mi przynajmniej części należności, będę musiał ogłosić bankructwo i wszyscy się dowiedzą, dlaczego.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Nie wiem nic na temat pańskiej kolii.

Niewiele brakowało, a jubiler by się rozpłakał.

— Madame — zawołał — proszę mi wybaczyć, ale ja muszę odzyskać swoje pieniądze!

— Mówię przecież, że nie jestem panu nic winna. Nie kupiłam pańskiej kolii. Wie pan doskonale, że nie widziałam ani tego klejnotu, ani pana już od dawna.

— Najjaśniejsza Pani, kardynał de Rohan zapłacił mi pierwszą ratę, gdy przekazałem mu kolie. Muszę odzyskać swoje pieniądze...

Nie mogłam już dłużej patrzeć na tego człowieka.

— Ktoś popełnił jakieś oszustwo i trzeba to wyjaśnić — oświadczyłam. — Proszę odejść, panie Boehmer, a ja natychmiast zajmę się tą sprawą.

Jubiler wyszedł, ja zaś wróciłam do sypialni. Drżałam z przejęcia. Wokół mnie działo się coś bardzo dziwnego, a za sznurki pociągał ten rozpustnik, kardynał de Rohan.

Ma się rozumieć, że to jakieś oszustwo. Ów człowiek jest przecież łajdakiem. Przywłaszczył sobie diamentową kolie, a teraz udaje, że to jaja kupiłam.

Wiele o nim słyszałam, od czasu, gdy witał mnie oficjalnie w Strasburgu. Matka ciągle na niego narzekała, gdy pełnił funkcję ambasadora Francji w Wiedniu i naciskała Mercy'ego, by zabiegał o jego odwołanie.

Wszystkie nasze młode i czyste kobiety zostały przez niego oszukane — pisała. — Wyraża się niewłaściwie, mimo że jest ministrem i duchownym. Nieustannie przeklina, nie zważając na to, w jakim przebywa w towarzystwie. Jego towarzysze nie pozostają w tyle — są także ludźmi pozbawionymi zasad moralnych i wartości.

Za czasów Ludwika XV ani Mercy, ani ja nie mogliśmy wpłynąć na to, by odwołano go z Wiednia, wszystko się jednak zmieniło, gdy mój mąż został królem. Moja matka doniosła, że się bardzo cieszy, iż wreszcie nastął kres jego misji. Ostrzegła mnie jednak przed tym człowiekiem. Twierdziła, że nie powinnam się spodziewać po nim niczego dobrego ani też pozwolić, by mnie oczarował, bo jest pochlebcą i potrafi prawić piękne słówka. Po takich rekomendacjach zaczęłam traktować go jak kogoś w rodzaju ogra i nigdy nie przyjął. Moje uczucia nie złagodniały z

pewnością, gdy się dowiedziałam, że napisał list do diuka d'Aiguillon na temat mojej matki i że madame du Barry odczytała go na głos na jednym ze swoich przyjęć.

W liście napisał:

Maria Teresa rzeczywiście płakała nad losem ciemżonej Polski, ale trzeba pamiętać, że cesarzowa jest mistrzynią w maskowaniu swych prawdziwych uczuć i potrafi płakać na zawołanie. W jednej ręce trzyma chusteczkę, którą ociera sobie łzy, a w drugiej miecz, którym walczy o to, by także przystąpić do rozbiorów.

Rohan napisał ten list mniej więcej wtedy, gdy ja odmawiałam kontaktów z madame du Barry, a moja matka, wprowadzając surowe prawa skierowane przeciwko wiedeńskim ladacznicom przykazywała, bym nie spowodowała zaostżenia stosunków między Francją a Austrią, trwając w uporze.

Nie znosiłam tego człowieka. Ignorowałam go. Podejrzewam, że opanowała go obsesja poszukiwania jakiegoś sposobu, by wkraść się w moje łaski. Im bardziej go lekceważyłam, tym bardziej zabiegał o moje względy, a ja utwierdzałam się w przekonaniu, że nigdy na to nie pozwolę.

Kiedyś udało mu się odnieść nade mną zwycięstwo. Nie życzyłam sobie, by Rohan został wielkim jałmużnikiem Francji. Ogarnął mnie gniew, kiedy się dowiedziałam, i że to właśnie on chrzczył moje dzieci. Cóż jednak mogłam poradzić, skoro piastował tak wysokie stanowisko?

Podobno madame de Marsan, krewna Rohana, zapytała Ludwika, czy kuzyn mógłby objąć to stanowisko, a król, który lubił sprawiać ludziom przyjemność, złożył jej obietnicę. Kiedy się o tym dowiedziałam, chciałam natychmiast zapobiec nominacji, zwłaszcza że zachęcała mnie do tego gorąco moja matka razem z Mercym. Mówiłam Ludwikowi, że człowiek, który obraził moją matkę, nie powinien być wielkim jałmużnikiem Francji. Ludwik zgodził się, że to dość niefortunny zbieg okoliczności, ale obiecał madame de Marsan i nie może złamać słowa.

— To niemożliwe! — krzyczałam. — Ten człowiek obraził przecież mnie, znieważając moją matkę. Czy mógłbyś w ten sposób uhonorować kogoś, kto obraził twoją żonę?

— Oczywiście, że nie...

— W takim razie musisz mu powiedzieć, że nie dostanie tego stanowiska. Jesteś przecież królem!

— Moja droga, dałam słowo...

Wydawało mi się, że muszę wygrać tę sprawę. Gdyby mi się nie udało, matka doszłaby do wniosku, że nie mam żadnego wpływu na męża. Zaczęłam więc płakać. Łkałam, mówiąc, że już zupełnie się nie liczę. I że mój mąż woli spełniać życzenia innych kobiet, a nie moje.

Łzy zawsze niepokoiły Ludwika. Zarzekał się, że źle to interpretuję. Że jest gotów zrobić wszystko, by mnie zadowolić. Co bym powiedziała na przykład, gdyby mi ofiarował kolczyki, które tak mi się podobały. Boehmer umieścił w nich jedno ze swych najpiękniejszych diamentów.

Nie przestawałam płakać. Nie chciałam żadnych diamentów. Pragnęłam, żeby zapomniał o obietnicy, którą dał madame de Marsan. Czy to tak wiele?

Obiecał, że to zrobi. Obiecał, że powie madame de Marsan, iż musi zapomnieć o obietnicy.

Zarzuciłam mu ręce na szyję, mówiąc, że jest najlepszym mężem na świecie.

Nie wzięłam jednak pod uwagę madame de Marsan, która nie zamierzała się poddać.

Król dał jej słowo. Czy zmiana decyzji oznacza, że nie można polegać na królewskim słowie?

— Madame, nie jestem w stanie spełnić pani życzenia — powiedział jej Ludwik. — Dałam słowo królowej.

Ludwik był dobry, ale i słaby. Gdyby jego dziadek albo Ludwik XIV oświadczył, że wycofuje dane słowo, wszyscy przyjęliby to bez szemrania. Tymczasem z nim zawsze próbowali dyskutować, czasem go nawet krytykowali, a w tym przypadku posunięto się do szantażu.

— Szanuję życzenia królowej, Najjaśniejszy Panie — odparła ta impertynentka, która mnie nigdy nie znosiła — ale Wasza Wysokość ma chyba tylko jeden honor. Królowa nie może żądać, by król dla jej kaprysu robił coś, czego żaden uczciwy człowiek nie uczyniłby nawet pod groźbą śmierci. Dlatego, pozostając z całym szacunkiem dla Waszej Królewskiej Mości, muszę uprzedzić, że jeśli Najjaśniejszy Pan nie dotrzyma obietnicy, którą mi dał publicznie, to będę zmuszona ujawnić informację, że stało się tak ze względu na życzenie królowej.

Ludwik tłumaczył mi później, że nic nie mógł na to poradzić, ponieważ rzeczywiście jej pierwszej złożył obietnicę.

Byłam wściekła, ale zrozumiałam, że ani łzy, ani błagania nie pomogą, poddałam się więc i zapomniałam o wszystkim — aż do teraz.

Ale nigdy nie zaakceptowałam kardynała de Rohan. Wtedy moja niechęć do niego wzrosła. Potem przestałam o nim myśleć, teraz jednak znowu byłam do tego zmuszona.

Mój gniew wcale nie słabł. Tłumaczyłam sobie, że zaangażowałam się w tę sprawę tak bardzo, ze względu na udział kardynała de Rohan w oszustwie. Postanowiłam natychmiast powiedzieć o wszystkim mężowi.

Ludwik wysłuchał mnie z powagą i oświadczył, że Boehmer musi natychmiast zdać relację ze swojej wersji wydarzeń. Wiedząc, że Mercy z pewnością opisze całą aferę mojemu bratu — wciąż bowiem korespondował z Wiedniem, choć nie tak regularnie jak za życia mojej matki — sama napisałam do Józefa, wyjaśniając sprawę w sposób, który wydawał mi się najbardziej logiczny.

Kardynał posłużył się moim imieniem jak niezręczny oszust. Najprawdopodobniej zrobił to pod wpływem jakiejś nagłej potrzeby finansowej, sądząc, że zdoła spłacić dług nim sprawa wyjdzie na jaw.

Gniew mnie nie opuszczał. Nie cierpiałam tego człowieka. Nie dość, że oczerniał moją matkę, teraz próbował oczernić mnie. Pragnęłam zemsty.

Gdy Boehmer przysłał swoją relację na temat spotkań z kardynałem, który rzekomo kupił dla mnie tę kulię, ogarnęła mnie prawdziwa furia. Kardynał przysiągł, że otrzymał zlecenie ode mnie.

— On musi stracić pozycję i wszystkie stanowiska! — zawołałam. — Ludwiku, musisz mi obiecać, że go uwięzisz.

— Mam uwięzić kardynała i w dodatku de Rohana?! Ależ moja droga...

— Nadużył mojego imienia. Kłamał i oszukiwał. Musi iść do więzienia. Ludwiku musisz przysiąc, że to zrobisz.

Król się zaniepokoił.

— Trzeba przyrzeć się bliżej tej sprawie. Na razie błądzimy w ciemnościach.

— W ciemnościach! Mamy przecież relację jubilera. Jeśli nie aresztujesz tego człowieka, poczuję się, jakbyś wierzył Rohanowi a nie mnie.

— Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił, ale...

— W takim razie każ go uwięzić. — Zarzuciłam mu ręce na szyję. — Ludwiku, musisz to zrobić. Jeśli postąpisz inaczej, wszystkim się będzie wydawało, że nawet ty jesteś przeciwko mnie. Obiecuj mi, obiecuj mi, że pošlesz kardynała do więzienia.

Mój biedny Ludwik! Trudno o bardziej dobitny przykład człowieka, który miał dość inteligencji, by wiedzieć, jak należy postąpić, a któremu brakowało siły woli, by to zrobić. Ludwik nade wszystko pragnął spokoju. Nie chciał nikogo skrzywdzić. Nie potrafił mi się przeciwstawić,

choć wiedział, że działam przeciwko sobie. Nie potrafił logicznie argumentować, skonfrontowany ze łzami i gniewem lekkomyślnej kobiety.

— Kardynał zostanie aresztowany — przyrzekł, a ja byłam usatysfakcjonowana.

* * *

Było to piętnastego sierpnia, w święto Wniebowzięcia. Król wezwał do swego gabinetu barona de Breteuil, ministra dworu, i pana de Miromesnil, strażnika pieczęci. Ja już tam czekałam.

Mój mąż szybko wyjaśnił przyczynę spotkania i dodał, że życzy sobie, by natychmiast aresztowano kardynała.

Pan de Miromesnil od razu zaprotestował:

— Najjaśniejszy Panie, zarówno stanowisko de Rohana jak i jego urodzenie uprawniają go do złożenia zeznań przed aresztowaniem.

Ludwik zawahał się, bo podzielał zdanie strażnika pieczęci.

— Nadużył mojego imienia. Zachował się jak zwyczajny oszust. Nalegam, by został natychmiast aresztowany.

Zobaczyłam, że Breteuilowi zaświeciły się oczy. Nienawidził kardynała co najmniej tak samo jak ja, bo gdy miał go zastąpić na stanowisku ambasadora w Wiedniu, sporo ucierpiał z powodu złośliwości de Rohana.

— Nie ma wątpliwości co do przebiegu wydarzeń, Rohan to najbardziej rozrzutny człowiek we Francji. Odbudował pałac episkopatu w Strasburgu — proszę sobie przedstawić, ile musiało go to kosztować — a poza tym traci fortunę na kobiety. Konkuruje z tym rozpustnikiem Cagliostrem, który mieszka w jego pałacu, pławiąc się w luksusach i sporo kosztuje swego patrona. Księciu od lat brakuje pieniędzy, pomimo ogromnych dochodów. Z pewnością jest zadłużony i najprawdopodobniej znalazł sposób, by zadowolić swych wierzycieli.

— Zhańbił swój tytuł i nazwisko — dodałam czym prędzej. — Nie zasługuje na żadne szczególne względy.

Widziałam, że mój mąż waha się pomiędzy tym, co uważa za słuszne i tym, co mnie zadowoli, rzuciłam mu więc swoje najbardziej powabne spojrzenie. Pan de Breteuil, nie kryjąc nawet radości z możliwości pogięcia wroga, stanął po mojej stronie.

Król podjął decyzję o aresztowaniu Rohana.

W dniu Wniebowzięcia obchodziłam imieniny i miałam odbierać gratulacje i życzenia podczas specjalnego przyjęcia. Wszystkie galerie i *oeil de boeuf* były więc zatłoczone. Kardynał, jako wielki jałmużnik Francji, miał celebrować mszę w królewskiej kaplicy. Nieświadom tego, co go czeka, zjawił się w liturgicznych i szkarłatnych szatach. Powiedziano mu, że król czeka na niego w swoim gabinecie. Zdziwił się zapewne, że ani ja, ani król nie pojawiliśmy się, ale poszedł do gabinetu, niczego nie przeczuwając.

Nisko uklonił się królowi i mnie. Specjalnie odwróciłam głowę i udawałam, że go nie widzę. Wiedziałam, jakie wrażenie robi na nim tego rodzaju zachowanie.

Ludwik przystąpił do rzeczy.

— Drogi kuzynie — powiedział — czy kupiłeś diamenty od Boeh — mera?

Kardynał pobladł, ale odpowiedział:

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Gdzie one są?

— Sądzę, że zostały wręczone królowej.

Wydałam okrzyk oburzenia, ale król pytał dalej, jakby tego nie zauważył.

— Kto przekazał ci zlecenie zakupu biżuterii?

— Hrabina de la Motte–Valois. Dała mi list od Jej Wysokości Królowej Francji. Wydawało mi się, że sprawię Najjaśniejszej Pani przyjemność, załatwiając tę sprawę...

Nie mogłam się już dłużej powstrzymać od komentarza.

— Czy pan sądzi, kardynale, że powierzyłabym takie zadanie komuś, z kim nie rozmawiam od ośmiu lat! I jak pan mógł uwierzyć, że prowadzę jakiekolwiek negocjacje za pośrednictwem tej kobiety?

Kardynał zadrżał ze zdenerwowania.

— Widzę, że zostałem haniebnie oszukany. Zapłacę za kolię. — Popatrzył na mnie tak pokornie, jakby błagał mnie o odrobinę współczucia. Ale nie powinien się go spodziewać. — Pragnienie, by sprawić przyjemność Najjaśniejszej Pani, zupełnie mnie zaślepilo. Nie podejrzewałem oszustwa... aż do tej chwili. Jest mi niezmiernie przykro. Czy mogę pokazać Waszym Wysokościom dowód na to, że zostałem wplątany w tę sprawę?

Król skinął głową, a kardynał drżącymi rękami wyjął z kieszeni jakiś papier i podał go Ludwikowi. Stałam koło mojego męża. To było bez wątpienia zlecenie zakupu kolin, napisane na pozór przeze mnie i zaadresowane do hrabiny de la Motte–Valois.

— To nie jest mój charakter pisma! — wykrzyknęłam z triumfem.

— I proszę spojrzeć — dodał król — tu jest podpis: „Marie Antoinette de France”. — Ludwik obrócił się z surową miną do Rohana, który wyglądał tak, jakby miał zemdleć. — Jak księżę de Rohan i królewski kapelan mógł uwierzyć, że królowa Francji podpisuje się w ten sposób? Na pewno wiesz, że królowe podpisują się tylko imieniem, nawet królewskie córki nie mają innego podpisu i że królewska rodzina nigdy nie dodałaby do imienia słów „de France”. Mam tu pewien list, podpisany przez ciebie, kuzynie, i adresowany do Boehmera. Proszę na mnie popatrzeć i powiedzieć, czy to jest fałszerstwo.

Kardynał zachwiał się na nogach. Ludwik wcisnął mu papier do ręki.

— Nie przypominam sobie, że bym to pisał — wyjął Rohan.

— Jest tu podpis. Czy to rzeczywiście twój podpis?

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Dokument musi być autentyczny, jeśli jest przeze mnie podpisany.

— Żądam natychmiastowych wyjaśnień — powiedział król.

Widziałam, że ogarnia go współczucie dla kardynała. Ten dumny i arogancki człowiek, który tak często kpił sobie z innych ludzi, był niemal sparaliżowany. Ludwik z pewnością go żałował, bez względu na przewinienia kardynała.

— Drogi kuzynie, wcale nie pragnę przekonać się o twojej winie — dodał teraz łagodnie. — Cieszyłbym się, gdybyś zdołał usprawiedliwić swoje postępowanie. Proszę mi więc wyjaśnić, co to znaczy.

— Najjaśniejszy Panie — jękał się kardynał — jestem zbyt zdenerwowany, żeby w tej chwili odpowiadać na pytania... Nie jestem w stanie.

— Proszę się uspokoić, księżę — odrzekł uprzejmie król — i udać do mego gabinetu. Znajdzie tam pan papier, pióra i atrament. Proszę spisać wszystko, co masz mi do powiedzenia.

Kardynał wyszedł.

— Ten człowiek jest winien — oświadczył Breteuil, ale król milczał. Tego rodzaju wydarzenia wytrącały go z równowagi.

Czekaliśmy kwadrans. Tłumy zgromadzone w galeriach na pewno zaczynały się już niecierpliwie. Wszyscy domyślali się zapewne, że coś jest nie tak. Król siedział ze zmarszczonymi brwiami za biurkiem i od czasu do czasu spoglądał na zegar. Miromesnil był bardzo zdenerwowany.

Piętnaście minut później pojawił się kardynał — z kartką, na której wiele nie napisał.

Stałam obok króla i czytałam razem z nim piętnaście nieskładnie napisanych zdań. Wynikało z tego tylko tyle, że pewna kobieta, podająca się za hrabinę de la Motte-Valois, przekonała go, że pragnę kupić za jego pośrednictwem tę kolia i że teraz już wie, że owa kobieta go oszukała.

Król westchnął i odłożył papier. Nie miałam ochoty patrzeć na Rohana, czułam jednak, że kardynał nie spuszcza ze mnie wzroku. Nienawidziłam go bardziej niż kiedykolwiek.

— Gdzie jest ta kobieta? — zapytał król

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie.

— A gdzie kolia?

— W rękach tej kobiety, Najjaśniejszy Panie.

— A owe dokumenty, podpisane rzekomo przez królową?

— Mam je w domu, Najjaśniejszy Panie. Zostały sfalszowane.

— Dobrze wiemy, że zostały sfalszowane!

— Przyniosę wszystko Waszej Królewskiej Mości.

— Muszę cię ostrzec, drogi kuzynie — powiedział król — że za chwilę zostaniesz aresztowany.

Kardynał oniemiał.

— Wasza Wysokość zna moje posłuszeństwo, błagam jednak, by oszczędzono mi aresztowania w szatach pontyfikalnych.

Zobaczyłam, że mój mąż znów się waha. Chciał oszczędzić temu człowiekowi takiego upokorzenia. Zacisnęłam dłoń. Ludwik spojrzał na mnie przepaszająco, a ja zacisnęłam usta. Najwyraźniej współczucie do mojego wroga zaczynało w nim przeważać nad pragnieniem spełnienia mojej prośby.

Wyraz mojej twarzy musiał być znaczący, bo Ludwik powiedział:

— Obawiam się, że decyzja jest nieodwołalna.

— Gdyby Najjaśniejszy Pan zechciał wziąć pod uwagę nasze więzy rodzinne... — ciągnął Rohan.

To bez wątplenia poruszyło mojego męża, a do moich oczu napłynęły łzy wściekłości. Ludwik to zauważył i powiedział:

— Będę pocieszał pańską rodzinę ze wszystkich sił. I ogromnie się ucieszę, gdy udowodni pan swoją niewinność. Na razie muszę jednak spełnić mój obowiązek jako król i jako małżonek.

Pan de Breteuil był po mojej stronie. Dał znak, by kardynał wyszedł przez drzwi prowadzące do sali, gdzie wszyscy się zgromadzili. W obecności całego dworu Breteuil krzyknął do kapitana straży tak głośno, że echo rozniosło się po Galerii Zwierciadeł.

— Proszę aresztować Jego Eminencję Kardynała!

* * *

A ja triumfowałam.

— No i sprawa została załatwiona. Ten niegodziwy człowiek zostanie uznany za oszusta i ukarany za wszystkie swoje przewinienia.

Usiadłam, by czym prędzej napisać do Józefa: „Cieszę się ogromnie, że cała rzecz została zakończona”.

Dziś nie wiem, czy naprawdę tak myślałam, czy też sama się oszukiwałam, mając w głębi serca świadomość, że to bardzo poważna sprawa. Teraz wiem, że potrafiłam zwodzić samą siebie.

Spodziewałam się gratulacji. Oczekiwałam, że moi przyjaciele będą razem ze mną się cieszyć z upadku tego niegodziwego człowieka. Ale w moich apartamentach panowała dziwnie posepna cisza. Gabrielle wcale nie pojawiła. Nie przyszło mi nawet do głowy, że rodzina przykazała jej trzymać się z daleka. Madame Campan zachowywała się dziwnie powściągliwie, jakby sama była

zamieszana w tę sprawę. To wszystko powinno mi dać do myślenia. Ona naprawdę się o mnie troszczyła i gdy znalazłam się w niebezpieczeństwie, szczerze uczucia wobec mnie kazały się jej niepokoić, a inteligencja nie pozwalała trwać w złudzeniach.

Księżna de Lamballe zgodziła się ze mną, że to dobre posunięcie, lecz nie na darmo miała opinię idiotki. Elżbieta zrobiła się smutna, ona jednak zawsze była taka pobożna i spodziewała się samych kłopotów. Moje szwagierki wydawały się dość zadowolone. Ale ja miałam inne sprawy na głowie: premierę „Cyrulika sewilskiego”. Nie mogłam przecież pozwolić, by cokolwiek stanęło na drodze moim teatralnym planom.

Postanowiłam natychmiast wyjechać z Wersalu do Trianon.

— Musimy kontynuować próby przerwane przez tę idiotyczną aferę z naszyjnikami — oświadczyłam.

W Trianon zaś myślałam wyłącznie o swojej roli.

Kiedy Campan powiedziała mi, że rodzina kardynała wpadła w furję z powodu jego aresztowania i osadzenia w Bastylji, wy — buchnęłam śmiechem.

— Dawno powinien tam trafić — odparowałam. — A teraz proszę mnie przepytać z pierwszego aktu.

Dziś dialogi z tej sztuki wydają mi się ponurym ostrzeżeniem. Wtedy jednak nie widziałam żadnej dwuznaczności w słowach Bazylia na temat kalumnii.

Dziś jeszcze je wspominam:

Oszczerstwo? Nie wiesz chyba, co lekceważysz; widziałem najzacniejszych ludzi, których potwarz przywiodła do zguby. Wierz mi pan, nie ma tak płaskiej złośliwości, takiej ohydy, tak niedorzecznej baśni, której by, dobrze wzięwszy się do rzeczy, nie udało się wmówić mieszkańcom stolicy; a mamy tu do tego ludzi wprost genialnych.

Jakże prawdziwe się okazały. Byłam głupia, sądząc, że już nigdy nie usłyszę o aferze z diamentową kolia.

Lecz wtedy myślałam tylko o swoim przedstawieniu.

I w końcu stanęłam na scenie, rozkoszując się aplauzem. Grałam jak nigdy przedtem.

Taka wspaniała sztuka w moim własnym teatrze i ze mną w głównej roli! Szczęśliwa i podniecona sukcesem, nie miałam żadnych przeczuć, że już nigdy nie zagram na tej scenie.

Rozdział 17

Naszyjnik królowej

Pani de Boulainvillers spostrzegła kiedyś ze swego tarasu dwie śliczne wieśniaczki, uginające się pod ciężarem chrustu; proboszcz, który jej wówczas towarzyszył, powiedział, że dziewczęta są w posiadaniu pewnego dokumentu, z którego wynika niezbiecie, iż pochodzą z rodu Walezjuszy, jako córki bękarta jednego z książąt tego domu.

Pamiętniki pani Campan

Twarz tej kobiety (baronowej d'Oliva) od razu wzbudziła we mnie dziwny niepokój — czułem — się tak, jakbym ją znał, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd... Tym, co mnie zadziwiło było niezwykle podobieństwo do królowej.

Beugnot

Po tym fatalnym wydarzeniu (spotkaniu przy posągu Wenus) kardynał postępuje nie tyle naiwnie, co ślepo, a zaślepia go poczucie obowiązku. Posłuszeństwo wobec rozkazów przekazywanych mu przez madame de la Motte wiąże się bowiem z poczuciem ogromnego szacunku i głębokiej wdzięczności, które mają kolosalny wpływ na jego życie. Zamierza czekać spokojnie na moment, kiedy doświadczy łask królowej, okazując jej tymczasem całkowite posłuszeństwo. Tak należy opisać stan jego ducha.

*Pan de Target, adwokat kardynała de Rohana
podczas procesu*

Dziś sądzę, że afera z naszym naszyjnikiem była pierwszym grzmiotem potężnej burzy, która miała się rozpętać nad moją głową.

Postanowiłam zrobić wszystko, by Rohan został osądzony i uznany winnym. Chciałam, by ogłoszono go oszustem, za jakiego go uważałam. Czy w jakikolwiek sposób usprawiedliwiałoby to, że jest księciem ze szlacheckiego rodu? Ze względu na pamięć mojej matki i na godność królowej Francji chciałam udowodnić, że jest winien wszystkich grzechów, o jakie go posądzałam.

Śmiałam się na myśl o tym, czego oczekuje jego rodzina. Wyobrażali sobie, że król skorzysta z prawa łaski i wyśle mu co najwyżej *lettre de cachet*, skazując go na krótkie wygnanie. Wierzyli, że później kardynał wróci na dwór i cała sprawa pójdzie w niepamięć.

Z mojego punktu widzenia było to niedopuszczalne.

Ludwik wahał się jak zwykle. Zdrowy rozum podpowiadał mu, że powinien słuchać mądrych doradców, a także własnej intuicji, bo tak będzie lepiej dla nas wszystkich; uczucia — a kochał mnie szczerze — podpowiadały jednak, że nie może lekceważyć moich wybuchów furii skierowanych przeciwko człowiekowi, który ośmielił się przypuszczać, że mogłabym prowadzić z nim jakieś potajemne negocjacje. Gdy tylko słyszałam nazwisko Rohana, wygłaszałam płomienne tyrady, które często kończyły się łzami.

— Kardynał musi ponieść karę.

Ludwik podkreślał, że Rohan należy do jednej z najstarszych rodzin francuskich, że jest spokrewniony z Kondeuszami, także z Soubise'ami i Marsanami. Wszyscy czuli się osobiście znieważeni tym, że ich krewniak został aresztowany publicznie jak zwykły przestępca.

— Bo jest zwykłym przestępcą — oświadczyłam. — I cały świat powinien o tym wiedzieć.

— Tak, tak, oczywiście masz rację — odparł mój mąż. — Ale nawet Rzym okazuje wielkie niezadowolenie, że kardynał został w ten sposób potraktowany.

— A dlaczegóżby nie? Zasłużył na taki los znacznie bardziej niż biedak, który kradnie chleb z głodu.

— Masz rację — przytaknął znowu mój mąż.

Objęłam go czule.

— Nie pozwolisz, by człowiek, który mnie znieważył, uniknął kary, prawda?

— Dopilnuję, by został uczciwie ukarany.

Mimo to Ludwik pozwolił kardynałowi wybrać, czy chce być sądzony przez króla, czy przez parlament.

Rohan szybko podjął decyzję i napisał do króla list. Autor tego listu nie był już przerażonym i załamany człowiekiem, jakiego wiedzieliśmy w królewskim gabinecie w dniu aresztowania.

Napisał:

Najjaśniejszy Panie, miałem nadzieję, że konfrontacja dostarczy dowodów, które przekonają Jego Królewską Mość, iż padłem ofiarą oszustwa, i dlatego nie pragnąłem żadnych innych sędziów oprócz królewskiej sprawiedliwości. Gdy odmówiono mi prawa do konfrontacji, zostałem pozbawiony tej nadziei, przyjmuję więc z wdzięcznością propozycję Jego Królewskiej Mości, bym dowiódł swej niewinności w procesie sądowym i w związku z tym bardzo proszę o przesłanie akt mojej sprawy Parlamentowi Paryża, który powinien zająć się tym podczas posiedzenia połączonych izb.

Gdyby jednak jakieś śledztwo, o którym nic mi nie wiadomo, przekonało Jego Królewską Mość, że jestem winien tylko o tyle, o ile pozwoliłem się oszukać, to chętnie poddam się wszelkim decyzjom, które Najjaśniejszemu Panu podyktuje Jego sprawiedliwość i dobroć. Moi krewni, dzieląc moje uczucia, podpisują się wraz ze mną pod tym listem.

Pozostaję z największym szacunkiem:

Kardynał de Rohan

De Rohan, książe de Montbazon

Książe do Rohan, arcybiskup Cambrai

L.M. książe de Soubise.

Po lekturze tego listu mój mąż wyraźnie się zdenerwował. Jego także uderzyła zmiana w postawie Rohana. Uwzięcie w Bastylii zamieniło strach w arogancję.

Ludwik zaczął kalkulować.

— Jeśli przyznam, że kardynał wziął w tym udział tylko dlatego, że został oszukany, wycofa życzenie, by sprawą zajął się parlament.

Roześmiałam się głośno.

— Sądzę, że nie. Gdy wina zostanie mu udowodniona, będzie się raczej odwoływał do twojej wyrozumiałości, niż do sądowych wyroków.

— A jeżeli wina nie zostanie mu udowodniona?

— Chyba żartujesz?! To niemożliwe. On jest winien.

Mój mąż spojrział na list. Patrzył na widniejące pod nim podpisy najbardziej wpływowych ludzi w kraju.

Wiem, że miał nadzieję, iż cała sprawa zostanie załatwiona po cichu i wydawało mi się, że właśnie do tego dąży rodzina Rohana. Dlatego pragnęłam, by wszystko zostało rozstrzygnięte publicznie.

Do dziś drzę na myśl o swym zaślepieniu.

* * *

Proces stał się najważniejszą sprawą we Francji. Codziennie pojawiały się nowe informacje. Aresztowano hrabinę de la Motte-Valois, a potem Cagliostro, podejrzanego magika oraz jego żonę, na końcu zaś dziewczynę lekkich obyczajów, która przedstawiała się jako baronowa d'Oliva i podobno wcieliła się w moją postać w tej całej aferze. Z każdym dniem historia stawała się coraz bardziej fantastyczna. Od czasu lotu balonem nie wydarzyło się nic, co by wzbudziło tak wielkie zainteresowanie. Proces wielkiego kardynała był znacznie bardziej fascynujący niż cuda techniki. W tej historii chodziło przecież o szalbierstwo, w wyniku którego cudowna diamentowa kolia znikła bez śladu, a w samym centrum skandalu i intrygi znajdowała się królowa Francji.

Jak mogłam zapobiec temu, co się wydarzyło? Gdybym była inną kobietą... Gdybym nie koncentrowała się na własnych przyjemnościach... Nigdy nie popełniłam tego, o co mnie oskarżano w kolejnych odsłonach afery z naszyjnikami, ale moja reputacja czyniła wszystkie te oskarżenia całkiem prawdopodobnymi.

Muszę opisać całą sprawę krok po kroku, tak jak ukazywała się moim oczom w atmosferze coraz większego napięcia wywoływanego przez proces.

Dopiero wtedy przestałam być taka beztroska. I chyba po raz pierwszy zrozumiałam, co się dzieje we Francji i po raz pierwszy zobaczyłam, że piedestał, na którym wzniesiono monarchię, kruszeje coraz bardziej.

* * *

Główną figurą dramatu był na początku książę de Rohan. Wydawało się, że został oszukany. Trudno jednak zrozumieć, jak ktoś o takim wykształceniu i kulturze mógł zostać wyprowadzony w pole w ten sposób. Może miał z tym coś wspólnego ów dziwny Cagliostro, którego aresztowano razem z Rohanem, tajemniczy magik albo szarlatan? Tego nigdy się nie dowiem. Być może jednak najważniejszą osobą w całej tej przykrej historii była hrabina de la Motte-Valois, kobieta, która później, będąc już daleko, pisała kłamliwie, sensacyjne i pornograficzne opowieści o moim życiu. Była moim zaciekle wrogiem, choć nigdy jej nie spotkałam i nic jej nie zrobiłam, a jedyną moją winę stanowiło to, że zasiadłam na francuskim tronie. To ona wymyśliła tę przedziwną historię. Twierdziła, że pochodzi z rodziny Walezjuszy, którzy rządili we Francji przed Burbonami. Była córką niejakiego Jacques'a Saint-Remy, uważającego się za potomka króla Henryka II. Okazało się zresztą, że to prawda, ponieważ Henryk II miał z panną Nicole de Savigny bastarda, który otrzymał na chrzcie imię Henryk, a potem został uznany przez króla i obdarzony tytułem barona de Luz i de Valois.

Dzieciństwo Jeanne upłynęło w wielkiej biedzie, ale słyszała, że pochodzi od Walezjuszy i nigdy o tym nie zapomniała. W czasach, gdy żyła z procentów swego wielkiego oszustwa, wszędzie, gdzie się tylko dało, umieszczała herb swojej rodziny.

Zycie w nędzy i ze świadomością, że w jej żyłach płynie królewska krew, musiało podsycać w tej kobiecie nienawiść do mnie, a także pragnienie, by za wszelką cenę zyskać należny status.

Za czasów Henryka de Saint-Remy, syna króla Henryka II, rodzinny zamek był bardzo piękny, z biegiem lat popadł jednak w ruinę, zapadł się dach i górne piętra zostały wydane na wichry i burze. Gdy urodził się ojciec Jeanne, niewiele już pozostało po dawnej świetności. Jacques de Saint-Remy był bardzo silnym człowiekiem, ale nie zamierzał pracować, nawet jeśli mogło by to prowadzić do odzyskania fortuny. Interesowały go tylko alkohol i rozpustne życie. Powoli wyprzedawał to, co jeszcze pozostało po przodkach.

Uwiódł wiejską dziewczynę imieniem Jossel, a gdy urodziło im się dziecko, ożenił się z kochanką. Matka Jeanne była kobietą dość swobodnych obyczajów i to ona zaczęła dominować w domu.

Jeanne miała dwoje rodzeństwa; żadne z rodziców nie troszczyło się o dzieci, mieszkali w nędznej chacie, nie mieli co na siebie włożyć i zapewne umarliby z głodu, gdyby nie litowali się nad nimi inni wieśniacy.

Kiedy dziś myślę o tym wszystkim, potrafię wiele wybaczyć owej kobiecie, znam bowiem nieszczęścia nawet większe niż te, które ją dotknęły w dzieciństwie, ale wtedy trudno mi było to wszystko zrozumieć. Teraz wiem, że pragnęła zapewne zemścić się na społeczeństwie i potrafię znaleźć w sobie współczucie.

Nawet wówczas, gdy drżała z głodu i zimna, siedząc na mrozie w łachmanach, nie zapomniała o swoim królewskim pochodzeniu.

W czasie, gdy rodzina zdecydowała się porzucić dom i wyruszyć w drogę, było już czworo dzieci, Jacques, Jeanne, Marguerite-Anne i Marie-Anne. Biedna Marie-Anne miała zaledwie półtora roku i nie umiała zbyt dobrze chodzić, rodzice postanowili więc, że jej ze sobą nie wezmą i zawiązawszy dziecko w jakieś szmaty, zawiesili je na drzwiach chaty. Wtedy zaczął się najbardziej koszmarny okres w życiu dzieci. Matka była postawną i przystojną kobietą, postanowiła więc zacząć czerpać zyski ze swoich atutów. Gdy ojciec zaczął niedomagać, zostawiła go i związała się z pewnym żołnierzem, równie zdeprawowanym i okrutnym jak ona. Dzieci musiały żebrać, a jeśli wracały bez pieniędzy, bito je do nieprzytomności. Wtedy Jeanne trafił się łut szczęścia. Codziennie stawała przy drodze, zawodząc: „Nie żałujcie jałmużny biednej sierocie, w której żyłach płynie krew Walezjuszy”. Często ją wyśmiewano, ale też zwracano na nią uwagę. Pewnego dnia jej wołanie usłyszała przejeżdżająca nieopodal markiza de Boulainvillers i zatrzymała się, by porozmawiać z dzieckiem. Uderzyła ją uroda i dumna postawa małej, uwierzyła więc w historię o królewskim pochodzeniu i postanowiła pomóc dzieciom. Przygarnęła więc Jeanne i jej siostrę Marguerite-Anne i posłała je do szkoły. Marguerite-Anne zachorowała wkrótce na ospę i zmarła. Tymczasem ojciec dziewczynek skonał w wielkiej nędzy w Hôtel-Dieu, a matka, opuszczona przez kochankę, wróciła w rodzinne strony i zaczęła żyć z prostytutkami. Jacques uciekł na morze, zaciągnął się na statek w Tulonie i z pomocą madame de Boulainvillers zrobił karierę w marynarce. Zmarł w czasie, gdy rozpętała się afera z naszyjnikami.

Jeanne zostawiła za sobą koszmar lat dziecinnych i postanowiła, że nigdy więcej nie znajdzie się w takiej nędzy.

Madame de Boulainvillers była dla niej dobra i gdy dziewczyna skończyła szkołę, umieściła ją na praktyce w salonie krawieckim na Faubourg Saint-Germain. Jeanne była jednak na to zbyt dumna. W swojej autobiografii, którą napisała po procesie i którą wrywano sobie z rąk, twierdziła, że stała się wówczas „praczką, kucharką, prasowaczką, szwaczką — choć powinna być szczęśliwą i szanowaną dziewczyną”.

A tego pragnęła najbardziej — chciała zdobyć szacunek, który Jej się należał.

Madame de Boulainvilliers była dobrą kobietą. Uświadomiła sobie, że Jeanne nigdy nie pogodzi się ze swym losem i, rozumiejąc przyczynę, zabrała ją do swego domu. Nie zapomniała także o małej Marie — Annę, którą na szczęście przyjął pod swój dach jakiś dobroduszny wieśniak, znalazłszy płaczące dziecko w zawiniątku wiszącym na drzwiach. Gdy się okazało, że dziewczynka jest całkiem dobrze ułożona, madame de Boulainvilliers postanowiła że obie siostry pójdą do szkoły dla szlachetnie urodzonych panien. Jeanne miała dwadzieścia jeden lat, urodę i niezłe wykształcenie pragnęła jednak być traktowana jak członek królewskiej rodziny nie zapominając ani na chwilę o swoim pochodzeniu.

Kiedy miała dwadzieścia cztery lata i wciąż była niezadowolona ze swego losu, poznała dwa lata starszego oficera żandarmerii. Nazywał się Mark–Antonie–Nicolas de la Motte. Zostali kochankami i wkrótce musieli się pospiesznie pobrać. Miesiąc po ślubie na świat przyszły bliźnięta, które zmarły parę dni później. Jeanne była górą w tym związku i de la Motte szybko się nauczył jej słuchać. Kazała mu przede wszystkim dodać do nazwiska tytuł hrabiego. Nienaganne manieri jego żony i jej wciąż wspomniane królewskie pochodzenie bez wątplenia sprawiały, że nikt nie podawał w wątpliwość owego tytułu. Od tej pory funkcjonowali jako hrabia i hrabina de la Motte–Valois.

Jeanne i jej mąż potrzebowali pieniędzy, bo przecież potomkini królewskiego rodu Walezjuszy nie mogła żyć z pensji oficera żandarmerii. Okazja nadarzyła się, gdy madame de Boulainvilliers odwiedziła Strasburg, goszcząc w zamku Saverne, wspaniałej siedzibie kardynała de Rohan. Jeanne przypomniała sobie, że kardynał słynie z wielkiego apetytu na kobiety, a ona była bez wątpienia szalenie atrakcyjna. Miała dumną postawę, piękne kasztanowe włosy i niebieskie oczy.

Postanowiła, że posłuży się kardynałem, choć jeszcze nie wiedziała jak. Najbardziej szalony pomysł przyszedł jej do głowy później, gdy zbieg okoliczności sprawił, iż można było przeprowadzić plan, który na pozór wydawał się całkiem fantastyczny.

* * *

Sporo już napisałam na temat kardynała de Rohan. Nigdy nie zapomnę o tym człowieku i nawet dziś, chociaż pogodziłam się z losem i zaczęłam znacznie lepiej rozumieć innych, czuję gorzki niesmak, gdy słyszę jego nazwisko lub pozwolę, by jego obraz zakłócił moje myśli.

Przypuszczam, że musiał być przystojny na swój sposób, mówiono o nim „Jego Piękna Eminencja”. Czasami myślę, że bezdennie głupi — i chyba się nie mylę, bo czy w przeciwnym razie dałby się wykorzystać w taki sposób?

Doskonale pamiętam jego twarz — okrągłą, lalkowatą, pozbawioną zmarszczek i zarumienioną jak u dziecka. Jedyny dowód jego wieku stanowiły siwiejące włosy. De Rohan był bardzo wysoki i dystyngowany. W kardynalskich szatach robił jeszcze większe wrażenie. Miał niezliczoną ilość tytułów i godności, pełnił mnóstwo ważnych funkcji. A został aresztowany w Wersalu jak zwykły przestępca.

W czasie gdy poznał Jeanne de la Motte–Valois, pozostawał pod wpływem Cagliostro.

Nie wiem, kim naprawdę był Cagliostro. Któż to zresztą wie? Niektórzy się z niego śmiali. Inni mówili, że ów człowiek zna jakąś wielką tajemnicę wszechświata. Nie ulega jednak wątpliwości, że to w okresie zażyłości z Cagliostrem kardynał uznał idiotyczne oszustwo za prawdę.

Krażyło mnóstwo opowieści o tym magiku. Opisywali mi go moi służący, którzy wystawiali na ulicach, by go przez chwilę zobaczyć. Chodził w surducie z błękitnego jedwabiu, buty ozdabiał diamentowymi sprzączkami, nawet pończochy miał pozłacane. Na palcach nosił mnóstwo diamentów i rubinów, a jego kwiecista kamizelka była wyszyta tyłoma drogocennymi kamieniami, że w głowie mogło się zakręcić od ich widoku.

Został aresztowany zaraz po kardynale i natychmiast zaczęły krążyć niezwykle opowieści na jego temat. Na mnie największe wrażenie zrobiła opowieść o tym, jak zatrzymał się na strasburskim rynku przed krzyżem i oświadczył głośno (a zawsze otaczał go wielki tłum):

— Jak artysta, który Go nigdy nie widział, zdołał oddać tak niezwykle podobieństwo?

— Czy wasza dostojność ma na myśli Chrystusa? — zapytał ktoś.

— Bardzo się kiedyś przyjaźniliśmy — odparł Cagliostro. — Ileż to razy spacerowaliśmy razem. Miał bardzo słodki głos, ale, niestety, nie słuchał mnie. Uwielbiał spacerować po cieniściej brzegu jeziora i wybrał sobie na uczniów grupkę rybaków. Ta decyzja i kazania sprowadziły na niego taki smutny koniec. — A potem — Pytał swego służącego: — Pamiętasz ten dzień, w którym go „krzyżowali”?

Wówczas nastąpił punkt kulminacyjny.

— Nie, panie hrabio — odrzekł tamten, przyciszonym głosem. — Jaśnie pan zapomina, że służę mu dopiero od tysiąca pięciuset lat.

Cagliostro był niewysoki i gruby, wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Miał wielkie, jasne oczy i silny głos. Musiał być fascynującym człowiekiem, bo często ci, którzy chcieli go wyśmiać i zdemaskować jako oszusta, stawali się jego najgorętszymi zwolennikami.

Oczywiście nie brakowało też takich, którzy wszystkie jego opowieści traktowali jak bzdury, twierdząc, że ludzie wierzą w nie tylko dlatego, że nic nie rozumieją. Na niektóre pytania odpowiadał gotowymi formułkami. Gdy na przykład pytano go, kim jest, mówił: „Jestem tym, który jest”. Albo: „Jestem tym, którego nie ma”. Odpowiedzi były na tyle zaskakujące, że ludzie często udawali zrozumienie, pozując na mędrców, którzy potrafią rozszyfrować tajemnicze słowa Cagliostro.

Cagliostro był masonem i chciał założyć egipską lożę wolnomularską we Francji. Finansowały go różne ukryte organizacje, a jego cele były znacznie bardziej wyrafinowane niż wyprowadzenie w pole niezbyt mądrego kardynała. Podobno odkrył kamień filozoficzny i potrafił przemieniać metale w złoto i szlachetne kamienie. Wszyscy opowiadali sobie historie na temat jego cudownych uzdrowień. Wystarczyło, by spojrzeć na paralytyka, a tamten zaczynał chodzić. Nie zamierzał jednak pomagać wszystkim cierpiącym, zwracał uwagę tylko na wybranych.

Była także hrabina de Cagliostro — młoda, pełna uroku, przepiękna kobieta, o której mówiono, że jest „nie z tego świata”. Nikt nie wiedział, skąd pochodzi. Nieznane było zresztą także pochodzenie jej męża. Mówiono, że hrabina de Cagliostro jest „aniołem w ludzkiej postaci, zesłanym po to, by umilić dni tego, który czyni cuda”. Cagliostro był wiernym mężem, nigdy nie spojrzął na żadną inną kobietę. Interesował się tylko własną doktryną.

Kardynał, który prowadził rozwiązłe życie, odznaczał się pewną naiwnością. Był romantycznym rozpustnikiem. Jako człowiek ogromnie przesądny bardzo fascynował się okultyzmem. Co więcej, delectował się przepychem, a najbardziej podziwiał piękne stroje i klejnoty. Cagliostro zaś był magikiem, a dzięki swej niezwyklej mądrości potrafił jakoby przekształcić zwykły kamień w klejnot. Nic dziwnego, że jego osiągnięcia szybko zainteresowały kardynała, który zaprosił Cagliostrowa do Saverne. Wkrótce zostali wielkimi przyjaciółmi.

Kardynał nosił ogromny klejnot, wielkości kurzego jajka i twierdził, że widział, jak Cagliostro stworzył go w swoim alchemicznym tyglu. Czy kardynał został wystrychnięty na dudka, pozostanie na zawsze tajemnicą, faktem jest jednak, że Cagliostro wraz ze swoją żoną mieszkał w pałacu w Saverne i że Rohan prawie się z nim nie rozstawał.

Kiedyś obaj zaczęli rozmawiać na mój temat. Kardynał miał prawdziwą obsesję na moim punkcie. Uparcie odmawiałam mu audiencji, mając w pamięci ostrzeżenia matki. Starłam się nie dopuścić do jego nominacji na stanowisko wielkiego jałmużnika. Wiedział, że go nie lubię i

rozpaczliwie pragnął mojej sympatii — jak człowiek, który zawsze dostawał wszystko, co chciał i nagle czegoś mu odmówiono.

Kardynał miał jeszcze bardziej złowróźbne marzenie. Pragnął zostać moim kochankiem i ta myśl bez reszty go opanowała. Nie myślał o niczym innym. Czy rozmawiał o mnie z Cagliostrem? Czy pytał o szanse powodzenia swoich zamiarów? Gdyby porozmawiał ze mną, powiedziałabym mu, że nigdy, przenigdy nie popatrzyłabym na niego przychylnie, nawet wówczas, gdybym należała do kobiet, które za nic mają małżeńskie przysięgi.

Dlaczego Cagliostro zgodził się na udział w tak szaleńczym planie? Czy wiedział, o co w tym chodzi? Czy możliwe, że naprawdę miał ten sam dar, co Mesnner i potrafił w określonych okolicznościach zmusić ludzi, by robili to, co im każe? I czy zamierzał wplątać mnie w gigantyczny skandal na polecenie swoich tajemniczych mocodawców, którzy pragnęli upadku Francji?

W owym czasie wydawało się, że to tylko historia o naiwnym dostojniku Kościoła, przebiegłej kobiecie i podejrzanym magiku. Ale to ja byłam najważniejszą postacią, figurą, która wprowadzie nie pojawia się na scenie, ale bez której nie byłoby całej fabuły.

Jeanne de la Motte–Valois szybko została kochanką kardynała i zaprzyjaźniła się z Cagliostrem. Czy podejrzewała, że to szarlatan? I czy on wiedział, że ma do czynienia z intrygantką? Ta nieprawdopodobna historia obfituje w tajemnice.

Jeanne wkrótce odkryła obsesję kardynała na moim punkcie i poczuła, że oto nadarza się okazja zbiccia fortuny.

Zaprzyjaźniła się z towarzyszem swego męża, niejakim Retaux de Villette'em — przystojnym, trzydziestoletnim mężczyzną o niebieskich oczach i świeżej cerze, mistrzem w pisaniu wierszy, który potrafił doskonale imitować znanych aktorów i aktorki, a przy tym umiał naśladować nawet kobiecy charakter pisma. Hrabina została jego kochanką — może dlatego, że naprawdę się jej spodobał, a może dlatego, że w jej umyśle pojawiły się pierwsze zarysy intrygi, w której chciała go wykorzystać.

Jeanne dała do zrozumienia kardynałowi, że zaczęłam okazywać jej szczególne względy. Nie zabrzmiało to całkiem nieprawdopodobnie, ponieważ moje przyjaźnie były zawsze komentowane w dwuznaczny sposób i wszyscy wiedzieli, że lubię piękne kobiety, takie jak księżna de Lamballe czy Gabrielle de Polignac. Jeanne była bardzo atrakcyjna, a przy tym pochodziła od Walezjuszy. Kardynał mógł więc uwierzyć, że zwróciłam na nią uwagę i zaczęłam ją wyróżniać. Na początku historyjka brzmiała całkiem prawdopodobnie.

Jeanne nie posiadała się z radości, bo kardynał nie tylko nie wątpił w jej słowa, ale też zwierzył się jej z pragnienia uzyskania audiencji.

Hrabina de la Motte–Valois obiecała, że szepnie królowej słówko na jego temat. Wiedziała jednak, że kardynał nie zadowolony się mglistymi obietnicami i postanowiła skorzystać z pomocy Retaux de Villette'a. Gdyby lekkim kobiecym charakterem pisma skreślił parę listów w imieniu królowej, kardynał z pewnością nie wątpiłby w ich autentyczność. Wszystkie były zaadresowane do drogiej przyjaciółki hrabiny de la Motte–Valois i zawierały mnóstwo wyrazów oddania i sympatii.

Jak de Rohan mógł uwierzyć, że piszę tego rodzaju listy do takiej kobiety! A jednak uwierzył. Powiadano, że Cagliostro był w zмовie z hrabiną i jakoby zahipnotyzował kardynała w odpowiedniej chwili. Uznałabym to za wierutną bzdurę, gdyby pod listami nie było tego niedorzecznego podpisu „Marie Antoinette de France”. Gdyby książę był w pełni władz umysłowych, powinien się zorientować, że listy zostały sfalszowane.

Widziałam kilka tych przypisywanych mi listów. Ciarki mnie przechodzą na samą myśl o nich. I nawet dziś, znając większość faktów, nie wszystko rozumiem.

Jeanne dała kardynałowi do zrozumienia, że jeśli wyjaśni swoje niewłaściwe postępowanie w ciągu minionych lat, rozważę, czy mogłabym mu wybaczyć.

Zachwycony Rohan przygotował obszerną apologię, którą redagował i poprawiał przez ładnych parę dni, a gdy skończył, hrabina de la Motte zabrała list, obiecując, że dostarczy mi go przy najbliższej okazji.

Parę dni później Reataux de Villette napisał list na papierze z pozłacanymi brzeżkami i małą koniczynką w rogu.

Cieszę się, że już nie muszę o nic Pana obwiniać. Na razie nie mogę udzielić Panu audiencji, ale dam znać, gdy tylko będzie to możliwe. Tymczasem proszę o dyskrecję.

List podpisany: „Marie Antoinette de France” wywarł stosowne wrażenie na kardynale. Rozradowany i pełen entuzjazmu, gotów był obdarowywać kosztownościami kobietę, która pomogła mu poprawić stosunki z królową. Fakt, że nie miał cienia wątpliwości co do autentyczności tych listów dowodzi, że był największym głupcem we Francji. Choć nie do końca. Cagliostro, przepowiadając Rohanowi przyszłość, poradził mu wówczas, by kardynał realizował z pełnym przekonaniem projekt najbliższy swemu sercu. Często zadawałam sobie pytanie, jaką rolę odegrał tajemniczy magik w całym przedsięwzięciu.

Jeanne wiedziała, że przez pewien czas może utrzymywać kardynała w przekonaniu, iż to ja jestem autorką listu, ilekroć jednak bywaliśmy na tych samych zgromadzeniach, ja starannie omijałam go wzrokiem. Tego rodzaju sytuację można było jakoś usprawiedliwić, lecz mistyfikacja nie mogła trwać długo.

Właśnie wtedy pomysłowa Jeanne, razem ze swym samozwańczym hrabią i kochankiem wymyśliła wielką intrygę. Brakowało im pieniędzy, a dzięki tej grze mogli się niezmiernie wzbogacić. Kardynał był człowiekiem bardzo majątnym. Od czasu do czasu brakowało mu gotówki, ale jego zasoby wydawały się niezmiernie. Innymi słowy, znaleźli mleczną krowę, którą należało zręcznie wydoić. Plan musiał więc być bardzo precyzyjny. Kardynał miał stanąć twarzą w twarz z królową, ta zaś powinna mu okazać łaskawość. Wyobrażam sobie, jak owi współnicy, znacznie mniej bystrzy od głównej intrygantki, pytają:

— Ale jak?

A ona odpowiada beznamiętnie:

— Musimy znaleźć kogoś, kto podszyje się pod królową.

Tamci dwaj na pewno otworzyli usta ze zdziwienia, ale to Jeanne była mózgiem całej tej operacji. A do tej pory wszystko szło po jej myśli. Powinni zatem wszystko jej zostawić. Trzeba czym prędzej znaleźć kobietę, która jest podobna do królowej i w właściwy sposób może odegrać powierzoną jej rolę. Wszyscy wiedzą, jak wygląda królowa, bo portrety wiszą wszędzie. Wystarczy znaleźć kogoś podobnego i nauczyć reszty.

Obaj mężczyźni całkowicie się podporządkowali tej władczej kobiecie. Rzekomy hrabia de la Motte znalazł niejaką Marie–Nicole Lequay, znaną później jako baronowa d’Oliva. Ta młodsza ode mnie o jakieś sześć lat dziewczyna, miała włosy podobnego koloru, niebieskie oczy i całkiem obfity biust. Przyjaciele zwali ją „małą królową”, bo często zauważano jej podobieństwo do mnie. Była modystką, ale zajmowała się nie tylko robieniem kapeluszy. W owym czasie jej protektorem był Jean — Baptiste Toussaint. Jako sierota została oddana pod opiekę kobiecie, która czerpała zyski z tego procederu, i uciekła od swej opiekunki, bo tąją bardzo źle traktowała. Miała wielu kochanków i nie od wszystkich brała pieniądze. Była prostą, miłą dziewczyną, która nie strzegła zbyt zazdrośnie swoich wdzięków.

Hrabia de la Motte spotkał ją w Palais Royale, gdzie nie brakowało wesołych młodych ludzi, szukających, nowych znajomości. Uderzyło go jej podobieństwo do mnie, więc czym prędzej zabrał ją do swego domu przy rue Neuve–Saint–Gilles.

Jeanne natychmiast zmieniła nazwisko dziewczyny na baronową d’Oliva — to prawie anagram nazwiska Valois. Wkrótce przekonała modystkę, że królowa będzie jej dozgonnie wdzięczna za pewną drobną przysługę.

Jeanne uznała, że dziewczyna jest głupia i zbyt naiwna, by mogła powiedzieć więcej niż jedno zdanie, odgrywając moją rolę. To jednak powinno wystarczyć, bo Jeanne miała czuwać nad wszystkim i wkroczyć do akcji, gdyby coś poszło nie po jej myśli.

Pani de la Motte musiała być najśmielszą kobietą na świecie. Któż inny zdecydowałby się przeprowadzić taki plan? Inni mogli mieć równie złe intencje, ale nikt nie przejawiał takiej żyłki awanturniczej. I takiej wiary w powodzenie. Jeanne przygotowała wszystko co trzeba. Włosy dziewczyny ułożono w wysoką, ale niezbyt wyszukaną fryzurę, którą suto przypudrowano. Hrabina kazała uszyć prosty strój, wzorowany na tym, w którym sportretowała mnie panna Vigée–Le Brun, co wywołało tyle złośliwych komentarzy. Na wierzch narzucono mantylkę ze szlachetnej białej wełny, a całość dopełniono kapeluszem z szerokim rondem, przesłaniającym twarz. Tak przygotowana Marie–Nicole mogła rzeczywiście w półmroku z powodzeniem odegrać moją rolę.

Rosalie, osiemnastoletnia pokojówka hrabiny, ciemnooka ognista dziewczyna, która służbę u pani de la Motte uważała za fascynującą przygodę, pomogła modystce się przebrać, a Jeanne tymczasem uczyła ją zdania, jakie powinna w stosownym momencie wypowiedzieć: „Może pan mieć nadzieję, że przeszłość pójdzie w zapomnienie.” Biedna dziewczyna nie miała pojęcia, co to wszystko znaczy. Starła się przede wszystkim pozbyć paryskiego akcentu, nadać swoim słowom nieco cudzoziemską melodię i nauczyć się wdzięcznie gestykulować.

Mogę sobie wyobrazić to biedne dziecko, zdominowane całkowicie przez Jeanne i podniecone tym, że odegra rolę królowej, z którą ją często porównywano, a na dodatek dostanie za to pieniądze.” Jeanne sugerowała, że nie tylko ona i hrabia de la Motte ją za to wynagrodzą, ale także królowa na pewno okaże swoją wdzięczność. Czemuż więc biedaczka miała pytać, o co w tym wszystkim chodzi? I tak nie otrzymałaby wyjaśnienia, a gdyby nawet czegoś się dowiedziała, nie byłaby w stanie tego pojąć. Nie! Miała za zadanie dokładnie wypełnić instrukcje i żywić nadzieję, że uda jej się to zrobić, jak należy. W kieszeni muślinowej sukni ukryła list, który należało przekazać spotkanemu mężczyźnie. Powinna także wręczyć mu różę i nie zapomnieć swojego popisowego zdania.

Noc była ciemna — bez księżyca i bez gwiazd — idealna na tego rodzaju przedstawienie. W parku panowała cisza, słychać było tylko szum fontann. Hrabina i jej mąż poprowadzili dziewczynę w muślinowej sukni przez aleję piniową, a potem między wierzbami i cedrami, aż do posągu Wenus.

Mężczyzna, który także się tam zjawił, ubrany był zdaniem Marie — Nicole w coś w rodzaju liberii noszonej przez królewską świtę.

— A więc przyszedł — powiedział hrabia. Mężczyzna się uklonił. Tę rolę grał Reataux de Villette.

Wszyscy troje ustawili Olivę we właściwym miejscu, a potem zniknęli między drzewami. Biedna dziewczyna! Czuła się chyba dość nieswojo, stojąc tam samotnie w samym środku nocy. Ciekawa jestem, o czym wtedy myślała.

* * *

Po chwili pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna w długim płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. To był kardynał de Rohan.

Oliva podała mu różę. Zaskoczyła ją bez wątpienia skwapliwość, z jaką mężczyzna przyjął kwiat. Wyobrażam sobie jej minę, gdy dostoyny nieznajomy klęka i całuje rąbek jej muślinowej sukni.

Gdy podniósł wzrok, wyrecytowała, co miała powiedzieć:

— Może pan mieć nadzieję, że przeszłość pójdzie w niepamięć. Mężczyzna wstał i zaczął przemawiać jak w ekstazie. Pragnął za wszelką cenę dowieść swego oddania. Biedna Oliva nic z tego nie rozumiała. Nie przywykła do takich słów. Poczwała bez wątpienia wielką ulgę, gdy hrabina stanęła u jej boku i popchnęła ją w stronę cienia, wołając:

— Najjaśniejsza Pani, nadchodzi hrabina d'Artois!

Kardynał uklonił się nisko i odszedł. A Jeanne triumfowała.

Oliva zapomniała wprawdzie wręczyć list, ale plan powiódł się w stu procentach.

I w ten sposób opletli głupiego kardynała swoją siecią. Rohan uwierzył, że jego przyjaciółka naprawdę zaaranżowała spotkanie ze mną. Jak mógł być tak naiwny? Czy naprawdę sądził, że mogłabym wyjść do parku po zmroku, by spotkać się sam na sam z mężczyzną? No cóż, podobnie jak tylu innych mężczyzn, czytał o mnie niestworzone historie w paszkwilach i podobnie jak tylu innych uwierzył, że miałam setki kochanków. Może dlatego marzył, by zostać jednym z nich.

Przyjaciel Jeanne, pewien młody prawnik, przyszedł w odwiedziny do domu hrabiostwa przy rue Neuve-Saint-Gilles i widział powóz, który przywiózł całą gromadkę z wersalskiego parku. Tak oto opisał tę scenę:

Między północą a pierwszą nad ranem usłyszeliśmy turkot powozu, a po chwili wysiedli z niego państwo de la Motte, pan Reataux de Villette i młoda kobieta przed trzydziestką o zadziwiająco zgrabnej figurze. Obie damy miały na sobie eleganckie, choć proste stroje... Mówili jakieś bzdury, śmiali się i śpiewali, tak iż można było nawet przypuścić, że co nieco wypili. Dama, której nie znałem, była także wesola, ale zachowywała się znacznie powściągliwiej. Twarz tej kobiety od razu wzbudziła we mnie dziwny niepokój — czułem się tak, jakbym ją znał, choć nie mogłem sobie przypomnieć skąd... Tym, co mnie zadziwiło, było niezwykle podobieństwo do królowej.

Mistrz Target z Akademii Francuskiej, jeden z obrońców kardynała, napisał:

Nic dziwnego, że w ciemnościach kardynał wziął panią d'Olivę za królową — miała taką samą figurę, taką samą cerę, takie same włosy, a i rysy twarzy bardzo podobne.

Pierwsza część intrygi powiodła się więc znakomicie i nadeszła pora, by rozpocząć akt drugi.

Target wyjaśnił to bardzo dokładnie w imieniu swojego klienta:

Po owym fatalnym wydarzeniu (spotkaniu przy posągu Wenus) kardynał postępuje nie tyle naiwnie, co ślepo, a zaślepia go poczucie obowiązku. Posłuszeństwo rozkazom przekazywanym mu przez madame de la Motte wiąże się bowiem z poczuciem ogromnego szacunku i głębokiej wdzięczności, która ma kolosalny wpływ na jego życie. Zamierza czekać spokojnie na moment, kiedy doświadczy łask królowej, okazując jej tymczasem całkowite oddanie. Tak należy opisać stan jego ducha.

Madame de la Motte doskonale o tym wiedziała. Niemożliwe, by nie czuła niepokoję, wiedząc, że wystarczy jeden fałszywy krok, by szalbierstwo wyszło na jaw.

Wkrótce po nocnym spotkaniu Jeanne oświadczyła, że królowa darzy kardynała swoimi łaskami. Jako osoba niezwykle hojna postanowiła wesprzeć sumą pięćdziesięciu tysięcy liwrow pewną szlachetną, ale zubożałą rodzinę. Chwilowo jednak nie miała gotówki do dyspozycji, gdyby więc kardynał zechciał jej pożyczyć tę sumę... za pośrednictwem madame de la Motte... odczytałaby to jako dowód prawdziwej przyjaźni.

Nie tylko ja zadawałam sobie pytanie, jak ten człowiek mógł być takim głupcem.

Uwierzył swej protektorce, ponieważ chciał uwierzyć. Przez cały czas był także w wielkiej zażyłości z Cagliostrem, który bez przerwy badał jego przeszłość i zapewniał, że kardynał odniesie wielkie korzyści ze swych związków z bardzo wysoko postawioną osobą. To wystarczyło przesądnemu i naiwnemu Rohanowi.

Nie miał gotówki, pożyczył więc żadaną sumę od pewnego Żyda, zapewniając go przy okazji, że byłby zaszczycony, znając przeznaczenie tych pieniędzy.

W ten sposób Jeanne zaczęła wyciągać pieniądze od de Rohana. Tak dużo pieniędzy, by kupić dom w Bar-sur-Aube, w którym spędziła swe straszne dzieciństwo. Zamierzała tam wrócić, udając, że teraz jest mile widziana na królewskim dworze ze względu na swe pochodzenie.

Gdyby zadowolila się tym, co zdołała ukraść, mogłaby spędzić resztę życia w dostatku i komforcie. Jej ambicja była jednak nienasycona, Jeanne ukuła więc kolejny plan, intrygę z naszyjnikiem.

Na jednym ze swoich przyjęć dowiedziała się o kłopotach królewskich jubilerów. Boehmer i Bassange rozpowiadali na prawo i lewo o diamentowej koliai, której nie mogą sprzedać. Największe nadzieje wiązali z królową, ale Jej Wysokość nie chciała tego naszyjnika. Madame de la Motte chętnie się swoim wpływem na królową. Zarówno ona, jak i jej mąż wyciągnęli już od ludzi sporo pieniędzy pod pretekstem załatwienia im stanowisk na dworze. Nic więc dziwnego, że jubilerzy zagadnęli ją, czy nie zechciałaby użyć swoich wpływów w ich sprawie.

Madame de la Motte odrzekła, że mogłaby to zrobić, a w jej głowie zrodził się misterny plan.

Oświadczyła, że postara się przekonać królową do zmiany zdania. Tylko czy mogłaby zobaczyć tę kolia? Nic prostszego. Jubilerzy zaproponowali, że przyniosą klejnot na rue Neuve-Saint-Gilles.

Mogę sobie wyobrazić, jak hrabia i hrabina pobledli na widok tego naszyjnika. Pamiętam przecież własne pierwsze wrażenie. W naszyjniku znalazły się naprawdę najpiękniejsze kamienie, jakie można było znaleźć w Europie. Nigdy w życiu bym go jednak nie włożyła. Uważałam, że jest w nim coś wulgarnego. Muszę wszakże przyznać, że nie zdarzyło mi się widzieć bardziej wspaniałego i oszałamiającego klejnotu.

Doskonale pamiętam tę kolia, widziałam nawet mnóstwo portretów, na których mam ją na szyi. Wielu ludzi uwierzyło bowiem w wersję, wedle której to ja ukradłam kolia i często domalowywali ją na moich podobiznach.

Na fragmencie opasującym szyję jubilerzy umieścili siedemnaście ogromnych diamentów. Już to by wystarczyło, żeby oszołomić każdego, ale pod sznurem diamentów znajdowały się trzy kolejne: środkowy, nieco dłuższy niż dwa boczne, wszystkie ozdobione wisiorkami z drogocennych kamieni. Z obu końców naszyjnika spływał misterny podwójny sznur diamentowych koralii, zwieńczony w czterech miejscach kokardami z najcenniejszych klejnotów. Każda z nich była warta fortunę — nie mówiąc już o wartości całej koliai. Świat nigdy nie widział naszyjnika równie cennego, jak i fatalnego.

Madame de la Motte nie mogła zapomnieć o tym klejnocie. Nie pragnęła go dla siebie, ale uznała, że dzięki tym brylantom mogłaby żyć jak królowa. Gdyby bowiem weszła w posiadanie koliai i sprzedała ją w częściach, byłaby bajecznie bogata do końca życia.

Jej pełen energii umysł nie znał odpoczynku.

— Damy tysiąc ludwików temu, kto znajdzie nam kupca — kusili ją Boehmer i Bassenge.

Na pewno śmiała się z tego w duchu. Tysiąc ludwików. I kolia warta milion sześćset tysięcy liwrów! Oświadczyła wyniosłym tonem, że porozmawia z królową, ale nie życzy sobie żadnej nagrody, nawet gdyby udało jej się przekonać Najjaśniejszą Panią.

Nietrudno sobie wyobrazić radość jubilerów. A tymczasem madame de la Motte pracowała nad swym najambitniejszym planem. Kupcem miał być oczywiście kardynał de Rohan. Wystarczyło kilka listów podpisanych moim imieniem, by ten głupiec połknął haczyk. Oczywiście, kupi tę kolię, jeśli takie jest moje życzenie.

Hrabina powiedziała jubilerom, że transakcja dojdzie do skutku, a w imieniu królowej przeprowadzi ją pewien bardzo wysoko postawiony dostojnik. Ona, madame de la Motte, nie życzy sobie, by wymieniano jej imię w związku ze sprawą, która będzie załatwiona między królową, kardynałem de Rohanem i jubilerami.

Pełni entuzjazmu złotnicy, widząc perspektywę rozwiązania swoich problemów, ofiarowali hrabinie drogocenny kamień. Ta jednak go nie przyjęła. Cieszyła się, że może im pomóc.

Kardynałowi powiedziała, że pragnę kupić kolię za plecami króla i że potrzebuję kredytu, bo na razie nie mam gotówki.

— Najjaśniejsza Pani zapłaci za kolię w ratach — wyjaśniła — płatnych co trzy miesiące. Ale w celu przeprowadzenia transakcji potrzebuje pośrednika i pomyślała od razu o panu.

Kardynał podczas procesu złożył takie oto wyjaśnienie: „Madame de la Motte przyniosła mi rzekomy list od królowej, w którym Jej Wysokość wyraziła chęć kupienia kolii i wyjaśniła, że nie ma w tej chwili odpowiedniej sumy i pragnąc uniknąć krępujących negocjacji z jubilerami, prosi, bym zajął się tą sprawą i uzgodnił wielkość rat i terminy płatności”.

Kardynał był wniebowzięty, gdy dostał ów list. Z wielką radością zrobiłby wszystko dla królowej. Czuł się zaszczycony, mogąc przygotować transakcję zgodnie z życzeniem Najjaśniejszej Pani. Cenę ustalono na milion sześćset tysięcy liwrów, płatnych w ciągu dwóch lat, w czterech ratach co sześć miesięcy. Kolia miała zostać przekazana za pośrednictwem kardynała pierwszego lutego, a termin płatności pierwszej raty mijał pierwszego sierpnia 1785 roku. Rohan własnoręcznie podpisał umowę i dał ją madame de la Motte, z prośbą o przekazanie królowej. Dostał odpowiedź na papierze z pozłacanymi brzegami i burbońską lilią w rogu oraz podpisem „Marie Antoinette de France”. Królowa wyrażała zadowolenie ze sposobu załatwienia sprawy oraz wdzięczność dla kardynała.

Najdziwniejsze w całej historii jest to, że dopiero na widok kolii Jego Eminencja zaczął mieć pewne wątpliwości. Mężczyzna, który uwierzył, że jestem skłonna spotkać się z nim w nocy koło posągu Wenus, człowiek, który przypuszczał, że może zostać moim kochankiem, zdziwił się, iż mogłabym chcieć nosić tak wulgarny klejnot.

Zawahał się. I zażyczył sobie, by hrabina dostarczyła dokument podpisany ręką królowej i potwierdzający transakcję.

Madame de la Motte wcale się nie zaniepokoiła. Dlaczego nie? Reataux de Villette spreparował już tyle dokumentów. Dlaczego nie miałby stworzyć kolejnego? Przygotowano więc kolejne oświadczenie z podpisem „Marie Antoinette de France” i koło każdego zdania pojawiła się formułka zatwierdzająca.

Dlaczego kardynał nie domyślił się, że podpis jest sfalszowany? Dlaczego sądził, że mogłabym się podpisać w ten sposób?

Pamiętam, że te pytania zadawano po wielokroć. Jeden z pamflecistów dostarczył wielce prawdopodobnej odpowiedzi: „Ludzi tak łatwo przekonać do tego, czego pragną...”.

Umowa została zawarta. Pierwszego lutego Boehmer i Bassenge przywieźli kardynałowi kolię, a on tego samego dnia zaniósł ją do domu madame de la Motte. Zaproszono go do pokoju ze

szklanymi drzwiami, przez które mógł obserwować, jak kolia będzie przekazana królowej. Zobaczył młodego człowieka w liberii Jej Królewskiej Mości, który przedstawił się hrabiostwu hasłem „Z rozkazu królowej”, a potem wziął szkatułkę i zniknął —

Gdy kardynał wyszedł, Reataux de Villette, który grał posłańca królowej, wrócił z drogocenną szkatułką. A oszuści usiedli przy stole, by podziwiać najpiękniejsze diamenty w Europie.

Nie zamierzali jednak ograniczyć się do tego. Trzeba było podzielić kolię na części i sprzedać. Zabrali się do tego bez zwłoki.

* * *

Cała historia mogła wyjść na jaw znacznie wcześniej, bo parę dni później na policję przyszedł pewien jubiler z informacją, że jakiś człowiek przyniósł mu niezwykle piękne diamenty, które zostały wyjęte z oprawy w sposób całkiem niefachowy. W ten sposób Reataux został aresztowany, gdy wracał od jubilera.

Wyjaśnił natychmiast, że kamienie przekazała mu krewna samego króla, hrabina de la Motte-Valois. Oświadczył, że jest w stanie tego dowieść i policja go wypuściła.

Od tej pory wspólnicy wiedzieli, że nie należy sprzedawać diamentów w Paryżu, więc hrabia wybrał się w tym celu do Londynu. Kiedy wrócił, był bogatym człowiekiem, choć londyńscy jubilerzy też sporo na tym interesie zyskali, bo nie zapłacili mu tyle, ile były warte kamienie. Madame de la Motte była wreszcie w swoim żywiole. Należała do osób, które żyją terażniejszością, niewiele myśląc o przyszłości, co doskonale potrafiłam zrozumieć.

Zorganizowała iście królewski wyjazd do Bar-sur-Aube z orszakiem we wspinających liberjach. Jechała powozem zaprzężonym w czwórkę angielskich koni, wioząc dywany, gobeliny, meble i ubrania na dwudziestu czterech furmankach. Na swym lekkim angielskim powozie w eleganckim perłowym kolorze kazała namalować herb Walezjuszy i wygrawerować napis: *Rege ab avo sanguinem, nomen, et lilia*. (Po królu, mym protoplaście, mam krew, nazwisko i lilię).

Prowadziła królewskie życie, o którym bez wątpienia marzyła od czasu, gdy się dowiedziała, że w jej żyłach płynie krew Walezjuszy. Sądzę jednak, że wiedziała, iż nie może to trwać wiecznie i że przyjdzie jej zapłacić rachunek.

Może podobnie jak ja musiała się nauczyć, że człowiek zbiera to, co sieje. Kardynał został aresztowany i opowiedział historię, w którą zamieszana była pani de la Motte. Dwa dni później straż przybyła do Bar-sur-Aube. Jeanne wiedziała, że nie warto stawiać oporu; została aresztowana i osadzona w Bastylji.

Rozdział 18

Proces

Królowa była niewinna i chcąc nagłośnić swoją niewinność, pragnęła publicznego procesu przed obliczem parlamentu. W rezultacie tego procesu ludzie uznali, że to ona jest winna, a przy tym cień padł na francuską koronę.

Napoleon no Wyspie Świętej Heleny

Mam nadzieję, że de Rohan dostanie zakaz wstępu na dwór. Ale sprawa potrwa parę miesięcy, trudno więc przewidzieć jej zakończenie. Zaczęło się od aresztowania i zawieszenia go we wszystkich prawach i obowiązkach do momentu wydania wyroku. Jego los podzielą ten szarlatan, Cagliostro, „hrabia” de la Motte i jego żona oraz dziewczyna, która zowie się Oliva. Cóż za towarzystwo dla księcia de Rohana i kardynała w jednej osobie!

Maria Antonina do Józefa II

Królowa była pogrążona w smutku... „Chodź, wezwała mnie kiedyś, chodź i zapłacz nad swoją znieważoną królową, która padła ofiarą intryg i niesprawiedliwości...”. Wtedy wszedł król i powiedział: „Królowa jest bardzo zmartwiona i ma po temu wszelkie powody”.

Pamiętniki pani Campan

Wszyscy bohaterowie afery z diamentową kolia trafili do Bastylii. Jedynie hrabia de la Motte uciekł do Londynu, zabierając to, co pozostało z naszyjnika. Cały dwór i cały kraj czekały z niecierpliwością na wyjaśnienie sprawy.

Paryski tłum mówił tylko o zbliżającym się procesie. Kardynał zmienił się nie do poznania. Osadzono go w bardzo wygodnym apartamencie w Bastylii, w warunkach całkiem innych niż zwykłych więźniów. Miał do dyspozycji trzech swoich służących — Płacił sto dwadzieścia liwrow dziennie, ale mógł przyjmować wizyty rodziny, sekretarzy i obrońców. Zjawiało się tak wielu gości, że zwodzony most musiał być opuszczony przez cały dzień. Kardynał wydał nawet bankiet, na którym pito szampana. W dalszym ciągu zajmował się wszystkimi swoimi sprawami, jakby Bastylia była jego kolejnym pałacem, w którym zatrzymał się na jakiś czas. Spacerował codziennie po ogrodzie naczelnika lub po platformach między wieżami.

Wsparcie potężnej rodziny pomogło mu odzyskać pewność siebie. Kiedy dowiedział się, że Ludwik wyznaczył Breteuila na jednego z sędziów, natychmiast zaprotestował, twierdząc, że Breteuil jest do niego wrogo nastawiony. Ludwik, który pragnął być sprawiedliwy, od razu przystał na propozycję zmiany i wyznaczył Vergennesa, ministra spraw zagranicznych, na miejsce Breteuila. Vergennesa miał wspomagać marszałek de Castries, minister marynarki.

Madame de la Motte przebywała w znacznie mniej komfortowej części Bastylii i tam przygotowywała swoją obronę. Jej bujna wyobraźnia stworzyła mnóstwo fantastycznych opowieści, hrabina musiała się jednak poważnie zaniepokoić, gdy aresztowano Reataux i d'Olivé.

Sama ostrzegła Marie — Nicole o możliwości aresztowania, bo bardzo jej zależało, żeby dziewczyna nie opowiedziała o scenie przy posągu Wenus. Oliva usiłowała uciec razem ze swoim kochankiem, Toussaintem de Beaussire, ale schwytano ich w Brukseli. Reataux de Villette został zatrzymany w Genewie. Do Bastylii trafili też hrabia i hrabina de Cagliostro. Dokładano wszelkich starań, by sprowadzić do Francji hrabiego de la Motte. Anglia nie stosowała ekstradycji, hrabia wykazał się zatem większą inteligencją niż pozostali, wybierając ten właśnie kraj jako miejsce schronienia. Kiedy się okazało, że zaszył się na pograniczu Anglii i Szkocji, przygotowano misterny plan. Do Newcastle posłano specjalny statek. Gospodarze hrabiego zostali przekupieni, by dosypali mu do wina środka odurzającego, który miał ułatwić doprowadzenie winowajcy na pokład. Fałszywy hrabia w porę odkrył jednak podstęp i zdążył uciec.

Gdy wszyscy trafili do więzienia, plotkom nie było końca. Kardynała nazywano największym łajdakiem we Francji. Powtarzano opowieści o orgiach, jakie organizował w swoim pałacu w Saverne. Każda kobieta, której nazwisko pojawiało się w tym kontekście, była uznawana za jego kochankę.

Paryż sprzyścił się przeciwko kardynałowi, ale dwór zjednoczył się przeciwko mnie. Zorientowałam się dopiero wówczas, gdy poczułam na sobie dziwne spojrzenia dworzan i zobaczyłam smutek w oczach moich prawdziwych przyjaciół, pani Campan i Elżbiety. Gabrielle zachowywała się niepewnie; pozostawała pod wpływem rodziny, a kardynał był jednym z najbardziej wpływowych ludzi we Francji. Jego publiczne aresztowanie potraktowano jako cios wymierzony w arystokrację.

Powoli zaczęłam uświadamiać sobie, jak bardzo jestem znieawidzona, i wątpić w szczerłość ludzi, którzy przez tyle lat okazywali mi szacunek, a także to, co brałam za prawdziwe uczucia.

I wtedy nagle sympatia opinii publicznej zmieniła się — na pozór bez żadnego powodu, ale przecież nic się nie dzieje bez przyczyny. Paryżanie, którzy mieli niezawodną intuicję, nagle stali się sprzymierzeńcami kardynała. Przestali go uważać za łotra, z dnia na dzień stał się niesłusznie oczernionym bohaterem. W tej historii musiał być też oczywiście jakiś łotr, a może łotrzyca — hrabina de la Motte? Ona rzeczywiście tkwiła w tym po uszy, ale historia byłaby znacznie ciekawsza, gdyby znalazła się w niej tajemnicza, ukryta w cieniu postać — królowa.

— Gdyby nie królowa — szeptano — nic by się nie wydarzyło.

Codziennie publikowano aktualne sprawozdania z przebiegu sprawy. Ludzie z niecierpliwością czekali, aż kolejna porcja informacji zejdzie z prasy drukarskiej. Kardynała znów nazywano „Jego Piękną Eminencją” — był przecież taki przystojny i pełen godności. Bardzo modna stała się czerwono — żółta wstążka, zwana *Cardinal sur la paille*. Znów opowiadano o nim liczne historie, lecz jego rozpustę określano teraz jako miłostki. Kiedy go aresztowano, pod pretekstem wiązania buta zdołał napisać do swego zausznika, ojca Georgela bilecik, w którym poprosił o zniszczenie pewnych dokumentów związanych z aferą. Georgel wykonał zadanie i zniszczył ważne dowody. Opowiadając o tym epizodzie, ludzie nie komentowali faktu, że de Rohan starał się uniknąć odpowiedzialności, lecz interpretowali jego posunięci jako szlachetny gest, który miał wyłączyć Pewne Osoby z kręgu zamieszanych w tę aferę.

Ja tymczasem po raz kolejny byłam w ciąży i martwiłam o zdrowie mojego najstarszego syna. Coraz bardziej poważniałam i zaczynałam rozumieć, że ta afery mi zaszkodzi. Spędzałam więcej czasu z rodziną, ale sprawa naszyjnika nie dała się oddzielić od mojego prywatnego życia. Byłam w nią zamieszana, choć nie brałam w niczym udziału.

Kardynał zaangażował najlepszych obrońców — Targeta, de Bonnieresa i Larget-Bardelina. Targeta uznawano za największą gwiazdę pośród francuskich adwokatów. Obrońcą madame de la Motte został sześćdziesięcioletni Doillot, tak bardzo zafascynowany swą klientką, że mówił wszystko, co mu kazała, w gruncie rzeczy więc broniła się sama. Kędy sprawa wyszła na jaw,

hrabina nie odniosła żadnych korzyści, zdołała jednak tymczasem opowiedzieć mnóstwo najbardziej fantastycznych historii. Oliva dostała młodego adwokata, który dopiero skończył studia, i natychmiast wpadła mu w oko.

Ludzie nie rozmawiali o niczym innym. Madame de Cagliostro została zwolniona z aresztu, gdy tylko okazało się, że nie ma nic wspólnego z aferą. Wróciła do swego domu przy rue Saint-Claude, by tam czekać na wyrok, a gdy najwyższej postawione osoby zaczęły ją odwiedzać, zapewniając o swym wsparciu, przyjmowała gości ze śladami łez na twarzy. Wizyty u madame de Cagliostro stały się bardzo modne.

To obrazuje fluktuację uczuć opinii publicznej. Ludzie zaczęli już szeptać, że osoba, która naprawdę jest winna, wcale nie stanęła przed sądem.

Zgodnie z obyczajem publikowano opisy konsultacji więźniów z adwokatami. Rozchodziły się w setkach egzemplarzy. Publikowano także mowy obrońców i to zanim zostały wygłoszone. Dzięki temu każdy mógł śledzić przebieg procesu.

Tyle napisano na temat tej afery, pojawiło się tak wiele różnych teorii, że nie sposób chyba powiedzieć, która była prawdziwa.

Nie miałam wówczas żadnych wątpliwości co do winy kardynała. Nie mogłam dać wiary, że ktoś zdołał tak go wystrychnąć na dudka. Ale wszyscy wokół uważali, że jest niewinny.

Madame de la Motte przedstawiła najróżniejsze zarzuty pod adresem wielu osób, nigdy jednak nie wspomniała mojego imienia. Gdy jedna z jej historii okazywała się zmyślona, opowiadała po prostu kolejną. W sądzie oskarżeni mogli zadawać sobie nawzajem pytania. Gdy więc kardynał zapytał, w jaki sposób stała się nagle tak zamożna, odparła, że przecież on doskonale zna odpowiedź na to pytanie. Był przecież szczodrym kochankiem, a ona jego faworytą. Oskarżała Olivę o nieobyczajność. Cagliostro natomiast wyprowadził ją z równowagi i cisnęła w niego świeczką.

W odpowiedzi magik obrzucił ją inwektywami własnego pomysłu, których większość zgromadzonych nie mogła zrozumieć.

Kiedy doszło do konfrontacji z dostarczonymi przez Olive i Reataux opisami sceny przy posągu Wenus, hrabina wściekała się i awanturowała, a w końcu, nie mogąc zaprzeczyć, zemdlała. Kiedy woźny próbował jej pomóc, ocknęła się nagle i ugryzła go w szyję.

Na tle szaleństw madame de la Motte i mglistych wypowiedzi Cagliostra kardynał wydawał się mężczyzną o nienagannych manierach, a nawet człowiekiem honoru. Jego popularność z każdym dniem rosła. Gdy zaś na jaw wyływało coraz więcej szczegółów i sędziowie oraz zwykli ludzie starali się ułożyć je w sensowną całość, wszyscy doszli do wniosku, że de Rohan padł ofiarą intrygi grupy lajdaków.

Oliva, która urodziła w Bastylii dziecko swego kochanka, odwoływała się do uczuć publiczności. Nie zrobiła przecież nic złego. Udawała królową, to prawda, ale nie miała pojęcia, jaki jest cel przebieranki. A gdy została wezwana przez sędziów, karmiła właśnie dziecko, i błagała członków parlamentu, by zechcieli zaczekać, aż jej syn przestanie ssać. Wszyscy byli ogromnie wzruszeni. Deputowani cierpliwie czekali, a w doniesieniach prasowych pojawiły się efektowne tytuły: „Prawo zamilkło w obliczu Natury.” Marie-Nicole robiła wielkie wrażenie, siedząc w rozluźnionym gorsecie, z włosami spływającymi na ramiona. Gdy wydawało się, że zemdleje, nawet najsurowszy z sędziów gotów był ją podtrzymywać. Wszyscy byli przekonani, że ta czarująca istota jest niewinna i stała się jedynie narzędziem w ręku intrygantów. I zapewne tak właśnie było.

Pozostał jeszcze Cagliostro w swoim zielonym jedwabnym surducie haftowanym złotem.

— Kim pan jest i skąd pochodzi? — zapytano go.

— Jestem słynnym podróżnikiem — huknął, prowokując śmiech, ale szybko wszystkich uciszył, rzucając kilka efektownych inwektyw. Sądzę, że wielu spośród tych, którzy się śmiali w sali sądowej, następnego dnia z lękiem myślało o tym, co może im zrobić taki czarnoksiężnik.

Przed sędziami stanęła więc malownicza grupka: przystojny kardynał, szalona, piękna i podstępna hrabina, urocza młoda kurtyzana z niemowlęciem przy piersi, awanturnik Villette fantazjujący kuglarz — czarnoksiężnik albo mędrzec. Wszyscy czekali na werdykt, równie ważny dla publiczności, jak i dla mnie.

Wyrok miał zapasć w środę, trzydziestego pierwszego maja. Sąd otwarto o szóstej rano. Już od piątej ludzie gromadzili się pod Pałacem Sprawiedliwości. Gwardia, zarówno konna, jak i piesza, starała się utrzymać w ryzach tłum kłębiący się między pont Neuf i rue de la Barillerie.

Przy drzwiach do Wielkiej Izby zgromadziła się rodzina Rohana, wszyscy w żałobie. Stanęli tam bez wątplenia po to, by przestrzec sędziów wchodzących do sali, że każdy werdykt poza uniewinnieniem będzie odebrany jako cios wymierzony w arystokrację.

Nikt nie miał wątpliwości, że Rohanowie zamierzają wyprowadzić kardynała z sądu uwolnionego od wszelkich podejrzeń i oskarżeń. Dlatego podczas ogłaszania wyroku na madame de la Motte, którą uznano za winną, dwaj sędziowie zażądali kary śmierci. W takim wypadku z kręgu sędziów wydających ostateczny wyrok trzeba było wykluczyć duchownych. A z trzynastu sędziów w sutannach tylko dwóch sprzyjało Rohanowi. Gdyby więc udało się wszystkim księży usunąć, Rohan straciłby wprawdzie dwa pozytywne głosy, ale pozbyłby się jedenastu przeciwnych. Taką władzę miała rodzina Rohanów.

Madame de la Motte nie została skazana na śmierć. Miała natomiast stanąć nago pod pręgierzem, a potem poddać się wypalaniu litery V na ramieniu. Resztę życia miała spędzić w Salpetriere. Jej mąż, choć nieobecny, został skazany na ciężkie galery. Reataux de Villette — na wygnanie, a Oliva została zwolniona, choć nie w pełni uniewinniona.

Cagliostrowi nic nie udowodniono.

Został tylko jeden bohater afery, ten, z którego powodu sprawa wzbudziła zainteresowanie w całym kraju.

Zażądano całkowitego uniewinnienia. Kardynał padł ofiarą spisku intrygantów, lecz postępował cały czas w najlepszej wierze — Niczego mu zatem nie można zarzucić.

— Mój klient jest niewinny — oświadczył jego obrońca — a ja, zarówno jako człowiek, jak i prawnik, jestem o tym tak głęboko przekonany, że dałbym się pokroić na kawałki, żeby to udowodnić.

Wreszcie batalia dobiegła końca. Po szesnastogodzinnej dyskusji kardynał został całkowicie uniewinniony bez jakiegokolwiek zmazy na honorze...

Tłum na ulicach wiwatował. Pod Bastylią zgromadziły się przekupki z targu rybnego z różami i jaśminem. Paryski tłum krzyczał na całe gardło: „Wiwat parlament! Niech żyje kardynał!”.

Kiedy dowiedziałam się o wyroku, zrozumiałam nagle, co oznaczał.

To była największa z moich dotychczasowych klęsk. Parlament swoim wyrokiem dał do zrozumienia, że kardynał de Rohan mógł oczekiwać, że spotkam się z nim w nocy w wersalskich ogrodach i mógł myśleć, iż można mieć moją przychyłność za diamentową kulię!

Ogarnęło mnie przerażenie. Rzuciłam się na łóżko i zalałam łzami. Gdy madame Campan znalazła mnie w takim stanie, zaniepokoiła się i posłała po Gabrielle w nadziei, że ona zdoła mnie pocieszyć.

* * *

Kiedy zobaczyłam obie kobiety, którym ufałam i które uważałam za swoje przyjaciółki, zawołałam:

— Chodźcie i płaczcie nad swoją królową, znieważoną ofiarą intryg i niesprawiedliwości! — Nagle poczułam, że ogarnia mnie gniew. Skoro Francuzi mnie nienawidzą, ja ich także nienawidzę. — Choć to ja powinnam się raczej uzalać nad wami, Francuzkami. Jeśli ja nie mogę oczekiwać sprawiedliwego sądu w sprawie, która dotyczy mojej reputacji, to cóż by się działo, gdyby to wasz los był stawką w grze?

Król, który właśnie wszedł do mojego apartamentu, pokręcił głową ze smutkiem.

— Królowa jest pogrążona w smutku. I ma po temu powody. Wszyscy widzieli w Rohanie tylko księcia krwi i księcia Kościoła, podczas gdy on w rzeczywistości po prostu potrzebuje pieniędzy. Cała ta historia zaczęła się od intrygi, dzięki której miały mu się zapęlić kieszenie. Na końcu okazało się jednak, że kardynał jest tym, którego oszukano, a nie oszukującym. Nietrudno jednak to wszystko przejrzeć, nie trzeba być Aleksandrem Wielkim, nie trzeba rozcinać gordyjskiego węzła.

Spojrzałam na mego męża, człowieka wielkiej dobroci, a tak nieskutecznego w działaniu. I przypomniałam sobie dzień, w którym się dowiedzieliśmy, iż będziemy rządzić Francją. Oboje wówczas zawołaliśmy, że jesteśmy na to za młodzi.

I nie myliliśmy się! Byliśmy nie tylko za młodzi, ale w ogóle się do tego nie nadawaliśmy. Ludwik — ze względu na nieumiejętność podejmowania decyzji — nawet wtedy, gdy nie miał wątpliwości, co do swoich racji. A ja dlatego, że byłam rzeczywiście niemądrą trzpiotką, za jaką uważał mnie Józef, i głupiutkim dzieckiem, które widziała we mnie matka, upatrując w tym powodu do wielkiego niepokoju.

W końcu jednak to wszystko zrozumiałam.

Kara została wymierzona madame de la Motte na stopniach Pałacu Sprawiedliwości. Jak się można było spodziewać, hrabina nie zamierzała poddać się jej potulnie. Szarpała się i gryzła swoich oprawców. Gdy przymierzali się do wypalenia litery V na jej ramieniu, wiła się tak gwałtownie, że rozpalone żelazo przyłożono jej do obnażonej piersi. Potem mdlejącą kobietę w koszuli z juty i sabotach przewieziono do Salpetriere, gdzie miała przeżyć resztę swoich dni o chlebie i wodzie. Gdy tylko wyrok został wykonany, paryżanie okrzyknęli hrabinę bohaterką. Diuk i diuszesa Orleanu zbierali pieniądze dla madame de la Motte; do Salpetriere posyłano kosze ze smakołykami. Mojej głupiutkiej księżnej de Lamballe udzielił się ów powszechny nastrój i sama zaniósła jakieś pyszności uciemionej bohaterce. Natychmiast rozniosły się plotki, że zrobiła to na moje polecenie, ponieważ chciałam w ten sposób zagłuszyć dręczące mnie wyrzuty sumienia. Zaraz potem zaczęto szeptać, że historia, którą opowiadała madame de la Motte, była prawdziwa i hrabina rzeczywiście działała w moim imieniu. Okazało się, choć wtedy jeszcze sobie tego nie uświadamiałam, że sprawa diamentowej kolii nigdy nie zostanie zapomniana.

Parę tygodni później skazanej pozwolono uciec, a wieść niesła, że miałam w tym swój udział.

Nawet wtedy gdy z Anglii zaczęły napływać ohydne paszkwile, jako że madame de la Motte natychmiast chwyciła za pióro, ludzie wciąż opowiadali tę niedorzeczną historię. A samozwańcza hrabina gościła w szanujących się londyńskich domach, opowiadając pikantne historyjki na temat życia na francuskim dworze, ja zaś byłam często ich główną bohaterką.

Skoro raz wyrządziła mi krzywdę, nie mogła już zejść z obranej drogi.

To stanowiło punkt zwrotny w naszym życiu i oboje, Ludwik i ja, dobrze o tym wiedzieliśmy. Mąż otoczył mnie wielką dobrocią. Wierzył w moją uczciwość, a ja byłam mu bardzo wdzięczna. Okazywał mi wiele czułości, ale chyba nie rozumiał, że ziemia zaczyna się rozstępować pod naszymi nogami.

Dziś wiem, że gdyby okazał stanowczość, mógłby nas uratować. Gdyby okazał zdecydowanie, przeciwstawiając się parlamentowi, mógłby uchronić autorytet monarchii, który niestety był coraz mniejszy.

Przed wszystkim jednak powinien okazać stanowczość wobec mnie. Gdyby nie dopuścił do upublicznienia całej afery... Gdyby załatwił sprawę dyskretnie...

— Nikt nie cieszy się bardziej ode mnie z tego, iż udowodniono niewinność kardynała — oświadczył.

Ale widząc mój smutek i przygnębienie, wysłał kardynałowi *lettre de cachet*, każąc mu wyjechać do opactwa Chaise-Dieu.

Wygnał także Cagliostro i jego żonę. Na tym polegała jego słabość.

Jeśli nie zgadzał się z decyzją parlamentu, powinien to głośno powiedzieć. On tymczasem zaakceptował wyrok, a potem napisał *lettre de cachet*.

Ja natomiast nie mogłam przezwyciężyć ogromnej depresji.

Mercy napisał do mojego brata: „Królowa martwi się tym wszystkim bardziej, niż powinna”.

Mercy miał rację. Ale intuicja podpowiadała mi, że przeżyłam właśnie największą katastrofę w swoim życiu. Nie do końca rozumiałam te przecucia. Wiedziałam jednak, że to prawda.

Wówczas przestałam być beztroska. Wydawało mi się, że już nigdy nie będę wesoła.

Rozdział 19

Madame Déficit

Gdy rozrzutność i niegospodarność uszczuplają królewski skarbiec, podnosi się krzyk rozpacz i przerażenia. Minister finansów decyduje się na drastyczne kroki, jak choćby niedawne obniżenie parytetu złota w walucie czy nałożenie kolejnych podatków... Nie ma wątpliwości, że obecne rządy są znacznie gorsze niż panowanie poprzedniego króla. Wszystko zmierza ku katastrofie.

Hrabia de Mercy-Argenteau

Martwię się o zdrowie mojego najstarszego syna. Jego wzrost jest opóźniony, ma jedną nogę krótszą i krzywy kręgosłup. Od pewnego czasu przesładują go ataki gorączki, a przy tym wciąż chudnie i słabnie.

Maria Antonina do Józefa II

Na toaletce królowej ustawiono cztery świece. Gdy pierwsza z nich zgasła, od razu zapaliłam ją ponownie, po chwili jednak zgasły również druga i trzecia. Wówczas przerażona królowa ścisnęła mnie za rękę i powiedziała: „W nieszczęściu stajemy się bardziej przesądni. Jeśli zgaśnie jeszcze czwarta świeczka, potraktuję to jak zły omen”. I wówczas zgasła czwarta świeczka.

Pamiętniki pani Campan

Po procesie kardynała wszystko się zmieniło. A w każdym razie ja zyskałam świadomość własnej sytuacji. Przestałam być lekkomyślnym dzieckiem. Zorientowałam się, jak szybko rośnie niechęć Francuzów do mnie i to, co dawniej wydawało mi się wielką przyjemnością, teraz uznawałam za stratę czasu.

Kobieta, która dyktowała wszystkim modę i lekkomyślnie rzucała się w wir szalonych zabaw, wydawała mi się obecnie niemądrym dzieckiem. Wreszcie dorosłam. W czasie procesu byłam w ostatnim okresie ciąży i miesiąc później urodziłam drugą córeczkę. Sophie Beatrix od samego początku była bardzo delikatna. A może żal i gniew z powodu wyroku podkopały nie tylko moje zdrowie, ale i siły mojej córki. Na szczęście dziecko sprawiło, że przestałam myśleć o aferze. Bawiłam kwilące niemowlę i mówiłam sobie, że liczy się tylko to, by była silna i zdrowa.

Miałam już czworo dzieci. Dostałam to, czego zawsze pragnęłam. Byłam matką, żyłam z dziećmi i dla dzieci.

A tymczasem paszkwile na mój temat stawały się coraz bardziej nedorzeczne i coraz liczniejsze. Na paryskich murach i w paryskich wnętrzach zawisły moje portrety, do których domalowywano kolię. Opowiadano, że trzymam ją w szkatułce na biżuterię i że uczyniłam z biednej madame de la Motte kozła ofiarnego. Gdy pojawiałam się gdziekolwiek publicznie, witały mnie nieprzyjazne spojrzenia i cisza. Często wspominałam mój triumfalny wjazd do Paryża, gdy pan de Brissac powiedział, że zakochało się we mnie dwieście tysięcy Francuzów. Teraz było

całkiem inaczej! W którym momencie popełniłam błąd? Wiedziałam, że byłam rozrzutna i lekkomyślna, ale nigdy nie byłam zła. Dopóki moi przyjaciele Polignacowie nie zmusili mnie do interwencji, nie wtrącałam się w sprawy państwowe. Muszę jednak przyznać, że pragnąc zachować ich przyjaźń, nierzadko interweniowałam. A co najdziwniejsze, mój mąż, który był takim bystrym człowiekiem, często polegał na moim zdaniu. Podejrzewam, że zaślepiły go moja uroda i podziw, jakim wszyscy mnie otaczali. Lecz przecież nie szukałam pozamałżeńskich rozrywek. Byłam wierną żoną, co trudno powiedzieć o innych kobietach na francuskim dworze. Byłam też romantyczką. Potrzebowałam wielu podniet, podejmowałam szaleńcze eskapady, flirtowałam, bo byłam z natury kokietką, nie szukałam jednak nigdy za wszelką cenę zaspokojenia seksualnego. Niewykluczone, że miała na to wpływ tak żenująca i przykra inicjacja. Otaczało mnie zawsze mnóstwo mężczyzn i kobiet, którzy nie kryli podziwu dla mnie, ale nasze relacje nigdy nie zaszły za daleko. I nigdy tego nie pragnęłam. Mierziła mnie sama myśl o czymś takim. Chciałam raczej, by moje życie przypominało obrazy Watteau — było pełne czaru i romantyzmu. Ludzie wszakże wcale tego nie rozumieli — A moje zachowanie zdawało się potwierdzać wszystkie okropne historie na temat seksualnych orgii, które rzekomo organizowałam. Król jednak nigdy nie stracił szacunku do mnie. Cierpliwie znosiłam jego problemy, przez wiele lat starałam się wspierać jego niezręczne i uwłaczające naszej godności małżeńskie wysiłki, nie oskarżając go ani nie narzekając, a potem dzieliłam z nim jego triumf. Dowiódł swej męskości dzięki mnie i dlatego bardzo dbał o moje zadowolenie. Gdy prosiłam o jakieś beneficja dla moich przyjaciół, nigdy nie odmawiał, nawet wtedy, gdy podpowiadał mu to rozsądek.

Dziś często myślę o nim z wielką czułością. Pamiętam, jak kochał nasze dzieci. Ludzie uśmiechali się wyrozumiale, gdy starał się do każdej rozmowy wtrącić słówko o swoim synu, o delfinie. Dzieci także nas kochały. W ich oczach nie byliśmy królewską parą, ale ukochanym papą i najdroższą mamą. Wiem, że darzyły mnie szczególnie ciepłymi uczuciami. A ja czułam się taka szczęśliwa, gdy się nimi zajmowałam. Byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy urodzili się w innych okolicznościach, bo oboje doskonale wywiązywaliśmy się z obowiązków zwykłych rodziców. Zgubiła nas konieczność zasiadania na francuskim tronie.

Jak zaczęła się ta największa katastrofa? Nawet dziś nie umiem tego powiedzieć. Nawet dziś nie potrafię wskazać owego decydującego momentu, chwili, w której ludzkie życie zaczyna zmierzać ku triumfowi albo prosto ku katastrofie. Gdyby moja droga Gabrielle nie miała tak zachłannych krewnych, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej. Chociaż to była chyba zbyt drobna przyczyna.

Zarzucano mi współdziałanie z Austrią na szkodę Francji. Każdy drobny incydent stawał się pretekstem do kolejnych oskarżeń dla tych ludzi, owładniętych bez reszty nienawiścią. Moje austriackie pochodzenie było przyczyną ogólnej niechęci.

Józef prowadził wojnę z Turcją i Prusami, a zgodnie z postanowieniami francusko — austriackiego przymierza w takich okolicznościach aliant powinien służyć pomocą militarną bądź finansową. Wiedziałam oczywiście, że Józef potrzebuje ludzi, a nie piętnastu milionów liwrów, które wyasygnował dla niego pan de Vergennes. Wezwałam więc pana de Vergennes, by go zapytać, dlaczego posyła złoto a nie żołnierzy, na co on odpowiedział, że Francuzi nie będą służyć cesarzowi Józefowi i że muszą wystarczyć pieniądze. Tłumaczyłam, że w Wiedniu nie brakuje pieniędzy i chodzi raczej o pomoc militarną. Wówczas de Vergennes przypomniał mi, że jestem matką delfina i powinnam przestać myśleć jak siostra cesarza. Zupełnie jakby podejrzewał, że chcę osiągnąć coś dla Austrii kosztem Francji, a przecież tak wcale nie było. Pieniądze zostały wysłane, a ja byłam ogromnie zmartwiona. Rozmawiałam o tym z moją drogą Campan, która w owych trudnych chwilach stała mi się coraz bliższa.

— Jak mogą być tak niegodziwi! — krzyczałam. — Wysłali te pieniądze z głównej siedziby poczty, informując ludzi, że wyładowane francuskim złotem wozy jadą do mojego brata do Austrii.

Teraz wszyscy opowiadają, że to ja wysłałam swemu bratu pieniądze w chwili, gdy Francja ich tak bardzo potrzebuje. A przecież ja wcale nie chciałam, by wysyłano złoto, a poza tym zobowiązania traktatu byłyby realizowane również wtedy, gdybym pochodziła z innej rodziny. Och, moja droga Campan, co mam zrobić? Co mogę powiedzieć? I czy to ma jakieś znaczenie? Cokolwiek bym zrobiła, cokolwiek bym powiedziała, oni i tak będą przeciwko mnie.

Próbuję teraz zrozumieć, co działo się we Francji, gdy zbliżyliśmy się do przepaści. Za czasów Ludwika XIV monarchia była najważniejsza. Król sprawował władzę absolutną, i nie miał z tym żadnych kłopotów, ponieważ za jego panowania Francja stała się potęgą — militarną, kulturalną i naukową. Ludwik XIV rządził autokratycznie, ale też Francja mogła być z niego dumna. Pompatyczna etykieta dworska nikogo nie śmieszyła, ponieważ król był naprawdę wielki. Nieprzypadkowo zwano go Królem Słońce.

A potem rządził jego wnuk, nasz drogi dziadek, który przyjął mnie w tak ujmujący sposób. To za jego czasów wysoki piedestał, na którym postawiono monarchię, zaczął się kruszyć. Ojciec madame Campan miał rację. Wszystko się zaczęło na długo przed naszym wstąpieniem na tron. Wspaniałe dziedzictwo zostało zmarnotrawione przez rozwiązłe i ekstrawaganckie życie. Później mawiano, że od czasów starożytnego Rzymu nikt nie żył tak rozpustnie i rozrzutnie jak dwór Ludwika XV. Gdy mój mąż został królem, wszystko powinno się zmienić. Nigdy chyba nie było we Francji króla mniej skłonnego do ekstrawagancji. Nigdy nie oddawał się rozpuście i pragnął być dobry; troszczył się też ogromnie o swój lud. Dla siebie nie żądał niczego, chciał tylko, by poddani uwierzyli, że jest ich ojcem, który przywróci Francji potęgę. Maurepas stał u jego boku jako doradca i Ludwik go słuchał. Ale gdy ja o coś poprosiłam, słuchał mnie. I nigdy nie był pewien, które z nas powinien popierać. Wahał się więc. Czy to przywiodło nas do zguby? Ludwik nie potrafił myśleć szybko, nie umiał podejmować decyzji. To nie była głupota — wręcz przeciwnie. Chętnie rozważał argumenty obu stron i dzięki temu widział wszystko wyraźniej, ale za to nie potrafił okazać zdecydowania. I w związku z tym najpierw szedł w jednym kierunku, a potem, po chwili wahania obierał inny, by po pewnym czasie znów powrócić na drogę, którą kroczył na początku. Mój biedny Ludwik, w jego intencjach nigdy nie było cienia egoizmu i tak bardzo starał się znaleźć najwłaściwsze rozwiązanie, a przy tym tak rzadko odnosił sukces.

Nauczył się zachowywać spokój niezależnie od sytuacji, choć bez wątplenia ułatwiły mu to naturalne skłonności. Ale wszystkie jego zalety działały przeciwko niemu. Opanowanie i spokój sprawiły, że nie dostrzegał niebezpieczeństwa nawet wtedy, gdy znajdowało się już nad jego głową. Mówił:

— Och, to na pewno minie. To tylko drobiazg.

Gdyby nie fatalny stan finansów, zdołalibyśmy zapewne uniknąć tragedii. Ale czy rzeczywiście można nas winić za to, że państwo znalazło się na skraju bankructwa? W pewnej mierze ponosiłam za to odpowiedzialność. Moje ukochane Trianon było w rzeczywistości małym potworem, który zakradł się do skarbu państwa i wysysał go zachłannie przez długi czas. Mój biało-złoty teatr, moje niezrównane ogrody, moje Hameau... wszystko to bardzo dużo kosztowało. A ja nie zastanawiałam się nad kosztami, bo wszystko było takie piękne i uszczęśliwiała nie tylko mnie, lecz i tysiące innych ludzi.

Turgot, a potem Necker próbowali uzdrowić finanse, jednak ich metody nie przyniosły rezultatu. Wtedy do akcji wkroczył Calonne. Zaczął pożyczać od ludzi i zwiększać podatki. Roczny deficyt sięgnął stu milionów liwrów.

Wszyscy mówili o deficycie. A mnie obdarzono nowym przezwiskiem. Pod moim portretem, koniecznie w diamentowej kolii, pisano: „Madame Déficit”.

Kiedy Calonne objął swój urząd, wszyscy nabrali optymizmu. Nie mieliśmy pojęcia, że ten człowiek myśli tylko o terażniejszości i że wrażenie poprawy sytuacji wynikało wyłącznie z

zaufania do jego posunięć. Ale samo zaufanie nie wystarczyło. Gdy prosiłam go o cokolwiek, kłaniał się dwornie i mówił: „Jeżeli prośba Najjaśniejszej Pani jest możliwa do spełnienia, sprawę można uznać za załatwioną, jeśli zaś rzecz jest niemożliwa do spełnienia, musi zostać załatwiona”.

....

Wydawało mi się, że to bardzo mądra odpowiedź, choć wcale nie prowadziła do rozwiązania naszych problemów.

W owym czasie zapomniałam zresztą o wszystkich męczących sprawach finansowych, ponieważ zaczął mnie niepokoić stan zdrowia dwójki moich dzieci. Od razu pogodziłam się z tym, że najmłodsza, Sophie Beatrix będzie dzieckiem wątłym, ale teraz chorowity stał się także mój starszy syn, Ludwik Józef — delfin. Wszystko zaczęło się od krzywicy, która pomimo troskliwej opieki licznych lekarzy wciąż się pogłębiała.

Wkrótce się okazało, że choroba zaatakowała kręgosłup i zdeformowała ciało mojego najdroższego syna. Byłam zrozpaczona, a pocieszała mnie tylko znakomita kondycja ukochanej Madame Royale i jej młodszego brata, diuka Normandii, który był zdrowym i prześlicznym, niebieskookim i jasnowłosym dzieckiem.

Mój mały delfin natomiast jakby zdziwaczał. Może stało się tak dlatego, że nie był tak silny jak inni chłopcy — zamykał się w sobie, choć był bardzo mądry i czasem zachowywał się jak staruszek. Kochałam go gorąco, jak kocha się dziecko, którego zdrowie wciąż przysparza powodów do niepokoju. Przez cały czas przebywałam w pokoju dziecięcym, żeby obserwować Sophie Beatrix. Gabrielle często mi wówczas towarzyszyła, bo była opiekunką Dzieci Francji, lecz niestety delfin jej nie polubił. Nie mogłam pojąć, jak ktokolwiek może nie lubić Gabrielle, tak pięknej, łagodnej i darzącej dzieci tak wielką miłością. Ale Polignacowie często stawali się obiektem dworskich intryg i choć Gabrielle wcale nie była do nich podobna, należała jednak do rodziny i nikt o tym nie zapominał. Guwernerem delfina został diuk d’Harcourt i najprawdopodobniej to on zaszczepił mu nienawiść do Gabrielle. Gdy się zorientowałam w sytuacji, próbowałam temu jakoś zaradzić. Szybko się jednak przekonałam, że nawet ja nie mogę zachowywać się całkiem swobodnie w pokojach moich dzieci.

Pamiętam, jak kiedyś przyniosłam Ludwikowi Józefowi „pańską skórkę” i landrynki, bo wiedziałam, że bardzo lubi słodycze. Diuk d’Harcourt natychmiast z całym szacunkiem pouczył mnie, że delfin może jeść tylko to, co mu zalecają lekarze. W pierwszej chwili bardzo się zdenerwowałam, że nie mogę przynieść własnemu dziecku słodyczy, gdy jednak spojrzałam na jego biedne ciało, pomyślałam, że może rzeczywiście powinnam pozostawić decyzję lekarzom.

Parę dni później Gabrielle powiedziała, że delfin wyprosił ją z pokoju.

— Za mocno się pani perfumuje, diuszeso — powiedział — a od tego robi mi się słabo.

— A ja — protestowała Gabrielle ze łzami w oczach — w ogóle nie używałam żadnych perfum.

W pewnym sensie znacznie lepiej się czułam w towarzystwie mojego młodszego syna, który miał prawie dwa lata. Uwielbiał mnie i chętnie wspinał mi się na ramiona, z ogromnym zaciekawieniem badając wyszukane fryzury mistrza Leonarda. Był wesoły, trochę uparty i ciekawy świata. A przy tym wydawało mi się, że pozostanie tylko mój, bo nie był tak ważny jak jego starszy brat.

Mała Sophie Beatrix słabła coraz bardziej. Trudno mi było się z nią rozstawać; serce mi pękało, gdy patrzyłam, jak ta maleńka istotka walczy o oddech. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym zmarła mi na rękach. Patrzyłam na spokojną małą twarzyczkę i rozumiałam, że do tej pory nie wiedziałam, co znaczy być nieszczęśliwą.

Położyłam ją w kołysce i starałam się pocieszyć, myśląc o pozostałych dzieciach. Dziś wydaje mi się, że właśnie wtedy zaczęły się wszystkie moje prawdziwe strapienia.

Sytuacja finansowa pogarszała się coraz bardziej, a gdy tylko ludzie mówili o deficycie, pojawiała się także moje imię. Wszystkiemu winna była moja rozrzutność, a na domiar złego byłam przecież Austriaczką i działałam na szkodę Francji. Doprowadziłam do ruiny finanse państwa, kupując diamentową kolia i wydając ogromne pieniądze na Trianon. Nie zwracałam uwagi na te oszczerstwa. Myślałam tylko o pogarszającym się stanie zdrowia mojego starszego syna.

Ludwik Józef był wyjątkowo mądrym chłopcem i wypowiadał się w sposób aż nazbyt dojrzały. Gdy patrzyłam jednak na jego zdeformowane ciało, łzy same mi napływały do oczu. Nie mógł się bawić tak jak jego młodszy brat, mógł tylko siedzieć. Towarzyszył mu zawsze jego pies, Moufflet, bo wszystkie dzieci odziedziczyły po mnie miłość do psów.

Mój mąż opłakiwał razem ze mną śmierć naszej najmłodszej córki i pogarszający się stan zdrowia delfina. Jestem przekonana, że niepokoiło go to znacznie bardziej niż sugestia Calonne'a, by zwołać Zgromadzenie Notabli — przedstawiciele świeckich i duchownych — i poprosić ich o radę, jak uratować kraj przed stoczeniem się w przepaść.

Calonne chciał zlikwidować przywileje i wyrównać stawkę podatkową. Tego rodzaju propozycja wymagała bardzo gruntownego przemyślenia.

— Tylko Zgromadzenie Notabli może to uczynić — zapewniał Calonne.

Mój mąż się zaniepokoił. Wiedział, że zwołanie takiego zgromadzenia byłoby ciosem wymierzonym w monarchię, ale Calonne tłumaczył, że nawet Henryk IV korzystał z rad podobnego forum. Vergennes krytykował pomysł Calonne'a, więc Ludwik przez pewien czas się wahał. Sytuacja pogarszała się jednak coraz bardziej i w końcu król przychylił się do opinii ministra finansów. W skład zgromadzenia wejść miało siedmiu książąt krwi, czternastu arcybiskupów i biskupów, trzydziestu sześciu diaków i parów, dwunastu radców stanu, trzydziestu ośmiu radnych, dwunastu deputowanych i dwudziestu pięciu dygnitarzy z większych miast. Gremium dobierano tak, by król i parlament mogli rzeczywiście skorzystać z jego rad.

Gdy Ludwik podjął już decyzję o zwołaniu zgromadzenia, opuściły go wątpliwości i był zadowolony.

Rankiem trzydziestego grudnia powiedział:

— Nie zmrużyłem oka, ale to była bezsenność spowodowana radością.

Biedny Ludwik! Jak daleko mu było do prawdziwej polityki! Wierzył, że wszyscy są równie bezinteresowni jak on.

— Maksymą naszych władców było — ciągnął — „Wola króla — najwyższym prawem”. A moją maksymą będzie: „Szczęście narodu — wolą króla”.

Po raz pierwszy od śmierci Sophie Beatrice czuł się szczęśliwy, wierząc, że wreszcie znalazł sposób na rozwiązanie naszych problemów. La Fayette, który niedawno wrócił z Ameryki, popierał ideę zwołania Zgromadzenia Notabli i zniesienia przywilejów. Mówił dużo na temat idei wolności. I nie on jeden. O wolności mówili bez przerwy filozofowie. A w ogrodach Palais Royale, siedziby naszego starego wroga, diuka Orleanu, odbywały się spotkania, podczas których rozważano nie tylko ideę wolności, lecz także równości i braterstwa. Skoro Francuzi pomagali walczyć o te idee Amerykanom, dlaczego nie mieliby zacząć walczyć o nie we własnym kraju?

Pomysł przeprowadzenia reform za pośrednictwem Zgromadzenia Notabli nie miał wielkich szans powodzenia. Czy francuska szlachta mogła zgodzić się na płacenie podatków? Czy mogła przystać na większe obciążenia i większy udział w finansowaniu przedsięwzięć państwa? Zgromadzenie Notabli nie miało żadnej mocy. Wszyscy mówili, że to nie jest ciało, które może narzucić nowe podatki. Tego rodzaju uprawnienia miały tylko Stany Generalne.

Wszyscy o tym szeptali.

I rzeczywiście zwołanie Zgromadzenia Notabli okazało się nieporozumieniem. Ludzie śmiali się z impotencji tego forum. A niepowodzenie tego przedsięwzięcia było pierwszym znakiem upadku Callone'a, autora niefortunnej idei.

Ludzie domagali się powrotu Neckera.

Kto powinien zająć miejsce Callone'a? Ojciec Vermond zaczął szeptać mi do ucha, że człowiekiem, który najlepiej się do tego nadaje jest jego przyjaciel, Lomenie de Brienne, arcybiskup Tuluzy. Vermond był o tym święcie przekonany, a ja zawsze lubiłam spełniać prośby moich przyjaciół. Vermond bez wątpienia należał do ich grona i to od dawna, od mojego przyjazdu do Francji, a może nawet wcześniej. Dlatego zależało mi na tej nominacji. Król był temu przeciwny, wszyscy oponowali. Ludwik zaczął się wahać, w końcu jednak uległ moim naciskom.

W ten sposób wmieszałam się w sprawy państwowe. Lomenie de Brienne nie nadawał się na ministra finansów. Na domiar złego, miał przeciwko sobie cały parlament, który torpedował każdą jego decyzję. Wszystko dlatego, że to ja zaproponowałam jego kandydaturę. A jeszcze na dodatek, starając się sprawić mi przyjemność, zaproponował, bym miała prawo uczestniczyć w posiedzeniach rządu, co oczywiście nie przysporzyło mi popularności.

Ludzie krzyczeli na ulicach:

— Nigdy nie będzie nami rządzić Madame Déficit!

Paradowali z afiszami, na których widniały moje karykatury — zawsze w diamentowej kolii i z podpisem „Madame Déficit”.

Z Palais Royale płynęły plotki, które coraz bardziej niszczyły mi reputację. W Bellevue, które Ludwik podarował ciotkom, rodziły się coraz to nowe historie na temat mojej nikczemności i zepsucia, opowieści coraz bardziej fantastyczne.

— To królowa — krzyczeli ludzie — to królowa ponosi odpowiedzialność za niedole Francuzów! Któżby inny, jeśli nie główna winowajczyni w aferze z naszyjnikiem, któżby inny jeżeli nie Austriaczka, Madame Déficit!

Brienne nie miał żadnych nowych pomysłów. Uświadamiałam sobie coraz wyraźniej, że popełniłam błąd, zabiegając o jego nominację. Potrafił tylko pożyczać pieniądze. Parlament nie zgadzał się na jego propozycje, ale król, zdecydowany jak rzadko kiedy, postanowił wesprzeć ministra.

— Rozkazuję wam zrealizować propozycje pana de Brienne'a! — zawołał.

Diuk Orleanu zerwał się na równe nogi i cisnął królowi w oczy, że postępuje wbrew prawu.

Ludwik wiedział, że diuk Orleanu może być niebezpieczny, dotarły bowiem do niego słuchy na temat nocnych spotkań w Palais Royale. Postanowił więc zesłać diuka do jego posiadłości w Villers-Cotteret.

Sprzeczność pomiędzy wolą króla i wolą parlamentu nie została jednak w ten sposób rozstrzygnięta. Wszystkie parlamenty prowincjonalne poparły decyzję Paryża.

— Brienne musi odejść! — wołał zgodnie cały kraj.

W kilku miastach wybuchły rozruchy, ludzie żądali powrotu Neckera, który mógł wrócić tylko po dymisji Brienne'a. Tymczasem żądania stawały się coraz bardziej radykalne:

— Trzeba zwołać Stany Generalne!

* * *

W owym czasie zmarła najmłodsza z królewskich ciotek, madame Ludwika. Dziś myślę, że miała szczęście, odchodząc na tamten świat znacznie wcześniej niż reszta rodziny.

Zmarła, pewna swego miejsca w raju, bo konając wołała w delirium — chyba do swego woźnicy:

— Szybko, do raj. Dalejże, naprzód!

Sądę, że była najszczęśliwsza spośród swych sióstr, żyjąc z dala od niepokoju, który stał się częścią naszej codziennej rzeczywistości.

Coraz więcej czasu spędzałam w Trianon, spacerując po ogrodach i wdając się w pogawędki z moimi wieśniakami z Hameau. Odczuwałam ogromną potrzebę ucieczki z Wersalu. Zawsze zabierałam ze sobą dzieci — dwójkę zdrowych i coraz chudszeo delfina.

Rose Bertin przywiozła mi nowe projekty. Udało jej się zdobyć wyjątkowy jedwab i najpiękniejszą satynę, jaką kiedykolwiek widziałam.

— Nastaly inne czasy — powiedzialam jej jednak. — Mam mnóstwo sukni w swojej garderobie. To musi mi wystarczyć.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem, uśmiechnęła się do mnie swoim najbardziej szelmowskim uśmiechem i powiedziała:

— Proszę nic nie mówić, póki Najjaśniejsza Pani nie zobaczy mojego nowego niebieskiego aksamitu.

— Nie mam ochoty go oglądać — oświadczyłam. — Nie będę korzystała z pani usług tak często jak dawniej.

Roześmiała się i kazała pomocnicom przynieść belę aksamitu, ale odwróciłam się i odeszłam w stronę okna.

Rose Bertin rozgniewała się nie na żarty. Gdy wychodziła z komnaty, policzki miała mocno zaróżowione, a oczy przymknięte. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego ją kiedyś lubiłam. Moje zdziwienie stało się jeszcze większe, gdy uświadomiwszy sobie, że rzeczywiście straciła swą najwierniejszą klientkę, zaczęła rozpowiadać swoim klientom, a nawet przechodniom na targu o moich kaprysach i fanaberiach.

A ja naprawdę nie potrzebowałam nowych strojów. Naprawdę się zmieniłam. Czułam, że powinnam świecić przykładem, obciąć część wydatków. Powiedziałam diukowi de Polignac, że będę musiała zrezygnować z jego usług jako swego prywatnego koniuszego. Ta synekura kosztowała mnie pięćdziesiąt tysięcy liwów rocznie, a przecież posadę stworzyłam tylko ze względu na Gabrielle. Zwolniłam także jej kochankę, hrabiego de Vaudreuil, ze stanowiska wielkiego sokolnika.

— To przywiedzie nas na skraj bankructwa! — krzyczał rozwścieczony hrabia.

— Byle tylko Francja nie znalazła się na skraju bankructwa — odparłam dość ostro.

Zaczynałam rozumieć, jak niemądrze postępowałam, obdarowując bez umiaru tych ludzi. Uświadomiłam sobie, że oni wszyscy żerowali na mojej lekkomyślnej hojności, która w gruncie rzeczy wcale nie była hojnością, bo przecież rozdawałam to, co wcale do mnie nie należało.

Czułam, że wszyscy moi rzekomi przyjaciele odwracają się ode mnie. Wszyscy oprócz Gabrielle, która nigdy nie prosiła o nic dla siebie, ale zawsze o kolejne przywileje dla rodziny, która ją do tego zmuszała; oprócz księżnej de Lamballe, której przyjaźń była prawdziwie bezinteresowna; i oprócz mojej drogiej szwagierki Elżbiety, której troska o moje dzieci jeszcze pogłębiła naszą serdeczną więź. To były moje prawdziwe przyjaciółki. Cała reszta już wówczas zaczęła się ode mnie oddalać.

We Francji jednak znów bawił inny mój przyjaciel, hrabia Axel de Fersen. Pojawiał się na przyjęciach, ale zamieniłam z nim zaledwie parę słów w jak największej dyskrecji. Mimo to ogarnęła mnie wielka radość z powodu jego obecności. Wiedziałam, że czeka tylko na mój znak, by natychmiast stanąć u mego boku.

Delfin słabł z każdym dniem. Nie opuszczałam prawie jego apartamentów. Niepokój o zdrowie syna odwrócił moją uwagę od spraw państwowych. To była dla mnie prawdziwa tragedia, znacznie bardziej dotkliwa niż trudności, w jakich znalazła się Francja.

Pisałam o nim do Józefa:

Martwię się o zdrowie mojego najstarszego syna. Jego wzrost jest opóźniony, ma jedną nogę krótszą i krzywy kręgosłup. Od pewnego czasu prześladują go ataki gorączki, a przy tym wciąż chudnie i słabnie.

Pragnęłam być przy nim przez cały czas i sama się nim opiekować. Ale to nie było możliwe. Zostaliśmy zaproszeni na galowe przedstawienie w operze i Ludwik uznał, że powinniśmy się tam pokazać oboje.

Bardzo się tego bałam. Mówiłam o tym Ludwikowi. Tłumaczyłam, że ludzie chcą go zobaczyć, bo go kochają, ale mnie nienawidzą, karmieni najbardziej nedorzecznymi kłamstwami na mój temat. Nie miałam zresztą ochoty na wizytę w operze, w której przetańczyłam tyle nocy.

— To nasz obowiązek — oświadczył Ludwik.

Zesłam do pokoju dziecięcego, żeby pokazać dzieciom moją suknię. Mały Ludwik Karol aż zapiszczał z radości na widok miękkiego jedwabiu.

— Piękna, piękna mama! — zawołał.

Koniecznie chciał mi pokazać, czego ostatnio nauczył się Moufflet. Uważał Mouffleta za najmądrzejszego psa na świecie i bardzo żałował, że nie jest jego panem. Mój biedny delfin leżał w łóżku, a jego zdeformowane ciało okrywała pierzyna. Chciało mi się płakać, gdy pochyliłam się, by go pocałować. Objął mnie za szyję i przytulił się do mnie. Kochał mnie, gdy nikt go nie zatrwał negatywnymi uczuciami.

Jechałam do opery, myśląc o dzieciach. Premiera była wspaniałym wydarzeniem, ludzie wnosili okrzyki na cześć Ludwika, a nawet na moją cześć, choć słyszałam też drwiny:

— Madame Déficit! Gdzie diamentowa kolia?

Kiedy wchodziłam do królewskiej loży, zauważyłam karteczkę przypiętą do drzwi. Nim służba zdołała ją usunąć, zdążyłam przeczytać słowa: „Drzyjcie, tyrani”.

I rzeczywiście zdrząłam, zupełnie nad sobą nie panując. Ludwik natomiast siedział koło mnie ze spokojnym uśmiechem na twarzy. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zburzyć jego opanowania.

* * *

Jakże się ucieszyłam, gdy zdrowie delfina odrobinę się poprawiło. Zapomniałam o wszystkich troskach, wmawiając sobie, że mój syn naprawdę wydobrzeje. Był takim mądrym dzieckiem. Zawsze bawiły mnie jego uwagi.

— Będzie bardzo mądrym królem — mówiłam Ludwikowi, a on zawsze się ze mną zgadzał.

Założono mu gorset, żeby wzmocnić kręgosłup, a chłopiec nigdy nie narzekał. Jak prawdziwy mężczyzna.

Uważałam, że powinien jak najszybciej nauczyć się zarządzać finansami. Bardzo się wówczas przejmowałam sprawami finansowymi. Poleciłam, by guwernerzy nie dawali mu więcej pieniędzy, niż wynosiła jego pensja. Ludwik Józef był tak bardzo zafascynowany mechaniczną lalką, że nawet modlił się o to, by ją kiedyś dostać. Postanowiłam więc, że mu ją podaruję.

Powiedział mi, że jeden ze służących przypomniał mu, że Boga należy raczej prosić o mądrość niż o bogactwa.

— Wyjaśniłem mu — zdradził mi z uśmiechem — że zamierzam to zrobić, ale nie chcę zaprzętać Panu Bogu głowy dwiema sprawami na raz.

Czyż można było nie podziwiać tego dziecka?

— Kochanie — zawołałam — musisz mi obiecać, że będziesz zawsze jadł pożywne posiłki, specjalnie dla ciebie przygotowywane. Chciałbym, żebyś wyrósł na silnego mężczyznę. Twój papa Wcale nie był szczególnie silny w dzieciństwie, a popatrz na niego teraz.

— Ja także chcę być silny — odpowiedział Ludwik Józef.

— Powinieneś powiedzieć: my także tego chcemy, tak mówią królowie. — Staralam się nauczyć go królewskiego zachowania, mając w pamięci narzekania jego ojca, którego niczego w tym względzie nie nauczono.

— Król nigdy nie mówi „my”, jeśli ma na myśli siebie, mamó — odparł, a mówił to z tak poważną miną, że nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać ze wzruszenia.

Gdy na dobre wstąpiła we mnie nadzieja, Ludwik Józef znów się rozchorował. Obudził się w środku nocy w straszliwych konwulsjach. Mój syn tak bardzo cierpiał, a ja w żaden sposób nie mogłam mu pomóc. Lekarze ciągle go badali i ciągle zalecali jakieś nowe kuracje. Oblepiali go plastrami, planowali kauteryzację kręgosłupa. A on znosił to wszystko z zadziwiającą pogodą. Czuł się trochę lepiej, gdy leżał na stole bilardowym, kazałam więc kłaść tam materac, by było mu nieco wygodniej. Dużo czytał — głównie książki historyczne. Kiedyś księżna de Lamballe zapytała go w mojej obecności, czy wybiera najbardziej interesujące fragmenty z czytanej właśnie historii Karola VII, a on popatrzył na moją niemądrą przyjaciółkę z dezaprobatą i odparł:

— Za mało o tym wiem, żeby wybierać. A poza tym wszystko jest bardzo interesujące.

Gdy czuł się gorzej, pragnął tylko mojego towarzystwa. Oczy mu promieniały, gdy wchodziłam do pokoju.

— Mamó — mówił — jesteś taka piękna. Czuję się szczęśliwszy, gdy jesteś blisko. Opowiedz mi, jak to było kiedyś.

Miał na myśli dni, kiedy mógł jeszcze biegać i bawić się jak jego młodszy brat. Moufflet związał się w kłębek koło niego, a ja opowiadałam anegdotki o różnych wydarzeniach z przeszłości, na przykład o tym, jak był w teatrze w Trianon i patrzył na mój występ.

— Pamiętam, pamiętam! — wołał. — I co się wtedy stało? Kiwał głową, gdy zaczynałam opowiadać, bo naprawdę znał tę historię na pamięć. O tym, jak zapomniałam tekstu i pan Campan, w budce suflera, z wielkimi okularami na nosie, szukał właściwego fragmentu. Wówczas mój synek wykrzyknął na cały głos:

— Panie Campan, niech pan zdejmie te wielkie okulary. Mama pana nie słyszy!

Ludwik Józef śmiał się głośno, a ja razem z nim, choć w gruncie rzeczy zawsze byłam bliska łez.

Lekarze doszli do wniosku, że może szkodzi mu wersalskie powietrze i poczułby się lepiej w La Muette.

— La Muette jest wydane na wiatry.

— I dzięki temu jest tam czyste powietrze.

— W pokoju delfina jest za dużo wilgoci — orzekł jeden z lekarzy. — Okna wychodzą na jezioro ze stojącą wodą.

— To bzdura — wtrącił kolejny. — Powietrze w Wersalu jest bardzo zdrowe.

Mój mąż przypomniał sobie, że w dzieciństwie wysłano go kiedyś do Meudon i podobno zmiana klimatu dodała mu sił.

W końcu Ludwik podjął decyzję, że delfin pojedzie do Meudon.

* * *

W Wersalu miały się zebrać Stany Generalne. Bardzo się obawiałam tego zgromadzenia, ponieważ przejmowało ono lękiem ludzi, których uważałam za prawdziwych przyjaciół. Axel też mówił mi podczas naszych nielicznych pogawędek o swoim niepokoju.

— Ludwiku — zagadnęłam męża — czy nie lepiej byłoby zwołać Stany Generalne gdzie indziej, w pewnej odległości od Paryża?

— Zgromadzenie musi się odbyć w Wersalu i w stolicy.

— Ależ oni pozbawią cię władzy i godności — protestowałam.

I rzeczywiście byłam o tym przekonana. Delegaci pochodzili ze wszystkich stanów, a wpływ na decyzje mieli nawet przedstawiciele klas najniższych. Ludwik Xr7 ani Ludwik XV z pewnością by do tego zgromadzenia nie dopuścili. Ale mąż zapewniał mnie, że jest ono bardzo potrzebne.

Ceremonię inauguracyjną poprzedziły długie przygotowania. We wszystkich Francuzów wstąpiły nowe nadzieje. Jakby wszyscy się spodziewali, że Stany Generalne dokonają cudu.

Gdy wybrałam się do Meudon, by odwiedzić syna, zapomniałam o wszystkich troskach związanych z polityką, nawet o tym, że będę musiała wziąć udział w inauguracyjnym przejeździe. Liczyło się tylko to, że delfin znów podupadł na zdrowiu.

Oczy mu się zaświeciły, gdy mnie zobaczył.

— Najlepiej się czuję — powiedział — gdy jesteś przy mnie. Siedziałam koło stołu bilardowego i trzymałam Ludwika Józefa za rękę. Zapytał, co włożę na tę uroczystość.

Powiedziałam, że wybrałam fioletowo — biało — srebrną suknię.

— Pięknie będziesz wyglądać — westchnął. — Gdybym był zdrowy i silny, jechałbym karetą razem z tobą.

— Tak, mój drogi. Musisz czym prędzej wyzdrowieć.

— I tak nie zdążę, mam — odpowiedział bardzo poważnie.

A potem dodał: — Mam, bardzo chciałbym zobaczyć tę ceremonię. Chciałbym zobaczyć ciebie i papę. Proszę, pozwól mi.

— To by cię bardzo zmęczyło.

— Ja się nigdy nie męczę, gdy na ciebie patrzę. Lepiej się wtedy czuję. Proszę, mam.

Czułam, że nie mogę mu tego odmówić, obiecałam więc, że zarządzę co trzeba.

* * *

Czwartego maja 1789 roku, w dniu inauguracji Stanów Generalnych na niebie świeciło słońce, a powietrze drżało od dźwięku dzwonów. Ulice Wersalu zrobiły się kolorowe, wszędzie powiewały flagi. Podobno w całym mieście nie było ani jednego pokoju do wynajęcia.

Wszędzie królował optymizm. Słyszałam, jak szeptano, że minęły już czasy starych metod i że teraz ludzie będą mieli wpływ na rządy we własnym kraju. Wszystkie nadzieje wiązano ze Stanami Generalnymi. Chwalono króla za to, że je zwołał. Teraz podatki zostaną zniesione — albo przynajmniej wyrównane. Chleb będzie tani, a Francja stanie się rajem na ziemi.

Dobrze pamiętam ten dzień. Byłam wtedy taka nieszczęśliwa. Nienawidziłam słońca, nienawidziłam ludzi i ich radosnych głosów. Tu i ówdzie grały orkiestry. Porządku pilnowali francuscy i szwajcarscy gwardziści. Ulicami maszerowało sześciuset mężczyzn w czarnych ubraniach i białych krawatkach oraz kapeluszach z wygiętymi rondami — deputowani stanu trzeciego z całego kraju. Za nimi szli księżęta, a wśród nich diuk Orleanu, popularny wśród ludu jako jego prawdziwy sprzymierzeniec. A przecież od razu uderzał kontrast między arystokratami a ludźmi w czarnych ubraniach — księżęta odziani w koronki i złoto mieli kapelusze ozdobione ogromnymi piórami. Wspaniały widok przedstawiali kardynałowie i biskupi w kryzach i fioletowych sutannach. Nic dziwnego, że widzowie czekali wiele godzin, pragnąc ich zobaczyć. W

tym pochodzie znaleźli się ludzie, których nazwiska miały mnie odtąd prześladować przez lata — Robespierre, Mirabeau. Był tam także kardynał de Rohan.

Za duchownymi jechała moja karetka. Siedziałam spokojnie, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, świadoma wrogiej ciszy, która mnie otaczała. Słyszałam szepty:

— Austriaczka! Madame Déficit! Dziś nie nosi diamentowej kolii — Wtedy ktoś krzyknął:

— Niech żyje Dom Orleański!

Wiedziałam, co to oznacza. Wznosili okrzyki na cześć moich wrogów. Wtedy, gdy ja tamtędy przejeżdżałam.

Starałam się o tym wszystkim nie myśleć. Wiedziałam, że muszę się uśmiechać. Wiedziałam, że mój syn ogląda uroczystość z werandy, na której kazałam go umieścić.

Myślałam o nim, a nie o ludziach niekryjących swojej nienawiści do mnie. Mówiłam sobie: Cóż mnie to wszystko obchodzi. Oby tylko Bóg dał mu zdrowie i siły, nic innego się nie liczy.

Słyszałam okrzyki na cześć mojego męża, którego karetka jechała zaraz za moją. Cieszyłam się, że nie stracił ich sympatii. Nie był cudzoziemcem, więc nie był winien ich nieszczęściom. To mnie wybrali na kozła ofiarnego.

Z wielką radością wróciłam do swoich apartamentów po zakończeniu ceremonii.

* * *

Siedziałam przy toalecie otoczona służebnymi. Byłam bardzo zmęczona, ale wiedziałam, że nie zasnę, gdy znajdę się w łóżku. Pani Campan postawiła cztery świece na toalecie i zaczęła je zapalać po kolei.

Rozmawialiśmy o ostatnich powiedzonkach delfina i o tym, jak bardzo podobała mu się uroczystość. I wtedy nagle zgasła pierwsza świeczka.

— Dziwne. Nie ma przecież przeciągu — powiedziałam. I dałam znak madame Campan, by zapaliła ją ponownie.

Gdy to uczyniła, równie nieoczekiwanie zgasła druga świeca. Kobiety nagle umilkły przerażone. Zaśmiałam się nerwowo.

— Cóż to za świece, pani Campan. Obie zgasły.

— Knot musi być wadliwy, Najjaśniejsza Pani — odpowiedziała. Ale jej ton wskazywał, że powątpiewa we własne słowa.

Parę minut później zgasła trzecia świeca. Wówczas poczułam, jak drżą mi dłonie.

— Nie ma przeciągu, a przecież trzy świece zgasły... Jedna po drugiej...

— Madame — uspokajała mnie Campan — na pewno są niedobre.

— Przeżyliśmy tyle nieszczęść. — Zamyśliłam się. — Czy nie sądzisz, iż nieszczęścia sprawiają, że stajemy się przesadni?

— To wcale niewykluczone, madame — odrzekła Campan.

— Jeśli zgaśnie czwarta świeca, nic nie zachwieje moim przekonaniem, że to zły znak.

Pani Campan chciała właśnie powiedzieć coś pocieszającego gdy czwarta świeca zgasła równie nieoczekiwanie, jak poprzednie. Poczułam wielki ciężar na sercu.

— Położę się już. Jestem bardzo zmęczona.

A gdy leżałam w łóżku, przed moimi oczami stanęły nagle wrogie twarze tłumu, przypomniały mi się złowrobnne szepty i maleńka twarzączka delfina, siedzącego na werandzie.

Nie mogłam zasnąć tej nocy.

* * *

Gdy wezwano nas do Meudon, wyruszyliśmy natychmiast.

Siedziałam bez przerwy przy łóżku mego syna, który nie chciał pozwolić mi odejść. Trzymałam jego rozpaloną dłoń, a on szeptał:

— Mama, moja piękna mama.

Czułam, że łzy płyną mi po policzkach, ale nie mogłam ich powstrzymać.

— Płaczesz nade mną, mamó. Płaczesz dlatego, że umieram. Nie powinnaś się smucić, bo przecież wszyscy musimy umrzeć.

Błagałam, by nic nie mówił, nie nadwerężał swoich płuc.

— Papa będzie się tobą opiekował — powiedział Ludwik Józef. — On jest dobrym człowiekiem.

Mój mąż był głęboko poruszony. Poczułam jego dłoń na ramieniu. Rzeczywiście był dobrym człowiekiem. Myślałam o tym, jak bardzo pragnęliśmy mieć dzieci, jak bardzo boleliśmy kiedyś nad tym, że nie mamy syna, i jak bardzo cierpimy teraz, gdy go mamy.

Mały Ludwik Józef dzielnie walczył o życie. Myślę, że trzymał się go tak kurczowo, bo wiedział, jak bardzo pragnę, by żył. Myślał o mnie nawet w ostatnich chwilach.

A ja wołałam w duchu:

— Boże, nie odbieraj mi mojego syna. Zabierz, co chcesz, ale nie odbieraj mi dziecka.

Ale nie można targować się z Bogiem.

Poczułam w swej dłoni małą, ciepłą rączkę. Ludwik przysłał Ludwika Karola i Madame Royale, abym pamiętała o tym, że jeszcze oni mi pozostali.

Stanęli koło mnie oboje — moja śliczna dziesięcioletnia córka i uroczy czteroletni syn.

— Musicie pocieszyć mamę — powiedział Ludwik łagodnie.

A ja przytuliłam dzieci i rzeczywiście w pewnym sensie poczułam się lepiej.

Rozdział 20

Czternasty lipca

25 czerwca 1789. Nic. W Saint–Appoline upolowano jelenia, a mnie przy tym nie było.

14 lipca 1789. Nic.

Dziennik Ludwika XVI

Właśnie wróciłem z Wersalu. Pan Necker otrzymał dymisję. To wystarczy patriotom spod znaku św. Bartłomieja. Dziś wieczorem bataliony Szwajcarów i Niemców poderzną nam gardła. Nie ma więc wyjścia: Do broni!

Kamil Desmulins w Palais Royale.

Ludzie nadal mówią o królu z wielkim oddaniem i uczuciem. Uważają też chyba, że jego charakter sprzyja reformatorskim pragnieniom narodu, pragnieniom naprawy tego, co nazywamy nadużyciami. Wyobrażają sobie jednak, że został niemal ubezwłasnowolniony przez hrabiego Artois oraz królową. Dlatego na tych dwojgu skupiła się nienawiść malkontentów.

Pamiętniki pani Campan

Kiedy zgasły cztery świece, wydawało mi się, że gasną światła mojego życia. Straciłam dwoje dzieci w ciągu mniej niż dwóch lat. Teraz postanowiłam poświęcić się tym, które pozostały przy życiu... mojej spokojnej, uroczej córce, którą z afektacją nazywałam Mousseline, i która kochała mnie niezmiennie i nigdy nie sprawiała kłopotów oraz mojemu najdroższemu synowi. Nowy delfin bardzo różnił się od swego brata, był uparty, ale sympatyczny i jeszcze bardziej mi oddany. Wesoły z natury, radosnym śmiechem rozpraszał smutek tych dni. Zawsze obstawał przy swoim i wpadał w gniew, gdy nie udawało mu się przeforsować swej woli. Czegóż wszakże można wymagać od czteroletniego chłopca? Ja jednak zawsze potrafiłam przywieść go do posłuszeństwa. Uwielbiał swoją siostrę, a ja z przyjemnością patrzyłam, jak się bawią, jak ona mu matkuje, a on pragnie wszystkim się z nią dzielić. Jak większość chłopców szalał na punkcie mundurów i żołnierzy, a zwłaszcza strażników. Potrafił godzinami patrzeć na nich z okna lub zabawiać się, maszerując u ich boku.

Jego naturalny czar zjednywał mu wszystkich. Nazywałam go swoim *chou d'amour*.

Nie chciałam, aby był zanadto świadom własnej pozycji. Lecz z drugiej strony zawsze miałam w pamięci narzekania mojego męża, że nigdy nie wprowadzano go w tajniki spraw państwowych. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie w tym zaniedbaniu tkwiła przyczyna naszych obecnych niepowodzeń i trudności.

Rozmawiałam więc z moim synem o tym, że teraz zmieniły się jego perspektywy na przyszłość.

— No i widzisz, mój drogi — mówiłam — obecnie ty jesteś delfinem.

Kiwał głową i kreślił palcem różne wzory na mojej sukni.

— Pewnego dnia zostaniesz królem Francji. Zastanów się nad tym...

Spojrzał na mnie poważnie i rzekł:

— Teraz ja ci coś powiem, mamo, dobrze? Coś lepszego.

Posadziłam go na kolanach.

— Czy może być coś lepszego?

Nachylił się do mojego ucha i szepnął:

— Moufflet jest teraz moim psem.

Przytuliłam go chyba za mocno, bo mruknął:

— Mamo, lubię być kochany, ale to czasem boli.

Ogarnęło mnie wzruszenie i pomyślałam: Mój mały, nawet nie wiesz, ile racji kryje się w tym, co mówisz.

* * *

Nasze życie zmierzało w kierunku strasznego punktu kulminacyjnego i tylko śmierć mego syna sprawiła, że przez pewien czas o tym nie myślałam i pogrążona w żałobie, nie interesowałam się tym, co się dzieje dokoła. Teraz uświadomiłam sobie jednak, że muszę myśleć o innych.

Pierwsze posiedzenie Stanów Generalnych odbyło się w *salle des Menus*. Przemawiał król, a po nim Baretin, strażnik pieczęci, i Necker. Necker wyjaśnił deputowanym, że zwołano ich na wyraźne życzenie króla, który pragnął, by dwa zamożne stany — szlachta i kler — podjęły decyzję o wyrzeczeniach dla dobra kraju. Wówczas wydarzyło się coś, co najlepiej świadczy o atmosferze tamtych dni. Król rozpoczynał swoją mowę bez nakrycia głowy, dopiero po chwili wkładał kapelusz. W zgodzie z prastarym zwyczajem szlachta miała wówczas zdjąć swoje nakrycia głowy, a przedstawiciele stanu trzeciego — paść na kolana. Tymczasem reprezentanci stanu trzeciego nie tylko nie uklękli, ale nawet włożyli kapelusze.

Szlachta nie kryła oburzenia, ktoś nawet krzyknął do tamtych, żeby odkryli głowy, nie mieli jednak najmniejszego zamiaru się podporządkować. Niepodobna wyobrazić sobie, co jeszcze mogłoby się wydarzyć, gdyby mój mąż w przyływie przytomności ducha nie zdjął z głowy kapelusza. Ten gest oznaczał bowiem, że nawet krnąbrni przedstawiciele trzeciego stanu muszą postąpić tak samo. Wydawało się, że nieprzyjemny incydent został zażegnany. Ale to był tylko symboliczny początek walki szlachty i kleru ze stanem trzecim.

Na ustach wszystkich znalazło się nazwisko hrabiego de Mirabeau. Urodził się w arystokratycznej rodzinie, ale w dzieciństwie sadystyczny ojciec zadawał mu straszliwe cierpienia, poddawał torturom, a nawet posłał do więzienia. Mirabeau był człowiekiem niezwykle błyskotliwym i gdy opowiedział się po stronie trzeciego stanu, bardzo wzmocnił w ten sposób jego pozycję. Konflikt między stanem trzecim a resztą Stanów Generalnych był nieunikniony.

Stan trzeci sam siebie podniósł do rangi Zgromadzenia Narodowego, deklarując, że reprezentuje dziewięćdziesiąt sześć procent narodu. Jego przedstawiciele zabrali się do ustanawiania własnych zasad prawnych i oznajmili, że napiszą konstytucję, w której zostaną określone również kompetencje i zakres władzy króla.

Księżę de Luxembourg, który przewodniczył szlachcie i arystokracji, odwiedził króla w towarzystwie księcia de la Rochefoucauld–Liancourt.

— Monarchia upadnie, jeśli Wasza Wysokość nie rozwiąże Stanów Generalnych! — powiedział de la Rochefoucauld–Liancourt stanowczym tonem.

Król stanął tym samym wobec poważnego dylematu. Chciałby zadowolić wszystkich, jak się wyraził.

Wezwał zatem do siebie Neckera, który uważał, że należy szukać kompromisu. Ja byłam temu przeciwna. Intuicja mi podpowiadała, że Stany Generalne chcą nas zgubić. Stałam więc po stronie księcia de Luxembourg oraz księcia de la Rochefoucauld–Liancourt, którzy namawiali

króla do rozwiązania Stanów Generalnych. Oświadczyłam, że deputowani są istną bandą szaleńców i że trzeba ich posłać do domów.

Ludwik jak zwykle nie mógł podjąć decyzji. Widziałam, jak raz skłania się do moich poglądów, innym razem zaś do racji Neckera. W końcu się poddał. Oświadczył, że nie będzie negocjował z buntownikami.

Dwudziestego czerwca król pojechał na polowanie do Le Butard, a zgromadzenie domagało się zwołania obrad. Jako że *salle des Menus Plaisirs* została zamknięta, zebrali się na polu przeznaczonym do gry w tenisa, gdzie poprzysięgli sobie nie rozwiązywać się, dopóki konstytucja zostanie zatwierdzona i w ten sposób spełni się życzenie ludu.

Było to poważne wyzwanie dla króla, bo to w jego i tylko jego gestii leżało rozwiązanie Zgromadzenia.

Kiedy Ludwik zorientował się, co przysięgano na korcie tenisowym, jak zwykle nie mógł się zdecydować. Jedni doradcy uważali, że ludzie, których teraz uznano za buntowników, powinni zostać rozpedzeni przez wojsko, Necker natomiast zachęcał do kroków pojednawczych. Mirabeau stanowiący największą siłę polityczną stanu trzeciego, oświadczył, że Zgromadzenie Narodowe ugnie się wyłącznie pod presją bagnatów, a przewodniczący Jean Sylvain Bailly dodał, że narodu, który wreszcie zdołał się zorganizować, nie można odesłać do domu.

A za tymi ludźmi rzeczywiście stał naród. Nie pojęliśmy tego w porę. Diuk Orleanu, który wsparł swoim głosem przedstawicieli stanu trzeciego, podżegał do buntu w Palais Royale i zachęcał do działania swoich agitatorów. Ich posiedzenia odbywały się codziennie, nowe pamflety ukazywały się kilka razy na dzień.

Okazało się, że słowa „wolność” i „lud” mają moc iście magiczną. W Wersalu i Paryżu rosło napięcie. Strach pienieł się wszędzie. Niepodobna było zgadnąć, co jeszcze może się wydarzyć Axel powiedział wówczas:

— Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć!

Dawno nie byłam taka szczęśliwa.

Być może on jako cudzoziemiec, kręcąc się po Paryżu, rozumiał więcej niż my. My bowiem nie wierzyliśmy, że monarchia znalazła się na krawędzi przepaści. W ogóle to do nas nie docierało. On jednak bywał w Palais Royale i słyszał groźne pomruki i narzekania.

Ludwik musiał pojechać do Paryża, by wziąć udział w posiedzeniu Stanów Generalnych, a ja ogromnie się o niego martwiłam. Nie mogłam wybaczyć Neckerowi tego, że nie pojechał z królem. Necker nie krył irytacji, że król nie słucha jego rad i mimo moich prośb został w Wersalu. Wielką zaletą Ludwika była odwaga. Nigdy nie widziałam w jego oczach trwogi. Jeśli podejmował błędne działania, co przecież zdarzało się często, nigdy nie wpływało to ze strachu. I nawet teraz, kiedy zdecydował się na stanowczość, wiedziałam, że wystarczy jakiś dobry argument przeciwko tej stanowczości, by znów zaczął się wahać.

Stanąwszy przed Zgromadzeniem, zdobył się na twardą deklarację. Oświadczył, że nie pozwoli na żadne zmiany w armii. Zapowiedział także równość wobec prawa podatkowego, co oznaczałoby utratę przywilejów przez szlachtę i duchowieństwo. Życzył sobie również rady, jak znieść prawo *lettre de cachet*.

Kiedy już miał opuścić Zgromadzenie, rozkazał je rozwiązać na noc, lecz nikt go nie usłuchał. I kiedy mistrz ceremonii, markiz de Brezė oświadczył, że zamyka posiedzenie, i zalecił, by wszyscy się rozeszli, Mirabeau wstał i krzyknął, że zgromadzeni rozejdą się do domów, kiedy sami uznają za stosowne. Co się zaś tyczy de Brėzė'a, to niechże lepiej wraca do swych mocodawców. I jeszcze raz powtórzył złowieszcze słowa, że tylko za pomocą bagnatów można ich rozpedzić.

Ludwik, rzecz jasna, przestał być stanowczy równie niespodziewanie, jak zaczął. Kiedy Brezė składał mu raport, ledwie wzruszył ramionami i powiedział:

— A więc dobrze. Niech sobie tam zostaną. I wtedy popełnił istotny błąd. Odwołał Neckera i powołał na jego miejsce de Bretueila.

* * *

Spędzałam czas z dziećmi, czytając im bajki La Fontaine'a. Moja córka oparła się o krzesło, by śledzić tekst, a syn siedział mi na kolanach, wpatrując się w moje wargi. Od czasu do czasu wybuchał śmiechem, kiedy jakiś fragment czytanej opowieści wydawał mu się szczególnie śmieszny.

Przebywaliśmy w Trianon, które w ciągu ostatniego roku zmieniło jakby swój charakter. Teatr był zamknięty. Straciłam Zresztą serce do niego. Często spacerowałam po ogrodzie z Gabrielle. Staraliśmy się nie rozmawiać o strachu, dręczącym nasze serca. Już nie otaczała mnie gromadka wesołych dworzan. Stracili posady, o które tak zabiegali i które ja im z przyjemnością rozdawałam. Wszyscy sposepniali.

— To oznacza bankructwo! — wołali. Przerwałam lekturę i zamknęłam książkę.

— Chciałbym teraz pokazać wam moje kwiaty — powiedział Ludwik Karol.

Poszliśmy więc do ogrodu, by obejrzeć rabatkę, którą mu kiedyś podarowałam, bo zawsze uwielbiał kwiaty i już, choć oczywiście z pomocą ogrodników, umiał je pielęgnować.

— Kwiaty czy żołnierze? — zastanawiał się. — Sam nie wiem, co wolę, mamo.

Trzymając się za ręce, spacerowaliśmy po ogrodzie. Towarzyszyły nam pełne oddania i adoracji spojrzenia wieśniaków z Hameau, którzy szczególnie lubili moje dzieci. Nikt by nie odgadł, co się dzieje w prawdziwym świecie. W tamtym okresie Trianon znów było moim rajem.

Ludwik Karol puścił moją dłoń i pognął do przodu.

Pierwszy dotarł do swego ogródka i czekał tam na nas pełen dumy.

— Rozmawiałem z pasikonikiem — powiedział. — Śmiał się z pewnej starej mrówki. Ale przestanie się śmiać, gdy nadejdzie zima, prawda mamo?

— Kiedy rozmawiałeś z pasikonikiem, kochanie?

— Przed chwilą. Ty nie mogłaś go zobaczyć. Wskoczył z książki właśnie wtedy, gdy nam ją czytałaś.

Popatrzył na mnie z powagą.

— Przecież ty to zmyśliłaś — powiedziała jego siostra.

On jednak zarzekał się, że tak nie było.

— Mogę uroczyście przysiąc — oświadczył. Roześmiałam się. Ale jego wybujała wyobraźnia trochę mnie zaniepokoiła. Bo oczywiście wcale nie chciał kłamać.

Potem zbierał kwiatki, żeby pokazać je mnie i swojej siostrze.

— Mamusiu, kiedy będziesz szła na bal, zrobię ci z tych kwiatków piękny naszyjnik.

— Naprawdę, kochanie?

— Przepiękny, cudny naszyjnik. Ładniejszy niż diamentowa kolia — dodał.

Ciemne chmury zawsze majaczyły na horyzoncie.

Wzięłam małego na ręce i mocno ucałowałam.

— Chyba wolę kwiaty — oświadczyłam.

* * *

Słuchałam wieści nadchodzących z Paryża. W czasie tych dusznych i gorących dni lipcowych trudno się było oprzeć wrażeniu, że miasto się do czegoś przygotowuje, że czeka na właściwy

moment. Wciąż powtarzano nazwiska tych groźnych ludzi: Mirabeau, Robespierre, Danton i największy ze zdrajców, diuk Orleanu, książę krwi, który podjudzał przeciwko nam cały kraj.

— Czego on się spodziewa? — pytałam Ludwika. — Chce zająć twoje miejsce?

— To byłoby niemożliwe — odparł mój mąż.

Ale podobno w Palais Royale dzień i noc kłębiły się tłumy, a książę Orleanu już nad nimi panował. Podobno na jego żołdzie pozostawał dziennikarz i agitator Camille Desmoulins. Ci ludzie bez wątpienia pracowali przeciwko nam.

— Oni nigdy nie obalą tronu — twierdził Ludwik.

Pani Campan była bardziej milcząca i poważna niż zazwyczaj.

— Powiedz mi wszystko — zażądałam. — Niczego nie ukrywaj.

— Najjaśniejsza Pani, w Paryżu doszło do zamieszek. Tłumy wyległy się na ulice, a handlarze zabarykadowali się w sklepach.

— Przemoc — mruknęłam. — Jak ja tego nienawidzę!

— Danton przemawia w ogrodach Palais Royale. Przemawia także Desmoulins. Zdjęli zielone kokardy, ponieważ to kolor hrabiego d'Artois.

— Obawiam się, że mnie nienawidzą tak samo jak Artois. — Posmutniałam, wspominając nasze szalone eskapady.

— Wybrali barwy Domu Orleańskiego: czerwony, biały i niebieski. Domagają się powrotu Neckera. Maszerują po ulicach, niosąc popiersia Neckera i księcia Orleanu.

— A więc teraz oni wyrosli na bohaterów.

* * *

Ludwik znowu zmienił zdanie. Doszedł do wniosku, że trzeba działać zdecydowanie. Zamierzał użyć wojska i wysłać swoje regimenty na Bastylię. Stany Generalne należy bezwzględnie rozwiązać. Ale gdy żołnierze zaczęli obsadzać Bastylię, król wydał rozkaz zabraniający użycia broni przeciwko ludowi.

Nigdy nie zapomnę nocy z czternastego na piętnastego lipca. Po trudach gorącego i dusznego dnia poszliśmy na spoczynek do naszych apartamentów.

Nie mogłam zasnąć. W przeciwieństwie do Ludwika, który potrafił spać w każdych okolicznościach. Trzeba go było budzić, kiedy pojawił się posłaniec.

Książę de la Rochefoucauld-Liancourt pośpiesznie przybył konno z Paryża, by zakomunikować nam tę straszną nowinę. Twarz miał bladą, a głos bliski załamania.

Słyszałam, jak żądał, aby natychmiast zaprowadzono go przed oblicze króla. Szybko zarzuciłam na siebie szlafrok.

Służący Ludwika starali się powstrzymać księcia, mówiąc, że król jest w łóżku. Nie wolno zakłócać jego spokoju o tak późnej godzinie.

Ale Liancourt nie ustępował.

— Obudźcie króla. Muszę się z nim natychmiast zobaczyć! Po chwili był już w królewskiej sypialni.

— Najjaśniejszy Panie, lud ruszył do ataku na Bastylię.

Ludwik usiadł na łóżku, przecierając oczy.

— Bastylia? — wymamrotał.

— Oni wzięli szturmem Bastylię, Najjaśniejszy Panie.

— Ależ... dowódca...?

— Zabili de Launaya. Wdarli się do więzienia z jego głową zatknętą na pice.

— To chyba jest bunt — powiedział król.

— To nie jest bunt, Najjaśniejszy Panie. To rewolucja!

Rozdział 21

Przyjaciele opuszczają Wersal

Pragnę, by król i naród stanowili jedność. Ufając w oddanie i lojalność moich poddanych, wydałem rozkazy wojskom, aby niezwłocznie wycofały się z Wersalu i Paryża.

Ludwik XVI do Zgromadzenia Narodowego

Królowa pojawiła się na balkonie. „Ach — westchnęła kobieta w welonie — nie ma koło niej diuszesy”. „Nie — odrzekł jakiś mężczyzna — ale jest nadal w Wersalu. Kryje się jak kret. Już my znajdziemy sposób, żeby ją stamtąd wykurzyć...”. Doszłam do wniosku, że muszę opowiedzieć królowej o tej dziwnej rozmowie nieznanym.

Pamiętniki pani Campan

Żegnajcie, najdrożsi przyjaciele. To straszne, lecz konieczne słowo: żegnajcie.

Maria Antonina do pani de Polignac

Nastaly czasy wielkiego terroru.

Do sali, w której siedziałam z królem, wszedł Artois, blady, bez cienia uśmiechu na twarzy.

— Mordują ludzi w całym Paryżu. — powiedział — Słyszałem właśnie, że moje nazwisko znalazło się na jednym z pierwszych miejsc na liście skazanych.

Podbiegłam i zarzuciłam mu ręce na szyję. W ostatnim czasie panowały między nami dość chłodne stosunki, lecz w końcu to mój szwagier. Kiedyś byliśmy przecież dobrymi przyjaciółmi, nadal łączyły nas wspomnienia wspólnych szaleństw z okresu, kiedy żadne troski nie miały do nas przystępu.

— Musisz natychmiast wyjechać! — zawołałam, wyobrażając sobie jego głowę zatknietą na pice jak głowa nieszczęsnego de Launaya.

— Tak — cicho szepnął król, który jedyny z nas zachował spokój. — Musisz przygotować się do wyjazdu.

Pomyślałam o sobie. Na którym miejscu znalazło się moje imię na liście śmierci? Z pewnością na samym początku.

Wtedy pomyślałam o moich drogich przyjaciółkach, o Gabrielle, bohaterce wielu skandali i o mojej kochanej księżnej de Lamballe.

— Będą też następni — powiedziałam.

Artois czytał w moich myślach tak samo jak kiedyś.

— Wymieniają Polignaców — przyznał.

Odwróciłam się. Zeszłam do swego apartamentu i posłałam panią Campan po Gabrielle.

Przyszła bardzo zaskoczona, a ja natychmiast ją gorąco uściskałam.

— Moja najdroższa przyjaciółko — powiedziałam — musisz wyjechać.

— Czy każesz mi odejść?

Skinęłam głową.

— Dopóki jeszcze czas.

— A co z tobą?

— Nie mogę opuścić króla.

— Czy sądzisz...?

— Nie sądzę, Gabrielle. Wołę o tym nie myśleć.

— Nie mogłabym odejść. Nie mogłabym cię opuścić. A co z dziećmi?

— Nie chcesz chyba zachowywać się jak ci buntownicy? Zapominasz, że wciąż jestem królową? Odejdiesz, Gabrielle, ponieważ ja tego chcę.

— Mam cię naprawdę opuścić?

— Tak, masz mnie opuścić — odrzekłam, odwracając się — ponieważ takie jest moje życzenie.

— Nie, nie — wykrzyknęła — nie możesz mnie o to prosić! Tyle razem przeszliśmy... musimy zostać razem. Będziesz szczęśliwsza, jeśli zostanę.

— Szczęśliwsza! Czasem myślę, że już nigdy nie będę szczęśliwa. Znalazłabym jednak pewną ulgę i pocieszenie, wiedząc, że przynajmniej ty jesteś bezpieczna gdzieś daleko stąd, zamiast żyć w ciągłym strachu, że zrobią z tobą to samo, co zrobili z de Launayem. Tak więc zacznij natychmiast przygotowania do wyjazdu... Może za jakiś czas przyjdzie kolej i na nas. — To rzekłszy, wybiegłam z pokoju, ponieważ nie mogłam już znieść tej sytuacji.

Gdy wróciłam do króla, zjawili się posłańcy z Paryża. Ludzie żądali, by Ludwik przyjechał do miasta. W razie odmowy mieli zamiar przyjść po niego do Wersalu. Chcieli go mieć w Paryżu, żeby o niego „zadbać”.

— Jeśli tam pojedziesz, możesz nie wrócić.

— Wrócę — zapewnił mnie głosem tak spokojnym, jakby mówił, że udaje się na codzienne polowanie.

Lud żądał także, aby królewscy bracia przybyli razem z Ludwikiem. Drżałam więc nie tylko o mojego męża, ale również o Artois. Mówiono, że był moim kochankiem. To wprawdzie była bardzo stara plotka, ale teraz zyskała nowe znaczenie.

Odprowadziłam króla do karety.

— Niech cię Bóg strzeże — powiedziałam na pożegnanie, gdy uściskał mocno moją dłoń. Był spokojny i przekonany, że lud nie zrobi mu najmniejszej krzywdy. Ale ja nie podzielałam jego optymizmu. Zaczęłam nawet zadawać sobie pytanie, czy kiedykolwiek ujrzę jeszcze mego męża.

Musiałam się czymś zająć. Starłam się nie być sama, by za wiele nie myśleć. Wciąż na nowo wyobrażałam sobie tłum wpadający szturmem do Bastylli i głowę de Launaya na pice, a potem zamiast jego głowy widziałam głowę króla.

Starłam się zachowywać zwyczajnie. Co powinnam zrobić? Moje dzieci miały stracić guwernantkę. Trzeba więc poszukać nowej.

Po chwili zdecydowałam się na panią de Tourzel, wdowę i bardzo poważną osobę, która odznaczała się cechą będącą w tych czasach na wagę złota, a mianowicie lojalnością.

Powiedziałam jej, że otrzyma tę posadę i od razu zrozumiała dlaczego. Z pewnością słyszała o tym, że na ulicach palono już portrety, na których przedstawiano mnie z Gabrielle, że krążyło mnóstwo obscenicznych obrazków i wierszyków na nasz temat.

O tak, pani de Tourzel rozumiała sytuację, a ja chciałam, aby wiedziała, jak bardzo cenię sobie spokój, z jakim dziękowała mi za wyróżnienie, które ją spotkało. Przrzekła również, że będzie służyć moim dzieciom tak długo, jak długo będę sobie tego życzyła.

Wróciłam do swoich apartamentów. Chciałam być sama. Bardzo się obawiałam, że mogłabym okazać niepokój, który tłumiłam w sobie. Co działo się z moim mężem w Paryżu? Czy Francuzi posuną się do tego, by zamordować swojego króla? Cóż mam czynić w tej sytuacji? Może powinnam się przygotować do ucieczki wraz z dziećmi?

Może trzeba wydać rozkaz, by przystąpiono do pakowania i przygotowywania powozów?

Zeszłam do apartamentów dzieci. Chciałam być przy nich, ponieważ cały czas obawiałam się jakiegoś zdradzieckiego podstępu.

Mój syn przyniósł tom bajek La Fontaine'a.

— Przeczytajmy tę opowieść o lisie, mamó... Ostatniej nocy widziałem lisa. Przyniósł go jakiś żołnierz.

Położyłam mu dłoń na głowie.

— Nie teraz mój drogi. To go zdziwiło.

— Gdzie jest pani de Polignac? — zapytał.

— U siebie — odpowiedziała mu siostra. — Jest bardzo zajęta.

— Wszyscy są dzisiaj jacyś dziwni — zauważył mój synek. Potem rozpogodził się nagle.

— Mamó, chodź pokażę ci mój ogródek.

— Kochanie, myślę, że dzisiaj nie będziemy wychodzić z domu. Tak, jednak wam trochę poczytam.

I zaczęłam czytać bajki, nadstawiając jednocześnie uszu, by nie przegapić nadejścia posłańca z wieściami, których treści wolałam nie dociekać.

* * *

Na zegarze była już jedenasta, kiedy wrócił król. Siedziałam w swoim apartamencie, umierając ze strachu, udręczona oczekiwaniem. Wrócił otoczony deputowanymi do Zgromadzenia Narodowego, za którymi podążał orszak mężczyzn i kobiet, wymachujących pałkami i głośno krzyczących.

— Niech żyje król! — wołali, a ja odetchnęłam z ulgą. Pobiegłam więc szybko, aby go przywitać.

Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale mimo to był spokojny jak zawsze. Miał poplamiony surdut i pomiętą krawatkę, a przy kapeluszu trójkolorową kokardę.

Na jego twarzy malowało się wzruszenie.

— Powinnaś być w łóżku o tej porze — powiedział. — Wymęczyło cię to czekanie.

Gdyby wszyscy umieli spać tak spokojnie jak on w chwilach grozy!

Ludzie nie mieli jednak zamiaru dać nam spokoju. Wciskali się ciżbą na dziedziniec.

— Król — krzyczeli. A potem: — Królowa! Delfin!

Spojrzałam na mojego męża, a on skinął głową. Zwróciłam się wtedy do pani Campan, która w tych strasznych dniach nigdy mnie nie opuszczała.

— Idź do diuszesy de Polignac i powiedz jej, że życzę sobie, aby natychmiast przyprowadzono tutaj mojego syna.

— Czy Najjaśniejsza Pani życzy sobie, aby to pani de Polignac go przyprowadziła?

— Nie, nie. Powiedz jej, żeby tu nie przychodziła. Ci straszni ludzie nie powinni jej widzieć.

Pani Campan przyprowadziła mojego syna. Król zabrał go ze sobą na balkon, a tłum ryczał w podnieceniu:

— Niech żyje król! Niech żyje delfin!

Mój mały syn podniósł ręce do góry i pomachał im energicznie, co bardzo ich ujęło.

— Królowa! — krzyczeli dalej. .

Pani Campan położyła dłoń na moim ramieniu. Widziałam lęk w jej oczach. Wiem, że zastanawiała się nad tym, co może się przydarzyć, kiedy i ja stanę na balkonie.

Muszę jednak wyjść i pokazać się tym ludziom. W przeciwnym razie wedrą się do pałacu. Wznosili okrzyki na cześć mojego męża i syna. Wobec nich raczej nie żywili żadnych złych uczuć. Lecz co będzie ze mną?

Weszłam powoli na balkon. Po cichu szeptałam modlitwę. Myślałam w tej chwili o mojej matce i wszystkich jej ostrzeżeniach. Zastanawiałam się, czy patrzy na mnie teraz z nieba. Byłam winna prawdziwych szaleństw, lecz może przynajmniej w takiej chwili nie przyniosłabym jej zawodu. Jeśli miałam umrzeć właśnie dzisiaj, to chciałam umrzeć jako Habsburżanka. Tak jak ona mogła sobie to wyobrazić.

Stałam więc tam z wzniesioną głową, zdecydowana nie okazywać lęku. Zapadła wtedy długa, kłopotliwa cisza. I nagle ktoś zawołał:

— Niech żyje królowa!

Ogłuszył mnie krzyk tłumu. Nogi się pode mną ugięły, lecz stałam wyprostowana, z uśmiechem na ustach. Tam, na dole ludzie wznosili okrzyki na moją cześć, na cześć króla i delfina. Jakby przestali nas nienawidzić. Jakby nas kochali.

Lecz ja już zmańdrałam. Wiedziałam, że miłość ludu w ciągu jednego dnia może się przerodzić w nienawiść. Okrzyki uwielbienia, wyrazy oddania oraz żądania ukrzyżowania oddziela od siebie czasem bardzo cienka kreska.

Dłużący się niemiłosiernie dzień zmierzał ku końcowi. Gdy się położyliśmy, śmiertelnie zmęczeni, Ludwik natychmiast zapadł w głęboki sen. A ja długo leżałam, nie śpiąc, i zastanawiałam się, jakie nowe próby postawi przed nami los w ciągu najbliższych dni.

* * *

Następnego dnia król opowiedział mi, co naprawdę stało się w Paryżu. Wypoczęty po długim śnie, nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo poddawano by ostatnio szczególnym mękom. Nigdy nie znałam człowieka, który z takim spokojem znosił nieszczęścia i przeciwności losu. Wydawało się, jakby opatrność wyposażyla go w cechy charakteru konieczne do odegrania roli, z jaką wkrótce miał się zmierzyć.

Na rogatkach Paryża czekał na niego Bailly, mer Paryża, który przewodniczył stanowi trzeciemu, i wręczył mu klucze do bram miasta. Ten powrót do prastarego obyczaju wprowadził Ludwika w optymistyczny nastrój. Król uznał, że wszystko się ułoży.

Bailly powiedział:

— Oto klucze do królewskiego, dobrego miasta Paryża, Najjaśniejszy Panie. Tymi słowami witano tu kiedyś Henryka IV Króla, który podbił serce swego ludu, bo pozwolił, by lud podbił jego serce.

Te słowa były cokolwiek niepokojące. Porównanie Ludwika do króla, którego Francuzi zgodnie uważali za największego ze swych władców, mogło kryć w sobie coś obraźliwego.

Ludwik nie okazał jednak zmieszania i bez wahania przyjął klucze. Wyobraziłam sobie, jak uśmiecha się dobrotliwie do niebezpiecznej hałastry, która oblegała jego karetę. Podejrzewam, że fakt, iż nie widział w buntownikach żadnego zagrożenia, wytrącił ich z równowagi.

Na placu Ludwika XV ktoś wystrzelił z pistoletu w kierunku mego męża. Pocisk nie trafił do celu, zabijając jakąś przypadkową kobietę. W ogólnym zamieszaniu ten incydent przeszedł niezauważony.

Przed ratuszem paryskim Ludwik wysiadł z karety. Mężczyźni za pomocą szpad i pik torowali mu drogę wśród tłumu. Nim król zdążył zasiąść na tronie, tłum wdarł się do środka. Wyobraziłam sobie tę scenę, która każdego człowieka oprócz Ludwika wprowadziłaby w lęk. A on zachowywał się jak ojciec, pogrążony w smutku z powodu fatalnego zachowania dzieci, gotów jednak wybaczyć im wszystko, gdy tylko okażą skruchę.

Nikt jednak nie okazywał ani żalu, ani skruchy. Tamci czuli, że panują nad sytuacją i choć zachowanie króla cokolwiek ich skonfundowało, nie mieli zamiaru zapominać o swojej przewadze. I dokładali wszelkich starań, żeby on też o tym nie zapomniał.

Zapytano go, czy zgadza się z nominacją Jeana Sylviana Bailly'ego na mera Paryża i Marie Josepha Gilberta Motier de La Fayette na dowódcę Gwardii Narodowej. Nie zgłosił sprzeciwu.

Następnie zdjął z głowy kapelusz i złożył wobec zebranych następującą deklarację:

— Pragnę, by król i naród stanowili jedno. Ufny w lojalność moich poddanych, wydałem rozkaz, by wojsko wycofało się z Paryża i Wersalu.

Rozległy się wiwaty na cześć króla. Ludwik uśmiechał się dobrotliwie, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości, że właśnie ułatwił buntownikom rozpoczęcie rewolucji.

Kiedy podano mu trójkolorową kokardę, aby przypiął ją do kapelusza, nie okazał niechęci. Jak jego dziadek zareagowałby na taką zniewagę? Kto ośmieliłby się złożyć taką propozycję Ludwikowi Xr7? Lecz mój Ludwik przyjął kokardę i zdjął kapelusz, by ją przypiąć, na znak, że jest jednym z nich. Czegóż można było od nich wymagać, skoro mój mąż w takiej chwili nie potrafił przyjąć postawy godnej monarchy?

Wiwatowali na jego cześć, wołając:

— Niech żyje król!

Na szczęście pośród zebranych byli i tacy, którzy pragnąc reform, zdecydowanie chcieli uniknąć przemocy i wierzyli, że kraj można uratować od katastrofy tylko wtedy, gdy wszelkie reformy zostaną wprowadzone zgodnie z porządkiem konstytucyjnym. Należał do nich hrabia de Lally-Tollendal.

De Lally zawołał:

— Obywatele, cieszcie się obecnością króla, który nie szczędzi wam łask. — Po czym dodał, zwracając się do Ludwika: — Każdy z obecnych gotów byłby przelać krew dla swego króla. Najjaśniejszy Panie, obywatele, pokażmy światu, że jesteśmy wolnym i sprawiedliwym narodem pod wodzą uwielbianego monarchy, który, niczego nie zawdzięczając przemocy, wszystko zawdzięcza miłości i swojej cności.

Kiedy wspominam tę scenę, wydaje mi się, że Ludwik mógł jeszcze wtedy uratować Francję od katastrofy. Jego wielka odwaga wzbudziła szacunek zgromadzonych tłumów, a dobrych intencji nigdy mu nie brakowało. Gdyby tylko okazał się bardziej konsekwentny w poglądach, gdyby nie rozważał wszystkich aspektów każdej sprawy i dążył do jasnego celu, działając zdecydowanie. Ale wtedy nie byłby sobą.

Ludwik stanął więc ze łzami wzruszenia w oczach przed falującym tłumem i zawołał:

— Mój lud zawsze może liczyć na moją miłość.

I otoczony przez wiwatujących poddanych, z trójkolorową kokardą zatknietą w kapeluszu powrócił do Wersalu.

* * *

Dopiero nazajutrz zdołaliśmy porozmawiać. Nie spałam całą noc, robiąc plany. Wiedziałam, że nie ma ani chwili do stracenia. Wiedziałam, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Posłałam panią Campan na dziedziniec, by posłuchała, co mówią ludzie, i sporo się dowiedziałam.

— Nie było trudną rzeczą, Najjaśniejsza Pani, zauważyć, że wielu przyszło tu w przebraniu. Nie pochodzą bowiem z pewnością z biedoty, mimo że ich ubrania zdają się na to wskazywać. Zdradza ich sposób wysławiania się.

— Rozmawiałaś z kimś?

— Byli tacy, co się do mnie odzywali. Pewna kobieta w czarnej woalce chwyciła mnie za ramię i powiedziała: „Dobrze panią znam, pani Campan. Powinna pani poradzić królowej, by przestała się mieszać do polityki. Niech zostawi króla w spokoju i pozwoli, żeby król razem z naszymi Stanami Generalnymi zajął się szczęściem narodu”.

Zadrzałam. Zmusiłam się jednak, aby zapytać:

— Coś jeszcze?

— Potem zbliżył się do mnie jakiś człowiek ubrany jak uliczny sprzedawca, kapelusz miał wciśnięty nisko na oczy, chwycił mnie za ramię i powiedział: „Tak, tak i powtórz jej kilka razy, że te Stany Generalne będą inne niż wszystkie poprzednie, które nie przyniosły ludowi niczego dobrego. Powiedz jej, że mamy rok 1789 i że naród już jest zbyt oświecony, by nie wykorzystać tej szansy. Żaden przedstawiciel stanu trzeciego nie będzie już klękał, mając coś do powiedzenia. Wy tłumacz to królowej, słyszysz?”.

— A więc to właśnie mówią?

— Tak, Najjaśniejsza Pani. A gdy Wasza Wysokość ukazała się na balkonie... zaczęli rozmawiać ze sobą, ale ich słowa były w gruncie rzeczy przeznaczone dla mnie.

— Co zatem mówili?

— Kobieta w woalce rzekła: „Nie ma przy niej diuszesy”. A mężczyzna odparł: „Ale nadal jest w Wersalu. Kryje się jak kret. Już myją wykurzymy”.

— To wszystko, Campan?

— Potem odsunęli się gdzieś dalej, a ja pospieszyłam do pałacu.

— Cieszę się, że mi o tym opowiedziałaś. Proszę, nigdy niczego przede mną nie ukrywaj.

— To należy do moich obowiązków.

Ścisnęłam ją za rękę i odrzekłam ze wzruszeniem:

— W takich czasach dobrze mieć przyjaciół.

Król wysłuchał mnie z powagą, kiedy opowiedziałam mu, co mówiła pani Campan.

— Zawsze znajdują się ludzie nam niechętni — oświadczył.

— Może w istocie trudniej znaleźć takich, którzy nam sprzyjają — odparłam z goryczą. — Ludwiku, musimy wyjechać. Tutaj już nie jesteśmy bezpieczni.

— Jak moglibyśmy opuścić Wersal?

— Zwyczajnie. Po prostu wymkniemy się, zabierając ze sobą dzieci i zaufanych przyjaciół.

— Szkoda, że Artois jeszcze nie wyjechał. Widziałem, z jaką niechęcią na niego patrzy. Wznoszono też wiele okrzyków przeciwko niemu, jeden z nich usłyszałem dokładnie: „Niech żyje król! Precz z jego doradcami takimi jak ty, *monseigneur*”. A mój brat patrzył na nich wyniośle i obojętnie, co wyraźnie im się nie podobało. Bałem się o niego. Tak, Artois musi szybko wyjechać.

— Artois i... Gabrielle. Nie są tutaj bezpieczni. Lecz również my nie jesteśmy tutaj bezpieczni.

— Moja droga, jestem królem. Nie mogę opuścić swego ludu.

— A twoje dzieci?

— Ludzie oczekują, że delfin zostanie w Wersalu.

— Widziałam żądę mordu na ich twarzach, słyszałam ją także w ich głosach.

— Ostateczną decyzję powinna podjąć rada.

— Zatem zwołaj radę. Nie ma na co czekać.

— Uważam, że powinniśmy zostać.

Mówiłam mu o niebezpieczeństwie, jakie zagraża nam i naszym dzieciom. Nie powinniśmy pozostawać w Wersalu, jeśli cenimy sobie swoje życie. Kazałam już wszystko spakować. Zwłaszcza klejnoty, warte prawdziwą fortunę.

— Dokąd mielibyśmy uciec?

— Do Metzu. O niczym innym nie myślę od wielu dni. Powinniśmy udać się do Metzu. Potem na pewno wybuchnie wojna domowa i uda się ujarzmić buntowników.

— Decyzję trzeba pozostawić radzie — powtórzył Ludwik.

I zaraz zwołał radę. Debatowali przez cały dzień i całą noc. Przez ten czas nerwowym krokiem przemierzałam mój apartament. Tłumaczyłam mężowi, że naprawdę musimy wyjechać. Nie mamy ani chwili do stracenia. Kazałam moim przyjaciółom wyruszyć zaraz po zmroku, ponieważ wiedziałam, że w Wersalu zrobiło się bardzo niebezpiecznie. Zwłaszcza dla nas.

Ludwik słuchał uważnie członków rady. Oni mieli zdecydować. Staralam się za wszelką cenę wymóc na nim decyzję o ucieczce. Nigdy przecież nie ignorował moich błagań. Zawsze starał się mnie zadowolić.

Wreszcie wyszedł z pokoju, w którym odbywało się posiedzenie. Podbiegłam do niego i zajrzałam mu głęboko w oczy.

Uśmiechnął się ciepło i powiedział:

— Król musi pozostać ze swoim ludem.

Zirytowana odwróciłam głowę, w moich oczach pojawiły się łzy. Lecz on już podjął decyzję, bez względu na to, co się wydarzy. Skoro my mieliśmy zostać w Wersalu, został także i delfin.

* * *

Nadeszła noc. Na dziedzińcu słychać było jakieś stłumione głosy, konie niecierpliwie dzwoniły podkowami.

Wszyscy moi weseli towarzysze z dawnych czasów bez troski gotowali się do wyjazdu. Niepokoiłam się także o los ojca Vermonda, który wzbudził gniew ludu, trzymając się przez te wszystkie lata tak blisko mnie. Poradziłam mu, by pojechał do Austrii i czekał tam na lepsze czasy.

Biedny Vermond był starym człowiekiem. Pragnął zapewne zawołać, że nigdy mnie nie opuści. Lecz wszyscy czuli już grozę terroru, widać to było na ich twarzach.

Ojciec Vermond miał więc także wyruszyć do Austrii.

Pożegnałam się więc z rodziną i dworzanami, którym kazaliśmy opuścić Wersal i Paryż.

Wśród nich była także Gabrielle oraz jej rodzina. Droga Gabrielle, która tak bardzo się wzdragała na myśl o wyjeździe. Gabrielle, która od lat mnie nie odstępowała, kochała mnie całym sercem i była mi prawdziwą przyjaciółką. Dzieliła ze mną cierpienie po śmierci moich dzieci, pomagała mi się troszczyć o pozostałą dwójkę, razem ze mną radowała się ich dziecięcymi zwycięstwami i opłakiwała ich dziecięce smutki.

Nie mogłam znieść myśli o tym rozstaniu. W pewnej chwili chciałam nawet zbiec na dół, by ją zatrzymać. Ale nie mogłam narażać jej na niebezpieczeństwo. Nie powinnam się do niej zbliżać, by nie stwarzać pokusy dla siebie i dla niej. Prawdziwie kochałam tę kobietę. I nie pozostawało mi nic oprócz modlitwy, by szczęśliwie dotarła do celu.

Łzy spływały mi obficie po policzkach. Chwyciłam kartkę i napisałam kilka słów: „Zegnaj, moja najdroższa przyjaciółko. To straszne słowo, lecz teraz koniecznie musimy je sobie powiedzieć. A więc zegnaj, kochana”.

Zaśmiałam się gorzko. Jak zwykle robiłam kleksa. Nie miałam jednak wątpliwości, że domyśli się, jak szczerze i pełne miłości są te słowa, skreślone nierówno i niewprawnie.

Posłałam na dół pazia, by wręczył Gabrielle ten liścik tuż przed odjazdem.

A potem rzuciłam się na łóżko i ukryłam twarz w pościeli, aby nie widzieć światła.

Leżałam, wsłuchując się w stukot odjeżdżających karet.

* * *

W wersalskich salach zrobiło się pusto, w Galerii Zwierciadeł zapanowała cisza, śmiertelny spokój otoczył *oeil de boeuf* i nawet najmniejszy dźwięk nie dochodził z *salon de la paix*. Rano słuchaliśmy mszy w towarzystwie nielicznej służby, między innymi pani Campan i pani de Tourzel. Nie było żadnych przyjęć, gry w karty i bankietów. Tylko atmosfera oczekiwania na coś strasznego, przechodzącego wszelkie wyobrażenia.

Codziennie docierały do nas wieści o kolejnych zamieszkach, które rozprzestrzeniły się na cały kraj. Rozzuchwalony motłoch coraz chętniej napadał na zamki szlacheckie, pałac i grabiąc wszystko, co wpadło mu w ręce. Nikt już nie pracował, nikt nie przywoził chleba do Paryża. Przed zamkniętymi piekarniami koczowały gromady wygłodniałych ludzi, by w końcu włamać się do środka w poszukiwaniu chleba i nie znalazłszy nawet odrobiny, podpalać i niszczyć, a nawet mordować wszystkich, których uznano za wrogów.

Agitatorzy mieli pełne ręce roboty. Ludzie pokroju Desmoulinsa wciąż drukowali swoje pisma i ulotki, zarażające lud rewolucyjnymi ideami i zagrzewające do buntu przeciwko arystokracji. Nawet do nas docierały egzemplarze „Kuriera Paryskiego i Wersalskiego” oraz „Patrioty Francuskiego”. Byliśmy przerażeni i mocno zaniepokojeni tym, co Marat wypisywał w tych gazetach o nas i arystokratach.

Każdego dnia budząc się o poranku, rozmyślałam, czy nie jest to mój ostatni dzień. Każdego wieczoru, kładąc się spać, by choć trochę odpocząć, zastanawiałam się, czy tłum nie wywlecze mnie z łóżka w środku nocy i nie zamorduje w najbardziej okrutny sposób. We wszystkich pismach moje imię znajdowałam na poczesnym miejscu. Nie żywili nienawiści do króla, raczej gardzili jego słabością, która sprawiała, że mogłam nim rządzić. W przerażającym melodramacie rewolucji byłam złą wiedźmą i największą zbrodniarką.

Wkrótce potem brutalnie zamordowano Foulona, jednego z ministrów finansów, znienawidzonego za bezduszny stosunek do ludu. Powiedział kiedyś, że ci, którzy głodują, powinni jeść siano. Dopadli go w Viry i ciągnęli półżywego po ulicach, zapchawszy mu usta sianem. A potem powiesili na latarni. Obciętą głowę Foulona obnosili triumfalnie po ulicach miasta.

Jego zięć, pan Berthier, zginął w ten sam sposób w Compiègne. Wiedziałam, iż obaj zawdzięczali swój los temu, że doradzali królowi, by zapanował nad rewolucją, zanim rewolucja zapanuje nad nim.

Ogarniało mnie przerażenie, gdy myślałam o tym, co spotkało ludzi, których kiedyś znałam. Drżałam również o los mojej drogiej Gabrielle, zdążającej w kierunku granicy, ponieważ słyszałam, że często zatrzymywano powozy oraz karety i wywlekano z nich pasażerów, by sprawdzić ich tożsamość. Tym zaś, w których rozpoznano arystokratów, podrzynano gardła. Wolałam nie myśleć, co zrobią Gabrielle, której imię tak często łączono z moim.

Śniłam często o nieszczęsnym panu Foulonie, którego uwagę o sianie tak wyolbrzymiono. O mnie przecież opowiadano, że dowiedziawszy się o tym, iż lud żąda chleba, zapytałam: „Dlaczegoż to głodny lud nie zje ciastka?”. To był oczywiście absurd. Nigdy nie mówiłam czegoś takiego.

To ciotka Zofia stwierdziła kiedyś, że ludzie powinni jeść kruche ciasto, skoro nie wystarcza dla nich chleba. Biedna Zofia zawsze była dziwaczką i żyła w urojonym świecie. I nie znosiła kruchego ciasta. Wypowiedziała te słowa, gdy już chyliła się nad grobem ze starości, a ludzie włożyli je w moje usta. Ludzie potrafili wszystko obrócić przeciwko mnie. Zarzucali mi wszelkie głupstwa i szaleństwa, a zarazem widzieli we mnie przebiegłą i sprytną intrygantkę.

Nie próbowałam walczyć z tymi plotkami, bo ludzie chcieli w nie wierzyć.

* * *

Tak mijało to straszliwe, upalne lato. Bardzo starałam się zachowywać normalnie, zwalczając w ten sposób lęk, który często mnie nawiedzał.

Wielokrotnie starałam się namówić króla do ucieczki. Nie rozpakowałam biżuterii. Byłam bowiem pewna, że powinniśmy podjąć próbę ucieczki tak, jak nasi przyjaciele. Nie miałam żadnych wieści od Gabrielle i Artois, doszłam więc do wniosku, że są już bezpieczni. Gdyby ich zamordowano, z pewnością od razu bym o tym wiedziała.

Coraz głębsza więź łączyła mnie z czterema osobami, które darzyły mnie prawdziwą przyjaźnią. Wszak właśnie w trudnych chwilach człowiek zaczyna dostrzegać i cenić prawdziwe oddanie. Trwały przy mnie: moja droga, niemądra Lamballe, moja pobożna Elżbieta, pani de Tourzel, oddana guwernantka moich dzieci oraz bardzo praktyczna i poważna Campan. Pozostając przy mnie, narażały się na śmiertelne ryzyko, ale nie mogłam ich namówić do wyjazdu.

Myszę, że te trudne czasy pomógł mi przetrwać praktyczny zmysł pani de Tourzel oraz rozsądek pani Campan, które po prostu spełniały swoje codzienne, rutynowe obowiązki, jakby nasz los nie zmienił się ani na jotę.

Lubiłam rozmawiać z obiema o moich dzieciach. Wówczas wokół nas tworzyła się atmosfera spokoju.

Dzieliłam się z panią de Tourzel obawami, które budziło we mnie zachowanie delfina:

— Zauważyłam, że bardzo gwałtownie reaguje na niektóre dźwięki. Na przykład na szczekanie psa.

— On jest niesłychanie wrażliwy, Najjaśniejsza Pani.

— Kiedy jest zdenerwowany, często reaguje gwałtownie... łatwo popada w gniew.

— Jak wiele innych dzieci, które cieszą się zdrowiem. Jest jednak bardzo dobry z natury, Najjaśniejsza Pani. A przy tym wspaniałomyślny.

— Całe szczęście. Kiedy daję mu podarek, prosi o jeszcze jeden dla siostry. Niepokoi mnie jednak jego skłonność do popadania w przesadę.

— To oznaka bujnej wyobraźni, Najjaśniejsza Pani.

— Nie sądzę jednak, aby miał pojęcie o pozycji, jaką zajmuje, będąc następcą tronu. Może to dobrze. Dzieci uczą się chyba zbyt szybko...

Obie zamilkłyśmy. Pani de Tourzel na pewno także się zastanawiała, kiedy delfin zrozumie, co się dzieje dokoła nas.

W drzwiach stanął jeden z paziów, zapowiadając gościa.

Serce podskoczyło mi gwałtownie do gardła. Skąd mogłam wiedzieć, kiedy ci fanatycy o krwiożerczych twarzach rzucą się na mnie?

Nie zapytałam o imię osoby, która chciała się ze mną widzieć. Wstałam, zbierając pośpiesznie siły.

Kiedy go ujrzałam, opanowały mnie nagle tak krańcowo inne uczucia, że mało nie zemdlałam.

Wszedł do pokoju i ucałował moje dłonie. Co sobie mogła wówczas pomyśleć madame de Tourzel? Dygnęła i wyszła.

A on stał i patrzył na mnie w milczeniu, jakby pragnął sobie przypomnieć każdy szczegół mojej twarzy.

I nagle usłyszałam siebie mówiącą te nierozsądne słowa:

— To ty... to naprawdę ty...?

Nie odpowiedział. Dlaczego właściwie miałby odpowiadać? Czyż nie było oczywiste i jasne, że to on?

Przypomniałam sobie straszliwe wrzaski tłumu, grożącego śmiercią przyjaciółom królowej.

— To nie najlepsza pora na odwiedziny — powiedziałam. — Tu jest niebezpiecznie. Wszyscy wyjeżdżają...

— I dlatego tu jestem — odparł Axel.

Rozdział 22

Tragiczny październik

Czuję się nieco szczęśliwszy, bo mogę czasami widywać moją przyjaciółkę bez skrępowania, co stanowi niejaki pocieszenie w obliczu nieszczęść, które ją spotykają. Jej zachowanie, odwaga i czułość upodabniają ją do anioła. Nikt nie potrafi kochać tak, jak ona.

Axel de Fersen do swej siostry Sophie

Jeszcze teraz doznaję dreszczy na wspomnienie tych handlarek rybami, czy też raczej furii, które wrzeszczały, że noszą białe fartuchy po to, by zawiązać na nich kokardy z wnętrzości Marie Antoinette.

To prawda, że zamachowcy wdarli się do sypialni królowej i kłuli wściekle nożami jej łóżko.

Ludzie z gminu otoczyli królewską karetę ze wszystkich stron, wznosząc głośne okrzyki: „Już nie zabraknie nam chleba. Mamy przecież piekarza, jego żonę i syna”. A ponad tą gromadą kanibali sterczały piki, na które wbili głowy zamordowanych gwardzistów.

Pamiętniki pani Campan

Petit Trianon zawsze było moim azylem, a teraz wydawało mi się jedynym schronieniem przed potworną rzeczywistością. Przez te wszystkie lata zamykałam się na cztery spusty w moim małym rajku, nie słuchając kazań matki ani ostrzeżeń Mercy'ego i Vermonda. Teraz postanowiłam ukryć się tam, by zapomnieć o nadciągającej katastrofie. Chciałam wrócić do krainy marzeń, którą sobie stworzyłam przed laty. Wydawało mi się, że jeśli tam dotrę, znów będę szczęśliwa. Nie pragnęłam wiele. Tłumaczyłam sobie, że nigdy nie zależało mi na pięknych ubraniach czy diamentach. Gdyby nie Rose Bertin, która ciągle mnie namawiała na kolejne ekstrawaganckie stroje, gdyby nie nalegania nadwornych jubilerów, wcale bym nie kupowała ich wyrobów. Nie. Do szczęścia trzeba mi było tylko dzieci, o które mogłabym się troszczyć — przede wszystkim dzieci — i męża, którego bym kochała. Na swój sposób kochałam przecież Ludwika. Może raczej byłam do niego bardzo przywiązana. Bo Ludwik nie nadawał się ani na króla, ani na męża.

Nie znałam lepszego i mniej samolubnego człowieka, ale jego słabości były dla mnie aż nadto oczywiste. Spełniał wszystkie moje życzenia, ja czułabym jednak doń więcej respektu, gdyby tego nie robił. Byłam dumna z Ludwika, lecz w gruncie rzeczy go nie szanowałam. Brakowało mu bowiem tej siły, której każda kobieta żąda od mężczyzny. Jego lud również domagał się od niego siły i zdecydowania, i zawiódł się podobnie jak ja.

Czyżbym próbowała jakoś usprawiedliwić pełne namiętności dni i tygodnie spędzone w Trianon? Tygodnie, które dzieliły pamiętny czternasty dzień lipca od najstraszniejszego, tragicznego październikowego dnia, który stanowił punkt zwrotny w naszym życiu?

Być może to właśnie czynię, lecz nawet teraz, kiedy mam już całe życie za sobą, kiedy zaglądam w oczy śmierci, kiedy zatem w takiej chwili patrzę przez ramię na przeszłość, czuję, że we wszystkim postąpiłabym jeszcze raz dokładnie tak samo.

Kochałam Trianon bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. Tymczasem mój świat zaczynał walić się w gruzy. Wkrótce miałam stracić Trianon... dzieci... życie. Postanowiłam więc zanurzyć się bez reszty w mojej prywatnej idylli. Pragnęłam spełnienia. Jak nigdy dotąd pragnęłam spełnienia.

Axel opuścił przedtem Wersal, lękając się konsekwencji. Teraz wyznał, że bardzo pragnął zostać, ale wiedział, że ludzie już plotkują na nasz temat i lękał się, że bardzo mi zaszkodzi, jeśli nie odejdzie w porę.

A teraz? Teraz było całkiem inaczej. Cały obraz świata uległ jakby gwałtownej przemianie. Właśnie teraz bardzo go potrzebowałam. Czułam, że każdy przyjaciel jest na wagę złota, a Axel zapewniał mnie, że nigdy nie znajdę takiego przyjaciela jak on.

— Narazisz się na śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli tu zostaniesz — powiedziałam.

— Żyję tylko dla ciebie — odparł. — Po to, żeby narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli tak trzeba.

Szlochałam w jego ramionach i mówiłam, że nie mogę na to pozwolić.

Oznajmił jednak, że nie zdołam temu zapobiec. Jeśli nawet rozkażę mu odejść, nie usłucha. Przyjechał po to, by być blisko mnie, bez względu na wszelkie niebezpieczeństwa.

Wiedział, co się dzieje w Paryżu, przeczytał wszystko, co pisano wtedy na mój temat, wiedział o wszystkich groźbach kierowanych pod moim adresem, choć mi ich nie powtórzył. Lecz właśnie dlatego zdecydował się pozostać u mego boku.

A ja nalegałam, by wyjechał, w gruncie rzeczy jednak pragnęłam, by został. Namiętność, która nas zawsze łączyła, stała się zbyt wielka, byśmy mogli się jej oprzeć.

* * *

Trianon było doskonałym schronieniem dla kochanków, miejscem, gdzie mogliśmy się spotykać, nie narażając się na obce spojrzenia.

Nie potrafiłabym oszukiwać męża. Nie należałam przecież do tego rodzaju kobiet, które umieją udawać miłość do swego męża, w tajemnicy przed nim mając kochanka. Ludwik wiedział o moich związkach z Axelem de Fersen, wiedział, że tego, co czuję do szwedzkiego hrabiego, nie da się z niczym porównać. Moje imię łączono z nazwiskami różnych mężczyzn, z Luzanem, Coignym, Artois... z wieloma innymi, lecz to nie miało żadnego znaczenia. Sprawa z Axelem de Fersen miała całkiem inny charakter i Ludwik od dawna o tym wiedział.

Pamiętam czasy, kiedy do króla docierały opowieści, które dotyczyły mnie i Axela. Wiem dobrze, jak bardzo byłam wtedy dotknięta tą pisaniną.

Ludwik już wtedy domyślał się, co czuję, ale zawsze jasno mi okazywałam, że Axel nie będzie moim kochankiem, póki noszę w łonie dzieci mego męża — Dzieci Francji. Doskonale znałam swoje obowiązki jako królowej.

Ludwik to rozumiał. Dał mi odczuć, że pojmuję i docenia moje postępowanie i że wie, iż nie potrafię odmienić swego serca. Axel wyjechał, ja urodziłam kolejne dzieci. Ludwik nigdy jednak nie zdołał wynagrodzić mi upokorzeń, jakich doznałam w pierwszych latach naszego małżeństwa.

I teraz nie było między nami żadnych stosunków natury fizycznej. Wszystko się skończyło po narodzinach Sophie Beatrix. Wówczas wydawało nam się, że mamy aż czwórkę dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Skąd mogliśmy wiedzieć, że dwoje z nich stracimy? Skąd mogliśmy wiedzieć, że byłoby lepiej, gdyby w ogóle się nie urodziły? Żadne z nas nie było niewolnikiem erotycznych żądz. Moja miłość do Axela była jednak inna niż wszystko, czego zaznałam dotąd. Nasz fizyczny związek stał się manifestacją głębokiej więzi duchowej. Zapewne

nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie ta atmosfera życia z dnia na dzień, z godziny na godzinę, w niewiedzy, co przyniesie przyszłość.

Zresztą Ludwik też sobie tego życzył. Ten dobry, czuły człowiek chciał, bym zaznała pełni życia, na przekór otaczającej nas grozie.

Zaczęłam więc żyć pomiędzy światem jednej i drugiej miłości, zawsze mając u boku dzieci. Może postąpiłam źle, może postąpiłam niemądrze. Jeśli tak — to nie pierwszy raz. Ale wówczas wydawało mi się, że tylko w ten sposób zdołam przetrwać te straszne dni.

Nadszedł straszliwie upalny sierpień. Prowadziłam podwójne życie, jedno w pustych salach pałacu w Wersalu, ożywianego z rzadka echemi dawnej przeszłości oraz zwiastunami przerażającej przyszłości, a drugie w Trianon, w moim szczęśliwym domu, w innym świecie, gdzie spotykałam rumianych szacownych wieśniaków z Hameau, jakże innych niż ci groźni ludzie z pałkami i nożami w rękach, żądni chleba i krwi.

Spotykaliśmy się o zmierzchu. Przychodziłam do Świątyni Kupidyna, której nazwa dopiero wtedy zyskała sens. Tam właśnie siedzieliśmy pogrążeni w marzeniach i rozmowach. I choć żadne z nas o tym nie wspominało, za każdym razem zastanawialiśmy się, czy to nie ostatnia okazja, by przytulić się do siebie nawzajem.

* * *

Nasze straże po prostu zdezerterowały. Kiedy pewnego ranka obudziłam się w Wersalu, odkryłam, że nie ma nikogo, kto mógłby nas bronić.

Czwartego sierpnia król musiał wyrazić zgodę na zniesienie feudalizmu i zezwolić, by koło Bastylli postawiono mu pomnik z napisem głoszącym: „Temu, który przywrócił wolność Francji”. Posąg ów nigdy nie został wzniesiony i dzisiaj można mieć pewność, że już nigdy nie stanie. Ludwik oświadczył, że o ile gotów jest zrezygnować ze swoich własnych praw, o tyle nie może tego robić w cudzym imieniu. Wtedy zaczęto się domagać, aby król przeniósł się z Wersalu do Paryża, a my nie wiedzieliśmy, co to oznacza.

Kilka tygodni później La Fayette przedstawił projekt Deklaracji Praw Człowieka napisanej w iście amerykańskim stylu. To był załączek dekretu, który miał unieważnić wszelkie dziedziczne tytuły i wprowadzić zasadę równości wszystkich ludzi.

La Fayette poczuł się wtedy, jak sadzę, zaniepokojony krwiożerczością paryżan i próbował na wszelkie sposoby przywrócić porządek i utrzymać motłoch w ryzach. Zdarzały się jednak okoliczności, w których to nie było możliwe. Chociaż w czasie dni sierpniowych i wrześniowych zdołał powstrzymać tłum przed przeniesieniem króla siłą do Luwru.

Wówczas odwiedził mnie Mercy. Jakież ponure było w tych dniach jego oblicze! A ja uważnie słuchałam tego, co mówił. Tłumaczył, że pozostawanie w Wersalu graniczy z szaleństwem. Axel powtarzał to samo za każdym razem, kiedy się spotkaliśmy. Namawiał mnie do ucieczki, twierdząc, że żyjemy w nieustannym zagrożeniu.

— Na wschodniej granicy — mówił Mercy — w okolicy Metz markiz de Bouille ma pod swoimi rozkazami dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy ludzi. Wszyscy są rojalistami i nauczyli się gardzić tymi kanalami. Będą walczyć za swego króla i swoją królową. Dlatego należy przekonać króla, aby udał się niezwłocznie do Metz.

Powiedziałam Mercy'emu, że całkowicie się z nim zgadzam i że także... inni... mi to tłumaczyli.

Spojrzał na mnie surowo. Wiedział, kogo miałam na myśli, mówiąc „inni”. Nie na darmo od samego początku bacznie mnie obserwował, najpierw na polecenie mojej matki, a potem z rozkazu mego brata — musiał wiedzieć o mojej miłości do Axela. Spojrzałam na niego bardzo

buntowniczo. Gdyby odważył się mnie krytykować, nie zawahałabym się przypomnieć mu, że jestem w pełni świadoma jego związku z mademoiselle Rosalie Levasseur. On jednak nie robił mi wymówek. Może także rozumiał, jak bardzo tego potrzebuję, może czuł, że powinnam mieć kogoś, komu ufam bezgranicznie.

— Cieszę się, że ma pani mądrych przyjaciół — powiedział.

Dobrze wiedziałam, co ma na myśli.

Nadal jednak nie mogłam przekonać Ludwika do opuszczenia Wersalu. Uważał, że nie może tak po prostu uciec. Musi spełniać swoje obowiązki wobec ludu, bez względu na to, jak ten lud mu odpląca.

Wciąż nie byliśmy pewni intencji La Fayette'a. Przysłał do Wersalu swoją Gwardię Narodową. Mercy twierdził, że La Fayette na pewno wie, iż pragniemy przekonać króla do ucieczki do Metzu.

Kiedy we wrześniu w Wersalu pojawił się regiment flandryjski, jego oficerowie i oficerowie straży przybocznej postanowili manifestować swoją wzajemną przyjaźń podczas wspólnych obiadów. W zgodzie z duchem czasów do wspólnego stołu zaproszono także niektórych podoficerów i zwykłych żołnierzy.

Ludwik oddał im do dyspozycji teatr w Wersalu, na scenie ustawiono stoły, a członkowie topniejącego już dworu zaproszeni zostali do zajęcia miejsc w łóżach.

Obawiałam się, że bankiet zakończy się jakąś katastrofą, postanowiłam więc posłać tam panią Campan, ponieważ zawsze mogłam polegać na jej ocenie sytuacji.

Niektórzy członkowie rady sugerowali, byśmy oboje z królem poszli na owo przyjęcie, ale byłam temu stanowczo przeciwna. Świadoma własnej złej sławy, przypuszczałam, że moja obecność mogłaby stać się pretekstem do użycia przemocy.

— Moja droga Campan — powiedziałam — radzono mi, abym wzięła udział w wieczornym obiedzie, ale uważam, że byłoby to nieroztropne. Chciałabym, abyś usiadła w jednej z łóż i zdała mi relację z tego, co się wydarzy.

Oświadczyła, że zabierze swoją siostrzenicę, a potem o wszystkim mi dokładnie opowie.

Mój mąż wybrał się na polowanie. Było dla mnie rzeczą zdumiewającą, że wobec tego, co się wydarzyło, Ludwik zachowywał się tak, jakby życie toczyło się jak dawniej. Usadowiłam się w pokoju dziecięcym, ponieważ nigdy nie lubiłam zostawiać dzieci w sytuacji, kiedy niebezpieczeństwo wydawało się bliższe niż zwykle.

I gdy tak spędzałam z nimi miłe chwile, jedna z dam przysłała, aby opowiedzieć mi o bardzo lojalnym zachowaniu żołnierzy. Otóż księżę de Villeroy, który był pierwszym kapitanem gwardii, zaprosił wszystkich obecnych do wzniesienia toastu na cześć króla, królowej i delfina oraz całej rodziny królewskiej. Toast został spełniony, gdy tymczasem propozycja wzniesienia toastu za naród nie spotkała się ze szczególnym zainteresowaniem.

Właśnie wtedy wrócił Ludwik z polowania, poprosiłam więc Dame dworu, by powtórzyła swoją opowieść.

— Może w takiej sytuacji powinniśmy się pokazać — powiedziałam. — Jeśli tego nie uczynimy, pomyślą, że się boimy, a to byłoby najgorsze.

Ludwik zgodził się ze mną tym bardziej, że nigdy nie lękał się o swoje własne bezpieczeństwo. Kazałam więc pani de Tourzel przyprowadzić dzieci.

Delfin był bardzo podekscytowany.

— Zaraz odwiedzimy żołnierzy — powiedziałam.

Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności i w napięciu oczekiwał tej chwili. Przyszło mu do głowy, że Moufflet też chętnie zobaczyłby żołnierzy, ale wyjaśniłam, że to nie jest stosowna okazja.

Udaliśmy się zatem do teatru i pokazaliśmy się w łoży z widokiem bezpośrednio na scenę. Zapadła cisza, a po chwili sala zatrzęsa się od wiwatów.

— Niech żyje król! Niech żyje królowa!

Tak, nawet „Niech żyje królowa!”. To ogromnie podniosło mnie na duchu.

Wtedy w teatrze miałam wrażenie, że nasza sprawa nie jest jeszcze stracona, że mamy jeszcze jakichś przyjaciół i że być może zanadto przejęłam się na widok barbarzyńskich twarzy motłochu.

Stoły zostały ustawione w podkowę, a było przy nich dwieście dwadzieścia miejsc. Siedzieli tam najbardziej lojalni żołnierze, których przyjazne wiwaty skutecznie zagłuszały kilka głosów przeciwnych.

— Oni chcą, abyśmy zeszli niżej, na scenę — powiedział mój | mąż ze łzami w oczach.

Zawsze był głęboko poruszony wszelkimi przejawami uczuć swoich poddanych. Wzięłam syna na rękę, bo nie chciałam, żeby oddalił się ode mnie, i zeszliśmy razem na dół. Radość delfina na widok żołnierzy od razu mu ich zjednała, więc postawiłam go na stole, a oni wypili jego zdrowie. Potem delfin przechadzał się ostrożnie po stołach, uważając, aby nie potrącić zastawy i mówił wszystkim, że kocha żołnierzy bardziej nawet niż... psy. I że też zostanie żołnierzem, kiedy dorośnie.

Czyż mogli się oprzeć urokowi delfina? A moja śliczna Mousseline promieniała z radości, sądząc, że wszystko zmierza ku dobremu i że nastął kres niepokoju, który nas ostatnio trawił.

Żołnierze zaczęli śpiewać popularną naonczas piosenkę, skomponowaną przez Gretry'ego, piękną i lojalną piosenkę:

*Królu mój, Ryszardzie
Opuścił cię już cały świat.
I nie ma na tej ziemi nikogo,
Kto przejąłby się twoim losem.*

Czułam się wspaniale, patrząc na triumf mojego małego synka i obserwując podziw, z jakim ci dobrzy ludzie patrzyli na moją córkę. Radowała mnie lojalność okazywana królowi i ciepłe uczucia wobec mnie.

Jak bardzo mi tego brakowało! Modliłam się wtedy do Boga, by dał mi jeszcze jedną szansę. Niech wszystko będzie jak dawniej, a nie ustane w wysiłkach, by wspomóc mego męża w działaniach dla dobra Francuzów.

* * *

Tej nocy spałam spokojniej niż w ciągu ostatnich miesięcy.

Ale o poranku wezwałam panią Campan i poprosiłam, by opowiedziała mi o swoich wrażeniach.

Powiedziała, że nasze pojawienie się w teatrze było dla niej prawdziwą niespodzianką. Poruszyły ją także piosenki, które dla nas śpiewano.

— Ale, jak rozumiem, masz jakieś wątpliwości?

— Nie wszyscy wiwatowali na cześć Najjaśniejszej Pani i Najjaśniejszego Pana. Mężczyzna, który siedział w sąsiedniej łoży, zganił nas nawet za okrzyki: „Niech żyje król!”. Powiedział, że amerykańskie kobiety miałyby nas w pogardzie za to, że wiwatujemy na cześć jednego człowieka. Twierdził, że jest zaszokowany, widząc przystojną Francuzkę, tak nawykłą do służalstwa. Na to moja siostrzenica powiedziała, że król jest nam bardzo bliski i że w ten sposób okazujemy mu

swoją miłość. Poradziła mu, by nic więcej nie mówił, bo jego brak lojalności wobec dobrego władcy wcale nam się nie podoba.

Roześmiałam się.

— Ale powiedz sama, czy nie było wspaniale? Okazali tyle entuzjazmu. Czułam, że nas kochają i pragną nam to okazać. W obliczu tylu wrogów zapomnieliśmy już, że mamy także przyjaciół.

Moja droga Campan nie wyzbyła się jednak sceptycyzmu. Zawsze była o wiele mądrzejsza niż ja.

Wydarzenie to wzbudziło w Paryżu pewną konsternację. Pamfleciści pracowali w wielkiej gorączce w obawie, że znajdą się ludzie, którzy zapragną okazać nam życzliwość. Marat i Desmoulins opisali wieczór w teatrze jako obsceniczną orgię. Twierdzili, że wszyscy deptali po trójkolorowych wstążkach. Czy nie nadszedł już czas, pytali, aby ktoś wreszcie poderżnął gardło tej Austriaczce?

Tymczasem w stolicy było coraz mniej chleba. Skończyły się zapasy mąki. „Mąkę należącą do ludu schowali w Wersalu!” — krzyczeli paryżanie.

A zima stała tuż za progiem — czas chłodu i głodu. Zaczął się październik.

* * *

Piątego października po południu, w pochmurny, dżdżysty dzień, postanowiłam pojechać do Trianon. Może zdołam tam coś naszkicować? Może odwiedzi mnie Axel? Jeśli uda nam się spędzić razem choć chwilę, na pewno nabiorę odwagi. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, iż bankiet w teatrze wcale nie oznaczał, że zaczyna się odływ. Rozruchy przybierały na sile. Nie było końca strasznym opowieściom o okrucieństwach motłochu. Czuliśmy się mniej bezpieczni niż jeszcze tydzień wcześniej, zagrożenie rosło z godziny na godzinę.

Dlaczego Ludwik nie chciał wyjechać do Metz? Na pewno rozumiał, że to mądra decyzja. Czasem wydawało się, że wreszcie ustępuje, ale potem znów zaczynał się wahać.

Postanowiłam więc wyjechać do Trianon i szukać sposobu między jedną a drugą ulewą, aby przejść suchą stopą do Hameau. Wypiję szklankę mleka od moich krów, posiedzę w Świątyni Kupidyna, by pomarzyć o Axelu.

Petit Trianon! Przepiękne, nawet w pochmurne dni. Siedziałam w złoto-białym salonie, rozkoszując się widokiem ogrodu. Czy przeczuwałam wówczas, że to moja ostatnia wizyta?

Chodziłam po domu, muskając palcami drewniane, połączane boazerie. Weszłam do sypialni, która była tylko moja, i przypomniałam sobie, jak zabawiałam tu przyjaciół. Ludwik odwiedzał mnie jako gość, zawsze pełen respektu dla mojej potrzeby prywatności, a my przesuwaliśmy zegar o godzinę do przodu, żeby wyszedł jak najszybciej, pozwalając nam bawić się swobodnie.

Z Trianon łączyło mnie tyle wspomnień starych i... świeżych.

Tego dnia pragnęłam usłyszeć głos Axela bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Chciałam ujrzeć jego sylwetkę, zbliżającą się do domu. Lecz nie przyszedł.

Deszcz wreszcie ustał, wzięłam więc szkicownik i ruszyłam w kierunku grotty. Usiadłam i pogрузyłam się w rozmyślaniach. Rozglądałam się dokoła, obserwując zmieniające się barwy liści i kwiaty, których niewiele już pozostało. Zima zbliżała się wielkimi krokami. Jakże tu pięknie! Te łagodne wniesienia, staw nieopodal, Świątynia Kupidyna, łąki i urocze domki w Hameau... w wiosce, która miała być tak naturalna, a w rzeczywistości była kwintesencją sztuczności.

Jakże kochałam to miejsce!

Nie musiałam się spieszyć. Mogłam zostać aż do zmroku. Albo nawet spędzić tu noc. Mogłam posłać po dzieci. To byłoby cudowne... nie spać w pałacu, udawać, że Wersal leży gdzieś na krańcu ziemi, bardzo daleko stąd.

Usłyszałam odgłos zbliżających się kroków. Moje serce zaczęło bić szybciej. Może to Axel „zabłądził” w te okolice w nadziei, że mnie tutaj zastanie. Ta myśl rozpędziła chmurne rozważania i przez chwilę poczułam się jak młoda kobieta, która na tych trawnikach organizowała niedzielne bale i doła czyściutkie, ozdobione wstążkami krowy do porcelanowych dzbanków.

Ale to nie był Axel, tylko jeden z paziów. Miał rozwiane włosy i zaczerwienione policzki, brakowało mu tchu, ale na mój widok wyraźnie odetchnął z ulgą.

— Najjaśniejsza Pani! — wykrzyknął. — Mam tutaj bilecik od hrabiego de Saint–Priesta.

Hrabia był jednym z ministrów rezydujących w Wersalu.

— Bardzo się spieszyłeś — powiedziałam, ale przerwał mi bezceremonialnie:

— Pan de Saint–Priest mówił, że to bardzo pilne. Mówił, że Najjaśniejsza Pani powinna natychmiast wrócić do pałacu.

Pośpiesznie otworzyłam liścik i przeczytałam: „Proszę wrócić natychmiast do pałacu. Tłum maszeruje w kierunku Wersalu”. Ogarnęło mnie przerażenie. Wstałam i wzięłam kapelusz.

— Pójdę od razu przez las.

— Pan de Saint–Priest kazał mi przyjechać powozem po Najjaśniejszą Panią. Część ludzi być może dotarła już do pałacu. Sytuacja jest bardzo groźna.

— W takim razie idziemy do powozu — poleciłam.

W milczeniu ruszyliśmy do Wersalu.

* * *

Gdy tylko weszłam do pałacu, spotkałam króla, który wrócił właśnie z polowania, cały ubłocony, ale jak zawsze spokojny. Hrabia de Saint–Priest bardzo się niecierpliwił.

— Mamy mało czasu — powiedział. — Kobiety z Paryża ruszyły na Wersal. Są już na przedmieściach.

Kapitan gwardii zsalutował królowi, pytając o rozkazy.

— Rozkazy? — zawołał Ludwik. — Przeciwko tłumowi kobiet? Chyba pan żartuje!

— Najjaśniejszy Panie — wtrącił się Saint–Priest — to nie są zwyczajne kobiety. Niewykluczone, że znajdują się wśród nich mężczyźni w kobiecych przebraniach. Ci ludzie mają broń... noże i pałki. I z pewnością nie są przyjaźnie usposobieni.

— Nie możemy użyć wojska przeciwko kobietom, mój drogi hrabio — oświadczył król.

Hrabia de Saint–Priest uniósł brwi, a wtedy na schodach rozległy się czyjeś kroki i do pokoju wpadł Axel. Gdy mnie zobaczył, wyraźnie odetchnął z ulgą.

— Tłum maszeruje na Wersal! — zawołał. — Mają... mordercze zamiary. Królowa z dziećmi musi natychmiast wyjechać.

Ludwik uśmiechnął się do niego, jakby dobrze rozumiał niepokój kochanka.

— Pan de Saint–Priest omawia właśnie ten temat — wyjaśnił. — Może pan do nas dołączyć, drogi hrabio.

Czułam, że Axel traci cierpliwość. Widział te kobiety, ich złość, słyszał komentarze i wiedział, że pragną krwi... mojej krwi. Zrozumiał też, że ów marsz kobiet był szatańsko mądrym posunięciem przywódców rewolucji. Gdyby zjawili się mężczyźni, wojsko otworzyłoby ogień, ale rycerski król nigdy nie pozwoliłby strzelać do kobiet. Przywódcy doskonale to zaplanowali. Podzegli do walki paryskie kobiety; wstrzymali dostawy chleba, by głód był jeszcze bardziej dotkliwy, rozpowszechniali pamflety, które opisywały mnie w sposób jeszcze obrzydliwszy niż przedtem.

To z mojego powodu kobiety ruszyły na Wersal. Chciały mojej głowy. Zamierzały wrócić do Paryża z królem i jego dziećmi oraz z... moim ciałem rozszarpanym na kawałki.

Axel miał to wszystko wypisane na twarzy. Nigdy nie widziałam w jego oczach takiego strachu. Nigdy zresztą nie lękał się o własne bezpieczeństwo — zawsze tylko o mnie.

Saint-Priest wiedział, co mnie łączy z Axelem, ale myślał wyłącznie o tym, jak uchronić monarchię. Dlatego potraktował hrabiego de Fersen jak dobrego, zaufanego sprzymierzeńca. Bo na kogo można liczyć w takiej chwili, jeśli nie na wiernego kochanka?

Kapitan zwołał naradę ministrów, którzy pozostali wierni królowi. Tłumaczył, że trzeba działać natychmiast. Obsadzić mosty na Sekwanie żołnierzami z regimentu flandryjskiego, obsadzić Saint-Cloud i Neuilly. Królowa z dziećmi powinna bezzwłocznie wyruszyć do Rambouillet, a król, w otoczeniu gwardzistów musi wyjechać na spotkanie buntownikom. Wsparty przez tysiąc uzbrojonych żołnierzy na koniach, zdoła prawdopodobnie nakłonić tłum do odwrotu, jeśli jednak plan się nie powiedzie, trzeba będzie otworzyć ogień.

— A jeśli ten plan też się nie powiedzie? — zapytał król. — Jeśli w tłumie znajdą się uzbrojeni ludzie i wybuchnie regularna bitwa?

— Wówczas Najjaśniejszy Pan wyruszy na czele swoich oddziałów do Rambouillet. I trzeba będzie wymyślić sposób, by połączyć nasze siły z wojskami stacjonującymi w Metz.

— Wojna domowa? — zaniepokoił się król.

— Raczej rewolucja, Najjaśniejszy Panie — odparł Axel.

— To oznacza, że król narazi się na niebezpieczeństwo — wtrąciłam.

— Najjaśniejsza Pani — zauważył — w tej chwili już wszyscy są narażeni na niebezpieczeństwo.

Król się wahał. Spodziewałam się tego. Chętnie stanie naprzeciw tłumowi, ale nigdy nie wyda rozkazu, by strzelano do kobiet. Znakomity plan Saint-Priesta nie powiedzie się, bo mój mąż nie okaże stanowczości.

Nie mogę go opuścić. Czułam, że muszę trwać u jego boku. Co więcej, chciałam dzielić jego los, jeśli król miał się narażać na niebezpieczeństwo.

— Sądzę, że powinniśmy być razem — powiedziałam do Ludwika. — Powinniśmy wszyscy razem wyjechać do Rambouillet.

Król znów zaczął się wahać. W końcu podjął decyzję, że nie ucieknie. Że musi stawić czoło tym ludziom. Gdy tak debatowaliśmy, Axel niepokoił się coraz bardziej, bo nadchodziły wieści, że buntownicy są

już niemal w pałacu. Niektórzy mieli noże, wykrzykiwali groźby, łaknęli mojej krwi. Chcieli zabrać króla do Paryża.

— Jeśli Najjaśniejszy Pan — powiedział Saint-Priest — pójdzie z tymi ludźmi do Paryża, straci koronę.

Necker, który nade wszystko lękał się utraty popularności, odwodził nas od planu wyjazdu do Rambouillet. A Ludwik balansował między dwoma ministrami. Raz skłaniał się wyraźnie ku koncepcji Saint-Priesta.

— Tak, tak, mój drogi hrabio, ma pan rację. Musimy tak zrobić.

A po chwili przytakiwał Neckerowi:

— Ma pan rację.

Chciał zadowolić także i mnie:

— Musimy być razem. Nie wolno nam się rozdzielać.

A tymczasem nieuchronnie zbliżał się decydujący moment. I Ludwik na to czekał. Nie chciał podjąć decyzji. Wolał, by sprawę rozstrzygnęły okoliczności. Zawsze przecież tak postępował. I dlatego stanęliśmy wobec groźby wybuchu rewolucji. Dziś widzę to wyraźnie... wszystkie te kroki, które doprowadziły nas do ostatecznego upadku, i wiele szans ratunku, które nam los

ofiarował, ale Ludwik za każdym razem tak długo się wahał, że w końcu to nie on podejmował decyzję.

Na dziedzińcu konie postukiwały niecierpliwie podkowami, służba czekała na rozkazy. Wszyscy czekali. Padał coraz większy deszcz, więc kobiety narzuciły sobie fartuchy na głowy, nie szcędząc przy tym obscenicznych uwag na mój temat.

Były już w Wersalu... zmarznięte, przemoczone i wściekłe, a przy tym po części zamroczone, bo po drodze ograbiono sklepy z winem.

Za tłumem kobiet jechał La Fayette na czele Gwardii Narodowej. Nie mieliśmy pojęcia, jakie są jego zamiary. Wiedzieliśmy tylko, że jego działania są zawsze spóźnione, choć podejrzewaliśmy także, iż nie jest całkiem zachwycony rewolucją, do której wybuchu się przyczynił. Nasiąknął bez reszty amerykańskimi ideałami. Wyobrażał sobie zapewne gwałtowne starcie, a po nim radosną budowę nowego narodu na gruzach starego społeczeństwa. Marzył o wolności, równości i braterstwie. Tym razem nie miał jednak do czynienia z grupą kolonistów, którzy walczyli o swoje prawa; jego francuską armię tworzyli złodzieje i prostytutki, kobiety i mężczyźni karmieni nienawiścią i chciwością, żądni krwi nie dlatego, że pragnęli wolności, nie dlatego, że zamierzali budować społeczeństwo na nowych zasadach — ale dlatego, że chcieli się zemścić. La Fayette był człowiekiem honoru, z pewnością więc to rozumiał. Wiedział, że rozpętał piekło pożądliwości, chciwości, zazdrości, zawiści, gnuśności, gniewu i pychy... wszystkich siedmiu grzechów głównych. Przypuszczam więc, że trawił go wewnętrzny niepokój.

Ale obecność Gwardii Narodowej z dowódcą na czele świadczyła o tym, że nie są to zwykłe zamieszki. Demonstrantom przyświecał bez wątpienia określony cel. Kobiety przyszły tu po to, żeby mnie zabić, a Gwardia Narodowa po to, by zabrać króla do Paryża.

Czuliśmy się tak, jakby mgła opadła na całe miasto; wdzierala się do pałacu, straszyla na ogrodowych ścieżkach. Buntownicy byli wszędzie. Słyszałam ich pomruk: „Chleba. Chleba!”.

Wreszcie usłyszałam własne imię. Domagali się wydania królowej. Chcieli zatknąć moją głowę na pikę. Pastwić się nad moim ciałem. Zrobić kokardy z wnętrzości. Rozszarpać moje serce i zanieść je do Paryża. Podciąć mi gardło rzeźnickimi nożami. Wtłoczyć mi do ust lepki chleb, który musieli jeść, wtłoczyć go tyle, bym się udusiła.

Starałam się myśleć o matce, która zawsze mi mówiła, że nie wolno bać się śmierci. Gdy śmierć nadejdzie, trzeba ją powitać jako kres ziemskich trosk. Och, mamó, westchnęłam, jakże się cieszę, że nie dożyłaś tego dnia!

Pomyślałam o dzieciach. Oni na pewno nie skrzywdzą dzieci. Och Boże, co się nami wszystkim stało?

Spokój króla podnosił wszystkich na duchu. Ludwik nie wierzył, by jego dobry lud mógł skrzywdzić kogokolwiek z nas. Niemożliwe, by skrzywdził mnie, wiedząc, ile bólu sprawi tym swemu królowi. Gdy się okazało, że tłum chce wysłać grupę kobiet na negocjacje, oświadczył, że z przyjemnością je przyjmie.

Wybrano pięć kobiet, które miały opowiedzieć królowi o niedolach ludu. Ucieszyliśmy się bardzo z takiego obrotu spraw.

Kobiety stanęły przed obliczem króla, a mówić w ich imieniu miała Louison Chabry, prześliczna kwiaciarka, wcale nieźle odżywiona. Patrząc na nią, trudno było uwierzyć w to, że paryżanie głodują.

Sądzę, że Louison była bardzo śmiałą i rozrzną dziewczyną, gdy jednak stanęła twarzą w twarz z pełnym majestatu królem, spieszyła się i nie mogła wykrztusić nawet słowa. Ludwik, choć tak różny od swego dziadka, odziedziczył jednak po przodkach królewską postawę, więc odważna Louison zdołała tylko wydukać: „Chleba, Najjaśniejszy Panie!”. Może wycieńczył ją marsz w

strugach deszczu, może nie wytrzymała napięcia, w każdym razie zemdląca i byłaby upadła na ziemię, gdyby król jej nie podtrzymał.

Ludwik wezwał doktora, który ocucił dziewczynę. A potem król próbował rozmawiać z nią o problemach biedaków, ale patrzyła tylko na niego okrągłymi oczami i tylko mamrotała: „Tak, Najjaśniejszy Panie. Nie, Najjaśniejszy Panie”.

Gdybyż ze wszystkimi można było poradzić sobie tak łatwo jak z Louison Chabry!

Ludwik wytłumaczył jej, że uważa się za ojca ludu i że pragnie, by wszyscy byli szczęśliwi i syci. Louison bez wątpienia mu uwierzyła i była gotowa bez hałasu porzucić rewolucyjne ideały i stać się lojalną poddaną. A gdy wychodziła, Ludwik ucałował ją na pożegnanie. Po raz pierwszy widziałam, jak z przyjemnością całował kobietę. Zażartował nawet, że dla tego pocałunku warto było znieść wszystkie niedogodności. Ładne mi niedogodności! — pomyślałam. Wyjący motłoch pod drzwiami, perspektywa utraty korony! Czasami wydawało mi się, że ospałość mojego męża wynika z jakiegoś fizycznego defektu. Czy normalny człowiek zdołałby zachować spokój w obliczu takiej katastrofy?

Louison wróciła do swych przyjaciół. Nikt nie wiedział, co im powiedziała. Tymczasem zapadła noc i kobiety zdjęły spódnice, by, jak twierdziły, wysuszyć je, i zmieszały się z gwardzistami, którzy mieli strzec pałacu.

Po niespokojnym dniu nastąpiła niespokojna noc.

Saint-Priest i Axel chcieli działać natychmiast. Uważali, że szaleństwem byłoby pozostać w Wersalu.

Ludwik zaczynał dojrzywać do myśli, że wszyscy powinniśmy wyjechać do Rambouillet.

Wziął mnie za rękę i powiedział:

— Rzeczywiście nie powinniśmy się rozłączać. Pojedziemy razem.

Pobiegłam do pokoju dziecięcego.

— Wyjeżdżamy za pół godziny — powiadomiłam madame de Tourzel. — Proszę przygotować dzieci.

W tej właśnie chwili zjawił się służący króla z wieścią, że ucieczka jest już niemożliwa, bo tłum wtargnął do stajni i nie pozwoli wyprowadzić powozów.

Chciało mi się płakać. Znowu przegraliśmy z powodu wątpliwości.

Poleciłam madame de Tourzel, by nie niepokoiła dzieci i wróciłam do apartamentów króla. Axel przyskoczył do mnie, nie mogąc już nad sobą zapanować. Chwycił mnie za rękę i powiedział:

— Musisz wydać mi rozkaz, bym wyprowadził konie ze stajni. Mogą być potrzebne, gdy będę cię bronił.

Pokręciłam głową.

— Nie wolno ci ryzykować dla mnie życia.

— To dla kogo miałbym je ryzykować?

— Dla króla — oświadczyłam. Widząc jego rosnący niepokój, dodałam: — Niczego się nie boję. Matka nauczyła mnie nie lękać się śmierci. Jeśli wybiła moja godzina, przyjmę śmierć z godnością.

Odwrócił się. Wiedziałam, że za wszelką cenę chce mnie uratować. Ale czyż miłość mężczyzny mogła mnie uratować przed wyjąłym tłumem, który poprzysiągł mi zgubę?

De La Fayette dotarł do Wersalu o północy. Zostawiwszy swoich gwardzistów na Place d'Armes, wszedł do pałacu, by zobaczyć się z królem.

Wkroczył do sali w iście teatralny sposób. Często się zastanawiałam, czy pan de La Fayette uważał się za bohatera rewolucji, który zdoła wprowadzić w życie reformy, ograniczając przemoc do minimum. Wygłosił efektowną mowę na temat swej służby dla króla, zapewniając, że jest gotów nadstawić własną głowę, byle uratować Najjaśniejszego Pana. Ludwik odrzekł generałowi,

by nigdy nie wątpił, że król Francji zawsze z przyjemnością wita zarówno jego, jak i dobry lud Paryża. Prosił pięknie, by pan de La Fayette zechciał to przekazać dobremu ludowi.

Generał zapytał, czy strażnicy, którzy parę tygodni wcześniej opuścili swoje posterunki, by przyłączyć się do Gwardii Narodowej, mogą wrócić do swoich obowiązków. Twierdził, że odczyta to jako gest zaufania.

Czy tych ludzi na dole obchodziły jakiegokolwiek gesty zaufania? Wydaje mi się, że zarówno Ludwik, jak i La Fayette sądzili, że i owszem.

Król ujął moją dłoń i ucałował.

— Jesteś wyczerpana. To był męczący dzień. Idź do łóżka i spróbuj zażyć trochę snu. Nasz dobry pan de La Fayette zatroszczy się, by wszystko się dobrze skończyło.

La Fayette uklonił się dwornie.

— Najjaśniejszy Pan nie powinien się o nic martwić — zapewnił. — Ludzie obiecali zachowywać się spokojnie w nocy.

Poszłam do sypialni i opadłam bez sił na łóżko. Ludwik miał rację. Wydarzenia tego dnia rzeczywiście mnie wyczerpały.

* * *

Tuż przed świtem obudziły mnie niecodzienne dźwięki. Usiadłam na łóżku i spojrzałam w ciemność. Znów usłyszałam te same głosy... ordynarne i szorstkie. Skąd mogły dobiegać? Zadzwoiłam na służbę i w sypialni pojawiła się jedna z pokojówek. Musiała czuwać gdzieś w pobliżu, co mnie zdziwiło, bo kazałam im spać spokojnie w swoich łóżkach.

— Czyje to głosy — zapytałam.

— Kobiet z Paryża, Najjaśniejsza Pani. Chodzą po tarasie. Ale nie ma się czego obawiać. Pan de La Fayette ręczy za nie słowem honoru.

Pokiwałam głową i znów zasnęłam. Wydawało mi się, że minęła ledwie chwila, gdy obudziła mnie ta sama służąca razem z towarzyszką. Głosy były teraz znacznie bliżej.

— Najjaśniejsza Pani... szybko. Proszę się ubierać. Wdarli się do pałacu. Są pod drzwiami...

Wyskoczyłam z łóżka. Madame Thiebaut, siostra pani Campan pomogła mi włożyć pantofle i zarzucić na siebie suknię. Wtedy usłyszałam bardzo wyraźne głosy:

— Tędy. Zaraz ją schwytemy. To jej apartament. Własnoręcznie poderżnę jej gardło.

— O nie... mnie się należy ten honor.

— Szybko! — krzyknęła madame Thiebaut. — Nie ma czasu na ubieranie się. Zaraz tu będą.

— Król... — wyjąkałam — dzieci...

Pociągnęły mnie wąskim korytarzem w stronę *oeil de boeuf*. Ale drzwi były zamknięte. Po raz pierwszy zastałam je zamknięte. Ogarnęło mnie śmiertelne przerażenie, bo wiedziałam, że te straszne kobiety są już w mojej sypialni.

Pani Thiebaut zaczęła walić w drzwi.

— Otwórzcie... otwórzcie, na miłość boską. Królowa...

Usłyszałam wrzask:

— Wystrychnęła nas na dudka. Uciekła. Gdzie ona jest? I tak ją znajdziemy.

— O, Boże — modliłam się. — Dodaj mi odwagi. Nadeszła ta chwila. Chwila śmierci... straszliwej śmierci.

Waliłam pięściami w drzwi, a one nagle się otworzyły i obie wpadłyśmy do *oeil de boeuf*. Paż, który je otworzył, znów przekręcił klucz, a my popędziłyśmy do apartamentów króla. Łkałam z przerażenia. Mogłam stanąć twarzą w twarz ze śmiercią, ale nie z taką śmiercią, nie ze śmiercią z rąk tych barbarzyńców.

- Gdzie król? — zawołałam.
- Zszedł na dół, do sypialni Najjaśniejszej Pani.
- Ależ one już tam są!
- Poszedł sekretnym przejściem pod *oeil de boeuf*.

Używaliśmy tego przejścia w czasach, gdy wszyscy liczyli jego wizyty w mojej sypialni, ponieważ pragnęliśmy umknąć przed ciekawskimi. Jakie to szczęście, że kazałam wówczas zbudować ten korytarzyk!

Ale co z Ludwikiem? Czy jest bezpieczny? One łakną mojej krwi, a nie krwi króla.

— Dzieci... — zaczęłam. I wtedy pani de Tourzel wprowadziła moje pociechy, wyrwane ze snu, w szlafrokach narzuconych na nocne stroje.

Dzieci podbiegły do mnie, a ja chwyciłam je w objęcia. Przytuliłam je tak mocno, jakbym już nigdy nie zamierzała ich puścić. Wówczas wrócił król — spokojnie, niemal bez pośpiechu.

— Są w twojej sypialni i wszystko niszczą — powiedział.

Wyobraziłam sobie, jak tną nożami jeszcze ciepłe łóżko, zrywają baldachim, wywlekają moje skarby. Sama nie wiem, dlaczego pomyślałam o małym zegarze, który wygrywał piosenki i który tak lubił mój syn.

Słyszałam wyraźnie melodyjkę, znałam jej słowa:

*Il pleut, il pleut bergère,
Presse tes blancs moutons...*

*Pastereczko pada deszcz,
Więc owieczek swoich strzeż...
Pognaj wszystkie do zagrody,
Żeby nie doznały szkody.*

— Słuchajcie — powiedziałam — co to takiego?

Ktoś walił w drzwi *oeil de boeuf*.

Zastygliśmy w bezruchu. Chyba nawet Ludwik był wówczas przekonany, że wybiła nasza ostatnia godzina.

I wtedy... łomoty ustały. Jeden z paziów przybiegł z wieścią, że Gwardia Narodowa wyrzuca motłoch z pałacu.

Usiadłam i ukryłam twarz w dłoniach.

Syn pociągnął mnie za spódnice.

— Mamo, co oni wszyscy robią?

Przytuliłam go mocno. Nie mogłam wykrztusić ani słowa. Córka wzięła małego za ramię i powiedziała:

— Nie możesz teraz niepokoić mamy.

— Dlaczego? — dociekał Ludwik Karol.

— Bo mama ma bardzo dużo spraw na głowie. Pomyślałam: Oni zabiją mojego syna. A on uśmiechnął się

i szepnął:

— Nie martw się mamo. Moufflet jest tu z nami.

— W takim razie — szepnęłam — wszystko w porządku.

Delfin pokiwał głową.

W Cour Royale i w Cour de Marbre wznosili okrzyki na cześć diuka Orleanu. Zadrżałam. Jak bardzo diuk Orleanu był w to wszystko zamieszany?

Elżbieta wzięła delfina na kolana. Poczułam się znacznie lepiej, wiedząc, że siostra mojego męża jest wśród nas.

— Mamo — powiedział mój syn — *chou d'amour* jest głodny.

— Już niedługo coś zjemy — powiedziałam, całując go w czoło.

— Moufflet też — dorzucił, kiwając głową.

Wszyscy się uśmiechnęliśmy.

Tłumy otaczające pałac wołały króla:

— Król na balkon! Król na balkon!

Spojrzałam na Ludwika, a on wyszedł na balkon. Na pewno go podziwiali. Nie okazał ani cienia strachu. Nie wiedzieli, że nie potrafił się bać.

Do pokoju wszedł La Fayette, niezmiernie zdziwiony, że tłum wdarł się do pałacu. Przecież dali mu słowo.

Przestałam się dziwić, że przezywano go generałem Morfeuszem. Spał mocno, gdy buntownicy włamywali się do pałacu.

Zjawił się także hrabia Prowansji z diukiem Orleanu, obaj ogoleni i wypudrowani. Hrabia Prowansji był lodowaty jak zawsze, a diuk — chytrze uśmiechnięty. Madame Campan mówiła mi później, że wiele osób przysięgało, że widzieli go, jak wczesnym rankiem krążył w przebraniu między buntownikami i że to on pokazał im drogę do mojej sypialni. La Fayette wyszedł na balkon.

— Król — ryczał tłum.

La Fayette skłonił się przed królem, a potem podniósł dłoń i powiedział, że król właśnie zaakceptował Deklarację Praw Człowieka. To wielkie osiągnięcie. Teraz na pewno wszyscy pragną już rozejść się do domów. On, dowódca Gwardii Narodowej zachęca ich do tego.

Czy naprawdę spodziewał się, że go posłuchają? Nie był chyba aż takim głupcem. On po prostu grał swoją rolę — rolę bohatera.

Tłum nawet nie drgnął. Zamierzali osiągnąć to, po co tu przyszli.

Ktoś krzyknął:

— Królowa. Królowa na balkon! Wszyscy podchwycili ten okrzyk.

— Nie... — zaprotestował król — nie możesz...

Axel chciał do mnie podejść, ale rozkazałam wzrokiem, by został na miejscu. Nie wolno mu zdradzić naszej miłości przed tymi ludźmi. To pogorszyłoby tylko sytuację.

Ruszyłam w stronę balkonu.

Moja córka zaczęła płakać, a ja powiedziałam:

— Wszystko w porządku, kochanie. Nie bój się, Mousseline. Ludzie chcą tylko mnie zobaczyć.

To Axel wcisnął mi w rękę dłoń mojej córki i podał mi syna.

— Nie! — krzyknęłam.

Ale on już pchał mnie w stronę balkonu. Wierzył, że ludzie nie zrobią krzywdy dzieciom.

Zapadła śmiertelna cisza. A po chwili zaczęli wołać:

— Zabierzcie dzieci. Odeślijcie dzieci!

Wtedy byłam przekonana, że zaraz mnie zabiją. Obróciłam się i oddałam delfina pani de Tourzel. Córka trzymała się kurczowo moich spódnic, aleją odepchnęłam.

I sama wyszłam na balkon. Wydawało mi się, że ten jeden krok trwał parę minut. Jakby czas się zatrzymał, jakby świat stanął w miejscu, czekając, aż przekroczę granicę między życiem a śmiercią.

Stałam całkiem sama i bezbronna naprzeciw ludzi, którzy tu przyszli, żeby mnie zabić. Skrzyżowałam ręce na złoto-białej sukni, w którą mnie w pośpiechu ubierano tego ranka, włosy opadały mi na ramiona. Usłyszałam krzyk:

— Wreszcie jest. Austriaczka! Zastrzelić ją!

Pochyliłam głowę, jakbym chciała ich pozdrowić i znów zapadła cisza.

Nie wiem, co się wydarzyło w ciągu tych paru sekund. Wiem tylko, że Francuzi to najbardziej impulsywny naród na świecie. Kochają i nienawidzą znacznie gwałtowniej niż inni. A wszystkie ich uczucia są tak ekstremalne, że bez trudu przechodzą w siebie nawzajem.

Poruszyły ich moja krucha kobiecość, moja obojętność w obliczu śmierci i nieustraszona postawa.

Ktoś krzyknął:

— Niech żyje królowa!

A inni podjęli ten okrzyk. Patrzyłam na morze twarzy, na tych niegodziwych ludzi o okrutnych obliczach, z nożami i pałkami w rękach. I wcale się nie bałam.

Ukloniłam się raz jeszcze i wróciłam do pokoju.

Powitała mnie pełna zdumienia cisza. Po chwili król wziął mnie w objęcia, nie kryjąc łez wzruszenia, a dzieci chwyciły się spódnicy, wybuchając płaczem.

Ale to była tylko chwila wytchnienia.

Tłum krzyczał już:

— Król do Paryża!

Ludwik oświadczył, że tę sprawę trzeba przedyskutować ze Zgromadzeniem Narodowym, którego przedstawiciele zostaną zaproszeni do pałacu.

Ale ludzie nie ustępowali.

— Do Paryża! — skandowali. — Król do Paryża! Saint-Priest spochmurniał, podobnie jak Axel.

— Włamią się do pałacu — oświadczył Fersen. — Nie ma żadnych wątpliwości, że nie zdoła pan ich powstrzymać, panie de La Fayette.

Generał nie mógł zaprzeczyć.

— Trzeba zapobiec dalszemu rozlewowi krwi — powiedział król. — Wyruszymy do Paryża. — Potem odwrócił się do mnie i dodał. — Musimy być wszyscy razem.

Potem wyszedł na balkon i ogłosił:

— Moi przyjaciele. Udam się do Paryża razem z królową i dziećmi. Powierzam tym samym wszystko, co jest dla mnie najcenniejsze, miłości moich dobrych i wiernych poddanych.

Rozległy się okrzyki radości. Nie przyszli tu na darmo. Wyprawa zakończyła się sukcesem.

— Najjaśniejsza Pani — powiedział La Fayette poważnie — powinna to rozważyć.

— Już to rozważyłam — odparłam. — Wiem, że ci ludzie mnie nienawidzą. Wiem, że chcą mnie zabić. Ale jeśli taki ma być mój los, muszę go zaakceptować. Moje miejsce jest u boku męża.

* * *

Była pierwsza, gdy opuszczaliśmy Wersal. Deszczowe chmury ustąpiły miejsca słońcu. Był piękny jesienny dzień, ale pogoda nie mogła poprawić naszych nastrojów.

Jechałam karetą z królem, dziećmi, madame de Tourzel, hrabią i hrabiną Prowansji oraz z Elżbietą.

Nigdy nie zapomnę tej podróży i choć doświadczyłam większych upokorzeń i cierpień, do dziś nie mogę się uwolnić od wspomnienia. Woń ludzkich ciał, wykrzywione złością twarze, mordercze spojrzenia. Jechaliśmy aż sześć godzin. W powietrzu unosił się zapach krwi. Część tych barbarzyńców zamordowała paru strażników i teraz nieśli przed nami ich głowy zatknięte na pikach, byśmy nie zapomnieli, co mogą z nami zrobić. Zmusili fryzjera, przykładając mu nóż do gardła, by ufryzował te głowy.

Na armacie siedziały okrakiem pijane kobiety, wykrzykując jakieś nieprzyzwoitości. Często wymieniały moje imię. Czułam tak wielkie obrzydzenie, że nie słuchałam tego, co o mnie mówią. Niektóre kobiety, półnagie, bo nie włożyły spódnic po nocy, maszerowały ramię w ramię z żołnierzami. Handlarki rybami tańczyły dokoła powozu, śpiewając: „Nie zabraknie nam już chleba. Wieziemy piekarza, jego żonę i syna do Paryża”.

Ludwik Karol jęczał :

— Jestem taki głodny, mammo. *Chou d'amour* nie jadł dziś ani śniadania, ani obiadu.

Pocieszałam go, jak umiałam.

W końcu dotarliśmy do Paryża. W świetle pochodni witał nas Bailly, burmistrz stolicy.

— Cóż, wspaniały dzień — powiedział. — Paryżanie mają nareszcie swego króla przy sobie.

— Mam nadzieję — odparł Ludwik z godnością — że mój pobyt w Paryżu zaowocuje pokojem i przestrzeganiem prawa.

Pomimo wielkiego zmęczenia musieliśmy udać się do Hôtel deVille.

Usiedliśmy na tronie, na którym zasiadali przed nami liczni władcy Francji. Ludwik zażyczył sobie, by Bailly powiedział ludziom, że ich monarcha zawsze z przyjemnością i ufnością przebywa wśród paryżan.

Bailly powtarzając słowa króla, nie wspomniał o ufności, co mu natychmiast wypomniałam.

— Sami słyszycie, panowie — odparł Bailly. — Może to i dobrze, że pamięć mnie zawiodła.

Drwili z nas. Udawali, że traktują nas jak parę królewską, podczas gdy w rzeczywistości byliśmy ich więźniami.

Czekała nas jednak przynajmniej chwila wytchnienia. Pozwolono nam przenieść się z Hôtel de Ville do Tuileries — ponurego, opuszczonego pałacu, który dla nas wybrali.

Rozdział 23

Tuileries i Saint-Cloud

Nie sędę, by ktokolwiek uwierzył w to, co się zdarzyło w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, bo to, co musieliśmy znośić, przeszło wszelkie wyobrażenia.

Maria Antonina do Mercyego

Temu, kto kieruje rewolucją, trudniej ją utrzymać w ryzach niż podsycać.

Mirabeau

Fersen zamieszkał w wiosce Auteuil... i codziennie po zmroku przekradał się do Saint-Cloud. Jeden ze zwolnionych ze służby żołnierzy widział, jak wychodził kiedyś z pałacu o trzeciej nad ranem. Uznałem za swój obowiązek porozmawiać o tym z królową. „Czy Najjaśniejsza Pani nie sądzi, zapytałem, że wizyty hrabiego de Fersen mogą być niebezpieczne?”. Spojrzała na mnie wyniośle. „Proszę mu o tym powiedzieć, jeśli uważa pan to za stosowne...”.

Saint-Priest

Dziękuję ci za wszystko, co napisałaś o mojej Przyjaciółce (Marie Antoinette). Uwierz mi, moja droga Sophie, że ona zasługuje na wszystkie uczucia, którymi ją obdarzyłaś. To najdoskonalsza istota, jaką kiedykolwiek znałem...

Axel de Fersen do swojej siostry Sophie.

Próg pałacu Tuileries przekroczyłam, czując się jak skazaniec. Od dawna nikt tam nie mieszkał, było więc wilgotno i zimno. W korytarzach panowały takie ciemności, że nawet za dnia trzeba było palić lampki oliwne, które strasznie kopcily. Byliśmy jednak zupełnie wycieńczeni i marzyliśmy wyłącznie o odpoczynku. Delfin przestał nawet mówić o swym głodzie. Powieki mu opadały, gdy prosił:

— To bardzo brzydki pałac, mamó. Jedźmy do domu.

— Dlaczego, mój *chou d'amour*? Ludwik XIV mieszkał tu i był bardzo zadowolony. Nam też się na pewno spodoba.

— A dlaczego mu się tu podobało?

— Może wkrótce sam to odkryjesz.

Na szczęście zmęczenie nie pozwoliło mu zadawać więcej pytań.

Staralam się zasnąć na naprędcie pościelonym łóżku, ale ciągle budziłam się z przerażeniem i wydawało mi się, że wciąż słyszę turkot karety i krzyki motłochu oraz widzę zakrwawione głowy na pikach.

Co z nami będzie? — myślałam.

Król tymczasem spał jak kamień.

Wschód słońca podniósł mnie nieco na duchu. Światło dzienne obnażyło wprawdzie fatalny stan pałacu, ale poprawiło mi nastrój. Czułam, że trzeba się cieszyć, iż udało nam się przetrwać tę noc.

Król tryskał optymizmem.

— Przywieziemy tu meble z Wersalu — powiedział. — Nie wątpię, że mój lud pragnie, bym mieszkał w godziwych warunkach.

Trudno w to uwierzyć, ale wcale nie zwątpił w miłość swego ludu.

Nasza wierna służba zdobyła trochę jedzenia. A potem zaczęliśmy penetrować pałac. Tylko pokoje z widokiem na ogród nadawały się do użytku. Na pierwszym piętrze postanowiliśmy urządzić sypialnię króla, sypialnię Elżbiety, pokoje dziecięce, salon i parę bawialni; na parterze zaś moją sypialnię; pozostały jeszcze cztery zdadne do użytku pomieszczenia. Apartamenty połączone były schodami, więc w razie niebezpieczeństwa mogliśmy szybko zebrać się wszyscy razem.

Nic nie wskazywało jednak na to, byśmy mieli zaznać trochę spokoju, bo od samego rana pod pałacem zaczęli gromadzić się ludzie. Mój syn usłyszał ich głosy i natychmiast przybiegł do mnie.

— Mój Boże, mam — zawołał — czy znów będzie jak wczoraj? Staralam się go pocieszyć, ale wrzaski kobiet znów wzywały mnie na balkon. Przekraczałam próg tarasu z poczuciem, że przekraczam próg śmierci, ale ujrzałam całkiem innych, trzeźwych ludzi. Pod pałacem zebrał się obywatele Paryża, którzy popierali rewolucję, lecz nie był to tłum złodziei i prostytutek, który poprzedniego dnia zaatakował Wersal. Od razu wyczułam różnicę i uznałam, że powinnam się do nich odezwać.

Uciszyli się na mój widok. Wiedziałam, że doceniają odwagę, którą okazuję, stając przed nimi bez trwogi.

— Moi przyjaciele — powiedziałam — powinniście wiedzieć, że bardzo kocham drogie miasto Paryż.

— O tak! — zawołał ktoś. — Kochasz tak bardzo, że czternastego lipca kazałaś wysłać wojsko do Paryża, a piętego października chciałaś uciec za granicę.

Natychmiast rozległy się śmiechy, ale atmosfera była całkiem inna niż poprzedniego dnia.

— Musimy przestać się nienawidzić — dodałam i znów zapadła cisza. Ktoś wykrzyknął:

— Ta Austriaczka ma odwagę!

Jeszcze chwila ciszy i...

— Niech żyje królowa!

Kiedy weszłam do środka, wielki kamień spadł mi z serca, choć wiedziałam, że nic już nie będzie tak, jak dawniej.

Usiadłam, by napisać list do Mercy'ego, któremu kazałam się trzymać z dala od dworu przez jakiś czas, bo sądziłam, że jako ambasador Austrii zostanie uznany za wroga i znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Gdybyśmy zapomnieli, gdzie jesteśmy i jak się tu znaleźliśmy, moglibyśmy mieć powody do zadowolenia z nastrojów wśród ludu tego ranka. Mam nadzieję, że gdy już będzie pod dostatkiem chleba, wszystko wróci do normy... Nikt nie uwierzyłby w to, co się wydarzyło w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, bo to, co musieliśmy znieść, przeszło wszelkie wyobrażenia.

Król wszedł właśnie do mojego pokoju i powiedział:

— Słyszałem, że ludzie wiwatowali na twoją cześć. To koniec rewolucji. Teraz trzeba wypracować nowy porządek... lepszy dla wszystkich.

Przytuliłam się do niego, ale w duchu wcale się z nim nie zgadzałam. Mimo pokojowego nastroju tłum pamiętałam, że jesteśmy więźniami. A przecież nie tak dawno, gdy okazało się, że

chęć nas zmusić do opuszczenia Wersalu, powiedziałam do pani Campan: „Gdy staniemy się więźniami, nasze dni będą już policzone”.

Atmosfera w Paryżu musiała się jednak rzeczywiście zmienić, bo w ciągu kilku następnych dni zwożono nam meble z Wersalu. Stolarze i tapicerzy pracowali cały dzień i wkrótce wybrane przez nas apartamenty zaczęły trochę bardziej przypominać królewską rezydencję. Nasza straż przyboczna, składająca się ze starannie dobranych członków szlacheckich rodów, została oczywiście zwolniona, a na ich miejsce pojawili się gwardziści de La Fayette’a, co okazało się dość męczące, bo ci wścibscy i źle wychowani ludzie bez jakichkolwiek oporów ingerowali w naszą prywatność.

Obawiałam się, że mój syn może obrazić nowych strażników i tłumaczyłam mu, że powinien być dla nich szczególnie uprzejmy. Zastosował się do mojej prośby bez trudu; rozmawiał z nimi w sposób, który musieli uznać za czarujący.

Ludwik Karol był już dość duży, by porównywać nasze obecne życie z tym, jakie wiedliśmy dawniej. W jego obecności wszyscy starali się ukryć niepokój i zachowywać tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Ale był zbyt bystry, by dać się nabrać.

Pewnego dnia przybiegł do króla i powiedział:

— Papo, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Ludwik uśmiechnął się i odrzekł, że z przyjemnością posłucha.

— Nie rozumiem, dlaczego ci ludzie, którzy tak cię kochali, są teraz tacy źli na ciebie. Czym ich tak bardzo obraziłeś?

Król wziął chłopca na kolana i wyjaśnił:

— Chciałem, by byli szczęśliwsi niż kiedyś, ale potrzebowałem pieniędzy, by zapłacić za wojnę, i poprosiłem o nie ludzi. Wszyscy królowie tak robią. Ale parlament Paryża mi odmówił, twierdząc, że tylko lud może wyrazić zgodę na taką prośbę. Poprosiłem więc, by delegaci ze wszystkich miast, wyróżniający się urodzeniem, majątkiem albo talentem przyjechali do Wersalu Zwołałem Stany Generalne. Ale delegaci chcieli, abym i ja poczynił pewne ustępstwa, które uznałem za niemożliwe między innymi ze względu na ciebie, bo kiedyś ty będziesz królem. Za to, co się zdarzyło w ciągu kilku ostatnich dni, odpowiadają niegodziwi ludzie, którzy namawiali paryżan do buntu. Nie powinieneś myśleć, że prości ludzie są temu winni.

Nie wiem, czy delfin zrozumiał wszystko, ale pokiwał poważnie głową. A po tej rozmowie zachowywał się znacznie mniej infantylnie.

Tymczasem zaczęła się prawdziwa, posępna zima. Nasz tryb życia różnił się ogromnie od tego, do czego byliśmy przyzwyczajeni. Czułam się tak, jakbym od lat nie była w Wersalu ani w Petit Trianon. Zresztą ja także się zmieniłam.

Skończyłam trzydzieści cztery lata i zaczynałam wyciągać wnioski ze swych doświadczeń. Zrozumiałam, że gdybym zachowywała się inaczej, nie wzbudziłabym tylu negatywnych uczuć u Francuzów. Nienawidzili mnie przecież znacznie bardziej niż króla.

O zmianie, która we mnie zaszła, świadczyło choćby to, że wybrałam apartament na parterze, z dala od rodziny, by mieć czas na przemyślenia. Ja, która nigdy nie potrafiłam skoncentrować się na nudnych sprawach, potrzebowałam teraz czasu na autorefleksję.

Całymi godzinami spisywałam swoje wspomnienia. Robię to do tej pory, bo tylko w ten sposób mogę poznać siebie i przeanalizować wszystkie kroki, które doprowadziły mnie tu, gdzie teraz jestem.

To życie mnie odmieniło. Z dnia na dzień przestałam być lekkomyślną dziewczyną i stałam się dojrzałą kobietą. Owa zmiana była równie nagła, jak odmiana mego losu. Czułam się tak, jakbym

w ciągu tych dwudziestu czterech godzin przeżyła całe życie pełne cierpienia i strachu. To nie mogło pozostać bez wpływu.

Gdy przypominam sobie listy, które pisałam wówczas do Mercy'ego, widzę wyraźnie, jak wielka była ta odmiana.

Im bardziej jestem nieszczęśliwa, tym bardziej cenię sobie prawdziwych przyjaciół. Czekam z niecierpliwością na chwilę, w której będziemy mogli zobaczyć się niczym nieskrępowani i zapewniam, że głębokie uczucia, które wobec Pana żywię, nigdy nie przeminą.

Dopiero wówczas uświadomiłam sobie, kim był dla mnie Mercy. Zrozumiałam, że sprawy przybrałyby całkiem inny obrót, gdybym słuchała jego ostrzeżeń i przestróg mojej matki.

Ponure, monotonne zimowe dni dłużyły się w nieskończoność. Wielką pociechę znajdowałam w dzieciach i Axelu, który często mnie odwiedzał. Gdy siedziałam przy moim synu, podczas lekcji, których udzielał mu ojciec Davout, i widziałam, jak chłopcu trudno się skoncentrować, przypominałam sobie własne dzieciństwo i nie szczędziłam delfinowi przestróg.

— Ależ mam — odpowiadał poważnie. — Tu jest tylu żołnierzy. A oni są znacznie bardziej interesujący niż lekcje.

Wielcy żołnierze, przypominałam mu wówczas, także musieli się uczyć.

Codziennie słuchaliśmy mszy i jedliśmy wspólnie posiłki. Zbliżyliśmy się do siebie znacznie bardziej, bo żyliśmy jak zwykła mieszczańska rodzina. Dzieci siedziały razem z nami przy stole i brały udział w rozmowie. Biedne ciotki, Adelajda i Wiktoria, także się bardzo zmieniły. Ciągłe mówiły o zmarłej Zofii.

— Szczęśliwa Zofia nie doświadczyła najgorszego.

Nieszczęścia sprawiły, że ciotki nie należały już do grona moich wrogów. Miały dość rozsądku, by zrozumieć, że plotki na mój temat, które rozsiewały, znacznie się przyczyniły do tego, że wszyscy znaleźliśmy się w tak trudnym położeniu. Okazały więc skruchę. Sądzę, że z wielkim zdumieniem przekonały się, że nie żywię do nich urazy. Nie miałam czasu na pielęgnowanie w sobie mściwości. Nie znajdowałam przyjemności w wypominaniu krzywd, które mi uczyniły. Współczułam im jedynie, bo wszystko, czym żyły przez tyle lat, rozpadało się na ich oczach, i były coraz bardziej bezbronne.

Stosunek ciotek do mnie zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Okazywały mi wiele serdeczności i oddania, może nawet uwielbienia, bo przecież Adelajda nigdy nie umiała niczego robić połowicznie, a Wiktoria zawsze naśladowała siostrę.

U Elżbiety natomiast potęgowała się naturalna skłonność do świętości. Szwagierka nie odstępowała mnie oraz dzieci. Pracowałyśmy wspólnie nad makatą, zimowe wieczory mijały nam więc w dość przyjemnej atmosferze.

Po obiedzie król zapadał się w fotel i zasypiał albo szedł do swojego apartamentu, żeby się zdrzemnąć. Traktował całą rodzinę serdecznie i zawsze umiał zażegnać histeryczne wybuchy ciotek, zdarzające się od czasu do czasu. Ciotki pragnęły przecież tak bardzo, by powróciły stare, dobre czasy. Znacznie trudniej przychodziło im przystosowanie się do nowego trybu życia.

A ja żyłam od wizyty do wizyty Axela. Nigdy nie mogliśmy zostać sam na sam, ale często rozmawialiśmy szeptem. Mówił, jak bardzo się niepokoi tym, że jestem w Paryżu. Nie zdołał zapomnieć naszej strasznej podróży z Wersalu.

— Co za kanalie! Jak ja ich nienawidzę! Nie cierpię! Bóg jeden wie, co mogli ci zrobić. Nie potrafię ci opowiedzieć, jak cierpiałem, wiedząc, że znalazłaś się między nimi. Nie spoczne, póki nie wyjedziesz z tego miasta. Chciałbym, żebyś natychmiast znalazła się tam, gdzie będziesz bezpieczna.

Słuchałam go z uśmiechem. W moim życiu liczyła się tylko jego miłość, uczucia dzieci i czułość, którą okazywał mi mąż.

Tamtej zimy mój kochanek mówił tylko o ucieczce.

Po pewnym czasie mój niepokój trochę osłabł. Byliśmy wprawdzie więźniami, ale w Tuileries czuliśmy się w pewnym sensie podobnie jak na dworze. La Fayette odwiedzał nas regularnie, zapewniając króla o swej lojalności. Miał dobre intencje, podobnie zresztą jak Ludwik. Nigdy jednak generała nie było tam, gdzie był potrzebny, zawsze się spóźniał, gdy trzeba było szybko podjąć decyzję i zawsze za bardzo się spieszył, gdy sprawa wymagała głębszego namysłu. Ale cieszyliśmy się z jego przyjaźni.

La Fayette miał w ręku dowody, że diuk Orleanu pomógł zorganizować marsz na Wersal. Był przekonany, że nie mylili się ludzie, którzy przysięgali, iż widzieli wówczas księcia w przebraniu i w słomkowym kapeluszu. Uważał, że w tej sytuacji diuka Orleanu trzeba czym prędzej wysłać tam, gdzie nie będzie mógł nikomu zaszkodzić.

Król oczywiście nie wierzył, że jego kuzyn może być zdrajcą, ale La Fayette tłumaczył:

— On chce zdetronizować Waszą Wysokość i zostać regentem. I to wcale nie jest niemożliwe.

— Czy ma pan jakieś dowody, generale? — zapytał przerażony Ludwik.

— Mnóstwo, Najjaśniejszy Panie. I mogę mieć jeszcze więcej. W tłumie, który maszerował na Wersal, było wielu mężczyzn przebranych za kobiety. To zresztą wcale nie były kobiety z Paryża, jak nam próbowano wmówić. Wśród nich znalazło się wielu płatnych agitatorów, a całe przedsięwzięcie zorganizował między innymi diuk Orleanu.

— To nie do wiary — upierał się król.

Ale ja wtrąciłam, że to wcale nie jest takie nieprawdopodobne. Dom Orleański był do mnie wrogo nastawiony od samego początku. I sądzę, że diuk byłby zdolny do takiej zdrady.

Ludwik spojrział na mnie bezradnie, ale La Fayette, czując moje poparcie, kontynuował:

— Najjaśniejszy Panie, byli tacy, którzy słyszeli okrzyki: „Niech żyje diuk Orleanu, niech żyje nasz król z Domu Orleańskiego”. Sądzę, że to wiele wyjaśnia. On zamierza obalić Waszą Królewską Mość i zasiąść na tronie. Trzeba go natychmiast wydalić z kraju.

— Niech jedzie do Anglii — powiedział król. — Sądzę jednak, że należy utrzymywać, iż wyjechał tam z misją w moim imieniu. Nie zamierzam ogłaszać publicznie, że mój kuzyn jest zdrajcą.

Diuk Orleanu pojechał więc do Londynu. Tam spotkał panią de la Motte i wspólnie obmyślali kolejne kalumnie, którymi zostałam obrzucona.

* * *

Niechętnie długie zimowe dni. Przeciągi w korytarzach. Kopcące lampy. I strażnicy, którzy nieustannie naruszali naszą prywatność!

Nie przetrwałabym tej zimy, gdyby nie Axel. Bardzo mi brakowało Gabrielle. Księżna de Lamballe była wierną przyjaciółką, którą gorąco kochałam, ale nigdy nie stała się tak mi bliska jak Gabrielle. Podnosiła mnie na duchu także obecność Elżbiety, no i oczywiście dzieci. Moja córka wyrosła na łagodną dziewczynkę. Nigdy nie narzekała na swój — los. Pozostawała pod wpływem ciotki Elżbiety, bo prawie nigdy się nie rozstawały. Czasem, gdy szczególnie doskwierał mi smutek, posyłałam po mojego małego *chou d'amour*, a on wprawiał mnie w ożywienie nad wiek mądrymi uwagami. Dość szybko przywykł do życia w Tuileries i czasem wydawało mi się, że zupełnie zapomniał o przepychu, jaki otaczał go w Wersalu czy w Trianon.

— Musimy uważać, żeby go nie zepsuć — mówiłam madame de Tourzel — a będzie to trudne zadanie, bo on jest taki kochany. Musimy jednak pamiętać, że wychowujemy go na króla.

Guwernantka przyznawała mi rację, a ja cieszyłam się, że otacza mnie tylu prawdziwych przyjaciół. I myślałam, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Król coraz bardziej polegał na moim zdaniu. Zauważył, że się zmieniał. Gdy przypomniałam sobie, jak na samym początku swego panowania mówił, że nie zamierza słuchać kobiecych rad, doszłam do wniosku, iż oboje jesteśmy inni niż kiedyś.

W Ludwiku było jednak coś, co nigdy się nie zmieniło — jego nienaturalny spokój. Zachowywał się tak, jakby nie obchodziły go własne sprawy.

Słyszałam, jak kiedyś jeden z ministrów powiedział, że gdy omawia z królem sprawy państwowe, czuje się, jakby rozmawiał z chińskim cesarzem, a nie z władcą Francji.

Myślę, że właśnie dlatego coraz częściej interweniowałam w te sprawy. Na początku próbowałam przecież trzymać się z dala od polityki, ale Mercy przekonywał mnie, że tylko ja mogę wpłynąć na króla w odpowiedni sposób. Ktoś musiał stanąć u steru, gdy okrętowi zagrażała wielka burza. Tak mówił Mirabeau, który teraz, pod nieobecność diuka Orleanu, był jedynym człowiekiem, mogącym powstrzymać maszynę rewolucji.

Ten człowiek miał rację. Słyszałam wiele o jego błyskotliwości, Mercy często o nim pisał, Axel często o nim opowiadał. Axel uważał, że to skończony łotr i nie należy mu ufać. Ale w owym czasie był najważniejszym człowiekiem we Francji i nie mogliśmy go ignorować.

Szybko zauważono, że mam swój udział w polityce. Król mówił otwarcie, że nie podejmie żadnej decyzji bez konsultacji z królową. Byłam teraz zupełnie inną kobietą niż przedtem i choć o wielu sprawach nie miałam pojęcia, to przynajmniej trzymałam się swego zdania w przeciwieństwie do króla, który ciągle się wahał. Optowałam za stanowczością wobec rewolucjonistów. Uważałam, że poszliśmy na zbyt wielkie ustępstwa i nie możemy szukać kolejnych kompromisów. Axel utwierdzał mnie w tym przekonaniu. A może to on mnie przekonał do swoich opinii? Był nie tylko moim kochankiem, lecz i doradcą. Cieszyłam się, że Axel i Mercy zgadzają się w wielu sprawach.

Tymczasem Mirabeau zaczął zmieniać zdanie. Teraz mawiał:

— Król ma tylko jednego mężczyznę u swego boku — królową. To oznaczało, że zdaniem Mirabeau ja dysponuję większą władzą niż król Francji.

— Temu, kto kieruje rewolucją — powiedział — trudniej utrzymać ją w ryzach niż podsycać.

Wynioskowałam z tego, że chciałby utrzymać rewolucję w ryzach.

W lutym zmarł mój brat, Józef. Zdrętwiałam, czytając list od Leopolda, który odziedziczył tron. Okazało się, że byłam bardzo związana z Józefem, choć tak irytował mnie jego krytycyzm. Dopiero teraz zrozumiałam, że pragnął przede wszystkim mi pomóc i doszłam do wniosku, że w jego komentarzach było wiele mądrości. Leopold był mi zawsze dość obojętny, poczułam więc, że moja więź z Wiedniem z pewnością osłabnie.

Wszystkich nas nękały przeziębienia. Król przybrał na wadze, bo brakowało mu wysiłku fizycznego, do którego przywykł przez lata. Sporadyczna gra w bilard nie mogła zastąpić dawnych zajęć. Ja czułam się nie najlepiej i nie mogłam sobie wyobrazić, jak przetrwamy lato w niezdrowym powietrzu Touilleries. Gdy zasugerowałam, byśmy wyjechali na lato do Saint-Cloud, rozległo się tylko kilka słabych głosów sprzeciwu. Od dawna nie było mi tak lekko na duchu, jak wtedy gdy wyjeżdżaliśmy do Saint-Cloud i tylko niewielka wrogo nastawiona grupka próbowała nas zatrzymać, podczas gdy ogromny tłum krzyczał, że rzeczywiście potrzeba nam trochę zdrowszego klimatu. Okrzyki: „Szczęśliwej podróży, ojczulku!”, wprawiły króla we wspaniały humor, a i mnie dodały optymizmu.

Wówczas naprawdę wierzyłam, że rewolucja się skończyła i wkrótce wrócimy do Wersalu — do życia, które będzie wprawdzie inne niż przedtem, ale godne.

Jakże się cieszyłam pobyt w Saint-Cloud! Klimat dodawał nam sił, a przy tym było tu tak pięknie, zwłaszcza w porównaniu z posępnym pałacem Tuileries, którego nie znosiłam. Czułam się prawie tak, jakby wróciły stare, dobre czasy. Nie było to wprawdzie Trianon, ale drugie spośród moich ukochanych miejsc.

Mercy pisał do mnie z Brukseli, radząc, byśmy nie lekceważyli stosunków z Mirabeau, jedynym człowiekiem, który mógłby zakończyć rewolucję i przywrócić tron królowi.

Przyglądałam się uważnie temu człowiekowi. Urodził się jako arystokrata, ale nie cieszył się popularnością w swoich kręgach i dlatego został sprzymierzeńcem stanu trzeciego. Ofiarował swoje talenty diukowi Orleanu, lecz teraz diuk przebywał na emigracji, Mirabeau natomiast pragnął zakończyć rewolucję, do której wybuchu wydatnie się przyczynił. Może nie przypuszczał, że wszystko pójdzie takim właśnie torem? Może od początku pragnął zmian konstytucyjnych? W każdym razie teraz właśnie do nich dążył.

Pisał do króla listy, na które Ludwik nie odpowiadał. Czytałam te listy, ale nie namawiałam męża, by zwrócił na nie uwagę, bo uważałam, że człowieka odpowiedzialnego za rozpętanie tego piekła trzeba unikać jak ognia.

Od tej pory będę tym, kim zawsze się czułam — pisał — obrońcą monarchii, regulowanej prawem, i wolności, zagwarantowanej przez monarchię. Moje serce wybierze drogę, którą już dawno wskazywał rozum.

Wiele słyszałam o tym człowieku. Axel nie przestawał o nim opowiadać. Twierdził, że nie wolno lekceważyć kogoś tak ważnego. Zwłaszcza, że można go wykorzystać. Skoro kiedyś zdołał stanąć na czele ludu, może to zrobić jeszcze raz. Tylko on jeden potrafi przerwać tę sytuację nie do zniesienia.

— Radzisz więc, byśmy nawiązali z nim stosunki? — pytałam.

— Tak — odpowiadał Axel.

— Ale dlaczego on chce wesprzeć nas właśnie teraz? — zastanawiałam się. — Tylko dlatego, że chce zostać przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego, prawą ręką króla, jego najważniejszym ministrem. W rzeczywistości pragnie po prostu rządzić Francją.

Axel uśmiechnął się czule.

— Kiedy zdoła przywrócić monarchię, władza królewska będzie na tyle silna, by sobie z nim poradzić.

— Teraz rozumiem twój sposób myślenia.

Axel był święcie przekonany, że warto wykorzystać tego człowieka i z czasem uświadomił mi, że to świetny pomysł. Może sam Mirabeau się do tego przyczynił, mile łechzcząc moją próżność, gdy okazało się, że to mnie, a nie królowi chciałby przedstawić swoje plany.

Pragnęłam, by to lato nigdy się nie skończyło i wzdrygałam się na myśl o powrocie do Tuileries. Axel mieszkał w pobliskiej wiosce Auteuil i po zmroku zawsze zakradał się do pałacu, by pozostać ze mną aż do świtu. Postępowaliśmy nierozważnie, ale takie to były czasy. Nasza namiętność była tak gorączkowa, bo nigdy nie mieliśmy pewności, czy nie spędzamy ze sobą ostatniej nocy.

Pewnego dnia zauważył go jeden ze strażników i od tej pory zawsze go wypatrywał. Potem postanowił złożyć raport Saint-Priestowi.

Saint-Priest poruszył ten temat, gdy kiedyś znaleźliśmy się sam na sam.

— Czy Najjaśniejsza Pani nie sądzi, że wizyty hrabiego de Fersen w pałacu mogą być niebezpieczne?

Poczułam, jak ściągają mi się rysy twarzy. Nie cierpiałam szpiegów.

Powiedziałam więc wyniośle:

— Jeśli uważa pan to za stosowne, powinien pan porozmawiać o tym z hrabią.

Saint-Priest nie zrobił tego oczywiście, ale ja opowiedziałam o wszystkim Axelowi. Zaniepokoił się i rzekł, że nie będzie przy —

chodził tak często. Przez kilka kolejnych nocy się nie pojawił. Ale nie potrafił trzymać się ode mnie z daleka, a i ja nie zniósłabym tego, wróciliśmy więc do starych obyczajów.

Tymczasem przekonywał mnie, bym spotkała się z Mirabeau. W końcu zgodziłam się na spotkanie w parku Saint-Cloud tak, by wyglądało to na przypadek. Należało zachować całkowitą dyskrecję. Przypomniało mi się inne spotkanie, które rzekomo miało miejsce w parku — moje wysrane z palca spotkanie z kardynałem de Rohan. Z Mirabeau miałam się zobaczyć za dnia. Mercy wiedział o wszystkim i chwalił mnie z całego serca za to, że słucham rad mądrych przyjaciół. Podobnie jak Axel zrobiłby wszystko, by uratować monarchię. Skoro więc obaj tak mnie namawiali na rozmowę z Mirabeau, zgodziłam się z wielkim entuzjazmem.

Napisałam do Mercy'ego:

Znalazłam miejsce, które nie jest może najwygodniejsze, ale doskonale nadaje się na tego rodzaju rozmowę, bo leży z dala od ogrodów i pałacu.

O ósmej rano w niedzielę, gdy cały dwór jeszcze spał, a w parku nikogo nie było, wyszłam na umówione spotkanie.

Wiele słyszałam o tym człowieku, mimo to jednak zaskoczyła mnie jego szpetota. Na twarzy miał mnóstwo blizn po ospie, włosy sterczały mu z głowy jak niechlujna szczecina, miał brutalną twarz, zdradzającą wielką siłę i witalność. Słyszałam, że podczas pierwszego spotkania budził dreszcz obrzydzenia w kobietach, a potem je w sobie rozkochiwał. Uwiódł setki kobiet, spędził parę lat we francuskim więzieniu, napisał mnóstwo pamfletów. Był rzeczywiście najbardziej aktywnym i wpływowym człowiekiem w kraju.

Kiedy się odezwał, uznałam, że ma niezwykle piękny głos, ale może o takim wrażeniu zdecydował kontrast między przyjemnym głosem a odpychającą powierzchownością. Miał dworne maniery i traktował mnie jak królową, z szacunkiem, którego bardzo mi brakowało ostatnimi czasy.

Powiedział, że nocował w domu swojej siostry, żeby nie spóźnić się na spotkanie i że nikt nie powinien niczego się domyślić, bo dla niepoznaki kazał swemu siostrzeńcowi przebrać się za stangreta.

Potem zaczął tłumaczyć, jak bardzo chce nam służyć. Deklarował, że tego właśnie pragnie i zdoła nakłonić do tego ludzi. Prosił, bym wyjednała mu audiencję u króla, chciał bowiem przedstawić swoje plany nam obojgu.

Słuchałam uważnie. Fascynował mnie jego entuzjazm, jakże różny od letargicznego spokoju mojego męża. Mirabeau przypominał mi Axela, który także pragnął mnie uratować, tyle że mój ukochany był przystojny, a ten człowiek taki brzydki.

Wierzyłam, że potrafi zrealizować wszystkie swoje obietnice i nawet mu to powiedziałam.

I sądzę, że był szczery, gdy położył dłoń na sercu i oświadczył, że w przyszłości z największą przyjemnością odda się na moje usługi. Od tej pory powinnam go uważać za swego rycerza.

Nie kryłam, że dzięki temu człowiekowi wstąpiła we mnie nadzieja, a on zapewnił, że wkrótce zapomnę o wszelkich poniżeniach, jakich doznałam.

Emanowała z niego taka moc, że nie mogłam mu nie wierzyć.

Rozstałam się z nim przekonana, że nasza rozmowa zakończyła się sukcesem. Axel był zachwycony. Mercy także. A ja czułam, że teraz trzeba tylko cierpliwie czekać, aż pan Mirabeau zacznie działać.

Gdy się dowiedziałam, że napisał do hrabiego de la Marek, który był jednym z pośredników: „Nic mnie nie powstrzyma. Raczej umrę, niż złamię słowo!”, promieniałam z radości.

* * *

Gdy nadeszła jesień, musieliśmy opuścić Saint-Cloud i wrócić do Tuileries.

Ciotki były niepocieszone. Nie mogły zrozumieć, co się stało. Nie znosiły tłumów, które śledziły każdy nasz krok i nigdy nie okazywały szacunku rodzinie królewskiej; nie znosiły strażników, którzy nieustannie je szpiegowali.

Bez przerwy płakały, zdrowie przestało im dopisywać. I coraz bardziej zazdrościły biednej Zofii. Adelajda oświadczyła, że wszyscy, którzy zdążyli umrzeć przed tym strasznym okresem, godni są zazdrości.

Mirabeau pozostawał z nami w kontakcie, król go przyjmował. Zauważyłam, że jeśli w planach Mirabeau mieścił się nasz wyjazd z Paryża, to dobrze by było pozbyć się wcześniej ciotek. Ludwik przyznał mi rację, ale jak zwykle nic nie przedsięwziął.— Poradziłam się więc Axela, który obiecał zaaranżować jakoś podróż ciotek. Powinny wyjechać za granicę, na przykład do Neapolu, gdzie z pewnością przyjmie je moja siostra.

Nigdy nie zapomnę dnia ich wyjazdu. Były strapione jak dwójka opuszczonych dzieci. Obejmowały mnie czule, a Adelajda wołała, że powinnam pojechać z nimi... ja, drogi Ludwik i kochane dzieci. Odparłam, że to niemożliwe, a ona spojrzała na mnie w milczeniu. Czułam, że przeprosza mnie bez słów za wszystkie złośliwości, których niegdyś od nich doznałam. Pragnęłam, by wiedziała, że nie żywię urazy. Dawniej byłam na to zbyt lekkomyślna i beztroska, teraz rozumiałam, że na świecie jest i tak za wiele nienawiści.

Ucałowałam obie starsze damy. Powiedziałam, nie wierząc w to ani przez chwilę, że może wkrótce znów wszyscy będziemy razem. A potem ciotki zeszyły na dziedziniec, do powozów. Przeraziłam się na widok tłumu, który się zgromadził i próbował uniemożliwić ich wyjazd.

Słyszałam, jak ktoś krzyczy:

— Pozwolimy im wyjechać?

Z bijącym sercem czekałam na odpowiedź.

Nic nie usłyszałam, ale gdy stangret świsnął batem i powozy ruszyły naprzód, nikt nie próbował ich zatrzymać.

To były w końcu tylko *Mesdames* — stare, zwariowane ciotki króla.

Stałam w oknie i wyglądałam na dziedziniec, ale nic nie widziałam.

Ciotki wyjechały..., skończył się kolejny etap.

Wiele czasu upłynęło, nim się odezwały. Powóz wielokrotnie zatrzymywano po drodze, a ludzie o szpetnych twarzach przyglądali się staruszkom z bliska. Gdy uznawano, że żadna z nich nie może być przebraną królową, pozwalano im ruszyć w dalszą drogę. W końcu dotarły do Neapolu, gdzie moja siostra Karolina serdecznie je przyjęła.

Słyszałam, że mówiły o mnie z wielkim szacunkiem. Chyba więc naprawdę żałowały swoich grzechów.

* * *

Do Paryża wrócił tymczasem diuk Orleanu. Czemu miałby pozostawać za granicą? Dlatego, że król zesłał go na wygnanie? Cóż z tego, skoro lud Paryża witał go radośnie. A za nim przyjechała Jeanne de la Motte. Dlaczego ona miałaby pozostać za granicą? Któż śmiałyby teraz pociągnąć ją do

odpowiedzialności za udział w aferze z diamentową kolia? Wszyscy wierzyli, że była kozłem ofiarnym i że to ja miałam naszyjnik.

Zamieszkała na placu Vendôme i zajmowała się pisaniem opowieści, w których ja zawsze odgrywałam jedną z głównych ról. Napisała kolejną wersję historii diamentowej kolii. Jej dzieła przyjmowano z entuzjazmem, bo zawsze obrzucała mnie w nich błotem.

* * *

Tymczasem Mirabeau mnóstwo energii poświęcał sprawie przywrócenia monarchii. Dziś sądzę, że mogło mu się to udać. Współpracował ze Zgromadzeniem Narodowym i z królem. Pojednanie było bliżej niż kiedykolwiek. Mirabeau mógł nas uratować. Teraz to rozumiem.

Nie był, rzecz jasna, altruistą. Pragnął władzy oraz bogactwa. Miał niewyobrażalne wprost długi. Mój mąż musiał obiecać, że Mirabeau dostanie milion liwrow, jeśli zdoła zakończyć rewolucję i przywrócić królowi tron. Mirabeau spodziewał się też anulowania długów i dozgonnej wdzięczności Ludwika.

Potrafił całkowicie zapanować nad Zgromadzeniem Narodowym swoim złotym głosem i niezrównaną elokwencją. Marat, Robespierre i Danton nie spuszczali go z oka. Podobnie zresztą jak diuk Orleanu. Wydawało im się z pewnością, że Mirabeau stara się zniweczyć wszystkie ich osiągnięcia.

Mirabeau rozmawiał z królem w bardzo stanowczy sposób.

— Zagroza nam czterech wrogów: podatki, bankructwo, armia i zima. Trzeba nad tym zapanować. Wojna domowa to rzecz niepewna, ale można ją wykorzystać do własnych celów.

Ludwik nie krył przerażenia.

— Wojna domowa. Nigdy się na to nie zgodzę.

— Za pomocą praw nie da się walczyć z motłochem. Wasza Wysokość nie ma chyba wątpliwości, kto wygrałby taką batalię?

Mąż spojrzał na mnie.

— Król nigdy się nie zgodzi na wojnę domową — powiedziałam.

Mirabeau był zrozpaczony.

— O wspaniały, ale słaby królu! — grzmiał. — O nieszczęsna królowo! Niezdecydowanie zepchnęło już was na skraj straszliwej przepaści. Jeśli nie skorzystacie z mojej rady lub jeśli przedsięwzięcie się nie uda, żałobny całun przykryje tę krainę. Jeśli jednak zdołam ujść cało z katastrofy tego okrętu, będę mógł powiedzieć sobie z dumą: „Narażałem swoje życie, pragnąc ich uratować, ale oni nie chcieli ratunku”.

To rzekłszy, wyszedł. Okazało się, że miał rację. I że to my byliśmy głupcami.

Król obstawał jednak przy swoim:

— Nigdy nie pozwolę na wojnę domową.

Ja także za bardzo się jej bałam i dlatego nie próbowałam przekonać Ludwika, co z pewnością by mi się udało.

Mirabeau nie zamierzał zrezygnować tylko dlatego, że odrzuciliśmy jego pierwszy plan. Znał uczucia, które Fersen żywił względem mnie i często z nim rozmawiał o konieczności wywiezienia nas z Paryża. Mirabeau uważał, że to dobry pomysł i radził, by Axel od razu pojechał do Metz, gdzie tuż za granicą stacjonowały lojalne oddziały markiza de Bouille. Axel miał się rozeznac w sytuacji, przedyskutować plan z markizem i wrócić czym prędzej do Paryża.

Gdy przyszedł się pożegnać, ogarnęło mnie przerażenie.

— Czy zdajesz sobie sprawę — zapytałam — co te kanalie z tobą zrobią, jeśli się wyda, że pracujesz na naszą rzecz?

Odparł, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Tylko że nic się nie wyda. Plan z pewnością się powiedzie, a on zadba, bym cała i zdrowa znalazła się za granicą.

— Nie będą zważać na to, że jesteś cudzoziemcem — zawołałam. — Och, Axelu, wyjedź czym prędzej z Francji. Trzymaj się z dala... póki to wszystko nie minie.

Uśmiechnął się tylko i wziął mnie w ramiona. Zapowiedział, że wkrótce wróci, a wówczas nie będzie ani chwili do stracenia. Wtedy na dobre wyjedzie z Paryża... razem ze mną.

Udał się zatem do Metz, a ja próbowałam wykonywać swe codzienne obowiązki, choć żarzył się we mnie płomień, który w każdej chwili mógł wybuchnąć ze straszliwą siłą.

Ucieszyłam się, gdy Axel wrócił do Paryża cały i zdrowy, mimo że wieści, jakie przywiózł, nie brzmiały pocieszająco. Bouille coraz bardziej się niecierpliwił, ponieważ jego oddziały zaczynały się burzyć. Do żołnierzy docierały informacje ze stolicy, często znacznie wyolbrzymione. Bouille miał wątpliwości co do lojalności swoich podkomendnych i sądził, że winna temu jest nasza bierność. Gdyby można było podjąć zdecydowane działania, nastroje byłyby inne.

Axel zgadzał się z nim całym sercem, podobnie zresztą jak Mirabeau.

— Powinniście zacząć planować ucieczkę — tłumaczył Mirabeau Axelowi. — Jako Szwed jest pan znacznie mniej podejrzany niż Francuz, hrabio.

Mirabeau był jednak bardzo przywiązany do swego oryginalnego planu. Pragnął, by król okazał wreszcie stanowczość, pragnął, by Ludwik pokazał się na ulicach, zachowując jak prawdziwy władca. Ludzie go przecież lubili i okazywali mu ciepłe uczucia, nazywając „ojczulkiem”.

— Sądzę, że królowa nie powinna pokazywać się na ulicach — powiedział Axel.

Mirabeau wzruszył ramionami.

— W tego rodzaju sytuacji trzeba podjąć pewne ryzyko. Atmosfera w Paryżu zmieniła się ostatnio i nie przypuszczam, by lud chciał skrzywdzić królową. Choć w każdej chwili sytuacja może znów się odmienić.

— Nie pozwolę, by królowa narażała się na agresję motłochu — upierał się Axel.

W tej sprawie nie było między nimi zgody.

Ale w pałacu tuileryjskim ożyły nadzieje. Axel pracował na naszą rzecz, jak przystało na wiernego kochanka. Mirabeau działał z podobnymi intencjami, jak przystało na stanowczego i ambitnego męża stanu. Wydawało się mi, że plan musi się powieść.

* * *

Los nie był jednak naszym sprzymierzeńcem i bez przerwy prześladował nas pech.

Nie mogłam uwierzyć w wiadomość o śmierci Mirabeau. Poprzedniego dnia był całkiem zdrowy, zadziwiał wszystkich swoją witalnością. Za dnia przemawiał w Zgromadzeniu Narodowym, pracował z królem i z członkami Zgromadzenia. Nocami folgował swemu ciału. Podobno noc przed śmiercią spędził w ramionach dwóch śpiewaczek operowych.

Nie wiadomo, jak właściwie zmarł. Przekazano nam tylko, że nie ma go już pośród nas.

Orzeczono śmierć z przyczyn naturalnych i nigdy się nie dowiemy, kto go zabił. Na pewno doskwierały mu jakieś dolegliwości, których nie mógł uniknąć, prowadząc taki tryb życia. Ale wielu ludzi twierdziło, że zwolennicy Domu Orleańskiego dawno chcieli się pozbyć człowieka, który prowadził grę na dwa fronty. Podejrzewam, że nietrudno było znaleźć kogoś, kto dosypał rano truciznę do jedzenia albo do wina.

Nie ulega jednak wątpliwości, że wraz ze śmiercią Mirabeau straciliśmy nadzieję na restaurację monarchii we Francji.

* * *

Znów pograżyliśmy się w codziennej rutynie. Większą część dnia spędzałam w swoim apartamencie, pochylona nad kartką. W ten sposób dowiadywałam się, kiedy popełniłam największe błędy i jak powinnam była postąpić. Poprzysięgłam sobie, że jeśli los da mi jeszcze jedną szansę, nie popełnię tych samych błędów.

Haftowałam makatę wspólnie z Elżbietą, obie poświęcałyśmy też wiele czasu dzieciom, czasami rozgrywałam partyjkę bilardu z królem. Od czasu do czasu wybierałyśmy się na spacer do Lasku Bulońskiego, ale zaraz za progiem wznosił się nasz niepokój. Wprawdzie wersalskie doświadczenia nauczyły nas, że mury nie chronią nikogo przed zagrożeniem, ale w czterech ścianach czułyśmy się jednak nieco bezpieczniej. Mój syn utrzymywał bardzo przyjacielskie stosunki z żołnierzami, a ja go do tego zachęcałam, sądząc, że przywiążą się trochę do delfina i w wypadku kolejnego ataku motłochu obronią go przed tłumem.

Nie mogłam się doczekać lata i tej swobody, którą cieszyliśmy się w Saint-Cloud. Czas płynął jednak zbyt wolno, zasugerowałam więc królowi, byśmy się tam wybrali już w czasie Wielkanocy. Ludwik zgodził się, a ja zarządziłam przygotowania.

Pamiętałam dobrze, jak tłum otoczył powozy ciotek, zastanawiając się, czy pozwolić im wyjechać i dlatego postanowiłam zachować w tajemnicy nasze plany. O przygotowaniach do wyjazdu wiedziały tylko osoby z mego najbliższego kręgu.

Ufałam im bezgranicznie, choć była wśród nich nowa twarz, niejaka madame Rochereuil, o której niewiele wiedziałam. Miała jednak znakomite rekomendacje, nigdy więc nie przyszło mi do głowy, by wątpić w jej lojalność.

Tuż przed świętami, gdy wszystko było gotowe, wsiedliśmy do powozów i wyruszyliśmy w drogę. Po chwili jednak otoczył nas taki sam motłoch jak ten, który sprowadził nas tu z Wersalu. Słabo mi się zrobiło ze strachu. Mój syn odwrócił się natychmiast od okna, a ja objęłam go ramieniem.

Zaczęto obrzucać nas nieprzyzwoitymi obelgami.

— Ojczulek musi zostać ze swoimi dziećmi! — krzyczał tłum.

Zjawił się La Fayette na czele swoich gwardzistów i próbował zapanować nad ludźmi, rozkazując im przepuścić królewskie powozy, ale został wyśmiany i obrzucony błotem. Domyśliłam się od razu, że to kolejna zorganizowana rewolta.

— Zachowujecie się jak wrogowie konstytucji! — krzyczał La Fayette. — Jeśli nie pozwolicie królowi wyjechać, potraktujecie go jak więźnia, a tym samym unieważnione zostaną wszystkie dekrety, które podpisał.

Ale nikt nie słuchał jego perswazji. Mieli w nosie wszelkie argumenty. Zebrali się tu przecież w określonym celu, płacono im za to, co robili.

Zagłądali do powozu przez okna. Gdy król próbował do nich przemówić, zaczęli krzyczeć:

— Tłusta świnia!

Nie potrafiłam ukryć pogardy. Moje spojrzenia zdradzały obrzydzenie, jakie budzili we mnie ci ludzie.

— Patrzcie na nią! — wrzeszczeli. — Nie pozwolimy, żeby ta ladacznica nami rządziła.

La Fayette podjechał do powozu.

— Najjaśniejszy Panie — zapytał — czy mam zacząć strzelać do tłumu?

— Nigdy na to nie pozwolę! — oświadczył Ludwik. — Nie życzę sobie, by przelano choćby jedną kroplę krwi z mojego powodu. Wracamy do Tuileries.

Stangreci zawrócili i pośród szyderstw i wrzasków wróciliśmy do pałacu.

— Nie ma żadnych wątpliwości, że od tej chwili nie jesteśmy już wolni — westchnął Ludwik.

Byłam zrozpaczona. Gdy wchodziliśmy do tego gmachu skazańców, powiedziałam:
— Teraz naprawdę jesteśmy więźniami. Nie wypuszczą nas z tego pałacu.

Rozdział 24

Droga do Varennes

Muszę was nazwać idiotami, skoro nie próbujecie zapobiec ucieczce królewskiej rodziny. Paryżanie, nie bądźcie głupcami, bo nie mam już siły powtarzać wam bez końca, że należy umieścić króla i delfina w bezpiecznym miejscu, że trzeba zamknąć Austriaczkę...

Marat w „Ami du Peuple”

11 czerwca. La Fayette kazał podwoić strażę i przeszukiwać wszystkie powozy.

18 czerwca. U królowej od drugiej trzydzieści do szóstej.

19 czerwca. U króla od jedenastej do północy.

20 czerwca. Na pożegnanie król powiedział: „Panie de Fer — sen, niezależnie od tego, co się stanie, nigdy nie zapomnę tego, co pan dla mnie zrobił”. Królowa dużo płakała. Wyszedłem od niej o szóstej... Wróciłem do domu. O ósmej napisałem do królowej, że trzeba zmienić miejsce spotkania i że skontaktujemy się za pośrednictwem straży przybocznej...

Dzienniki hrabiego de Fersen

Ludwik abdykował. Od tej pory Ludwik jest dla nas nikim. Jesteśmy wolni i nie mamy króla. Zobaczymy, czy warto koronować następnego.

Rezolucja jakobinów wydana po ucieczce królewskiej rodziny

Najjaśniejszy Pan zna moje przywiązanie, ale muszę uprzedzić Waszą Wysokość, że jeśli rozejdą się drogi króla i ludu, ja pozostanę po stronie ludu.

La Fayette do Ludwika XVI

Gdy Axel dowiedział się, że zawrócono nas z drogi, natychmiast przyjechał do Paryża z Auteuil, niewielkiej wioski w pobliżu Saint-Cloud, w której cały czas mieszkał, by być bliżej. Nie krył niepokoju, przekonany, że zagraża nam ogromne niebezpieczeństwo.

Zaprowadziłam go do mojego męża, który wysłuchał, co hrabia ma do powiedzenia. Ludwik dotknięty do żywego bezczelnością tłumu, zgodził się, że należy rozważyć ucieczkę.

Artois i książę de Conde, którzy szczęśliwie dotarli do granicy, dolewali teraz oliwy do ognia, rozprowadzając wszystkim o swych planach stłumienia rewolucji za pomocą wojska. Podróżowali od dworu do dworu, namawiając zagranicznych władców, by wypowiedzieli wojnę Francuzom i zmusili ich do restauracji monarchii.

Mój brat Leopold, wiedząc o tym wszystkim, napisał do Mercy'ego:

Hrabia d'Artois zupełnie się nie troszczy o swego brata i moją siostrę. Lekceważy niebezpieczeństwo, na jakie ich naraża, rozgłaszając takie plany.

Mercy namawiał mnie usilnie, bym nakłoniła króla do ucieczki. Powinniśmy czym prędzej wyjechać z Paryża, a potem król musi zmobilizować lojalną część armii i siłą odzyskać to, co stracił. Ludwik coraz wyraźniej dostrzegał, że nie ma innego wyjścia, ale było już za późno, bo po śmierci Mirabeau nie mieliśmy nikogo, na kim moglibyśmy się oprzeć.

Wciąż jednak mieliśmy przyjaciół i w końcu udało mi się przekonać męża, że musimy uciekać.

Axel pragnął zająć się przygotowaniem. Zamówił natychmiast berlinę, która nadawałaby się dla naszych celów.

Odwiedzał nas często w Tuileries, a dla niepoznaki czasem przychodził w przebraniu. Nigdy nie wiedziałam, czy zjawi się jako lokaj, stangret czy też jako kulejący szlachcic.

To sprawiło, że te dni stały się jeszcze bardziej emocjonujące. Od dawna nie było we mnie tyle życia, a Axel wydawał się wręcz opętany determinacją, by przeprowadzić swój plan.

— Nie spocznę, póki nie będziesz bezpieczna — mówił. Opowiadał często o berlinie, która miała być prawdziwie luksusowa.

— To będzie wyjątkowy powóz — zapewniał.

Zaciągnął pożyczkę pod zastaw swoich majątków, by zdobyć fundusze. Czułam się bardzo kochana. Axel planował, że wyjedziemy w minimalnej asyście. Musieliśmy zabrać ze sobą madame de Tourzel, ze względu na dzieci. Axel wymyślił, że pani de Tourzel

będzie udawała rosyjską Dame, panią de Korff, podróżującą z dziećmi, guwernantką, lokajem i trzema służącymi. Ja miałam być guwernantką, madame Rochet. Axel zdobył paszport wystawiony na nazwisko de Korff i nikt z nas nie miał wątpliwości, że pani de Tourzel poradzi sobie ze swoją rolą.

Dni szybko mijały, wszyscy byliśmy tak podekscytowani, nawet Ludwikowi udzielił się ten nastrój. Axel podkreślał, że plan musi być dopięty na ostatni guzik. Najtrudniej będzie wydostać się z Paryża. Axel postanowił przebrać się za stangreta i powozić berliną. Powodzenie przedsięwzięcia zależało jego zdaniem od tego, jak bardzo zdołamy się oddalić od Paryża, nim ucieczka zostanie odkryta.

Hrabia Prowansji, który miał nam towarzyszyć, uważał, że tak wielka berlina będzie zwracała uwagę, ale Axel tłumaczył mu, że spędzimy w niej wiele godzin. Podróż będzie szalenie męcząca, w gorszych warunkach królowa mogłaby jej nie wytrzymać.

Mój szwagier wzruszył ramionami i oświadczył, że sam zatroszczy się o środek lokomocji dla siebie i żony. Wybrał najbardziej lichy powóz, jaki udało mu się znaleźć.

Tymczasem Ludwik zaczął stawiać warunki. Axel miał zamiar zawieźć nas aż do granicy, ale król oświadczył, że powinien rozstać się z nami w połowie drogi, w Bondy!

Hrabia de Fersen nie krył oburzenia. Przecież to on przygotował cały plan. On za wszystko odpowiadał, jakże więc mógłby zostawić nas w Bondy? Ludwik jednak obstawał przy swoim. Zastanawiam się, czy nie zaczął wówczas porównywać się z Axelem i nie zrozumiął, dlaczego kocham tego człowieka, i dlaczego nigdy nie pokocham jego. Nie podejrzewam mego męża o zazdrość. Wiem, że kochał mnie na swój sposób, tyle, że w jego uczuciach nie było ani cienia namiętności. A jednak nie ugiął się i nie pozwolił, by Axel pojechał dalej niż do Bondy. Nie pozostawało nam więc nic innego, tylko pogodzić się z tą decyzją. Mieliśmy wyruszyć dziewiątego czerwca.

Byłam bez reszty pochłonięta przygotowaniem. Pani Cam — pan wiedziała o wszystkim, miałam do niej bowiem całkowite zaufanie. Zwierzyłam się jej, że kiedy już dotrzemy do Montmedy zamierzam zrzucić ubiór guwernantki i wyglądać jak prawdziwa królowa. Tylko jak zdołam zabrać wszystko, czego będę potrzebować? Liczyłam na pomoc madame Campan.

Prosiłam, by zamówiła dla mnie i dla dzieci potrzebne stroje. Miała przecież syna w wieku delfina, który mógł służyć jako model.

Wiedziałam, że pani Campan wykona polecenie, ale wyraz jej twarzy zdradzał, że nie pochwała moich planów.

Powiedziała, jak zawsze szczerze:

— Najjaśniejsza Pani, królowa Francji wszędzie dostanie to, czego będzie potrzebowała. A zakupy w tej chwili mogą zwrócić czyjąś uwagę.

Zaczęłam wracać do dawnej beztroski, bo było mi znacznie lżej na sercu, więc skomentowałam jej ostrzeżenia wyłącznie uśmiechem. Madame Campan wcale się jednak nie uspokoiła.

Opowiadałam jej o berlinie w samych superlatywach, bo przecież zaprojektował ją dla mnie Axel.

— Będzie pomalowana na zielono i na żółto i wyściełana białym aksamitem z Utrechtu.

— Najjaśniejsza Pani — odparła Campan — przecież wszyscy zauważą tak niezwykły pojazd.

Dodała jeszcze szorstko, że do tej pory jeździłam całkiem innymi powozami.

— O tak — potwierdziłam. Tamtych nie projektował Axel.

Później uświadomiłam sobie, jak bardzo uzależniłam się od reguł etykiety, które tak wyśmiewałam na samym początku. Nawet w chwili gdy należało za wszelką cenę ukryć naszą królewskość, nie potrafiłam wyrzec się jej pozorów. W berlinie miało jechać sześć osób — ja, król, dzieci, Elżbieta i madame de Tourzel, udająca panią de Korff. To musiało spowolnić jazdę. Nie wyobrażałam sobie, bym mogła sama się ubrać, więc za berliną jechał kabriolet, w którym siedziały dwie służące. Nie mogło także zabraknąć lokajów i w ten sposób gromadka rozrosła się do dwunastu osób, nie licząc Axela w roli stangreta. Na dachu berliny umieszczono nasze bagaże w nowych kufrach, pojazd stał się więc jeszcze bardziej ociążały i nie mógł rozwijać wielkiej prędkości.

Ale urody mu nie brakowało. Odczuwałam ogromną przyjemność, patrząc na ten wehikuł. Axel pomyślał o wszystkim. Mieliśmy srebrną zastawę, schowek na wino, szafkę, a nawet dwa nocniki.

Nie powinniśmy oczekiwać, że wszystko pójdzie gładko, i rzeczywiście szybko pojawiły się pierwsze trudności.

Zacząło się od garderobianej, madame Rochereuil. Wzbudziła moje podejrzenia, gdy wróciliśmy z nieudanej świątecznej wyprawy do Saint-Cloud. Dowiedziałam się bowiem, że jej kochankiem jest niejaki Gouvion, zawzięty rewolucjonista i że to on załatwił jej posadę przy mnie, by mogła mnie szpiegować. Poinformowała zawczasu Gouviona, że chcemy wyjechać do Saint-Cloud na święta, a zwolennicy Domu Orleańskiego zdążyli przeprowadzić agitację wśród ludu i udaremnić nasze plany.

Bardzo chciałam się pozbyć tej kobiety, ale będąc więźniami, nie mogliśmy sobie dobrać służby.

Powiedziałam Axelowi, że nie powinniśmy wyjeżdżać dziewiątego, bo ta kobieta widziała, jak się pakuję i mogła usłyszeć tę datę. To oznacza, że najprawdopodobniej zostaniemy zatrzymani. Doszłam do wniosku, że trzeba kontynuować przygotowania, ale nie próbować wyjechać dziewiątego, by pomyślała, że coś źle usłyszała. A gdy uspimy jej podejrzenia, wyjedziemy niepostrzeżenie.

Axel rozumiał moje argumenty, ale nie krył niepokoju, bo uważał, że im bardziej opóźnimy ucieczkę, tym bardziej narażamy się na niebezpieczeństwo. Ustaliliśmy jednak, że wyjazd zostanie przełożony na dwiętnastego czerwca, by madame Rochereuil zdążyła dojść do wniosku, że musiała się pomylić.

Uznaliśmy, że to opóźnienie jest konieczne.

Dziewiętnasty czerwca zbliżał się nieubłaganie, napięcie rosło. Jakże wdzięczna byłam wtedy Ludwikowi za jego spokój. Król nawet uśmiechał się pogodnie. Ja także się starałam, nie patrzyłam w kierunku Elżbiety, lękając się, że nasze spojrzenia zdradzą wspólny sekret. Dzieci, oczywiście, nic nie wiedziały.

Gdy wszystko było już przygotowane, okazało się, że jakieś informacje na temat naszych zamiarów musiały się wydostać z Tuileries, bo Marat napisał w „L’Ami du Peuple”:

Muszę was nazwać idiotami, skoro nie próbujecie zapobiec ucieczce królewskiej rodziny. Paryżanie, nie bądźcie głupcami, bo nie mam już siły powtarzać wam bez końca, że należy umieścić króla i delfina w bezpiecznym miejscu, że trzeba zamknąć Austriaczkę, jej szwagra i resztę rodziny. Jeden dzień opóźnienia może oznaczać katastrofę i kosztować życie miliony Francuzów.

Axel szalał z niepokoju.

— To nie może być zbieg okoliczności — oświadczył.

— Wiem, że to sprawka tej Rochereuil! — zawołałam. — Ona coś podejrzewa, choć sama nie wie, co.

— W takim razie musimy wyjechać dziewiętnastego — nalegał Axel. — Nie wolno nam tego przeciągać.

Rozmawialiśmy osiemnastego czerwca i wszystko było już przygotowane do podróży. Wtedy przyszła do mnie madame de Tourzel i ściszym głosem oświadczyła, że pani Rochereuil poprosiła o wolny dzień dwudziestego czerwca.

— Zdaje się, że chce odwiedzić chorego przyjaciela. Gouvion źle się czuje, więc wiadomo, kim jest ten przyjaciel.

— Powinniśmy zatem odłożyć wyjazd do dwudziestego — zdecydowałam i wysłałam wiadomość Axelowi.

Nie był zachwycony opóźnieniem, ponieważ wszyscy, którzy mieli nam pomagać, otrzymali już dokładne instrukcje, ale ustaliliśmy, że mistrz Leonard, mój zaufany fryzjer, zawiezie moją biżuterię do Brukseli, a po drodze zawiadomi kogo trzeba, że zjawimy się dzień później.

Mistrz Leonard wyjechał, a my w napięciu czekaliśmy na dwudziesty dzień czerwca.

* * *

W dniu wyjazdu świeciło słońce, co uznaliśmy za dobry znak. W mieście będzie mało ludzi, szepnęłam do Elżbiety, zapewne większość paryżan wyjedzie na wieś. Madame Rochereuil wybrała się z wizytą do chorego przyjaciela. Dzień mijał bardzo powoli i wydawało się, że nigdy się nie skończy. Wszystko toczyło się jak zwykle, zgodnie z naszym planem.

Nadeszła wreszcie pora kolacji. Na szczęście nie siadaliśmy do niej tak ceremonialnie jak w Wersalu i za to powinniśmy być wdzięczni. Poszłam do swojej sypialni, a potem schodami do pokoju mojej córki na pierwszym piętrze. Drzwi otworzyła madame Brunier. Kazałam jej czym prędzej ubrać Madame Royale i przygotować się do wyjazdu razem z panią Neuville, która służyła delfinowi. Na Pont Royal czekał już na nie kabriolet, miały natychmiast wyjechać z Paryża i czekać na nas w Claye.

Moja córka była już dość duża, by rozumieć, co to oznacza. Nie zadawała zbędnych pytań. Biedne dziecko dorastało w takim dziwnym świecie. Z pewnym zaskoczeniem spojrzała teraz na prostą suknię, którą dla niej przygotowano; suknia była bawełniana, zielona w drobne niebieskie kwiatki, całkiem ładna jak na strój córki rosyjskiej damy, zbyt skromna dla księżniczki.

Ucałowałam Marie Thérèse i mocno ją przytuliłam.

— Moja droga Mousseline — szepnęłam. — Musisz się pospieszyć.

Pokiwała głową.

— Tak, mamó — odrzekła z wyrzutem w głosie, jakbym dotknęła ją swoją prośbą.

Pospieszyłam do pokoju delfina. Zdążył się już obudzić i na mój widok krzyknął z radości.

— Mamó! — zawołał. — Dokąd jedziemy?

— Tam, gdzie będzie mnóstwo żołnierzy.

— W takim razie muszę wziąć swoją broń. Szybko, przynieście mi szpadę. I wysokie buty.

Będę żołnierzem.

Wpadł w konsternację, gdy zobaczył strój, który mu przygotowano: dziewczęcą suknię!

— Och... to będzie przedstawienie? — zapytał. — Więc musimy się przebrać. — Roześmiał się radośnie, bo bardzo lubił zabawę w teatr. — I to jeszcze w środku nocy. To najlepszy czas na zabawę.

— A teraz, mój drogi *chou d'amour*, musisz być cicho i szybko robić to, o co cię poproszą. Wiele od tego zależy.

Pokiwał głową porozumiewawczo.

— Możesz zaufać swojemu *chou d'amour*, mamó.

— Wiem o tym, kochanie — powiedziałam, całując go serdecznie.

Do jedenastej został tylko kwadrans. Axel bardzo dokładnie wszystko zaplanował. Madame de Tourzel razem z dziećmi miała się wymknąć pierwsza. Oponowałam przeciwko temu, bo nie chciałam, by dzieci zaczynały tak niebezpieczną podróż beze mnie, pocieszało mnie tylko to, że Axel będzie im towarzyszył.

Pani de Tourzel wzięła na ręce delfina i podała dłoń mojej córce. Zaprowadziłam ich do opuszczonego apartamentu jednego z dworzan. Tamtędy wymknęliśmy się na niestrzeżony dziedziniec, gdzie czekał na nas Axel. Prawie go nie rozpoznałam w uniformie stangreta.

Na środku podjazdu stał powozik, którym dzieci wraz z panią de Tourzel miały pojechać na rue d'Echelle.

Axel wsadził delfina do środka, za nim wsiadła Marie Thérèse z panią de Tourzel. Zatrzasnął drzwi. Spojrzał na mnie przelotnie i choć nie powiedział ani słowa, wiedziałam, że w duchu przysięga mi bronić dzieci do ostatka, jeśli zajdzie taka potrzeba.

W głowie mi się kręciło ze zdenerwowania. Co będzie, jeśli ktoś rozpozna moje dzieci? Albo jeśli zafascynowany przygodą delfin zdradzi, kim jest? A jeżeli ktoś ich zaatakuje? Wciąż przypominały mi się wykrzywione twarze tłumu, wyobrażałam sobie, jak splamione krwią ręce dotykają moich dzieci.

Wiedziałam jednak, że Axel je obroni. Miłość doda mu sił i sprytu, Axel pokona tłum barbarzyńców.

Nie powinnam stać tu zbyt długo. Jeśli ktoś mnie rozpozna, runie cały misterny plan. Żeby nie wywołać katastrofy, wróciłam szybko do salonu, w którym właśnie żegnali się ze wszystkimi hrabia i hrabina Prowansji. Uściskałam ich, życząc powodzenia. Nigdy nie darzyli mnie przyjaźnią, ale w trudnych czasach dawne animozje osłabły. Mój szwagier był większym realistą niż Ludwik. Może gdyby to on był królem... Ale któż to wie? Teraz w każdym razie przestali rywalizować ze sobą. Wszyscy mieliśmy tylko jeden cel: uratować monarchię.

Słyszałam, jak szli przez pusty apartament. Po chwili siedzieli już w swoim lichym powozie.

Król konferował właśnie z La Fayette'em, a ja poszłam do siebie. Służba pomogła mi się rozebrać, zaciągnęła story i wreszcie zostałam sama. Spojrzałam na zegar, który wskazywał jedenastą piętnaście. Minęło właśnie najdłuższe pół godziny w moim życiu.

Gdy do sypialni weszła madame Thiebaud, natychmiast wyskoczyłam z łóżka, by włożyć szarą suknię i czarną mantylkę. Na głowie miałam wielki kapelusz z welonem zasłaniającym twarz. Wyglądałam całkiem inaczej niż zwykle i byłam gotowa do drogi.

Madame Thiebaud przekręciła klucz i ruszyłam do wyjścia. Odskokczyłam przerażona na widok strażników stojących pod moimi drzwiami. Po cichu zamknęłam drzwi i spojrzałam na moją pokojową. Co teraz? Wiedzą o wszystkim. Czekają pod drzwiami, żeby mnie zatrzymać. Może już zatrzymali powóz, którym jadą dzieci? Co z nimi będzie, co będzie z moim ukochanym?

Madame Thiebaud zaproponowała, że wyjdzie sama i postara się odwrócić uwagę strażnika. Gdy mężczyzna stanie do mnie plecami, muszę cicho przekraść się do pustych apartamentów. Plan był dość niebezpieczny, ale nie widziałam innego wyjścia.

Przystąpiłyśmy więc do działania. Zawsze umiałam poruszać się lekko, więc myśląc tylko o dzieciach, przemknęłam się przez korytarz do schodów i zbiegłam na dół. Przez chwilę nasłuchiwałam, ale nic się nie działo. A więc udało się!

Za drzwiami pustego apartamentu czekał już wtajemniczony strażnik, który miał mnie zaprowadzić na umówione miejsce. Przebrał się za kuriera, więc ledwo go rozpoznałam.

— Najjaśniejsza Pani — szepnął tonem zdradzającym zaniepokojenie. Zajście ze strażnikiem sprawiło, że zjawiłam się dziesięć minut później, niż powinnam. — Proszę mi podać ramię.

Tak też zrobiłam i poszliśmy przez Cour des Princes. Miałam nadzieję, że mój towarzysz wygląda jak zwyczajny kurier ze swą żoną lub kochanką.

Nikt nas nie zauważył. A więc wszystko idzie zgodnie z planem, pomyślałam. Wkrótce będę już razem z dziećmi.

Czułam się wspaniale. Szłam ulicami Paryża w towarzystwie kuriera, mijając ludzi, którzy nie zwracali na mnie uwagi. Na szczęście. Zastanawiałam się, co by zrobili, gdyby nagle ktoś mnie rozpoznał. Wolałam o tym nie myśleć.

Pomyślałam, że w ogóle nie znam stolicy! Szliśmy całkiem nieznanymi ulicami i zaułkami. Bywałam przecież tylko w operze, w pałacach i w teatrze...

Mój towarzysz nagle zatrzymał się, bo zbliżał się do nas powóz, przed którym szli ludzie w uniformach La Fayette'a z pochodniami. Wciągnął mnie czym prędzej w cień muru, pochyliłam głowę, ale przez woalkę zobaczyłam generała. Gdyby spojrzał w naszym kierunku, na pewno by mnie rozpoznał i w ten sposób cała sprawa by się zakończyła.

Ale tym razem dopisało nam szczęście. Generał nie spojrzał na kobietę stojącą w głębi chodnika i pojechał dalej. W głowie mi się zakręciło, a mój towarzysz szepnął:

— Dzięki Bogu, madame! Udało się!

— Może i tak by mnie nie rozpoznał w tym stroju.

— Najjaśniejszą Panią wcale nie tak trudno rozpoznać. Pójdziemy trochę dłuższą drogą. Wolałbym uniknąć tego rodzaju niespodzianek.

— To dobry pomysł.

— Musimy się jednak pospieszyć, bo już i tak jesteśmy spóźnieni.

Zaczęliśmy więc kluczyć bocznymi uliczkami. Po chwili mój przewodnik zatrzymał się i oświadczył, że się zgubiliśmy.

Czas, który jeszcze niedawno dłużył się w nieskończoność, płynął teraz stanowczo zbyt szybko. Mój towarzysz był skonfundowany, ja przerażona. Wyobraziłam sobie, jak Axel musi się niepokoić. Nawet mój mąż dotarł już zapewne na miejsce, bo miał wyruszyć zaraz po wyjściu La Fayette'a, który przecież opuścił już pałac.

Błądziliśmy dobre pół godziny, bojąc się zapytać o drogę, aż wreszcie mój przewodnik wydał okrzyk triumfu. Dotarliśmy na rue de l'Echelle.

Wszyscy już na nas czekali. Axel chodził nerwowo po chodniku, Elżbieta pobladła jak duch, nawet król zdawał się wytrącony ze swego zwykłego zadowolenia. Moja córka próbowała uspokoić delfina, który ciągle się o mnie dopytywał.

— Zgubiliśmy się — wyjaśniłam. Axel pomógł mi wsiąść do powozu.

Wszyscy naraz starali się mnie uściskać. Opadło ze mnie napięcie i łzy zakręciły mi się w oczach. Wzięłam syna na kolana i słuchałam opowieści Ludwika o tym, że on nie natrafił na żadne przeszkody.

Mieliśmy jednak co najmniej godzinę opóźnienia.

* * *

Król patrzył na swoje miasto przez okno powozu. Wiedziałam, że czuł wielki smutek, tak długo przecież sprzeciwiał się ucieczce, czując, że w ten sposób sprzeniewierza się pamięci swoich przodków. Ścisnęłam go za rękę, a on oddał mi uścisk i szepnął:

— To nie jest najkrótsza droga do rogatek świętego Marcina.

— Stangret na pewno zna drogę — zapewniłam go.

— To nie jest najkrótsza droga — powtórzył.

Zastanawiałam się, czy nie trawi go zazdrość, bo bohaterem tej eskapady był mój kochanek, a nie on. Wydawało mi się wcześniej, że Ludwik rozumie nasz związek. Niewykluczone jednak, że w głębi serca mojego niezwykłego męża, kryło się coś, o czym nie wiedziałam. Powóz zatrzymał się na rue de Clichy, gdzie trzymano naszą berlinę. Axel zeskoczył z kozła i zapukał do drzwi. Portier powiedział mu, że pojazd wyjechał o umówionej porze. Ruszyliśmy więc w dalszą drogę.

O wpół do pierwszej minęliśmy rogatki Paryża. Jechaliśmy jeszcze przez chwilę i zatrzymaliśmy się gdzieś. Berlina nie czekała jednak na nas w umówionym miejscu.

Axel był wyraźnie zakłopotany. Zeskoczył z kozła i zaczął wołać. Siedzieliśmy w milczeniu, licząc upływające cenne minuty. Ile czasu już straciliśmy?

Minęło dobre pół godziny, nim Axel znalazł berlinę. Stangret zaczął się niepokoić opóźnieniem i postanowił ukryć pojazd w mniej rzucającym się w oczy miejscu. W rezultacie straciliśmy kolejne dwa kwadransy.

Wybiła druga. Noce są bardzo krótkie w samym środku lata. Za godzinę wzejdzie słońce. Powinniśmy być już znacznie dalej.

Axel podjechał pod berlinę, byśmy mogli się przesiąść. Usadowiliśmy się wygodnie i pół godziny później byliśmy już w Bondy, gdzie, zgodnie z życzeniem króla, mój kochanek miał nas opuścić.

Sądziłam, że hrabia de Fersen odmówi, ale Axel jako urodzony rojalista zawsze stosował się do rozkazów monarchy.

Bondy! Miejsce rozstania. Berlina stanęła i nasz stangret wskoczył do środka.

— Do widzenia, madame de Korff — powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Król oświadczył z wielkim wzruszeniem, że nigdy nie zapomni usług, które hrabia Fersen oddał jemu i jego rodzinie.

Axel uklonił się i odparł, że uważał to za swój obowiązek i służył nam z przyjemnością. Potem pochylił się nade mną i powiedział:

— Najjaśniejsza Pani nie może zapomnieć, że w czasie tej podróży nazywa się madame Rochet i jest guwernantką.

I w tych prostych słowach zdołał zawrzeć nutę czułości i oddania.

Potem dosiadł konia i odjechał. Słuchając tętentu kopyt jego konia, starałam się uciszyć w sercu złe przeczucia, powtarzając, że za dwa dni spotkamy się w Montmedy.

Ruszyliśmy w dalszą podróż. Spóźnieni dobre dwie godziny.

* * *

Dzieci na szczęście zasnęły. Podobnie zresztą jak król, który potrafił drzemać w każdych okolicznościach. Elżbieta, pani de Tourzel i ja także zamknęłyśmy oczy, nie sądząc jednak, by któraś z moich towarzyszek naprawdę zasnęła. Ja w każdym razie nie spałam.

Delfin obudził się głodny.

Powiedziałam mu, że wkrótce urządzimy sobie piknik. Zawsze uwielbiał pikniki, zaczął więc wszystko planować. Musimy znaleźć jakieś miłe miejsce. Najlepiej w cieniu, bo to będzie śniadanie. Wyjaśniłam mu, że będziemy piknikować w powozie i pokazałam szafkę z zapasami jedzenia i wina. Delfin nie posiadał się z radości, a my, pośród żartów, że wygląda w swoim przebraniu jak bardzo dziwna dziewczynka, doszliśmy do wniosku, że także jesteśmy głodni.

Pomyślałam, że za dnia wszystko jest zupełnie inaczej. To nocą osaczają nas strachy. Tylko że w tej podróży potrzebowaliśmy przede wszystkim zasłony nocy. Jasne słońce mogło nas zdradzić. Pamiętałam słowa mego pierwszego przewodnika, że nietrudno mnie rozpoznać nawet w przebraniu. Miał rację. Malowano przecież tyle moich portretów. Jedne wisiały w salonach, inne, bardzo nieprzyzwoite, krążyły wśród ludzi. To były wprawdzie kiepskie malowidła, ale musiały zawierać pewne podobieństwo, by ludzie rozpoznali, o kogo chodzi.

Na razie jednak śmiałam się razem z dziećmi, rozkoszując się przygotowanymi przez Axela specjalami.

Wolałam nie myśleć o tym, co dzieje się w Tuileries, gdzie wkrótce strażnicy odkryją naszą ucieczkę, o ile jeszcze jej nie odkryli.

Ludwik rozpostarł mapę i śledził trasę naszej ucieczki... Bondy, Claye, gdzie miały dosiąść się do nas dwie damy, które wyjechały wcześniej, potem La Ferte i Châlons-sur-Marne.

Châlons-sur-Marne! Jakże pragnęłam być już w tym mieście! Miała tam na nas czekać kawaleria pod wodzą młodego diuka de Choiseul, siostrzeńca mego starego przyjaciela. Potem oddziały marszałka Bouille miały nas eskortować aż do Montmedy... a Montmedy oznaczało bezpieczeństwo i spotkanie z Axelem.

Czułabym się znacznie szczęśliwsza, gdyby jechał z nami hrabia de Fersen.

Delfin zaczął narzekać, że mu gorąco. We wnętrzu berliny, wspinającej się mozolnie po górskich drogach, było rzeczywiście duszno. Pani de Tourzel zaproponowała, że wysiądzie i przejdzie się z dziećmi pod górę, by zażyły trochę świeżego powietrza i rozprostowały nogi.

Uznaliśmy, że to dobry pomysł, ale delfin miał ochotę pohasać po polach i uciekł swojej opiekunce. Pani de Tourzel i Marie Thérèse musiały go gonić. Radosne okrzyki małego działały wprawdzie jak miód na moje serce, ale cenne minuty mijały.

Po południu zatrzymaliśmy się w małej wiosce Petit Chaintry, bo Axel rozsądnie poradził, byśmy zmieniali konie w niewielkich miejscowościach, żeby nie rzucać się w oczy.

Z gospody wyszedł młody człowiek, chcąc popatrzeć na berlinę. Był bardzo rozmowny i wdał się w pogawędkę ze stangretem. Nigdy nie widział tak wspaniałego pojazdu. Na pewno podróżują nim bogaci i ważni ludzie. Mówił, że nazywa się Vallet... Gabriel Vallet, zięć poczmistrza. Był właścicielem gospody i często jeździł do Paryża.

Podszedł do okna, żeby zobaczyć, w jakich warunkach podróżują tacy ważni ludzie. Gdy zajrzał do środka, wszystkiego się domyślił.

Zerknęłam niepewnie na Ludwika. Miał wprawdzie na sobie zwykłą lokajską perukę, ale przecież Francuzi znali rysy Burbonów od wieków. Potem Vallet spojrział na mnie. Czy

wyglądała na guwernantkę? Od razu poczułam, że spoglądam na niego wyniośle, choć od pewnego czasu starałam się od tego powstrzymywać.

Młody człowiek zniknął w kantorku poczmistrza. Widziałam, jak szepczą o czymś razem. Potem poczmistrz podszedł do powozu.

Uklonił się i wypowiedział słowa, które sprawiły, że ciarki mi przeszły po plecach.

— To wielki zaszczyt gościć tu Najjaśniejszych Państwa. Nie zapomnimy tego do końca życia. Jesteśmy skromnymi ludźmi, ale zawsze do usług.

Ludwik, który zawsze wzruszał się dowodami uczuć swoich poddanych, odparł ze łzami w oczach, że bardzo się cieszy, będąc wśród przyjaciół.

Poczmistrz zawołał żonę i dzieci i przedstawił ich wszystkim, po chwili dołączyła do nich żona Valleta.

— Najjaśniejszy Panie, mamy gęś gotową do zjedzenia. Będziemy zaszczyceni, jeśli Najjaśniejsi Państwo zechcą przyjąć zaproszenie.

W Ludwiku od razu obudził się król. Byłoby grubiaństwem odrzucić taką propozycję. Musieliśmy więc wszyscy wysiąść i zjeść gęś z rodziną poczmistrza. Dzieci były zachwycone, mogąc opuścić duszną berlinę. Lojalna rodzina poczmistrza doskonale wiedziała, że uciekamy z Paryża.

Gdy skończyliśmy jeść i król oświadczył, że musimy ruszyć w dalszą drogę, choć z przyjemnością zostalibyśmy wśród tak miłych i dobrych ludzi, Vallet poprosił Ludwika o łaskę. Pragnął towarzyszyć nam w drodze do Châlons-sur-Marne.

Czy król mógł odrzucić ofertę tak lojalnego poddanego? Miał nam więc przybyć dodatkowy pasażer i nic nie można było na to poradzić. Vallet, chcąc się zasłużyć, jechał tak szybko, że padły dwa konie i pękły dwa dyszle. Naprawa pochłonęła znów trochę czasu i w rezultacie do Châlons przybyliśmy z jeszcze większym opóźnieniem.

Châlons było sporym miastem, lecz na szczęście jego mieszkańców bardziej interesowało winobranie niż rewolucja. Berlina zwracała na siebie uwagę, ale przechodnie tylko wzruszali ramionami, myśląc, że to jacyś bogacze wybierają się na emigrację. A że takich nie brakowało, przechodzili nad tym do porządku dziennego.

Szybko sobie uświadomiłam, jaki błąd popełniliśmy, zabierając Valleta. Nie zbywało mu wprawdzie na lojalności, nie potrafił jednak ukryć dumy z zaszczytu, jaki go spotkał. Gdy zmienialiśmy konie, wdał się w pogawędkę z jakimiś nieznanymi i od razu zdradził, że przypadła mu w udziale niezwykła misja. Ludzie zaczęli uważniej przyglądać się wspaniałemu pojazdowi. Podejrzenia budziła także obecność dwójki dzieci.

Ucieszyłam się, gdy wreszcie wyjechaliśmy, choć król niczego nie zauważył i natychmiast uciął sobie drzemkę.

* * *

Zbliżaliśmy się do Pont de Somme-Vesle, gdzie zgodnie z planem powinien na nas czekać diuk de Choiseul ze swą kawalerią. Miał nas od tej pory eskortować aż do spotkania z oddziałami marszałka Bouille.

Najgorsze mieliśmy więc za sobą. Kres podróży był już naprawdę niedaleko.

Upał stawał się coraz bardziej nieznosny. Mój syn bardzo chciał wysiąść i nazbierać kwiatków. Uwielbiał przecież kwiaty i bardzo tęsknił ze swoim ogródkiem w Trianon.

— Bardzo proszę, madame Rochet — powiedział z figlarnym uśmiechem, bo tłumaczyłam mu, że nasza zabawa w teatr polega między innymi na tym, że jestem jego guwernantką i nie wolno mu o tym zapomnieć.

Król właśnie się obudził i uznał, że chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by sprawić delfinowi tę drobną przyjemność, zwłaszcza, że wszystkim nam dobrze by zrobiła chwila wytchnienia.

Ciężki wehikuł zatrzymał się więc na poboczu i pani de Tourzel wraz z Elżbietą zabrały dzieci na przechadzkę.

Delfin zbierał kwiaty i przynosił mi bukietki.

Chciałam czym prędzej ruszyć w dalszą drogę, ale król orzekł, że parę minut zwłoki nie ma żadnego znaczenia i przez otwarte drzwi patrzył z uśmiechem na dzieci.

Wówczas usłyszeliśmy tętent galopujących kopyt i po chwili na drodze pojawił się jakiś jeździec. Pędził w naszą stronę, ale nie zatrzymał się koło berliny, choć trochę zwolnił, wołając:

— Uważajcie! Wasze plany się wydały! Wkrótce was zatrzymają.

Odjechał galopem, nim zdążyliśmy go o coś zapytać. Wezwaliśmy wszystkich do powozu i ruszyliśmy przed siebie z kopyta.

* * *

W Pont de Somme–Vesle miała czekać na nas kawaleria, ale nie było nikogo. Gdy zmienialiśmy konie, zjawił się jeden huzar.

— Gdzie diuk de Choiseul? — zapytał król.

— Już wyjechał, Najjaśniejszy Panie.

— Wyjechał! Ależ miał tu na nas czekać.

— Nie przybyliście na czas, Najjaśniejszy Panie. Diuk nie mógł zrozumieć dziwnych informacji, które przywiózł mu pan Leonard i uznał, że najpewniej plan został odwołany.

— Miał przecież rozkaz czekać.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, ale obawiał się kłopotów. Ludzie dopytywali się, co tu robi wojsko i opowiadali, że w okolicy pojawiła się wspaniała berlina, którą mogą podróżować tylko Ich Królewskie Moście. Gdy żołnierze weszli w konflikt z wieśniakami, pan de Choiseul wyruszył do Clermont i wysłał pana Leonarda ze stosowną wieścią do markiza de Bouille.

Ogarnęło mnie przerażenie. Przed oczami stanął mi łańcuch przypadków, który zadecydował o naszym spóźnieniu — zaczęło się od przygody ze strażnikiem i spotkania z La Fayette'em, które spowodowało, że zmieniliśmy trasę. Potem nie mogliśmy znaleźć berliny... każde kolejne niepowodzenie było efektem poprzedniego. Nie powinniśmy byli wstępować na obiad do poczmistrza. Nie należało pozwalać dzieciom na chwile wytchnienia koło drogi. Zdałam sobie sprawę, że nie tylko pech nas wtrącił w te kłopoty i pomyślałam, że chyba zawsze sami mamy swój udział we wszystkim.

— Musimy jechać dalej — zdecydowałam. — Musimy jechać dalej bez eskorty. Nie wesprą nas, niestety, huzarzy de Choiseula, ale w Sainte–Menehould czekają na nas dragoni, powinniśmy więc jechać tam jak najszybciej.

Pełni niepokoju ruszyliśmy więc dalej.

* * *

Gdy dotarliśmy do Saint–Menehould, wiedzieliśmy, że coś jest nie w porządku. Nic nie zgadzało się z planami Axela. Och, dlaczego on z nami nie pojechał? Wydawało mi się, że to było główną przyczyną wszystkich nieszczęść. W mieście było mnóstwo żołnierzy, co oczywiście wzbudziło ciekawość mieszkańców. Domyślili się, że wkrótce zdarzy się tu coś niezwykłego. Tylko co?

Do tego miasta wjechała przedziwna, ogromna berlina, a w niej dwójka dzieci, lokaj, który dziwnie przypominał króla, guwernantka, spoglądająca na wszystkich z góry oraz rosyjska dama, która nie potrafiła ukryć szczególnego szacunku wobec lokaja i guwernantki, a także cicha kobieta, rzekomo służąca, która zachowywała się jak prawdziwa księżniczka.

Kim byli owi podróżnicy? Z pewnością bogatymi emigrantami, bardzo szczególnymi emigrantami, gdyż do złudzenia przypominali pewną wysoko postawioną rodzinę.

Nie wiedziałam wówczas, że syn tutejszego poczmistrza, niejaki Jean-Baptiste Drouet, jest zaprzysięgłym rewolucjonistą. Obrzucił nas posępnym spojrzeniem i nie rozpoznał, ale plotki zrobiły swoje.

Byliśmy już chyba w drodze do Varennes, gdy Drouet dowiedział się prawdy. Król i królowa uciekli z Paryża i jadą tą drogą w stronę Montmedy.

O dziesiątej dotarliśmy do Varennes. Król oczywiście zasnął, ale ja czułam, że nie zmruję oka, póki nie dotrzemy do Montmedy. Zapadł już zmrok.

Przejeżdżaliśmy właśnie pod łukiem, pod którym berlina ledwo się mieściła, gdy nagle ktoś nas zatrzymał.

— Paszporty! — usłyszeliśmy.

Madame de Tourzel podała zdobyty przez Axela fałszywy paszport, z którego wynikało, że jest rosyjską damą, madame de Korff, podróżującą w towarzystwie swoich dzieci i służby.

Nie zorientowałam się, że paszportów zażądał Jean-Baptiste Drouet, z którym rozmawialiśmy, zmieniając konie w Saint-Menehould. Zauważyłam jednak, jak drżał z emocji.

— Ten paszport jest podejrzany — oświadczył i choć rozmawiał z madame de Tourzel, to przyglądał mi się uważnie.

— Zapewniam pana, że wszystko jest w porządku — zaprotestowała madame de Tourzel.

— Bardzo mi przykro, ale dokumenty musi obejrzeć prawnik. Jestem zmuszony poprosić, by państwo udali się ze mną.

— Co takiego? — wykrzyknęła pani de Tourzel z przerażeniem. — Wszyscy?

— Owszem, proszę pani, wszyscy. Pojedziemy do domu pana Sausse.

Wyjrzałam przez okno i spostrzegłam, że berlina została otoczona przez gromadkę młodych mężczyzn, noszących barwy rewolucji.

Wehikuł ruszył powoli i zatrzymał się wkrótce przed jakimś domem. Król jak zwykle zachował spokój. Szepnął:

— To nic takiego, tylko kontrola paszportów. Wszystko będzie w porządku. Fersen na pewno o to zadbał.

Pan Sausse był nie tylko prawnikiem, ale też właścicielem sklepu i burmistrzem Varennes. Od razu się zorientowałam, że ten miękki i wygodny człowiek pragnie przede wszystkim uniknąć kłopotów.

Zbadał paszport i oświadczył, że wszystko jest w porządku i nie ma przeszkód, byśmy jechali dalej.

Ale Drouet był zawziętym rewolucjonistą.

— To przecież król i królowa! — wykrzyknął. — Czy chce pan zostać uznany za zdrajcę, panie Sausse? Pozwoli pan, by wymknęli się z rąk ludu?

Pan Sausse zaniepokoił się poważnie, bo tłum zaczął się już zbierać pod jego drzwiami.

Spojrzał na nas przepraszająco, nie kryjąc szacunku. Poznał nas... tak samo jak Drouet.

— Przykro mi ogromnie — powiedział — ale dziś nie mogą państwo opuścić Varennes. Mam nadzieję, że skorzystają państwo z mojej gościnności.

Wiedziałam, że to koniec. Podałam się rozpaczy. Wokół domu burmistrza zbierał się coraz większy tłum i słychać było gniewne okrzyki. Zapowiadała się powtórka tamtego strasznego października.

* * *

Słyszałam dzikie wrzaski motłochu. Widziałam przez okno, jak ludzie przynoszą kosy i widły. Tylko nie to! — pomyślałam. Dlaczego podjęliśmy próbę ucieczki? Czemu nie pogodziliśmy się z tym, że Bóg jest przeciwko nam?

Nie, Panie Boże, poprawiłam się, sami się w to wpędziliśmy.

Sausse'owie traktowali nas bardzo przyjaźnie. Zaprosili nas na kolację i dawali do zrozumienia, że życzą nam szczęścia. Gdyby mogli nas wypuścić, na pewno by to zrobili. Traktowali nas jak swych władców, ale nie ośmielili się pozwolić nam na ucieczkę. Mogliby przecież gorzko za to zapłacić. A zresztą jakże mogliśmy uciec, skoro tłum otoczył dom ze wszystkich stron?

Drouet zbierał w całym mieście zwolenników rewolucji. Na pewno spodziewał się wielkiej sławy w związku ze swoim odkryciem. Człowiek, który udaremnił ucieczkę króla i królowej!

Dziwiłam się, że król potrafi w tej sytuacji cokolwiek przełknąć. Jego apetyt był dla mnie niepojęty. Tymczasem do domu burmistrza przedarli się dwaj żołnierze. Na widok lojalnych dragonów poprawił mi się nastrój.

Damas i Goguelat, tak się bowiem nazywali, powiedzieli, że zjawili się w mieście z oddziałem wojska, ale żołnierze zdezerterowali, gdy zobaczyli wrogo nastawiony tłum i dowiedzieli się, iż król został zatrzymany. Nie mieli ochoty drażnić rewolucjonistów, pomagając w ucieczce królewskiej parze.

Wkrótce potem przybył sam pan de Choiseul w towarzystwie paru kawalerzystów i też z trudem przebił się przez tłum otaczający dom.

Opowiedział o ciężkiej walce, którą musiał stoczyć z motłochem i o ranach, zadanych tym, którzy starali się go zatrzymać.

Uznał, że trzeba zmodyfikować plan, skoro poprzedni się nie powiódł.

— Wysłałem wiadomość markizowi de Bouille i najprawdopodobniej niedługo do nas dołączy. Proponuję, Najjaśniejszy Panie, byśmy wydostali się siłą z Varennes i ruszyli w stronę Montmedy, gdzie na pewno spotkamy Bouillego. Gdy przyłączą się do nas jego lojalne oddziały, nikt nie odważy się nas zaatakować. I wkrótce Najjaśniejsze Państwo będą bezpieczni.

— To doskonały pomysł! — zawołałam. — Musimy tak zrobić. Ale król pokręcił głową.

— Dawno już postanowiłem, że nie pozwolę, by z mojego powodu przelewano krew ludu. Jeśli spróbujemy się stąd wydostać, zginie z pewnością wielu moich poddanych. Tłum nie zamierza przecież tak łatwo nas stąd wypuścić.

— To zwykły motłoch — perswadował Choiseul. — Mają kosy i widły, ale cóż to znaczy wobec naszej broni.

— Na pewno zakończy się to rzezią. Kto wie, może nawet królowa albo delfin zostaną ranni.

— Otoczmy szczególną opieką dzieci, a ja się nie boję ryzyka — oświadczyłam.

— Nigdy na to nie pozwolę — sprzeciwił się król. — Nawet jeśli nam nic się nie stanie, to z pewnością zginie co najmniej kilku moich poddanych. Nie, nie. Musimy poczekać tu na marszałka Bouille. Kiedy ludzie go zobaczą, uznają, że nie ma sensu walczyć z jego armią. Wrócą do domów i pozwolą nam jechać dalej w spokoju.

— Nie można wykluczyć, Najjaśniejszy Panie — zauważył Choiseul — że rewolucjoniści postanowią odesłać Waszą Wysokość do Paryża, zanim przybędzie markiz de Bouille.

— Musimy zaryzykować. Nie chcę mieć na sumieniu rozlewu krwi.

Gdy zobaczyłam upór na jego twarzy, wiedziałam, że sprawa jest przesądzona.
I że wszystko zależy od tego, czy Bouille zjawi się w Varennes na czas.

* * *

Tej strasznej nocy nie zmrużyłam nawet oka. Słyszałam wrzaski tłumu, widziałam światło pochodni.

Modliłam się gorąco, by Bóg mi tego oszczędził. To znacznie więcej, niż mogę znieść. Oby zjawił się Bouille... albo śmierć. Byle tylko nie to! Przypomniałam sobie grozę podróży z Wersalu do Paryża... tłum... brudny tłum... woń krwi, wykrzywione, barbarzyńskie twarze, nieprzyzwoite słowa na nikczemnych ustach. Jakże ja ich nienawidziłam! To nie miłość do kraju nimi powodowała, tylko okrucieństwo. Pomyślałam, że wolę umrzeć, niż jeszcze raz przez to przechodzić. Dzieci, moje niewinne dzieci, będą musiały znosić takie upokorzenia, będą musiały patrzeć na całe bestialstwo tego świata. Boże, chroń nas!

Ludwik spał spokojnie. Czulałam, że prawie go nienawidzę. Co to za mężczyzna, który śpi, gdy jego bliscy są w takim niebezpieczeństwie? Nie życzy sobie przelewu krwi... nie życzy sobie, by ucierpiały jego drogie dzieci... jego dzieci... tak nazywał te wyjące pod oknami bestie. Dlaczego Axela przy mnie było? On rozprawiłby się z naszymi wrogami.

Nie wiem, jak mi się udało przeżyć tę straszną noc. W końcu jednak słońce weszło i hałas za oknami stał się nie do zniesienia.

Próbowałam zamknąć oczy, próbowałam zasnąć. Gdybym zdołała zasnąć choćby na kilka minut tak głęboko, jak Ludwik przespał całą noc!

Struchlałam, słysząc głośnie stukanie do drzwi domu. Na schodach rozległy się ciężkie kroki i po chwili do pokoju wtargnęło dwóch mężczyzn.

W jednym z nich rozpoznałam strażnika z Tuileries, niejakiego Romeufa. Drugi nazywał się Bayon.

Wyjaśnili, że przychodzą jako komisarze Zgromadzenia Narodowego. Jeden z nich podał dokument królowi. Czytałam razem z nim rezolucję zawierającą zawieszenie Ludwika w jego prawach. Posłańcy przybyli po to, żeby udaremnić nam dalszą podróż.

Pogniotłam kartkę i rzuciłam ją na podłogę.

W oczach obu mężczyzn czaiła się bezradność. Całe szczęście, że pozostały im resztki przyzwoitości.

— Markiz de Bouille jest już niedaleko Varennes — powiedział łagodnie król. — Jeśli będziecie próbowali zmusić nas do powrotu, może dojść do rozlewu krwi.

— Zgodnie z rozkazem pana de La Fayette, musimy zabrać Waszą Wysokość z powrotem do Paryża.

— Czy nie powinniście słuchać raczej rozkazów swojego króla? — zapytałam.

— Musimy przestrzegać postanowień Zgromadzenia Narodowego, Najjaśniejsza Pani.

— Pragnę uniknąć rozlewu krwi — odezwał się Ludwik łagodnie. — Nie chcę walczyć z moim ludem. Gdy zjawi się markiz de Bouille, opuścę ten dom, by w umówionym miejscu spotkać się i dojść do porozumienia z ludźmi, którzy kierują tą rewolucją.

Romeuf spojrzał na swego towarzysza:

— Chyba możemy poczekać na markiza — zaproponował. — W końcu nikt nie powiedział, kiedy mamy wrócić do Paryża.

Bayon nie odznaczał się jednak taką lojalnością.

— Zwariowałaś? — zawołał. — Bouille ma uzbrojonych żołnierzy. A my mamy tylko ludzi z widłami i nożami. Musimy wyjechać do Paryża, zanim Bouille się tu zjawi.

— Jesteśmy wycieńczeni — wtrącałam. — Trzeba wziąć pod uwagę możliwości dzieci.

Bayon nic nie odpowiedział. Wszedł, by przemówić do tłumu. Romeuf spojrział na nas przepaszająco i rzekł:

— Trzeba wymyślić jakiś powód opóźnienia podróży. Jak już Bouille zjawi się tutaj, Najjaśniejsi Państwo będą bezpieczni.

— Dziękujemy — powiedziałam cicho.

Gdy Bayon wrócił, z ulicy dochodziły już okrzyki: „Do Paryża!”

— Proszę się przygotować do natychmiastowego wyjazdu — oświadczył.

— To przeraziłoby dzieci — tłumaczyłam. — Są bardzo zmęczone. Musimy pozwolić im wyspać się choć trochę.

— Proszę je natychmiast obudzić.

Madame de Tourzel i madame Neuville poszły to zrobić. Delfin spojrział na Bayona i Romeufa i zawołał radośnie:

— Wreszcie są żołnierze! Jedźcie z nami?

— Owszem — odparł Bayon.

Nawet on uznał jednak, że powinniśmy coś zjeść przed wyjazdem. Polecono zatem madame Sausse, by przygotowała coś do zjedzenia. Wiedziałam, że kobieta zamierza to przeciągać, jak tylko się da.

Bayon się niecierpliwił. Ostrzegł panią Sausse, że naród nie będzie pobłażliwy dla gospodyni, która nie wykonuje rozkazów komisarza rewolucji. Biedaczka zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby nam pomóc. Obecność takich ludzi jak ona i Romeuf dodawała nam otuchy w tych trudnych chwilach.

Próbowałam coś zjeść, ale nie mogłam. Tylko król i dzieci mogli docenić posiłek tak długo przygotowywany przez gospodynię.

— Jedziemy — ponaglał nas Bayon.

A marszałka de Bouille wciąż nie było widać.

Wszystko skończone, pomyślałam. Nie znajdziemy już żadnego pretekstu, by odwlec wyjazd. Och Boże, ześlij nam Bouillego. Błagam, zrób to dla nas.

— Jedziemy — warknął Bayon. — Dość tego zwlekania.

Popychał nas w stronę drzwi, gdy madame Neuville wydała cichy okrzyk i osunęła się na podłogę. Zaczęła wykonywać dziwne ruchy i wydawać dziwne dźwięki, jakby dostała jakiegoś ataku.

Uklękałam koło niej. Wiedziałam, że udaje. Krzyknęłam:

— Poślijcie po doktora! — krzyknęłam.

Bayon zaklął pod nosem, ale wydał rozkaz, by przyprowadzono doktora. Wyglądało na to, że wszyscy się sprzysięgli, by lekarz zjawił się błyskawicznie.

Patrzyłam na madame Neuville i modliłam się: Boże, ześlij nam Bouillego.

Ale do pokoju wszedł lekarz, a nie marszałek i madame Neuville musiała skończyć spektakl. Dostała lekarstwo i została postawiona na nogi. Zachwiała się i byłaby znów upadła, ale Bayon podtrzymał ją i zaciągnął do powozu. A Bouillego jak nie było, tak nie było.

— Do Paryża! — wrzeszczał tłum.

Nie było rady. Nie pozostawało nam nic innego jak pójść w ślady pani Neuville i opuścić przyjazny dom. Na nasz widok wszyscy zaczęli wrzeszczeć jeszcze głośniejsze. Trzymałam delfina mocno za rękę i za bardzo bałam się o niego, by lękać się także o siebie.

A zatem znów czeka nas to samo... Wiedziałam, że nigdy tego nie zapomnę. Kolejna upokarzająca podróż, tyle że znacznie dłuższa, nie z Wersalu, lecz z Varennes do Paryża.

* * *

Podróż trwała aż trzy dni. Gdy wcześniej, w owym pamiętnym październiku siedzieliśmy w powozie jadącym z Wersalu do Paryża, wydawało mi się, że znalazłam się na dnie poniżenia, grozy i rozpacz. Okazało się, że może być gorzej.

Panował niemiłosierny upał. Nie mogliśmy zmienić ubrań, a wzdłuż drogi stały tłumy wrzeszczących barbarzyńców. Nie potrafię ich nazwać ludźmi, bo wyparowała z nich wszelka ludzka godność. Obrzucali nas obelgami — wymierzonymi przede wszystkim we mnie. Znów byłam kozłem ofiarnym.

— Precz z Antoinette! — wrzeszczeli. — Antoinette na latarnię!

Bardzo proszę, myślałam wówczas, byle szybko. Wołałabym śmierć niż życie w takich warunkach. Byle tylko wypuścili moje dzieci. Byle pozwolili im żyć zwyczajnie...

Pilnowało nas dwóch komisarzy Zgromadzenia Narodowego — Petion i Barnave. Już wtedy wydawało mi się, że są w miarę porządnymi ludźmi, a dziś jestem o tym przekonana. Zauważyłam ogromną różnicę między motłochem a tymi ludźmi, którzy wierzyli, że dzięki rewolucji Francja zmieni się na lepsze, i wyznawali ideały wolności, równości i braterstwa. Ci dwaj chętnie zasiedliby do negocjacji z Ludwikiem, on zaś zagwarantowałby im wszystko, czego pragnęli. Różnili się znacznie od tych bestii w ludzkich ciałach, które wykrzykiwały nieprzyzwoitości, domagały się naszych głów i wnętrzości, dyszały żądzą krwi i śmiały się demonicznie na myśl o tym, że uda im się ją przelać. O tak, ci dwaj byli inni. Tłumaczyli nam, że jesteśmy ulepieni z takiej samej gliny jak wszyscy i nie zasługujemy na żadne przywileje, tylko dlatego, że urodziliśmy się w innej grupie społecznej niż oni. Król słuchał uważnie, gotów przyznać im rację. Mówili o rewolucji, o tym, czego pragną w życiu.

Mówili o niesprawiedliwości i nierówności. Tłumaczyli, że nie można oczekiwać, by ludzie bez końca zgadzali się na to, żeby szlachetnie urodzone damy wydawały na jedną suknię tyle, ile starczyłoby na utrzymanie jednej rodziny przez cały rok.

Delfin polubił obu komisarzy, a oni zapalali do niego sympatią. Sylabizował słowa, które mieli wypisane na guzikach: „Wolność albo śmierć”.

— Naprawdę chcecie umrzeć, jeśli nie będziecie wolni? — zapytał bardzo poważnie, a oni zapewnili, że tego właśnie pragną.

Czułam, że Elżbieta i madame de Tourzel są już na skraju wytrzymałości. Wiedziałam, że tylko ja mogę im pomóc, okazując wyniosłą obojętność. To wprawdzie nie podobało się tłumom, ale też wymuszało na ludziach pewien szacunek. Gdy wołali, byśmy rozsunęli zasłonki w oknach berliny, a Barnave i Petion radzili, żebyśmy to zrobili i nie prowokowali tłumu, siedziałam z wysoko uniesioną brodą i patrzyłam w dal. Ludzie podchodzili do okna i wykrzykiwali obelgi, ale traktowałam ich jak powietrze.

— Dziwka! — krzyczeli, a ja zachowywałam się tak, jakbym tego nie słyszała.

Szydzili wprawdzie dalej, moja postawa jednak wywierała na nich odpowiednie wrażenie.

Gdy przyniesiono nam coś do zjedzenia, tłum domagał się, byśmy rozsunęli zasłonki.

Przerażona Elżbieta chciała to zrobić, lecz ją powstrzymałam.

— Musimy zachować godność — tłumaczyłam.

— Madame, oni zgmiotą berlinę — ostrzegał Barnave.

Ale ja uważałam, że wystawiając się widok na publiczny przy jedzeniu, zdegradowalibyśmy się sami. Otworzyłam okno dopiero wtedy, gdy chciałam wyrzucić kości kurczaka i zrobiłam to, jakby tłum nie istniał.

Petion był surowszy od swego towarzysza. Wyczułam, że Barnave skrycie mnie podziwiał. Podziwiał sposób, w jaki radziłam sobie z motłochem, widziałam, że zmienia opinię na nasz temat.

Wydawało mu się, że pełni arogancji arystokraci nie zachowują się jak normalni ludzie i reagował zdziwieniem, gdy słyszał, jak mówi do Elżbiety „siostrzyczko”, a ona do króla — „bracie”. Obaj z zaskoczeniem słuchali naszych rozmów z dziećmi. Bez wątpienia wielkie wrażenie zrobiła na nich więź, łącząca mnie z rodziną.

Z pewnością całymi latami karmiono ich skandalicznymi historiami, które krążyły po stolicy. Uważano mnie za potwora niezdolnego do ciepłych uczuć — za nową Messalinę, czy Katarzynę Medycejską.

Petion próbował na początku mówić obraźliwie o Axelu, bo po Paryżu krążyło mnóstwo plotek na temat naszego związku.

— Wiemy już, że królewska rodzina wyjechała z Tuileries zwykłym fiakrem, którym kierował pewien Szwed — powiedział.

Przeraziłam się. A więc wiedzieli, że Axel nam pomagał!

— Proszę nam zdradzić nazwisko tego Szweda — ciągnął Petion, a błysk w jego oku zdradzał, z jakim upodobaniem mówi o moim kochanku w towarzystwie mojego męża.

— Sądzi pan, że znamy nazwisko stangreta, powożącego fiakrem? — zadrwiłam.

Obrzuciłam go tak wyniosłym spojrzeniem, że już więcej nie podejmował tego tematu.

Petion był głupcem. Kiedy Elżbieta zasnęła i bezwiednie opuściła głowę na jego ramię, widziałam, że myślał, iż uczyniła to specjalnie. Barnave z kolei odnosił się do mnie z coraz większym szacunkiem. Sądzę, że w sprzyjających okolicznościach moglibyśmy odwieść tych dwóch od ideałów rewolucyjnych i mieć w nich lojalnych poddanych.

To były jaśniejsze punkty owej koszmarnej podróży. Do dziś ją pamiętam, do dziś prześladują mnie tamte wspomnienia.

Zbliżaliśmy się do Paryża z pełną świadomością, że dopiero tam czeka nas najgorsze.

Byliśmy wykończeni, brudni i rozczochrani, upał doskwierał wszystkim bardziej niż kiedykolwiek, a tłum gęstniał i stawał się coraz bardziej wrogi.

Kiedy ktoś krzyknął: „Niech żyje król”, motłoch poderznął mu gardło. Zobaczyłam krew, nim zdołałam odwrócić twarz.

To był ten sam Paryż, w którym w poprzednim, jak mi się zdawało, wcieleniu, usłyszałam, że dwieście tysięcy ludzi się we mnie zakochało.

Teraz ci ludzie otaczali moją berlinę.

Do środka zajrzała jakaś wykrzywiona twarz — twarz, którą dobrze znałam, którą kiedyś całowałam.

— Antoinette na latarnię!

To był Jacques Armand, którego przygarnęłam i wychowywałam, póki nie urodziłam własnych dzieci i nie zapomniałam o nim.

Czyżby wszystkie moje grzechy i lekkomyślne szaleństwa szukały teraz zemsty niczym sępy krążące nad konającą ofiarą?

Przytuliłam mocno Ludwika Karola. Nie chciałam, by na to patrzył.

Delfin załkał. Nie podobało mu się to wszystko. Mówił, że woli oglądać żołnierzy i nie lubi tych ludzi.

— Wkrótce będziemy w domu — pocieszałam go.

W domu — w tym ciemnym, ponurym więzieniu, z którego przed paroma dniami uciekliśmy.

Nie chcę o tym pisać. Wolę o tym nie myśleć. Nikt, kto tego nie przeżył, nie wyobraża sobie, co to oznacza.

Byłam niemal rada, gdy wreszcie przybyliśmy do Tuileries i przy wtórze szyderstw i krwawych gróźb wysiedliśmy z berliny.

Wyczerpani i zrozpaczeni ruszyliśmy w stronę swych apartamentów.

— Już po wszystkim — powiedziałam. — Jesteśmy w tym samym miejscu, co przed ucieczką. Ale to nie była prawda. Znaleźliśmy się przecież znacznie bliżej ostatecznej katastrofy.

We Francji nie było już ani króla, ani królowej. Wiedziałam o tym, choć nikt mnie nie poinformował.

Zdjęłam kapelusz i rozpuściłam włosy.

Od dawna nie przeglądałam się w zwierciadle. Minęła chwila, nim rozpoznałam kobietę o zaczerwienionych oczach, pokrytej kurzem twarzy, w podartej sukni. Ale nie to mnie wprowadziło w osłupienie.

Włosy, z powodu których moi bracia i madame du Barry przezywali mnie „Marchewką”, a w których paryscy krawcy dostrzegali barwę złota, stały się zupełnie siwe.

Rozdział 25

Mieszkańcy przedmieść ruszają do ataku

Wciąż istnieję... i to wszystko. Jakże się niepokoję o Ciebie, jak bardzo musiałeś cierpieć, nie mając od nas żadnych wieści. Oby nieba sprawiły, że ten list do Ciebie dotrze. Nie myśl nawet o powrocie. Wszyscy wiedzą, że pomogłeś nam uciec, wszystko będzie stracone, jeśli się tu pokażesz.

Chcę Ci powiedzieć, że Cię kocham. Nie martw się o mnie. Czuję się nieźle. Chciałabym usłyszeć to samo o Tobie. (...) Napisz, jak powinnam adresować moje listy, bo muszę do Ciebie pisać, żyć bez tego nie mogę. Żegnaj, mój najdroższy.

Maria Antonina do hrabiego de Fersen

Dopiero w cierpieniu człowiek dowiaduje się, kim jest w rzeczywistości. Moja krew krąży w żyłach mego syna i mam nadzieję, że nadejdzie dzień, w którym Ludwik Karol udowodni, że jest godnym wnukiem Marii Teresy.

Maria Antonina do Mercy'ego

13 lutego 1792. Byłem u niej. Bardzo się denerwowaliśmy z powodu strażników.

14 lutego. O szóstej widziałem się z królem. Ludwik to naprawdę człowiek honoru.

Dzienniki Fersena

„Marsylianka” była największym generałem Republiki.

Napoleon

Po powrocie do Tuileries przez dobrych parę dni żyłam jak w odrętwieniu. Budziłam się w środku nocy, bo wydawało mi się, że czuję brudne dłonie na swym ciele i zionące winem oddechy na twarzy. Przeżywałam wciąż od nowa straszną podróż do Paryża. La Fayette uratował nas przed rozwścieczonym motłochem. Pomogli mu nawet tacy ludzie jak diuk d’Aiguillon czy hrabia de NoaiUes, którzy wprawdzie nigdy nie darzyli mnie sympatią, ale byli oburzeni tym, co się działo wokół nas.

Bez przerwy czuliśmy na sobie spojrzenia strażników. Pałac naprawdę zamienił się w więzienie. Nasi nadzorcy postanowili najprawdopodobniej nie dopuścić do ponownej ucieczki.

Dowiedzieliśmy się, że hrabia Prowansji i Marie Josephe przekroczyli pomyślnie granicę. Odrapany powóz okazał się lepszym rozwiązaniem niż wspaniała karoca. Nie przyznawałam nawet przed sobą, że to berlina, którą przygotował dla nas Axel, zawiodła. Chciał oczywiście jak najlepiej, ale uciekinierzy powinni rezygnować z luksusu na rzecz wolności.

Rozpłakałam się, gdy się okazało, że Bouille przybył do Varennes pół godziny po naszym odjeździe. Kiedy zorientował się, że nas już nie ma, rozpuścił swoje oddziały, uznając, że nie ma sensu walczyć z tamtejszymi rewolucjonistami. Za ledwie pół godziny dzieliło nas od wolności! Gdyby dzieci nie zbierały kwiatków na łące, zdołalibyśmy rozwinąć większą prędkość. Straciliśmy

szansę na wolność, choć przecież była w naszym zasięgu. I to nie z powodu pecha. Miałam dość rozsądku, by pojąć, że przegraliśmy nie za sprawą zrzędzenia losu, ale z powodu naszych własnych niefortunnych decyzji.

Podczas tej długiej zimy rozpacz podsuwała mi różne pomysły. Próbowałam wykorzystać podziw, który wzbudziłam w Barnawie w trakcie tej strasznej podróży berlińską. Potajemnie pisałam do niego listy, nie szczędząc mu komplementów i zapewniając, że jego inteligencja wywarła na mnie ogromne wrażenie, deklarowałam wolę współpracy. Tłumaczyłam, że jestem gotowa do kompromisu i że wierzę w jego dobre intencje. Pytałam, czy zechce mi pomóc. Barnave, choć urzeczony, i zachwycony, zachował środki ostrożności. Pokazał moje listy jednemu ze swych zaufanych przyjaciół, po czym odpisał, że chętnie podejmą negocjacje i że wolą rozmawiać ze mną niż z królem.

Życzyli sobie, bym sprowadziła obu szwagrów z powrotem do Francji i przekonała swego brata, Leopolda, by uznał francuską konstytucję. Przysłali mi nawet szkic listu, który powinnam wysłać do Leopolda, a ja spełniłam ich życzenie, choć wcale nie zamierzałam podporządkować się postanowieniom nowej konstytucji. Natychmiast napisałam do Leopolda drugi, sekretny list, w którym wyjaśniłam mu, w jakich okolicznościach powstał poprzedni.

Wdałam się w niebezpieczną grę na dwa fronty, chociaż nie byłam do niej przygotowana ani emocjonalnie, ani intelektualnie. Oszukiwałam ludzi, którzy chcieli się ze mną zaprzyjaźnić, bo nie mogłam tak łatwo zrezygnować ze wszystkiego, w co do tej pory wierzyłam.

Napisałam do Axela:

Nie rozumiem swego postępowania i ciągle zadaję sobie pytanie, czy to naprawdę ja. Ale cóż mi pozostało? Muszę prowadzić tę grę, ponieważ nasza sytuacja byłaby znacznie gorsza, gdybym zaprzestała. Możemy zyskać na czasie, a przecież czas to wszystko, czego potrzebujemy. Jakież radosny będzie dzień, w którym będę mogła rzucić tym ludziom w twarz, że nigdy nie zamierzałam z nimi współpracować.

Rola, którą przyszło mi grać, była źródłem mego nieszczęścia.

* * *

Najgorsze jednak, że nie wiedziałam, co się dzieje z Axelem. Gdzie jest? Dlaczego nie pisze? Słyszałam, że pojechał do Wiednia i starał się zainteresować mojego brata naszym losem. Namawiał Leopolda, by wysłał do Francji armię, która wspólnie z lojalnymi wobec nas oddziałami przywróci porządek i monarchię w nękanym terrorem kraju.

Kiedy usłyszałam, że hrabia d'Esterhazy wybiera się do Wiednia, poprosiłam, by zabrał pierścień dla hrabiego de Fersen. Na pierścieniu wygrawerowano trzy lilie burbońskie i napis: „*Lache qui les abandonne*” — „Tylko tchórze ich opuścili”.

Wraz z pierścieniem wysłałam d'Esterhazy'emu bilecik:

Gdy będzie Pan do niego pisał, proszę koniecznie dodać, że nawet kilka granic nie zdoła rozdzielić ludzkich serc. Pierścień powinien pasować, niechaj go nosi przez wzgląd na mnie. Miałam go na palcu przez dwa dni. Proszę powiedzieć, że to podarunek ode mnie. Nie wiem, gdzie szukać hrabiego. To wielka męka, nie wiedzieć, gdzie się podziewają ludzie, których się kiedyś kochało.

Gdy tylko wysłałam pierścień do d'Esterhazy'ego, do którego miałam pełne zaufanie, przeraziłam się, że Axel odbierze tę instrukcję jako wyrzut i jeszcze raz powróci, narażając się na niebezpieczeństwo. Napisałam więc bezpośrednio do niego:

Wciąż istnieję... i to wszystko. Jakże się niepokoję o Ciebie, jak bardzo musiałeś cierpieć, nie mając od nas żadnych wieści. Oby nieba sprawiły, że ten list do Ciebie dotrze... Nie myśl nawet o powrocie. Wszyscy wiedzą, że pomogłeś nam uciec, wszystko będzie stracone, jeśli się tu pokażesz. Teraz strzegą nas dniem i nocą... Odpocznij. Nic mi się nie stanie. Żegnaj. Sądzę, że nie będę mogła już do Ciebie pisywać...

Ale nie mogłam bez tego żyć. Nie przetrwałabym, gdyby nie te listy.
Wkrótce więc znów pisałam:

Chcę Ci powiedzieć, że Cię kocham. Nie martw się o mnie. Czuję się nieźle. Chciałabym usłyszeć to samo o Tobie. Pisz do mnie szyfrem, adresuj list do pana de Browne, a potem wkładaj do drugiej koperty z nazwiskiem pana de Gougens. Napisz, jak powinnam adresować moje listy, bo muszę do Ciebie pisać, żyć bez tego nie mogę. Żegnaj mój najdroższy. Ściskam Cię całym sercem...

Byłam bardzo rozgoryczona sposobem, w jaki nas teraz traktowano. Mój apartament zamykano na noc na cztery spusty, za to drzwi do sypialni musiały stać otworem przez cały czas. Czasem ogarniał mnie gniew, czasem zwątpienie. Nie przestawałam jednak korespondować z Baranve'em.

W końcu nadeszły nowiny od Axela. Pragnął wrócić do Paryża, a ja ucieszyłam się ogromnie na myśl o tym, że go zobaczę, choć zarazem ogarnęło mnie wielkie przerażenie.

To narazi na wielkie niebezpieczeństwo nasze szczęście. Możesz mi wierzyć, niczego nie pragnę tak bardzo, jak Cię zobaczyć.

Całymi dniami przesiadywałam w swoich pokojach. Nie miałam ochoty nigdzie wychodzić. Przez cały czas pisałam.

Dzieci zawsze mi towarzyszyły. Tylko dla nich żyłam, były moim jedynym źródłem radości.
Napisałam do Axela:

Tylko one mi pozostały. Kiedy jestem bardzo smutna, biorę mego syna na ręce i przyciskam do serca. To mnie pociesza.

Zgromadzenie Narodowe przygotowało projekt konstytucji, który został przedłożony królowi. Był to jednak nic nieznaczący gest, król jako więzień rewolucji musiał przecież wyrazić zgodę.

— To oznacza moralną śmierć, znacznie gorszą niż fizyczna, gdyż ta uwolniłaby nas od cierpień — powiedziałam.

Ludwik zgodził się ze mną, świadom, że akceptując konstytucję, poświęca wszystko, czego do tej pory próbował bronić.

Musiał udać się na posiedzenie Zgromadzenia. Poszłam razem z nim, żeby wysłuchać jego mowy. Z wielkim bólem patrzyłam, jak deputowani siedzą podczas królewskiej przysięgi.

Kiedy wróciliśmy do Tuileries, Ludwik był tak przybity, że padł na fotel i zaczął płakać. Objęłam mego męża i płakałam razem z nim, bo choć wciąż uważałam, że gdyby zdobył się na stanowczość, uniknęlibyśmy tych wszystkich nieszczęść, to przecież nie zapomniałam o jego dobroci i czułości. W gruncie rzeczy to właśnie jego dobre serce wtrąciło nas w kłopoty.

Napisałam do Mercy'ego:

Jeśli chodzi o podpisanie konstytucji, to przecież nikt rozsądny nie ma wątpliwości, że nie jesteśmy całkiem wolni we wszystkim, co robimy. Musieliśmy zadbać o to, żeby otaczające nas potwory nie miały żadnych powodów do podejrzeń. W tej chwili tylko obca interwencja może nas uratować. Straciliśmy armię, straciliśmy pieniądze, we Francji nie ma już żadnej siły, która zdołałaby powstrzymać uzbrojony tłum. Nikt nie słucha przywódców rewolucji, gdy mówią o porządku. Oto, w jak żalosnej sytuacji się znaleźliśmy. A przy tym nie mamy żadnych przyjaciół, wszyscy nas zdradzili. Jedni zdradzili nas z powodu nienawiści, inni z powodu słabości albo ambicji. Najbardziej lękam się chwili, w której stworzą nam pozory wolności. Teraz, skazani na całkowitą niemoc, nie musimy przynajmniej czynić sobie żadnych wyrzutów. Ten list odzwierciedla stan mojej duszy...

Później zaś dodałam:

Dopiero w cierpieniu człowiek dowiaduje się, kim jest w rzeczywistości. Moja krew krąży w żyłach mego syna i mam nadzieję, że nadejdzie dzień, w którym Ludwik Karol udowodni, że jest godnym wnukiem Marii Teresy.

W gruncie rzeczy wstydziłam się tego, że podjęłam negocjacje z Barnave'em. To nie było mądre posunięcie. Pragnęłam uchronić się przed oskarżeniem o dwulicowość.

Do Axela napisałam:

Postąpilibyśmy szlachetniej, odmawiając uznania konstytucji, ale to było niemożliwe... Plan, który ma być realizowany, wydaje się najmniej fortunny ze wszystkich. Do jego przyjęcia zmusiły nas niemądre posunięcia emigrantów. A przy tym nie mogliśmy pozostawić cienia wątpliwości co do czystości naszych intencji.

Byłam tym wszystkim bardzo przybita. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że matka potępiłaby moje postępowanie. Choć z drugiej strony nigdy przecież nie była w takiej sytuacji, w jakiej ja się znalazłam. Nigdy nie musiała jechać z Wersalu do Paryża, czy z Varennes do Paryża, otoczona wyjącem i żądnym krwi motłochem.

Na efekty przyjęcia konstytucji nie trzeba było długo czekać. Straże, które pilnowały nas w Tuileries, zostały odwołane. Mogłam wreszcie zamykać drzwi sypialni i spać w spokoju.

Zaakceptowaliśmy rewolucję, więc nikt nas już nie obrzucał obelgami. Słyszeliśmy nawet okrzyki: „Nie żyje król!” i — choć to brzmi nieprawdopodobnie — „Niech żyje królowa!”.

* * *

To było w lutym, w samym środku ostrej zimy. Siedziałam sama w swoim pokoju na parterze, gdy usłyszałam czyjeś kroki. Zerwałam się na równe nogi przerażona, bo choć nasza sytuacja uległa zmianie, to wciąż nie byłam pewna, czy któryś z bohaterów dręczących mnie po nocach koszmarów nie zjawi się naprawdę w mojej sypialni z zakrwawionym nożem, żeby wypełnić groźby, które słyszałam tyle razy.

Gdy drzwi stanęły otworem, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Wydawało mi się, że śnię. Że to niemożliwe.

Od razu go poznałam pomimo przebrania. Nigdy nie zdołałby mnie oszukać. Przez chwilę czułam tylko bezgraniczną radość, choć przecież wydawało mi się, że nigdy już jej nie zaznam.

— Axel! — zawołałam. — To niemożliwe!

Roześmiał się i powiedział:

— Nie możesz uwierzyć własnym oczom?

— Ależ nie powinieneś... To niebezpieczne... Musisz natychmiast stąd odejść.

— Miłe powitanie — roześmiał się i objął mnie tak, jakby nie miał najmniejszego zamiaru mnie opuścić.

Przez chwilę tuliłam się do niego, nie zastanawiając się, co go przywiodło i w jaki sposób się tu dostał. Liczyło się tylko to, że jest.

Byłam oszołomiona. Nie tak łatwo przeskoczyć ze stanu beznadziejnej rozpacz na wyżyny największego szczęścia. Powiedziałam mu o tym. Płakałam i śmiałam się jednocześnie. Nie mogliśmy się od siebie oderwać. Moc naszej miłości sprawiła, że świat smutku i przerażenia nie miał do nas dostępu.

* * *

Później opowiedział mi o swoich niezwykłych przygodach. Gdy pisał, że żyje tylko po to, żeby mi służyć, wcale nie przesadził.

Zdobył fałszywy paszport dyplomatyczny, w którym podrobił podpis króla Szwecji, potwierdzającego, że właściciel dokumentu jedzie z misją do Lizbony. Paszport został wystawiony na nazwisko lokaja, Axel natomiast udawał jego służącego. Dokumenty nie były szczegółowo sprawdzane i obaj mężczyźni bez trudu dostali się do Paryża. Axel zatrzymał się u przyjaciela, który nie bał się związanego z tym ryzyka.

— Gdy tylko zapadł zmrok — powiedział — przyszedłem do pałacu. Miałem przecież klucz. Nie spotkałem żadnych strażników, przyszedłem więc prosto do ciebie.

— Wiedzą, że pomagalesz nam w ucieczce. To istne szaleństwo. To naprawdę było szaleństwo, ale potrafiłam tylko cieszyć się z jego powrotu.

* * *

Został u mnie całą noc i cały następny dzień. Wieczorem poprosiłam króla, by zszedł do mnie, bo chce się z nim zobaczyć stary przyjaciel.

Kiedy Ludwik przyszedł, Axel opowiedział mu o planach zorganizowania drugiej ucieczki.

— Wyciągniemy wnioski z popełnionych błędów. Tym razem wszystko się uda.

— To niemożliwe. — Ludwik pokręcił głową.

— Może powinniśmy jednak spróbować — zasugerowałam.

Zobaczyłam jednak upór, malujący się na twarzy mojego męża.

— Możemy chyba rozmawiać szczerze — powiedział. — Oskarżają mnie o słabość i niezdecydowanie, ale nikt jeszcze nie był w takiej sytuacji, w jakiej ja się znalazłem, nikt więc nie wie, jak by się zachował na moim miejscu. Przegapiłem moment, w którym powinniśmy wyjechać. Wtedy trzeba było działać. Potem już nigdy nie nadarzyła się stosowna okazja. Wszyscy mnie opuścili.

— Wszyscy oprócz hrabiego de Fersen — przypomniałam mu.

— To prawda. — Ludwik uśmiechnął się ze smutkiem. — Nigdy nie zapomnę, co pan dla nas zrobił. Mój przyjacielu, zamku strzeże Gwardia Narodowa. To byłoby przedsięwzięcie z góry

skazane na niepowodzenie i tylko znacznie pogorszyłyby naszą sytuację, podobnie zresztą jak pierwsza próba ucieczki.

Axel był jednak wciąż przekonany, że tym razem wszystko się powiedzie. W końcu mój mąż wyznał, dlaczego nie chce przyjąć oferowanej pomocy. Dał słowo, że nie będzie już próbował uciekać.

Wpadłam w rozpacz, ale Axel powiedział:

— Król jest uczciwym człowiekiem.

Uczciwym, może i tak. Tylko co nam po uczciwości, skoro mamy wokół siebie samych wrogów?

Axel nie tracił jednak nadziei, że zdoła przekonać króla szwedzkiego, Gustawa, by przyszedł nam z pomocą. Postanowił wrócić natychmiast do ojczyzny, by działać tam na naszą rzecz.

Rozstaliśmy się zatem. Zegnałam się z nim z rozpaczą, ale jego wizyta sprawiła, że znów ożyła we mnie nadzieja. Axel nigdy nie przestanie nam pomagać. Kiedy o tym myślałam, łatwiej mi było wierzyć, że pewnego dnia znów wszystko będzie dobrze.

A jednak pech wciąż nas prześladował. Ledwie Axel zdołał wrócić do Szwecji, dotarła do nas wieść o śmierci króla Gustawa.

Myślał o nas w ostatnich chwilach swego życia, bo tuż przed śmiercią powiedział:

— Mój zgon ucieszy jakobinów w Paryżu.

I nie mylił się. Kolejna droga została przed nami zamknięta. Teraz mogliśmy liczyć tylko na pomoc Prus i Austrii.

* * *

Madame Campan wróciła do mnie. Bardzo się z tego ucieszyłam, bo zawsze ją lubiłam i ceniłam jej zdrowy rozsądek. Przypomniałam sobie, jak delikatnie krytykowała wystawność powozu, który z takim staraniem przygotował Axel.

Zdziwiła się ogromnie na mój widok. Zorientowałam się, że patrzy na moje włosy.

— Posiwały, moja droga Campan — powiedziałam ze smutkiem.

— Ale w dalszym ciągu są piękne — zapewniła mnie.

Pokazałam jej pierścień, owinięty kosmykiem włosów. Zamierzałam go posłać księżnej de Lamballe, której kazałam wyjechać do Londynu. Zrobiła to bardzo niechętnie. Pragnęłam dać jej do zrozumienia, jak się cieszę z tego, że nic jej nie grozi. Na pierścieniu był napis: „Posiwałe od cierpień”. Miało to przestrzec ją przed powrotem, bo księżna pisała, że bardzo za mną tęskni i że skoro ja znalazłam się w niebezpieczeństwie, to ona także powinna.

— Zawsze była trochę niemądra — powiedziałam do madame Campan — ale przy tym bardzo dobra i uczuciowa. Cieszę się, że jej tu nie ma.

Po śmierci mojego brata, Leopolda, cesarzem został jego syn, Franciszek. Miał dwadzieścia cztery lata, a ja go w gruncie rzeczy nie znałam. Franciszek nie okazywał mi zbyt wiele współczucia. Nie starał się też w żaden sposób wspierać francuskich emigrantów, którzy w Austrii agitowali przeciwko rewolucji, ale też ich nie wygnał.

Stosunki między Francją i Austrią były coraz bardziej napięte i w końcu Ludwik został zmuszony do wypowiedzenia wojny. Czułam się, jakby prześladował mnie senny koszmar. Nie mogłam zapomnieć, ile wysiłku moja matka włożyła w umacnianie aliansu Francji i Austrii — a teraz oba kraje znalazły się w stanie wojny. Nie przysporzyło mi to jednak wrogów. Nie mogłam stać się jeszcze bardziej niepopularna. Gdyby jednak moi rodacy pokonali Francuzów, przywróciliby we Francji monarchię.

Ogarnęła mnie radość. Napisałam do Axela:

Dzięki Bogu nadszedł czas zemsty za wszystko, co nas spotkało w tym kraju. Nigdy nie byłam bardziej dumna z tego, że urodziłam się jako Austriaczka.

Nie zachowywałam się wówczas zbyt mądrze. W gruncie rzeczy już dawno zapomniałam o swoim pochodzeniu i prawie nigdy nie mówiłam po niemiecku. Mój mąż był Francuzem, moje dzieci były Francuzami. Od lat Francja była moim krajem.

To Francuzi mnie odrzucili. A ja pragnęłam tylko, by powróciły dawne czasy, by los dał mi jeszcze jedną szansę. Życie dało mi gorzką lekcję, z której mogłabym wyciągnąć wnioski. Teraz chciałam tylko wychować syna na dobrego króla Francji. To było moje jedyne marzenie.

Księżna de Lamballe wróciła do Paryża. Ściskając ją na powitanie, nie szczędziłam reprimend.

— Zawsze byłaś niemądra.

— Wiem — roześmiała się i zarzuciła mi ręce na szyję, pytając, dlaczego mi się wydaje, że mogła pozostać tak daleko ode mnie i słuchać spokojnie straszliwych opowieści o tym, co się dzieje w Paryżu.

Nadszedł kolejny czerwiec. Minął rok od naszej nieudanej ucieczki. Lato było niebezpiecznym okresem. Ludzie gromadzili się na ulicach i w Palais Royale. W każdej chwili mogły wybuchnąć kolejne rozruchy.

Dokładano wszelkich starań, by upokorzyć króla. Miał podpisać dwa dekry: jeden o wygnaniu wszystkich duchownych, drugi o utworzeniu obozu dla dwudziestu tysięcy mężczyzn pod Paryżem. Ludwik byłby się ugiął, ale namówiłam go, by postawił veto. To rozwścieczyło rewolucjonistów i gorzko później pożałowałam swojej decyzji.

Ludzie nadali mi nowe przezwisko: „Madame Veto”. Przypomnieli sobie, że jestem Austriaczką, a przecież Francja była w stanie wojny z Austrią. Członkowie Zgromadzenia Narodowego doszli do wniosku, że nigdy nie pokonają swych wrogów za granicami, jeśli nie uporają się najpierw z wrogami wewnętrznymi. A właśnie mnie uważano za największego wroga — nie króla.

Vergniaud, jeden z przywódców Zgromadzenia, grzmiał z mównicy:

— Widzę stąd doskonale miejsce, w którym fałszywi doradcy starają się sprowadzić z właściwej drogi i oszukać króla, któremu zawdzięczamy konstytucję... Widzę okna pałacu, w którym odbywają się knowania przeciw rewolucji, w którym ktoś szuka sposobu, by wtrącić nas znów w niewolnictwo. Niechaj więc mieszkańcy tego pałacu wiedzą, że nasza konstytucja daje władzę tylko królowi. Niech wiedzą, że wobec naszego prawa wszyscy przestępcy są równi i że nikt, komu zostanie udowodniona wina, nie zdoła uciec przed toporem kata.

To był bezpośredni atak na mnie. Przyzwyczaiałam się już, że bez przerwy szarpie mnie motłoch, sprawa wyglądała jednak całkiem inaczej, gdy do ofensywy przystępowali przywódcy rewolucji.

Dwudziestego czerwca, w rocznicę naszej ucieczki, przed bramami Tuileries zgromadził się spory tłum.

— Koniec z veto! Niech żyje naród! — krzyczeli. Widziałam ich z okna. Na głowach mieli czerwone czapki frygijskie, a w dłoniach noże i pałki. Do pałacu wdzierał się żądny krwi motłoch. W pierwszej chwili pomyślałam o dzieciach. Pobiegłam na górę, gdzie zajmowały się nimi panie de Tourzel i de Lamballe.

— Mają króla — powiedziała księżna.

— Muszę do niego iść! — zawołałam. — Jeśli jest w niebezpieczeństwie, muszę stanąć u jego boku. Chronicie dzieci — powiedziałam do madame de Tourzel.

Ale jeden ze strażników zagroził mi drogę.

— Madame, oni przyszli tu po panią. Oszaleją, gdy panią zobaczą. Proszę tu zostać. Proszę zostać z delfinem i księżniczką.

Mój syn uczeplił się kurczowo mojej spódnicy.

— Mamo, zostań z nami, zostań z nami! — wołał.

Strażnik chciał, żebym stanęła pod ścianą razem z dziećmi, z madame de Tourzel, z księżną de Lamballe i z kilkoma innymi kobietami, które weszły do pokoju, a potem postawił przed nami stół, jako coś w rodzaju bariery.

— Przyszli tu po ciebie — powiedziała Elżbieta. — Wyjdę im naprzeciw. Wezmą mnie za ciebie... a ty w tym czasie zdążysz uciec razem z dziećmi.

Zaprotestowałam, ale strażnik i tak nie pozwolił jej wyjść. Tłumaczył, że tłum jest wszędzie, ludzie otaczają pałac i nikt się stąd nie wydostanie. Lepiej się stąd nie ruszać, by nie narazić na niebezpieczeństwo siebie i innych.

Elżbieta z ociąganiem wróciła więc na swoje miejsce. Uświadomiłam sobie, że Gwardia Narodowa zamierza nas bronić. Jeden z gwardzistów włożył czerwone czapki mnie i delfinowi. Czapka mego syna była tak duża, że całkiem zakryła mu twarz.

Słychać było krzyki z pokoju, w którym rewolucjoniści rozmawiali z królem.

Zamarłam z przerażenia, zastanawiając się, co się dzieje z moim mężem. Później dowiedziałam się, że raz jeszcze udało mu się zaskarbić sobie ich szacunek. Trudno zrozumieć, jak człowiek, który nie potrafił podjąć decyzji, którego wyśmiewano jako głupca, potrafił tak zapanować nad motłochem, przychodzącym, żeby go zabić.

Sprawiły to niezwykle spokojny Ludwik i umiejętność patrzenia śmierci prosto w oczy. Ja wprawdzie nigdy nie okazałam strachu w obecności tych ludzi, ale na pewno wyczuwali moje przerażenie w pogardzie, którą im okazywałam. Natomiast Ludwik nigdy nie stracił ciepłych uczuć wobec swego ludu. Bez względu na wszystko, zawsze traktował tych buntowników jak swoje dzieci. To dodawało mu odwagi.

Gwardziści wołali, że ich powinnością jest bronić króla nawet za cenę własnej śmierci i że zamierzają dopełnić tego obowiązku.

Ale czy paru strażników mogłoby powstrzymać rozszalały tłum?

— Wycofać veto! — krzyczeli.

Gwardziści cały czas przypominali tłumowi, że wedle konstytucji król jest nietykalny.

— Nie mogę dyskutować z wami na temat weta — tłumaczył Ludwik spokojnie. — Zrobię jednak to, czego wymaga konstytucja.

Któryś z rebeliantów wystąpił naprzód, unosząc nóż trzymany w ręku.

— Proszę się nie lękać, Najjaśniejszy Panie — powiedział jeden z gwardzistów. — Będziemy bronić króla do upadłego.

Ludwik uśmiechnął się łagodnie.

— Proszę położyć rękę na mojej piersi, a przekona się pan, że wcale się nie boję.

Gwardzista zrobił to i aż krzyknął ze zdziwienia, nie mogąc zrozumieć, jak można zachować tak wielki spokój w takiej chwili.

Wszyscy bardzo się zdziwili, że serce króla bije w normalnym tempie.

Buntownicy, zbici z tropu w obliczu tak wielkiej odwagi, nie wiedzieli, co czynić. W końcu jeden z nich podał królowi czerwoną czapkę na czubku piki, a Ludwik naturalnym gestem nałożył ją sobie na głowę.

Motłoch zamilkł na chwilę, a potem zaczęto wznosić okrzyki na cześć króla.

Niebezpieczeństwo minęło.

Inna rzecz, że ci ludzie nigdy nie czuli takiego żalu do króla. Potem ruszyli do Komnaty Rady, gdzie znaleźli mnie i dzieci.

Grupa gwardzistów natychmiast otoczyła stół, który nas odgradzał od napastników.

— To ona! To Austriaczka! — krzyknął ktoś.

Delfin jęknął. Czerwona czapka zaczynała go dusić. Jeden z gwardzistów, dostrzegłszy moje spojrzenie, zdjął ją dziecku z głowy. Gdy jakaś kobieta podniosła protest, gwardzista krzyknął:

— Chcesz udusić niewinne dziecko?

To zawstydziło kobiety... bo były tam przede wszystkim kobiety. Odetchnęłam z ulgą. Czuję, jak mój syn ciągnie mnie za spódnicę, starając się ukryć twarz w jej fałdach, by nie patrzeć na ten przerażający świat.

Było tak gorąco. W zatłoczonym pokoju nie mieliśmy czym oddychać.

O, Boże, modliłam się po cichu, pozwól, by śmierć przyszła szybko.

Gdybyśmy umarli wszyscy jednocześnie, skończyłyby się nasze cierpienia.

Gwardziści naszykowali bagnety, a tłum przyglądał im się z niepokojem. Nie przeszkadzało to jednak ludziom wykrzykiwać obelg pod moim adresem. A ja znów się modliłam: Dobry Boże, zatkaj uszy moim dzieciom.

Pozostawała mi tylko nadzieja, że dzieci nic z tego nie rozumieją.

Do stołu podszedł człowiek, trzymający w dłoniach miniaturową szubienicę, na której wisiała szmaciana lalka. Zaczął śpiewać: „Antoinette na latarnię”.

Podniosłam wysoko głowę i udawałam, że go nie widzę.

Jedna z kobiet próbowała mnie opluć.

— Ladacznica! — krzyczała. — Nikczemna kobieta!

Moja córka przysunęła się do mnie, jakby chciała mnie bronić przed tą napaścią. Syn jeszcze mocniej przylgnął do mojej spódnicy. Popatrzyłam napastniczce prosto w oczy i zapytałam:

— Czy kiedykolwiek zrobiłam pani coś złego?

— Cały naród pograżyłaś w nędzy!

— Tak wam powiedziano, ale to nieprawda. Jako żona króla Francji i matka delfina jestem Francuzką. Nigdy w życiu nie ujrzę kraju, w którym się urodziłam. Mogę być szczęśliwa albo nieszczęśliwa tylko we Francji. I byłam tu szczęśliwa, kiedy mnie kochaliście.

Kobieta umilkła. Zobaczyłam, że usta jej drżą, a w oczach lśnią łzy.

Dokoła zapadła cisza. Wszyscy słuchali tego, co mówię.

Kobieta spojrzała na moje dzieci, a potem podniosła wzrok i powiedziała:

— Bardzo przepraszam, madame. Nie znałam pani. Ale widzę, że jest pani dobrą kobietą.

I odwróciła się cała rozszlochana.

To mi dodało odwagi. Trzeba spróbować uświadomić tym lu — dziom, że karmiono ich kłamstwami. Stając ze mną twarzą w twarz, zrozumieją, że się mylili.

Inna kobieta dorzuciła:

— Ona jest tylko kobietą... i matką.

To sprowokowało kilka sprośnych komentarzy, jednak coś się zmieniło. Jakby łzy tamtej kobiety odegnały krwiożercze instynkty. Tłum zaczął się rozchodzić.

Długo staliśmy za stołem, nim strażę oczyściły cały pałac, a potem, mijając rozbite drzwi i meble, poszliśmy do swoich apartamentów.

* * *

Domyśliłam się, że Axel dowie się o tych nowych zniewagach i że będzie się niepokoił. Usiadłam więc, żeby od razu do niego napisać.

Jeszcze żyję, choć sprawił to cud. Dwudziesty czerwca był straszny. Nie martw się jednak o mnie. Ufaj mojej odwadze.

Od tej pory mieszkaliśmy w zdemolowanym pałacu, a mnie nie opuszczało przekonanie, że lada moment spadną na nas jeszcze większe nieszczęścia. Robiło się coraz upalniej, napięcie rosło. Nie miałam wątpliwości, że to, co się wydarzyło w Tuileries, to tylko początek.

Poleciłam madame Campan, by zamówiła wатовaną kamizelkę, którą król mógłby nosić pod ubraniem, żeby gwardziści zdążyli przyjść mu z pomocą w razie ataku. Kamizelka z szerokim pasem została wykonana z piętnastu warstw włoskiej tafty. Kazałam ją przetestować — okazało się, że trudno ją przebić sztyletem, a nawet kulą.

Bardzo się bałam, że ktoś odkryje mój wynalazek i przez trzy dni sama ją nosiłam. Leżałam już w łóżku, gdy król ją mierzył. Pasowała jak ulał, usłyszałam jednak, że szepcze coś do madame Campan. Kiedy wyszedł, zapytałam ją, co mówił. Ociągała się z odpowiedzią, ale nalegałam.

— Proszę mi powiedzieć. Rozumiesz chyba, że będzie lepiej, jeśli zostanę poinformowana o wszystkim.

— Najjaśniejszy Pan oświadczył: „Wkładam ją tylko po to, żeby uspokoić królową. Oni nie zorganizują zamachu. Zmieniłi plany. Zamierzają zabić mnie w całkiem inny sposób”.

— Obawiam się, że król ma rację. — Westchnęłam. — Mówił mi kiedyś, że wszystko, co się tu dzieje, bardzo przypomina to, co się kiedyś wydarzyło w Anglii. Anglicy ucieli głowę swojemu królowi, Karolowi. Zdaje się, że zamierzają postawić mego męża przed sądem. A ja jestem cudzoziemką, droga Campan, w moim wypadku będą mieli znacznie mniej skrupułów. Sądzę, że w końcu mnie zamordują. Gdyby nie dzieci, wcale bym się tym nie przejmowała... Ale co z nimi będzie? Co będzie z dziećmi?

Moja droga Campan miała za wiele zdrowego rozsądku, żeby mi zaprzeczać. I jako osoba ogromnie praktyczna, natychmiast postanowiła zamówić dla mnie gorset podobny do tego, jaki dostał król.

Podziękowałam jej za troskę, lecz oświadczyłam, że nie będę go nosić.

— Jeśli mnie zabiją, moja droga Campan, będę szczęśliwa. To mnie w końcu uwolni od wszystkich cierpień. Martwię się tylko o dzieci. Ale one mają przecież ciebie i naszą dobrą panią Tourzel. Chyba nawet ci ludzie nie mogliby postąpić okrutnie z dziećmi. Pamiętam, jak wzruszyła się ta kobieta. Właśnie z powodu dzieci. Nie, nawet oni ich nie skrzywdzą. A więc... gdy mnie już zabiją, nie płaczcie nade mną. Pamiętajcie, że dzięki temu rozpocznę znacznie szczęśliwsze życie.

Pani Campan bardzo poważnie się zaniepokoiła. Przez cały duszny lipiec nie kładła się do łóżka. Czuwała w mojej sypialni, drzemiąc czujnie, gotowa zerwać się, gdy tylko usłyszy coś podejrzanego. Sądzę, że przynajmniej raz uratowała mnie od śmierci.

O pierwszej w nocy wyrwał mnie z drzemki szept pochylonej nade mną Campan.

— Madame! Ktoś się skrada w korytarzu.

Usiadłam na łóżku bardzo zaskoczona. Korytarz ciągnął się wzdłuż całego mojego apartamentu, prowadziło do niego dwoje drzwi.

Pani Campan wpadła do pokoiku, w którym spał lokaj. On także usłyszał czyjeś kroki i gotów był do działania. Po chwili doszły nas odgłosy szarpaniny.

— Och, droga Campan! — powiedziałam i objęłam moją wierną służącą. — Cóż bym zrobiła bez takich przyjaciół jak ty? Obelgi za dnia, zamachy w nocy. Jak się to wszystko skończy?

— Najjaśniejsza Pani może polegać na swojej służbie.

Miała rację, bo lokaj właśnie w tym momencie wszedł po pokoju, wlokąc za sobą jakiegoś człowieka.

— Znam tego drania, madame — powiedział. — To jeden z pokojowych króla. Przyznał się, że wyciągnął śpiącemu królowi klucz z kieszeni.

Złoczyńca był niewysoki, a lokaj postawny i silny. I całe szczęście, bo w przeciwnym razie ta noc mogłaby się skończyć całkiem inaczej. Niedoszły zamachowiec chciał zaskarbić sobie wdzięczność motłochu, robiąc to, czego tłum bez przerwy hałaśliwie się domagał.

— Zamknę go na klucz, madame — zaproponował lokaj.

— Nie — zaprotestowałam. — Proszę go puścić. Proszę go wyrzucić z pałacu. Przyszedł mnie zamordować i gdyby mu się udało, ludzie już jutro nosiliby go na rękach.

Lokaj posłuchał mnie, a gdy wrócił, podziękowałam mu i powiedziałam, jak bardzo mi przykro, iż naraził się na takie niebezpieczeństwo z mojego powodu. Odparł na to, że wcale się nie bał, bo ma przy sobie parę doskonałych pistoletów tylko po to, by bronić mego życia.

Tego rodzaju przejawy lojalności zawsze mnie bardzo wzruszały. Gdy wróciłyśmy do sypialni, powiedziałam madame Campan, że dobroć takich ludzi jak ona i ten lokaj nigdy nie zostałyby należycie doceniona, gdyby los nie skazał mnie na takie straszne przejścia.

Pani Campan była wzruszona, ale bardziej zaprzętało ją planowanie wymiany wszystkich zamków, zarówno u mnie, jak i u króla.

* * *

Zaczął się okres wielkiego terroru. Maszynę wprawili w ruch nowi rewolucjoniści, którzy przybyli do stolicy z Marsylii — ludzie niewysocy, ciemnowłosi, silni, okrutni i żądni krwi.

* * *

Przynieśli ze sobą pieśń, którą skomponował jeden z ich oficerów, Rouget de Lisie. Wkrótce śpiewał ją cały Paryż, a nazwano ją „Marsylianką”. Krwiożercze słowa i zagrzewająca do boju melodia. Nic dziwnego, że ta pieśń zdobyła wielką popularność. Zastąpiła najpopularniejszą do tej pory „Ca Ira”. Gdy słyszałam jej słowa, ogarniał mnie dreszcz przerażenia. Prześladowała mnie dniem i nocą. Wydawało mi się, że słyszę ją w środku bezsennych nocy.

*Allons, enfants de la patrie,
Le jour de gloire est arrive.
Contre nous de la tyrannie
Le couteau sanglant est leve
Le couteau sanglant est leve
Entendez-vous dans ces campagnes
Mugir ces feroces soldats?
Ils viennent jusque dans nos bras
Egorger nos fils, nos compagnes.
Aux armes, citoyens!
Formez vos bataillons!
Marchons! Marchons!
Qu'un sang impur
Abreuve nos sillons.*

Idźmy, Ojczyzny synowie!

*Wybiła godzina chwały.
Już tyrani na nas w znowie,
Już sztandary ich powiały.
Rozpuszczają swe zagony,
Słysząc wściekłość ich żołnierstwa;
Idą z niemi mordy, zdzierstwa,
Idą brać nam żony, dzieci.
Do broni Obywatele!
Stańmy śród walecznych szyków,
Idźmy, niechaj się zaściele
Ziemia trupem najeźdźników.**

Ogrody Tuileries zawsze były zatłoczone. Gapie zaglądali w okna pałacu. W każdej chwili jedna iskra mogła wzniecić wielki pożar. Nie mieliśmy pojęcia, jakich nieprawości dopuszczają się ci ludzie w ciągu najbliższej godziny. Straganiarze zachwalali swoje pamflety pod moimi oknami: „Skandaliczne życie Marie Antoinette!”. Sprzedawali także figurki przedstawiające mnie w bardzo nieprzyzwoitych pozach w objęciach mężczyzn i kobiet.

— Po co mam dalej żyć? — pytałam madame Campan. — Po co tyle starań, by ratować życie, które nic nie jest warte?

Opisywałam to wszystkiemu Axelowi. Napisałam, że wkrótce zginiemy — o ile nasi sprzymierzeńcy nie wydadzą manifestu, że Paryż zostanie zaatakowany, jeżeli stanie się nam coś złego.

Wiedziałam, że Fersen robi wszystko, co w jego mocy. Nikt nigdy nie działał bardziej niestrudzenie w żadnej sprawie.

Gdyby tylko król miał choć połowę energii Axela! Próbowałam zagrać go do czynu. Pod naszymi oknami postawiono strażę. Gdyby pokazał ludziom, że to on jest tu panem, zaczęliby go słuchać. Widziałam przecież, że nawet na najokrutniej — szych przywódców rewolucji działa królewska, pełna godności postawa Ludwika. Błagałam, by zrobił przynajmniej przegląd Gwardii.

Pokiwał głową. Uznał, że mam rację. Serce mi się krajało, gdy patrzyłam, jak się porusza między szeregami gwardzistów. Utył tak bardzo, że teraz nie mógłby już polować.

— Mam do was zaufanie — powiedział żołnierzom. — Ufam bez reszty mojej straży.

Usłyszałam głośny chichot. Jeden z gwardzistów opuścił szereg i naśladował niezgrabny chód mojego męża. Ludwikowi zabrakło królewskiej godności. Jakże byłam głupia, licząc, że zdołają okazać.

Odetchnęłam z ulgą, gdy wrócił. Odwróciłam wzrok, by nie patrzeć na wyraz poniżenia na jego twarzy.

— La Fayette ochroni nas przed fanatykami — powiedział. — Nie powinnaś popadać w rozpacz.

— Zastanawiam się tylko — odparłam z goryczą — kto nas ochroni przed panem de La Fayette?

* * *

Napięcie sięgnęło szczytu, gdy książe Brunszwiku ogłosił manifest w Koblencji. Paryż zostanie zaatakowany, jeśli królowi lub królowej spadnie włos z głowy.

* Polski przekład „Marsylianki” Brunona Kicińskiego. 1820 r.

Tylko czekano na ten sygnał. Agitatorzy podwoili swoje wysiłki. Po Paryżu maszerowały grupy łachmaniarzy i oberwańców, śpiewając „Marsylianke”.

Mówiono, że w Tuileries powstaje spisek kontrrewolucyjny.

Dziesiątego sierpnia manifestanci ruszyli w stronę Tuileries.

Mieliśmy pełną świadomość, że nadciąga wielka burza. Całą noc z dziewiątego na dziesiąty sierpnia spędziłam w ubraniu. Wędrowałam po korytarzach w towarzystwie pani Campan i księżnej de Lamballe. Król spał, ale też w ubraniu. Gdy rozdzwoniły się dzwony, dołączyła do nas Elżbieta.

Wszyscy razem patrzyliśmy na wschodzące słońce. Była czwarta nad ranem i niebo wyglądało tak, jakby stało w czerwonych płomieniach.

— Paryż widział chyba coś podobnego w noc świętego Bartłomieja — powiedziałam do mojej szwagierki.

Chwyła mnie za rękę.

— Musimy trzymać się razem.

— Gdy wybije moja godzina, a ty mnie przeżyjesz...

Pokiwała głową.

— Dzieci. Będę je traktowała jak własne.

Cisza, która zapadła, gdy dzwony umilkły, była jeszcze bardziej niepokojąca. Markiz de Mandat, komendant Gwardii Narodowej, który wiele razy uchronił nas przed śmiercią, został wezwany do Hôtel de Ville. Patrzyliśmy, jak odchodzi, nękani złymi przeczuciami, a parę minut później w Tuileries zjawił się posłaniec, który nam powiedział, że markiz został brutalnie zamordowany, nim dotarł na miejsce, i że jego ciało wrzucono do Sekwany. Wiedziałam, że katastrofa nadciąga wielkimi krokami.

Prokurator Generalny Paryża, Roederer, chciał się zobaczyć z królem. Ludwik wstał z łóżka w pomiętym ubraniu, zaspany i zmęczony.

— Ludzie z przedmieść Paryża już nadciągają. Idą prosto na pałac, żeby dokonać masakry.

Król podkreślał, że ma pełne zaufanie do gwardzistów.

O Boże, pomyślałam, przez te jego sentymenty wszyscy zostaniemy zamordowani!

Gwardziści byli w pałacu, ale na wielu twarzach widziałam posępny wyraz. Przypomniałam sobie, jak drwili z Ludwika, gdy usiłował dokonać przeglądu straży. Przypomniałam sobie człowieka, który go przedrzeźniał.

— Cały Paryż tu idzie — ostrzegał prokurator Roederer. — Najjaśniejszy Pan będzie bezpieczny tylko w budynku Zgromadzenia Narodowego. Nie mamy ani chwili do stracenia. Nie damy sobie rady z tłumem. Obrona jest niemożliwa.

— W takim razie ruszajmy — powiedział król. — Trzeba wezwać wszystkich dworzan i służbę.

— Tylko Wasza Wysokość i rodzina królewska.

— Ależ nie możemy przecież opuścić dzielnych ludzi, którzy nas tu wspierali — zaprotestowałam. — Mamy ich wydać na pastwę motłochu?

— Jeśli Najjaśniejsza Pani się nie podporządkuje, poniesie pełną odpowiedzialność za śmierć króla i swoich dzieci.

Cóż mogłam zrobić? Myślałam o mojej drogiej Campan, o księżnej Lamballe, o pani de Tourzel... o tych, którzy byli mi równie bliscy jak rodzina.

Ale wiedziałam, że nic nie mogę zrobić, a mojej spódnicy rozpaczliwie czepiał się delfin.

Opuściliśmy pałac. Za ogrodzeniem stały już grupy ludzi, lecz nikt nie próbował nas zatrzymać. Na ziemi leżała gruba warstwa liści, choć był dopiero sierpień. Delfin kopał je niemal radośnie. Biedne dziecko przywykło już do tego rodzaju sytuacji i traktowało je jak coś zupełnie normalnego, nie okazując strachu, jak długo byliśmy wszyscy razem. Dojrzałam w tym pewną

pociechę. W oddali słyhać było krzyki. Tłum nadciągał coraz bliżej. Słyszałam już słowa „Marsylianki”...

— Liście bardzo wcześnie opadły w tym roku — zauważył spokojnie król.

Gdy zbliżaliśmy się do budynku Zgromadzenia, jakiś wysoki mężczyzna wziął delfina na ręce. Krzyknęłam ze strachu, ale on spojrział na mnie łagodnie i powiedział:

— Proszę się nie bać, nie zrobię mu krzywdy. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Nie mogłam oderwać oczu od dziecka. Byłam wręcz sparaliżowana z przerażenia, ale delfin uśmiechał się i mówił coś bardzo mądrze do człowieka, który go niósł.

Gdy dotarliśmy do gmachu, oddano mi syna. Podziękowałam nieznanemu i chwyciłam małego za rękę tak mocno, że zaczął narzekać na ból.

Usadzono nas w łoży dla dziennikarzy, a przewodniczący ogłosił, że Zgromadzenie Narodowe zgodnie ze złożoną przysięgą będzie bronić konstytucji i króla.

* * *

W drodze z Tuileries ukradziono mi zegarek i sakiewkę. Sama się roześmiałam, gdy przez chwilę żałowałam tej nic przecież nieznaczącej straty. Bo przez okna gmachu słyhać było krzyki tłumu, który dotarł wreszcie do Tuileries. Zastanawiałam się, jaki los spotka moich drogich przyjaciół. Myślałam zwłaszcza o księżnej de Lamballe, która była przecież bezpieczna w Anglii, ale wróciła ze względu na sentyment do mnie.

Zażałam bezgłośnie. Nie miałam pojęcia, co się z nami stanie. Nie mogliśmy przecież wrócić do ruiny, w którą motłoch bez wątpienia obróci pałac.

Czy to jednak miało jakieś znaczenie? Walczyliśmy, by nie stracić życia, które i tak nic nie było warte.

Rozdział 26

Więźniowie Temple

Gdy wybije moja godzina, będę wiedział, jak umrzeć.

Ludwik XVI

Francuzi, umieram niewinny wszystkich zbrodni, jakie mi zarzucono. Wybaczam tym, którzy skazali mnie na śmierć i modłę się, by moja krew nie spadła na Francję.

Ludwik XVI na szafocie

Usadzono nas w Temple. Oczywiście nie w zamku, który niegdyś był siedzibą templariuszy i do którego dawniej przyjeżdżałam saniami, by odwiedzić Artois i zjeść z nim obiad. Umieszczono nas w fortecy przylegającej do zamku, w ponurym więzieniu, dość podobnym do Bastylli, z wysokimi wieżami, małymi oknami i zacienionymi dziedzińcami. Zostaliśmy tam uwięzieni.

Zarządcą Temple był Jacques Renę Hebert, człowiek, którego bardziej idealistycznie nastawieni przywódcy, tacy jak Robespierre czy Desmoulins, nie znosili. Słyszał z okrucieństwa i całkowitego braku skrupułów, a rewolucję popierał nie dlatego, że wierzył, iż dzięki niej prostym ludziom będzie się żyło lepiej, ale dlatego, że dawała mu możliwość wyładowania brutalnych instynktów. Popularność i wpływy osiągnął dzięki swej gazecie „Pere Duchesne”, która przyczyniła się w znacznej mierze do rozzuchwalenia tłumów.

Ogarnęło mnie niekłamane przerażenie, gdy się okazało, że znaleźliśmy się w jego mocy. Zawsze traktował mnie bardzo zuchwale. Wiedziałałam, że zachowuje się tak, mając w pamięci wszystkie skandaliczne opowieści na mój temat. Czytałam w jego złych myślach i starałam się okazywać mu obojętność, co sprawiło, że wydawałam się jeszcze bardziej wyniosła niż zwykle.

Na szczęście byli też ludzie, którym zależało, by udowodnić nam i światu, że okrucieństwo nie należy do programu rewolucji. To oni starali się panować nad tłumem, to oni wyrwali nas z rąk żadnego krwi motłochu. To oni pragnęli wprowadzić reformy — ideały wolności, równości i braterstwa — konstytucyjnymi metodami. I w owym czasie to oni kontrolowali sytuację.

Dlatego nasze życie nie było tak bardzo uciążliwe, jakim bez wątpienia pragnęłyby je uczynić Hebert. Najwyższą wieżę dostosowano do naszych potrzeb. Król otrzymał do dyspozycji cztery pokoje, a ja z Elżbietą i dziećmi następne cztery. W trosce o naszą kondycję pozwalano nam nawet wychodzić na spacer — zawsze pod strażą. Nie brakowało nam jedzenia i picia, nie brakowało ubrań i książek.

Ze zdumieniem zauważyłam, że Ludwik i Elżbieta szybko przyzwyczaili się do tego życia. Ja byłam ulepiona z innej gliny! Wydawało mi się, że ci dwoje nie mają w sobie ducha. Elżbieta była taka pokorna i przyjmowała wszystkie cierpienia jako wolę Bożą. Może to nas właśnie różniło. Ona znajdowała oparcie w wierze, której mnie brakowało. W pewien sposób obojgu im zazdrościłam. Elżbieta miała swoją religię i często mówiła, że chętnie zostałaby zakonnicą, a tryb życia w Temple bardzo przypominał warunki klasztorne. Ludwik także miał swoją religię — miał jedzenie i picie, przesypiał większą część dnia i nocy. I gdy nikt mu nie kazał przelewać krwi swego ludu, popadał w swą zwykłą apatię i ociężałość.

To wszystko mnie przerażało, choć jednocześnie trochę oboje podziwiałam i trochę im zazdrościłam.

Czasami siadałam w oknie i patrzyłam, jak Ludwik bawi się z delfinem latawcem. Zawsze miły i cierpliwy, w ogóle nie wyglądał jak król.

Często słyszałam, jak prości ludzie, którzy mieli nas pilnować, karmieni plotkami i sensacjami na nasz temat przez gazetę Heberta, dziwili się, że król jest takim zwyczajnym człowiekiem, że bawi się z synem na dziedzińcu, mierząc dla rozrywki dziecka powierzchnię placu. Czasem widzieli, jak drzemie po obiedzie albo czyta coś po cichu. Widzieli także mnie, pochyloną nad haftem albo zajęłą dziećmi. Czułam zdziwienie tych ludzi. Zachowywałam się wyniośle, to prawda, ale czy naprawdę mogłam być bohaterką obrzydliwych skandali, popełnić te wszystkie czyny, o które mnie oskarżano? Czy Messalina mogłaby być dobrą matką, czytającą dzieciom książki?

Myślałam wtedy często, że gdybyśmy lepiej poznali prostych ludzi, a oni lepiej poznali nas, nie doszłoby do rewolucji.

Mijał wrzesień, ale wciąż było ciepło. Do Paryża napływały wieści o sukcesach Austriaków i Prusaków. Motłoch znów wyległ na ulice. Krzyczeli, że moi krewniacy już niedługo będą w Paryżu i zaczną mordować tych, którzy rzekomo źle traktowali królową.

Znów słyszałam krzyki: „Austriaczka na latarnię!”.

Krótką, uspokajającą drzemką dobiegła końca. Co nas teraz czeka?

Znów rozdzwoniły się dzwony.

Zebrałiśmy się wszyscy w jednym pokoju, nie chcąc się rozstawać w obliczu katastrofy.

— Może księżę Brunszwiku jest już w Paryżu — zastanawiał się król. — Może niedługo wyjdziemy na wolność.

Obyż tak było! Ja przestałam już żyć złudzeniami. Tłum kłębił się pod naszym więzieniem. Słyszałam, jak wołają:

— Antoinette, do okna! Chodź i zobacz, co ci przynieśliśmy!

Król podszedł do okna i od razu kazał mi się trzymać z dala.

Spóźnił się. Już wszystko zobaczyłam. Dostrzegłam pikę z zatkniętą głową mojej najdroższej przyjaciółki, księżnej de Lamballe.

Wiedziałam, że nigdy nie zdołam wymazać tego obrazu z pamięci. Tej ślicznej niegdyś twarzy, wykrzywionej przerażeniem, otoczonej wciąż pięknymi włosami... i ociekającej krwią.

Gdy nogi się pode mną ugięły, ucieszyłam się, że przynajmniej na chwilę nie będę świadoma tego, co się dzieje.

* * *

W jaki sposób mogliby mnie pocieszyć?

— Dlaczego wróciła? — rozpaczałam. — Przecież ją uprzedzałam. W Anglii byłaby bezpieczna. Czym zawiniła oprócz tego, że tak bardzo mnie kochała?

Przypominałam sobie wydarzenia z przeszłości. Jak serdecznie mnie witała, gdy przybyłam do Francji... znacznie cieplej niż reszta rodziny. Vermond uważał, że jest głupia. Och, moja najdroższa i najgłupsza Lamballe! Dlaczego opuściła bezpieczne schronienie, czemu chciała być ze mną, pocieszać mnie i dzielić cierpienia? Jakiż straszliwy koniec przypadł jej w udziale!

Całym sercem nienawidziłam tych wyjących na dole barbarzyńców. Pozwoliłam, by moja nienawiść przerodziła się we wściekłość. Tylko w ten sposób mogłam zapomnieć o bólu.

Potem przynieśli mi jej pierścień. Niedawno jej go ofiarowałam, miała go na palcu, kiedy tłum wyciągnął ją z więzienia, w którym ją umieszczono, gdy nas zamknięto w Temple.

Takie było żniwo wrześniowej masakry, kiedy to pozwolono mordować bez pardonu wszystkich więźniów, na których ciążyły poważne zarzuty.

Cóż za znakomita okazja dla motłochu, skoro nawet ktoś taki jak Danton zaaprobował samosądy! Iluż moich przyjaciół zginęło w tych dniach. W najstraszniejszych dniach w historii Francji.

Trzy tygodnie później znów usłyszeliśmy przerażające krzyki na ulicy. Znów zebraliśmy się wszyscy razem i czekaliśmy, nie wiedząc, co nas spotka.

Strażnicy twierdzili, że tłum nie jest rozwścieczony. Ludzie cieszyli się i tańczyli na ulicach. Wkrótce mieliśmy się dowiedzieć dlaczego.

Francja nie miała już króla. Historia monarchii dobiegła końca.

Natychmiast zaczęto nas traktować inaczej. Nikt nie mówił już do Ludwika: „Najjaśniejszy Panie”. Zwrot „Wasza Wysokość” traktowano jako zniewagę narodu. I jeden Pan Bóg wie, jaka kara mogła spotkać winowajcę.

Nie byliśmy już parą królewską, tylko małżeństwem Kapetów.

— To nie jest moje nazwisko. To nazwisko kogoś z moich przodków, ale nie moje — powiedział Ludwik.

Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi. Od tej pory byliśmy dla nich rodziną Kapetów — taką samą jak wszystkie. Z tą różnicą, że wciąż obrzucano nas obelgami i grozono nam śmiercią.

* * *

Hebert rozkoszował się obrażaniem nas. Z wielkim upodobaniem nazywał Ludwika „Kapetem” i zachęcał do tego strażników. Od tej pory ziewali nam przed nosem, siedzieli rozparci na krzesłach, spluwali na podłogę i starali się wszelkimi innymi sposobami przypominać nam, że zostaliśmy odarci z królewskiej godności.

Ale tylko przez pewien czas. Król nie przestał być symbolem. Wciąż znajdowali się tacy, co nie wymazali przeszłości z pamięci i potajemnie okazywali nam szacunek, o którym nie mogli zapomnieć tylko dlatego, że ktoś im powiedział, iż we Francji nie ma już króla.

Mieliśmy tylko dwoje służących, Tisona i Clery’ego. Tison był starym, złym człowiekiem, znęcał się nad żoną i zmuszał ją, by nas szpiegowała. Oboje spali w pokoju, przylegającym do sypialni, którą dzieliłam z delfinem. Moja córka spała w pokoju razem z Elżbietą. Szklana ściana umożliwiała tym dwojgu ciągłą obserwację naszych poczynań, więc nigdy nie czuliśmy się bezpiecznie.

Król wstawał o szóstej. Potem przychodziła pani Clery, by uczesać mnie, Elżbietę i moją córkę. Wszyscy razem jedliśmy śniadanie.

Wraz z Ludwikiem zajęliśmy się edukacją naszego syna, mojemu mężowi zależało bowiem bardzo na tym, żeby delfin nie wyrósł na ignoranta. Często powtarzał ze smutkiem, że nie pozwoli, by edukacja jego syna została zaniedbana, tak jak jego własne wykształcenie. Starał się zwłaszcza zapoznać delfina z literaturą i kazał mu uczyć się na pamięć fragmentów z Racine’a i Corneille’a, co chłopiec robił z wielką przyjemnością. Ale przez cały czas byliśmy pod obserwacją. Pamiętam, jak kiedyś tłumaczyłam małemu jakieś wzory, a strażnik, który nie potrafił czytać, wyrwał mi książkę i zarzucił, że uczę go pisania szyfrem.

Tak nam mijały dni. Gdyby nie przygnębiające otoczenie, gdyby nie ta ciągła inwigilacja, mogłabym nawet być dość szczęśliwa, wiodąc owo proste życie. Przebywałam z dziećmi znacznie więcej niż w Wersalu, byliśmy ze sobą coraz bardziej związani. O synu piszę znacznie więcej niż o córce, ale nie dlatego, że mniej ją kochałam. Madame Royale była łagodna i miła z natury, nie miała gwałtownego temperamentu swego brata. Pod wieloma względami przypominała Elżbietę i była mi wielką pociechą. Lecz znacznie bardziej się martwiłam o Ludwika Karola, ponieważ był delfinem. Staralam się zapewnić mu jak najlepsze warunki.

* * *

Jedliśmy posiłki tak samo jak każda inna rodzina, potem król ucinął sobie drzemkę, jak zwykły ojciec. Ja czasami czytałam na głos książki historyczne. Potem Elżbieta i Marie Thérèse czytały coś lżejszego — „Baśnie z 1001 nocy” albo „Ewelinę” panny Burney. Król budził się i prosił, by przeczytać mu parę zagadek z „Mercure de France”. Na szczęście mieliśmy oparcie w sobie nawzajem.

Zawsze znalazło się coś do szycia, bo obie z Elżbietą cerowałyśmy i naprawiałyśmy nasze ubrania.

Codziennie musieliśmy wszyscy znosić różnorakie upokorzenia, przypominano nam, że jesteśmy więźniami, że nie różnimy się niczym od innych Francuzów, a nawet, że różnimy się na niekorzyść, bo ci, którzy nas więzili, są przynajmniej wolnymi ludźmi. Mieliśmy jednak przyjaciół. Turgy, który podawał nam jedzenie, był z nami jeszcze w Wersalu (to on otworzył drzwi do *oeil de boeuf*, gdy motłoch deptał mi po piętach), a teraz informował nas na bieżąco o tym, co się dzieje w Paryżu. Madame Clery stawała pod murami Temple i głośno powtarzała najnowsze wiadomości. Zauważyłam nawet, że strażnicy, którzy na początku pałali do nas nienawiścią, zmienili się, widząc nas wszystkich razem, w sytuacjach zupełnie nieprzystających do plotek, którymi ich karmiono. Pokazywałam im kosmyki włosów moich dzieci i opowiadałam, ile miały lat, kiedy im je ścinałam. Przewiązałam je pachnącą wstążką i trochę nad nimi płakałam. Wówczas niektórzy srodzy strażnicy odwracali się, by ukryć wzruszenie.

Nic jednak nie trwa wiecznie. Mój mąż miał rację, gdy mówił, że tamci nie szykują żadnego zamachu, bo zamierzają zabić go w inny sposób.

Powiedziano nam, że król będzie sądzony za zdradę.

Najpierw pozbawiono nas wszelkich ostrych narzędzi — nożyczek, noży, nawet widelców, które zawsze nam zabierano po jedzeniu. A pewnego wieczoru Ludwik dowiedział się, że odtąd nie wolno mu się z nami kontaktować.

To był straszny cios. Uwierziliśmy już bowiem, że przetrwamy wszystko, jeśli tylko będziemy razem. Płakaliśmy gorzko, lecz na nic się to zdało. Zostaliśmy rozdzieleni.

I wówczas zaczęły się tygodnie wypełnione oczekiwaniem. Nie miałam pojęcia, co się dzieje z Ludwikiem. Wiedzieliśmy tylko, że król nie jest już więźniem pod obserwacją, ale skazańcem.

Czekałam na jakieś informacje. Czasami słyszałam kroki mojego męża, bo uwięziono go w apartamencie pod nami.

Dwudziestego stycznia komisarze wezwali mnie, by powiedzieć, że możemy odwiedzić Ludwika.

Ogarnęły mnie straszne przeczucia, odgadłam bowiem, co to oznacza.

Skazali mojego męża na śmierć.

* * *

Nie mogę zapomnieć tego pokoju ze szklanymi drzwiami. Pod piecem stali czterej strażnicy. Paliła się tylko jedna lampka oliwna, rzucając nikłe światło. Gdy weszłam tam, trzymając za rękę delfina, król podniósł się z krzesła z wyplatany siedzeniem i podszedł, żeby mnie objąć.

Przytuliłam się do niego w milczeniu. Cóż mogłabym wyrazić słowami, nawet gdyby jakieś przeszły mi przez gardło?

Zobaczyłam, że Elżbieta płacze po cichu, a wtóruje jej moja córka. Gdy delfin zaczął głośno szlochać, ja także nie mogłam powstrzymać się od łez.

Ludwik próbował nas wszystkich uspokoić. Sam okazywał niewiele emocji i z wielkim bólem patrzył na nasze cierpienia.

— Czasem się zdarza — powiedział — że król musi zapłacić za błędy swoich przodków.

Nie zapomnę jego postaci w brązowym surducie i białej kamizelce, jego lekko przypudrowanych włosów i przeprasającego wyrazu twarzy. Miał stąd odejść sam, miał nas zostawić bez opieki na tym strasznym świecie — i za to przepraszał.

Starając się nas uspokoić, mówił o procesie, o pytaniach, na które nie umiał odpowiedzieć. Oświadczył trybunałowi, że nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. Kochał swój lud, jak ojciec kocha swoje dzieci.

Z wielkim poruszeniem opowiadał, że wśród sędziów był także jego kuzyn, diuk Orleanu.

— Gdyby nie mój kuzyn — powiedział — nie zostałbym skazany na śmierć. To jego głos przechylił szalę.

Ludwik nie mógł pojąć, jak człowiek, który razem z nim się wychowywał, mógł zniechęcić go tak bardzo, by pragnąć jego śmierci.

— Ja zawsze go nienawidziłam — odrzekłam. — Od samego początku wiedziałam, że jest naszym wrogiem.

Ludwik położył swoją dłoń na mojej ręce i prosił, bym wyzbyła się nienawiści i ze wszystkim się pogodziła. Znał moją dumę, ale pragnął przekazać mi jedną radę: jeśli wówczas, gdy nadejdzie moja kolej, zdołam stawić czoło śmierci równie odważnie jak on, będę błogosławiona.

Biedny mały Ludwik Karol rozumiał, że jego ojciec niedługo umrze i nie krył żalu.

— Dlaczego? Dlaczego? — płakał z gniewu. — Przecież papa jest dobrym człowiekiem. Dlaczego oni chcą ciebie zabić? Ja ich zabiję... ja...

Mój mąż wziął małego na kolana i powiedział:

— Chciałbym, żebyś teraz podniósł rękę i przysiągł, że spełnisz ostatnią wolę swojego ojca.

I mały chłopiec podniósł rękę i przysiągł, że będzie kochać morderców swojego ojca.

Nadeszła chwila, w której król miał nas opuścić. Przytuliłam się do niego i zapytałam:

— Zobaczymy się jutro?

— O ósmej — powiedział Ludwik spokojnie.

— O siódmej! Zobaczymy się o siódmej.

Pokiwał głową i polecił, bym zajęła się naszą córką, która zemdląca. Mój syn pobiegł do strażników, wołając, by zaprowadzili go do tych panów z Paryża, bo chciałby ich poprosić, żeby nie kazali papie umierać.

Wzięłam go na ręce i próbowałam pocieszyć. A potem rzuciłam się na łóżko i leżałam, tuląc do siebie dzieci. Elżbieta klęczała koło łóżka i modliła się gorąco.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Wstałam wcześniej rano i czekałam na niego. Ale nie przyszedł.

Przyszedł tylko Clery.

— Obawiał się, że to was wszystkich za bardzo wzruszy — powiedział.

Siedziałam i myślałam o Ludwiku. Myślałam o naszym pierwszym spotkaniu i o tym, które okazało się ostatnim.

Czas przestał dla mnie istnieć. Odrętwiałam z nieszczęścia. I wtedy nagle usłyszałam bicie w bębny i okrzyki ludzi.

Pod moimi oknami tłum wrzeszczał:

— Niech żyje Republika!

To oznaczało, że jestem już wdową.

Rozdział 27

W przedsionku śmierci

Veuille Dieu tout-puissant sauver unetete si chere. J'aurais trop perdu si je la perds.

Oby Bóg Wszechmogący raczył ocalić tak cenną dla mnie istotę. Zbyt dużo bym stracił, gdyby przyszło mi ją utracić.

Axel de Fersen

Moja droga Sophie, na pewno słyszałaś już o tej straszliwej katastrofie. Królową przeniesiono do Conciergerie i wydano dekret, wedle którego ma być sądzona przez Trybunał Rewolucyjny. Kiedy się o tym dowiedziałem, pożegnałem się z życiem, bo trudno nazwać prawdziwym życiem egzystencję, którą teraz wiodę, i cierpienia, które muszę znosić. Gdybym sam mógł zrobić cokolwiek, by ją uwolnić, nie cierpiałbym tak bardzo, ale mogę jedynie prosić innych o pomoc... Oddałbym życie, by ją uratować, ale to niemożliwe. Byłbym szczęśliwy, umierając za cenę jej wolności...

Axel de Fersen do swej siostry Sophie

Non, jamais il n'a aura plus pour moi de beauxjours, mon bonheur est passe et je suis condamne a d'eternels regrets et a trainer une vie triste et languissante.

Już nigdy nie powrócą piękne dni, moje szczęście przeminęło, jestem skazany na wieczny żal i smutne, monotonne życie.

Axel de Fersen

Przynieśli mi żałobne stroje. Dostałam czarną suknię i halkę, czarne jedwabne rękawiczki, dwa szale z czarnej tafty i czarny płaszcz. Patrzyłam na to wszystko całkiem obojętnie, przekonana, że niewiele czasu mi pozostało.

Przestałam schodzić na dół, nie byłam bowiem w stanie przejść koło apartamentu, zajmowanego tak niedawno przez króla. Dla odmiany wchodziliśmy na szczyt wieży, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Spacerowaliśmy po górnej galerii.

Toulan, jeden ze strażników, przyniósł mi pierścień i kosmyk włosów Ludwika. Skonfiskowała je wprawdzie Republika, ale Toulan zdołał wykraść te rzeczy, sądząc, że mnie pocieszy. Toulan! Człowiek, który uczestniczył w najściu na Tuileries, który przyczynił się do naszego upadku! Mianowano go szefem straży ze względu na szczególnie radykalne rewolucyjne poglądy i jego lojalność wobec sprawy. Zapomniano jednak, że on także ma serce. Widziałam łzy w jego oczach, widziałam, jak podziwia naszą postawę. To był odważny człowiek. Jeszcze jeden strażnik, niejaki Lepitre, także przeszedł na naszą stronę.

Sprzyjali nam także Clery, królewski kamerdyner i Turgy, który dawniej pomagał w wersalskiej kuchni. Ten bardzo wygadany, nawet bezczelny mężczyzna, a przy tym bardzo odważny, dzięki zmyślonemu opowieściom o swym rewolucyjnym zapale został jednym z moich strażników.

Wdzięczna jestem losowi za towarzystwo tych lojalnych ludzi. Dzięki nim odzyskałam odrobinę nadziei w owe najczarniejsze dni. Przez kilka pierwszych tygodni po śmierci Ludwika siedziałam apatycznie i myślałam o przeszłości, pełna żalu, oskarżając się o najróżniejsze szaleństwa.

Rozmawiając z przyjaciółmi, opłakiwałam króla. To Toulan pierwszy powiedział:

— Madame, Francja ciągle ma króla.

I miał rację. Mój mały synek był przecież teraz Ludwikiem XVII. Gdybym tylko zdołała wydobyć go z więzienia... gdybym mogła dołączyć do naszych przyjaciół...

Wówczas znowu wstąpiło we mnie życie. Miałam przed sobą jakiś cel.

Moi najbliżsi bardzo się ucieszyli, widząc we mnie taką odmianę. Uświadomiłam sobie, że to ja stanowią centrum naszego małego kręgu, bo Elżbieta była zbyt pasywna, a dzieci za małe. Toulan i Lepitre wszelkimi sposobami starali się przekazywać mi najświeższe informacje. Turgy, który podawał nam posiłki, owijał liścikami korki od butelek. Tisonowie, którzy dokładnie badali chleb i wszystkie dania, nigdy nie odkryli tego sposobu komunikacji. Turgy czasami przynosił jakieś listy w kieszeni i na umówiony sygnał podawał je nam błyskawicznie. Z nagłówek gazet, które madame Clery wykrzykiwała pod naszymi oknami, dowiedziałam się, że całą Europę wprawiła w szok egzekucja Ludwika. Nawet w Filadelfii i Wirginii ludzie byli wstrząśnięci tą informacją. Co innego potępić zmierzającą ku tyranii monarchię, ale co innego bez skrupułów zabić króla, który nie mógł przecież być w pełni odpowiedzialny za jej winy.

Potęgująca się dezaprobatą świata wcale nie wpłynęła na sposób, w jaki Republika nas traktowała. Jeżeli zaś wpłynęła — to tylko negatywnie.

Kiedy się dowiedziałam, że Axel próbował skłonić do działania Mercy'ego, że wymusił na staruszku, by poprosił księcia Co — bourgu o wysłanie regimentu, który uwolniłby mnie z Temple — na co oczywiście książę się nie zgodził — wstąpiły we mnie nowe siły. To był kolejny plan kochanka a nie stratega, podobnie jak koncept ucieczki do Varennes. Te próby świadczyły o jego ogromnym lęku o moje bezpieczeństwo, chociaż było w nich za wiele uczucia a za mało praktyczności. Ale jeszcze bardziej go za to kochałam.

Z innego nagłówka dowiedziałam się, że Jacques Armand zginął w czasie bitwy pod Jemappes. Ze smutkiem zaczęłam wspominać ślicznego chłopczyka, którego przygarnęłam, gdy tak bardzo pragnęłam mieć dzieci. I zajmowałam się nim, póki nie urodziłam własnych. A on nigdy mi nie wybaczył odrzucenia... i teraz, biedny chłopiec, zginął.

Mówiłam Elżbiecie o moich wyrzutach sumienia, a ona starała się mnie pocieszyć, tłumacząc, że tylko dzięki mnie dzieciak poznał zupełnie inne życie, ale jej odpowiedziałam:

— Wykorzystałam go, Elżbieto. Potraktowałam go jak zabawkę, która mnie zajmowała tylko przez pewien czas. Nie wolno tak wykorzystywać ludzi, teraz to rozumiem. Rozumiem znacznie więcej niż kiedyś. Żadna kobieta nie zapłaciła wyższej ceny za swoje kaprysy i szaleństwa niż ja. Jeśli otrzymałabym jeszcze jedną szansę...

— Dostaniesz ją — pocieszała mnie Elżbieta spokojnie. Ale ja wcale nie miałam tej pewności. Nie podzielałam jej wiary.

* * *

Co wieczór przychodził do nas *illuminateur*, aby zapalić lampy. Lubiłam jego wizyty, bo miał dwóch małych synów, a ja zawsze kochałam dzieci. Chłopcy byli dość brudni, a ubrania mieli

poplamione oliwą, bo pomagali ojcu w pracy. *Illumineur* nigdy nie patrzył w moim kierunku. Wielu ludzi takich jak on bardzo się bało posądzenia o rojalizm. Nie na darmo rewolucję nazywano terrorem. Całe rzesze jej zwolenników żyły teraz w ciągłym strachu, czy potwór, którego sami stworzyli, nie wyszczerzy na nich swoich kłów.

Czasami malcy patrzyli zazdrośnie najedzenie stojące na stole, a ja ich z przyjemnością częstowałam. Jedli łączywie i przyglądali mi się bacznie. Zastanawiałam się, jakie historie o królowej słyszeli.

Pani Tison denerwowała się na chłopców i przeszukiwała ich kieszenie, sprawdzając, czy nie dałam im jakiegoś listu.

Ze względu na obecność dzieci wizyty *illumineura* należały do najprzyjemniejszych momentów dnia w Temple.

Toulan zagadnął kiedyś tego człowieka, czy przyucza dzieciaki do zawodu, i uzyskał twierdzącą odpowiedź.

Gdy strażnik zobaczył, że dzieci patrzą na mnie z respektem, powiedział:

— I na co się tak patrzycie? Na tę kobietę? Nie ma się co rumienić, chłopcy. Teraz wszyscy jesteśmy równi.

Illumineur wyraził swoje poparcie, spluwając na podłogę.

Zdążyłam się już do tego przyzwyczaić. Zastanawiałam się, czy Toulan nie wyczuł jakiejś podejrzliwości w zachowaniu *illumineura* i czy to go nie skłoniło do rzucenia uwagi na temat powszechnej równości.

Wszyscy musieliśmy zachować daleko idącą ostrożność.

Byłam bardzo rozczarowaną, gdy *illumineur* zjawił się sam. Siedziałam ze wzrokiem wbitym w książkę.

— Najjaśniejsza Pani...

Podskoczyłam na krześle. *Illumineur* napełniał lampy niezbyt wprawnymi ruchami. Uświadomiłam sobie, że to nie ten sam człowiek.

— Jestem Jarjajes, madame. Generał Jarjajes.

— Dlaczego...

— Toulan przekupił *illumineura* i nieźle go napił w tawernie. Jestem w kontakcie z hrabią de Fersen...

Gdy wymienił to nazwisko, niewiele brakowało, a zemdlałabym ze szczęścia.

— Hrabia chce za wszelką cenę uwolnić Waszą Wysokość. Kazał mi przekazać, że nie spocznie, póki Najjaśniejsza Pani nie znajdzie się na wolności.

— Wiedziałam... wiedziałam...

— Musimy wszystko dokładnie zaplanować. Proszę być w gotowości. Toulan jest naszym dobrym przyjacielem. Lepitre też... ale jego musimy jeszcze sprawdzić.

Zobaczyłam sylwetkę pani Tison za drzwiami i starałam się dać znać memu rozmówcy, że ktoś nas obserwuje.

Generał podszedł do następnej lampy, a ja poczułam przypływ szalonej nadziei.

Axel o mnie nie zapomniał. I nie poddał się.

* * *

Toulan informował mnie o szczegółach planu. Miał przemycić do więzienia ubrania, w których delfin i jego siostra wyglądałoby jak synowie *illumineura*. Elżbieta i ja miałyśmy się przebrać za komisarzy miejskich. Bez trudu można było dostać kapelusze, płaszcze, buty i obowiązkowe trójkolorowe kokardki.

Całe przedsięwzięcie mogli udaremnić Tisonowie, którzy bez przerwy nas śledzili.

Ale Toulan był człowiekiem o niezwyklej wyobraźni.

— Oszłołomimy ich — powiedział.

Oboje bardzo lubili hiszpańską tabakę. Toulan miał im dostarczyć w niej coś, co sprawi, że stracą przytomność na wiele godzin. My w tym czasie zdążylibyśmy się przebrać i wyjść z więzienia w towarzystwie naszego strażnika. To był bardzo zuchwały, lecz wcale nie niemożliwy do wykonania plan.

— Potrzebny mi będzie paszport — powiedziałam, ale i o tym już pomyślano.

Lepitre miał to załatwić.

Nim ucieczka została odkryta, bylibyśmy już w Anglii.

Przygotowani na wszystko, czekaliśmy na właściwy moment.

Lepitre nie był już jednak zbyt odważny. Może za wiele od niego oczekiwaliśmy. Zdobył wprawdzie paszport, ale wystarczyła przypadkowa uwaga pani Tison, by zaczął się zastanawiać, czy sprawa się nie wydała.

Ten człowiek nie był w stanie odegrać swojej roli. Twierdził, że to zbyt ryzykowne. Proponował, by opracować inny plan i żebym uciekła sama.

Na to nie mogłam przystać. Nigdy bym się nie zgodziła, by rozdzielono mnie z dziećmi i Elżbietą. Napisałam do Jarjajesa:

Pomarzyliśmy sobie i to wszystko. Ale przy okazji przekonałam się, że jest mi Pan całym sercem oddany. Ufam Panu bezgranicznie. Przekona się Pan, że nie brak mi odwagi, ale troszcę się wyłącznie o mojego syna i pod żadnym pozorem nie mogłabym go opuścić. Życie bez moich dzieci mnie nie interesuje i dlatego nie żałuję, że plany spaliły na panewce.

Wysłałam mu także pierścień i kosmyk włosów mojego męża, żeby przekazał je braciom Ludwika, bałam się bowiem, że wkrótce te pamiątki zostaną skonfiskowane. Dołączyłam także woskowy odcisk pierścienia, który podarował mi Axel, z inskrypcją: „Wszystkie drogi prowadzą do Ciebie”. Napisałam:

Proszę, by przekazał to Pan człowiekowi, który przyjechał do mnie z Brukseli w ubiegłym roku. Proszę mu powiedzieć, że ta maksyma nigdy nie była prawdziwsza.

Powstał jeszcze jeden plan ucieczki, ale tym razem chyba od samego początku przeczuwałam niepowodzenie. Powoli utwierdzałam się już w przekonaniu, że mój los został przesądzony i nic mnie nie uratuje.

Baron de Batz, rojalista i miłośnik przygód, wymyślił plan, wedle którego ja, Elżbieta i Marie Thérèse miałyśmy opuścić więzienie w wojskowych uniformach gwardzistów, delfin zaś zostałby przemycony pod połą płaszcza.

Wszystko zostało przygotowane, ale Tisonowie nabrali podejrzeń i dzień przed planowaną ucieczką pani Tison doniosła na Toulana i Lepitre'a, oskarżając ich o nazbyt przyjacielskie stosunki ze mną.

W rezultacie obu ich przeniesiono i plan upadł.

* * *

Trudno mi opisać tę scenę. Ręka mi drętwieje, bo emocje z tą sprawą związane są w dalszym ciągu zbyt silne. Nikt nie zdołałby wymyślić straszliwszej tortury. W czasach smutku i bezbrzeżnej

rozpaczy całą pociechą były mi dzieci. To dzięki nim umiałam się zdobyć na wyniosłość i obojętnie traktować wszystkie wyzwiska i okrucieństwa. I wreszcie wpadli na pomysł, jak mnie rozbroić.

To było w lipcu. Panował niemiłosierny upał. Siedzieliśmy razem w jednym pokoju. Naprawiałam ubranie mojego syna, a Elżbieta czytała coś na głos.

Podniosłam wzrok ze zdumieniem, bo nie była to rutynowa wizyta. Do pokoju weszło sześciu komisarzy rewolucyjnych.

Zerwałam się na równe nogi.

— Panowie... — zaczęłam.

Gdy odezwał się jeden z nich, oniemiałam.

— Przyszliśmy zabrać Ludwika Karola Kapeta do nowego więzienia.

Krzyknęłam rozpaczliwie. Wyciągnęłam ręce do syna, a on podbiegł do mnie z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

— Nie możecie...

— Konwent uważa, że nadszedł czas, by Kapet zaczął się uczyć. Zajmie się nim obywatel Simon.

Siomon! Znałam tego człowieka. Latacz starego obuwia, ordynarny, brutalny, nieokrzesany typ.

— Nie, nie, nie! — krzyknęłam.

— Spieszmy się — powiedział jeden z mężczyzn. — Chodź no, Kapet. Wynosisz się stąd.

Czułam, że chłopiec kurczowo trzyma się mojej spódnicy, ale tamci już go za sobą ciągnęli.

Pobiegłam za nimi, lecz mnie odepchnęli. Upadłam w objęcia Elżbiety i mojej córki.

Poszli. Poszli, zabierając ze sobą mojego syna.

Nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Nigdy nie zapomnę, jak krzyczał, gdy go wynosili. Wołał mnie.

— Mamo... mammo... nie pozwól im!

To zdanie ciągle powraca w moich snach. Nigdy, nigdy o tym nie zapomnę. I nigdy, nigdy im tego nie wybaczę.

Znalazłam się na samym dnie rozpacz. Teraz nie mogło mnie już spotkać nic straszniejszego...

Jakże się myliłam, gdy tak myślałam. Okazało się, że potrafią wtrącić mnie w jeszcze większą rozpacz.

* * *

I tak zostałam bez syna.

Życie straciło sens. Był już dla mnie stracony... mój ukochany syn.

Jak można coś takiego wyrządzić kobiecie? Czy zrobili to, wiedząc, że póki mam go przy sobie, potrafię jakoś żyć, mieć nadzieję i nawet wierzyć, że w pewien sposób mogę jeszcze być szczęśliwa?

Leżałam na łóżku. Moja córka siedziała obok, trzymając mnie za rękę i powtarzała, że mam przecież ją. Nie wyobrażam sobie, jak przeżyłabym te dni, gdyby nie ona i nie Elżbieta.

* * *

Pani Tison zaczęła zachowywać się bardzo dziwnie. Może zresztą zachowywała się tak już od pewnego czasu. Nie zwracałam na nią uwagi. Myślałam tylko o moim synu, wydanym w łapy

ordynarnego szewca. Co tamci z nim robią? Czy płacze teraz za mną? Czasem wydawało mi się, że lepiej by było, gdyby umarł jak jego brat, zamiast przechodzić przez to wszystko.

Zdarzało się, że słyszałam, jak pani Tison krzyczy na swojego męża, innym razem słyszałam jej dziki szloch.

W końcu pewnego dnia weszła do mojego pokoju i rzuciła mi się do stóp.

— Madame — płakała — proszę mi wybaczyć. Chyba oszaleję, bo sprowadziłam na pani głowę to nieszczęście. Śledziłam panią... Zamordują panią, tak jak zamordowali króla... i to wszystko przeze mnie. Widuję go co noc... widzę jego zakrwawioną głowę... widzę, jak się toczy, madame, jak się toczy na moje łóżko. Najjaśniejsza Pani musi mi wybaczyć. Bo oszaleję, oszaleję...

Staralam się ją uspokoić.

— Zrobiła pani tylko to, co pani kazano. Proszę się nie obwiniać. Wszystko rozumiem.

— Te sny... te sny... te koszmary. One mnie nie opuszczają... Prześladowają mnie nawet w dzień. I nie opuszczają. To ja zamordowałam króla... ja... ja...

Do pokoju wpadły strażnicy i wyniosły ją na korytarz.

Madame Tison oszalała.

* * *

Z jednego z okienek na krętych schodach widać było dziedziniec, na który wyprowadzano mego syna, by zaczerpnął świeżego powietrza.

Jakże się ucieszyłam na jego widok po tylu dniach.

Nie wyglądał już jak mój syn. Miał potargane włosy, brudne ubranie, a na głowie poplamioną czerwoną czapkę frygijską.

Nigdy go nie wołałam. Bałam się, że to go przygnębi. Ale mogłam stać i patrzeć na niego. Przychodził tam codziennie o tej samej porze, znowu więc miałam jakiś powód, żeby żyć. Nie mogłam z nim rozmawiać, ale mogłam na niego patrzeć.

Cieszyłam się, że nie wygląda na nieszczęśliwego. Dzieci szybko się przyzwyczajają do nowych warunków. To dobrze. Ale widziałam, co tamci z nim robią. Chcieli go uczynić dzieckiem rewolucji, takim samym jak oni. Zrozumiałam, że nauczyciel Ludwika Karola miał przede wszystkim pozbawić go królewskiej godności i sprawić, by chłopiec zapomniał, że w jego żyłach płynie królewska krew — udowodnić, że nie ma żadnej różnicy między synem króla a synem zwykłego obywatela.

Zadrżałam, gdy usłyszałam jego krzyki.

Słuchałam śpiewu mojego syna. Czy nie powinnam się cieszyć, że Ludwik Karol śpiewa?

— *Allons, enfants de lapatrie...*

Idźmy, ojczyzny synowie...

Pieśń krwawej rewolucji. Czy zapomniał już o ludziach, którzy zamordowali mu ojca?

Słuchałam, jak dobrze mi znany głosik śpiewa:

— *Ah, ça ira, ça ira, ça ira,
En depit des aristocrates et de la pluie,
Nous nous mouillerons, mais ca finira...,
Ça ira, ça ira, ça ira.*

*Choć się wokół czai zdrada
A deszcz pada, pada, pada...
Choć się do cna przemoczymy,
Wszystkich panów uśmiercimy i*

— Och, mój synu — wzdychałam — już cię nauczyli zdrady. Ale żyłam tylko dla tych chwil, w których stawałam w oknie i patrzyłam, jak mój syn się bawi.

* * *

Parę tygodni później, w samym środku nocy usłyszałam puka nie do drzwi.

W moim pokoju znów zjawili się komisarze. Konwent wy dał dekret, zgodnie z którym wdowa po Kapecie ma stanąć przed sądem. Dlatego należy ją przenieść z Temple do Conciergerie.

Wiedziałam, że to oznacza wyrok śmierci. Mój proces będzie wyglądał tak samo, jak proces Ludwika.

Kazali mi się przenieść natychmiast.

Pozwolili jednak pożegnać się z córką i szwagierką.

Błagałam, by mnie nie oplakiwały, i odwróciłam się szybko, żeby nie widzieć ich posępnych spojrzeń.

— Jestem gotowa — powiedziałam.

Poczułam nawet przyływ energii na myśl o śmierci.

Schodziłam po schodach koło okienka, przez które patrzyłam na dziedziniec. Już nigdy... nigdy więcej go nie zobaczę. Zachwiałam się i uderzyłam głową o kamienny łuk.

— Zraniła się pani? — zapytał jeden ze strażników, powodowany ludzkim odruchem, które czasem zdarzały się tym brutalnym mężczyznom.

— Nie — odparłam. — Teraz już nic nie może mnie zranić.

* * *

A więc jestem tu... w Conciergerie.

To najbardziej ponure więzienie w całej Francji. W czasach terroru rewolucji zastępowało jako poczekalnia skazańców. Czekam teraz na wyrok śmierci, jak przedtem tylu ludzi czekało w przedpokojach Wersalu, żeby mnie zobaczyć.

Wiem, że niewiele czasu mi już pozostało.

Zdziwiłam się bardzo, gdy doznałam tu ludzkiej życzliwości. Pilnuje mnie pani Richard, całkiem inna niż pani Tison. Od razu zobaczyłam w jej oczach współczucie. Poprosiła swojego męża, żeby przymocował kawałek dywanu na suficie, z którego woda kapiała na moje łóżko. Powiedziała mi, że kiedy szepnęła handlarce na targu, że kurczak, którego kupuje, jest przeznaczony dla mnie, tamta wybrała najbardziej dorodną sztukę.

Na wiele innych sposobów dawała mi do zrozumienia, że wciąż mam wielu przyjaciół.

Pani Richard miała syna w tym samym wieku co delfin.

— Nie przyprowadzam tu Fanfana, madame — tłumaczyła — bo boję się, że przypomni pani syna.

Kiedy jednak powiedziałam, że bardzo chciałabym go poznać, przyprowadziła chłopca. I rzeczywiście rozplakałam się, bo jego włosy były podobne do włosów delfina. Bardzo lubiłam z nim rozmawiać i czekałam na te wizyty.

Zdrowie przestało mi dopisywać. Zaczęło mnie łącać w kościach od wilgoci, dokuczały mi hemoroidy. Cella była niewielka i prawie pusta. Tapeta pokrywająca wilgotne ściany w wielu miejscach się odklejała. Znałam każdy skrawek ułożonej w jodełkę kamiennej podłogi, bo całymi godzinami się w nią wpatrywałam. Łóżko i parawan stanowiły jedyne umeblowanie. Cieszyłam się, że jest tu przynajmniej parawan, ponieważ zmęczona ciągłą inwigilacją, znajdowałam dzięki niemu namiastkę intymności. Przez zakratowane okienko widziałam brukowany dziedziniec, bo moja cela znajdowała się w podziemiu.

Pani Richard oddała mi do dyspozycji jedną ze swoich służących, Rosalie Lamorliere, miłą i łagodną dziewczynę. Dzięki tym dwóm kobietom moje życie stało się znośniejsze.

Po wstawiennictwie pani Richard naczelnik więzienia, Michonis, zgodził się, by dostarczano mi informacje na temat Elżbiety i Marie Thérèse.

— Czy Republika może coś na tym ucierpieć? — pytała ta dobra kobieta.

Michonis, który miał miękkie serce, także uważał, że Republika nic na tym nie ucierpi. Przywiózł mi nawet trochę ubrań z Temple, mówiąc, że wybrała je dla mnie Elżbieta. Ucieszyłam się, bo pomimo rozpaczki nie przestałam być wrażliwa na punkcie swego wyglądu i łatwiej mi przychodziło znosić cierpienia z godnością, gdy byłam przyzwoicie ubrana. Z przyjemnością zrzuciłam więc długą czarną suknię, już postrzępioną na dole, i włożyłam bardziej stosowny strój. Oczy ciągle mi łzawiły. Bardzo mi brakowało porcelanowej miseczki, która w Temple służyła mi do ich przemywania. Rosalie przyniosła kupione okazjnie lustro. Zapłaciła za nie dwadzieścia pięć sous. Wydawało mi się, że nigdy w życiu nie miałam równie pięknego lusterka. Czerwoną ramkę zdobiły niewielkie rzeźbione figurki.

Jakże dłużej mi się tu dni! Nie mam żadnego zajęcia. Staram się trochę pisać, ale przyglądają mi się wtedy podejrzliwie. Strażnik zawsze siedzi w kącie mojej celi. Czasem jest ich dwóch, wtedy grają w karty. Pani Richard przyniosła mi trochę książek, więc sporo czytam. Udało mi się zachować małą skórzaną rękawiczkę, którą kiedyś nosił mój syn. To jeden z moich największych skarbów. Mam też portrecik Ludwika Karola. Często go całuję, gdy strażnicy nie patrzą.

Noce są tu takie długie. Nie wolno mi używać lampy ani nawet świecy. Zmiana strażników zawsze wytrąca mnie z drzemki. Bardzo mało śpiam.

* * *

Dziś do mojej celi przyszedł Michonis. Przyprowadził jakiegoś nieznajomego i na chwilę zwolnił strażników, mówiąc, że sam mnie przypilnuje. Nieznajomy zwiedzał więzienie. Zadałam kilka pytań na temat swojej rodziny. Gdy przyjrzałam się bliżej gościowi, rozpoznałam pułkownika grenadierów, bardzo lojalnego i odważnego kawalera de Rougeville. Zorientował się, że go poznałam, i szybkim gestem wrzucił coś do wygaszonego paleniska.

Gdy obaj wyszli, podbiegłam do pieca i ze zdumieniem wyjęłam z niego goździk. Dopiero po chwili zauważyłam, że między płatkami jest karteczka. A na niej słowa:

Nigdy o Pani nie zapomnę. W następny piątek przyniosę trzysta, czterysta liwrow dla ludzi, którzy teraz Panią otaczają.

Potem następowała propozycja kolejnej ucieczki i pytanie o moją zgodę na ten plan.

Znow wstąpiła we mnie nadzieja. Wierzyłam, że za tą kolejną próbą stoi Axel. Wiedziałam, że on nigdy nie ustanie w swoich wysiłkach. Są pieniądze, by przekupić strażników... znajdzie się sposób, żeby mnie stąd wydostać. A gdy już będę wolna, wydobędziemy z więzienia moją

szwagierkę i dzieci, i wszyscy razem pojedziemy do Axela. Zrobimy wszystko, by przywrócić monarchię i zakończyć ten straszliwy terror. Wierzyłam, że to możliwe. W tej wierze utwierdzało mnie postępowanie takich ludzi, jak pani Richard, Rosalie, Michonis.

Tylko jak przeszmuglować liścik do kawalera de Rougeville?
Oderwałam kawałek kartki i napisałam:

Polegam na Panu. Jestem gotowa na wszystko.

Postanowiłam znaleźć sposób, by dostarczyć tę wiadomość kawalerowi. Może weźmie ją Rosalie? Ale co będzie, jeśli ją nakryją? Nieładnie bym się jej odwdzięczyła za okazaną mi życzliwość.

Nie, nie będę jej w to mieszać. Ani jej, ani pani Richard. Poprosiłam jednego ze strażników, Gilberta, by dał tę karteczkę nieznanemu, gdy jeszcze raz odwiedzi więzienie. Obiecałam, że dostanie za to czterysta ludwików.

Gilbert wziął karteczkę, ogarnęło go jednak takie przerażenie, że pokazał ją pani Richard. Wprawdzie mi współczuła, lecz nie chciała ściągać niebezpieczeństwa na swoją głowę, poszła więc do Michonisa. To byli dobrzy ludzie i bardzo mnie żalowali, ale przecież służyli rewolucji. Nie chcieli mnie zdradzić, więc Michonis poradził, by pani Richard ostrzegła mnie przed niebezpieczeństwem, na które narażam nas wszystkich.

Gdyby Gilbert się nie przestraszył, byłaby to następna nieudana próba ucieczki. Potem zastanawiałam się, jak mogłam być tak głupia, by uwierzyć w powodzenie kolejnego planu.

Gilbert opowiedział o wszystkim swojemu przełożonemu, i Michonis oraz pani Richard zostali zwolnieni.

Teraz pilnuje mnie kto inny. Mili ludzie. Lecz wiedząc, co się stało z ich poprzednikami, na pewno nie podejmą żadnego ryzyka.

Brakuje mi tej dobrej kobiety. Brakuje mi małego Fanfana.

Jakże wolno mijają dni i noce.

Ale już wkrótce stanę przed sądem.

* * *

Dziś rano do mojej celi wszedł woźny sądowy w towarzystwie czterech żandarmów. Przyszli, żeby zabrać mnie do Wielkiej Izby, zwanej teraz Izbą Sprawiedliwości.

To siedziba Trybunału Rewolucyjnego. Tapety zdobione lilią burbońską zniknęły, na miejscu krucyfiksowi pojawił się obraz przedstawiający prawa człowieka. Kazali mi usiąść na ławie naprzeciwko Fouquier-Tinville'a, prokuratora generalnego. W sali było dość ciemno, paliły się tylko dwie świece.

Gdy zapytali mnie o imię, odpowiedziałam spokojnie:

— Marie Antoinette z domu austriacko-lotaryńskiego.

— Oskarżona utrzymywała polityczne kontakty z obcymi mocarstwami, sprzeczne z interesem Francji, czerpiąc z tego korzyści osobiste.

— To nieprawda.

— Oskarżona trwoniła francuskie pieniądze, owoc pracy w pocie czoła francuskiego ludu, na swoje przyjemności i intrygi.

— Nie — zaprzeczyłam, ale zrobiło mi się słabo. Przypomniałam sobie moją rozrzutność: Petit Trianon, stroje od madame Bertin, rachunki mistrza Léonarda. Czułam się winna... bardzo winna.

— W czasie trwania rewolucji oskarżona nie zaprzestała intryg przeciwko wolności, angażując zarówno obce mocarstwa, jak i przeciwników rewolucji w kraju.

— W czasie rewolucji przerwałam korespondencję zagraniczną i nigdy nie knułam żadnych intryg.

Ale to także nie była prawda. Kłamałam. Prosiłam przecież o pomoc Axela. Pisałam do Barnave'a i do Mercy'ego.

O tak, dowiodą mi wszystkich zarzucanych czynów, bo w ich oczach jestem winna.

— Oskarżona nauczyła Ludwika Kapeta obłudy, dzięki czemu tak długo udawało mu się oszukiwać francuski lud.

Zamknęłam oczy i pokręciłam głową.

— W czerwcu 1791 roku oskarżona otworzyła drzwi i zachęciła wszystkich do ucieczki. Oskarżona kierowała poczynaniami Ludwika Kapeta i namówiła go do ucieczki z Paryża.

— Nie sądzę, by otwarcie drzwi oznaczało kierowanie poczynaniami kogokolwiek.

— Oskarżona nigdy nie przestała zabiegać o obalenie wolności. Oskarżona pragnęła władzy za wszelką cenę i chciała wrócić na tron po trupach patriotów.

— Nie musimy wracać na tron, bo wciąż na nim zasiadamy. Zawsze pragnęliśmy szczęścia dla Francji i Francuzów. To jest warunkiem naszego osobistego szczęścia.

— Czy oskarżona uważa, że ludzie potrzebują króla, by byli szczęśliwi?

— Człowiek nie może sam rozstrzygać takich spraw.

— Niewątpliwie, że oskarżona żałuje, że jej syn stracił tron, na którym byłby zasiadł, gdyby ludzie, uświadomiwszy sobie swoje prawa, nie obalili monarchii?

— Nie żałuję niczego, jeśli kraj mojego syna jest szczęśliwy.

Zadawali wciąż nowe pytania. O Trianon. Kto zapłacił za Trianon?

— Istniał specjalny fundusz stworzony na potrzeby Trianon. Mam nadzieję, że wszystkie szczegóły zostaną ujawnione, ponieważ uważam, że w pomówieniach jest dużo przesady.

— Czy właśnie w Trianon oskarżona po raz pierwszy spotkała madame de la Motte?

— Nigdy jej nie spotkałam.

— Czy to nie oskarżona wybrała ją na kozła ofiarnego w aferze z naszymi dziećmi?

— Nigdy jej nie spotkałam.

I właśnie wtedy nabrałam przekonania, że żyję w sennym koszmarze... że umarłam i poszłam do piekła. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

Co ci straszni ludzie mówią o moim synu? Oskarżyli mnie o kazirodztwo! Z moim własnym dzieckiem! Z ośmioletnim chłopcem! Nie mogłam w to uwierzyć. Ten Hebert... ten potwór... ten ordynarny grubianin zeznał przed sądem, że nauczyłam mojego syna niemoralnych praktyk... że... nie, nie mogę tego nawet napisać. To zbyt bolesne, zbyt straszne... to całkiem absurdalne!

Oświadczyli, że mój syn przyznał się do wszystkiego. Oskarżył mnie i Elżbietę... swoją świętą ciotkę Elżbietę i swoją matkę!

Patrzyłam w odrętwieniu przed siebie. Przypomniałam sobie małego chłopca na dziedzińcu Temple... chłopca, który znalazł się w rękach tych niegodziwców. Przypomniałam sobie brudną czerwoną czapkę na jego głowie i ordynarne słowa, które wypowiadał. Usłyszałam jego dziecięcy głosik, wyśpiewujący „Ça ira”.

Wymusili na nim to zeznanie. Nauczyli go, co ma mówić. Źle go traktowali i zmusili, by powiedział coś, czego nie rozumiał. Miał osiem lat, a ja byłam jego matką. Kochałam go. Straciłam kochankę, straciłam męża — i ten chłopiec stał się całym moim życiem. A jednak zdołali go zmusić, by rzucił takie oskarżenia na mnie i na swoją ciotkę, która uczyła go modlitw.

Słyszałam tylko fragmenty raportu. Podobno skonfrontowali go z ciotką i siostrą, a one obie zaprzeczyły wszelkim oskarżeniom. Ale napisali w raporcie, że to naturalne, że osoby zdolne do takich niemoralnych czynów mogą tylko zaprzeczać.

Ciotka Elżbieta nazwała go potworem.

Och Elżbieto, pomyślałam, moja droga Elżbieto, co naprawdę myślałaś o moim drogim chłopcu?

Gdy mi go odbierali, sądziłam, że jestem na dnie rozpacz. Teraz przekonałam się, że to jeszcze nie było dno. I nie koniec moich cierpień.

Ogarnęło mnie śmiertelne przerażenie. Co oni zrobili mojemu dziecku, żeby zmusić je do takich zeznań? Musieli go dręczyć... głodzić, torturować. Jego, króla Francji, moje kochanie.

Hebert — wystarczyło popatrzeć na tego człowieka, żeby ujrzeć w nim zdegenerowanego potwora — rzucał mi cyniczne spojrzenia. Jakże ten człowiek musiał mnie nienawidzić! Przypomniałam sobie, jak mnie traktował na początku. Diabeł wcielony! Nie wart, by żyć na tym świecie. O Boże, uchronij moje dzieci przed tym człowiekiem.

Wydawało mi się, że lada moment zemdleję. Wbiłam wzrok w płomienie świec, żeby zachować równowagę. I wtedy doświadczyłam tego samego, czego doświadczałam w więzieniu — współczucia kobiet. Na sali sądowej były matki, które rozumiały, co czuję. Uważały mnie za wroga narodu, uważały mnie za wyniosłą, arogancką, rozrzutną arystokratkę... ale wiedziały, że jestem matką i kocham mojego syna. Czułam, że te kobiety mogą mnie bronić.

Nawet Hebert to rozumiał i trochę się zaniepokoił.

Powiedział, że nie sądzi, by te nieczne praktyki spowodowane były niemoralnością i zepsuciem. Uznał, że chciałam w ten sposób osłabić zdrowie mojego syna, by móc go kontrolować, gdy już zostanie królem.

Patrzyłam na tego człowieka z pogardą i obrzydzeniem. Nie widziałam kobiet siedzących na widowni, ale czułam, że są ze mną. Może to one kiedyś krzyczały: „Antoinette na latarnię”, ale teraz byłam dla nich nie tyle królową, ile matką, oskarżaną przez człowieka, który miał wypisaną na twarzy brutalność. Nie dały wiary temu potworowi.

Wierzyły w historie o moich kochankach, ale w to nie uwierzyły.

Usłyszałam, jak ktoś mówi:

— Oskarżona nie odpiera tych zarzutów.

Mój głos odbił się echem od sądowych ścian:

— Nie zareagowałam, ponieważ natura nie pozwala odpowiadać na takie oskarżenia kierowane przeciwko matce. Odwołuję się do uczuć wszystkich matek, które siedzą na tej sali.

Wyczułam rosnące napięcie, usłyszałam pomruki gniewu.

— Wyprowadzić oskarżoną! — rozkazano natychmiast.

* * *

Znów jestem w swojej celi.

Rosalie czekała na mnie. Próbowała mnie nakarmić, ale nie byłam w stanie nic przełknąć. Położyła mnie więc do łóżka. Później mi powiedziała, że Robespierre wściekł się na Heberta za te oskarżenia. Wszyscy wiedzieli, że są nieprawdziwe. Nikt nie wątpił, że kocham syna. Robespierre bał się, że jeśli zostanę w sali dłużej, kobiety zbuntują się przeciwko sędziom i zażądadą mojego uwolnienia, zażądają, by oddano mi syna.

— Och, madame, madame — powtarzała Rosalie i ukląkłszy przy moim łóżku, gorzko się rozplakała.

* * *

Znów znalazłam się w sali sądowej, by wysłuchać listy moich przewinień. Spiskowałam z obcymi mocarstwami; miałam zły wpływ na mojego męża; trwoniłam pieniądze narodu na Trianon i na swoich protegowanych. Wspomniano tu o Polignacach, ale nie powrócono do tamtego strasznego oskarżenia.

W końcu zadano sędziom pytania:

— Czy dowiedziono, że organizowano potajemnie spisek razem z obcymi mocarstwami i wewnętrznymi wrogami Republiki i że celem tego spisku było ułatwienie wtargnięcia obcych wojsk na terytorium Francji?

— Czy dowiedziono, że oskarżona uczestniczyła w tych intrygach?

— Czy dowiedziono, że organizowano spisek, którego celem było wzniesienie wojny domowej z Republiką?

— Czy dowiedziono, że Marie Antoinette, wdowa po Ludwiku Kapecie, brała udział w przygotowaniach do tego spisku?

Zabrano mnie na chwilę do sąsiedniego pokoju. Sędziowie mieli naradzić się przed wydaniem werdyktu, ale przecież wszystko było z góry ustalone.

W końcu wyrok ogłoszono. Uznano mnie winną wszystkich zarzucanych czynów i skazano na karę śmierci.

* * *

Siedzę w mojej celi i piszę. Niewiele mam już do powiedzenia.

Najpierw muszę napisać do Elżbiety. Myślę o tym, co mój syn o niej powiedział i znając jej niczym nieskażoną duszę, domyślam się, jak bardzo ją to zaszokowało. Muszę jej wszystko wytłumaczyć.

Biorę więc pióro:

Piszę do Ciebie, siostrze, po raz ostatni. Zostałam właśnie skazana na śmierć, ale nie na tę hańbiącą, bo ona hańbi tylko złoźców, lecz na śmierć, dzięki której połączę się z Twoim bratem. Podobnie jak on jestem niewinna i mam nadzieję, że zdołam zachować się równie niezłomie jak on w ostatnich chwilach.

Czyste sumienie zapewnia mi spokój. Żałuję tylko głęboko, że opuszczam moje biedne dzieci. Wiesz, że żyłam tylko dla nich i dla Ciebie, moja dobra siostrze. I myślę o tym, w jak trudnej sytuacji zostawiam tę, która tyle poświęciła, by nam towarzyszyć....

Napisałam też o mojej drogiej córce, którą już rozdzielono z Elżbietą. Miałam nadzieję, że Marie Thérèse zdoła jakoś pomóc swemu bratu... Pozostało mi jeszcze napisać do Elżbiety coś o Ludwiku Karolu. Pomóc jej zrozumieć.

Muszę jeszcze wspomnieć o czymś, co głęboko rani moje serce. Wiem, ile bólu przysporzył Ci mój syn. Wybacz mu, moja droga siostrze. Pamiętaj, ile ma lat, pamiętaj, jak łatwo nakłonić takie małe dziecko, by mówiło to, czego je nauczono, a czego w ogóle nie rozumie. Myślę, że mimo wszystko pewnego dnia doceni Twoją dobroć i czułość...

Łzy napływają mi do oczu i nie mogę już pisać, ale ponownie wezmę jeszcze do ręki pióro i skończę.

* * *

Wkrótce wybije moja ostatnia godzina.

Zaraz nadjedzie wóz. Obetną mi włosy, zwiążą mi ręce za plecami i powiozą dobrze znaną drogą, którą podążało już tylu starych przyjaciół... którą przemierzył przede mną Ludwik. Powiozą mnie ulicami, którymi za dawnych czasów jeździłam karetą zaprzężoną w białe konie, obok miejsca, gdzie pan de Brissac powiedział mi, że zakochało się we mnie dwieście tysięcy Francuzów... przez rue Saint-Honore, gdzie może stoi Rose Bertin, na Plac Rewolucji, na szafot.

Ludzie będą krzyczeć, tak jak zawsze, a ja będę myśleć o swoim życiu. Nie będę widzieć tłumów domagających się mojej krwi. Będę myśleć o Ludwiku, który odszedł przede mną, i o Axelu, który gdzieś daleko rozpacza... Nie rozpaczaj tak bardzo, mój najdroższy, bo wkrótce przestanę cierpieć. Będę myśleć o moim kochanym synu, modląc się, by nie dręczyły go straszne wyrzuty sumienia. Mój kochany... to nic takiego. Już ci wybaczyłam... Nie wiedziałeś przecież, co mówisz.

Modlę się, bym w trakcie tej ostatniej podróży okazała się godną córką swej matki. W obliczu śmierci muszę okazać odwagę, której mnie uczyła.

Nic więcej już nie napiszę. Już po mnie idą.

Ogarnia mnie wielki spokój. I mam pewność, że wszystko co najgorsze mam już za sobą, że nie spotka mnie już większe cierpienie. Został tylko ostatni cios ostrej gilotyny, cios, który przyniesie mi wyzwolenie.

Jestem gotowa. I niczego się nie lękam. Życie wymaga większej odwagi niż śmierć.